

Allan
FOLSOM

**Traktat
Machiavellego**

PRZERAŻAJĄCY PLAN PRZEJĘCIA WŁADZY NAD ŚWIATEM...



Allan
FOLSOM
Traktat
Machiavellego

Z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA

Tytuł oryginału:
THE MACHIAVELLI COVENANT

Copyright © Allan Folsom 2006 All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009
Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2009

Redakcja: Jacek Ring
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz
Skład: Laguna

PBN 978-83-7359-716-7

Dystrybucja
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa
2009. Wydanie I Druk: OpolGraf S.A., Opole

Karen i Rileyowi

NIEDZIELA

2 kwietnia

**WASZYNGTON. SZPITAL KLINICZNY
UNIwersytetu IM. GEORGE'A WASHINGTONA,
ODDZIAŁ INTENSYWNEJ OPIEKI MEDYCZNEJ.
22.10**

Nicholasowi Martenowi serce dudniło jak bęben ukryty w głębi ciała. Każdy wdech i wydech rozbrzmiewał jak na ścieżce dźwiękowej filmu, podobnie jak ciężki oddech Caroline, leżącej obok niego na łóżku.

Popatrzył na nią chyba po raz dziesiąty w ciągu ostatnich pięciu minut. Oczy miała zamknięte, jej dłoń spoczywała w jego dłoni tak delikatnie i bez życia, że równie dobrze mogłaby to być rękawiczka.

Jak długo jest w Waszyngtonie? Dwa dni? Trzy? Przyleciał z Manchesteru prawie natychmiast po telefonie Caroline. Gdy tylko usłyszał jej głos, wiedział, że stało się coś złego. Brzmiały w nim groza, strach i bezradność. Potem powiedziała. Stwierdzono u niej wyjątkowo agresywną i nieuleczalną formę gronkowca. Lekarze dawali jej kilka dni życia.

Mimo to w jej głosie, poza rozpaczą, Nicholas usłyszał coś jeszcze — gniew. Coś jej zrobili, powiedziała nagle szeptem, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy. Nieważne, co mówią lekarze, Caroline była pewna, że infekcję, która ją zabija, wywołała celowo wstrzyknięta bakteria.

W tym momencie, jak to wynikało z odgłosów dochodzących ze słuchawki, ktoś wszedł do jej pokoju. Raptownie zakończyła rozmowę, błagając, żeby jak najszybciej przyjechał do Waszyngtonu. Potem się rozłączyła.

Nie miał pojęcia, co o tym myśleć, wiedział tylko, że była przerażona i że jej sytuację bardzo pogorszyła niedawna śmierć męża i dwunastoletniego

syna w katastrofie prywatnego samolotu u wybrzeży Kalifornii. Biorąc pod uwagę okropne fizyczne i psychiczne spustoszenie, jakie musiały wywołać wszystkie te tragiczne wydarzenia, trudno było powiedzieć, czy rzeczywiście Caroline mogła mieć jakieś podstawy do swoich podejrzeń. Fakt jednak pozostawał faktem — była śmiertelnie chora i rozpaczliwie potrzebowała jego obecności, a słysząc jej głos, rozumiał, że powinien tam polecieć jak najszybciej.

I poleciał. W ciągu jednego dnia złapał samolot z Manchesteru na północy Anglii do Londynu, a następnie do Waszyngtonu. Z lotniska Dullesa taksówką pojechał prosto do szpitala, a dopiero później zarezerwował sobie pokój w pobliskim hotelu. W czasie rozmowy przez telefon nie poruszyli nawet kwestii prawdziwej tożsamości Martena, a także niebezpieczeństwa, z jakim wiązał się dla niego powrót do Stanów. Nie było potrzeby o tym mówić, wiedział, że Caroline nigdy w życiu nie poprosiłaby go o przyjazd, gdyby sytuacja nie była naprawdę poważna.

Tak więc w pośpiechu powrócił do kraju, z którego sześć lat temu uciekał, ratując życie swoje i swojej siostry. Wrócił, ponieważ Caroline była jak dotąd jedyną prawdziwą miłością jego życia. Kochał ją tak głęboko, że nawet nie potrafił tego opisać. Wiedział również, że choć od wielu lat była szczęśliwą mężatką, w jakiś niewypowiedziany sposób ona czuła do niego to samo.

Podniósł gwałtownie głowę, kiedy otworzyły się drzwi. Do sali weszła przysadzista pielęgniarka, a za nią dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach. Pierwszy był bardzo dobrze zbudowany, miał około czterdziestu lat i ciemne kręcone włosy.

— Przykro mi, ale musi pan wyjść — powiedział z szacunkiem.

— Idzie prezydent — oznajmiła krótko pielęgniarka szorstkim, władczym głosem, jakby właśnie mianowano ją szefem ochrony prezydenta, jakby była dowódcą obydwu mężczyzn w garniturach.

W tej samej chwili Caroline ścisnęła go za rękę. Spojrzał w dół. Leżała z szeroko otwartymi oczami i patrzyła nań tak przejrzystym, wyrazistym spojrzeniem jak wtedy, kiedy zobaczył japo raz pierwszy, w liceum, kiedy oboje mieli po szesnaście lat.

— Kocham cię — szepnęła.

— Ja też cię kocham — odpowiedział również szeptem.

Spoglądała na niego jeszcze przez pół sekundy, po czym zamknęła oczy, a jej dłoń zwiotczała.

— Bardzo proszę, musi pan już wyjść — powiedział jeden z ochroniarzy.

W tej samej chwili do pokoju wszedł wysoki, szczupły, srebrnowłosy mężczyzna. Nie było najmniejszych wątpliwości, kim jest: John Henry Harris, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Marten spojrział mu prosto w oczy.

— Proszę — powiedział łagodnie. — Pozwólcie mi zostać z nią jeszcze przez chwilę w samotności... Ona właśnie... — słowa ugrzęzły mu w gardle — umarła.

Spojrzenia obydwu mężczyzn spotkały się przelotnie.

— Naturalnie — odrzekł prezydent poważnym tonem.

Potem skinął na ochroniarzy, odwrócił się i wyszedł.

2

Pół godziny później, z pochyloną głową, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierza, Nicholas Marten szedł ulicami miasta, prawie całkiem wyludnionymi w niedzielny wieczór. Próbował nie myśleć o Caroline, nie dopuszczać do siebie bólu. Starał się nie myśleć, że minęło niewiele więcej niż trzy tygodnie, od kiedy straciła męża i syna. Usiłował odsuwać od siebie podejrzenie, że celowo podano jej coś, co spowodowało tragiczne w skutkach zakażenie.

„Coś mi zrobili”, zadzwęczał mu w głowie jej głos tak wyraźnie, jakby właśnie wypowiedziała te słowa. Brzmiał w nim ten sam strach i gniew, i ta sama bezradność jak wtedy, gdy zadzwoniła do niego do Anglii.

„Coś mi zrobili”, znowu usłyszał jej słowa, jakby nawet teraz, po śmierci, próbowała mu coś powiedzieć, jakby chciała go przekonać ponad wszelką wątpliwość, że to nie była zwyczajna choroba, że ją zamordowano.

Czym było owo „coś” albo przynajmniej, czym się jej zdawało i jak się to wszystko zaczęło, opowiedziała mu podczas pierwszego z dwóch przebiegów świadomości, jakie miała po jego przyjeździe.

Wydarzyło się to po podwójnym pogrzebie: jej męża, Mike'a Parsonsa, szanowanego, czterdziestodwuletniego kongresmana z Kalifornii, zasiadającego w Kongresie drugą kadencję, oraz ich syna Charliego. Pewna, że ma dość siły, aby sprostać roli gospodyni, zaprosiła wielu ludzi na stypę, ale wstrząs w połączeniu z nieznośnym napięciem, jakie towarzyszyło pogrzebowi, i tłumem ludzi, pełnych Współczucia i życzliwości, przytłoczyły ją tak,

że się kompletnie załamała, uciekła zapłakana, bliska hysterii do sypialni, zamknęła się i nie chciała otworzyć drzwi, wrzeszcząc na ludzi, żeby sobie poszli.

Wśród żałobników znajdował się kapelan Kongresu, a zarazem pastor w ich kościele, wielebny Rufus Beck, który niezwłocznie wezwał lekarkę Caroline — Lorraine Stephenson. Doktor Stephenson przyjechała bardzo szybko. Razem z pastorem nakłoniła Caroline do otwarcia drzwi, a kilka minut później podała jej „jakiś środek uspokajający” w zastrzyku. Kiedy Caroline się ocknęła, leżała w prywatnym szpitalu, gdzie doktor Stephenson zaleciła jej kilka dni odpoczynku i gdzie „nigdy już się nie czuła tak samo jak kiedyś”.

Marten skręcił w jedną ciemną uliczkę, potem w następną, cały czas odtwarżając w pamięci godziny, które spędził przy jej łóżku w szpitalu. Poza dwiema krótkimi chwilami przytomności, kiedy z nim rozmawiała, Caroline głównie spała, a on czuwał u jej boku. Przez cały ten długi czas pielęgniarki i lekarze wchodzili i wychodzili, nadzorując jej stan, od czasu do czasu odwiedzali ją przyjaciele i znajomi, wtedy Marten przedstawiał się i po cichu wychodził z pokoju.

Przyszły też obydwie osoby, które zajmowały się Caroline, gdy przeżyła załamanie nerwowe po pogrzebie. Wczesnym rankiem zadzwoniła kobieta, która podała jej wówczas środki na uspokojenie i skierowała do szpitala — lekarka rodzinna, doktor Lorraine Stephenson. Była wysoką, przystojną kobietą po pięćdziesiątce. Zamienili kilka uprzejmych zdań, potem lekarka przeczytała kartę chorobową Caroline, osłuchiwała stetoskopem serce i płuca i wyszła.

Drugą osobą był kapelan Rufus Beck, który zjawił się później tego samego dnia. Potężnemu, dobrodusznemu Murzynowi o łagodnym sposobie mówienia towarzyszyła atrakcyjna biała kobieta o ciemnych włosach z torbą na sprzęt fotograficzny na ramieniu. Trzymała się w dyskretnej odległości. Podobnie jak Lorraine Stephenson, wielebny Beck przedstawił się Martenowi, potem pomodlił się przy łóżku śpiącej Caroline, pożegnał się i wyszedł razem ze swoją towarzyszką.

Zaczęło mżyć. Marten zatrzymał się i podniósł kołnierzyk marynarki, żeby osłonić się przed deszczem. W oddali widział szczyt obelisku Waszyngtona. Po raz pierwszy uświadomił sobie, gdzie właściwie jest. Waszyngton

nie kończył się na oddziale intensywnej opieki medycznej, był wielkim miastem, w dodatku stolicą Stanów Zjednoczonych. Nicholas nigdy przedtem tu nie był, mimo że przed ucieczką do Anglii całe życie mieszkał w Kalifornii i mógł z łatwością podróżować po całym kraju. Z jakiegoś powodu poczuł, że to jest jego miejsce, jego kraj, jego ojczyzna. Nigdy przedtem nie doświadczał takiego uczucia, zastanawiał się, czy nadejdzie kiedyś czas, że będzie mógł powrócić z wygnania w Manchesterze.

Ruszył dalej. Zauważył z tyłu samochód nadjeżdżający bardzo powoli. Na pustych ulicach powoli zbliżający się pojazd dziwnie rzucał się w oczy. Była niedziela, późny wieczór, padał deszcz — czy kierowca jadący pustymi ulicami nie powinien się spieszyć do domu, a w każdym razie tam, dokąd się wybierał? Kiedy samochód się z nim zrównał, Nicholas spojrzął na mężczyznę siedzącego za kierownicą: w średnim wieku, ciemnowłosy, niczym się nie wyróżniał. Samochód przejechał i Marten przez chwilę obserwował, jak się oddala tak samo powoli, jak nadjeżdżał. Może facet był pijany albo po narkotykach, albo — mignęło mu w głowie to osobiste skojarzenie — tak jak on stracił kogoś bardzo bliskiego i nie miał pojęcia, gdzie jest i co robi poza tym, że jedzie przed siebie.

3

Wrócił myślami do Caroline. Była żoną szanowanego kongresmana, który ostatnimi czasy zyskiwał coraz większą popularność i sympatię w Waszyngtonie. Przypadkiem również przyjaźnił się od dzieciństwa z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Na wieść o niespodziewanej, tragicznej śmierci Mike'a Parsonsa oraz jego syna środowiska polityczne otoczyły Caroline nadzwyczajną troską. Marten znowu zaczął się zastanawiać, dlaczego uważała, że „coś jej zrobiono”. Dlaczego sadziła, że celowo zarażono ją śmiertelną chorobą?

Zaczął starannie i skrupulatnie analizować jej stan w ciągu tych ostatnich dwóch dni. Szczególnie uważnie przypominał sobie to, co Powiedziała, kiedy odzyskała przytomność za drugim razem. Wzięła go wtedy za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

— Nicholasie — szepnęła słabo. — Ja... — Usta miała spieczone, oddychała ciężko. Mówienie przychodziło jej z ogromną trudnością. — Ja też miałam lecieć... tym samolotem... z Mikiem i Charliem, tylko, że w ostatniej chwili plany się zmieniły... i wróciłam do Waszyngtonu dzień wcześniej. —

Patrzyła nań przenikliwym wzrokiem. — Zamordowali mojego męża i syna... a teraz zabili... mnie.

— O kim mówisz? Kim są „oni” — nalegał łagodnie, usiłując wydobyć od niej coś konkretniejszego.

— Ko... — zaczęła.

Próbowała powiedzieć coś więcej, ale nie dała rady. Siły ją do reszty opuściły, opadła na poduszkę i zasnęła, i spała aż do tej ostatniej chwili swego życia, kiedy otworzyła oczy, popatrzyła na niego i powiedziała, że go kocha.

Kiedy teraz o tym myślał, doszedł do wniosku, że to, co mu powiedziała, dzieliło się na dwie kategorie, zupełnie od siebie niezależne. Pierwsza pojawiła się we fragmentach: że pierwotnie miała lecieć pechowym samolotem z mężem i synem, ale wskutek nagłej zmiany planów w ostatniej chwili wróciła do Waszyngtonu dzień wcześniej; co się wydarzyło u niej w domu po pogrzebie i wreszcie to, co mu powiedziała, kiedy zadzwoniła do niego do Anglii: że umiera wskutek nieuleczalnej infekcji rzadkim szczepem gronkowca i że wszczepiono go jej rozmyślnie. „Ko...”, zaczęła mówić, kiedy poprosił ją, aby wyjaśniła bliżej, kim byli „oni”. Nie miał pojęcia, co chciała powiedzieć.

Druga część informacji pochodziła z jej majaków. Najczęściej mówiła przez sen o codziennych sprawach, wołała po imieniu męża: „Mike!”, syna: „Charlie” lub siostrę, Katy. Prosiła na przykład: „Charlie, ścisz telewizor” albo informowała: „Zajęcia są we wtorek”. Ale pojawiały się wśród nich także inne wypowiedzi. Wydawało się, że kierowała je do męża, a pełne były strachu lub niepokoju albo jednego i drugiego. „Mike, o co chodzi?” albo: „Widzę, że się boisz”, albo: „Dlaczego mi nie powiesz, co się dzieje?”, albo: „Chodzi o tamtych, prawda?”, a potem nagły przerażony wybuch: „Nie podoba mi się ten białowłosy człowiek!”.

Część tych rzeczy była mu znana, ponieważ Caroline opowiedziała mu o nich, kiedy zadzwoniła do Manchesteru i poprosiła, aby przyjechał.

— Gorączka zaczęła się niespełna dzień po tym, jak ocknęłam się w szpitalu — relacjonowała. — Pogorszyło mi się i zrobili mi badania. Przyszędł taki białowłosy mężczyzna, powiedzieli, że jest specjalistą, ale mnie się nie podobał. Bałam się go. Wszystkiego się w nim bałam: tego, jak mi się przyglądał, jak dotykał mojej twarzy i nóg tymi swoimi odrażającymi długimi palcami i tym okropnym kciukiem z krzyżykiem zakończonym kulkami.

Spytałam go, po co przyszedł i co robi, ale on nie odpowiadał. A potem odkryli jakieś bakterie gronkowca w kości mojej prawej nogi. Próbowali mnie leczyć antybiotykami, ale nie działały. Nic nie działało.

Szedł dalej. Deszcz padał coraz większy, ale Marten prawie go nie zauważał. Myślał tylko o Caroline. Poznali się w liceum, potem poszli do tego samego college'u, pewni, że się pobiorą, będą mieli dzieci i spędzą razem resztę życia. Wtedy ona wyjechała na wakacje i poznała młodego prawnika, Mike'a Parsonsa. Od tamtej pory ich życie na zawsze się zmieniło. Chociaż bardzo cierpiał i czuł się głęboko zraniony, nigdy nie przestał jej kochać. Z czasem zaprzyjaźnił się z Mikiem. On i Caroline należeli do niewielu osób, które wiedziały, kim Nicholas naprawdę był i dlaczego musiał porzucić pracę w wydziale zabójstw policji Los Angeles i przeprowadzić się do północnej Anglii, gdzie zamieszkał pod nowym nazwiskiem jako projektant zieleni.

Żałował, że nie przyleciał na pogrzeb męża i syna Caroline. Byłby wtedy przy niej, kiedy przeżyła załamanie i kiedy zjawiała się doktor Stephenson. To Caroline odwiodła go od tego zamiaru. Powiedziała, że otaczają ją przyjaciele i że jej siostra z mężem przyjadą z Hawajów, gdzie mieszkają, i że zważywszy na jego niebezpieczną sytuację życiową, powinien pozostać w Anglii. Spotkają się później, obiecała, kiedy wszystko przycichnie. Nic wtedy w jej głosie nie wzbudzało podejrzeń. Na pewno była wstrząśnięta po śmierci najbliższych osób, ale nic poza tym. Nadal czuło się tę wewnętrzną siłę, z jaką potrafiła przetrwać najtrudniejsze próby.

Bóg jeden wie, jak on ją zawsze kochał. Nawet teraz. I zawsze będzie ją kochał.

Idąc, myślał tylko o tym. W końcu zdał sobie sprawę, że deszcz leje jak z cebra, a on przemókł do suchej nitki. Zaczął się rozglądać, gdzie jest i jak wrócić do hotelu. Wtedy zobaczył w oddali oświetlony gmach. Ten budynek tkwił mu w pamięci od dzieciństwa — z lekcji historii, z gazet, telewizji, filmów. Biały Dom.

W tym samym momencie uprzytomnił sobie z całą ostrością, że utracił Caroline na zawsze. Nie bacząc na deszcz i ciemność, nie czując najmniejszego wstydu, rozpłakał się.

PONIEDZIAŁEK

3 kwietnia

20.20

Nadal było pochmurno i mżyło. Nicholas Marten siedział za kierownicą wynajętego samochodu nieopodal domu doktor Lorraine Stephenson w Georgetown. Dwupiętrowa rezydencja w zielonej, eleganckiej dzielnicy tonęła w ciemności. Jeśli ktoś był w domu, musiał spać lub siedzieć w pomieszczeniach po drugiej stronie budynku. Marten doszedł do wniosku, że ani jedno, ani drugie raczej nie wchodzi w grę. Czekał tu ponad dwie godziny, więc gdyby ktoś spał, znaczyłoby to, że położył się do łóżka o wpół do siódmej — możliwe, lecz mało prawdopodobne. Gdyby zaś mieszkańcy spędzali czas w pokojach od podwórza, z takiego czy innego powodu w ciągu dwóch godzin pokazałoby się chyba w innej części domu: poszliby do kuchni, do innego pokoju, gdziekolwiek, a wtedy zapaliliby światło chociaż na krótko, ponieważ było późno, a pogoda pochmurna. Tak więc wszystko wskazywało na to, że doktor Stephenson nie wróciła jeszcze do domu. Dlatego właśnie czekał i miał zamiar czekać na nią do skutku.

Ileż to razy wyjmował tego dnia z kieszeni kartkę, żeby ją przeczytać po raz kolejny? W tej chwili znał już ją na pamięć.

Ja, Caroline Parsons, udzielam Nicholasowi Martenowi upoważnienia do wglądu we wszystkie moje dokumenty, łącznie z kartoteką medyczną, jak również w prywatne dokumenty mojego zmarłego męża, kongresmana Stanów Zjednoczonych, Michaela Parsonsa z Kalifornii.

Notatkę tę, napisaną na komputerze, podpisaną drżącą ręką Caroline, a następnie opatrzoną datą, potwierdzoną i uwierzytelnioną przez notariusza, doręczono mu dziś rano w hotelu. Dzień i godzina podpisania dokumentu, jak również jego dostarczenia wiele mówiły. Był poniedziałek trzeciego kwietnia. Caroline zadzwoniła do niego do Manchesteru w czwartek po południu, trzydziestego marca, i wtedy poprosiła, żeby przyjechał do Waszyngtonu. Wyleciał nazajutrz rano. Dokument sporządzono i podpisano tego samego dnia, w piątek trzydziestego pierwszego marca, ale Nicholas o tym nie wiedział aż do dzisiejszego ranka. W piątek Caroline była jeszcze w pełni przytomna. Wiedząc, że zostało jej mało czasu, i nie mając pewności, czy Marten zdąży przyjechać, zanim umrze, wezwała notariusza i sporządziła to pismo. Mimo to nikt nie powiedział mu ani słowa o jego istnieniu i dostarczono mu je dopiero po jej śmierci.

— Tak sobie życzyła Caroline, napisałem to panu w liście — oznajmił jej prawnik, Richard Tyler, kiedy Nicholas zadzwonił do niego w tej sprawie.

W dołączonym liście Tyler informował go, że pismo ma pełną moc prawną. Trudno jednak było orzec, jak daleko mogły sięgać jego prerogatywy, gdyby ktoś je zakwestionował przed sądem. Mimo to pismo pozostawało dokumentem prawnym i Marten mógł je wykorzystać wedle własnego życzenia.

— Tylko pan może wiedzieć, w jakim celu je napisała, ja mogę się jedynie domyślać, że był pan dla niej bardzo drogim i bliskim przyjacielem i ufała panu bezgranicznie.

— Tak — odparł Marten.

Podziękował Tylerowi za pomoc i zapytał, czy może do niego zadzwonić, gdyby pojawiły się jakieś prawne komplikacje. Caroline najwyraźniej nie podzieliła się z prawnikiem swoimi podejrzeniami i obawami, co oznaczało, że prawdopodobnie nie podzieliła się nimi z nikim z wyjątkiem Martena. Starannie zaplanowała treść i czas doręczenia dokumentu, ponieważ zdawała sobie sprawę, że Nicholas może powątpiewać w słuszność jej oskarżeń, winę za nie składając na stan zdrowia zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Wiedziała jednak, że jeśli jej uwierzy, zrobi wszystko, co w jego mocy, aby wyjaśnić tę zagadkę, po pierwsze ze względu na to, co ich łączyło przez wiele lat, mimo że ich drogi się rozeszły, a po drugie z powodu tego, kim był. List miał go przekonać, że powinien poważnie potraktować jej obawy. Miał również otworzyć kilkoro drzwi, które w innym wypadku pozostałyby przed nim zamknięte.

20.25

W lusterku wstecznym zabłysły światła samochodu. Marten obserwował nadjeżdżający pojazd. Wkrótce mógł rozpoznać markę: ciemny, nowy model forda. Podjeżdżając pod dom doktor Stephenson, auto zwolniło, minęło Nicholasa siedzącego w swoim samochodzie, a w końcu skręciło w najbliższą przecznicę. Przez chwilę Marten sądził, że to lekarka, ale jeśli tak, to musiała w ostatniej chwili zmienić zamiar i pojechać dalej. Przyszło mu do głowy, że może bała się wrócić do domu. To by potwierdziło słusność jego domysłów i bardzo dobrze współgrało z tym, co się wydarzyło wcześniej, kiedy próbował się z nią skontaktować.

Dwukrotnie dzwonił dziś rano do jej gabinetu. Wyjaśnił recepcjonistce, że był przyjacielem Caroline Parsons i że chce porozmawiać z doktor Stephenson na temat choroby Caroline. Dwukrotnie usłyszał, że pani doktor przyjmuje w tej chwili pacjenta i że oddzwoni do niego później. Do południa wszakże się nie odezwała.

Kiedy minęła pora lunchu, zadzwonił ponownie, ale i tym razem usłyszał, że doktor Stephenson nie może podejść do telefonu. Powiedział recepcjonistce, że jeśli pani doktor ma obiekcje przed zdradzaniem tajemnicy zawodowej, to nie musi się obawiać, ponieważ otrzymał wszelkie pełnomocnictwa pozwalające mu na wgląd w medyczną dokumentację Caroline. Staral się mówić jak najbardziej oficjalnym tonem, aby rozwiązać ewentualne zawodowe wątpliwości, jakie mogłaby żywić pani doktor. Szczerze mówiąc, pomimo listu Caroline i wszystkiego, co mu powiedziała, nadal nie miał żadnych namacalnych przesłanek, aby podejrzewać przestępstwo. Caroline była śmiertelnie chora i żyła w niewyobrażalnym stresie, życie musiało jej się wydawać beznadziejne i okrutne. Mimo to jej list, a także pytania, na które nie znalazł odpowiedzi, wymagały, aby nie spoczął w poszukiwaniach, dopóki nie przekona się ponad wszelką wątpliwość, że Caroline się myliła.

To, co go zaskoczyło i skłoniło do tego, że siedział teraz w ciemności przed domem doktor Stephenson, wydarzyło się za dziesięć czwarta, kiedy w jego pokoju hotelowym zadzwieczał telefon.

— Mówi doktor Stephenson — powiedziała beznamiętnym, obojętnym tonem.

— Dziękuję, że pani oddzwoniła — rzekł uprzejmie Marten. — Byłem przyjacielem Caroline Parsons. Spotkaliśmy się przelotnie w szpitalu.

— Co mogę dla pana zrobić? — zapytała z lekkim zniecierpliwieniem.

— Chciałbym z panią porozmawiać na temat okoliczności, jakie towarzyszyły chorobie Caroline, oraz o przyczynie jej śmierci.

— Przykro mi, ale to są poufne informacje. Nie mogę z panem na ten temat rozmawiać.

— Rozumiem, ale Caroline napisała dla mnie przed śmiercią oficjalne upoważnienie, które daje mi prawo wglądu w jej dokumenty, łącznie z kartoteką medyczną.

— Przykro mi, panie Marten — odparła ostro. — Nie mogę panu pomóc. Proszę więcej do mnie nie dzwonić.

To powiedziawszy, raptownie odłożyła słuchawkę.

Marten stał oszołomiony z telefonem w ręku. Został bezceremonialnie odprawiony. Aby teraz dotrzeć do kartoteki medycznej Caroline, musiałby przejść całą skomplikowaną drogę sądową i po wielu miesiącach, a zapewne i tysiącach dolarów, wydanych na honoraria dla prawników, być może dostałby nakaz sądowy, dzięki któremu udostępniono by mu stosowne papiery. Ale nawet gdyby go dostał — zwłaszcza jeśli Caroline miała rację i naprawdę została zamordowana — skąd będzie miał pewność, że dokumenty, które mu pokażą, nie będą sfałszowane lub niekompletne?

Z własnego doświadczenia wiedział, że dochodzeniowcy, którzy przyjmowali do wiadomości odmowę i szli do domu, rzadko znajdowali odpowiedź na swoje pytania. Tylko ci, którzy zostawali w grze i potrafili naciskać jeszcze mocniej, którzy czasami przez kilka dni nie wracali do domu — tylko tacy otrzymywali odpowiedź. Dlatego wiedział, co musi zrobić: musi dotrzeć do doktor Stephenson osobiście i zapytać ją prosto z mostu, czy jej zdaniem Caroline mogła zostać zamordowana.

Takie podejście zwykle owocowało jakąś informacją. Najwięcej mówił sposób, w jaki rozmówca udzielał odpowiedzi: mowa ciała, wahanie w głosie, dziwny, niezręczny dobór słów, ruch oczu, a czasami wszystkie te rzeczy naraz. Rzadko się zdarzało, aby osoba zamieszana w zbrodnię czymś się zdradziła. Rzecz jasna dowieść tego nie było potem łatwo. Ale w tej chwili Martenowi nie chodziło o dowody, a tylko o wskazówkę, że Caroline miała rację, że rzeczywiście celowo podano jej śmiertcionośną substancję. A jeśli tak, to należało się przekonać, czy doktor Stephenson była w to zamieszana.

5

Lorraine Stephenson zadzwoniła do niego za dziesięć czwarta. W pół godziny doszedł do kliniki Waszyngtona, mieszczącej się kilka przecznic od jego hotelu. O czwartej dwadzieścia pięć rozmawiał z kobietą siedzącą za biurkiem w dziale kadr szpitala. Po raz kolejny pomogło mu doświadczenie oficera śledczego wydziału zabójstw. Lekarze współpracujący regularnie ze szpitalem mają swoje uaktualniane kartoteki w dziale kadr. Marten podejrzewał, że ponieważ doktor Stephenson odwiedzała Caroline w klinice, korzysta z przywilejów dla pracowników służby zdrowia, a w związku z tym figuruje również w dziale kadr. Opierając się na swych przypuszczeniach, powiedział kobiecie przy biurku, że polecono mu doktor Stephenson na lekarza rodzinnego i chciałby zasięgnąć na jej temat zawodowych informacji, na przykład: gdzie studiowała, gdzie robiła staż i tak dalej. W odpowiedzi kobieta wyświetliła na monitorze komputera dane lekarki. W tym czasie Nicholas rozejrzał się po pokoju i zauważył duże pudło z chusteczkami higienicznymi, stojące na szafce kilka metrów za jej plecami. Udał, że słumił kichnięcie, powiedział, że przeziębził się na deszczu, i zapytał, czy mógłby dostać paczkę chusteczek. Kiedy kobieta odwróciła się do niego plecami i poszła po chusteczki, wystarczyło mu dziesięć sekund, żeby okrążyć biurko, przewinąć stonę w dół i znaleźć to, czego potrzebował. Trzy minuty później wychodził z działu kadr z garścią chusteczek oraz informacjami, że doktor Lorraine Stephenson jest rozwódką, skończyła wydział medyczny Uniwersytetu im. Johnsa Hopkinsa, robiła staż w szpitalu Mount Sinai w Nowym Jorku, miała gabinet lekarski w Medical Building w Georgetown i mieszkała w tej samej dzielnicy przy Dumbarton Street 227.

20.27

Znowu zobaczył w lusterku światła samochodu. Pojazd zbliżył się i minął go, nie zwalniając. Gdzie ona się podziewała? Na kolacji? W kinie? Na jakiejś konferencji medycznej? Przypomniał mu się ton głosu, kiedy z nim rozmawiała, i to jak odłożyła słuchawkę.

„Przykro mi, panie Marten. Nie mogę panu pomóc. Proszę więcej do mnie nie dzwonić”. I rozłączyła się.

Może w jej słowach tkwiło coś więcej, niż mu się z początku zdawało?

To, co wzięła za lodowatą wyniosłość, mogło być w rzeczywistości strachem. Może Caroline naprawdę została zamordowana, a doktor Stephenson maczała w tym palce albo nawet zrobiła to osobiście. Nagle zadzwonił Marten i powiedział, że ma prawne upoważnienie do wglądu w medyczną kartotekę Caroline i że chce porozmawiać o jej chorobie i przyczynach śmierci. Jeśli lekarka była wplątana w morderstwo, to zadzwoniła do niego tylko po to, aby zyskać na czasie i jak najszybciej zniknąć. To oznacza, że właśnie w tej chwili może wyjeżdżać z miasta.

20.29

Znowu w uliczce za jego plecami pojawił się samochód. Zaczął zwalniać przed domem doktor Stephenson i Marten zobaczył, że był to ten sam ford, który przejeżdżał kilka minut temu. Tym razem zwolnił jeszcze bardziej, jakby kierowca lub pasażer usiłował zajrzeć przez okna do środka, sprawdzić, czy gdzieś się palą światła, co mogłoby wskazywać, że doktor Stephenson wróciła do domu.

Gdy tylko minął budynek, raptownie dodał gazu i odjechał. Nicholasowi udało się wtedy zauważyć kierowcę i lodowate ciarki przebiegły mu od karku przez całe plecy. Forda prowadził ten sam mężczyzna, który minął go wczoraj, jadąc wolno nieopodal obelisku Waszyngtona.

Co to ma znaczyć, do diabła? — zastanawiał się Marten. Zbieg okoliczności? Może. A jeśli nie, to o co w tym wszystkim chodzi? Czego ten facet może chcieć od doktor Stephenson?

20.32

Znowu na końcu ulicy zabłysły światła samochodu. Kiedy podjechał bliżej, Marten stwierdził, że to taksówka. Ona również, dojeżdżając do domu doktor Stephenson, zwolniła, aż w końcu się zatrzymała. Chwilę później otworzyły się tylne drzwi i wysiadła z nich lekarka. Zamknęła drzwiczki i ruszyła w stronę domu. Taksówka tymczasem odjechała.

Marten wysiadł z samochodu.

— Pani doktor! — zawołał.

Obejrzała się przestraszona.

— To ja, Nicholas Marten, przyjaciel Caroline Parsons. Chciałbym pani zająć kilka minut.

Stephenson popatrzyła na niego tylko przez krótką chwilę, potem nagle się odwróciła i szybko ruszyła ulicą, oddalając się od domu.

— Pani doktor! — zawołał za nią jeszcze raz Marten.

Wszedł na krawężnik po drugiej stronie ulicy. Kobieta zerkała niespokojnie za siebie, oczy miała szeroko otwarte i przerażone.

— Pani doktor, nie chcę pani zrobić nic złego — powiedział głośno. — Proszę pani, chodzi mi tylko o chwilkę...

Szła przed siebie, nie zatrzymując się. Marten ruszył za nią. Wtedy zaczęła biec. To samo zrobił Nicholas. Zobaczył, jak mija latarnię, a potem ginie w mroku po drugiej stronie. Stracił ją z oczu. Gdzie ona się podziała? Przeszedł jeszcze kilka metrów i dostał odpowiedź na swoje pytanie. Kobieta stała i obserwowała, jak nadchodzi. Zatrzymał się.

— Chcę tylko z panią porozmawiać, nic innego. Bardzo proszę.

Zrobił krok naprzód.

— Niech się pan nie zbliża.

Nagle zobaczył w jej ręku mały pistolet automatyczny.

— Po co to? — Podniósł wzrok. Kobieta wpatrywała się w niego uważnie. O ile wcześniej w jej oczach widać było strach, o tyle teraz przepełniała je zimna determinacja. — Proszę odłożyć broń — rzekł stanowczo. — Niech pani położy pistolet na ziemi i cofnie się.

— Chcecie mnie wysłać do tego doktora — odezwała się cicho, ale twardo wytrzymywała jego spojrzenie. — Nie uda się wam. Nikomu z was się to nie uda. — Przerwała. Marten widział, że usiłuje podjąć jakąś decyzję. W końcu znowu się odezwała, jej słowa brzmiały wyraźnie i dobitnie. — Nigdy. Za nic w świecie.

Nie odrywając od niego wzroku, wsunęła lufę pistoletu do ust i nacisnęła spust. Rozległ się stłumiony wystrzał, jej czaszka eksplodowała z tyłu i ciało upadło na chodnik jak kamień.

— Jezu Chryste — szepnął Marten, przejęty niedowierzaniem i grozą.

W następnym mgnieniu oka oprzytomniał, odwrócił się i uciekł w ciemność z miejsca tragedii. Dziewięćdziesiąt sekund później skręcał wynajętym wozem z Dumbarton w Dwudziestą Dziewiątą Ulicę. Zupełnie się nie spodziewał takiego rozwoju wydarzeń. Wytraściło go to z równowagi. Doktor Stephenson popełniła samobójstwo z czystego przerażenia, a czynem tym uwiarygodniła podejrzenia, że Caroline w istocie została zamordowana. Co więcej, Nicholas skłonny był teraz uwierzyć również w jej pozostałe donnie-mania: że katastrofa samolotu, w której zginęli Mike i ich syn, także nie była wypadkiem.

W chwili obecnej wszystkie te sprawy zeszyły jednak na drugi plan. Najważniejsze, żeby nikt go nie zauważył na miejscu tragedii. Nic nie mógł zrobić, żeby uratować doktor Stephenson. Gdyby wezwał teraz policję, musiałyby im podać swoje dane. Dopytywaliby się, co tam robił. Dlaczego kobieta zastrzeliła się na jego oczach na ciemnej ulicy, kilkaset metrów od swojego domu? Co robił jego wynajęty samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy?

Tylko co będzie, jeśli ktoś z sąsiadów widział, jak czekał w samochodzie przed jej domem, potem rozmawiał z nią na ulicy, a wreszcie gonił, kiedy zaczęła uciekać? Sprowokowałoby to nieprzyjemne i niepożądane pytania. Nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie podejrzeń Caroline; gdyby powiedział policji prawdę, brzmiałaby ona w najlepszym wypadku niewiarygodnie. Zaczęliby kopać głębiej. Tylko tego mu było trzeba — żeby zaczęli sprawdzać jego tożsamość. Otworzyliby drzwi do przeszłości i wypuścili na wolność wszystkie demony z policji Los Angeles, które nadal na niego polowały. Wciąż żyli tam ludzie, którzy nienawidzili go za to, co się wydarzyło sześć lat temu, i nadal chcieli go zabić. Musiał więc trzymać się jak najdalej od całego zamieszania, a jednak na tyle blisko, aby mieć rękę na pulsie.

W Anglii przybrał nowe nazwisko i rozpoczął nowe życie. Projektował piękne ogrody. Ciężko na to wszystko pracował i chociaż może z sentymentem myślał czasami o swoich korzeniach, o ziemi rodzinnej, to powrót do tego świata strachu i przemocy był ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Na razie jednak nie miał wyboru. Caroline poprosiła go, aby się dowiedział, kto jest odpowiedzialny za śmierć jej i jej rodziny. I dlaczego.

Zresztą zrobiłby to i bez jej prośby.

Tak bardzo ją kochał.

WTOREK

4 kwietnia

FRANCJA; PARYŻ. 9.30

Prezydent Stanów Zjednoczonych, John Henry Harris, szedł obok francuskiego prezydenta, Jacques'a Geroux, po wypiełgnowanych terenach Pałacu Elizejskiego, siedziby prezydenta Francji. Obaj mężczyźni uśmiechali się i gawędzili uprzejmie w pogodny wiosenny ranek. W dyskretnej odległości podążali za nimi agenci Secret Service oraz Direction General de la Securite Exterieur, w skrócie DGSE. Nie dało się również nie zauważyć grupy akredytowanych dziennikarzy. Sesja zdjęciowa zorganizowana na zakończenie prywatnego śniadania Harrisa i Geroux miała na celu zmanifestowanie serdecznych stosunków pomiędzy Francją i Stanami Zjednoczonymi.

Był to trzysta sześćdziesiąty dziewiąty dzień prezydentury Harrisa: dokładnie rok i cztery dni, od kiedy objął urząd jako wiceprezydent w następstwie nagłej śmierci prezydenta Charlesa Singletona Cabota; sto pięćdziesiąt trzy dni, odkąd wybrano go ponownie po bardzo wyrównanej rywalizacji; siedemdziesiąt sześć dni od wprowadzenia na urząd.

Wśród swoich sztandarowych deklaracji wyborczych obecny prezydent, a niegdyś wiceprezydent oraz senator stanu Kalifornia, umieścił zatarcie wizerunku Stanów Zjednoczonych jako wojowniczego, agresywnego supermocarstwa, a zamiast tego uczynienie z nich równorzędnego partnera na coraz bardziej skomplikowanej światowej arenie politycznej. Jego obecna wizyta w Europie miała na celu ocieplenie chłodnej atmosfery narosłej wokół praktycznie jednostronnej decyzji Ameryki o ataku na Irak oraz krwawych i wieloletnich jego konsekwencji. Dzisiejsze śniadanie z francuskim prezydentem rozpoczęło tygodniową serię osobistych spotkań z głowami państw

Unii Europejskiej przed oficjalnym szczytem NATO, przewidzianym na najbliższy poniedziałek dziesiątego kwietnia w Warszawie, gdzie Harris miał nadzieję ogłosić nowo narodzoną jedynomyślność.

Kłopot polegał na tym, że wbrew wszelkim pozorom otwartości i dobrej woli ze strony przywódców państw istniała bardzo realna możliwość, że to się nie uda, przynajmniej w wypadku dwóch osób: prezydenta Francji, Geroux, oraz kanclerz Niemiec, Anny Amalie Bohlen, z którą miał się spotkać dziś wieczorem w Berlinie. Musiał rozważyć, co z tym faktem począć, zwłaszcza teraz, po spotkaniu w cztery oczy z Geroux, i przed przedyskutowaniem tego ze swoimi najbliższymi doradcami. Harris od dawna znany był z tego, że najpierw myśli, potem mówi. Dlatego też wiedział, że zostawią go w spokoju podczas stosunkowo krótkiego lotu Air Force One do Berlina.

Teraz jednak, kiedy się uśmiechał i gawędził z prezydentem Geroux, idąc w stronę rzędu mikrofonów, jego myśli krążyły nie tyle wokół spraw zagranicznych, ile wokół niedawnej śmierci kongresmana Mike'a Parsonsa i jego syna, a potem wstrząsającej, śmiertelnej choroby jego żony, Caroline.

John Henry Harris i Mike Parsons dorastali w piaszczystym rolniczym miasteczku Salinas w Kalifornii, w odległości półtora kilometra od siebie. John Harris odgrywał nawet przez jakiś czas rolę niani przy o czternaście lat młodszym Mike'u, zmieniał mu pieluchy, a potem zastępował starszego brata przez całe gimnazjum i szkołę średnią, dopóki nie wyjechał do college'u na Wschodnim Wybrzeżu. Wiele lat później był drużbą na ślubie Parsonsa z Caroline, pomógł mu również, kiedy Mike ubiegał się o miejsce w Kongresie. Z kolei Mike i Caroline bardzo wydatnie wspierali go podczas kampanii wyborczych, najpierw senackiej, potem prezydenckiej. Oboje też okazywali dużo ciepła jemu i jego żonie Lori podczas jej długich i wyczerpujących zmagañ z nowotworem mózgu, który odebrał jej życie dokładnie tydzień przed wyborami prezydenckimi. Ta długa historia bardzo osobistych związków sprawiła, że Mike i Caroline Parsonsonie byli dla niego jak rodzina, a ich tragiczna śmierć w tak młodym wieku i w tak krótkim czasie głęboko nim wstrząsnęła. Brał udział w pogrzebie Mike'a i Charliego i przyszedłby również na uroczystość pogrzebową Caroline, gdyby ta niezwykle ważna podróż do Europy nie była od dawna zaplanowana.

Teraz, kiedy pstrykały i buczały dziesiątki aparatów fotograficznych i kamer, a on z prezydentem Geroux podchodzili do mikrofonów, nie mógł

odgonić sprzed oczu obrazu tamtej chwili, kiedy wchodził do sali szpitalnej. Nieruchome ciało Caroline leżało pokonane ostatecznie przez chorobę, a przy jej łóżku siedział młody mężczyzna, który podniósł na niego wzrok i powiedział łagodnie: „Proszę, pozwólcie mi zostać z nią jeszcze przez chwilę w samotności... Ona właśnie... umarła”.

Wspominając tamten moment, zaczął się zastanawiać, kim był ów młody człowiek. Mimo że znał Mike'a i Caroline od lat, nigdy go nie spotkał. A jednak mężczyzna ten najwyraźniej znał Caroline na tyle dobrze, aby czuć samotnie przy jej łożu śmierci, i był tak bardzo poruszony, że nie wahał się poprosić prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby zostawił go z nią samego.

— Panie prezydencie — Geroux podprowadził go do mikrofonów — mamy piękny kwietniowy dzień w Paryżu. Może zechce pan coś powiedzieć obywatelom Francji.

— Je vous remerci, Monsieur le président — odrzekł Harris po francusku i uśmiechnął się swobodnie, w naturalny dla siebie sposób.

Wszystko to oczywiście było przewidziane, podobnie jak krótka przemowa, którą miał wygłosić do Francuzów w ich ojczystym języku, na temat długiej tradycji pokojowego współistnienia, przyjaźni i zaufania pomiędzy ich krajem i Stanami Zjednoczonymi. Kiedy jednak podchodził do mikrofonów, część jego myśli nadal krążyła wokół młodego człowieka, który czuł przy łóżku Caroline. Odnotował sobie w pamięci, aby kazał komuś dowiedzieć się, kim on jest.

7

WASZYNGTON, 11.15

Nicholas Marten obchodził powoli wykładany boazerią gabinet w skromnym domu Parsonsów w podmiejskiej okolicy Marylandu i rozglądając się, starał się nie myśleć o niczym. Starał się nie czuć dotkliwej pustki spowodowanej nieobecnością Caroline i nie pozwalać wyobraźni na ludzenie go absurdalną nadzieją, że nic się nie stało i lada chwila ona wejdzie uśmiechnięta przez szklane drzwi.

Wszędzie czuł dotknięcie jej dłoni, szczególnie wśród bujnych roślin i starannie poustawianych między nimi kolorowych ceramicznych bibelotów: małeńki bucik z Włoch, glazurowany półmisek z Nowego Meksyku, dwa niewielkie dzbany z Holandii, ceramiczny żółto-zielony wieszak na łyżki z

Hiszpanii. Wytwarzały one wesołą atmosferę, tak charakterystyczną dla Caroline. Mimo wszystko był to bez najmniejszych wątpliwości pokój jej męża, jego domowy gabinet. Na biurku piętrzył się stos papierów i książek. Jeszcze więcej książek cisnęło się w dwóch wielkich bibliotekach, a ich nadmiar wylewał się nawet na podłogę.

Wszędzie stały fotografie w ramach: Mike'a, Caroline i ich syna Charliego, zrobione w różnych okolicznościach w ciągu wielu lat; starszej siostry Caroline, Katy, która mieszkała na Hawajach i opiekowała się ich chorą na Alzheimera matką. Katy była w Waszyngtonie na pogrzebie Mike'a i Charliego, ale Nicholas nie wiedział, czy przyjedzie także na pogrzeb siostry, zaplanowany na jutro. Zauważył również zdjęcia Mike'a z jego życia zawodowego: z prezydentem, z kongresmanami, z różnymi ważnymi postaciami ze świata sportu i rozrywki. Wiele tych osób głosiło otwarcie liberalne poglądy, podczas gdy Mike Parsons i prezydent byli zdecydowanymi konserwatystami. Marten nie mógł powstrzymać uśmiechu. Mike'a Parsonsa lubili wszyscy, nie miało znaczenia, którą stronę politycznej sceny kto zajmuje, przynajmniej w życiu prywatnym.

Rozejrzał się jeszcze raz. Przez otwarte drzwi do salonu widział Richarda Tylera, prawnika Caroline i wykonawcę jej testamentu. Chodził tam i z powrotem, rozmawiając przez telefon komórkowy. To właśnie dzięki niemu Marten się tu znalazł. Z samego rana Nicholas zadzwonił do niego i zapytał, czy w świetle upoważnienia Caroline, dającego mu dostęp do wszystkich dokumentów jej i jej męża, mógłby wejść do ich mieszkania i przejrzeć ich rzeczy osobiste. Tyler skonsultował się ze swoimi kolegami w biurze i wyraził zgodę, z zastrzeżeniem, że on będzie przy tym obecny. Zabrał go nawet z hotelu i osobiście przywiózł na miejsce.

Droga przez przedmieścia upłynęła im w przyjaznej atmosferze, niemniej w powietrzu wisiało coś dziwnego czy raczej przemilczanego: temat, który Nicholas celowo pozostawił Tylerowi, a którego tamten najwyraźniej nie chciał podejmować. Nie tylko on, ponieważ cicho o nim było również w gazetach, telewizji i Internecie. Nikt nigdzie nie pisał nawet słowa o samobójstwie doktor Stephenson.

Na swój sposób Lorraine Stephenson była sławna. Leczyła nie tylko Caroline, ale i Mike'a, a także od ponad dwudziestu lat wielu innych wysoko postawionych polityków, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Jej samobójstwo powinno się stać pożywką dla niezliczonych wiadomości: lokalnych, krajowych, a nawet międzynarodowych. Tymczasem nic, cisza, nigdzie najmniej wzmianki na ten temat. Tyler pierwszy powinien o tym wiedzieć jako

wykonawca testamentu Caroline, a ponieważ Marten otrzymał od niej pisemne upoważnienie do wglądu w kartoteki medyczne, prawnik powinien jako ten temat poruszyć. Naturalnie, jeśli o tym wiedział. Zatem może jednak nie wiedział. I może media również nie miały o niczym pojęcia. Może policja utrzymuje sprawę w tajemnicy. Tylko dlaczego? Do czasu powiadomienia najbliższych krewnych? Niewykluczone. Powód dobry jak każdy inny. Możliwe również, że pracowali nad jakimś innym aspektem sprawy.

Gdyby Stephenson zachowała się racjonalnie i powiedziała mu po prostu, że jest jej przykro, ale nie może mu udostępnić dokumentacji medycznej Caroline bez nakazu sądowego, niewykluczone, że zostawiłby sprawę w rękach Richarda Tylera i wrócił do Anglii. Być może nie przestałyby go nękać niektóre pytania, ale powiedziałaby sobie, że Caroline była ciężko chora i w okropnym stanie psychicznym, a on nie może nic zrobić, dopóki Tyler nie zdobędzie nakazu sądowego. Ale tak się nie stało. Zamiast odmówić mu stanowczo i spokojnie, doktor Stephenson wpadła w panikę, zaczęła przed nim uciekać, a w końcu strzeliła sobie w głowę. Ostatnie słowa — o „tym doktorze” i „nikomu z was” wypowiedziała z zimną determinacją i zaraz potem nacięła spust.

Jak ona to dokładnie powiedziała tuż przed popełnieniem samobójstwa? „Chcecie mnie wysłać do tego doktora. Nie uda się wam. Nikomu z was się to nie uda. Nigdy. Za nic w świecie”.

O kim mówiła? Jakiego lekarza tak bardzo się bała, że odebrała sobie życie, żeby nie zostać do niego wysłaną? I kim byli ludzie czy organizacja, za których członka wzięła Martena, mówiąc „wam” i „nikomu z was”?

Podszedł do biurka Parsonsa i przyjrzał się stertom papierów zalegającym blat. W większości były to dokumenty z Kongresu, jeden projekt ustawy, drugi, przyznanie funduszy na to, na tamto. Z boku leżałyteczki opatrzone podpisem: LISTY OD WYBORCÓW, ODPOWIEDZIEĆ OSOBIŚCIE. Inna sterta papierów na stoliku przy biurku nosiła adnotację: RAPORTY KOMISJI I PROTOKOŁY. Wszystko razem przedstawiało monstrialne wyzwanie, Nicholas nie miał pojęcia, od czego zacząć i czego właściwie ma szukać.

— Panie Marten — powiedział Richard Tyler, wchodząc do gabinetu.

— Słucham.

— Jeden z właścicieli naszej firmy zbadał list Caroline z pańskim upoważnieniem i stwierdził, że firma, a także ja osobiście możemy się narazić na

pozew sądowy ze strony rodziny Parsonsów, jeśli pozwolimy panu przeglądać rzeczy Caroline i Mike'a bez zgody ich rodziny, a najprawdopodobniej i sądu.

— Nie rozumiem.

— Musi pan natychmiast opuścić ten dom.

— Ależ, panie Tyler — zaprotestował Nicholas — list został potwierdzony przez notariusza. Caroline napisała go dla mnie specjalnie po to, abym...

— Przykro mi, panie Marten.

Nicholas patrzył nań przez długą chwilę, w końcu skinął głową i ruszył do drzwi. Fakt, że wiadomość tę przekazano Tylerowi dopiero teraz, kiedy już byli na miejscu, oznaczała jedną z dwóch rzeczy: albo ów właściciel bardziej się obawiał o firmę niż Tyler, albo ktoś inny dowiedział się o upoważnieniu Caroline i chciał za wszelką cenę powstrzymać to prywatne dochodzenie. Nicholas znał Katy, siostrę Caroline, ale to było wiele lat temu, kiedy nazywał się jeszcze John Barron i pracował jako oficer śledczy policji w Los Angeles, a o ile wiedział, ani Caroline, ani Mike nie powiedzieli Katy, co się od tamtej pory wydarzyło. Katy nie ma więc pojęcia, kim jest Nicholas Marten, a gdyby próbował jej to wszystko wyjaśniać, zwłaszcza w obecności prawników Tylera lub, co gorsza, w sądzie, musiałby wyjawić swoją przeszłość i narazić się na takie samo niebezpieczeństwo jak wtedy, gdyby czekał na policję po samobójstwie doktor Stephenson.

Tyler otworzył drzwi frontowe, a Marten po raz ostatni obrzucił wzrokiem wnętrze domu, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Wiedział, że prawdopodobnie ostatni raz stoi w mieszkaniu Caroline takim, jakim je zostawiła. Poczul okropną pustkę. Nigdy nie mieli dla siebie wystarczająco dużo czasu. I nigdy już nie będą mieć.

— Panie Marten.

Tyler wskazał mu wyjście i wyprowadził na dwór. Wyszedł tuż za nim, po czym zamknął drzwi na klucz i odjechali.

8

14.05

Victor wyglądał przez okno wynajętego narożnego gabinetu w Narodowym Muzeum Poczty naprzeciwko dworca kolejowego Union Station.

— Victorze — rozległ się w słuchawce spokojny głos.

— Tak, Richardzie — odpowiedział równie spokojnie Victor do małego mikrofonu w klapie marynarki.

— Już czas.

— Wiem.

Victor wyglądał jak przeciętny mężczyzna w średnim wieku. Czterdziestosiedmioletni rozwodnik, łysiejący, nieco okrągły w pasie, ubrany w tani szary garnitur i równie tanie buty w dziurkowane wzorki. Na rękach miał rękawiczki chirurgiczne, dostępne w każdej drogerii.

Jeszcze przez chwilę wyglądał przez okno, po czym odwrócił się do biurka, które stało obok. Było to proste stalowe biurko, puste, podobnie jak szarki i biblioteczki w całym pokoju. Tylko w koszu na śmieci pod spodem leżał okrągły, pięćocentymetrowy kawałek szyby, który Victor wykroił z okna piętnaście minut temu, oraz metalowe narzędzie, którym się w tym celu posłużył.

— Dwie minuty, Victorze. — Głos Richarda był cały czas tak samo spokojny i zrównoważony.

— Ekspres Acela numer R2109. Wyjechał z Nowego Jorku o jedenastej, planowany przyjazd na Union Station o pierwszej czterdzieści siedem, ale ma siedem minut opóźnienia — powiedział Victor do mikrofonu, ominął biurko i podszedł do trójnogu, na którym czekał zamontowany półautomatyczny karabin z celownikiem teleskopowym i tłumikiem.

— Pociąg przyjechał.

— Dziękuję, Richardzie.

— Pamiętasz, jak on wygląda?

— Tak, Richardzie, pamiętam jego zdjęcie.

— Dziewięćdziesiąt sekund.

Victor podniósł trójnog z karabinem, podsunął go do okna i ustawił, tak aby wylot lufy znajdował się dokładnie pośrodku koła wyciętego w szybie.

— Minuta.

Victor odgarnął z czoła kosmyk włosów i spojrział przez celownik. Siatka celownicza nakładała się na wyjście główne z Union Station, skąd wylewał się właśnie w pośpiechu tłum świeżo przybyłych pasażerów. Uważnie przesuwiał celownik między ludźmi: w górę, w dół, w prawo, w lewo, jak gdyby szukał kogoś konkretnego.

— Uwaga, Victorze, wychodzi. Za chwilę go zobaczysz.

— Widzę go.

Celownik zatrzymał się, a potem ruszył w ślad za ciemnoskórym mężczyzną, mniej więcej dwudziestopięcioletnim, w kurtce nowojorskich Jankesów i niebieskich džinsach. Podróżny patrzył w stronę rzędu taksówek.

— Cel jest twój, Victorze.

— Dziękuję, Richardzie.

Prawa dłoń Victora przesunęła się po łożu karabinu, aż dotknęła kabłąka spustu, a potem samego spustu. Palec wskazujący w rękawiczce oplótł spust niczym wąż. Mężczyzna w kurtce Jankesów podszedł do taksówki. Palec Victora nacisnął na spust. Rozległo się głuche puknięcie, kiedy broń wywaliła, potem drugie.

Mężczyzna w kurtce złapał się za gardło po pierwszym strzale. Drugi rozsadził mu serce.

— Zrobione, Richardzie.

— Dziękuję, Victorze.

Victor podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł z wynajętego biura. Ale tylko Victor, bez karabinu, bez trójnogu, bez okrągłego kawałka szkła wyciętego z szyby ani narzędzia, które do tego posłużyło. Na korytarzu mijał drzwi do innych biur i gabinetów, aż w końcu skręcił na schody przeciwpożarowe, zszedł dwa piętra na parter i wyszedł na ulicę. Wsiadł na tylne siedzenie spłowiałej pomarańczowej furgonki z napisem USŁUGI CHŁODNICZE, zatrzasnął za sobą drzwiczki i usiadł na podłodze, kiedy samochód ruszał z miejsca.

— Wszystko w porządku, Victorze? — dobiegł go z siedzenia kierowcy głos Richarda.

— Tak. Wszystko w porządku.

Samochód przechylił się na prawo, skręcając za róg.

— Victorze.

Głos Richarda nigdy się nie zmieniał. Zawsze był tak samo spokojny i bezpośredni, kojący i budzący zaufanie.

— Słucham, Richardzie?

Po czterech miesiącach znajomości Victor stał się taki sam: ufny, spokojny, skupiony na jednym celu — ochoczym spełnianiu wszystkich życzeń Richarda.

— Jedziemy na lotnisko Dullesa. Przed tobą leży walizka, w środku znajdziesz dwie zmiany ubrania, przybory toaletowe, paszport, kartę kredytową na swoje nazwisko, tysiąc dwieście euro gotówki i bilet na lot liniami Air France, numer zero trzydzieści dziewięć do Paryża, gdzie wylądujesz

jutro rano o szóstej trzydzieści i gdzie przesiądziesz się na samolot do Berlina. Zameldujesz się w hotelu Boulevard na Kurfürstendamm i tam poczekaś na dalsze instrukcje. Masz jakieś pytania, Victorze?

— Nie, Richardzie.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Grzeczny chłopiec. Bardzo grzeczny.

9

15.40

Nicholas Marten nie należał do pijących mężczyzn, a w każdym razie nie takich, którzy przesiadywali wczesnym popołudniem w hotelowym barze i popijali whisky. Tego dnia jednak, tego popołudnia, w tej właśnie chwili, zdruzgotany śmiercią Caroline, po prostu miał na to ochotę. Siedział na końcu baru z trzecim czerwonym Johnniem Walkerem z wodą i usiłował przezwyciężyć przygniatającą falę uczuć, które zawładnęły nim w momencie, gdy prawnik kazał mu opuścić dom Parsonsów i zamknął za nimi drzwi.

Pociągnął kolejny łyk alkoholu i z roztargnieniem rozejrzał się dookoła. Mniej więcej pośrodku baru barmanka w bluzce z głębokim dekoltem gawędziła z mężczyzną w średnim wieku w pogniecionym garniturze. Poza Nicholasem był to jedyny klient w barze. Sześć stolików w obitych skórą bokach, biegnących wokół sali, świeciło pustkami, podobnie osiem stolików ze skórzanymi krzesłami, rozsianych pośrodku. W telewizorze za barem leciała relacja na żywo z dworca Union Station, gdzie niespełna godzinę temu zastrzelono jakiegoś mężczyznę, i to bynajmniej nie w zwyczajnej strzelaninie, tylko — jak się wyraził reporter telewizyjny — w prawdziwym „zamachu”. Zabójca przyczał się w oknie budynku po drugiej stronie ulicy. Jak dotąd policja niewiele powiedziała na temat zabitego mężczyzny poza tym, że najprawdopodobniej wysiadł z pociągu Acela z Nowego Jorku. Nie próbowano również dociekać motywu zbrodni. Szczegóły przestępstwa dopiero napływały, jednym z nich była pogłoska, że morderca zostawił narzędzie zbrodni w miejscu, z którego strzelał. Słyszając to, Marten znowu zaczął rozmyślać o doktor Stephenson. Dlaczego w dalszym ciągu nie podano żadnej oficjalnej wiadomości o jej samobójstwie? Czy to możliwe, żeby jej ciało

nadal leżało na chodniku, gdzie strzeliła sobie w głowę, i z jakichś dziwnych powodów do tej pory nie zostało znalezione? Nieprawdopodobne. Przypuszczalnie nie udało się dotąd powiadomić najbliższej rodziny zmarłej albo policja pracowała nad czymś, czego nie chce ujawniać.

— Nicholas Marten? — rozległ się niespodziewanie męski głos za jego plecami.

Nicholas odwrócił się przestraszony. W jego stronę wzdłuż baru szli kobieta i mężczyzna. Oboje byli po czterdziestce, oboje wyglądali na ludzi zmęczonych miastem, mieli czujne spojrzenia i tanie ubrania na sobie. Nie miał najmniejszej wątpliwości, kim byli — gliniarzami z dochodzeniówki.

— Tak — odparł Marten.

— Nazywam się Herbert, ze stołecznej komendy policji. — Pokazał odznakę. — To jest detektyw Monroe.

Herbert był mężczyzną średniego wzrostu, krępy, z brzuszkiem i brązowymi włosami przetykanymi siwizną. Prawie tego samego koloru miał oczy. Detektyw Monroe wyglądała na kilka lat młodszą: wysoka, o szerokiej brodzie, krótko ostrzyżonych blond włosach z pasemkami. Na swój sposób była ładna, ale zbyt twarda i zmęczona, aby można ją było nazwać atrakcyjną kobietą.

— Chcielibyśmy z panem porozmawiać — oznajmił Herbert.

— O czym?

— Czy zna pan doktor Lorraine Stephenson?

— W pewnym sensie. Czemu pan pyta?

Tego właśnie Marten się obawiał — ktoś go widział przed jej domem, może nawet jak za nią biegł, kiedy uciekała ulicą, może słyszał strzał, a potem zauważył, jak odjeżdża, i spisał numery samochodu.

— Dzwonił pan wczoraj do niej kilka razy — odezwała się Monroe.

— Tak — odparł Marten zdumiony.

Ta kobieta popełniła samobójstwo, a oni sprawdzili zapis jej rozmów telefonicznych? No cóż, niewykluczone. Znała sporo ważnych osobistości. Cała sprawa mogła być dużo bardziej skomplikowana, niż sądził, i nie mieć nic wspólnego z Caroline.

— Dość uparczywie pan do niej dzwonił — dodała Monroe.

— Czego pan od niej chciał? — naciskał Herbert.

— Porozmawiać z nią na temat śmierci jednej z jej pacjentek.

— Kogo?

— Caroline Parsons.

Herbert uśmiechnął się półgębkiem.

— Panie Marten, chcielibyśmy, aby przyjechał pan do komendy i złożył zeznania.

— Dlaczego? — zdziwił się Marten.

Jak dotąd nie powiedzieli ani słowa o jej samobójstwie, nic, co mogłoby sugerować, że wiedzą o jego obecności pod domem lekarki.

— Ponieważ doktor Stephenson została zamordowana.

— Zamordowana? — zapytał osłupiały Nicholas.

— Tak.

10

KOMENDA STOŁECZNA DYSTRYKTU KOLUMBII. 16.10

— Co pan robił wczoraj pomiędzy ósmą a dziewiątą godziną? — zapytała spokojnie detektyw Monroe.

— Jeździłem po mieście wynajętym samochodem — odparł gładko Nicholas.

Na swój sposób była to prawda, za to niczego im nie mówiła. Ponadto zwyczajnie nie miał innego alibi.

— Czy ktoś panu towarzyszył?

— Nie.

Herbert pochylił się nad stolikiem w małym pokoju przesłuchań, gdzie obydwaj mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie. Detektyw Monroe stała przy drzwiach.

— Gdzie dokładnie pan jeździł?

— Szczerze mówiąc, nawet za bardzo nie wiem, po prostu się kręciłem. Nie znam tego miasta, mieszkam w Anglii. Caroline Parsons była moją przyjaciółką, jej śmierć bardzo mnie poruszyła. Po prostu czułem potrzebę, żeby być w ruchu.

— Więc jeździł pan po mieście?

— Tak.

— Pojechał pan też do domu doktor Stephenson?

— Nie wiem, gdzie jeździłem. Powiedziałem panu, że nie znam tego miasta.

— Ale trafił pan z powrotem do hotelu.

Herbert zadawał pytania, podczas gdy Monroe w milczeniu obserwowała reakcje Nicholasa.

- Tak, w końcu trafiłem.
- O której godzinie?
- O dziewiątej lub wpół do dziesiątej, nie jestem pewien.
- Obwiniął pan doktor Stephenson o śmierć Caroline Parsons, prawda?
- Nie.

Marten niczego nie rozumiał. Co oni wyprawiali? Każdy gliniarz z wydziału zabójstw odróżniłby morderstwo od samobójstwa, a w każdym razie samobójstwa popełnionego w taki sposób. Do czego oni właściwie zmierzali? Czyżby również sądzili, że Caroline Parsons została zamordowana? A jeśli tak, to czy Stephenson była podejrzana? W takim wypadku to ktoś z policji mógł przejeżdżać koło jej domu. Możliwe, że go zauważyli, jak siedział w samochodzie, jak wyskoczył, żeby ją zagadnąć, kiedy wysiadła z taksówki, i jak ją gonił, kiedy uciekała. Mogą podejrzewać, że miał jakiś związek ze śmiercią Caroline. Jeśli tak, to przez jakiś czas nie będzie mógł się ruszyć z miasta, ale pokazując list od Caroline, w którym upoważniła go do wglądu w jej i męża prywatne sprawy, może tylko pogorszyć swoją sytuację. Dojdą do wniosku, że zmusił ją do napisania tego dokumentu, bo chciał coś zyskać, kiedy umrze — część jej majątku albo jakieś korzyści polityczne, może był w coś zamieszany razem z jej mężem.

Aż za dobrze wiedział, że jeśli policja nabierze podejrzeń co do jego udziału w zamordowaniu Caroline lub doktor Stephenson, oskarżą go o współudział, założą mu kartotekę, pobiorą odciski palców i sprawdzą je w miejscowej bazie danych, w systemie identyfikacji linii papilarnych AFIS, potem w krajowym banku danych, IAFIS, czyli zintegrowanym systemie identyfikacji linii papilarnych. Jednocześnie wyślą pytanie do Interpolu. Prędzej czy później odkryją, że nazywa się John Barron i jest byłym oficerem śledczym, ponieważ jego odciski palców nadal znajdują się w kartotekach policyjnych. Niewiele więcej czasu upłynie, zanim dowiedzą się o nim ludzie z Los Angeles, którzy szukają go po całym świecie i dla których stał się „poszukiwanym pierwszej klasy”, jak go zaklasyfikowali na stronie internetowej gliniarzenaczatach.com, gdzie rozmawiają policjanci z całego świata — w policyjnym żargonie, z policyjnym poczuciem humoru i policyjną mściwością. Stronę tę stworzył człowiek o pseudonimie Spluwacz specjalnie po to, żeby dopaść Johna Barrona. Spluwaczem był stary oficer śledczy z wydziału zabójstw policji Los Angeles, Gene VerMeer, który nienawidził go z całego

serca za to, co się wydarzyło kilka lat temu. Rozesłał wici po całym świecie, aby każdy gliniarz, który go rozpozna, miał go na oku, aż Spluwacz lub ktoś z jego świty zajmie się nim raz na zawsze.

— Skąd pan znał Caroline Parker?

Teraz przyszła kolej na detektyw Monroe. Odeszła od drzwi i oparła się w drugim końcu pokoju o ścianę z wielkim lustrem, które, rzecz jasna, było lustrem tylko z jednej strony, z drugiej zaś umożliwiało obserwację. Nicholas nie miał pojęcia, ile osób go teraz obserwuje.

— Poznaliśmy się dawno temu w Los Angeles — odpowiedział spokojnie, starając się, aby brzmiało to jak najbardziej rzeczowo. — Zaprzyjaźnił się i utrzymywał kontakt przez wiele lat. Znałem bardzo dobrze również jej męża.

— Pieprzył ją pan?

Marten ugryzł się w język. Wiedział, że próbują go sprowokować. Nie miało znaczenia, że powiedziała to kobieta.

— Jak często?

— Nie mieliśmy stosunków seksualnych.

— Nie? — zapytała Monroe z półśmieszkiem.

— Nie.

— O czym chciał pan rozmawiać z doktor Stephenson? — przejął znowu inicjatywę Herbert.

— Już mówiłem. O śmierci Caroline Parsons.

— Po co? Co pan chciał od niej usłyszeć?

— Pani Parsons zachorowała niespodziewanie i choroba postępowała bardzo szybko. Nikt właściwie nie wiedział dokładnie, co się stało. Jej mąż i syn zginęli niedawno w katastrofie lotniczej. Zadzwoiła do mnie do Anglii, była w okropnym stanie psychicznym. Poprosiła mnie, żebym przyleciał do Waszyngtonu i wkrótce po moim przyjeździe zmarła.

— Dlaczego poprosiła pana o przyjazd?

Marten spojrzał gniewnie na Herberta.

— Powiedziałem panu, że byliśmy przyjaciółmi. Pan nie ma nikogo, kto by do pana zadzwonił w takiej sytuacji? Kto chciałby, żeby pan przy nim był w ostatnich chwilach życia?

Nie próbował odgrywać twardego faceta, chciał po prostu, aby wiedzieli, że jest zły, nie z powodu pytań, jakie mu zadawali, ani sposobu przesłuchiwania, tylko żeby widzieli, słyszeli i poczuli, jak głęboki był jego związek z Caroline i jak bardzo prawdziwy.

— A ponieważ doktor Stephenson była jej lekarzem rodzinnym — Monroe podeszła do niego — chciał pan od niej usłyszeć, co się stało.

— Tak.

— Więc dzwonił pan kilka razy, ale nie udało się panu do niej dotrzeć. To pana doprowadziło do wściekłości. Bardzo był pan wściekły?

— Doktor Stephenson oddzwoniła do mnie po kolejnym telefonie.

— I co powiedziała?

— Że informacje, które chcę uzyskać, objęte są tajemnicą zawodową.

— To wszystko?

— Tak.

— I pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem po prostu krążył pan bez celu po mieście, tak? — zapytał z kolei Herbert.

— Tak.

— Sam?

— Tak.

— Gdzie?

— Już mówiłem, że nie wiem.

— Czy ktoś pana widział?

— Tego też nie wiem.

— Czy pan ją zabił? — wypaliła nagle Monroe.

— Nie.

— Jest pan Amerykaninem, ale mieszka pan i pracuje w Anglii — naciskał Herbert.

— Skończyłem studia na wydziale projektowania krajobrazu w Manchesterze. Spodobało mi się w Anglii i postanowiłem tam zamieszkać. Pracuję dla niewielkiej firmy Fitzsimmons and Justice, gdzie projektuję tereny zielone. Mam brytyjski paszport i uważam się za emigranta.

Herbert podniósł się od stołu. Marten zauważył, jak wymieniają z Monroe spojrzenia. Przestraszył się nie na żarty. Zrozumiał, co ono oznaczało. Nie dlatego go tu ściągnęli, że wątpili, aby śmierć Caroline nastąpiła z przyczyn naturalnych; nie dlatego też, że ktoś go widział, jak gonił za doktor Stephenson chwilę przedtem, zanim popełniła samobójstwo. Nie, przesłuchiwali go wyłącznie z powodu jego telefonów do lekarki, a to mogło znaczyć tylko jedno: nie mieli najmniejszych wątpliwości, że doktor Stephenson została zamordowana. Ale to przecież niemożliwe. Stał dokładnie naprzeciwko niej, kiedy się zastrzeliła, więc jak śledczy z wydziału zabójstw mogli podejrzewać przestępstwo?

Było tylko jedno możliwe wyjaśnienie: wkrótce po jego odejściu ktoś zajął się jej zwłokami i upozorował morderstwo. Może zabrał jej broń, a potem strzelił prosto w twarz z pistoletu większego kalibru. Usunął w ten sposób dowód samobójstwa, a policjanci i koroner nie mieli powodu podejrzewać, że to nie było morderstwo. Tylko po co ktoś miałby zrobić coś takiego? Zapewne dlatego, że motyw samobójstwa kobiety zajmującej taką pozycję jak doktor Stephenson mógł być badany dużo skrupulatniej niż morderstwo.

Marten popatrzył na Herberta i Monroe. Miał chęć ich wypytać, jak wyglądały zwłoki, kiedy je znalazła policja, ale brakowało mu odwagi. Wyglądało na to, że na razie poruszają się w tej sprawie całkowicie na oślep. Nie mają też punktu zaczepienia, aby go zatrzymać, a jeśli zacznie wykazywać nadmierną ciekawość, znowu ściągnie na siebie podejrzania. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego go interesuje, w jakim stanie były zwłoki, i całe przesłuchanie zacznie się na nowo.

— Chyba odpowiedziałem na państwa pytania — powiedział grzecznie. — Więc jeśli nie mają państwo nic przeciwko, chciałbym już iść.

Herbert przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jakby szukał czegoś, co przeoczył. Nicholas wstrzymał oddech. Przestraszył się, że teraz zdejmną mu odciski palców, tak na wszelki wypadek, aby się upewnić, że nie był notowany.

— Jak długo zamierza pan zostać w Waszyngtonie, panie Marten? — zapytał w końcu Herbert.

— Jutro jest pogrzeb Caroline Parsons. Nie wiem, co potem zrobię.

Niespodziewanie Herbert wręczył mu swoją wizytówkę.

— Proszę, żeby skontaktował się pan ze mną, zanim wyjedzie pan z miasta. Rozumie pan?

— Tak.

Próbował nie pokazać po sobie ulgi. Na razie dali mu spokój. Monroe podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Dziękujemy panu za współpracę, panie Marten. Na lewo i na dół po schodach.

— Dziękuję — odparł Nicholas. — Przykro mi, że nie mogłem bardziej pomóc.

Szybko wyszedł z pokoju, skręcił w lewo i ruszył do schodów.

ŚRODA

5 kwietnia

NIEMCY; BERLIN. 10.45

Zamknęły się opancerzone drzwi prezydenckiej limuzyny, agent Secret Service wrzucił bieg i samochód wiozący prezydenta Stanów Zjednoczonych, Johna Henry'ego Harrisa, ruszył powoli spod Urzędu Kanclerza Niemiec, zostawiając za sobą kanclerz Annę Bohlen razem z gęstym tłumkiem przedstawicieli światowych mediów.

Poprzedniego wieczora prezydent Harris i Anna Bohlen uczestniczyli w koncercie Berlińskiej Orkiestry Symfonicznej, a dzisiaj rano w towarzystwie grupy doradców w serdecznej atmosferze zjedli razem śniadanie, na którym omawiano zagadnienia polityki międzynarodowej oraz wieloletni sojusz pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Niemcami. Po śniadaniu stroszyli piórka przed mediami, uścisnęli sobie ręce i Harris odjechał. Wizyta miała niemal taki sam przebieg, jak ta w Pałacu Elizejskim sprzed dwudziestu czterech godzin. Na obydwu spotkaniach prezydent miał nadzieję uczynić pierwszy krok na drodze łagodzenia napiętych stosunków, jakie utrzymywały się od czasu, gdy obydwa kraje odmówiły w ONZ poparcia dla amerykańskiej inwazji na Irak.

Pomimo jednak całej serdeczności i pozorów dobrej woli niczego albo prawie niczego nie osiągnięto na żadnym ze spotkań, tak więc prezydent Harris był wyraźnie rozdrażniony. Jake Lowe, jego zażywny pięćdziesięciosiedmioletni przyjaciel i główny polityczny doradca, który siedział obok niego i czytał jakąś wiadomość w wieloczynnościowym telefonie BlackBerry, wiedział o tym doskonale.

— Nikt z nas nie może sobie pozwolić, aby ten przeklęty rozdźwięk się przeciągał — odezwał się niespodziewanie Harris. — Publicznie na wszystko

się zgadzają, ale w rzeczywistości żadne z nich nie zrobi nawet najmniejszego gestu w naszą stronę. Żadne.

— To trudna droga, panie prezydencie — odparł cicho Lowe. Prezydent często zamykał się w sobie, co było u niego typowe, ale każdy, kto go znał tak blisko jak Jake Lowe, wiedział, że czasami musi z kimś przedyskutować jakąś sprawę, zwykle kiedy w swoich rozmyślaniach zabrnął w ślepy zaułek. — I nie jestem pewien, czy jej koniec może wszystkich zadowolić. Już kiedyś panu mówiłem i powtarzam to jeszcze raz: nie po raz pierwszy w historii niewłaściwi ludzie znaleźli się na niewłaściwych miejscach w niewłaściwym czasie. W takiej sytuacji jedynym wyjściem jest zmiana reżimu.

— No cóż, te reżimy się nie zmieniają. A my nie możemy czekać na następną. Potrzebujemy poparcia wszystkich tu i teraz, jeśli mamy doprowadzić jakoś do ładu ten bajzel na Bliskim Wschodzie. Ty to wiesz, ja to wiem i cała reszta świata też to wie.

— Poza Francuzami i Niemcami.

Prezydent Harris oparł się na siedzeniu i próbował zrelaksować. Na próżno. Był zły i sfrustrowany, a kiedy wpadał w taki stan, przejawiało się to w każdym jego słowie.

— Oboje zatwardziali, twardogłowi... Będą niby współpracować, ale kiedy przyjdzie co do czego, staną dęba i wystawią nas do wiatru, klaszcząc w ręce ze złośliwą satysfakcją. Przecież musi być jakiś sposób, żeby ich przekabacić. Problem polega na tym, że nie mam pojęcia, jak to zrobić. A po wczorajszym i dzisiejszym dniu nie wiem nawet, jak się do tego zabrać.

To powiedziawszy, odwrócił się raptownie do okna. Prezydencka kawalkada jechała przez trzykilometrowy park Tiergarten, a potem drogą w stronę Kurfürstendamm, najmodniejszego miejsca zakupów w Berlinie.

Kawalkada była ogromna. Otwierało ją trzydziestu policjantów na motocyklach, za nimi jechały dwa SUV-y prezydenckiej ochrony, a następnie trzy identyczne limuzyny, aby nikt nie wiedział, w której siedzi prezydent. Od tyłu osłaniało ich jeszcze osiem samochodów Secret Service, ambulans i dwa wany — jeden z grupą akredytowanych dziennikarzy, drugi z bagażami prezydenta. Kawalkadę zamykało trzydziestu policjantów na motocyklach.

Od kiedy opuścili siedzibę kanclerza, na każdej ulicy wzdłuż trasy przejazdu gromadziły się tłumy ludzi, jak gdyby pół Berlina wyległo, aby zobaczyć przejeżdżającą limuzynę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niektórzy

wiwatowali i wymachiwali małymi amerykańskimi flagami, inni gwizdali, potrząsali pięściami i krzyczeli gniewnie. Jeszcze inni trzymali transparenty z hasłami: WYNOCHA Z BLISKIEGO WSCHODU! HERR PRÄSIDENT, GEHEN NACH HAUSE, HARRIS DO DOMU! KONIEC Z PRZELEWANIEM KRWI ZA ROPE! Na jednym transparentie widniał po prostu napis: JOHN, PROSIMY, ROZMAWIAJ. Wiele osób tylko stało i patrzyło, jak przed ich oczami przejeżdża gigantyczna kawalkada z przywódcą jedyne go supermocarstwa świata.

— Zastanawiam się, co bym myślał, gdybym był Niemcem, stał tam na ulicy i patrzył, jak przejeżdżamy — odezwał się Harris, obserwując tłumy. — Czego bym chciał od Stanów Zjednoczonych? Co bym myślał o naszych intencjach?

Odrzucił się do Lowe'a, jednego ze swoich przyjaciół i zarazem najbliższego doradcy, którego znał od czasu, gdy po raz pierwszy przystąpił do wyborów senackich w Kalifornii.

— Co byś myślał, Jake? Co byś myślał, gdybyś był jednym z nich?

— Prawdopodobnie...

Wypowiedź Lowe'a przerwał dźwięk jego blackberry, informujący o połączeniu z sekretarzem generalnym, Tomem Curranem, który czekał, aż prezydent wsiądzie na pokład Air Force One na lotnisku Tegel.

— Słucham, Tom — powiedział do mikrofonu połączonego ze słuchawkami. — Co takiego? Kiedy?... Spróbuj dowiedzieć się jak najwięcej, będziemy na pokładzie za dwadzieścia minut.

— O co chodzi? — spytał prezydent.

— Wczoraj w nocy znaleziono zwłoki doktor Stephenson, lekarki rodzinnej Caroline Parsons. Została zamordowana. Policja nie ujawniła na razie tej informacji dla dobra śledztwa.

— Zamordowana?

— Tak.

— Dobry Boże. — Prezydent odwrócił wzrok. — Najpierw Mike, jego syn, potem Caroline, a teraz jej lekarka? — powiedział i spojrzał znowu na Lowe'a. — Wszyscy nie żyją w ciągu tak krótkiego czasu. Co tu się dzieje?

— Tragiczny zbieg okoliczności, panie prezydencie.

— Czyżby?

— A cóż innego?

BERLIN; HOTEL BOULEVARD, KURFÜRSTENDAMM 12. 11.05

— Victorze.

— Tak, Richardzie. Słyszę cię.

— Stoisz przy oknie?

— Tak, Richardzie.

— Co widzisz?

— Ulicę. Przy krawężnikach tłoczą się ludzie. Po drugiej stronie stoi wielki kościół. To kościół-pomnik ku czci cesarza Wilhelma. Tak przynajmniej powiedział portier, kiedy mnie wprowadzał do pokoju. Czemu pytasz, Richardzie?

— Chciałem się tylko upewnić, czy dali ci w hotelu właściwy pokój, to wszystko.

— Tak, Richardzie, pokój wygląda dokładnie tak, jak zażądałem. Postępowałem zgodnie z twoimi wskazówkami, co do joty.

Victor nie miał już na sobie szarego garnituru, który nosił w Waszyngtonie. Tym razem ubrany był w luźne jasnobrązowe spodnie i granatowy rozpinany sweter. Nadal wyglądał jak nijaki mężczyzna w średnim wieku, tylko nabrał teraz nieco cech intelektualisty. Mógłby uchodzić za profesora z college'u lub nauczyciela z liceum. W każdym razie nadal nic by go nie wyróżniało z tłumu.

— Wiem o tym, Victorze. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Konwój prezydencki skręcił właśnie w Kurfürstendamm. Za — przerwał na moment, po czym ciągnął: — czterdzieści sekund pojawi się w polu widzenia i przejeździe pod twoim oknem. Prezydent siedzi w trzeciej limuzynie, po twojej stronie, na tylnym siedzeniu przy lewym oknie. Nie będziesz mógł go zobaczyć przez ciemne szyby samochodu, ale jest tam na pewno. Chcę, żebyś mi powiedział, ile czasu zajmuje limuzynom przejazd tym odcinkiem drogi i czy z tego miejsca, gdzie stoisz, miałbyś czysty strzał.

— Prezydenckie limuzyny mają szyby kuloodporne.

— Wiem o tym, Victorze. Nie musisz sobie zaprzętać tym głowy. Chcę tylko, żebyś zmierzył czas przejazdu samochodów i ocenił, czy wystarczyłoby ci go, aby oddać z tego miejsca pewny strzał.

— Rozumiem, Richardzie.

Prezydent Harris niewidzącym wzrokiem patrzył przez okno limuzyny na tłum, przez który przejeżdżał jego konwój. Myślał o swoim sekretarzu obrony, Terrensie Langdonie, który brał udział w spotkaniu ministrów obrony państw członkowskich NATO na południu Francji. Ogólnie rzecz biorąc, Langdon przekazywał swoim partnerom tę samą wiadomość, co dzień wcześniej sekretarz stanu, David Chaplin, dwudziestu pięciu reprezentantom krajów NATO na śniadaniu roboczym w Brukseli: że Stany Zjednoczone sygnalizują gotowość do ściślejszej współpracy ze swoimi sojusznikami, o czym poprzednia administracja pod przywództwem prezydenta Charlesa Cabota nie chciała nawet słyszeć.

W przemowie do Kongresu przed wyjazdem z Waszyngtonu Harris obiecał, że nie zamierza wrócić z tej długiej podróży i licznych spotkań z przywódcami państw europejskich „z pustymi rękami”, i pomimo niepowodzeń w Paryżu i Berlinie nie chciał się poddawać. Miał teraz zamiar skupić się na następnym etapie swojej podróży: Rzymie i dzisiejszej kolacji z włoskim prezydentem, Mariem Tontim, którego funkcja była wprawdzie w znacznym stopniu reprezentacyjna, ale który miał za zadanie jednoczyć frakcje i odłamy polityczne w kraju, a to czyniło zeń ważnego strategicznie sojusznika.

Harris uważał Włochów za przyjaciół, a zarówno w prezydencie, jak i premierze tego kraju widział ludzi, na których mógł polegać. Tonti jednak bez wątpienia dowie się, że spotkania w Paryżu i Berlinie nie przyniosły rezultatu, którego oczekiwał Harris. Przez to fiasko atmosfera na ich spotkaniu stanie się niezręczna, ponieważ Włochy są częścią Unii Europejskiej, a dalekosiędnym celem Unii Europejskiej jest zostać Stanami Zjednoczonymi Europy i fakt ten zawsze należało brać pod uwagę, bez względu na oficjalne stanowisko jej poszczególnych członków. Tak więc w chwili obecnej powinien starannie przemyśleć, jakie stanowisko zająć wobec Maria Tontiego, co powiedzieć i jak. Tymczasem, czy to wskutek zmęczenia podróżami, czy porażek poniesionych na wczorajszym i dzisiejszym spotkaniu, a może miała rolę odgrywały tu emocje — w każdym razie jego myśli krążyły głównie wokół tragicznej śmierci rodziny Parsonsów oraz morderstwa Lorraine Stephenson, osobistej lekarki Caroline Parsons. Niespodziewanie odwrócił się do Jake'a Lowe'a.

— Ten człowiek, którego spotkaliśmy w szpitalu u Caroline Parsons, kiedy zmarła... Czego się o nim dowiedzieliśmy?

Widział tłumy zebrane przy krawężnikach przed kościołem cesarza Wilhelma.

— Nie wiem, nie sprawdzałem To nie było pilne.

Lowe wstukał jakieś hasło w swój blackberry i czekał, aż informacja wyświetli się w formie tekstu.

Prezydent spojrział w lewo na ludzi zgromadzonych przed hotelem Boulevard.

— Nazywa się Nicholas Marten — przeczytał na głos Lowe. — Jest amerykańskim emigrantem. Mieszka w Manchesterze w Anglii, pracuje dla małej firmy projektującej tereny zielone, Fitzsimmons and Justice. — Przerwał i czytał coś dalej w milczeniu. Po chwili spojrział na prezydenta. — Z jakiegoś powodu pani Parsons podpisała akt notarialny dający mu prawo dostępu po prywatnych dokumentów jej i jej męża.

— Obojga?

— Tak.

— Dlaczego?

— Niestety, nie znam odpowiedzi na to pytanie.

— To spróbuj ją znaleźć. Ta cała sprawa coraz bardziej nie daje mi spokoju.

Victor odwrócił się od swojego posterunku w oknie hotelowego pokoju.

— Richardzie.

— Słucham, Victorze.

— Konwój przejechał. Trwało to siedem sekund. Widziałem okno limuzyny bardzo wyraźnie. Miałbym wygodną pozycję do czystego strzału przez trzy, cztery sekundy.

— Jesteś pewien?

— Tak, Richardzie.

— Czy to wystarczająca ilość czasu na oddanie śmiertelnego strzału?

— Przy odpowiedniej amunicji tak.

— Dziękuję, Victorze.

13

WASZYNGTON. 7.10

Nicholas Marten włączył telewizor na kanał z lokalnymi wiadomościami, kiedy tylko wstał z łóżka, czyli przed półgodziną. Liczył, że usłyszy

coś na temat morderstwa doktor Stephenson, do tej pory jednak nie padło na ten temat ani jedno słowo, co wprawilo go w jeszcze większe zdziwienie, bo policja tak skutecznie utrzymywała tę informację w tajemnicy, że żaden wścibski dziennikarz jeszcze jej nie odkrył i nie puścił w eter.

Podkreślił dźwięk, wziął szybki prysznic i zaczął się golić. Spomiędzy wiadomości, relacji o ruchu drogowym i prognozy pogody wyłowil informację, że mężczyzną zastrzelonym wczoraj przez snajpera na dworcu Union Station był obywatel Kolumbii przebywający w Stanach Zjednoczonych legalnie jako zawodnik drużyny baseballowej Trenton Thunder, podrzędnego zespołu stowarzyszonego z New York Yankees. Według nieujawnionego źródła policja znalazła broń, z której zastrzelono ofiarę, w wynajętym biurze Muzeum Poczty naprzeciwko stacji kolejowej. Bronią tą był M14, standardowy karabin ćwiczebny amerykańskich sił zbrojnych, produkowany w setkach tysięcy sztuk przez liczne zakłady zbrojeniowe w kraju.

Wyglądało to na dość dziwne morderstwo — „zamach” na kolumbijskiego baseballistę — ale ponieważ nic więcej ciekawego w tej wiadomości Nicholas nie znalazł, wrócił do golenia, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób mógłby dostać się do kartoteki medycznej Caroline. Bez żadnego szczególnego powodu przypomniał sobie, co mu powiedziała w szpitalu, kiedy ścisnęła go za rękę i patrząc w oczy, wymamrotała: „Zamordowali mojego męża i syna... a teraz zabili... mnie”. „O kim mówisz? Kim są oni? — zapytał. „Ko...” — zaczęła, ale niczego więcej nie zdołała wykrztusić, bo siły ją opuściły, i zapadła w sen. Potem ocknęła się na krótką chwilę, powiedziała, że go kocha, i umarła.

Poczuł, jak dławi go wzruszenie, dłuższą chwilę potrwało, zanim wziął się w garść i wrócił do golenia. Kiedy skończył, poszedł do pokoju z mocnym postanowieniem, żeby wyrwać się z tego rozdzierającego smutku, który go ścisnął za gardło, i zająć się najważniejszą sprawą.

— „Ko...” — powiedział na głos. — Co za „ko...”? Co ona próbowała mi powiedzieć?

Przypomniał sobie te kilka krótkich chwil, które spędził w domu Caroline, zanim prawnik kazał mu wyjść. Co tam było? Czy widział coś, choćby przez krótką chwilę, co mogło wyjaśnić te niedokończone słowa Caroline? Wychodząc, przeszedł przez kilka pomieszczeń i zwrócił uwagę na przytulną atmosferę, w której wyczuwało się rękę Caroline. Poza tym zdążył obejrzeć tylko gabinet jej męża. Czy przez ten krótki czas mógł tam coś zobaczyć?

Fotografie Parsonsów, Mike'a w towarzystwie różnych znanych osobistości. Poza tym na biurku leżały sterty dokumentów, nad którymi pracował, na stoliku obok również. Pamiętał, że te ostatnie były podpisane: RAPORTY KOMISJI I PROTOKOŁY. I to wszystko. Nic więcej.

Sfrustrowany wciągnął spodnie i przysiadł na brzegu łóżka, żeby włożyć buty. Nagle uderzyła go myśl, aż wyprostował się gwałtownie.

— Raporty komisji i protokoły — powiedział na głos. — Komisje. Komisje.

Może chciała powiedzieć, że ktoś z komisji, w której zasiadał jej mąż, ponosił winę za ich śmierć? Tylko że nie powiedziała „ktoś”. Mówiła „oni”, więc gdyby Nicholas miał rację i chodziło o jakąś komisję, to musiałyby mieć na myśli kilka osób albo wręcz całą grupę. A jak mogła cała komisja Kongresu być zamieszana w skomplikowane morderstwo trzech osób, nie wspominając już o innych niewinnych osobach, które leciały z Parsonsami wyczarterowanym samolotem? To był obłąkany pomysł, ale na razie Nicholas nie miał żadnej innej koncepcji.

Według jego zegarka było tuż po wpół do ósmej. O drugiej rozpocznie się msza za Caroline w kościele prezbiteriańskim. Ma trochę ponad sześć godzin, żeby przejrzeć ostatnie poczynania Mike'a Parsonsa w Kongresie i znaleźć jakąś odpowiedź lub przynajmniej jej załączek.

Marten otworzył swojego laptopa, włączył i wszedł do wyszukiwarki Google. Wpisał „kongresman Michael Parsons” i wcisnął „enter”. Na monitorze wyświetliła się oficjalna kongresowa strona męża Caroline. Nicholas odetchnął z ulgą. Dobrze, że nazwisko Mike'a nadal znajdowało się w rządowej bazie danych. Na górze strony widniała informacja: Kongresman Michael Parsons, reprezentant siedemnastego okręgu wyborczego Kalifornii: Monterey, San Benito, Santa Cruz.

Poniżej wyszczególniono adresy biur Mike'a w Waszyngtonie i Kalifornii oraz linki do komisji, których był członkiem. Marten kliknął i przed oczami wyświetliła mu się lista.

Komisja Rolnictwa
Komisja do spraw Drobnej Przedsiębiorczości
Komisja Budżetowa

Komisja do spraw Przyznawania Funduszy
Komisja Bezpieczeństwa Narodowego
Komisja Reform Rządowych Stała Izbowa
Komisja do spraw Wywiadu

W ramach powyższych komisji Parsons działał również w kilku podkomisjach. Jedną z nich szczególnie zwróciła uwagę Nicholasa — ta, w której pracował w tym czasie, kiedy doszło do katastrofy jego samolotu.

Podkomisja do spraw Wywiadu i Antyterroryzmu

Mike i jego syn zginęli w piątek dziesiątego marca. Ostatnie spotkanie podkomisji odbyło się we wtorek siódmego marca o drugiej po południu. Przedmiotem obrad, które toczyły się w budynku Rayburn House Office, były „Postępy w zestawianiu wyników obserwacji działań terrorystycznych”. Pod spodem widniał spis nazwisk uczestników. Co dziwne, w przeciwieństwie do innych spotkań kongresowych, o tym nie podano żadnych dodatkowych informacji, jak choćby listy przesłuchiwanego świadków. Marten sprawdził kilkanaście innych rządowych stron, ale niczego więcej nie uzyskał. Był przekonany, że gdzieś tam na pewno są jakieś informacje na ten temat, tylko on nie umie się poruszać po labiryncie rządowej sieci. Mimo to nękał go fakt, że spotkanie komisji i śmierć Parsonsa nastąpiły w tak krótkim czasie, a o obradach brak w Internecie dostępnych informacji. Pragnął się dowiedzieć czegoś więcej, tylko nie wiedział jak.

Prawnik Caroline, Richard Tyler, mógłby mu zapewne pomóc, gdyby ktoś w jego firmie nie interweniował i nie odciął Nicholasowi dostępu do prywatnych dokumentów Parsonów. Znaczyło to, że nie może oczekiwać z tej strony pomocy, a jeśli będzie próbował, wzbudzi podejrzenia. Gdyby przeciągnął strunę, mógłby się narazić na niebezpieczeństwo lub na kolejną wizytę policji, a nie życzył sobie ani jednego, ani drugiego.

Liczył się również czas. Jego firma w Anglii, Fitzsimmons and Justice, poszła mu na rękę, aby mógł pojechać do Stanów i zająć się sprawą Caroline. Nicholas pracował jednak nad dużym przedsięwzięciem o nazwie Projekt Banfielda. Zlecił go w swoim podmiejskim majątku, leżącym na północny zachód od Manchesteru, piłkarz Manchesteru United, Ronaldo Banfield. Mie-li już opóźnienie w realizacji projektu, a musieli go zamknąć przed końcem

maja, tak aby mogły się tam rozpocząć konkretne prace — zamawianie materiałów, kształtowanie terenu, instalacja systemu nawadniającego i wreszcie sadzenie roślin. Oznaczało to, że cokolwiek miał do zrobienia w Waszyngtonie, musiał to zrobić i zakończyć bardzo szybko.

Wstając, zastanawiał się, czy w archiwum Kapitolu udałoby mu się uzyskać odpowiedzi na niektóre pytania. Już sięgał po telefon, aby zadzwonić do recepcji po wskazówki, kiedy jego wzrok padł na gazetę „Washington Post” leżącą na stoliku nocnym. Przypomniał sobie, że kilka lat temu jego najlepszy przyjaciel, Dan Ford, pracował w waszyngtońskim oddziale „Los Angeles Timesa”, zanim przeniesiono go do Paryża, gdzie zginął zamordowany przez Raymonda Olivera Thorne’a. W Waszyngtonie Ford poznał wielu dziennikarzy z innych gazet. Z jednym był w bardzo dobrych stosunkach, ale Marten nie pamiętał jego nazwiska, wiedział tylko, że zajmował się działem politycznym „Washington Post”. Nie miał pojęcia, czy człowiek ten nadal tam pracował, ale może jeśli przejrzy artykuły i autorów, rozpozna jego nazwisko.

Nie potrzebował nawet wiele czasu, zobaczył je od razu na pierwszej stronie, na samym początku artykułu o podróży prezydenta Harrisa do Europy „Prezydent na wyboistych drogach za oceanem”. Dziennikarz nazywał się Peter Fadden.

14

— Peter Fadden, słucham.

Głos po drugiej stronie słuchawki był chrapliwy i szorstki jak niewygarbowana skóra. Nicholas spodziewał się usłyszeć młodszego mężczyznę. Sądząc po głosie, Fadden sprawiał wrażenie siedemdziesięcioletka, ale takiego, który w ciemnym zaułku potrafiłby sprać trzydziestoletniego faceta na kwaśne jabłko albo iść z nim w zawody w picie. Czuło się, że miał Waszyngton we krwi, i to Waszyngton co najmniej od czasów Eisenhowera.

— Nazywam się Nicholas Marten. Byłem przyjacielem Dana Forda, a także Caroline Parsons i jej męża. Chciałbym z panem porozmawiać w cztery oczy, jeśli to możliwe.

— Kiedy? — szczerknął w odpowiedzi Fadden.

Żadnego „po co” ani „dlaczego”, tylko od razu to suche „kiedy”.

— Jak najszybciej, dzisiaj, rano, natychmiast. Po południu jadę na pogrzeb Caroline Parsons. Możemy się również spotkać po mszy. Może pójdziemy na drinka lub obiad, jeśli ma pan ochotę. Teraz nadeszła pora:

— Dlaczego?

— Próbuję się dowiedzieć, nad czym pracował w Kongresie Mike Parsons, kiedy zginął w katastrofie lotniczej.

— To informacja ogólnie dostępna. Może pan to sobie sprawdzić.

— Część z nich jest dostępna, ale nie wszystkie. Potrzebuję pomocy w zdobyciu szczegółowych wiadomości.

— To proszę wynająć nauczyciela liceum.

— Panie Fadden, to może być dla pana interesujący materiał. Nie jestem pewien. Wyjaśnię to, kiedy się spotkamy. Bardzo proszę.

Nastąpiła długa chwila ciszy i Nicholas zaczął się już obawiać, że Fadden go spławi. Aż nagle ten sam szorstki głos warknął w słuchawkę.

— Powiedział pan, że znał Dana Forda.

— Tak.

— Przyjaźniliście się?

— Tak. Od dziecka. Mieszkałem u niego w Paryżu, kiedy został zamordowany.

Znowu zapadła cisza, po czym Fadden powiedział tylko:

— Dobrze.

15

SAMOLOT AIR FORCE ONE; LOT NAD POŁUDNIOWYMI NIEMCAMI. 14.15

Wywiad dla głównej korespondentki CNN w Europie, Gabrielli Roche, był zaplanowany od dawna i prezydent Harris przesiedział z nią pierwsze pół godziny lotu z Berlina do Rzymu. Start opóźnił się o trzydzieści siedem minut, co berlińscy kontrolerzy lotów tłumaczyli dużym ruchem na lotnisku Tegel, a co Lowe wyjaśnił po cichu Harrisowi jako nic więcej niż „ucieranie nam nosa” przez kanclerz Annę Bohlen.

— To sposób, żeby dać panu do zrozumienia, co naprawdę myśli.

— Doskonale wiem, co ona naprawdę myśli, do diabła — powiedział Harris. — Ale potrzebujemy jej, więc nie wydaje mi się, abyśmy mogli zrobić coś innego poza zignorowaniem tej sprawy.

A co by było, panie prezydencie, gdybyśmy potrzebowali jej natychmiast? — zapytał szybko Lowe.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Lowe zaczął odpowiadać, ale wtedy wtrącił się sekretarz generalny, niezmienne mający na uwadze plan podróży, i poinformował, że czas na wywiad z dziennikarką CNN, Gabriellą Roche.

Pół godziny później wywiad był skończony. Harris pożartował z reporterką i jej kolegami kamerzystami, podziękował im i poszedł prosto do sali konferencyjnej, gdzie czekał na niego Jake Lowe razem z Jamesem Marshalllem, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, który przyleciał do Berlina z Waszyngtonu i dołączył do nich w samolocie.

Harris zamknął drzwi, potem zdjął marynarkę i popatrzył na Lowe'a.

— Co miałeś na myśli, mówiąc: „Co by było, gdybyśmy potrzebowali jej natychmiast?” — spytał, jakby ich poprzednia krótka wymiana zdań w ogóle nie została przerwana i nie było w tym czasie żadnego wywiadu.

— Niech doktor Marshall panu odpowie.

Marshall usiadł naprzeciwko prezydenta.

— Żyjemy w jednym z najbardziej niespokojnych okresów w historii, przypuszczalnie groźniejszym niż szczyt zimnej wojny. Ostatnimi czasy coraz bardziej zaprzęta mnie i martwi nasz brak gotowości do szybkiego i stanowczego działania w sytuacji nagłego zagrożenia.

— Nie jestem pewien, czy pana rozumiem — rzekł Harris.

— Przypuśćmy, że coś by się wydarzyło w ciągu najbliższych kilku godzin i musielibyśmy podjąć natychmiastowe i radykalne działania w jakimś rejonie świata. Potrzebowalibyśmy głosów Francji i Niemiec, popierających nas w ONZ, i potrzebowałibyśmy ich natychmiast, a wie pan z własnego doświadczenia, że w obecnej sytuacji jest mało prawdopodobne, byśmy takie poparcie otrzymali. Zabawmy się w małe gdybanie, panie prezydencie. Zapomnijmy na chwilę o polityce globalnej na Bliskim Wschodzie. Zapomnijmy o Iraku, Izraelu, Palestynie, Libanie, nawet o Iranie. To będzie prostsze, ale głębsze gdybanie. Przypuśćmy, że al Kaida albo jakaś inna grupa fanatyków dżihadu, a są ich setki, zaatakowały Arabię Saudyjską dzisiaj o północy. Do świtu zdążyliby zabić całą saudyjską rodzinę królewską. Rząd by upadł, doszłoby do wybuchu fundamentalistycznych nastrojów. Ugrupowania o umiarkowanych poglądach stopniałyby w gniewu oka i albo zostałyby wycięte w pień, albo przyłączyły się do religijnej pożogi, która rozprzestrzeniłaby się po całym Bliskim Wschodzie. W ciągu kilku godzin upadłby Kuwejt, potem Irak i Iran, Syria, i prawdopodobnie Jordania. W

niespełna trzydzieści sześć godzin a! Kaida kontrolowałaby wszystko, skończyłyby się dostawy ropy na zachód. Co wtedy?

— Co rozumiesz przez „Co wtedy?”. — Prezydent patrzył prosto na swojego doradcę. — Czy to zabawa w gdybanie, czy dostałeś jakieś informacje od wywiadu i istnieje realne zagrożenie? Przestań mi tu pieprzyć, Jim, dobrze? Jeśli coś się dzieje, to chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Marshall zerknął na Lowe'a, po czym odwrócił się z powrotem do prezydenta.

— To jest, panie prezydencie, bardzo prawdopodobny scenariusz, który należy wziąć pod uwagę. Gdyby coś takiego się zdarzyło, nie potrafilibyśmy zareagować szybko i z odpowiednią siłą, aby powstrzymać atak. Jedynym wyjściem mogłaby być odpowiedź nuklearna. Nie mielibyśmy czasu, aby przedyskutować odpowiedź z Radą Bezpieczeństwa. W takiej sytuacji wszyscy nasi sojusznicy z NATO powinni być już na nogach, nadawać na tych samych falach i w ciągu kilku godzin wykonać odpowiednie ruchy. To oznacza, że musimy wiedzieć zawczasu, czy każdy kraj członkowski popiera nas w stu procentach. Tymczasem Niemcy mogą nie wejść do Rady Bezpieczeństwa, chociaż biorąc pod uwagę ich wpływy, prawdopodobnie wejdą.

— Jim chce powiedzieć, panie prezydencie — wtrącił się cicho Lowe — że potrzebne są nam pewne porozumienia, które zagwarantują Ameryce natychmiastowe, stałe i niekwestionowane poparcie w ONZ. A jak już wcześniej mówiłem, w chwili obecnej nie możemy liczyć na takie poparcie.

Prezydent Harris patrzył to na jednego mężczyznę, to na drugiego. Znał obu od lat, należeli do ścisłego grona jego współpracowników, przyjaciół i zaufanych doradców. Usiłowali mu wytłumaczyć znaczenie i skomplikowane konsekwencje ostatnich spotkań z przywódcami Francji i Niemiec. Co więcej, nie tylko tych dwóch państw będą potrzebowali, ale również Rosji i Chin. Wszyscy doskonale wiedzieli, że jeśli u ich boku staną Francja i Niemcy, szczególnie gdy sprawa dotyczy Bliskiego Wschodu, Rosjanie zrobią to samo. I Chińczycy także.

Chłopaki — powiedział poufale, jak zwykle to czynić w gronie przyjaciół. — Ten obraz, który mi naszkicowaliście, może się okazać całkiem werny i niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdyby tak miało być. Nie wierzę jednak, że Francuzi i Niemcy na własny użytek nie rozważali takich wersji wydarzeń, a także swoich ewentualnych reakcji. Gwarantuję, że nie biorą

nawet pod uwagę możliwości, by nagle porzucić swoje wcześniejsze stanowisko i bez dokładnych analiz wywiadowczych z dnia na dzień dać nam wolną rękę.

— Ale mogłoby się tak zdarzyć — zauważył doktor Marshall, składając dłonie na kolanach.

— Nie rozumiem.

— Załóżmy, że na czele obydwu krajów stanęliby ludzie, którzy jednak mogliby nam dać wolną rękę.

Prezydent uniósł brwi.

— A cóż to, u diabła, ma znaczyć?

— Nie spodoba ci się to.

— Sprawdź mnie.

— Fizyczna eliminacja ze stanowiska aktualnego prezydenta Francji i kanclerza Niemiec.

— Fizyczna eliminacja?

— Mówię o zamachu, panie prezydencie. Na obydwu przywódców. Aby zastąpić ich ludźmi, na których będziemy mogli polegać, teraz i w przyszłości.

Harris patrzył na niego niepewnie, po czym powoli się uśmiechnął. To był żart, na pewno.

— Chłopaki, o co wam chodzi? Tworzycie gry strategiczne czy co? Symulować niebezpieczną sytuację, znaleźć wicherzycieli, którzy nie chcą współpracować, nacisnąć guzik „zamach stanu” i na ich miejsce wprowadzić, kogo się chce. I w ten sposób napisać własne zakończenie?

— To nie jest gra, panie prezydencie. — Marshall nie spuszczał oczu z twarzy Harrisa. — Jestem śmiertelnie poważny. Usuńmy z drogi Geroux i Bohlen i dopilnujmy, aby na ich miejsce wybrano odpowiedniejszych ludzi.

Prezydent oniemiał.

— Tak po prostu?

— Tak.

Przeniósł wzrok na Jake'a Lowe'a.

— Podejrzewam, że się z nim zgadzasz?

— Tak, panie prezydencie. Zgadzam się.

Przez dłuższą chwilę Harris stał ośpiały, kiedy powoli docierało do niego znaczenie tego, co usłyszał. Nagle zapłonął gniewem.

— Coś wam powiem, chłopaki. Nie pozwolę, żeby coś takiego wydarzyło się na mojej wachcie. Po pierwsze, ponieważ pod żadnym pozorem nie zgodzę się na udział w morderstwie. Po drugie, ponieważ zamach stanu jest zakazany przez prawo, a ja przysięgałem stać na jego straży. Poza tym, nawet

gdybyście postawili na swoim i przeprowadzili skrytobójczą akcję, to co właściwie byście zyskali? Co to za ludzi chcielibyście wprowadzić na ich miejsce i w jaki sposób zamierzalibyście zagwarantować, że to ich właśnie wybierze społeczeństwo? I nawet gdyby się to udało, to co wam pozwala wierzyć, że będą robić wszystko, czego zażądamy, w każdej chwili i tak długo, jak trzeba?

— Są tacy ludzie, panie prezydencie — odparł cicho Lowe.

— To by się dało zrobić — dodał Marshall. — I to szybko. Zdziwiłby się pan, jak szybko i skutecznie.

Harris spoglądał gniewnie to na jednego, to na drugiego.

— Panowie, powtórzę to jeszcze raz: Stany Zjednoczone nie będą maczać palców w żadnych politycznych zabójstwach, w każdym razie dopóki ja jestem prezydentem tego kraju. A jeśli jeszcze raz poruszycie przy mnie ten temat, to będziecie mogli wyciągnąć swoje kije golfowe i pojechać na zieloną trawkę, ponieważ przestaniecie być członkami tego rządu.

Przez bardzo długą chwilę ani Marshall, ani Lowe nie odrywali oczu od prezydenta. W końcu odezwał się Marshall, a w jego głosie brzmiała dziwna protekcyjność.

— Wydaje mi się, że rozumiemy pańskie stanowisko, panie prezydencie.

— To dobrze. — Harris wytrzymał ich spojrzenia. — A teraz — zakończył oschle — muszę was przeprosić, mam kilka spraw, którymi chciałbym się zająć, zanim wyładujemy w Rzymie.

16

RESTAURACJA U HENRY'EGO, PENNSYLVANIA AVENUE. 11.50

Marten i Peter Fadden siedzieli w barze na Capitol Hill, w kącie sali urządzonej w stylu retro, wyłożonej ciemną boazerią, gdzie właśnie rozpoczynał się ruch typowy dla pory lunchu i gdzie kilka dekad temu Roberta Flack zaczynała śpiewać *Killing me softly*.

— Pański przyjaciel Dan Ford był piekielnie dobrym reporterem. Wyjątkowy facet i... — Mówiąc to, Fadden pochylił się nad stołem. — Miał przed sobą świetną przyszłość. A to, jak go zamordowano... Psiakrew, nikt nie powinien tak ginąć. Cały czas mi go brakuje.

Peter Fadden miał gęstą czuprynę siwych włosów, przyszczyżoną szpakowatą brodę i rumianą twarz. Wbrew temu, co sugerował przez telefon jego

głos, był bliżej pięćdziesiątki niż siedemdziesiątki, a wyglądał jeszcze młodziej. Pisywał na pierwszych stronach gazet, w szorstkim obojętnym przypomniał reporterów starej daty. Nosił brązowe luźne spodnie, koszulę w kratę i wytartą marynarkę w jodełkę. Przeszywające spojrzenie roziskrzonych błękitnych oczu śledziło Martena uważnie, kiedy ten upijał łyk kawy albo gryzł kanapkę z tuńczykiem.

— Mnie również. Nie ma dnia, żeby mi go nie brakowało — odparł Marten szczerze.

Blisko sześć lat minęło od zamordowania Dana Forda we Francji i do tej pory Nicholas nie mógł się uwolnić od myśli, że stało się to z jego winy. Jego żal miał jeszcze inny aspekt, który szczególnie silnie ożył po śmierci Caroline. Nicholas i Dan przyjaźnili się od dzieciństwa i wszystkie wspomnienia, cała ich wspólna przeszłość, wzmagały ciężar jego śmierci.

To dzięki Danowi i jego niezliczonym dziennikarskim powiązaniom John Barron mógł się zamienić w Nicholasa Martena i rozpocząć nowe życie w północnej Anglii, z dala od Spluwacza, czyli mściwego oficera śledczego z Los Angeles, Gene'a VerMeera, i jego kumpli, nadal służących w policji i tak samo jak on pałających żądzą zemsty.

— Wspominał pan, że ma dla mnie jakiś materiał. O co chodzi?

Peter Fadden upił łyk kawy. Minął czas na sentymenty.

— Powiedziałem, że to może być materiał, który pana zainteresuje — odparł Marten, po czym zniżył głos. — Sprawa dotyczy Caroline Parsons, ale to, co powiem, musi pozostać między nami.

— To, co musi zostać między nami, nie jest dla mnie żadnym interesującym materiałem, panie Marten — warknął Fadden. — Albo pan coś ma, albo nie. Jeśli nie, marnujemy nawzajem swój czas.

— Panie Fadden, na obecnym etapie nie potrafię jeszcze powiedzieć, czy to jest jakiś materiał czy nie. Szukam pomocy w sprawie, która dotyczy mnie osobiście, ale gdyby to, co podejrzewam, okazało się prawdą, byłaby to prawdziwa bomba. Wtedy wszystko panu opowiem.

— Na litość boską! — Fadden odchylił się do tyłu. — I chce mi pan też sprzedać używany samochód?

— Chcę uzyskać od pana pomoc, to wszystko.

Marten długo patrzył Faddenowi w oczy.

Fadden myślał przez chwilę, po czym westchnął.

— Dobrze więc, sprawa zostanie między nami. O co chodzi, u diabła?

— Caroline Parsons uważała, że jej mąż i syn zostali zamordowani. Że katastrofa samolotu nie była wypadkiem.

— No to wróciliśmy do używanych samochodów. Panie Marten, w tym mieście ludzie tworzą teorię spisku z obciętego paznokcia. Jeśli to jest wszystko, co pan ma, to proszę zapomnieć o naszej rozmowie.

— Czy zmieni coś fakt, że Caroline powiedziała mi to na łożu śmierci? I była przekonana, że gronkowca, który ją zabił w tak przerażająco krótkim czasie, wstrzyknięto jej rozmyślnie?

— Słucham?

Zainteresowanie Faddena wyraźnie wzrosło.

— Zdaję sobie sprawę, że wcześniej straciła męża i jedyne dziecko i umierała na śmiertelną chorobę. Wszystko mogło być wytworem jej umysłu, majakiem przerażonej, rozhisteryzowanej wdowy. I może było, ale przyrzekłem jej, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się tego dowiedzieć. I właśnie to robię.

— Dlaczego? Kim ona dla pana była?

— Powiedzmy po prostu, że kiedyś... bardzo się kochaliśmy — Marten przerwał na chwilę, po czym dodał: — i na tym poprzestaśmy.

Fadden przyjrzał mu się uważnie.

— Czy powiedziała panu coś konkretnego? Dlaczego tak uważała?

— Ma pan na myśli dowody? Nie. Ale początkowo ona również miała wtedy lecieć z mężem i synem. Powiedziała, a raczej usiłowała powiedzieć, że jacyś „oni” byli odpowiedzialni za katastrofę samolotu. Kiedy ją zapytałem, kim są ci „oni”, powiedziała tylko „ko...” i to wszystko. Nie miała siły dokończyć i nigdy już nie dokończyła. Dużo o tym myślałem. Próbowałem to powiązać ze śmiercią jej męża i jedyne, co przychodzi mi do głowy i ma sens, to to, że chciała powiedzieć „komisja”. Ostatnim posiedzeniem w Kongresie, w jakim uczestniczył Mike Parsons przed śmiercią, było spotkanie podkomisji do spraw wywiadu i antyterroryzmu na temat „Postępów w zestawianiu wyników obserwacji działań terrorystycznych”. Odkonduło się we wtorek siódmego marca w budynku Rayburna. Sęk w tym, że nie sposób nigdzie znaleźć listy świadków, którzy mieli wtedy zeznawać. Niewiele wiem o tych sprawach, ale przeglądając protokoły z posiedzeń innych komisji z ostatnich dwóch tygodni, nie trafiłem na żadne inne zebranie komisji, na którym nie przedstawiono by chociaż jednego świadka. Właśnie do tego potrzebuję pańskiej pomocy: nie po to, żeby zafundował mi pan szkolny kurs działania komisji sejmowych, tylko dlatego, że jest pan człowiekiem z właściwych warszawońskich sfer i Dan Ford panu ufał. Wie pan, co tam się

dzieje, nawet jeśli pan o tym nie pisze. Muszę wiedzieć, co się działo w komisji Parsonsa. O co tam chodziło? Dlaczego na posiedzenie nie wezwano żadnych świadków? Skąd się wzięły podejrzenia Caroline?

— Zdaje pan sobie sprawę, że podchodzi do tego bardzo emocjonalnie?
— spokojnie zapytał Fadden.

Marten patrzył na niego w milczeniu.

— Nie był pan w szpitalu. Nie słyszał pan strachu w jej głosie, nie widział go pan w jej oczach.

— Czy przyszło panu do głowy, że wtyka pan palec między drzwi?

— Nie prosiłem pana o opinię, tylko o pomoc.

Fadden wziął do ręki filiżankę, przytrzymał ją przez chwilę w powietrzu, po czym wypił kawę do dna i podniósł się z krzesła.

— Chodźmy się przejść.

17

Niebo częściowo spowijały chmury, kiedy Marten i Fadden wyszli z baru U Henry'ego. Przeszli przez Seward Square i ruszyli Pennsylvania Avenue w stronę Kapitolu.

— Więc Caroline Parsons uważała, że celowo zakażono ją gronkowcem, tak? — odezwał się Fadden.

— Tak.

— Powiedziała, kto to zrobił?

— Rozumiem, że to, o czym mówimy, nadal pozostaje między nami — powiedział ostrożnie Nicholas.

— Proszę mi odpowiedzieć, do cholery, jeśli oczekuje pan ode mnie pomocy.

— Jej lekarka.

— Lorraine Stephenson? — Fadden był wyraźnie zdziwiony.

— Tak.

— Ona nie żyje.

Marten uśmiechnął się pod nosem. Więc jednak ktoś poza nim o tym wiedział.

— Została zamordowana.

— Skąd pan o tym wie, do diabła? Nie podano tego do wiadomości publicznej.

— Policja mi powiedziała. Dzwoniłem do doktor Stephenson kilka razy, aby ją wypytać o śmierć Caroline. Nie chciała ze mną rozmawiać.

Policja przejrzała spis jej rozmów telefonicznych i dotarli do mnie. Uważali, że mogłem być tak bardzo rozgniewany śmiercią Caroline, żeby zrobić coś głupiego.

— A był pan?

— Tak, ale nie zabiłem lekarki. — Nagle Nicholasowi wpadło coś do głowy. Skoro Fadden wiedział o śmierci Stephenson, mógł również wiedzieć, co policja znalazła na miejscu zdarzenia i dlaczego byli tak święcie przekonani, że ta kobieta została zamordowana. No i dlaczego cały czas trzymają tę informację w tajemnicy. — Panie Fadden, rozmawiałem z policją wczoraj, a oni do tej pory nie pisnęli ani słowa o śmierci lekarki. Dlaczego?

— Muszą najpierw powiadomić najbliższą rodzinę.

— To nie jedyny powód.

— Czemu pan sądzi, że nie jedyny?

— Doktor Stephenson była znana w tym mieście. Od długiego czasu leczyła wielu ludzi z Kongresu. Była również lekarką rodzinną Parsonsów. Dziś po południu ma się odbyć nabożeństwo pogrzebowe za Caroline. Może ktoś się obawia, że ludzie zaczną dostrzegać ten dziwny zbieg okoliczności i zadawać niewygodne pytania.

— I któż by to miał być?

— Nie mam pojęcia.

— Panie Marten, o ile mi wiadomo, jest pan jedynym człowiekiem, który uważa, że Caroline Parsons została zamordowana. Jak dotąd nikt tego nawet nie sugerował.

— Więc dlaczego policja wycisza fakt, że jedna z najbardziej znanych lekarek w tym mieście została zabita?

— Niech pan posłucha, panie Marten. — Przechodzili obok kilku osób i Fadden odczekał, aż ich miną. — Lorraine Stephenson odcięto głowę. Mnóstwo czasu zajęło policji zidentyfikowanie zwłok. Do tej pory nie znaleziono jej głowy. Chcieli powęszyć wokół tej sprawy bez nagłaśniania.

Odcięto jej głowę? Marten osłupiał. To znaczy, że tuż po jego ucieczce z miejsca zdarzenia zjawił się tam ktoś, kto postanowił zatuszować samobójstwo lekarki — szybko i skutecznie. Nicholas znowu pomyślał to, co wiedział już wcześniej: że samobójstwo tak znanej i renomowanej lekarki jak doktor Stephenson byłoby znacznie skrupulatniej badane niż zwyczajne morderstwo. Odcinając jej głowę, sprawcy wyeliminowali podejrzenie samobójstwa, ale dla Martena, jedynej osoby, która знаła prawdę, ten czyn potwierdzał istnienie rozległego spisku. Fakt, że ktoś usiłował jedną zbrodnią zamaskować inną, stawiał w nowym świetle kwestię posiedzeń komisji sejmowych,

w których pracował Mike Parsons.

— Wróćmy do Mike'a Parsonsa — powiedział. — Czym się ostatnio zajmowała jego podkomisja do spraw wywiadu i antyterroryzmu? Dlaczego nie wezwano oficjalnie żadnych świadków?

— Ponieważ ta komisja prowadzi tajne śledztwo.

— Tajne?

— Tak.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie ściśle tajnego, postapartheidowego programu badań nad bronią chemiczną i biologiczną prowadzonego w Republice Południowej Afryki. Oficjalnie program i broń zostały zlikwidowane. CIA przekazała komisji listę tajnych programów produkcji broni prowadzonych dawniej przez zagraniczne rządy, tak abyśmy w przyszłości, kiedy przyjdzie co do czego, nie popełnili tych samych błędów w sprawie broni masowego rażenia, jak w czasie wojny w Iraku. Jedną z tych operacji był właśnie ten program w RPA. Komisja chciała się upewnić, czy jest on na pewno zamknięty, jak twierdził ich rząd.

— I co? Jest?

— Z tego, czego udało mi się dowiedzieć od swoich informatorów, tak. Ściągnęli jakiegoś ważnego biochemika, który tym programem kierował, i przycisnęli go do muru. W końcu doszli do wniosku, że całe przedsięwzięcie rzeczywiście porzucono wiele lat temu, zgodnie z tym, co oficjalnie utrzymywał rząd RPA.

— Co to oznacza?

— To oznacza, że cała broń, wszystkie patogenne szczepy, dokumentacja i sprzęt zostały zniszczone.

— Jak on się nazywał? Ten naukowiec, który kierował programem.

— Merriman Foxx. Dlaczego pan pyta? Czy Caroline Parsons o nim wspominała?

— Nie.

Marten odwrócił wzrok i dalej szli w milczeniu. Przed nimi majaczyła kopuła Kapitolu, wznosił się raptownie ruch pieszych i samochodów, w miarę jak mijała godzina lunchu i zaczynała się codzienna krzątanina w stolicy kraju, siedzibie rządu federalnego.

Niespodziewanie Nicholasowi wpadły do głowy dwie myśli. Po pierwsze, przypomniało mu się, co powiedziała doktor Stephenson tamtego mroźnego krew w żyłach wieczoru na Dumbarton Street, na kilka sekund przedtem, nim strzeliła sobie w głowę: „Chcecie mnie wysłać do tego doktora. Nie uda się wam. Nikomu z was się to nie uda. Nigdy. Ża nic w świecie”.

Po drugie, przypomniały mu się słowa wymamrotane przez Caroline we śnie. „Nie podoba mi się ten białowłosy człowiek”, powiedziała ze strachem w głosie o mężczyźnie, który przyszedł do szpitala, dokąd ją zabrano po załamaniu nerwowym i zastrzyku doktor Stephenson.

— Czy ten naukowiec, Merriman Foxx, jest również lekarzem?

— Tak. Dlaczego pan pyta?

Marten wziął głęboki oddech i zadał drugie pytanie:

— Czy ma białe włosy?

— A co to ma do rzeczy?

— Czy ma białe włosy, czy nie? — Nicholas powtórzył pytanie stanowczym głosem.

Fadden uniósł brwi.

— Owszem, całkiem niezłą szopę. Ma sześćdziesiąt lat, a czuprynę jak Albert Einstein.

— O Boże — szepnął Marten. Skojarzenie przyszło natychmiast. — Czy on jest jeszcze w Waszyngtonie? — zapytał niecierpliwie.

— Skąd mam to wiedzieć, na litość boską?

— Czy mógłby pan sprawdzić, kiedy przyjechał i jak długo był w mieście?

— Dlaczego?

Marten przystanął i złapał Faddena za ramię.

— Może się pan dowiedzieć, gdzie teraz jest i kiedy przyjechał do Waszyngtonu?

— O co chodzi, do diabła? Jaką rolę on w tym wszystkim odgrywa?

— Nie jestem pewien, ale chciałbym z nim porozmawiać. Może pan zdobyć dla mnie te informacje?

— Zdobędę, ale pod warunkiem, że weźmie mnie pan ze sobą, kiedy się z nim spotka.

Nicholasowi oczy zabłyśły. Może wreszcie wpadł na jakiś trop.

— Niech pan go znajdzie, to spotkamy się z nim razem. Obiecuję.

18

RZYM. 19.00

W zapadającym zmierzchu prezydencka kawalkada skręciła w via Quirinale. Harris widział przed sobą wielki gmach Palazzo del Quirinale, gdzie miał spędzić wieczór w towarzystwie prezydenta Maria Tontiego.

Pomimo fiaska rozmów i rozczarowań po spotkaniach z przywódcami Francji i Niemiec Harris wytrwale utrzymywał obrany kurs, niczym wędrowny kupiec objeżdżający największe europejskie stolice. Wzywał do okazania dobrej woli, trąbił o nadejściu nowej epoki transatlantyckiej jedności; rozmawiał z liderami krajów na ich ojczystej ziemi, gdzie każde drzewo, ogród i plac były im drogie tak, jak jemu każde drzewo i plac w Ameryce.

Razem z nim w prezydenckiej limuzynie siedzieli sekretarz stanu David Chaplin oraz sekretarz obrony Terrence Langdon. Obaj czekali na niego na wojskowym lotnisku Champino pod Rzymem. Obaj mieli stanowić swoisty pokaz siły i manifestację dobrej woli: obecność pierwszego miała symbolizować deklarację, że Stany Zjednoczone otwarcie zabiegają o lepsze stosunki z całą europejską społecznością; drugiego — dawać do zrozumienia, że prezydent nie przyjechał tu po prośbie, że ma własne, ściśle określone poglądy, szczególnie w kwestii terroryzmu, Bliskiego Wschodu oraz krajów potajemnie produkujących broń masowego rażenia, ale również w innych palących sprawach, jak handel, ochrona dóbr intelektualnych, ochrona zdrowia na świecie oraz ocieplenie klimatu. We wszystkich tych kwestiach Harris był realistą, ale także politycznym i ekonomicznym konserwatystą, podobnie jak człowiek, po którym odziedziczył stanowisko, zmarły prezydent Charles Cabot.

Pomimo całej gorączki tych spotkań i ciągłego „parcia naprzód” nie wyleciała Harrisowi z pamięci rozmowa odbyta na pokładzie Air Force One po starcie z Berlina. Do tej pory przechodziły mu po plecach lodowate ciarki na wspomnienie propozycji doktora Jamesa Marshalla, aby zamordować prezydenta Francji i kanclerz Niemiec. „Aby zastąpić ich ludźmi, na których będziemy mogli polegać, teraz i w przyszłości”, a potem zuchwałe oświadczenie Jake'a Lowe'a: „Są tacy ludzie, panie prezydencie”. I znów Marshalla: „To by się dało zrobić. I to szybko. Zdziwiłby się pan, jak szybko i skutecznie”.

I tym mężczyznom ufał przez tyle lat. Obaj odegrali decydującą rolę podczas jego kampanii wyborczej. Teraz jednak miał wrażenie, jakby zobaczył ich po raz pierwszy w życiu, jakby byli obcymi ludźmi skrywającymi własne, ciemne plany i zamiary. I jeszcze go namawiali, aby wziął w nich udział. Rzecz jasna stanowczo i żywiołowo odmówił, ale głęboko go zaniepokoił sam fakt, że w ogóle złożono mu taką propozycję. Obaj patrzyli na niego prawie z pogardą, a słowa Marshalla, które nadal dzwoniły mu w uszach: „Wydaje mi się, że rozumiemy pańskie stanowisko, panie prezydencie”.

wywoływały w nim nieodparte wrażenie, że pomimo jego stanowczej odmowy ten przerażający pomysł wcale nie uleciał im z głów. Przestraszył się. Trudno było to inaczej nazwać. Doszedł do wniosku, że powinien o tym porozmawiać z Davidem Chaplinem i Terrence'em Langdonem w drodze z lotniska do Rzymu, ale obaj relacjonowali mu właśnie przebieg spotkań, które odbyli przed jego przylotem, i poruszanie tak złowrogiego tematu wydało mu się niestosowne, postanowił więc odłożyć to na inną okazję.

— Jesteśmy na miejscu, panie prezydencie — rozległ się przez interkom głos Hapa Danielsa, barczystego, kędzierzawego szefa jego ochrony, który towarzyszył mu w podróży i siedział teraz na przednim siedzeniu limuzyny.

Kilka sekund później prezydencka kolumna samochodów zatrzymała się przed Palazzo del Quirinale. Orkiestra wojskowa w galowym umundurowaniu zaczęła grać hymn narodowy Stanów Zjednoczonych. Przez gąszcz uzbrojonych mężczyzn w mundurach i po cywilnemu Harris zobaczył uśmiechniętego Maria Tontiego, który szedł przez uroczysty szpaler oficjeli i ochroniarzy, aby go powitać.

19

WASZYNGTON; NARODOWY KOŚCIÓŁ PREZBITERIAŃSKI; NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE ZA CAROLINE PARSONS. 14.35

Nicholas siedział w ostatnich rzędach katedry i słuchał głębokiego, aksamitnego głosu i łagodnych słów dostojnego czarnoskórego duchownego, kapelana Kongresu, Rufusa Becka, pastora w kościele Caroline Parsons, tego samego, który wezwał doktor Stephenson, gdy Caroline załamała się po porzeczbie męża i syna. Marten spotkał go również przelotnie w szpitalu.

Nicholas bardzo się starał zachować emocjonalny dystans do tego, co się działo wokół niego, nie myśleć o mszy, która jak gdyby oficjalnie przypieczętowała fakt, że Caroline naprawdę nie żyła. Zajął myśli czymś, co, jak miał nadzieję, okaże się pożyteczne i zaowocuje ważnymi spostrzeżeniami. Nie przestawał przepatrywać tłumu żałobników wypełniających szczelnie kościół w nadziei, że białowłosy doktor Merriman Foxx nie wyjechał jeszcze z Waszyngtonu i przyjdzie tu, aby z jakąś perwersyjną satysfakcją obejrzeć efekt swojej pracy.

Jeśli jednak tu był i jeśli wyglądał tak, jak go opisał Fadden — niczym sześćdziesięcioletni Einstein — to Marten go nie zauważył.

Widział setki innych ludzi, wielu polityków znanych z gazet i telewizji, a także osoby, których nie rozpoznawał, ale które musiały być znajomymi i przyjaciółmi Caroline i jej rodziny. Sama liczba obecnych na nabożeństwie wskazywała, jak bogate i rozległe życie towarzyskie wiedli w Waszyngtonie Parsonsonie.

Zobaczył siostrę Caroline, Katy, oraz jej męża, których zaraz po przybyciu czym prędzej poprowadzono w stronę pierwszych ław. W krótkim czasie musieli odbyć drugą, tak tragiczną podróż z Hawajów do stolicy Stanów Zjednoczonych.

Marten nie miał pojęcia, czy Caroline podzieliła się swymi obawami z siostrą ani nawet czy powiedziała jej, że poprosiła Nicholasa o przyjazd do Waszyngtonu i żeby był przy niej w ostatnich godzinach życia. To by nawet pasowało do Caroline i jej troskliwości — nie chciała przysparzać Katy dodatkowych trosk, ponieważ i tak miała niemało zmartwień z pielęgnowaniem matki chorującej na Alzheimera, więc zataiła przed siostrą swe podejrzenia o spisek, a zwierzyła się z nich tylko Nicholasowi. Martenem targała głęboka rozterka, co powinien zrobić. Gdyby podszedł do Katy i przypomniał, kim jest, opowiedział z grubsza, co się wydarzyło w jego życiu przez te kilka lat, od czasów Los Angeles, a potem zrelacjonował, co mu powiedziała Caroline, i pokazał notarialne upoważnienie, które dla niego sporządziła, Katy bez wątpienia zaprowadziłaby go do prawnika siostry i zażądała, aby przestano robić mu trudności i udostępniono dokumenty Parsonsonów. To musiałoby przełamać opory firmy prawniczej i umożliwić mu wreszcie wgląd w ukrywane papiery.

To jednak był tylko jeden aspekt sprawy. Z drugiej strony istniała możliwość, że jego małe prywatne śledztwo zostało zduszone w zarodku przez kogoś niezwykle wpływowego w firmie i zaniepokojonego tym, co mógłby tam odkryć. Zważywszy na los, który spotkał doktor Stephenson, Katy, a możliwe że i jemu samemu mogłoby się niebawem przytrafić to samo, gdyby zjawili się w firmie, aby złożyć protest. Byłaby to więc ryzykowna decyzja i nawet teraz nie był pewien, co zrobić.

— Bóg obdziela nas swą miłością. Obdzielił nią Caroline i jej męża, Michaela, i jej syna, Charliego — rozchodził się w kościele głos wielebnego

Becka. — Módlmy się słowami poety, Lawrence'a Binyona:

Nie zestarzeją się tak jak my, ocalali, aby się zestarzeć,
Nie zmożą ich lata, nie potępi ich starość
Gdy słońce zapadnie, o świcie
Będziemy ich pamiętać...

Podczas gdy w kościele szybowwały słowa modlitwy wielbego Becka, Nicholas poczuł, że ktoś usiadł w ławie obok niego. Odwrócił głowę i ujrzał młodą, bardzo atrakcyjną kobietę z ciemnymi, krótko ostrzyżonymi włosami, ubraną w stosowny ciemny kostium. Na jej ramieniu wisiał aparat cyfrowy, a na szyi międzynarodowa legitymacja prasowa z jej zdjęciem, nazwiskiem i nazwą agencji: Agence France Presse. Rozpoznał ją — to ona towarzyszyła wielbnemu Beckowi w szpitalu, kiedy przyszedł odwiedzić Caroline. Co tu robiła? Dlaczego przyszła na nabożeństwo? I dlaczego usiadła akurat obok niego?

Po chwili umilkły modlitwy wielbego Becka, dźwięk organów nabrał mocy. Msza była skończona. Pastor zszedł z ambony i skierował się do pierwszego rzędu ławek, gdzie siedziała siostra Caroline z mężem. Dookoła ludzie zaczęli powstawać z miejsc. Młoda kobieta odwróciła się do Martena.

— Czy pan się nazywa Nicholas Marten? — spytała z francuskim akcentem.

— Tak. W czym mogę pani pomóc? — zapytał ostrożnie.

— Jestem Demi Picard. Nie chciałabym się narzucać, zwłaszcza w tych szczególnych okolicznościach, ale zastanawiam się, czy nie zechciałby mi pan poświęcić kilku minut. Chciałabym porozmawiać z panem o pani Parsons.

— O co chodzi? — spytał zaintrygowany Nicholas.

— Znajdźmy nieco mniej zatłoczone miejsce.

Spojrzała w stronę otwartych drzwi za ich plecami, którymi ludzie wychodzili z kościoła.

Marten przyjrzał jej się uważnie. Widać było, że jest zdenerwowana i niecierpliwi się. Nie odrywała od niego szeroko otwartych ciemnobrązowych oczu. Wyczuł, że ta kobieta wie o Caroline coś, co mogłoby mu pomóc.

— Dobrze — odparł. — Wyjdźmy stąd.

Marten pozwolił jej się poprowadzić przez tłum, kiedy wychodzili z ciemnego kościoła na jasne światło popołudnia. Na dworze policja utworzyła ciasny kordon, a tymczasem długi sznur samochodów podjeżdżał jeden po drugim, aby zabierać co ważniejsze osobistości spośród żałobników. Za nimi, nieco z boku, stało kilka wozów transmisyjnych. Trochę bliżej korespondenci relacjonowali przed kamerami przebieg wydarzenia; zapewne migawki do wieczornych wiadomości, pomyślał Marten. I to będzie koniec — ostatnie zainteresowanie opinii publicznej życiem Caroline Parsons.

Demi wyprowadziła ich z kościoła na parking przykościelny przy Nebraska Avenue. Kiedy szli, Nicholas zauważył dwie znajome postaci stojące nieco na uboczu i obserwujące wychodzących ludzi: oficerowie śledczy policji miejskiej, Harris i Monroe, męsko-damski zespół, który go przesłuchiwał w sprawie „morderstwa” doktor Stephenson. Zastanawiał się, czy oni również dowiedzieli się już o siwowłosym naukowcu z RPA, Merrimanie Foksie, i tak jak on mieli nadzieję, że pojawi się na nabożeństwie.

— Hej, Marten! — zawołał ktoś za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył Petera Faddena idącego spiesźnie w ich stronę.

— Przepraszam za spóźnienie. — Zerknął na Demi, po czym wręczył Martenowi małą kopertę. — W środku znajdzie pan mój numer komórkowy razem z materiałami, które mogą pana zainteresować. Niech pan do mnie zadzwoni po powrocie do hotelu.

Odwrócił się i zniknął w tłumie ludzi, którzy kręcili się przed kościołem.

Nicholas wsunął kopertę do kieszeni marynarki i zwrócił się do Demi.

— Chciała pani porozmawiać ze mną o Caroline Parsons. Słucham.

— Z tego, co wiem, był pan przy niej przez ostatnie dni, a nawet godziny przed śmiercią?

— Nie tylko ja. Wiele innych osób odwiedziło ją w szpitalu, w tym również pani. Przyszła pani razem z wielbnym Beckiem.

— Tak, to prawda — odparła, kiwając głową — ale pan był z nią przez większość czasu sam na sam.

— Skąd pani wie? I skąd pani zna moje nazwisko?

— Jestem pisarką i fotoreporterką. Piszę ilustrowaną książkę o duchownych pełniących obowiązki duszpasterskie w środowisku wysoko

postawionych polityków. Jednym z takich duchownych jest wielbny Beck. Dlatego pojechałam z nim do szpitala i dlatego przyszedłam dzisiaj na mszę. Wielbny Beck jest pastorem w kościele, do którego przychodziła rodzina Parsonsów. Wiedział, że czuwa pan przy łożu pani Parsons. Był ciekaw, kim pan jest, więc spytał jedną z pielęgniarek. Słyszałam tę rozmowę, siostra wymieniła pana nazwisko i powiedziała, że jest pan przyjacielem Caroline Parsons.

Marten zmrużył oczy przed blaskiem popołudniowego słońca.

— O czym chciała pani rozmawiać?

Demi podeszła krok bliżej. Prawie drżała z emocji, jeszcze bardziej niż wtedy, gdy usiadła obok niego w kościele.

— Ona wiedziała, że umiera, prawda?

— Tak.

Nicholas nie mógł odgadnąć, dokąd ta kobieta zmierza swoimi pytaniami i po co go właściwie szukała.

— Pewnie rozmawialiście, zanim zmarła.

— Trochę.

— Możliwe, że w takich okolicznościach mówiła panu rzeczy, których nie powiedziałyby innym.

— Możliwe.

W Nicholasie budziła się czujność. Kim była ta kobieta i czego usiłowała się dowiedzieć? Co takiego wiedziała — lub podejrzewała, że wie — Caroline na temat doktor Stephenson, śmierci Mike'a i tego, co zrobiono jej samej?

— Co konkretnie panią interesuje? — zapytał chłodno.

— Czy pani Parsons wspominała o... — zaczęła Demi niepewnie i przerwała.

Nicholas zauważył ciemnoszarego forda wjeżdżającego na parking na drugim końcu i kierującego się w ich stronę. Przeniósł wzrok z powrotem na Demi.

— O czym?

— O... — zająknęła się. — O wiedźmach. — O wiedźmach?

— Tak.

Ford zwolnił. Nicholas zaklął w duchu. Znał ten samochód i dwoje ludzi, którzy nim jechali, a po sposobie, w jaki pojazd się do nich zbliżał, poznał, że nie ma zamiaru ich minąć i pojechać dalej. Szybko znowu popatrzył na Demi.

— O wiedźmach? — powtórzył jeszcze raz. — O czym pani mówi?

W tym momencie ford zatrzymał się obok nich. Otworzyły się drzwiczki. Od strony kierowcy z samochodu wyłonił się detektyw Herbert, od strony pasażera wysiadła Monroe. Demi spojrzała na policjantów.

— Przepraszam, ale muszę już iść — powiedziała raptownie.

Potem odwróciła się szybko i ruszyła z powrotem w stronę kościoła.

Marten wziął głęboki oddech, po czym odwrócił się do policjantów i zmusił do uśmiechu.

— W czym mogę państwu pomóc?

— W tym.

To powiedziawszy, Monroe zatrzasnęła kajdanki na jednym nadgarstku Martena, a potem na drugim.

— Za co? — zapytał oburzony Nicholas.

Herbert pociągnął go w stronę samochodu.

— Pozwoliliśmy panu wziąć udział w nabożeństwie żałobnym za Caroline Parsons. To jedyna uprzejmość, na jaką może pan liczyć z naszej strony.

— Co to, do diabła, ma znaczyć?

— To, że jedziemy na małą wycieczkę.

— Dokąd?

— Zobacz pan.

21

LOT BRYTYJSKICH LINII LOTNICZYCH NR 0224 Z LOTNISKA DULLESA W WASZYNGTONIE NA HEATHROW W LONDYNIE. 18.50

Marten patrzył, jak budynki i tereny zielone Waszyngtonu rozplywają się w zapadającym zmroku, podczas gdy samolot przechylił się ostro na bok i skierował nad Atlantyk. Z rękami uwolnionymi z kajdanek siedział wciśnięty przy oknie trzymiejscowego rzędu foteli, ramię przy ramieniu z dwojgiem swoich towarzyszy podróży, gruchająca parą nowożeńców, którzy od momentu gdy usiedli i zapięli pasy, nie odrywali od siebie oczu, trzymając się za ręce. I z których każde ważyło według szacunków Martena jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów.

W kolejce po bilety z listy rezerwowej czekało co najmniej dwadzieścia osób, jednakże dzielni detektywi Herbert i Monroe wbrew wszelkim przeciwnościom zdobyli dla niego miejsce w samolocie. Załatwili całą sprawę szybko i gładko. Zawieźli go do hotelu, kazali spakować rzeczy, po czym

błyskawicznie odstawili do Międzynarodowego Portu Lotniczego im. Dulle-
sa, nie wypowiadając przez cały czas więcej niż kilkanaście słów. Te, któ-
rych użyli, były krótkie i treściwe i nie wymagały interpretacji. „Proszę wyje-
chać z Waszyngtonu i więcej tu nie wracać”.

Czekali z nim przy bramce do samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych aż
do samego końca, osobiście wprowadzili go na pokład, by się upewnić, że się
nie rozmyśli w ostatniej chwili i nie wróci do ich wspaniałego miasta. Nie
było w tej całej procedurze nic niezwykłego. Gliniarze zwykli to robić nader
często z ludźmi, których nie mogli postawić w stan oskarżenia, ale których
obecności nie życzyli sobie na swoim terenie. Sytuację bardzo upraszczało,
jeśli niepożądana osoba pochodziła z innego miasta, stanu lub tak jak w tym
wypadku — z innego kraju.

Marten nie był zachwycony takim obrotem sprawy. Zbyt dużo emocji
nim targało, zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Z drugiej strony,
mogło być gorzej. „Wycieczka” mogła go zaprowadzić z powrotem na poste-
runek policji, zwłaszcza gdyby znaleźli świadka, który widział go przed do-
mem doktor Stephenson.

Mogli również znaleźć głowę lekarki i chcieć z nim na ten temat poroz-
mawiać, a nawet zawieźć go do kostnicy i obserwować jego reakcję. Niczego
jednak z tych rzeczy nie zrobili. Zamiast tego po prostu wyrzucili go z kraju.
Właściwie nie wiedział, dlaczego to zrobili. Podejrzał, że dowiedzieli się o
jego bliskim związku z Caroline Parsons, a w każdym razie o tym, co się wy-
darzyło w szpitalu i o piśmie z upoważnieniem do wglądu w prywatne doku-
menty rodzinne. Może obawiali się, że narobi kłopotów i utrudni im prowa-
dzenie śledztwa w sprawie zamordowania doktor Stephenson, a może ode-
zwała się do nich ta sama osoba, która pociągała za sznurki w firmie prawni-
czej Caroline i której zależało, żeby trzymać go jak najdalej od tej sprawy,
trudno powiedzieć. Trudno było również powiedzieć, czy ten sam człowiek
przyłożył rękę do śmierci Caroline, jej męża i syna i odciął głowę Lorraine
Stephenson.

Wszystko to jednak nie znaczyło, rzecz jasna, że Nicholas nie mógł za-
raz po wylądowaniu w Londynie obrócić się na pięcie i wrócić do Waszyng-
tonu, aby kontynuować dochodzenie.

Niewykluczone zresztą, że tak by zrobił, nie bacząc na policję, gdyby
wkrótce po starcie nie przypomniał sobie o kopercie od Petera raddena. Wy-
walczył łokciami trochę miejsca przy pękatej parze zakochanych, wyjął list i
otworzył.

W środku znalazł to, co dziennikarz obiecał mu przekazać: swoją wizytówkę służbową „Washington Post” z numerem komórkowym i adresem e-mail; datę przyjazdu doktora Merrimana Foksa do Waszyngtonu: poniedziałek szóstego marca; niezwykle interesujące dossier doktora Foksa oraz tajnych operacji, które przeprowadzał jako dowódca cieszącej się złą sławą południowoafrykańskiej Dziesiątej Brygady Medycznej. Operacje te obejmowały między innymi tajne międzynarodowe ekspedycje mające na celu zakupienie patogenów i mikroorganizmów chorobotwórczych oraz sprzętu do ich rozpowszechniania; plany niewykrywalnego rozprzestrzeniania epidemii wśród czarnoskórej ludności; produkcję wyrafinowanych trucizn wywołujących ataki serca, raka i bezpłodność; hodowlę podstępnych szczepów węgla, zdolnych przechrzyć skomplikowane testy stosowane do wykrywania tej choroby. Najważniejszym celem jednostki doktora Foksa było wypracowanie metod zabijania przeciwników apartheidu bez pozostawiania śladów.

Do tego wszystkiego dodał Fadden jeszcze dzień, w którym doktor Foxx wyjechał z miasta — środa dwudziestego dziewiątego marca — oraz aktualne miejsce jego pobytu, a przynajmniej to, dokąd miał się udać po tajnym przesłuchaniu przez podkomisję Kongresu w Waszyngtonie, czyli adres jego rezydencji na Malcie.

Triq San Gwann 200
Valletta
Malta
Numer telefonu: 243555

To właśnie ta ostatnia informacja skłoniła Martena do zmiany planów. Jak na razie, nie zamierzał wracać do Waszyngtonu. Co nie znaczy, że wracał do swojej pilnej pracy w firmie projektowania krajobrazu w Manchesterze.

Pierwszym samolotem wybierał się na Maltę.

CZWARTEK

6 kwietnia

**HISZPANIA; COSTA VASCA NR OO204,
NOCNY POCIĄG Z SAN SEBASTIAN DO MADRYTU. 5.03**

— Victorze.

— Słucham, Richardzie.

— Obudziłem cię?

— Nie, czekałem, aż zadzwonisz.

— Gdzie jesteś?

— Mniej więcej pół godziny temu wyjechaliśmy ze stacji Medina del Campo. Mamy być w Madrycie o siódmej trzydzieści pięć. Na stacji Chamartin.

— Kiedy wysiądziesz na dworcu Chamartin, pojedź metrem do przystanku Atocha, a stamtąd weź taksówkę do hotelu Westin Palace na Plaza de las Cortes. Masz tam zarezerwowany pokój.

— Dobrze, Richardzie.

— Jedna rzecz jest niezwykle ważna. Kiedy dojedziesz do Atocha, chcę, abyś przeszedł przez nią powoli, uważnie się rozglądając. To tam bomby podłożone przez terrorystów w pociągach podmiejskich zabiły sto dwięćdziesiąt jeden osób, a prawie tysiąc osiemset zostało rannych. Wyobraź sobie, jak by to było, gdyby te bomby wybuchły tam właśnie wtedy, co by się stało z tymi wszystkimi ludźmi. I z tobą również. Zrobisz to, Victorze?

— Tak, Richardzie.

Czy chcesz o coś zapytać?

— Nie.

Może czegoś potrzebujesz?

— Nie.

— Odpocznij teraz. Zadzwoń do ciebie później.

Rozległo się kliknięcie, kiedy Richard się rozłączył, i w telefonie komórkowym Victora zapadła cisza. Przez długą chwilę Victor siedział bezczynnie i wsłuchiwał się w odgłosy pociągu mknącego po torach. W końcu rozejrzał się po swoim przedziale sypialnym pierwszej klasy z małą umywalką, czystymi ręcznikami na wieszaku nad nią i świeżą pościelą na łóżku. Tylko raz w życiu podróżował do tej pory pierwszą klasą: wczoraj, kiedy jechał TGV z Paryża do Hendaye na granicy francusko-hispańskiej. W dodatku Westin Palace w Madrycie był hotelem pierwszej klasy. Podobnie jak hotel Boulevard w Berlinie. Od momentu, kiedy zabił tamtego człowieka przed Union Station w Waszyngtonie, traktowali go ze znacznie większym szacunkiem niż przedtem.

Uśmiechnął się ciepło na tę myśl, po czym rozsiadł się wygodnie i zamknął oczy. Po raz pierwszy, od kiedy pamiętał, czuł się naprawdę doceniony. Jego życie wreszcie nabrało sensu i znaczenia.

13.20

Prezydent John Henry Harris siedział w samej koszuli bez marynarki i patrzył, jak pod nimi Korsyka zostaje w tyle. Potem zobaczył otwarte wody wokół Balearów, kiedy Air Force One leciał pod wiatr na zachód w kierunku Hiszpanii. W Madrycie czeka go obiad z nowo desygnowanym premierem i wybraną grupą hiszpańskich biznesmenów.

Rano jadł śniadanie z premierem Włoch, Aldem Viscontim, potem przemawiał we włoskim parlamencie. Wczorajszą wystawną kolację w Palazzo del Quirinale z prezydentem Mariem Tontim wypełniały serdeczności i deklaracje najlepszych intencji. Prawie natychmiast między obydwojma mężczyznami nawiązała się szczególna nić porozumienia. Przed rozstaniem Harris zaprosił włoskiego prezydenta, aby odwiedził go w jego posiadłości w Kalifornii, w rejonach znanych z winnic. Tonti z radością przyjął zaproszenie. Taki rozwój znajomości był niezwykle ważny z politycznego punktu widzenia, bo chociaż włoska opinia publiczna sceptycznie i bardzo ostrożnie podchodziła do amerykańskich poczynań na Bliskim Wschodzie, Tonti zachował się z niezwykłą u niego wylewnością, dając Harrisowi do zrozumienia, że ma w Europie silnego sprzymierzeńca, na którym może polegać. Dziś rano o tym samym zapewnił go premier Visconti. Poparcie obydwu mężczyzn

stanowiło ogromny sukces tej podróży, tym większy i ważniejszy po bolesnych rozczarowaniach w Paryżu i Berlinie. Harris bardzo się z niego cieszył, niemniej to raczej Paryż i Berlin, a ściśle mówiąc, przywódcy Francji i Niemiec, niezmiennie zaprzętały jego myśli. Porzucił pomysł przedyskutowania problemu, który poruszyli Jake Lowe i James Marshall, zarówno z sekretarzem stanu Chaplinem, jak i z sekretarzem obrony Langdonem. Gdyby to zrobił, sprawa ta przysporzyłaby wszystkim zbyt wielu zmartwień, oderwała ich od kwestii bieżących i zdominowała cele obecnej podróży.

Ponadto, chociaż propozycja Lowe i Marshalla była niepokojąca i przerażająca, to nadal pozostawała w sferze rozmów i żadnego z nich nie było teraz w pobliżu, aby drążyć ten temat. Lowe polecił z samego rana do Madrytu na spotkanie z członkami sztabu i ekipą Secret Service w hotelu Ritz, gdzie miał się zatrzymać prezydent. Marshall z kolei został na całodniowej konferencji ze swoim włoskim odpowiednikiem.

Harris usiadł wygodnie w fotelu, wziął do ręki szklankę z sokiem pomarańczowym i zaczął rozmyślać, gdzie popełnił błąd w ocenie Lowe'a i Marshalla, skoro mogli poważnie rozważać coś, co jego zdaniem kolidowało z ich charakterami. Nagle przypomniało mu się, że Jake Lowe odbierał w samochodzie telefon od Toma Currana, a potem poinformowano go o zamordowaniu Lorraine Stephenson. Pamiętał, jak myślał na głos o niedawnej śmierci Mike'a Parsonsa, jego syna, potem Caroline, a wreszcie jej lekarki; to ostatnie zdarzenie ukazało trzy poprzednie w zupełnie innym świetle. Odwrócił się wtedy do Jake'a Lowe'a i powiedział coś w rodzaju:

— Wszyscy zginęli w tak dziwnie krótkim czasie. Co tu się dzieje?

— Nieszczęśliwy zbieg okoliczności, panie prezydencie — odparł wtedy Lowe.

— Czyżby?

— A cóż by innego?

Może Lowe miał rację, może naprawdę był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. A może nie. Sprawa wyglądała zupełnie inaczej po rozmowie na temat zamachów. Bez namysłu Harris nacisnął guzik interkomu przy rękawie.

Słucham, panie prezydencie? — zabrzmiał w głośniku głos sekretarza stanu.

Tom, czy mógłbyś poprosić Hapa Daniela, żeby tu do mnie wpadł? Chciałbym z nim przedyskutować sprawę protokołu w Madrycie.

— Tak jest, panie prezydencie.

Pięć sekund później otworzyły się drzwi i do środka wszedł jego czterdziestotrzyletni szef ochrony.

— Chciał się pan ze mną widzieć, panie prezydencie.

— Proszę, niech pan wejdzie, Hap — odparł Harris. — I zamknij za sobą drzwi.

23

Nicholas Marten poczuł, jak samolot przechyla się lekko, gdy pilot skręcił na południowy wschód, przelatując nad Morzem Tyrreńskim w kierunku południowej części włoskiego buta. Wkrótce zmniejszą pułap nad Sycylią i zbliżą się do Malty.

Piętnaście po siódmej rano jego samolot Brytyjskich Linii Lotniczych z Waszyngtonu wylądował na lotnisku Heathrow w Londynie. Nie minęła ósma, kiedy zdążył już odebrać bagaż i kupić bilet na samolot Maltańskich Linii Lotniczych o dziesiątej trzydzieści lecący do stolicy kraju, Valletty, gdzie miał się znaleźć o trzeciej po południu. W przerwie wypił kawę i zjadł jajka w koszulkach z tostem i dżemem, zarezerwował sobie pokój w trzygwiazdkowym hotelu Castille w Valletcie i próbował zadzwonić do Petera Faddena do Waszyngtonu, aby mu powiedzieć, co zrobili policjanci i że jest właśnie w drodze na Malte. Niestety, w telefonie komórkowym dziennikarza cały czas włączała się poczta głosowa, zostawił mu więc krótką wiadomość, podał swój numer komórkowy, po czym na wszelki wypadek zadzwonił również do biura „Washington Post”, gdzie przekazał informację, że odezwie się do niego później. Potem, czekając na samolot, usiłował poskładać w całość wszystko, co się wydarzyło w Waszyngtonie, a zwłaszcza najdziwniejszy fragment rozmowy z francuską pisarką i fotoreporterką Demi Picard — kiedy zapytała go przed kościołem, czy Caroline wspominała przed śmiercią o „wiedźmach”.

Nie, natomiast powiedziała „ko...”.

W dalszym ciągu mógł się tylko domyślać, czy rzeczywiście chciała powiedzieć „komisja”, ale wydawało się to więcej niż prawdopodobne, zwłaszcza jeśli okaże się, że doktor Merriman Foxx jest nie tylko „tym białowłosym człowiekiem”, ale również „rym doktorem”, którego tak się bała Lorraine Stephenson, że włożyła sobie pistolet do ust i strzeliła na oczach Martena.

Pomijając kwestię Merrimana Foksa i doktor Stephenson, nie było najmniejszych wątpliwości, że jeżeli Caroline miała na myśli „komisję”, a Demi Picard pytała o „wiedźmy”, to w obydwu wypadkach wchodziła w grę grupa osób. Jeśli Caroline rzeczywiście mówiła o komisji.

MALTA; VALLETTA. 15.30

Nicholas wziął taksówkę z lotniska do hotelu Castille i zameldował się w wygodnym pokoju na trzecim piętrze, z dużym oknem, z którego rozciągał się zachwycający widok na Grand Harbour i potężną kamienną fortecę St. Angelo, wrzynającą się w morze po drugiej stronie miasta. Zamek, jak poinformował go taksówkarz w drodze z lotniska do hotelu, zbudowano w szesnastym wieku na żądanie rycerzy zakonu św. Jana, czyli kawalerów maltańskich, aby bronił miasta przed najazdem imperium osmańskiego.

— Niby walczył zakon przeciwko Turkom — powiedział z pasją kierowca — ale tak naprawdę to było starcie Wschodu z Zachodem. Chrześcijaństwa z islamem. Grunt dla przeklętych dzisiejszych terrorystów został przygotowany pięćset lat temu właśnie tutaj, na Malcie.

Taksówkarz oczywiście przesadzał, ale kiedy Nicholas po raz pierwszy spojrzął na te nadmorskie fortyfikacje, odniósł dziwne i niesamowite wrażenie obcowania z przeszłością. Chociaż kierowca znacznie uprościł sprawę, w tym, co powiedział, tkwiło sporo prawdy: ogromna nieufność pomiędzy Wschodem i Zachodem rzeczywiście narodziła się setki lat temu na tym właśnie śródziemnomorskim archipelagu.

Chociaż podróż i zmiana czasu dały mu się we znaki, Marten czuł się niezwykle ożywiony. Wziął szybki prysznic, ogolił się i włożył cienki sweter z golfem, wygodne spodnie i tweedową kurtkę. Niewielki miał wybór spośród rzeczy, które w pośpiechu pakował przed wyjazdem z Manchesteru do Waszyngtonu.

Piętnaście minut później z hotelową mapą Valletty w kieszeni szedł Triq ir-Republika, czyli ulicą Republiki, centrum handlowym miasta, i szukał Triq San Gwann, czyli ulicy św. Jana, a potem numeru dwieście, który to zgodnie z informacjami Faddena miał być adresem doktora Merrimana Foksa.

Czekając w Londynie w sali odlotów na samolot linii Air Malta, zaplanował, co zrobi po dotarciu do domu Foksa. Znalazł kabinę z podłączeniem internetowym, podłączył swojego notebooka i wszedł na stronę Kongresu

Stanów Zjednoczonych. Tam odszukał podkomisję do spraw wywiadu i antyterrorystów, której członkiem był Mike Parsons, kliknął na listę członków i znalazł nazwisko przewodniczącej: Jane Dee Baker, demokratki z Maine, która, jak wykazały dalsze poszukiwania internetowe, przebywała obecnie z grupą kongresmanów w Iraku i zajmowała się badaniem sytuacji w tym kraju.

Jeśli Merriman Foxx przez trzy dni zeznawał przed komisją, tak jak powiedział Fadden, powinien doskonale wiedzieć, kim jest Jane Dee Baker. Marten zamierzał zadzwonić do jego rezydencji, przedstawić się jako Nicholas Marten, asystent przewodniczącej Jane Dee Baker, i powiedzieć, że w protokole z przesłuchań pozostało kilka niejasności, które pani kongresman chciałaby wyjaśnić; a ponieważ on z innych powodów i tak leciał do Europy i na Malte, pani kongresman prosiła, aby Merriman Foxx zechciał poświęcić mu parę minut na wyjaśnienie tych kilku szczegółów, by można było ostatecznie zamknąć dokumentację tej sprawy.

Zdawał sobie sprawę, że podejmuje zuchwałą i ryzykowną grę. Po pierwsze, może się spotkać ze zdecydowaną odmową: „Nie. Przykro mi, ale podczas przesłuchania przed komisją powiedziałem już wszystko”. Po drugie, Foxx może zechcieć sprawdzić w kancelarii przewodniczącej Baker, czy rzeczywiście Nicholas Marten jest pracownikiem jej biura i otrzymał takie zadanie. Jednak jako były oficer śledczy Nicholas zakładał, że naukowiec zareaguje życzliwie lub co najmniej powściągliwie, jeśli między nim a członkami komisji doszło do ściślejszej współpracy i Foxx nie będzie chciał jej zepsuć. W każdym razie na tyle życzliwie, aby się z nim spotkać. A kiedy już się spotkają, Marten postara się go dyskretnie wybadać, co wie na temat doktor Stephenson i śmiertelnej choroby Caroline Parsons.

Szedł ulicą Republiki i szukał placu Św. Jana, gdzie przecinała się ona z ulicą Św. Jana. Minął sklepik z zabawkami, potem inny, z winem, przeszedł pod kolorowym transparentem rozwieszonym w poprzek ulicy Republiki. Jeszcze kilka kroków i znalazł się na placu św. Jana, przed kościołem Rycerzy, siedemnastowieczną konkatedrą św. Jana. Słyszał niejednokrotnie o jej wspaniałym, majestatycznym wnętrzu i przepięknych dziełach sztuki, zewnątrz jednak kościół bardziej przypominał fortecę niż świątynię, co ponownie przypominało Nicholasowi, że praktycznie cała Malta, a zwłaszcza Valletta, została zaprojektowana przede wszystkim jako cytadela.

Ulica św. Jana nie przypominała bynajmniej ulicy, a raczej długi ciąg kamiennych schodów, przeznaczony wyłącznie dla ruchu pieszego. Minęła piąta i słońce wycinało głębokie cienie w poprzek schodów, którymi szedł Marten. Na razie chciał tylko znaleźć numer dwusetny i zobaczyć, jak mieszka doktor Foxx. Nie liczył na to, że uda mu się go spotkać. Potem wróci do hotelu i zadzwoni do niego.

Sto pięćdziesiąt dwa stopnie później był na miejscu. Dom pod numerem dwusetnym wyglądał tak samo jak wszystkie inne budynki stojące wzdłuż ulicy: trzypiętrowy, z wystającymi, zabudowanymi balkonami na każdej kondygnacji. Z każdego widać było ulicę.

Przeszedł jeszcze jakieś dwadzieścia kroków, po czym zatrzymał się i odwrócił, aby obejrzeć dokładnie budynek. Bez zajrzenia do środka nie dało się stwierdzić, czy cała kamienica jest jedną rezydencją, czy też każde piętro zajmuje oddzielne mieszkanie. Gdyby budynek okazał się domem jednorodzinny, wskazywałoby to, że Foxx jest bardzo zamożnym człowiekiem. Być może zainwestował tu owe domniemane miliony zarobione na tajnych programach badawczych. Dużo mniej mówiłoby zwykłe mieszkanie na jednym z pięter. Tak czy inaczej, biorąc pod uwagę lokalizację rezydencji, należało przyjąć, że jej mieszkańcy muszą być co najmniej ludźmi „na chodzie” — świadczyło o tym strome podejście po niezliczonych kamiennych schodach. Nicholas zaczął się zastanawiać, czy doktor Merriman Foxx jako były oficer nie wybrał tej wyspy i tego budynku na mieszkanie z powodu jej militarnej przeszłości, ale także warunków, które umożliwiały utrzymanie dobrej kondycji. Marten powinien mieć w pamięci żelazną dyscyplinę swego rozmówcy, kiedy spotka się z nim twarzą w twarz i zacznie wypytywać o Lorraine Stephenson i Caroline Parsons.

24

Z drugiej strony, czy nie przedwcześnie zakłada, że Foxx jest jednocześnie „tym doktorem”, którego miała na myśli Lorraine Stephenson, i „białowłosym mężczyzną”, o którym wspominała Caroline? Może nie jest żadnym z nich? Może jest po prostu siwowłosym byłym żołnierzem, który na zlecenie rządu Republiki Południowej Afryki pracował nad tajnym programem produkcji broni biologicznej, a kiedy go zaniechano, po prostu odszedł na emeryturę? Może nigdy w życiu nie słyszał o Lorraine Stephenson ani o Caroline

Parsons, zeznał całą prawdę przed komisją Kongresu i wrócił do domu, do swego życia na Malcie, zadowolony, że wszystko inne zostawił za sobą?

Co wtedy?

Wracać do Anglii? Do pracy nad końcowymi szczegółami projektu w posiadłości Banfielda pod Manchesterem? Zająć się przygotowaniami do wyrównania terenu, irygacji, zamówieniami w szkółkach i ludźmi do sadzenia? Wrócić i zapomnieć o tym, co się przydarzyło Caroline, jej mężowi i synowi? O tym, że ktoś obciął głowę martwej Lorraine Stephenson?

Nie, o żadnej z tych rzeczy nie zapomni. Merriman Foxx musi być człowiekiem, o którym mówiły obydwie nieżyjące kobiety. Był w Waszyngtonie między szóstym a dwudziestym dziewiątym marca, czyli w okresie, kiedy Mike Parsons zginął w katastrofie lotniczej, a Caroline zachorowała na śmiertelną chorobę. Zeznawał jako główny świadek przed podkomisją Mike'a Parsonsa. W dodatku wiedział wszystko, i to z pierwszej ręki, o tajnej produkcji patogenów.

Nicholas nie miał wątpliwości, że Merriman Foxx jest człowiekiem, którego szukał, tylko że nawet jeśli uda mu się doprowadzić do spotkania, dlaczego Foxx miałby powiedzieć mu cokolwiek na temat afery, w którą był zamieszany. Jeśli Marten będzie się upierał i sytuacja przybierze niekorzystny obrót, doktor znajdzie sposób, aby się go pozbyć raz na zawsze. Z kolei, jeśli on za mocno przyprze tamtego do muru, a sprawa jest poważna, Foxx może popełnić samobójstwo. Wystarczy tabletką cyjanku pod językiem albo, zważywszy na jego zawodowe doświadczenia, coś bardziej pomysłowego, przygotowanego dawno temu na wypadek takich właśnie okoliczności.

Peter Fadden zwrócił mu uwagę, że zajmuje się tą sprawą z powodów emocjonalnych, i miał rację. Uczucia przywiodły Nicholasa w to miejsce. Kiedy jednak stanął w cieniu domu Foksa, zrozumiał, że jego domysły są słuszne i że jeśli pójdzie dalej tą samą drogą, istnieje całkiem spora szansa, że albo on, albo kochany doktor przyplaci to życiem, a wtedy cała operacja, którą zajmował się Foxx, zostanie jeszcze bardziej utajniona. Co więcej, i powinien był o rym pomyśleć dużo wcześniej, bez względu na to, co odkryje, nie ma żadnego wsparcia, żadnych sił, do których mógłby się odwołać. Nawet jeśli uda mu się nakłonić Foksa do ujawnienia prawdy, do kogo z tym pójdzie?

Jeśli cała ta afera okaże się rzeczywiście takim wybuchowym materiałem, jak na to wyglądało — zamordowanie amerykańskiego kongresmana i całej jego rodziny; odcięcie głowy lekarce jego żony, a wszystko to splecione z przesłuchaniem komisji do spraw wywiadu i antyterroryzmu — to nie

powinien się tym zajmować, zwłaszcza w pojedynkę, projektant krajobrazu w Anglii. W tym wypadku nie miało najmniejszego znaczenia, że pracował kiedyś jako oficer śledczy w wydziale zabójstw, ta sprawa dotyczyła bezpieczeństwa narodowego, szczególnie jeśli byli w nią zamieszani członkowie amerykańskiego Kongresu. Jak dotąd Marten nie miał żadnego dowodu, ale trop był wyraźny, a na jego końcu stał Merriman Foxx. Oznaczało to, że cokolwiek Nicholas zrobi lub powie, kiedy się spotkają, musi to zostać bardzo starannie wyważone i przemyślane, a wszelkie emocje i osobiste urazy odsunięte na bok. Cel musi pozostać jeden: potwierdzić, czy Merriman Foxx jest czy nie jest „tym doktorem”, którego tak się bała Lorraine Stephenson, i białowłosym mężczyzną z koszmarów Caroline Parsons. Jeśli tak, następnym krokiem będzie powiadomienie Petera Faddena. Wtedy będzie można pozwolić na swobodne działanie jedynej instytucji w Waszyngtonie, która nie powinna mieć żadnych skrupułów przed popchnięciem śledztwa dalej — „Washington Post”.

MADRYT; HOTEL WESTIN PALACE. 19.30

— Witaj, Victorze.

Głos Richarda był spokojny i łagodny jak zawsze.

— Cieszę się, że w końcu zadzwoniłeś, Richardzie. Zdawało mi się, że miałeś się odezwać wcześniej.

Victor wziął do ręki pilota, ściszył telewizor i przesunął się na brzeg łóżka, na którym leżał, kiedy zadzwonił telefon.

— Jak ci się podoba hotel?

— Bardzo tu przyjemnie.

— Czy obsługa jest dla ciebie miła?

— Tak, dziękuję, Richardzie.

— Jak poszedł rekonesans na stacji Atocha?

— Ja... — Victor zaczął z wahaniem, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

— Przeszedłeś przez stację, tak jak prosiłem, prawda?

— Tak, Richardzie.

— Co sobie pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś miejsce, gdzie zginęli ludzie w zamachu terrorystycznym? Wyobraziłeś sobie, jak musieli się czuć, kiedy w wagonach wybuchły bomby? Krzyki, rozpryskujące się części ciała, krew. Pomyślałeś o tych tchórzach, którzy ukryli materiały wybuchowe w plecakach i położyli je między tymi niewinnymi ludźmi, a potem wysadzili za

pomocą telefonu komórkowego, podczas gdy sami siedzieli bezpiecznie kilka kilometrów dalej?

— Tak, Richardzie.

— Co wtedy czułeś?

— Smutek.

— Nie gniew?

— Gniew też. Smutek i gniew.

— Smutek z powodu tych wszystkich ludzi, którzy zginęli i zostali ranni, a gniew na terrorystów, którzy to zrobili, tak?

— Tak. Byłem bardzo zły na terrorystów.

— Chciałbyś ich zniszczyć, prawda?

— Bardzo.

— Chcę, żebyś coś zrobił, Victorze. W twoim pokoju w szafie na ubrania leży torba. Znajdziesz w niej ciemny garnitur, koszulę i krawat, wszystko w twoim rozmiarze. Ubierz się i wyjdź. Po drugiej stronie placu zobaczysz hotel Ritz. Zatrzymuje się w nim prezydent, ilekroć przyjeżdża do Madrytu. Wejdź do środka, tak jakbyś tam mieszkał. Po drugiej stronie holu jest bar. Podejdź do stolika i usiądź w takim miejscu, żebyś widział hol. Zamów sobie drinka.

— I co później?

— Odczekaj kilka minut, potem wstań i wyjdź do męskiej toalety. Wychodząc, rozejrzyj się. Prezydent ze swoim sztabem zajął całe trzecie piętro. Zaobserwuj, jak inni goście hotelowi wchodzi do swoich pokoi na pierwszym i drugim piętrze. Zastanów się, czy mógłbyś się do nich dostać. Sprawdź, czy jest jakiś sposób, żebyś wszedł na trzecie piętro. Wypróbuj zarówno windę, jak i schody przeciwpożarowe. Niczego nie rób, po prostu sprawdź, czy się tam dostaniesz. Zejdź potem z powrotem do baru, dokończ drinka i wróć do swojego hotelu.

— Coś jeszcze?

— Na razie nie. Zadzwoń do ciebie rano, żeby się dowiedzieć, jak ci poszło.

— Dobrze.

— Dziękuję, Victorze.

— Nie, Richardzie, to ja tobie dziękuję. Naprawdę.

— Wiem o tym, Victorze. Dobranoc.

Victor zawahał się i dopiero po chwili rozłączył. Całe popołudnie czekał na telefon od Richarda, z każdą mijającą godziną narastał w nim coraz większy niepokój, że się rozmyślili i już go nie potrzebują.

Nie miał pojęcia, co ze sobą zrobi, jeśli tak się stanie. Nie miał się jak z nimi skontaktować. Nigdy nie widział na oczy żadnego z nich, poza wysokim, sympatycznym mężczyzną, który przedstawił się jako Bill Jackson. Podszedł do niego na strzelnicy, niedaleko jego domu w Arizonie, i zaproponował mu przystąpienie do tajnej organizacji patriotycznej „obrońców ojczyzny”, mężczyzn i kobiet, którzy umieją się posługiwać bronią i którzy będą walczyć za kraj w sytuacji zagrożenia inwazją terrorystów. No i znał oczywiście Richarda, rozmawiał z nim prawie codziennie w ciągu ostatnich kilku tygodni, ale nigdy nie spotkał się z nim osobiście. Poza tym nie miał pojęcia, kim byli ci ludzie ani nawet jak mógłby się skontaktować z samym Richardem.

I kiedy tak mijały minuty i godziny, a Richard nie dzwonił, niepokój Victora narastał, aż stał się nie do wytrzymania. Co pocnie, jeśli go porzucą? Miałby wrócić do Arizony, do tego nędznego życia, które wiódł, zanim go znaleźli? To by było tak, jakby dostał od życia kolejną szansę i znowu zawiódł z powodów przez siebie całkowicie niezawinionych, tak jak wiele razy przedtem. Jakby to było jego przekleństwo: pracował ciężko, nigdy się nie spóźniał, nigdy nie narzekał, a jednak rezygnował po kilku miesiącach z przyczyn, których nigdy do końca nie rozumiał. To zawsze była ciężka praca: magazyniera, kierowcy ciężarówek, kucharza w barze szybkiej obsługi, strażnika; nigdy nie utrzymał się w pracy dłużej niż piętnaście miesięcy. Aż nagle pojawiła się ta wspaniała okazja, a z nią rosnący szacunek i podrożę pierwszą klasą do miast, o których nawet mu się nie śniło. A teraz myśl, że mógłby to stracić. Boże, z każdą upływającą minutą wszystko się w nim skręcało ze strachu i rozpacz. Co chwila zerkał na milczący telefon, który leżał obok niego na łóżku i powinien zadzwonić już dawno temu, a nadal nie dzwonił. Aż w końcu litościwie zadzwieczał. Victor zachłannie chwycił słuchawkę, aby usłyszeć kojący głos Richarda, zaganiający go niczym zbłąkaną owcę do owczarni. Później, kiedy się rozłączył po skończonej rozmowie, odetchnął głęboko z ulgą i odprężył się, a nawet się uśmiechnął.

Czuł, że wszystko jest dobrze.

25

MALTA; VALLETTA. 20.35

Nicholas Marten wyszedł z hotelu i ruszył ulicą Triq ta York. Delikatna mgła napływająca znad Morza Śródziemnego działała orzeźwiająco na kogoś,

kto nadal czuł zmęczenie po podróży i skutki zmiany czasu. Miał na sobie ciemną sportową marynarkę, szare spodnie, niebieską koszulę i bordowy krawat. W lewej ręce trzymał aktówkę, którą kupił w pośpiechu i trochę podniszczył, żeby wyglądała na używaną. Do środka włożył kilka teczek, laptopa i mały, również kupiony na poczekaniu, magnetofon na baterie.

Miejsce, do którego się wybierał, leżało w odległości dziesięciominutowego spaceru od hotelu. Minął szybko Ogrody Baracca i doszedł do Triq Id-Duka.

— Pan doktor z przyjemnością się z panem spotka, panie Marten — oznajmił gospodarz Merrimana Foksa, kiedy Nicholas zadzwonił i poprosił o spotkanie w imieniu przewodniczącej Jane Dee Baker. — Niestety, ma niewiele czasu. Pytał, czy mógłby pan przyjść do restauracji, gdzie będzie jadł kolację. Poświęci panu kilka minut, aby wyjaśnić wszelkie sprawy, o które prosiła pani Baker.

Umówił się punktualnie o dziewiątej w Cafe Tripoli na Triq id-Dejqa, po drugiej stronie pomnika RAF-u, postawionego ku czci brytyjskich lotników, którzy bronili wyspy przed niemiecką i włoską inwazją w czasie drugiej wojny światowej. Przechodząc obok monumentu, po raz drugi Marten poczuł ducha wojennej historii, a z nim strategiczne znaczenie tej wyspy-fortecy. Patrząc na te pradawne kamienne mury, myśląc o niezliczonych inwazjach, jakich Malta doświadczyła przez stulecia, Nicholas wyjątkowo żywo uprzytomnił sobie sens powiedzenia, że wojny się nigdy nie kończą. Zawsze jakaś wisi w powietrzu.

To mu przywiodło na myśl Dziesiątą Brygadę Medyczną, w której służył Merriman Foxx, i jej wysiłki wyprodukowania tajnej broni biologicznej. Foxx musiał aż za dobrze znać prawdziwość tych słów. Jeśli tak, jeśli wziął je sobie głęboko do serca, to projekty, nad którymi pracował, zanim zakończono program, może wcale nie zostały zamknięte, lecz przeciwnie, szły dalej pełną parą. Czy to nie to odkrył Mike Parsons w czasie przesłuchań komisji? Może dowiedział się również, że niektórzy jej członkowie doskonale o tym wiedzą i za wszelką cenę starają się to zataić przed opinią publiczną. Tylko dlaczego? Co takiego starali się chronić, że musieli zabić oboje Parsonsów?

Nagły wrzask zabłąkanego kota sprowadził Martena z powrotem na ziemię. Odczekał, aż przejadą samochody, i przeszedł na drugą stronę szerokiego bulwaru, po czym skręcił w Triq id-Dejqa, szukając Cafe Tripoli. Doceniał otwartość, z jaką Foxx zgodził się z nim spotkać, wiedział jednak, że powinien się mieć na baczności. Spotkania w miejscach publicznych bywały

zdradliwe, w niczym nie przypominały pokoju przesłuchań. W tłumie ludzi siedzących w zasięgu słuchu osoba pytana mogła odpowiedzieć wprost lub wymijająco albo nawet nie odpowiedzieć w ogóle, wedle woli i z zachowaniem wszelkich zasad grzeczności. Problem Martena polegał na tym, jak poprowadzić przesłuchanie, ponieważ pytania, jakie chciał zadać Foksovi, miały mało wspólnego z tematem rozmów w komisji sejmowej, a dotyczyły głównie Caroline Parsons i doktor Stephenson. Sprawa była śliska i delikatna i przebieg spotkania zależał w tej samej mierze od Merrimana Foksa i jego charakteru, co od sposobu poprowadzenia rozmowy przez Martena.

20.45

Cafe Tripoli mieściła się w wąskiej uliczce z kamiennymi schodkami. Drzwi restauracji oświetlała wielka mosiężna lampa. Nicholas przystanął na szczycie schodów i obserwował trzy osoby, które wyszły z lokalu i ruszyły w jego stronę. Ukrył się w ciemnej bramie i czekał. Chwilę później cała trójka przeszła obok niego i skręciła na ulicę, nawet go nie zauważywszy. O to mu właśnie chodziło. Dlatego zjawił się tu długo przed umówioną godziną. Z tej bramy mógł obserwować Foksa, kiedy będzie szedł w stronę restauracji i wejdzie do środka. Zależało mu na tym, żeby przyjrzeć się temu człowiekowi przed spotkaniem albo chociaż zobaczyć go w przelocie — jego twarz, włosy, w każdym razie wiedzieć, jak wygląda.

20.55

Przez długą chwilę nic się nie działo. Marten zaczął się już zastanawiać, czy Foxx przypadkiem nie przyszedł dużo wcześniej i nie czeka na niego w środku. Właśnie doszedł do wniosku, że powinien zrezygnować ze swojego planu i wejść do restauracji, kiedy do wylotu uliczki podjechała taksówka. Otworzyły się drzwiczki i z samochodu wysiedli mężczyzna i kobieta. Nicholas wcisnął się głębiej w bramę, kiedy taksówka odjechała, a dwójka ruszyła po schodach w stronę restauracji. Pierwsza minęła go kobieta. Była młoda, ciemnowłosa, bardzo atrakcyjna. Mężczyzna szedł tuż za nią: średniego wzrostu, średniej budowy, trzymał się prosto. Ubrany był w gruby sweter i

ciemne spodnie. Twarz miał skurczoną, porytą głębokimi bruzdami. Najważniejsze jednak były włosy — gęsta czupryna, bielutka jak śnieg, wyglądała tak teatralnie, jakby miała stanowić jakiś znak szczególny tego człowieka. Merriman Foxx rzeczywiście sprawiał dokładnie takie wrażenie, jak to opisał Peter Fadden: „niczym Albert Einstein”.

Nicholas odczekał, aż wejdą do środka, wyjął z aktówki magnetofon i wsunął go do kieszeni marynarki. Poczekał jeszcze chwilę, po czym wyszedł z ocienionej bramy i skierował się w stronę wejścia do Cafe Tripoli.

— Dobry wieczór panu!

Ledwie Marten wszedł do środka, kiedy powitał go entuzjastyczny, łysiejący maitre d'hotel w czarnych spodniach i białej wykrochmalonej koszuli. Za nim otwierał się zadymiony lokal w stylu pubu, skąd dobiegały dźwięki jazzu granego na fortepianie.

— Jestem umówiony z panem Foksem. Nazywam się Marten.

— Naturalnie, proszę iść za mną.

Maitre d'hotel poprowadził go na dół po schodach do sali jadalnej mieszczącej się w piwnicy. Sporo osób tłoczyło się przy barze niedaleko schodów. W głębi sali stało kilkanaście stolików — wszystkie zajęte. Marten rozglądał się za doktorem Foksem i jego towarzyszką, ale nie zauważył żadnej znajomej twarzy.

— Tędy, proszę.

Maitre d'hotel poprowadził go w kierunku wnęki na końcu sali, oddzielonej zasłoną z drewna i nieprzezroczystego szkła. Ominął przegrodę i wszedł do prywatnej sali.

— Przyszedł pan Marten.

26

Przy stoliku siedziały cztery osoby: Foksa i jego towarzyszki Marten się spodziewał, widok pozostałej dwójki całkowicie go zaskoczył. Widział ich w Waszyngtonie nie dalej jak dwa dni temu: kapelan Kongresu, wielbny Rufus Beck, oraz francuska fotoreporterka, Demi Picard.

— Dobry wieczór, panie Marten. — Merriman Foxx wstał od stolika, żeby podać mu rękę. — Pozwoli pan, że przedstawię moich towarzyszy.

Cristina Vallone. — Wskazał głową młodą kobietę, która z nim przyszła. — Wielebny Rufus Beck i... — uśmiechnął się ciepło — mademoiselle Picard.

— Dobry wieczór. — Spojrzenia Martena i Demi Picard spotkały się na moment, ale kobieta nie dała po sobie niczego poznać. Przeniósł wzrok z powrotem na Foksa. — Bardzo dziękuję, że zechciał się pan ze mną tak szybko spotkać.

— To zawsze ogromna przyjemność służyć Kongresowi Stanów Zjednoczonych, gdy tylko leży to w mojej mocy. Niestety, mam niewiele czasu. Jeśli moi goście nam wybaczą, może podejdziemy do baru i zajmiemy się tą sprawą, która wymaga uzupełnienia.

— Naturalnie.

Merriman Foxx wyprowadził Nicholasa z prywatnego pokoju i skierował się do baru przy schodach. Kiedy Marten szedł w stronę wyjścia, ponownie napotkał wzrok Demi. Obserwowała go, ale starała się, aby nie było tego widać. Najwyraźniej była tak samo zaskoczona tym spotkaniem jak on. Co więcej, z całą pewnością się z niego nie ucieszyła.

Wielebny Beck również nie zdradził się, że poznaje Martena. Nicholas nie miał jednak wątpliwości, że duchowny pamiętał go ze szpitala, w którym leżała Caroline. Nie tylko się sobie przedstawili, kiedy mijali się w jej pokoju, ale, jak powiedziała Demi, Beck wykazał na tyle ciekawości, aby zapytać o niego pielęgniarki.

— Jakie to dokładnie niejasności pani przewodnicząca Baker życzy sobie wyjaśnić? — zapytał Foxx.

Przy barze nieco się rozluźniło, stanęli więc przy końcu, w miejscu, gdzie mogli być sami. Marten postawił aktówkę na blacie, otworzył ją i wyjął ze środka teczkę z dokumentami, potem sięgnął do kieszeni po długopis. Robiąc to, wcisnął przycisk magnetofonu. W tym samym czasie barman nieproszony postawił przed nimi po szklance whisky.

— Kilka, panie doktorze — odparł Marten.

Upomniął się w pamięci, po co tu właściwie jest: ma się upewnić, o ile to możliwe, czy Foxx jest „tym doktorem”, „białowłosym mężczyzną” ze wspomnień dwóch zamordowanych kobiet. Kłopot polegał jednak na tym, że nie widział na oczy protokołu z posiedzenia komisji i przesłuchań Foksa, a w związku z tym nie miał pojęcia, o co go pytano i co odpowiadał. Mógł polegać tylko na tym, co sam wiedział o przeszłości Foksa i Dziesiątej Brygady Medycznej, na strzępach informacji, które udało mu się w krótkim czasie wygrzebać z Internetu po powrocie do hotelu, a także tym, co mu powiedziała Caroline przed śmiercią oraz doktor Stephenson, zanim strzeliła sobie w

głowę.

Otworzył teczkę i spojrzął na kartkę zapisaną odręcznymi notatkami, które przygotował sobie w hotelu, jakby zapisywał je w trakcie rozmowy z kongresmanką.

— Pański program produkcji broni biologicznej nazywano Programem D, nie B, prawda?

— Tak.

Foxx wziął do ręki szklanę z whisky i pociągnął spory łyk. Marten zanotował kilka słów na kartce leżącej obok notatek, po czym wrócił do pytań.

— Zeznał pan, że toksyny, które produkowano w pańskim zespole, w tym czterdzieści pięć różnych szczepów węgla, bakterie wywołujące brucellozę, cholera i dżumę, oraz systemy ich rozpowszechniania, jak również wiele nowych, eksperymentalnych wirusów zostały następnie zinwentaryzowane i zniszczone. Czy tak?

— Tak.

Foxx upił kolejny łyk whisky. Po raz pierwszy Nicholas zauważył, że miał wyjątkowo długie palce w stosunku do wielkości dłoni. Przyjrzał się również bliżej jego posturze. Z początku, kiedy go zobaczył w uliczce przed restauracją, doktor wydał mu się mężczyzną średniej budowy, niezbyt szczupłym, ale też nie masywnym. Jeśli naprawdę dbał o swoją formę, tak jak Marten poprzednio sądził, to przez gruby sweter z dzianiny nie dało się tego jednoznacznie ocenić. Tak czy inaczej, nie mógł się nad tym dłużej zastanawiać, aby nie wzbudzić jego podejrzeń, więc wrócił do zadawania pytań.

— Czy wiadomo panu, aby przeprowadzano jakiegokolwiek eksperymenty na ludziach po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, kiedy prezydent RPA oświadczył, że cała broń biologiczna produkowana w naszym kraju została zniszczona?

Foxx niespodziewanie odstaviał szklanę z whisky.

— Odpowiedziałem na to pytanie przed komisją całkiem wyraźnie. Nie, nie przeprowadzano żadnych więcej testów. Toksyny zlikwidowano łącznie z informacjami, jak je wyprodukować.

— Dziękuję panu.

Marten pochylił się nad barem i spokojnie sporządzał swoje notatki. Z początku Foxx przywitał go życzliwie, co oznaczało, że uwierzył mu na słowo i prawdopodobnie nie sprawdził, czy rzeczywiście pracuje w biurze członkini Kongresu Jane Dee Baker. Teraz jednak zaczynał tracić cierpliwość. Albo zirytowało go samo wypytywanie, albo, co bardziej prawdopodobne,

Nicholas podrażnił jego ego. Foxx już przez to wszystko przechodził w oficjalnym przesłuchaniu komisji, tymczasem stał oto w miejscu publicznym i przerabiał te same problemy z jakimś podrzędnym posłańcem, któremu okazywał coraz większe lekceważenie. Chciał jak najszybciej tę sprawę załatwić i raz na zawsze mieć ją za sobą.

Skoro Foxx tak łatwo wpadał w rozdrażnienie, Nicholas doszedł do wniosku, że gdyby przyparł go do muru, doktor mógłby się okazać słabszy, niż się z pozoru wydawało. Jeśli zarzucić go bardziej natarczywymi i bezpośrednimi pytaniami, mogłoby mu się wymknąć nieopatrznie coś, czego nie chciałby zdradzić. Ale musiał to zrobić szybko, ponieważ Foxx nie miał najwyraźniej zamiaru poświęcać mu wiele więcej czasu.

— Przykro mi, jeszcze tylko kilka pytań — powiedział przepaszająco.

— No to proszę szybciej.

Foxx spojrział na niego nieprzyjaźnie, sięgnął po whisky, jego długie palce oplotły szklanekę.

— Może wyjaśnię coś, co powinienem powiedzieć na wstępie — zaczął Marten tym samym skruszonym tonem. — Niektóre z tych spraw wymagają powtórnego omówienia z powodu śmierci jednego z członków komisji po zakończeniu przesłuchań. Chodzi o kongresmana Parsonsa z Kalifornii. Wygląda na to, że Michael Parsons zostawił dla przewodniczącej Baker notatkę służbową, którą odkryto całkiem niedawno. Dotyczyła ona jakiejś konsultacji z doktor Lorraine Stephenson, która z tego, co wiem, prowadziła praktykę lekarską, ale była również wirusologiem. Przypadkiem leczyła również żonę kongresmana Parsonsa, Caroline. Czy znał pan doktor Stephenson?

— Nie.

Marten spojrział na swoje notatki, po czym podniósł wzrok. To był odpowiedni moment, aby przycisnąć, i to mocno.

— To dosyć dziwne, ponieważ kongresman Parsons wspomina w swojej notatce do pani Baker, że spotkał się pan prywatnie z doktor Stephenson, i to niejedynym razem, podczas trwania przesłuchań.

— Nigdy nie słyszałem o żadnej doktor Stephenson. I nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie Marten — odparł szorstko Foxx. — Myślę, że poświęciłem już pani Baker wystarczająco dużo czasu.

Odstawił szklanekę i zaczął się odwracać od baru.

Panie doktorze — naciskał dalej Nicholas — notatka Michaela Parsonsa stawia pod znakiem zapytania wiarygodność pańskich zeznań, zwłaszcza w

sprawie hodowli nowych, eksperymentalnych wirusów.

Foxx odwrócił się raptownie z powrotem z twarzą pocerwieniałą od gniewu.

— Co takiego?

— Nie miałem zamiaru pana denerwować, wykonuję tylko to, co mi polecono. — Marten znowu odegrał rolę pokornego, skruszonego posłańca. — Teraz, kiedy pan już wie o notatce kongresmana Parsonsa oraz o jego śmierci, pani przewodnicząca Baker pyta, czy w ostatecznym protokole z posiedzenia komisji potwierdza pan, że wszystko, co zeznał pan wcześniej pod przysięgą, było i nadal jest całą prawdą.

Foxx znowu wziął do ręki kieliszek. Wzrok miał lodowaty.

— Tak, panie Marten, w ostatecznym protokole potwierdzam, że wszystko, co powiedziałem, było całą prawdą.

— Łącznie z kwestią wirusów? Że żadnego z nich nie wykorzystano przeciwko człowiekowi po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku?

Foxx świdrował go wzrokiem. Obejmował dłońmi szklanekę z whisky, jego kciuki sterczały w górę ponad krawędzią naczynia.

— Łącznie z kwestią wirusów.

— Ostatnie pytanie — powiedział Nicholas cicho. — Czy nazywano pana kiedykolwiek „tym doktorem”?

Foxx dopił swoją whisky i popatrzył na Martena.

— Owszem, setki razy. Dobranoc, panie Marten. Ukłony dla przewodniczącej Baker.

Odstawił pustą szklanekę na bar i ruszył w stronę swojego stolika.

— Mój Boże — szepnął Marten.

Nastąpiło to tak szybko i niepostrzeżenie, że niemal uszło jego uwagi. A jednak było, wydarzyło się, objawiło mu się tak jasno, jakby pilnie tego wypatrywał. Owszem, Foxx miał białe włosy. Owszem, nazywano go często „tym doktorem”. Jednak nawet obydwie te fakty zestawione z dość żalonymi próbami Nicholasa, aby przycisnąć go do muru, wcale nie wskazywały jednoznacznie, że był on tym samym człowiekiem, który nadzorował, jeśli nie osobiście wstrzyknął toksynę Caroline.

Było jednak coś, co potwierdzało te oskarżenia ponad wszelką wątpliwość, coś, o czym zupełnie zapomniał, dopóki nie zobaczył nadzwyczaj długich palców Foksa oplatających szklanekę z whisky. To coś powiedziało za

strachem Caroline przez telefon, kiedy pierwszy raz zadzwoniła do niego do Manchesteru i poprosiła, żeby przyjechał do Waszyngtonu. „Nie podobał mi się”, powiedziała o białowłosym mężczyźnie, który przyszedł do szpitala, do kąd zabrano ją po zastrzyku zrobionym przez doktor Stephenson. „Bałam się go. Wszystkiego się w nim bałam: tego, jak mi się przyglądał, jak dotykał mojej twarzy i nóg tymi swoimi odrażającymi długimi palcami”.

Nawet jednak długie palce Foksa obejmujące szklankę z whisky były tylko częścią tego obrazu. Reszta objawiła się Nicholasowi, kiedy rozgniewany doktor trzymał ją z kciukami sterczącymi w górę ponad krawędź szklanki. „Jak dotykał mojej twarzy i nóg tymi swoimi odrażającymi długimi palcami i tym okropnym kciukiem z krzyżykiem zakończonym kulkami”.

Na czubku lewego kciuka Foxx miał wytatuowany niewyraźny krzyż — dwie przecinające się proste linie z małymi kółeczkami lub kuleczkami na końcach każdego z czterech ramion. Nicholas o mało go nie przegapił — mały wytatuowany krzyżyk opisany przez przerażoną, umierającą kobietę. Kiedy rozmawiali przez telefon, to był tylko drobny szczegół, pozornie bez znaczenia w gąszczu informacji. Teraz miał kolosalne znaczenie. Odślonił przed Nicholasem prawdę: Foxx był mężczyzną, którego szukał.

27

Sięgnął do kieszeni i wyłączył magnetofon. Nie miał cienia wątpliwości, że Foxx nadzorował morderstwo Caroline. Jednak nic w nagranej rozmowie, jak również sam tatuaż, nie mogło posłużyć za dowód wystarczający Peterowi Faddenowi do wszczęcia śledztwa w imieniu „Washington Post”. Nicholas potrzebował czegoś konkretnego i namacalnego, ale zdobycie tego, a nawet sam sposób, w jaki miałby się do tego zabrać, mogły się okazać niezmiernie trudne, zwłaszcza że Foxx najwyraźniej zamknął przed nim drzwi i zapewne skontaktuje się teraz z biurem Jane Dee Baker, aby sprawdzić, czy rzeczywiście pracuje u nich niejaki Nicholas Marten. Jeśli to zrobi, Nicholas nie będzie mógł się doń zbliżyć nawet na kilometr.

— Panie Marten.

Nicholas podniósł głowę i zobaczył Demi Picard idącą samotnie w jego

stronę. Zastanawiał się, co tu robi. To, że towarzyszyła Beckowi, bynajmniej go nie zdziwiło, skoro przygotowywała książkę o duchownych w świecie polityki, a wielbny Beck był jednym z jej bohaterów, ale fakt, że oboje znaleźli się na Malcie, i to w dodatku przy jednym stoliku z Merrimanem Foksem, tak krótko po pogrzebie Caroline Parsons w Waszyngtonie, niepokoił, zwłaszcza w świetle tego, czego Marten się właśnie dowiedział o doktorze.

— Pani Picard. — Zaczął się uśmiechać. — Jak miło...

Kobieta raptownie zmrużyła oczy.

— Co pan tu robi? — przerwała mu ściszym głosem, wrzącym od gniewu. — Akurat na Malcie, w tej restauracji?

— Miałem zamiar zapytać panią o to samo.

— Doktor Foxx i wielbny Beck są starymi przyjaciółmi — odparła, przyjmując postawę obronną. — Jedziemy na spotkanie z grupą zachodnich duchownych odwiedzających Bałkany. Zatrzymaliśmy się tu na noc, ponieważ ojciec Beck chciał odwiedzić swego znajomego.

— Zapewne dobrze pani zna wielbnego Becka.

— Tak.

— Więc może mi pani wyjaśni, jak to możliwe, aby czarnoskóry duchowny przyjaźnił się z oficerem południowoafrykańskiej armii z czasów apartheidu, dowodzącym jednostką medyczną, która prowadziła tajną produkcję broni biologicznej z zamiarem eksterminacji czarnej ludności Afryki.

— Musiałby pan o to zapytać wielbnego Becka.

Marten popatrzył na nią uważnie.

— A może zapytałbym panią o „te wiedźmy”?

— Proszę tego nie robić.

— Nie?

— Powiedziałam: nie.

— Przecież to pani poruszyła ten temat, nie pamięta pani?

— Demi! — zawołał za jej plecami znajomy głos. Odwrócili się ujrzeni wielbnego Becka idącego w ich stronę razem z Cristiną Vallone, atrakcyjną przyjaciółką Merrimana Foksa.

— Doktora Foksa wezwały jakieś ważne sprawy rodzinne — oznajmił im obojgu Beck, przystając obok Demi. — Prosił, abym odwiózł ciebie i Cristinę do hotelu.

Demi wyraźnie nie wiedziała, co zrobić. Było jasne, że zakłopotał ją ten niespodziewany obrót sprawy.

— Dziękuję — powiedziała ze sztywną grzecznością. — Muszę jeszcze skorzystać z łaźienki. Spotkamy się na górze.

— Oczywiście. — Kiedy Demi ruszyła w stronę łaźienek, Beck odwrócił się do Nicholasasa. — Miło było znowu pana widzieć, panie Marten. Może wkrótce jeszcze się spotkamy.

— Z przyjemnością, ojczy.

Pięć minut później Nicholas stał na Triq id-Dejqa i spoglądał, jak światła taksówki, którą odjeżdżali wielebny Beck, Cristina i Demi Picard, nikną w rozedrganej mgłę. Popatrzył na skąpaną w wilgoci uliczkę z Cafe Tripoli. Drzwi były zamknięte. Nic się nie poruszało. Zastanawiał się, jakim sposobem Foxx mógł opuścić restaurację niezauważony przez Nicholasasa. A może wcale jej nie opuścił? Tak czy inaczej, nie pozostało mu nic innego, jak ruszyć spacerem w drogę powrotną do hotelu. W głowie dźwięczały mu słowa Demi, równie wyraźnie jak wtedy, gdy wracając z łaźienki, zatrzymała się przy barze.

— Nie wiem, kim pan naprawdę jest i co tu robi — powiedziała tym samym gorączkowym tonem, co wcześniej — ale proszę się trzymać od nas z daleka, zanim pan wszystko popsuje.

Po tych słowach odwróciła się i poszła na górę, gdzie czekali na nią Cristina oraz wielebny Rufus Beck.

„Wszystko popsuje”. Co to miało znaczyć?

Gdy jednak szedł w ten wilgotny wieczór w stronę pomnika RAF-u, a potem obok Ogródów Baracca w kierunku hotelu, słowa Demi po chwili uciły, a ich miejsce zajęło to, co wielebny Beck powiedział mu na pożegnanie.

„Miło było znowu pana widzieć, panie Marten. Może wkrótce jeszcze się spotkamy”.

„Znowu pana widzieć”. Znaczyło to, że duchowny doskonale zapamiętał ich spotkanie w szpitalu u Caroline. Nie rozmawiali wówczas o pracy ani o zawodzie Martena, więc Beck nie miał powodu nie uwierzyć w wersję o biurze przewodniczącej Baker. Niemniej ów dziwny zbieg okoliczności prawdopodobnie został poruszony w rozmowie przy stoliku po powrocie Foksa. Jeśli doktor uświadomił sobie, że Marten przywołał nie tylko nazwisko Caroline, ale też Lorraine Stephenson, a w dodatku mówił o notatce Mike'a Parsonsa, w której zakwestionował wiarygodność zeznań Foksa przed komisją, jeśli sobie to wszystko poskładał, to bez wątpienia właśnie dlatego w takim pośpiechu zakończył wieczór i wyszedł.

MADRYT. 22.40

Za oknami samochodu migają światła nocnego Madrytu. Palacio de la Moncloa, rezydencja premiera Hiszpanii, kolacja z nowo wybranym premierem i blisko dwudziestoma czołowymi hiszpańskimi przemysłowcami, których zaprosił na spotkanie — wszystko było już za nim, skończone i zamknięte.

Tylko cztery osoby jechały w prezydenckiej limuzynie: agent Secret Service, który prowadził samochód, drugi agent obok niego, na miejscu pasażera, z tyłu zaś prezydent Harris i szef ochrony Hap Daniels. System wewnętrznej łączności był wyłączony. Nic, o czym rozmawiali prezydent i Daniels, nie wydostawało się na zewnątrz.

Konwój prezydencki również stopniał, poza limuzyną pozostały tylko dwa czarne SUV-y Secret Service i hummer z systemem łączności. Nie towarzyszyły im tym razem ambulans ani samochód ze sztabem prezydenckim, ani wóz transmisyjny z dziennikarzami. Ta skromna kawalkada eskortowała prezydenta do rezydencji na bogatym przedmieściu La Moraleja, gdzie Harris miał wypić drinka ze swoim starym przyjacielem, Evanem Byrdem. Byrd był niegdyś korespondentem dużej stacji telewizyjnej, a także rzecznikiem prasowym byłego prezydenta, Charlesa Cabota. Przez jakiś czas pełnił również funkcję rzecznika prasowego Harrisa, zanim odszedł na emeryturę i zamieszkał w tej podmadryckiej miejscowości. Po tym spotkaniu Harris miał wrócić do hotelu Ritz, gdzie jego świata zajęła całe trzecie piętro, i nie mógł się już doczekać zasłużonego nocnego odpoczynku.

— Samolot wiozący na pokładzie kongresmana Parsonsa i jego syna spadł na ziemię z powodu błędu pilota — czytał Daniels notatki z małego kolumnotnika. Nie było tu mowy o blackberrych, o jakiegokolwiek elektronicznej kontroli otrzymywanych informacji, tylko zwykłe, nabazgrane notatki w zwyczajnym notesie. — W każdym razie tyle ustalili śledczy z Narodowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu. W samolocie nie znaleziono żadnych usterek.

— Hap, znamy oficjalną wersję wydarzeń — odparł Harris. — Niczego więcej nie udało ci się dowiedzieć?

— Jeśli chodzi o samą katastrofę, to nie. Natomiast nikt jakby nie zwracał uwagi na to, że początkowo pani Parsons również miała lecieć razem z mężem i synem. Jej plany zmieniły się w ostatniej chwili. Wróciła do

Waszyngtonu samolotem rejsowym. Przypadek, nikt nie próbował tworzyć spiskowych teorii związanych z tym wypadkiem. Nie było powodu podejrzewać przestępstwa. Pani Parsons też się niczego takiego nie doszukiwała, przynajmniej oficjalnie. Ot, jedna z tych rzeczy, które się zdarzają.

— Jedna z tych rzeczy...

— Tak, panie prezydencie.

Harris pokiwał z roztargnieniem głową, zastanawiając się przez moment nad ową nagłą zmianą planów Caroline Parsons i czy mogło w tym tkwić coś niezwykłego. Zaraz jednak przeszedł do następnej sprawy.

— Co z tym mężczyzną, który był w szpitalu u Caroline? Tym, któremu wystawiła upoważnienie do wglądu w dokumenty Mike'a?

— Wiemy tylko to, co przedtem. Nazywa się Nicholas Marten. Z pochodzenia Amerykanin, mieszka w Manchesterze w Anglii, pracuje jako projektant krajobrazu. Podobno znał rodzinę Parsonsów od wielu lat. Tak przynajmniej zeznał policji w Waszyngtonie. Policjanci, którzy go przesłuchiwali, podejrzewają, że coś go łączyło z Caroline. On twierdził, że byli po prostu przyjaciółmi. Nie mają na to dowodu. Ale też żadnych przesłanek, że ją szantażował.

— Dlaczego w ogóle policja go przesłuchiwała?

— Po śmierci Caroline Parsons uparcie wydzwaniał do jej lekarki. Chciał ją wypytać o chorobę, na którą zmarła pani Parsons, ale doktor Stephenson nie chciała z nim rozmawiać. Powoływała się na tajemnicę zawodową. Podejrzewali, że mógł być zamieszany w jej zamordowanie. Nie mieli się jednak czego ucześcić, więc wsadzili go do samolotu do Anglii i powiedzieli, żeby więcej nie wracał.

— Morderstwo lekarki Caroline Parsons? Co mamy w tej sprawie?

— To paskudna historia, panie prezydencie. Obcięto jej głowę.

— Co takiego?

— Obcięto jej głowę. Do tej pory jej nie znaleziono. Policja trzyma śledztwo w ścisłej tajemnicy. FBI też wysłało do tej sprawy swoich ludzi.

— Kiedy ktokolwiek zamierzał poinformować o tym Biały Dom?

— Nie wiem, panie prezydencie. Prawdopodobnie uznali, że nie ma takiej potrzeby.

— Dlaczego odcięli jej głowę?

— Myśli pan, że to jakiś akt terrorystyczny, jakieś muzułmańskie ugrupowanie?

— Nie ma znaczenia, co ja myślę, tylko co wiem. A jak na razie chyba

nikt za wiele nie wie. Znajdź w FBI kogoś godnego zaufania i niech cię informuje na bieżąco. Powiedz im, że jestem osobiście zainteresowany tą sprawą, ale nie chcę, żeby rzuciły się na nią media i rozdmuchały ją ponad miarę. Nie potrzebujemy mieszać w świecie islamskim jeszcze bardziej, niż już się namieszało, zwłaszcza że sprawa może się okazać fałszywym alarmem, a głowę mógł obciąć zwyczajny świr.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Następna sprawa: Caroline Parsons. Chcę dostać raport na temat tej infekcji, na którą zmarła, jak się nią zaraziła i jak ją leczono, począwszy od pierwszej diagnozy aż do momentu śmierci. Także i w tej kwestii nie życzę sobie fajerwerków. Chcę tylko dostać informacje i macie je zdobyć jak najdyskretniej. W bardzo krótkim czasie zginęło czworo ludzi: trójka członków jednej rodziny i ich lekarka.

— Jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć, panie prezydencie. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale kongresman Parsons...

— Co z nim?

— Próbował się z panem spotkać prywatnie. Dwukrotnie. Raz podczas trwania przesłuchań w jego komisji do spraw terroryzmu, a drugi raz w dniu, kiedy zakończono przesłuchania.

— Skąd o tym wiesz?

— Jego sekretarka dzwoniła do nas z tą prośbą, ale nie dostała odpowiedzi.

— Mike Parsons miał zagwarantowany dostęp do mnie o każdej porze dnia i nocy. Wiedział o tym mój sekretarz generalny i sekretarka. Jak to się stało, że nie dotarła do mnie ta wiadomość?

— Nie wiem, panie prezydencie. Musi pan ich o to zapytać.

Nagle Hap Daniels przyłożył rękę do słuchawki, którą miał w uchu.

Jednocześnie prezydencka limuzyna przechyliła się na bok, kiedy kierowca z Secret Service skręcił ostro w prawo i wjechał na prywatny podjazd.

— Dziękuję — powiedział Daniels do mikrofonu, po czym spojrział na prezydenta. — Jesteśmy na miejscu. Rezydencja pana Byrda.

29

Evan Byrd powitał go serdecznym uściskiem jak dawny szkolny kumpel, niewidziany od lat.

— Do stu diabłów, dobrze cię widzieć, John — powiedział, prowadząc go obok ozdobnej fontanny, potem przez hol wykładany hiszpańską mozaiką do pokoju z ciemną boazerią, zastawionego barkiem i wielkimi skórzanymi fotelami stojącymi przed kominkiem, od którego było ciepło trzaskającego ognia.

— Nieźle jak na emerytowanego pracownika służb cywilnych, co? — Byrd uśmiechnął się szeroko. — Siadaj. Co ci podać do picia?

— Sam nie wiem. Miałem już dzisiaj wszystkiego aż nadto. Może po prostu wody albo kawy, jeśli masz czarną.

— Pewnie, że mam.

Byrd mrugnął porozumiewawczo, wcisnął guzik interkomu przy barku i zamówił po hiszpańsku kawę. Potem podszedł do Harrisa i usiadł obok niego na drugim fotelu.

Evan Byrd miał na sobie swobodny, domowy strój: luźne kremowe spodnie i sweter w tym samym kolorze. Był mężczyzną po siedemdziesiątce, nieco przy kości, ale w sumie w dobrej formie. Nadal nosił długie, siwe włosy i takie same bokobrody. Dokładnie tak, jak Harris pamiętał. Byrd siedział w telewizji i zajmował się polityką Waszyngtonu przez ponad czterdzieści lat, zanim wyjechał na emeryturę do Hiszpanii, i nadal prowadził kartotekę, która mogłaby zawstydić niejednego dobrze poinformowanego człowieka „ze sfer”, znał każdego, kogo warto było znać, i w efekcie miał wpływy, o jakie niewiele osób mogło go nawet podejrzewać.

— No i jak tam dzisiaj poszło?

— Nie jestem pewien. — Harris zapatrzył się w kominek. — Hiszpania prowadzi wojnę sama ze sobą. Ich premier to miły facet, ale za duży altruista i za bardzo lewicowy, żeby popchnąć gospodarkę do przodu. Za to biznesmeni, ci, którzy się najbardziej liczą, są fiskalnymi konserwatystami, zysk traktują jako element tożsamości narodowej. Chcą grać na tym samym światowym rynku co wszyscy inni. Stoją pod tym względem w opozycji wobec swego przywódcy. Mimo to premier pokazał, że jest facetem z jajami, kiedy zaprosił ich na to spotkanie. Należą mu się brawa. Oczywiście wszyscy trzęsą się ze strachu przed terroryzmem i zastanawiają, gdzie tupnie następny but.

— A co z Francją i Niemcami?

— Evan, przecież czytasz gazety, oglądasz telewizję. Wiesz równie dobrze jak ja, że jest kiepsko.

— I co zamierzasz z tym zrobić?

— Nie wiem. — Na moment prezydent uciekł wzrokiem w bok, ale szybko spojrzął z powrotem na Byrda. — Naprawdę nie wiem.

Właśnie w tej chwili rozległ się głos w interkomie.

— Kawa jest gotowa, proszę pana — powiedział ktoś po hiszpańsku.

— Gracias — odparł Byrd i wstał. — Chodź, John. Napijemy się kawy w salonie. — Uśmiechnął się porozumiewawczo, kiedy prezydent podniósł się z fotela. — Mam dla ciebie niespodziankę.

Harris jęknął.

— Evan, błagam, nie o tej porze. Padam z nóg.

— Możesz mi wierzyć, że ci się spodoba.

Kiedy weszli do salonu, w środku czekało na nich siedmiu mężczyzn. Harris znał wszystkich: wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Hamilton Rogers; sekretarz stanu David Chaplin; sekretarz obrony Terrence Langdon; przewodniczący Połączonego Kolegium Szeffów Sztabów generał Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych Chester Keaton, a także ludzie, z którymi Harris widział się niedawno w Rzymie — sekretarz generalny Tom Curran, główny doradca do spraw politycznych Jake Lowe i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego doktor James Marshall.

Evan Byrd zamknął za sobą drzwi.

— No cóż, panowie, to jest doprawdy niespodzianka co się zowie — powiedział spokojnie Harris, starając się nie okazywać zdziwienia na widok tych wszystkich ludzi zebranych w tym miejscu, o tej porze w tajemnicy przed nim. — Czemu zawdzięczam to spotkanie?

— Panie prezydencie — zaczął Lowe — jak pan wie, już za kilka dni ma się odbyć w Warszawie spotkanie NATO. Wcześniej, kiedy wkroczyliśmy do Iraku, kiedy Francja, Niemcy i Rosja stawały okoniem, nie mieliśmy jeszcze swoich ludzi na odpowiednich stanowiskach. Teraz mamy. Zapewnili nas o tym nasi zaufani przyjaciele. Są to bardzo dobrze poinformowani przyjaciele.

— Co za przyjaciele? O kim pan mówi?

— Aby zapobiec niewyobrażalnej katastrofie, o której wcześniej rozmawialiśmy — do przodu wystąpił James Marshall — a która oznaczałaby, że w krótkim czasie rozmaite ugrupowania terrorystyczne przejmą władzę na całym Bliskim Wschodzie, w tym nad złożami ropy naftowej, musimy podjąć pewne radykalne kroki w tym rejonie świata. Najprawdopodobniej nie spotkamy się ze sprzeciwem ze strony żadnego z państw członkowskich ONZ. Zapewniono nas, że tym razem ani Niemcy, ani Francja nie będą protestować, kiedy dojdzie do głosowania. A jak pan dobrze wie, jeśli oni nie zgłoszą

sprzeciwu, nie zrobią tego najprawdopodobniej również Rosja i Chiny.

— „Zapewniono was”?

— Tak, panie prezydencie.

Prezydent rozejrzał się po twarzach tak znajomych, jakby należały do członków jego rodziny. Przez długie lata ci ludzie byli jego najbardziej zaufanymi przyjaciółmi i doradcami. Co tu się działo, do diabła?

— I cóż to takiego właściwie „my” mamy zamiar „zrobić” na Bliskim Wschodzie?

— Niestety, nie możemy panu tego powiedzieć, panie prezydencie — odparł otwarcie sekretarz obrony. — Zebraliśmy się tu po to, aby poprosić pana o podpisanie zgody na fizyczną eliminację obecnych przywódców Francji i Niemiec.

— „Fizyczną eliminację...”

Harris popatrzył na Lowe'a i Marshalla. Zaczęli tę kampanię dużo wcześniej, mieli już teraz za sobą cały zespół. Nie potrafił tego zrozumieć. Przecież byli konserwatywnymi republikanami, tak samo jak on. Stali za nim murem od samego początku, zapewnili mu nominację, a potem robili wszystko, aby doprowadzić do jego elekcji.

— Zdaje się, że odpowiednim słowem, o które panu chodzi, panie sekretarzu, jest „zamach stanu”.

W tym momencie ta myśl spadła na niego jak grom z jasnego nieba i wstrząsnęła nim do głębi: On wcale nie był ich prezydentem, tylko zwyczajnym pionkiem, i tak było od samego początku. Znalazł się na tym stanowisku, ponieważ to oni go na nie wynieśli. Ponieważ byli pewni, że zrobi wszystko, co mu każą.

— I kimże są ci „zaufani przyjaciele”, o których mowa? — zapytał.

— Członkami organizacji, która dopilnowała, aby osoby wybrane na miejsce obecnego prezydenta Francji i kanclerz Niemiec bez zastrzeżeń poparły wszystkie nasze poczynania.

— Rozumiem — powiedział w końcu prezydent.

Nie miało sensu pytać, co to była za organizacja, ponieważ i tak by mu nie powiedzieli. Włożył ręce do kieszeni i podszedł do okna wychodzącego na słoneczny, zadbane ogród w stylu francuskim. Zobaczył na dole dwóch funkcjonariuszy Secret Service stojących w cieniu. Wiedział, że jest ich tam więcej, ukrytych w mroku.

Przez dłuższą chwilę stał odwrócony plecami do mężczyzn w pokoju. Czekali na jego odpowiedź. Mogą poczekać jeszcze trochę, podczas gdy on spróbuje pozbierać myśli i zrozumieć, jak mogło do tego dojść i co może z

tego wyniknąć. Nagle w jego rozmyślania wdarły się słowa Jake'a Lowe'a. „Wcześniej, kiedy wkraczaliśmy do Iraku, kiedy Francja, Niemcy i Rosja stały okoniem, nie mieliśmy jeszcze swoich ludzi na odpowiednich stanowiskach. Teraz mamy”.

„Swoich ludzi”.

„Teraz mamy”.

„Teraz mamy”.

Bez względu na to, co to była za organizacja, wszyscy oni należeli do niej od dawna i od dawna knuli ten plan. A teraz mają swoich ludzi w każdym liczącym się kraju i mogą ten plan zrealizować. Odwrócił się i ruszył z powrotem w ich stronę.

— Czy Harry Ivers również należy do tej „organizacji”? Znacie wszyscy Harry'ego Iversa. Jest przewodniczącym Narodowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu. Zajmował się śledztwem w sprawie katastrofy samolotu, w której zginął kongresman Mike Parsons.

To powiedziawszy, spojrzał szybko na sekretarza generalnego, Toma Currana.

— Mike Parsons dwukrotnie próbował się ze mną spotkać. Raz podczas trwania przesłuchań w podkomisji do spraw wywiadu i antyterroryzmu. Wiedziałeś, że Mike ma do mnie wolny dostęp w każdej chwili. Dlaczego nie dotarła do mnie informacja, że chce się ze mną skontaktować?

— Miał pan bardzo napięty grafik, panie prezydencie.

— Brednie, Tom. — Rozglądając się po sali, zatrzymywał wzrok po kolei na każdym z ośmiu mężczyzn. — Kongresman Parsons coś wywąchał, prawda? To musiało mieć coś wspólnego z badaniami, jakie komisja prowadziła w sprawie tego rzekomo zakończonego programu z bronią biologiczną w RPA i przesłuchaniem Merrimana Foksa. Podejrzewam, że ten program albo przynajmniej jakaś jego część wcale nie jest zamknięta. I zapewne my czy raczej wy i wasi „zaufani przyjaciele” jesteście w to zamieszani. Sądziłiście, że Mike Parsons jako zatwardziały konserwatysta przystąpi do waszego spisku, ale się pomyliliście. Zapewne zagroził wam, że przyjdzie z tym do mnie, jeśli się nie wycofacie, więc go zabiliście.

Zapadła długa cisza, którą przerwał w końcu doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Marshall.

— Nie można było mu ufać, panie prezydencie.

Prezydent wpadł w gniew.

— Jego synowi również? I wszystkim innym osobom, które leciały tym samolotem?

— To była kwestia bezpieczeństwa narodowego — odparł chłodno i beznamiętnie Marshall.

— Jego żonę również zabiliście.

— Nie wiedzieliśmy, ile jej powiedział. Lekarka coś jej podała, aby rozwiązać problem.

— Doktor Stephenson.

— Tak.

— W nagrodę ktoś jej obciął głowę.

— Niestety, wpadła w panikę po tym, co zrobiła, i stała się dla nas zagrożeniem. Należało ją wyeliminować.

Prezydent przeniósł wzrok z Marshalla na pozostałych. Wszyscy od wzajemni jego spojrzenie ze stoickim spokojem i w milczeniu, w tym także jego wieloletni przyjaciel i polityczny doradca, Jake Lowe, a także ich drogi gospodarz, Evan Byrd.

— Chryste Panie — szepnął.

Nie miał tu żadnych przyjaciół, ani jednego. Znowu zadzwęczały mu w głowie słowa Jake'a Lowe'a: „Wcześniej, kiedy wkraczaliśmy do Iraku, kiedy Francja, Niemcy i Rosja stawały okoniem, nie mieliśmy jeszcze swoich ludzi na odpowiednich stanowiskach. Teraz mamy”.

Wcześniej nie mieli również potrzebnej broni. Teraz mają.

— To, co planujecie, jest jakimś rodzajem wojny biologicznej. Tylko z kim? Ze światem muzułmańskim?

— Panie prezydencie — odezwał się wiceprezydent Hamilton Rogers, wymijając Marshalla.

Rogers, blondyn o ciemnych, bezwzględnych oczach, był dwa lata młodszy od Harrisa i znacznie bardziej konserwatywny. Harris długo się opierał przed wyznaczeniem go podczas kampanii wyborczej na stanowisko wiceprezydenta, a to właśnie z powodu zbyt skrajnego konserwatyzmu, w końcu jednak uległ naciskom Lowe'a, który przekonał go, że Rogers może odegrać bardzo dużą rolę podczas głosowania. Teraz zrozumiał, dlaczego Lowe tak się upierał: Rogers był jednym z nich. Kimkolwiek „oni” byli.

— Przez wzgląd na bezpieczeństwo narodu prosimy pana, aby wydał pan zgodę na fizyczne usunięcie ze stanowisk prezydenta Francji oraz kancierz Niemiec.

W tym momencie Harris zrozumiał, że jeśli nie przystanie na wszystko, czego od niego żądają, zabiją go. Wówczas zgodnie z prawem wiceprezydent zajmie jego miejsce i wtedy on wyda oficjalny rozkaz zabicia przywódców Francji i Niemiec. Patrząc na nich — na to, kim byli, jakie piastowali urzędy,

jakie mieli powiązania —uprzytomnił sobie, że w całej jego ekipie rządzącej, od szczytu po sam dół, nie ma ani jednej osoby, której ośmieliłby się teraz zaufać. Ani jednej. Nawet osobista sekretarka, która pracowała dla niego niemal od dwudziestu lat, mogła być podejrzana. To samo dotyczyło ochroniarzy z Secret Service, łącznie z szefem, Hapem Danielsem. Potrzebował czasu, aby znaleźć jakieś wyjście, jakiś sposób na powstrzymanie tego straszliwego Armagedonu, który planowali.

— Gdzie i kiedy zamierzacie przeprowadzić tę... eliminację? — zapytał.

— W czasie spotkania NATO w Warszawie. Na oczach całego świata.

— Rozumiem.

To mówiąc, prezydent kiwnął głową, po czym raz jeszcze rozejrzał się po pokoju i po twarzach ludzi czekających na jego odpowiedź.

— Potrzebuję czasu, aby to przemyśleć — odparł cicho. — Jestem zmęczony, chciałbym wrócić do hotelu i przespać się.

PIĄTEK

7 kwietnia

MADRYT; HOTEL RITZ. 1.25

Jake Lowe odebrał po ciemku telefon w sypialni swojego apartamentu na trzecim piętrze.

— Słucham — powiedział.

Uniósł się w łóżku na łokciu i natychmiast rozejrzał instynktownie, aby się upewnić, czy jest w pokoju sam.

— Mam komara, którego trzeba pacnąć — odezwał się w telefonie spokojny głos kobiety w średnim wieku. — Nazywa się Nicholas Marten. Podawał się za pracownika pani Baker. Nie mam pojęcia, jak nas znalazł, ale zadawał bardzo „oświecone” pytania. Towarzyszył również pani Parsons w ostatnich godzinach życia.

— Tak, wiem o tym.

— Zanim jednak wezwiemy ekipę dezynsekcyjną, chciałabym się dowiedzieć, dla kogo on pracuje, ile wie i czy działa sam, czy z kimś.

— Gdzie teraz jest? — spytał Lowe.

— Na Malcie. W hotelu Castille.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Wkrótce.

— Będę w kontakcie.

Rozległo się kliknięcie i jego rozmówczyni się rozłączyła. Lowe leżał przez chwilę niezdecydowanie, po czym włączył lampkę nocną i sięgnął po swojego blackberry. Głos osoby, z którą rozmawiał na specjalnej, bezpiecznej linii, został zniekształcony i cyfrowo zakodowany. Nie sposób go było zidentyfikować, a co dopiero wytropić. Tylko jedna osoba miała sprzęt niezbędny do zakodowania go — Merriman Foxx.

MALTA; VALLETTA; HOTEL BRITISH. 6.45

— Proszę przyjść za pięć minut! — krzyknęła Demi Picard w odpowiedzi na pukanie do drzwi.

Zapięła ostatnie guziki męskiej koszuli w niebieskie paski, wciągnęła skórzany pleciony pasek w jasnobrązowe spodnie, po czym szybko włożyła w uszy złote kolczyki w kształcie kół.

Pukanie się powtórzyło. Demi westchnęła ze zniecierpliwieniem i podeszła do drzwi.

— Mówiłam, żeby... — zaczęła, otwierając drzwi, i urwała w pół zdania.

Na korytarzu stał Nicholas Marten.

— Spodziewałam się bagażowego — oznajmiła tym samym rozeźlonym tonem, którym mówiła poprzedniego wieczora.

Odwróciła się szybko i podeszła do szafy, aby wyjąć z niej niebieski zapinany sweter. Na łóżku leżała prawie spakowana, otwarta walizka oraz torba na sprzęt fotograficzny.

— Widzę, że pani wyjeżdża.

— Jak wszyscy. Dzięki panu.

— Dzięki mnie?

Zmierzyła go gniewnie wzrokiem.

— Tak.

— Kim są „wszyscy”?

— Doktor Foxx wyjechał dziś z samego rana. Zaraz po nim wielbny Beck i Cristina.

— Dokąd pojechali?

— Nie mam pojęcia. Znalazłam kartkę od wielbnego Becka wsuniętą pod drzwi, z informacją, że wezwano go niespodziewanie w pilnej sprawie i że nasza wyprawa na Bałkany została odwołana.

— A pozostali?

— Zadzwoiłam do pokoju Cristiny, żeby ją zapytać, czy coś o tym wie, ale powiedziano mi, że się już wymeldowała. — Weszła szybko do łazienki i po chwili wróciła z kosmetyczką. — Gospodyni Foksa też mi powiedziała, że wyjechał.

Włożyła kosmetyczkę do walizki i starannie zasunęła suwak.

— I zapewne nie wie pani, dokąd oni wszyscy się udali.

Znowu spiorunowała go wzrokiem.

— Nie.

— Bagażowy!

W otwartych drzwiach stał mężczyzna w hotelowym mundurze.

— Tylko ta jedna walizka — oznajmiła Demi. Włożyła sweter, zarzuciła torebkę na ramię i wzięła z łóżka futerał z aparatem. — Do widzenia, panie Marten.

Przecisnęła się obok niego i wyszła z pokoju.

— Chwileczkę! — zawołał Nicholas i ruszył za nią.

Czterdzieści sekund później cała trójka zjeżdżała w milczeniu windą. Demi patrzyła w podłogę, Marten na nią. Minutę później, zabrawszy po drodze jeszcze troje gości hotelowych, winda zatrzymała się na parterze. Drzwi się otworzyły i Demi na czele całej grupy wyszła do holu. Nicholas szybko się z nią zrównał.

— Co pani miała wczoraj na myśli, mówiąc, żebym się trzymał z daleka, zanim wszystko popsuję?

— Nie sądzi pan, że trochę za późno na wyjaśnienia?

— No dobrze, w takim razie zmienmy temat i spróbujmy z wiedźmami.

Demi szła dalej, nie zwracając na niego uwagi. Właśnie przechodzili przez główny hol.

— O jakich wiedźmach pani mówiła?

Nadal go ignorowała. Zrobili jeszcze trzy kroki, potem Nicholas wziął ją za ramię i odwrócił.

— Proszę, to bardzo ważne.

— Czego pan ode mnie chce? — Najeżyła się.

— Po pierwsze, proszę, aby była pani trochę bardziej uprzejma.

— Mam wezwać policję? Bo właśnie tu są.

Wskazała głową dwóch policjantów w czarnych mundurach i czarnych butach stojących z motocyklami przed wejściem do hotelu.

Powoli puścił jej rękę. Wbiła weń wściekle spojrzenie, a następnie odeszła. Patrzył, jak zatrzymuje się przed wyjściem i wymienia kilka zdań z wąsatym konsjerżem. Mężczyzna uśmiechnął się z wszechwiedzącą miną, sięgnął do swojego biurka, wyciągnął kopertę i wręczył ją Demi. Kobieta podziękowała, rzuciła jeszcze spojrzenie w stronę Martena i wyszła za bagażowym do taksówki, która czekała przed wejściem. Chwilę później znikła mu z oczu.

31

MADRYT; HOTEL RITZ. 7.05

— Co to znaczy, że go nie ma?

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, doktor James Marshall,

podrywając się gwałtownie zza biurka, porozrzucił po całym blacie papiery i sprzęt biurowy.

— To znaczy, że wyszedł. Zniknął. — Jake Lowe pobladł. — Wszedłem do niego, żeby uzyskać odpowiedź na to, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. W pokoju nie było żywej duszy. Pod koldrą leżały zwinięte poduszki, żeby wyglądało, że śpi.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych zniknął? Nie ma go?

— Tak.

— Czy Secret Service o tym wie?

— Teraz już tak, ale dowiedzieli się dopiero wtedy, kiedy podniosłem alarm.

— Dobry Boże.

— Co się dzieje, do diabła? — Do pokoju wpadł Hap Daniels. — To jakiś żart? Prezydent urządził sobie zabawę czy co? A może to wy? Jeśli to jakaś gra, to macie mi natychmiast powiedzieć. Mówię serio!

— To nie jest żadna gra — warknął Marshall. — To pan jest za niego odpowiedzialny! Gdzie on jest, psiakrew?

Hap Daniels osłupiał z otwartymi ustami.

— Żartuje pan sobie.

— Nikt tu nie żartuje.

— Jezu Chryste!

APARTAMENT PREZYDENTA. TRZYDZIEŚCI SEKUND PÓŹNIEJ

Zamknęły się drzwi frontowe. Jake Lowe i James Marshall czekali onieśmiali z przerażenia, podczas gdy Hap Daniels po raz drugi przeczesywał apartament. Sala konferencyjna, sypialnia, łazienka. Mijały sekundy. Daniels wyszedł, bez słowa przeszedł przez pokój i wypadł na korytarz. Pół minuty później wrócił w towarzystwie swego zastępcy, Billa Straita. Bill miał ponad metr osiemdziesiąt i przypominał buldoga.

— Po przyjeździe pana prezydenta o dwunastej dwadzieścia do apartamentu poza panem Lowe'em wchodzili wyłącznie pracownicy obsługi hotelowej — oświadczył Daniels.

— Pięć po wpół do pierwszej prezydent zadzwonił i poprosił o kanapkę, piwo i lody — dodał Strait. — O dwunastej czterdzieści pięć przywiózł je pracownik hotelu. Na wózku poza zamówionym jedzeniem, serwetką i sztucami stał tylko wazon ze świeżymi kwiatami. O pierwszej trzydzieści dwie prezydent powiedział, że idzie wziąć prysznic, a potem spać. Kazał zabrać

wózek. O pierwszej czterdzieści cztery ten sam pracownik przyszedł i zabrał wózek zgodnie z życzeniem prezydenta. Prezydent zamknął się już wtedy w sypialni. Kelner wyszedł i od tamtej pory nikt nie wchodził do apartamentu ani z niego nie wychodził aż do siódmej rano, kiedy zjawił się pan Lowe.

— Panowie, mamy sytuację kryzysową — oznajmił lodowato James Marshall. — Opryskiwacz zniknął.

Opryskiwacz był kryptonimem prezydenta Harrisa w języku Secret Service.

— Niemożliwe — zaprotestował wstrząśnięty Strait. — Przez całą noc siedziałem pod jego drzwiami. Mamy kamery na każdym korytarzu, we wszystkich windach i na klatkach schodowych. Kilkunastu agentów pilnuje piętra, kilkunastu innych każdego wejścia i wyjścia; nie wspomnę już o hiszpańskiej ochronie w całym hotelu. Nawet mysz by się nie prześliznęła.

— Ale Opryskiwacz w jakiś sposób się prześliznął! — warknął Lowe. — Kto to zrobił i jak? I komu wpadł w ręce? Nie mam pojęcia, co powiemy światu.

— Cholera jasna! — powiedział na głos do nikogo konkretnie Hap Daniels po kilku minutach milczenia, które wydawały mu się najdłuższymi minutami w jego życiu.

32

Błyskawicznie zamknięto cały hotel. O naruszeniu bezpieczeństwa poinformowano ochronę, pracowników hotelu oraz hiszpańską odpowiedniczkę Secret Service, która jako służby bezpieczeństwa kraju goszczącego głowę obcego państwa zapewniała większą część jego ochrony. Gościom zabroniono opuszczać apartamenty, jak również do nich wchodzić. Przeszukano korytarze, schowki, pokoje i wszelkie inne miejsca, które mogły posłużyć za kryjówkę. Przesłuchano wszystkich pracowników, łącznie z kelnerem, który przynosił prezydentowi zamówiony posiłek o dwunastej czterdzieści pięć w nocy.

Owszem, widział prezydenta, oświadczył. Przyjął uprzejmie po dziękowanie, a potem wyszedł.

— Co miał na sobie pan prezydent?

— Granatowe spodnie od garnituru i białą koszulę, bez krawata.

— Jest pan tego pewien?

— Tak, proszę pana. Nie zapomina się prezydenta Stanów Zjednoczonych, kiedy spotyka się go osobiście w środku nocy.

— Czy widział go pan również, kiedy przyszedł pan później po wózek i naczynia?

— Nie. Drzwi sypialni były wtedy zamknięte.

— Wózek, którym rozwozi pan jedzenie, jest nakryty obrusem, który zwisa prawie do samej ziemi, prawda?

— Tak, proszę pana. To na wypadek gdybyśmy musieli przewozić dodatkowe naczynia, sztuce, podgrzewacze czy inne przybory kuchenne.

— Czy jest możliwe, aby ktoś się ukrył pod obrusem i wyjechał niepostrzeżenie, kiedy zabierał pan wózek z pokoju?

— Możliwe. I zarazem niemożliwe.

— Proszę to wyjaśnić.

— Rzeczywiście jest tam wystarczająco miejsca, żeby ktoś mógł się skulić i ukryć, ale przewoziłem tylko kanapki, piwo i lody. Zauważyłbym, gdyby wózek zrobił się nagle dużo cięższy niż poprzednio. Na pewno bym sprawdził dlaczego.

Biała koszula i granatowe spodnie, które widział kelner, pasowały do ubrania, które prezydent miał na sobie poprzedniego wieczora. Oczywiście i zrozumiałe wydawało się również wyjaśnienie, że kelner zorientowałby się natychmiast, gdyby wózek stał się nagle cięższy, czy to w drodze do apartamentu prezydenckiego, czy z powrotem. Sprawdzono jeszcze raz kartotekę mężczyzny i certyfikat bezpieczeństwa. Biorąc wszystko razem pod uwagę, nie było najmniejszego powodu podejrzewać, że zrobił coś innego niż to, co zeznał, czyli że dostarczył zamówiony posiłek gościowi hotelowemu.

W miarę jak upływały minuty i rosła gorączka poszukiwań, stawało się oczywiste, że prezydenta nie ma w hotelu. Po godzinie nie ulegało to już najmniejszej wątpliwości. Nikt wszakże poza najwyższymi rangą agentami Secret Service oraz najbliższymi współpracownikami prezydenta o tym nie wiedział.

O dziewiętej dwadzieścia wszyscy ci ludzie zebrali się w pilnie strzeżonym apartamencie Ritza na trzecim piętrze. Byli to: Jake Lowe, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego doktor James Marshall, sekretarz obrony Terrence Langdon, sekretarz generalny Tom Curran, rzecznik prasowy Białego Domu Dick Green oraz agent specjalny Secret Service Hap Daniels. Pozostali, czyli wiceprezydent Hamilton Rogers, sekretarz stanu David Chaplin oraz przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, generał Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Chester Keaton lecieli prywatnym

samolotem odrzutowym do Waszyngtonu, lecz pozostawali w ścisłym i stałym kontakcie ze swoimi towarzyszami w Madrycie.

— Musimy działać z założeniem, że doszło do przestępstwa — oznajmił Hap Daniels.

— Naturalnie — zgodził się z nim Marshall, popatrując na pozostałych. — To jest nie tylko monstrualna katastrofa, to również kwestia protokołu. Musimy natychmiast poinformować naszego ambasadora w Madrycie. Podobnie CIA, FBI i jeszcze z dziesięć innych instytucji. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie dostaniemy kasety z nagraniem prezydenta w łapach terrorystów, błagającego o litość i z zakapturzonym sukinsynem, który straszy, że obetnie mu głowę.

— Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, nie możemy dopuścić, żeby ta informacja wyciekła. Bóg jeden wie, do czego by doszło na światowych giełdach, jakie rozeszłyby się pogłoski i jakie wywrotowe siły mogłyby to wykorzystać. — Marshall pochylił się do mikrofonu. — Panie wiceprezydencie, jest pan tam?

— Jestem, Jim — odezwał się wyraźny głos Rogersa.

— Chyba rozumiesz, w jakiej to cię stawia sytuacji? Dopóki prezydent się nie odnajdzie i nie wróci bezpiecznie pod nasze skrzydła, musisz liczyć się z tym, że w każdej chwili możesz zostać zaprzysiężony na prezydenta.

— Wiem, Jim, i zapewniam cię, że biorę na siebie tę odpowiedzialność z ogromną powagą.

Jake Lowe przeszedł na drugi koniec sali.

— Mamy do czynienia z milionami kwestii i znaków zapytania — powiedział. — Co się właściwie dzieje? Kto jest za to odpowiedzialny? Jak ci ludzie dostali się do środka, a potem wyszli niezauważeni przez kolejne zabezpieczenia Secret Service? Jakie siły są w to zamieszane? Jakie kraje powinniśmy poinformować i co im powiedzieć? Czy mamy zarządzić blokadę dróg? Zamknąć lotniska? I jak to zrobić w tajemnicy przed mediami? Jak słusznie zauważył Jim, świat nie może myśleć, że prezydent Stanów Zjednoczonych zaginął. Potrzebujemy alternatywnej wersji wydarzeń i to szybko. No, to by chyba było krótkie podsumowanie sytuacji. — Odwrócił się do Hapa Danielsa. — Niech mi pan powie, czy w moim rozumowaniu tkwi jakiś błąd? — Spojrzał na rzecznika prasowego, Dicka Greena. — Ty mi powiedz, czy uda ci się utrzymać media na odległość. — Znowu odwrócił się do mikrofonu. — Jest pan tam jeszcze, panie wiceprezydencie?

— Tak, Jake.

— Czy inni też mnie słyszą?

— Tak, Jake, słyszymy cię. — To był głos sekretarza stanu Davida Chaplina.

— No dobrze, więc jest tak. — Lowe rozejrzał się po twarzach obecnych. — W hotelu już się podniósł raban. Wszyscy wiedzą, że doszło do naruszenia środków bezpieczeństwa. Nikt natomiast nie wie, że dostaliśmy wcześniej ostrzeżenie o tym naruszeniu. Chodziło o poważne zagrożenie terrorystyczne. Było to o trzeciej nad ranem. Obudziliśmy wtedy prezydenta, zwieźliśmy go windą dla obsługi hotelowej do garażu w piwnicy, a następnie nieoznakowanym samochodem wywieźliśmy w bezpieczne, ukryte miejsce. Tam pozostaje do teraz, cały i zdrowy. My tymczasem prowadzimy dochodzenie. — Spojrzał na Dicka Greena. — Możesz to tak załatwić?

— Chyba tak. Przynajmniej na jakiś czas. Przeniósł wzrok na Hapa Danielsa.

— A ty?

— Tak. Ale to w dalszym ciągu nie wyjaśnia najważniejszej sprawy: gdzie on jest i w czyich rękach?

— Zginął w czasie pańskiej służby — odezwał się do Daniela Marshalla. — To pierwszy taki wypadek w historii. Radzę, żeby pan go znalazł i sprowadził bezpiecznie do domu. Ale ma pan to robić po cichu, jasne? Jeśli cała sprawa wydostanie się na światło dzienne, Secret Service skompromituje się przed całym światem.

— Sprowadzimy go do domu. Ma pan na to moje słowo. Cicho i bezpiecznie.

Marshall zerknął na Lowe'a, a potem z powrotem na Hapa Danielsa.

— Lepiej, żeby tak było, psiakrew.

33

RZYM; LOTNISKO LEONARDA DA VINCI. 9.40

Samolot Maltańskich Linii Lotniczych z Valletty wylądował w Rzymie trzydzieści minut przed czasem i Nicholas czekał teraz na następny samolot, który w godzinę i czterdzieści pięć minut miał go przewieźć do Barcelony, dokąd z Malty udała się Demi Picard.

Aby się dowiedzieć, dokąd poleciała, Marten użył tego samego sposobu co w Cafe Tripoli, gdzie przekupił maitre d'hotel, pytając, dokąd pojechała taksówka, którą wzywał dla niej, wielebnego Becka i młodej kobiety o imieniu Cristina.

— Do British Hotel, panie Marten — poinformował go cicho mężczyzna.

To samo zrobił z wąsatym konsjerżem w British Hotel. Podszedł doń chwilę po wyjściu Demi, powiedział, że jest narzeczonym pani Picard, że się pokłócili i chcieliby wiedzieć, dokąd pojechała.

— Mieliliśmy się jutro spotkać z jej matką tutaj w Valletcie — skłamał, wcielając się w rolę, jakiej nie odgrywał od czasów, gdy był oficerem śledczym w Los Angeles i musiał się chwytać różnych środków, aby zdobyć pożądaną informację. — Nie wiem, co jej teraz powiem. Demi jest jej jedynym dzieckiem. Ma pan może jakieś pojęcie, dokąd pojechała?

— Przykro mi, ale nie mogę panu tego powiedzieć.

— Była bardzo zdenerwowana, prawda? — powiedział Marten z jeszcze większą wylewnością.

— Tak, proszę pana. Szczególnie o szóstej rano, kiedy zadzwoniła i prosiła, a raczej zażądała, abym zrobił wszystko, co w mojej mocy, i zarezerwował jej hotel.

— I zrobił pan to?

— Tak, proszę pana.

W tym momencie Nicholas wsunął konsjerżowi do ręki hojny napiwek i rzekł:

— Dla matki.

Konsjerż zawahał się przez chwilę, po czym pochylił się nad biurkiem i szybko napisał na papierze listowym „Hotel Regente Majestic, Barcelona”. Złożył kartkę i podał Martenowi.

— Dla matki — powiedział z powagą. — Całkowicie to rozumiem.

Po co Demi leciała do Barcelony, w dodatku w takim pośpiechu, skoro wszyscy ją opuścili, a w każdym razie opuścili wyspę, trudno się było domyślić. Mimo tego, co zaszło pomiędzy nią a wielbnym Beckiem, wyraźnie coś ją z nim łączyło, podobnie jak z Merrimanem Foksem. Po raz kolejny Nicholas pomyślał, jakie to dziwne, że czarnoskóry duchowny przyjaźni się od lat z południowoafrykańskim oficerem, który za czasów apartheidu dowodził wojskową jednostką medyczną prowadzącą badania i eksperymenty z bronią biologiczną, mającą służyć zagładzie czarnych mieszkańców Afryki.

Ale było coś jeszcze. Coś, nad czym Marten niewiele się zastanawiał, dopóki nie zobaczył Merrimana i Becka przy jednym stoliku w Cafe Tripoli.

Przypomnił sobie, że to właśnie wielebny Beck zadzwonił po doktor Stephenson, kiedy Caroline przeżyła załamanie nerwowe po pogrzebie męża i syna, i że to właśnie doktor Stephenson podał Caroline środek, który w tak błyskawicznym tempie doprowadził do jej śmierci. Beck do Stephenson, Stephenson do Foksa, „tego doktora”, „białowłosego człowieka” z „odrażającymi długimi palcami i tym okropnym kciukiem z krzyżykiem zakończonym kulkami”. Wszystko zestawione razem czyniło z wielebnego Becka obiekt prawie tak samo interesujący jak sam Foxx. Nicholas miał nadzieję, że podążając śladem Demi Picard do Barcelony, wpadnie na trop przynajmniej jednego z nich, jeśli nie obydwu.

Usłyszał, że wzywają pasażerów na pokład jego samolotu. Z podręczną torbą, w której trzymał swojego notebooka, ruszył w kierunku bramki. Nagle zauważył drobnego młodego mężczyznę stojącego w kolejce kilka osób za nim. Miał na sobie dzinsy i nieco workowatą marynarkę nałożoną na pstrokaty T-shirt. Wyglądał na studenta, młodego artystę albo muzyka. Tyle że Marten widział go już wcześniej: najpierw w holu hotelu Castille w Valletcie, kiedy się wymeldowywał, a potem w czasie lotu z Valletty do Rzymu. A teraz wsiadał do tego samego samolotu lecącego do Barcelony. W zasadzie nie miał powodu podejrzewać, że nie był to zwykły zbieg okoliczności. Ale podejrzewał i czuł się z tym nieswojo. Miał wrażenie, jakby młody mężczyzna nosił na czole wypisane „Merriman Foxx”.

34

MADRYT. 11.00

Minęły cztery godziny, od kiedy Jake Lowe odkrył zniknięcie prezydenta. Wszystkie federalne instytucje zaangażowane w bezpieczeństwo kraju pracowały na najwyższych obrotach, w tym Secret Service, CIA, FBI, NSA, jak również wszystkie jednostki wywiadu wojskowego. Wiceprezydent Hamilton Rogers osobiście poinformował o incydencie premiera Hiszpanii oraz amerykańskiego ambasadora w Madrycie. Z początku zastanawiano się, czy nie należy poinformować również wszystkich innych ambasadorów Stanów Zjednoczonych na całym świecie, a w następstwie także prezydentów Rosji,

Chin, Japonii, Francji i Włoch, kanclerz Niemiec oraz premiera Wielkiej Brytanii. Pomysł ten jednakże zdusił w zarodku Jake Lowe.

To, co się stało, nie powinno wyjść poza ścisły krąg osób, które absolutnie muszą o tym wiedzieć, podkreślał. Minęło bardzo niewiele czasu od zniknięcia prezydenta, co oznacza, że może on znajdować się całkiem niedaleko. Niewykluczone, że wkrótce go znajdą i w tajemnicy sprowadzą z powrotem w bezpieczne miejsce. Im więcej osób będzie o tym wiedziało, tym większe ryzyko, że sprawa wymknie się spod kontroli, a wtedy w mgnieniu oka informacja, że zaginał prezydent Stanów Zjednoczonych, obiegnie cały świat. W następstwie — Jake Lowe rozwinął wcześniejsze obawy Jamesa Marshalla — dojdzie do nagłego zachwiania równowagi światowej, a to z kolei zaowocuje gwałtownym wzrostem obaw o bezpieczeństwo narodowe, zarówno w Ameryce, jak i wielu innych krajach. Taki wzrost społecznych obaw doprowadzi do napięć w sferach wojskowych, gwałtownych wstrząsów na światowych rynkach i Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego jeszcze. Wpływ i pozycja prezydenta Stanów Zjednoczonych — zarówno samego stanowiska, jak i konkretnej osoby — są tak ogromne, że ograniczenie liczby osób wtajemniczonych w tę kryzysową sytuację do absolutnego minimum jest niezbędne.

W Madrycie pod osobistym kierunkiem premiera hiszpański wywiad, czyli Centro Nacional de Inteligencia, w skrócie CNI, w najwyższej tajemnicy przeprowadzał blokadę, która objęła wszystkie drogi wyjazdowe z miasta: lotniska, dworce kolejowe i autobusowe, główne autostrady. Wzmociono również elektroniczną inwigilację znanych radykalnych organizacji politycznych i terrorystycznych działających w Hiszpanii, łącznie z ugrupowaniem baskijskich separatystów ETA.

W podziemnym garażu hotelu Ritz Hap Daniels wraz ze specjalistami od nagrań wideo siedział w ruchomym centrum dowodzenia i badał nagrania z kamer cyfrowych rozmieszczonych gęsto na terenie hotelu i poza nim: w apartamencie prezydenckim na trzecim piętrze, na korytarzach, w windach, klatkach schodowych, w podziemnym garażu, w wejściach, w lokalach dostępnych dla gości, oraz z kamer zamontowanych na dachu i rejestrujących cały obszar wokół budynku hotelowego.

Na trzecim piętrze technicy Secret Service krzątali się po apartamencie prezydenta i zbierali wszelkie ślady niczym z miejsca zbrodni.

Również na trzecim piętrze, w tym samym pokoju, w którym zebrali się

poprzednio, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Marshall stanął przed zaszponą czwórką: Jakiem Lowe'em, Terrence'em Langdonem, Tomem Curranem i przyjacielem prezydenta, Evanem Byrdem. To, o czym chciał z nimi rozmawiać Marshall, każdemu z nich w którymś momencie w ciągu ostatnich kilku godzin chociaż raz przemknęło przez głowę.

— A jeśli prezydent nie padł ofiarą przestępstwa, nie został porwany, tylko sam jakimś cudem przechytrzył ochronę i wymknął się z hotelu? Jeśli to jest jego odpowiedź na nasze wczorajsze żądanie?

— Jakim cudem miałby przechytrzyć niewiarygodnie skomplikowaną sieć ochrony Secret Service? — odezwał się Tom Curran. — A nawet gdyby jakimś sposobem mu się to udało, to jak ominąłby hiszpańską ochronę na zewnątrz?

— Tom, do diabła, musimy założyć, że jakoś to zrobił. — Marshall się rozżościł. — Przyjmijmy, że to był jego pomysł i że tego dokonał. Nie ma dla nas teraz znaczenia, jak to zrobił, poza tym, że pokazuje, jaki jest cholernie sprytny. Chodzi o to, że mamy do czynienia z potencjalną katastrofą. Wie, czego od niego żądaliśmy. Wie, kto był obecny na spotkaniu. Pytanie brzmi: co teraz zrobi z tą wiedzą? Jeśli go nie znajdziemy, jesteśmy ugotowani, wszyscy co do jednego.

Jake Lowe podszedł do okna, po czym odwrócił się do nich przodem.

— Myślę, że on niczego nie może zrobić — powiedział.

— A to niby dlaczego? — warknął Marshall. — Jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ta pozycja diabelnie pomaga człowiekowi zrobić, co zechce.

— Z wyjątkiem wyjawienia tego, co wczoraj usłyszał. — Lowe patrzył to na jednego, to na drugiego. — Co, twoim zdaniem, może zrobić? Wpaść do telewizji i ogłosić: „Chcę wydać ważne oświadczenie. Wszyscy moi doradcy, łącznie z wiceprezydentem, sekretarzem obrony, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego i przewodniczącym Połączonego Kolegium Szeffów Sztabów zażądali zamordowania prezydenta Francji i kanclerz Niemiec?”. Pierwsza rzecz, jaką by zrobili, to zamknęli go gdzieś i wezwali lekarza, potem hiszpańską policję i ambasadora Stanów Zjednoczonych. Doszliby do wniosku, że poprzestawiały mu się klepki. Hap Daniels ściągnąłby go tu w pięć minut. A im bardziej by protestował, tym bardziej by wyszedł na wariata. Co więcej, gdyby zrobił coś takiego na własną rękę, dałby dowód, że nikomu nie może ufać. Jest prezydentem, ponieważ my go wynieśliśmy na to stanowisko. Wśród osób, które zna, nie ma nikogo, kogo

my nie znamy. A znamy jeszcze więcej. I doskonale o tym wie. Nie uciekłby, gdyby nie była to jego ostatnia deska ratunku, gdyby się nie bał, że jeśli nie zrobi tego, czego żądamy, zabijemy go, a wtedy jego miejsce zajmie wiceprezydent Rogers, człowiek, którego pierwszym prezydenckim rozporządzeniem byłby nakaz zamordowania przywódców dwóch wielkich krajów. I marząc, że się tego boi, ponieważ naprawdę by zginął. I zabijemy go, jak tylko ściągniemy go tu z powrotem. Może i jest konserwatystą, ale jak dla nas jest również zdecydowanie zbyt niezależny. Popelniliśmy błąd, że nie widzieliśmy tego od samego początku. A teraz jest jak bomba zegarowa i może rzeczywiście szuka sposobu, żeby nas wydać. Ale niewiele może zrobić. Nie może się z nikim skontaktować, ponieważ wie, że wszystkie komórki, linie stacjonarne, faksy i wszelkie inne drogi elektroniczne są monitorowane przez wszystkie służby specjalne u nas i w Hiszpanii. Jeśli spróbuje gdzieś zadzwonić, namierzmy go w ciągu dziesięciu sekund, a rozmowa zostanie przerwana. Hiszpański wywiad albo nasi ludzie zdejmą go w ciągu kilku minut, a może sekund. Tak więc bez możliwości elektronicznego kontaktu może, jak na razie, tylko szukać kryjówki, żeby się gdzieś spokojnie zastanowić. Poza kilkoma gwiazdoram rocka czy filmu jest prawdopodobnie najbardziej znaną osobą na tej planecie. Nie robi nawet kroku, żeby go ktoś nie rozpoznał i nie zaczął o tym trąbić, a wtedy hiszpańska policja albo służby specjalne zjawiają się w mgnieniu oka, zgarną go z ulicy i skontaktują się z nami. Nieważne, co powie, przed upływem godziny będzie z powrotem z nami, a wszyscy uwierzą, że śmierć żony, męcząca kampania wyborcza, stres związany z pełnioną funkcją i tak dalej, wszystko to dało mu się we znaki i sprawiło, że puściły mu nerwy. Zbadają go lekarze, zalecą odpoczynek i relaks na łonie natury przed poniedziałkowym spotkaniem NATO w Warszawie. Zabierzemy go więc w ustronne miejsce i tam się nim zajmiemy. Dostanie ataku serca albo czegoś w tym rodzaju: smutne, tragiczne zakończenie dumnej i wielce obiecującej prezydentury.

— W porządku — odezwał się najbliższy przyjaciel prezydenta, Evan Byrd — ale jeśli to wcale nie jest jego robota? Co, jeśli naprawdę padł ofiarą przestępstwa?

— Wtedy możemy się tylko modlić, prawda? — powiedział niezręcznie Lowe. — Ale nie licz na to, Evan. Gdybyś widział wtedy na pokładzie Air Force One, jak nas odprawił, zrozumiałbyś, dlaczego tak mówię. Nie, nie, to wszystko jego gra. Chce nas pogrążyć. Nie wiem jak, ale na pewno spróbuje. Musimy przykręcić śrubę i mieć nadzieję, że dopadniemy go pierwsi.

HOTEL WESTIN PALACE. 7 KWIETNIA. 11.40

— Dzień dobry, Victorze.

— Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz, Richardzie.

Victor chodził po pokoju tam i z powrotem w samej bieliźnie z telefonem komórkowym przy uchu. Okna były zasłonięte, do środka nie wpadało jasne światło przedpołudnia. Na tacy przy drzwiach leżały resztki ze śniadania, które przyniesiono mu do pokoju — kawy, płatków zbożowych, szynki i jajek. Telewizor, nastawiony na kanał z filmami rysunkowymi, grał wyciszony.

— Chyba się tym nie martwisz, prawda? Zawsze dotrzymuję słowa, kiedy obiecuję, że zadzwonię. Może czasami trochę później, niżbyś chciał, ale zawsze dzwonię, tak czy nie, Victorze?

— Tak, Richardzie.

— Czy poszedłeś wczoraj wieczorem do hotelu Ritz, tak jak prosiłem?

— Oczywiście. Zamówiłem drinka w barze, jak kazałeś, potem wsiałem do windy z jakimiś gośćmi i pojechałem na pierwsze piętro. Potem poszedłem na drugie. Poprosiłeś, żebym spróbował się dostać na trzecie, gdzie mieszka prezydent. Winda była zablokowana i nie można było pojechać nią wyżej niż na drugie piętro, schodów pilnowali jacyś ludzie, chyba ochrona prezydenta. Kiedy mnie spytali, co tam robię, odparłem, że czekam na znajomego, z którym umówiłem się na drinka. Powiedzieli, że nie mogę wejść wyżej, więc podziękowałem im grzecznie i odszedłem. Dokończyłem w barze drinka, tak jak mi kazałeś, po czym wróciłem do hotelu. I od tamtej pory nigdzie więcej nie wychodziłem.

— Widzieli cię ludzie z ochrony.

— Tak, ale nie miałem z tego powodu nieprzyjemności.

— To dobrze, Victorze. Bardzo dobrze. — Richard przerwał. — Mam dla ciebie następne zadanie.

— Jakie?

— Chcę, abyś poleciał do Francji, na tor wyścigowy pod Paryżem.

— Dobrze.

— Spakuj się teraz, potem zjedź do recepcji i wymelduj się. Będzie na ciebie czekała koperta. W środku znajdziesz bilet na samolot do Paryża oraz instrukcje, co masz zrobić, kiedy się znajdziesz na miejscu.

— Czy to bilet pierwszej klasy?

- Oczywiście, Victorze.
- Czy mam się pakować od razu?
- Tak. Gdy tylko skończymy rozmawiać.
- Dobrze, Richardzie.
- Dziękuję, Victorze.
- Nie, Richardzie, to ja ci dziękuję.

11.45

Przy stoliku w kącie sali małej restauracyjki na starówce w Madrycie, jakieś dwa kilometry od hotelu Ritz, siedział wysoki, szczupły, nieco łysiejący mężczyzna w okularach, ubrany w czarny sweter, niebieskie dżinsy i buty sportowe. Bez pośpiechu popijał mocną kawę i obserwował ludzi powoli zapelniających lokal w porze lunchu. Dzięki temu, że mówił płynnie po hiszpańsku, mógł zachowywać się swobodniej i nie rzucić się w oczy jako obcokrajowiec. Jak dotąd, przez cały ranek, gdy krążył po ulicach i próbował zorientować się w okolicy, ludzie nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Miał nadzieję, że tak pozostanie i nikt się nie zorientuje, że samotnym mężczyzną siedzącym między nimi w kącie sali jest prezydent Stanów Zjednoczonych, John Henry Harris.

Dorastając, słyszał powtarzane do znudzenia podwójne upomnienie ojca. Jego pierwsza część brzmiała: „Myśl zawsze w ruchu i nie bój się działać, kiedy sytuacja tego wymaga”. Zaraz po niej następowała część druga: „Nie myśl, że gdy sprawy układają się po twojej myśli, to zostanie już tak na zawsze, ponieważ w każdej chwili wszystko się może zmienić i nie tylko może, ale zwykle się zmienia”.

Jeśli ta stała prawda, często niemile zgrzytając, przygotowała go na nagły i okrutny zwrot wydarzeń, który nastąpił w Madrycie, to dwie inne nauki pomogły mu nie mniej. Po pierwsze, jako młody człowiek pracował na farmach i ranczach w rodzinnym mieście Salinas w Kalifornii, gdzie nauczył się hiszpańskiego na tyle płynnie, że mógł swobodnie przerzucać się z jednego języka na drugi, i gdzie uczestniczył w różnych pracach, łącznie z opryskiwaniem pól z samolotu, skąd zresztą wziął się jego kryptonim w Secret Service. Po drugie, jako pomocnik na farmach nauczył się również stolarki. Później pracował w firmach budowlanych, głównie przy renowacjach starych budynków w Salinas, a potem dalej na północy, w San Jose. Znał więc całkiem

nieźle podstawy budownictwa, zasady konstrukcyjne, prawa mechaniki; nieobca mu była hydraulika, instalacje elektryczne, grzewcze i wentylacyjne; wiedział, jak wykorzystywać przestrzeń pod względem funkcjonalności i projektowania. Stare budynki wymagały specjalnej troski, zwłaszcza kiedy trzeba było montować centralne ogrzewanie lub klimatyzację i dostosowywać je do wnętrz, których nie projektowano z myślą o takich systemach. Hotel Ritz w Madrycie otwarto w 1910 roku. Od tamtej pory przechodził liczne renowacje. Harris nie wiedział, kiedy zainstalowano tam obecne systemy ogrzewania i klimatyzacji, ale wiedział, że Ritz jest dużym hotelem, co oznaczało, że szyby z rurami muszą być całkiem spore — główne prawdopodobnie około pół metra kwadratowego, poboczne dwa razy mniejsze. Poboczne przewody ukryto prawdopodobnie na korytarzach nad obniżonymi sufitami, a w pokojach w osobnych, wydzielonych miejscach. Do głównych szybów powinny prowadzić wbudowane drabinki, aby łatwo było się dostać do całego układu, od piwnicy aż po dach.

Harris wiedział, że ludzie z Secret Service przeszukają szyby i kanały wentylacyjne i długo przed przybyciem prezydenta upewnią się, że są bezpieczne. Główne wejścia na dachu i w piwnicy zostaną zamknięte. Ekipa ochrony nie wie jednak, że te same wejścia mają zamontowane od wewnątrz zamki bezpieczeństwa, aby przez przypadek nie uwięziono nikogo w środku. Znaczy to, że klapy można otworzyć od środka i zamkną się one automatycznie z powrotem po zatrzaśnięciu. Biorąc pod uwagę, że w budynkach przeznaczonych do celów komercyjnych wykorzystuje się każdy wolny skrawek przestrzeni — a Ritz jako stary budynek po wielu renowacjach nie będzie pod tym względem wyjątkiem — istniało wielkie prawdopodobieństwo, że dolne ujęcie szybów wentylacyjnych zostało poprowadzone do istniejących pomieszczeń — magazynu, kotłowni, może nawet pralni.

Na tej właśnie wiedzy i na tym założeniu Johnny Harris oparł swój plan ucieczki. Zajął mu ona prawie dwie godziny i była dużo trudniejsza, niż się spodziewał. Poboczne szyby okazały się mniejsze, niż przewidywał, kilkakrotnie dotarł w ślepy zaułek i musiał wracać po omacku po własnych śladach; zużył kilka pudełek zapalek, aby oświetlić sobie drogę, zanim wreszcie dotarł do głównego szybu i ruszył w dół.

Zdarł sobie skórę na kostkach palców i na łydce do żywego mięsa, każdy mięsień bolał go z wysiłku, w końcu jednak okazało się, że instynkt go nie zawiódł i wkrótce główny szyb wentylacyjny skończył się klapą otwieraną od środka i wychodzącą do dużego magazynu w piwnicy. Kiedy puścił klapę,

zamek zaskoczył automatycznie, a on ruszył krótkim, słabo oświetlonym korytarzem w kierunku wyjścia na rampę rozładunkową i ukrył się za dużą chłodnią do czasu, gdy około trzeciej nad ranem podjechał samochód dostawczy. Czekał na właściwy moment, obserwując uważnie, jak trzech mężczyzn wyładowuje towar. W końcu, kiedy pracownicy wsiedli do kabiny, żeby podpisać dokumenty dostawcze, wśliznął się pod plandekę i ukrył za stertą skrzyń z sałatą, dopóki kierowca nie skończył załatwiać formalności i nie odjechał. W ten sposób Harris przejechał obok własnej ochrony i hiszpańskich służb bezpieczeństwa. Następnym przystankiem dostawcy był inny hotel, kilka przecznic dalej. Tutaj prezydent odczekał, aż kierowca wejdzie do środka, po czym po prostu zeskokczył z samochodu i odszedł w ciemność.

Teraz, kiedy dochodziło południe, siedział w dalszym ciągu nierozpoznany, popijał kawę w małej restauracyjce na starym mieście, w tylnej kieszeni spodni miał portfel z kalifornijskim prawem jazdy, prywatną kartą kredytową i prawie tysiącem euro w gotówce. Za to na głowie nie miał tupeciku, o którym nie wiedział nikt poza jego osobistym fryzjerem. Zdając sobie sprawę, jakie zamieszanie wybuchnie, kiedy jego zniknięcie wyjdzie na jaw, starał się zdecydować, w jaki sposób najlepiej będzie dostać się stąd w miejsce, które wybrał na punkt swego przeznaczenia, i jak to zrobić, aby nikt go nie rozpoznał i nie wszczął alarmu.

36

HOTEL RITZ. 11.50

Na całym trzecim piętrze wrzało jak w ulu, tak jak to Hap Daniels dokładnie przewidział. Rzecznik prasowy Białego Domu miał wygłosić specjalne oświadczenie przed tłumem dziennikarzy z różnych krajów, którzy najechali hotel i powiększyli jeszcze chaos wywołany przez akredytowanych dziennikarzy towarzyszących prezydentowi Harrisowi w podróży po Europie. Rozeszła się pogłoska, że prezydenta nie ma już w Madrycie, że w środku nocy wywieziono go w tajemnicy w bezpieczne miejsce po tym, jak wywiad hiszpański otrzymał bardzo wiarygodną informację o planowanym zamachu terrorystycznym. Wysoki funkcjonariusz Secret Service nadzorujący śledztwo, Daniels, pozostawał w stałym kontakcie z szefem madryckiej placówki CIA, George'em Kellnerem, i szefem hiszpańskiego wywiadu Emiliem Vasquezem. Mieli utworzyć biuro połączonych sił do zadań specjalnych, które

koordynowałyby działania tych instytucji z miejscowymi władzami i policją w celu prowadzenia jak najszerzej zakrojonych i intensywnych poszukiwań prezydenta Stanów Zjednoczonych, zaklasyfikowanych jako operacja rangi bezpieczeństwa narodowego, czyli ściśle tajna pod każdym względem. Wkrótce potem Daniels, korzystając ze specjalnej linii, rozmawiał z głównodowodzącym agentem Secret Service w Paryżu i poprosił, aby postawił oddział paryski w stan najwyższej gotowości na wypadek, gdyby w Madrycie potrzebowano dodatkowych ludzi. Wkrótce, jakby mało było jeszcze zamieszania, do całego tego bigosu dołączył Ted Langway, zastępca dyrektora Secret Service przy Senacie Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Langway leciał już do Madrytu, aby nawiązać kontakt z Danielsem, a następnie ustanowić dwudziestoczerogodzinny kanał komunikacyjny z dyrektorem waszyngtońskiego biura Secret Service, który z kolei służyłby radą sekretarzowi Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, któremu obecnie podlegało Secret Service.

Potem znaleziono ślad, który doprowadził Hapa do szybu wentylacyjnego w suficie łazienki w apartamencie prezydenckim.

Drobiazgowo badanie materiału nagranych przez cyfrowe kamery systemu ochrony zamontowane na dachu wykazało, że o trzeciej zero dwie pod hotel podjechał samochód dostawczy. Został zatrzymany, przeszukany przez agentów Secret Service i wpuszczony na teren hotelu. Kamery na parkingu podziemnym pokazały tę samą ciężarówkę podjeżdżającą do rampy na wprost magazynu hotelowego o trzeciej zero osiem.

Pracownik hotelu i kierowca ciężarówki wyładowali kilka kartonów z produktami spożywczymi, po czym wsiedli do kabiny samochodu, aby podpisać dokumentację dostawy. W tym momencie dostrzeżono niewyraźny kształt przemieszczający się za ciężarówką. Wyszedł zza chłodni, zbliżył się do bagażowej części samochodu, po czym zniknął. Chwilę później pracownik hotelu wrócił na rampę, a kierowca samochodu usiadł za kierownicą i odjechał. Kamery na zewnątrz budynku zarejestrowały odjeżdżający samochód, który skręcił w boczną uliczkę i zniknął z pola widzenia.

— Ktoś wsiał do ciężarówki, kiedy kierowca z magazynierem poszli podpisać dokumenty. Ktokolwiek to był, siedział w samochodzie, kiedy ten wyjeżdżał z hotelu — warknął Hap Daniels, komentując to, co zobaczył.

Natychmiast znaleziono kierowcę ciężarówki, a ten podał im adresy, pod które zawiózł kolejne dostawy po opuszczeniu hotelu Ritz.

Tymczasem ludzie z Secret Service z pomocą pracowników ochrony hotelowej przeszledzili drogę tajemniczego cienia, puszczać kasetę wstecz — od samochodu do wielkiej chłodni, a następnie ciemnego korytarza na tyłach. Przeszukali każde pomieszczenie i przejście, do którego można było dostać się z korytarza. W mgnieniu oka trafili do dużego magazynu, a w nim znaleźli wylot szybu z głównymi przewodami grzewczymi i klimatyzacyjnymi, biegnący na dach i po drodze rozgałęziający się do wszystkich pokoi na każdym piętrze. Pierwszy raz na długo przed przybyciem prezydenta drzwi wejściowe do szybu sprawdzała ekipa Secret Service, potem drugi raz tuż przed jego przyjazdem, dlatego wydawało się, że nikt nie mógłby dostać się do środka z zewnątrz, przejść do apartamentu prezydenta, porwać go, a potem wyprowadzić tą samą drogą, zwłaszcza że kamera na dachu sфотографowała tylko jedną sylwetkę wsiadającą do samochodu.

W jednej chwili wszyscy uświadomili sobie następującą rzecz: całe ich postępowanie ukierunkowane było na to, aby uniemożliwić komukolwiek wejście do hotelu, nie zaś wydostanie się z budynku na zewnątrz, zwłaszcza kogoś, kto doskonale znał koncentryczne rozstawienie agentów Secret Service — jak sam prezydent Stanów Zjednoczonych. Co więcej, wyglądało na to, że starannie wszystko przemyślał i zaplanował. Przegląd ubrań zapakowanych przez jego pokój owca przed wyjazdem z Waszyngtonu ujawnił, czego brakowało: dodatkowego kompletu bielizny, sportowych skarpetek, butów do biegania, czarnego swetra i dżinsów. Było to ubranie, w którym prezydent lubił się odprężyć po skończonym dniu. Zniknął również jego portfel. Nikt nie wiedział dokładnie, ile mógł mieć w nim pieniędzy, jednak jego osobista sekretarka zeznała, że przed wyjazdem do Europy przekazała mu tysiąc euro. Ten nawyk, aby nosić przy sobie sporo pieniędzy, pozostał mu z czasów pracy na farmie, kiedy za wszystko płacił gotówką.

W odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób prezydent wydostał się z apartamentu, a potem z hotelu niezauważony przez ochronę Secret Service, ludzie z obsługi technicznej zademonstrowali, że drzwi wejściowe do głównego szybu w piwnicy i na dachu można otworzyć od środka i wyjść, a wtedy kłapa zatrzaśnie się automatycznie. Co więcej, ów główny szyb miał na całej długości zamontowane szczebelki, a boczne kanały biegnące do pokoi gościnnych były na tyle szerokie, aby mógł się nimi przecisnąć człowiek.

Z początku Hap Daniels odnosił się sceptycznie do koncepcji, że prezydent działał sam i z własnej woli wykorzystał przewody wentylacyjne, aby uciec z hotelu, jednak rozstrzygającym argumentem okazało się znalezienie

na dnie szybu w piwnicy kilkudziesięciu świeżo wypalonych zapalek. Przyjaciel prezydenta Evan Byrd z zamiłowaniem palił fajkę i w jego domu przy każdej popielniczce leżała kolekcja ozdobnych pudełek z zapalkami. Zszłego wieczoru Daniels widział, jak prezydent, wychodząc, wziął ze stolika kilka takich paczek i schował do kieszeni. O ile Daniels wiedział, Harris nigdy nie palił papierosów, nie mógł więc odgadnąć, po co mu zapalki. Zrozumiał dopiero teraz. Chciał sobie oświetlić nimi drogę w szybie wentylacyjnym, aby nie zapalać światła elektrycznego, które mogłoby ściągnąć czyjąś uwagę i wszcząć alarm.

— Hap? — dotarł do niego z innego pomieszczenia głos Jake'a Lowe'a.

— Tu jestem.

Chwilę później Lowe i Marshall weszli do łazienki apartamentu prezydenckiego, gdzie Daniels z dwoma innymi pracownikami Secret Service badali otwarte wejście do szybu w suficie.

— Tędy wszedł do szybu — oznajmił Hap, patrząc na kanał z rurami, gdzie słychać było kręcącego się trzeciego agenta. — Znalazłeś coś?! — zawołał.

— Tak. — W otworze pojawiła się nagle głowa mężczyzny. — Tutejsi technicy mieli rację. Wystarczy tu wejść i zamknąć za sobą klapę. Od środka działa zwykła zasuwka. Nikt się nie zorientuje, że ktoś przy tym grzebał.

— Ale jak to otworzył od zewnątrz? Do tego trzeba klucza.

— Chcieć to móc. Łap. — Powiedział agent i rzucił Danielsowi na rękę wygięty kawałek metalu. — Łyżka. Wystarczy wygiąć i można się nią posłużyć jak kluczem. Dość prymitywne, ale działa. Sprawdziłem.

Lowe popatrzył na łyżkę, po czym podniósł wzrok na Jima Marshalla

— Kanapka, piwo, lody. Żeby zjeść lody, potrzebna jest łyżeczka. Przez cały czas wiedział, co zamierza zrobić. — Odwrócił się raptownie do Daniela. — Chodźmy pogadać.

37

12.00

Minutę później Lowe, Jim Marshall i Hap Daniels weszli do pokoju, w którym wcześniej prowadzili narady. Lowe zamknął za nimi drzwi.

— Myślę, że w chwili obecnej możemy już przyjąć z całą pewnością, że prezydent opuścił hotel z własnej woli. — Lowe popatrzył na Danielsa. — Zgadza się pan ze mną?

— Tak — odparł Hap. — Pytanie tylko: dlaczego?

Lowe i Marshall wymienili przelotne spojrzenia, po czym Lowe przeszedł na drugi koniec pokoju.

— Rzecz jasna nikt z nas nie zna odpowiedzi na to pytanie — rzekł. — Moim zdaniem, ostatnie wydarzenia potoczyły się dla niego za szybko, znalazł się na granicy psychicznego wyczerpania. Nie jestem psychologiem, ale ta podróż, jej przebieg, zwłaszcza spotkania we Francji i w Niemczech, w dodatku tuż po długiej i męczącej kampanii wyborczej, mogły być kroplą, która przepełniła czarę. Niespodziewane wprowadzenie na urząd, dostrajanie gabinetu, wydarzenia na Bliskim Wschodzie... Jest silny, ale nawet dla najtwardszego człowieka byłyby to niezwykle męczące przeżycia. Wiem to, ponieważ wiele razy rozmawiałem z nim o tym prywatnie. Zapytał mnie nawet kiedyś, czy uważam, że nadaje się do tej roboty. Niech pan doda do tego śmierć żony; on nigdy o tym nie mówi, ale ja wiem, jak to go dręczy. Proszę pomyśleć: wygrywa wybory, a potem po raz pierwszy od trzydziestu trzech lat spędza samotne święta w Białym Domu. Do tego wszyscy wiemy, jak bardzo przyjaźnił się z Mikiem Parsonsem, jego żoną i synem. Gdyby jeszcze lubił sobie ponarzekać, wkurzyć się albo raz na jakiś czas zalać robaka, może wtedy byłoby inaczej. Ale on taki nie jest. Poskładajcie to sobie, a zobaczycie faceta, który dusił to wszystko, aż w końcu coś w nim pękło. Przyszedł moment, kiedy kryzys spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Musiał zrobić coś zwariowanego, żeby się nie udusić. Tej bajeczki, którą Dick Green właśnie opowiada na dole dziennikarzom: że w środku nocy Secret Service wywiozło go w ukryte miejsce na wieść o poważnym zagrożeniu terrorystycznym, o którym nie możemy mówić, będziemy się trzymać nawet wtedy, gdy sprowadzimy go z powrotem. W ten sposób zyska czas, żeby go przebadali lekarze, a jeśli się okaże, że nic mu nie jest, zdąży wypocząć i powrócić do formy przed spotkaniem NATO w Warszawie.

Lowe wrócił na drugi koniec pokoju. Przedtem mówił do nich obydwu, teraz słowa skierował wprost do Hapa Danielsa.

— Wiemy, w co był ubrany, kiedy wyszedł, i znamy miejsca, gdzie zatrzymywała się ciężarówka po wyjeździe z Ritza. Jest sam, może być nieco zdezorientowany. Przecież to nie pierwszy lepszy turysta, który może sobie

chodzić po ulicach nierozpoznany. Mamy pańskich ludzi, CIA, hiszpański wywiad i miejscową policję. Nie sądzę, aby przy tych siłach prezydent Harris przepadł na długo.

Daniels nie odpowiedział. Po prostu miał tylko nadzieję, że Lowe się nie myli.

— Sekretarz generalny przygotowuje miejsce, dokąd go zabierzemy po odnalezieniu. My zaś, czyli Jim, ja, sekretarz generalny, rzecznik prasowy w Madrycie, wiceprezydent i sekretarz stanu w Waszyngtonie, musimy zwodzić rządy innych państw i media, dopóki nie będziemy mogli pokazać go znowu publicznie. Pańskim zadaniem jest znaleźć go i wywieźć stąd szybko i dyskretnie w oznaczone miejsce. Dwa razy udało wam się po cichu zawieźć prezydenta Busha do Iraku i to tak, że zdążył wrócić do rodzinnego Teksasu i nikt o tym nie wiedział. — Lowe przerwał i zmrużył oczy. — Hap, teraz musimy działać tak samo skutecznie. Sytuacja jest znacznie poważniejsza.

— Rozumiem. To się stało na naszej wachcie. Zajmiemy się.

— Wiem o tym, Hap. — Lowe popatrzył na Marshalla, po czym poprowadził Daniela do drzwi i otworzył je. — Powodzenia. Wszystkim nam będzie ono potrzebne. — Kiedy agent specjalny Daniels wyszedł, Lowe zamknął za nim drzwi i wrócił do pokoju. — Myślisz, że to kupił?

— Co? To, że prezydentowi puściły nerwy?

— Tak.

— Nie bardzo miał wybór. Jest przyparty do muru. Prezydent zniknął i to podczas jego służby. Czuje się za to osobiście odpowiedzialny. On chroni nie tylko człowieka, chroni urząd. Zależy mu dokładnie na tym samym co nam: żeby Harris wrócił szybko i bez szumu, tak jakby w ogóle nigdy nie wychodził.

Lowe podszedł do mahoniowego kredensu, przygotował dwie szklanki, nalał do obydwu podwójną porcję whisky, po czym podał jedną Marshallowi.

— Wygląda na to, że mamy prezydenta, który wie, czego chce, i ma własne wyobrażenie o rządzeniu krajem. — Lowe pociągnął solidny łyk alkoholu. — Przez te wszystkie lata, kiedy go znałem, nie miałem pojęcia, że nie jest graczem zespołowym. Aż do dzisiaj.

Marshall łyknął whisky i odstawił szklankę na stolik.

— To będzie upokarzająca lekcja, Jake — powiedział. — I prezydent przyplaci ją życiem. Miejmy tylko nadzieję, że nie okaże się tak samo kosztowna dla nas.

12.25

Nicholas Marten usłyszał zgrzyt wysuwającego się podwozia lądującego samolotu. Dziesięć minut później szedł w stronę terminalu lotniska El Prat w Barcelonie. Po dwudziestu minutach odebrał swój bagaż i czekał w kolejce na autobus, który miał go zawieźć do miasta. Jeszcze przed chwilą pochłaniały go myśli o Merrimanie Foksie, Demi Picard i krótkiej rozmowie telefonicznej z Peterem Faddenem w czasie oczekiwania na samolot z Malty, teraz jego uwaga skierowała się na mężczyznę stojącego w kolejce trzy osoby za nim. Był biały, miał około metra siedemdziesięciu pięciu, mniej więcej czterdzieści lat i szpakowate włosy. Nosił okulary przeciwsłoneczne i cienką żółtą koszulkę polo wsuniętą w dżinsy, a na lewym ramieniu miał niedbale zarzuconą małą czerwoną torbę podróżną. Wyglądał na turystę, człowieka przyzwyczajonego do częstego podróżowania bez zbędnego bagażu. Ogólnie biorąc, nie było w nim nic, co przyciągało uwagę, i Nicholas prawdopodobnie nawet by go nie zauważył, gdyby nie widział, jak tamten kiwnął lekko głową, gdy mijają młodego mężczyznę w dżinsach i workowatej marynarce, który kręcił się wokół niego w holu hotelowym w Valletcie, a potem razem z nim leciał do Rzymu i z Rzymu do Barcelony. Tamtego nigdzie w pobliżu nie było, za to pojawił się ten drugi i stał za nim w kolejce do autobusu. Jeśli tamten młody człowiek naprawdę go śledził, to teraz ktoś go zmienił.

12.30

Szpakowaty mężczyzna siedział w autobusie dwa rzędy przed nim po drugiej stronie przejścia i wyglądał przez okno. Wyjeżdżali z lotniska i kierowali się w stronę miasta. Nicholas obserwował tamtego przez dłuższą chwilę, potem usiadł wygodnie i spróbował się odprężyć. Był piątek siódmego kwietnia. Dwa dni temu waszyngtońska policja odwiozła go pod eskortą prosto z pogrzebu Caroline na lotnisko i wsadziła do samolotu do Londynu, dokąd przyleciał następnego dnia, czyli wczoraj, i zaraz potem wyleciał na Maltę. Po wczorajszym spotkaniu z Merrimanem Foksem w pośpiechu opuszczał dziś rano wyspę, podążając w ślad za Demi Picard do Barcelony.

Był wykończony, niewiele przez te kilka dni spał i na nogach trzymała go chyba tylko adrenalina. Zdawał sobie sprawę, że w takim stanie łatwo wziąć niewinne zwierzątko futerkowe za potwora. Mógł absolutnie nie mieć racji co do szpakowatego mężczyzny w żółtej koszulce polo, mogło mu się przywidzieć, że kiwnął głową do młodego człowieka w workowatej marynarce. Przestał więc o tym myśleć i skupił się z powrotem na rozmowie z Peterem Faddenem. Złapał go w Londynie, gdzie dziennikarz „Washington Post” przesiadał się w drodze na szczyt NATO w Warszawie.

Zrelacjonował mu w skrócie przebieg spotkania z Merrimanem Foksem w Cafe Tripoli, opowiedział, jak podał się za asystenta przewodniczącej podkomisji do spraw terroryzmu, Jane Dee Baker, i jak początkowo ujmujące maniry Foksa szybko ochłodziły, kiedy Marten zaczął zadawać pytania o eksperymenty z niebezpiecznymi toksynami po okresie, kiedy południowoafrykańska broń biologiczna uległa rzekomemu zniszczeniu. Zesztywniał jeszcze bardziej, gdy Marten opowiedział mu zmyśloną historyjkę o nocce Mike'a Parsonsa sugerującej, że Merriman Foxx konsultował się potajemnie z doktor Lorraine Stephenson podczas trwania przesłuchań i że dodatkowo kwestionował jego prawdomówność podczas zeznań. Foxx zareagował gwałtownie, broniąc swoich zeznań i zaprzeczając, jakoby znał doktor Stephenson. Po tym raptownie zakończył rozmowę i wyszedł.

Wreszcie opowiedział Faddenowi, jak Caroline opisywała mu „białowłosego człowieka z odrażającymi długimi palcami i okropnym kciukiem z krzyżykiem zakończonym kulkami”, który badał ją w szpitalu po załamaniu nerwowym. Wyraźnie się go bała.

— Peter — rzekł Marten z naciskiem. — Foxx nie tylko ma białe włosy, ma również wyjątkowo długie palce i taki sam tatuaż na kciuku. Jestem pewien, że był zamieszany w zamordowanie Caroline Parsons i śmierć Lorraine Stephenson. I jeszcze jedno. Kiedy go spotkałem, jadł kolację z kapela-
nem Kongresu, Rufusem Beckiem.

— Z Beckiem? — powtórzył Fadden zaskoczony.

— Wcale nie próbowali tego ukrywać, chociaż myśleli, że Foxx ma się spotkać ze współpracownikiem Jane Baker.

— Nie rozumiem tego — powiedział Fadden.

— Ja też nie. Wielebny Beck i doktor Foxx powinni trzymać się od siebie jak najdalej.

— A jednak wcale się nie krępowali jeść razem kolację, w dodatku w obecności kogoś, o kim myśleli, że pracuje dla przewodniczącej podkomisji, przed którą zeznawał Foxx.

— I to w ramach ściśle tajnego dochodzenia.

Nicholas zrelacjonował Faddenowi resztę: że na kolacji w Cafe Tripoli towarzyszyła obydwu mężczyznom francuska fotoreporterka, Demi Picard, która ostrzegła Martena na osobności, żeby „trzymał się z daleka”, zanim „wszystko popsuje”, i że dzisiaj z samego rana Foxx i Beck wyjechali z Malty w nieznanym kierunku, a Demi wkrótce potem poleciała do Barcelony do hotelu Regente Majestic, dokąd właśnie jechał.

— Peter — zakończył Nicholas, kiedy z głośników zapraszano pasażerów do samolotu — spróbuj się dowiedzieć, do jakiego szpitala zabrano Caroline po zastrzyku doktor Stephenson, zanim przewieziono ją do kliniki Jerzego Waszyngtona. Leżała tam co najmniej kilka dni. Muszą mieć jakąś dokumentację z jej pobytu, chociażby kto ją leczył i na co.

Poczuł, że autobus zwalnia. Podniósł głowę. Mężczyzna w ciemnych okularach i żółtej koszulce polo nie spuszczał z niego oka. Przyłapany, uśmiechnął się jakby od niechcienia i odwrócił w stronę okna. Kilkanaście minut później autobus zatrzymał się na pierwszym przystanku na Placa Espanya. Czworo pasażerów wysiadło, troje wsiadło, po czym autobus odjechał. Dwa przystanki dalej, na Placa Universitat, trójka następnych pasażerów zebrała swój bagaż i opuściła autobus. Marten obserwował uważnie szpakowatego mężczyznę z nadzieją, że wysiądzie razem z nimi, ale nie wysiadł. Kierowca zamknął drzwi i ruszył dalej.

Miał wsiąść na następnym przystanku, przy Placa Catalunya, kilka kroków od hotelu Regente Majestic. Autobus zjechał do krawężnika i Nicholas podniósł się z siedzenia razem z kilkoma innymi pasażerami. Wziął swoją torbę i ruszył do drzwi z przodu. Idąc, zerkał na podejrzanego mężczyznę, ale ten siedział wygodnie oparty, z dłońmi splecionymi na kolanach i wyglądał, jakby miał zamiar jechać dalej. Marten wyszedł ostatni. Ominął ludzi czekających na przystanku, aby wsiąść do środka, po czym ruszył szukać ulicy Rambla de Catalunya i hotelu Regente Majestic. Chwilę później minął go autobus, który odjechał z przystanku i włączał się z powrotem do ruchu. Przez chwilę Nicholas szedł prosto przed siebie, ale coś mu nakazało się odwrócić. Mężczyzna o szpakowatych włosach w żółtej koszulce polo stał na przystanku i patrzył w jego stronę.

MADRYT; DWORZEC ATOCHA. 13.05

Ze złożoną hiszpańską gazetą „El Pais” pod pachą prezydent Harris szedł peronem w tłumie innych pasażerów do pociągu Alaria numer 1138, który miał go w pięć i pół godziny zawieźć do Barcelony. Tam zamierzał się przesiąść do Catalunya Expressu i po następnej godzinie znaleźć się w dawnym mauretańskim mieście-twierdzy Geronie.

Przemyślał wszystko poprzedniego wieczora w drodze powrotnej do hotelu po owej zaskakującej wizycie u Evana Byrda i niespodziewanym spotkaniu z „przyjaciółmi”, jak ich nazwał Byrd. Od początku nie miał wątpliwości, że jeśli odmówi ich żądaniom, zabiją go. A to oznaczało, że pozostało mu tylko jedno wyjście: uciekać. Tyle tylko, że nawet wymknąć się własnym ochroniarzom z Secret Service nie było łatwo, a potem czekało go jeszcze trudniejsze zadanie.

W programie jego europejskiej podróży zarezerwowano czas na wystąpienie przed dostojnym gronem międzynarodowych biznesmenów, naukowców oraz byłych przywódców politycznych na corocznej konferencji Instytutu Nowego Świata poświęconej przyszłości rodzaju ludzkiego.

W ciągu dwustu lat swego istnienia spotkania INŚ odbywały się w różnych egzotycznych miejscach na całym świecie, jednak od dwudziestu dwóch lat instytut założył stałą siedzibę w luksusowym ośrodku w górach pod Barceloną, Aragonie. Nowo obrany prezydent Stanów Zjednoczonych Harris został w tym roku zaproszony jako gość specjalny, aby wygłosił mowę na niedzielnej mszy porannej. Zgodził się za namową duchownego, który miał rozpocząć tegoroczne nabożeństwo, rabina Davida Aznara, kuzyna swej zmarłej żony, a zarazem szanowanego nestora ogromnej żydowskiej społeczności Gerony.

Fakt, że żona Harrisa była Żydówką, wydawał się z początku kłopotliwy dla jego kariery, okazało się jednak, że obawy były bezpodstawne. Ludzie dosłownie ubóstwiali dowcipną, inteligentną, otwartą, niezwykłą towarzyszkę życia Harrisa. Oboje pogodzili się ze smutnym faktem, że nie mogła mieć dzieci, a kiedy John wspinał się po drabinie kariery politycznej, świat ich wziął w objęcia, jak gdyby cały elektorat był ich rodziną. Nieprzerwanie sływały do nich zaproszenia na wakacje lub święta od osób z najróżniejszych środowisk ekonomicznych, rasowych, religijnych. Często przyjmowali

te zaproszenia. Uwielbiały to media, ludzie, cały polityczny aparat Johna Harrisa, a przede wszystkim on i jego żona.

To za jej pośrednictwem prezydent poznał rabina Davida. Zaprzyjaźnili się i zacieśnili te więzy zwłaszcza w trakcie choroby jego żony, kiedy to rabin wielokrotnie przyjeżdżał z Hiszpanii do Waszyngtonu. Był tu, kiedy zmarła, odmówił modlitwy na jej pogrzebie; towarzyszył mu i uściśkał go w noc elekcji; na ceremonii zaprzysiężenia był jego osobistym gościem; a potem zaprosił go jako specjalnego mówcę na konferencję w Aragonie. To właśnie do domu rabina w Geronie jechał teraz prezydent Harris, jedynej osoby w tym kraju, której ośmieliliby się zaufać i zwierzyć, i jedynej miejsca, gdzie mógł się ukryć.

Ze spuszczoną głową doszedł do pociągu i wszedł do wagonu drugiej klasy. Stał w tłumie pasażerów z tą samą bezpretensjonalną skromnością, z jaką na dworcu czekał w kolejce do kasy, aby kupić bilet. Tak samo starał się zachowywać przez cały czas — na ulicach Madrytu i w kawiarni, gdzie się schronił przed przyjazdem na dworzec kolejowy. Starał się wmieszać w tłum, nie ściągać na siebie uwagi. Jak na razie szczęście mu dopisywało, nikt go nie zauważał.

Na razie.

Zdawał sobie sprawę, że w tej chwili Hap Daniels postawił już na nogi cały hiszpański wywiad, FBI, CIA i kilka innych instytucji i wszyscy uwijają się jak w ukropie, aby go ściągnąć z powrotem pod skrzydła Secret Service. Pewien był również, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego posłuży się satelitami, aby śledzić połączenia elektroniczne w całej Hiszpanii. Właśnie dlatego zdecydował się zostawić w hotelu wszelkie urządzenia komunikacyjne — telefon komórkowy, blackberry. Wiedział, że każda próba kontaktu zostanie przechwycona w ciągu kilku sekund, a oni będą mu siedzieć na karku, za nim ujdzie pół przecznicy.

Zaledwie kilka godzin wcześniej był najpotężniejszym i najlepiej chronionym człowiekiem na świecie. Miał na wyciągnięcie ręki najbardziej wpływowe organizacje i najnowocześniejszy sprzęt. Teraz został zdany na siebie i własny spryt i inteligencję. I miał za zadanie powstrzymać pierwszy prawdziwy coup d'état w historii Stanów Zjednoczonych. Musiał go nie tylko powstrzymać, ale zdusić w zarodku. Zamordowanie przywódców Francji i Niemiec, aby zastąpić ich zaufanymi ludźmi, było tylko początkiem, pierwszym krokiem na drodze do podporządkowania sobie Bliskiego Wschodu i zniszczenia niezależnych krajów muzułmańskich. Groza przejmowała Harrisa na myśl o tym, w jaki sposób ci ludzie chcą przeprowadzić

swój plan. To miała być kampania masowej zagłady, a zaplanował ją bez wątpienia i wprowadzał w życie dawny naukowiec armii RPA, Merriman Foxx. Zapowiadał się koszmar na niewyobrażalną skalę.

Źle leży głowa, kiedy tkwi w koronie
Henryk IV, część druga,
przeł. Bogdan Drozdowski.

13.22

Wagonem szarpnęło i pociąg powoli wytoczył się ze stacji Atocha. Przedział, który wybrał Harris, był prawie pełny, więc usiadł na pierwszym lepszym wolnym miejscu obok mężczyzny mniej więcej w jego wieku, ubranego w skórzaną kurtkę i beret i czytającego jakąś gazetę. Aby nie rzucić się w oczy, prezydent rozłożył gazetę i zaczął czytać. Jednocześnie starał się obserwować, co się dzieje wokół niego, czy ktoś — stary, młody, mężczyzna czy kobieta — może być członkiem poszukujących go sił bezpieczeństwa.

Wiedział od samego początku, że kiedy Secret Service dowie się o jego zniknięciu, nie tylko rozpocznie zmasowaną i zarazem potajemną obławę, ale przeszuka również każdy centymetr kwadratowy apartamentu prezydenckiego, próbując poskładać w całość, co się właściwie wydarzyło. Wśród przesłuchiowanych osób znajdzie się jego pokojowiec, któremu nakażą zrobić błyskawiczny spis inwentarza, dzięki czemu ustalą, że wychodząc z hotelu, prezydent miał na sobie czarny sweter, niebieskie dżinsy i sportowe buty. Całe to ubranie leżało teraz w kontenerze na śmieci w małym zaułku madryckiej starówki, a zastąpiły je spodnie w kolorze khaki, niebieska sportowa koszula, tania brązowa marynarka i zwyczajne brązowe trzewiki. Za wszystko zapłacił gotówką w domu towarowym El Corte d'Ingles. Dodał do tego tanie okulary do czytania, kupione w sklepie przy dworcu kolejowym, i zrobił coś, co jego zdaniem pomogło najbardziej w zmianie wizerunku: zdjął z głowy tupecik. Zarówno Hap Daniels, jak i cała reszta będą szukać prezydenta takiego, jakiego znają, a nie łysawego mężczyzny w okularach. Wyglądał teraz na pomniejszego urzędnika państwowego lub może dyrektora szkoły publicznej, czytającego hiszpańską gazetę w przedziale drugiej klasie pociągu jadącego do Barcelony.

BARCELONA; HOTEL REGENTE MAJESTIC. 14.25

— Czy pani Picard już przyjechała? — Nicholas uśmiechnął się do atrakcyjnej recepcjonistki. — Nazywam się Marten, pracuję w „Washington Post”. Powiedziano nam, żebyśmy zgłosili się tu po przydział pokoi.

— Przepraszam, ale nie rozumiem. — Recepcjonistka się uśmiechnęła.

— Przyjechaliśmy do Barcelony na Konferencję Dziennikarzy i Fotoreporterów. Nazywa się Picard. P-I-C-A-R-D. Imię: Demi.

— Chwileczkę. — Palce kobiety zatańczyły na klawiaturze komputera. — Tak, pani Picard zameldowała się około południa — odparła, nie podnosząc oczu znad monitora. — A pan się nazywa...

— Marten. Przez „e”. Nicholas Marten.

— Niestety, nie mam dla pana rezerwacji, panie Marten. Może pod jakimś innym nazwiskiem?

— Hm... — mruknął Nicholas z wahaniem. Kobieta sama podsuwała mu szansę, byłby głupcem, gdyby z niej nie skorzystał. — Firma miała mi dokonać rezerwacji razem z grupą towarzyszącą wielbnemu Rufusowi Beckowi z Waszyngtonu. Wielbny Beck również się już zameldował, prawda?

Dłonie kobiety znowu zatańczyły na klawiaturze.

— Pan Rufus Beck rezerwował u nas pokój, ale jeszcze nie przyjechał.

A więc miał rację. Demi Picard przyjechała tu za Beckiem.

— I mówi pani, że nie ma dla mnie rezerwacji? — zapytał z rozbijającą szczerością.

— Nie, proszę pana.

— Obawiałem się, że coś takiego się wydarzy. Nigdy nie powierzaj poważnych zadań nowej sekretarce. — Odwrócił głowę w bok, jak gdyby próbował podjąć decyzję, co ma robić dalej, a po chwili popatrzył z powrotem na kobietę. — Macie jakiś pokój? Może być cokolwiek. — Uśmiechnął się. — Proszę, mam już za sobą ciężki dzień, a to dopiero początek.

Kobieta popatrzyła nań ze współczuciem.

— Proszę poczekać, zobaczę, co mi się uda znaleźć.

Pokój numer 3117 był mały, ale okno wychodziło na ulicę i Nicholas stał teraz przy nim i patrzył na dół. Niechętnie posłużył się w recepcji własnym nazwiskiem, ale przyjechał tu niespodziewanie, nie zdążył się zaopatrzyć w fałszywe dokumenty, więc nie miał wyboru.

Był za to przekonany, że zgubił ogon — szpakowatego faceta w żółtej koszulce polo. Nie miał wątpliwości, że mężczyzna go śledził. Szedł za nim w sporej odległości przez pierwsze pięć przecznic od przystanku na Placu Catalunya. Nicholas z rozmysłem wszedł do baru przy ulicy Pelai, zjadł tam lekki lunch i przesiedział prawie godzinę. Potem, udając turystę, niespiesznie ruszył w stronę Placu de la Universitat, zatrzymując się po drodze to w księgarni, to w sklepie z butami, a wreszcie spędzając trzydzieści minut w domu towarowym Zara, zanim w końcu wyszedł i skierował się do hotelu na Rambla de Catalunya. W żadnym z tych miejsc nie widział szpakowatej głowy i żółtej koszulki polo.

Nie miał pojęcia, kim był tajemniczy mężczyzna ani młody człowiek w workowatej marynarce, który śledził go w Valletcie; wiedział tylko, że wszystko zaczęło się na Malcie od spięcia z Merrimanem Foksem. Jeśli doktor w końcu odrobił lekcje i dowiedział się, że Marten nie ma nic wspólnego z biurem przewodniczącej Baker, to zapewne chciał sprawdzić, kim naprawdę jest i co jeszcze może wiedzieć; dlaczego robi to, co robi, i czy zdaje komuś z tego sprawozdanie. A kiedy już zaspokoi ciekawość, z całą pewnością znajdzie sposób, aby położyć kres dociekliwości Nicholasa Martena.

Wyglądał jeszcze chwilę na ulicę i właśnie się odwracał, kiedy zadzwoniła jego komórka. Odebrał natychmiast z nadzieją, że Peter Fadden dowiedział się czegoś o szpitalu, do którego zabrano Caroline. Zamiast tego usłyszał jednak głos Iana Graffa, swojego szefa z firmy Fitzsimmons and Justice. Nicholas bardzo lubił tę pracę i swoich pracodawców, Graffa również, ale rozmowa z nim była ostatnią rzeczą, której potrzebował.

— Ian — powiedział zaskoczony. Starał się być miły. — Cześć.

— Marten, gdzie ty się, u licha, podziewasz?

Pulchny i ocytany, wszechstronnie wykształcony Graff był zwykle miły i łagodny, ale pod wpływem stresu i napięcia robił się nerwowy i porywczy. A Nicholas doskonale zdawał sobie sprawę, ile nerwów kosztuje wszystkich trudny i drogi projekt dla posiadłości Banfielda.

Nie było powodu kłamać.

— W... Barcelonie — odparł Marten.

— W Barcelonie? Dzwoniliśmy do twojego hotelu w Waszyngtonie. Powiedzieli, że się wymeldowałeś. Sądziłyśmy, że wracasz do domu.

— Przepraszam, powinienem zadzwonić.

— Owszem, powinieneś. Powinieneś też siedzieć teraz przy swoim biurku.

— Przepraszam, ale mam tu bardzo ważną sprawę.

— My też mamy tu bardzo ważną sprawę, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Projekt Banfielda.

— Rozumiem, Ianie. Absolutnie.

— Więc jak długo ta „bardzo ważna sprawa” będzie cię zaprzętać?

— Nie wiem. — Marten podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Nadal ani śladu Szpakowatego, przynajmniej w zasięgu wzroku. — Może jest coś, co mógłbym ci przekazać przez telefon. Z czym masz problem? Z doborem roślin? Z pozwoleniem na kształtowanie terenu? Z zamówieniami?

— Główny problem mamy z panem Banfieldem i jego żoną. Postanowili, że zagajnik rododendronów ma być na południowym stoku, a nie na północnym. Północne zbocze ma zostać obsadzone osiemdziesięcioma miłorzębami japońskimi.

— Miłorzębami?

— Tak.

Nicholas odwrócił się od okna.

— Przecież one urosną za duże i za gęste. Zablokują im widok na rzekę.

— Dokładnie to samo im powiedziałem. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co chcą zrobić z forsycją, azaliami i hortensjami.

— Zatwierdzili je w zeszłym tygodniu.

— No więc dzisiaj rano wszystko odwołali. Zgodzili się zapłacić za zmiany. Nie chcą opóźnić harmonogramu. Na twoim miejscu ruszyłbym tyłek i wsiadł do najbliższego samolotu do Londynu.

— Nie mogę, Ian. Nie teraz.

— Słuchaj, pracujesz u nas czy nie?

— Proszę, spróbuj zrozumieć. To, co tu robię, jest bardzo trudne i bardzo osobiste. Jeśli...

Niespodziewane pukanie do drzwi przerwało mu w pół zdania. Po chwili się powtórzyło.

— Ian, poczekaj chwilę, proszę.

Marten wyszedł do małego przedpokojku. Już prawie naciskał klamkę drzwi wejściowych, gdy nagle uderzyła go myśl, że może jednak wcale nie

zgubił Szpakowatego. Może właśnie stoi na korytarzu, ponieważ Merriman Foxx doszedł do wniosku, że nie ma ochoty bawić się w zgadywanki, i chce się go po prostu pozbyć. Tu i teraz. Rozległo się kolejne pukanie.

— Rany boskie — szepnął Marten. Szybko podniósł telefon do ucha. — Ianie, muszę się czymś tu zająć — powiedział cicho. — Wyślij mi te zmiany e-mailem. Odezwę się do ciebie, jak tylko będę mógł.

Rozłączył się. Pukanie powtórzyło się jeszcze głośniejsze i natarczywiej. Ktokolwiek to był, nie zamierzał rezygnować. Rozejrzał się za czymś, co mogłoby posłużyć za broń. Wpadł mu w oko tylko telefon hotelowy wiszący na ścianie. Szybko wziął do ręki słuchawkę i zadzwonił do obsługi.

Po krótkiej chwili odezwał się po hiszpańsku głos operatora.

— Czy mówi pan po angielsku? — zapytał.

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. Proszę poczekać.

Z telefonem w rękę niczym liną ratunkową, której mógł użyć w razie potrzeby, Nicholas wziął głęboki oddech, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

Na korytarzu stała Demi Picard. Z rękami na biodrach tupała na niego groźnie.

— Co za konferencja dla dziennikarzy i fotoreporterów? — zapytała gniewnie ze swoim francuskim akcentem. — Jak mnie pan znalazł? I co pan tu robi, do diabła?

Gdyby była jeszcze trochę bardziej rozgorączkowana, stanęłaby zapewne w płomieniach.

41

15.00

Dużo czasu zajęło mu uspokojenie Demi na tyle, żeby w ogóle chciała z nim rozmawiać. Jeszcze więcej, zanim udało mu się namówić ją na lunch, a potem prawie pół butelki cavy, czyli hiszpańskiego szampana, aby zaczęła się zachowywać choć odrobinę uprzejmie.

Siedzieli przy stoliku w głębi restauracji Els Quatre Gats, czyli Czterech Kotach, w wąskiej uliczce w dzielnicy Barri Gòtic, jedli suquet de peix, gorącą

mieszanie ryby z ziemniakami, i popijali dalej cavę. Powoli Demi docho-
dziła do siebie.

Nadal miała na sobie męską koszulę w paski, granatowy blezer i jasno-
brązowe spodnie, w które ubrana była rano w Valletcie. Bez względu na to,
czy naprawdę pracowała jako fotoreporterka, czy nie, na pewno przywykła
do szybkich i sprawnych podróży. Z tego samego powodu prawdopodobnie
nosiła krótkie włosy, które nie wymagały nadmiernej pielęgnacji — umyć,
lekko nastroszyć i po wszystkim. Była inteligentna, stanowcza i, jak Marten
zdążył się już przekonać, miała dość gwałtowny temperament. Mimo to wy-
dawała się dziwnie nieobecna, jak gdyby robiąc coś, myślała o czymś zupeł-
nie innym. Nicholas nie miał pojęcia, co to mogło być, nadawało jej to jed-
nak pewną kruchość, przez którą nie sposób było ją rozgryźć. Wielkie, głąbo-
ko brązowe oczy również nie ułatwiały zadania, ponieważ przyciągały uwa-
gę, a jednocześnie odpychały intruza, który w nie zaglądał, zwłaszcza gdy
patrzyła na kogoś wprost, tak jak teraz na Nicholasa.

— Chce pan, żebym panu zaufała, tak?

— No cóż, to by bardzo pomogło.

— Ale pan mi nie ufa. Uśmiechnął się.

— Spytałem panią na Malcie, czy wie pani, dokąd pojechali doktor
Foxy i wielebny Beck, a także dziewczyna o imieniu Cristina. Odpowiedziała
pani, że nie ma pojęcia. Tymczasem wiedziała pani doskonale, że Beck wy-
biera się do Barcelony, a nawet w jakim hotelu...

— Konsjerż zadzwonił do mnie tuż przed tym, jak zjawił się pan u
mnie w pokoju. Powiedział, że wielebny bardzo przeprasza, ale musiał nie-
spodziewanie wyjechać. Przekazał mi, dokąd pojechał i że czeka na mnie u
niego bilet na samolot, jeśli życzę sobie do niego dołączyć. Bilet znalazłam w
kopercie, kiedy wychodziłam z hotelu.

— Nie interesują mnie szczegóły, jak tu pani dotarła. Chodzi o to, że
skłamała mi pani prosto w oczy. I gdzie tu do tego wszystkiego pasuje „za-
ufanie”?

— Powiedzmy, że pańskie zjawienie się na Malcie oraz to, jak pan za-
łatwiał sprawy z doktorem Foksem, postawiło mnie w bardzo niezręcznej sy-
tuacji.

— Dlatego powiedziała pani, że mogę wszystko zniszczyć?

— Czego pan ode mnie chce?

Widząc, jak Demi unika tego pytania, a także jak na niego spojrziała, Ni-
cholas zrozumiał, że w obecnej chwili niczego więcej z niej nie wyciągnie.

— Proszę posłuchać — powiedział wprost. — Przyjechałem tu z tego samego powodu, dla którego byłem w Waszyngtonie i na Malcie: aby odkryć prawdę na temat śmierci Caroline Parsons. To pani sprawa, co mi pani powie albo przede mną zatai, ale mam powody sądzić, że przyjechała pani do Barcelony za wielbnym Beckiem. Jestem tu z tego samego powodu. Nie przez przypadek Beck i Foxx znaleźli się razem na Malcie. Obaj tak samo niespodziewanie wyjechali. Beck mnie intryguje, ale tak naprawdę interesuje mnie Foxx i gotów jestem się założyć, że wielbny zaprowadzi mnie do niego bardzo szybko.

— I uważa pan, że doktor Foxx zna odpowiedź na pańskie pytanie o Caroline Parsons?

— Tak. Wczoraj wieczorem zaczął ze mną o tym rozmawiać, ale nagle zdał sobie sprawę, że się zagalopował, i wpadł w złość. Chcę, żeby dokończył to, co miał do powiedzenia.

Podszedł do nich kelner, ciemnowłosa mężczyzna o delikatnych rysach.

— Czy mogę jeszcze coś państwu podać? — zapytał po angielsku.

— Nie teraz, dziękuję — odparł Nicholas.

Demi upiła łyk cavy i podniosła na niego wzrok znad krawędzi kieliszka.

— Wygląda na to, że bardzo jest pan zaangażowany w sprawę Caroline Parsons.

— Kochałem ją — odrzekł Nicholas bez cienia zażenowania czy wstydu.

— Była mężatką.

Marten nie odpowiedział. Demi uśmiechnęła się lekko.

— Więc można powiedzieć, że przygnała tu pana miłość.

Nicholas pochylił się nad stolikiem.

— Proszę mi opowiedzieć o „tych wiedźmach”.

— Ja... — zaczęła Demi, ale przerwała niepewnie. Wbiła wzrok w kieliszek, jakby nie wiedziała, co powiedzieć i czy w ogóle coś mówić. W końcu podniosła oczy. — Czy wie pan, co to jest strega, panie Marten?

— Nie.

— To włoskie słowo oznaczające wiedźmę. Mam młodszą siostrę, która dwa lata temu przyjechała na Maltę i ślad po niej zaginął. Potem się dowiedziałam, że była praktykującą stregą, że należała do tajnego sabatu włoskich czarownic. Nie wiem, czy to miało jakiś związek z jej zniknięciem, ale Malta jest starożytnym miejscem, pełnym tajemniczych miejsc i zjawisk. Moja siostra była tu trzy dni i od tamtej pory nikt jej więcej nie widział. Policja prowadziła dochodzenie, ale niczego nie znalazła. Powiedzieli, że młode

kobiety robią różne dziwne rzeczy. Dla mnie to nie była odpowiedź, więc zaczęłam szukać na własną rękę. Tak usłyszałam o doktorze Foksie. Ma rozległe kontakty na Malcie, zna ludzi i rzeczy, o których inni nie mają zielonego pojęcia, nawet policja. Tylko że to są rzeczy, których on za nic w świecie nie chce wyjawić obcej osobie. Nie wiedziałam, co robić, poza tym musiałam wracać do pracy. Ale zlecono mi pracę w Waszyngtonie: materiał o życiu towarzyskim ludzi z Kongresu. Tam poznałam wielbego Becka i dowiedziałam się, że dobrze zna Foksa. To była dla mnie niepowtarzalna okazja, żeby dowiedzieć się czegoś o mojej siostrze, więc załatwiłam z francuskim wydawnictwem, że zrobię album o duchownych, którzy pracują dla polityków. Wybrałam Becka na głównego bohatera, aby wkraść się w jego łaski i zdobyć jego zaufanie. Dzięki temu mogłam pojechać na Maltę i poznać Foksa osobiście. Ale nie udało mi z nim porozmawiać, ponieważ — przez moment oczy jej błysnęły gniewnie, lecz po chwili uspokoiła się i ciągnęła — ni stąd, ni zowąd zjawił się pan i wszystko mi popsuł. Przyjechałam za Beckiem do Barcelony, ponieważ, jak się pan domyślił, ma się wkrótce znowu spotkać z Foksem. Może nawet jutro.

— Wie pani to na pewno?

— Nie, nie na pewno. Ale Cristina, ta kobieta, która była z nami na kolacji, powiedziała, że Foxx i Beck rozmawiali o tym przed wyjściem doktora. „Do soboty”, powiedział podobno Foxx. Ponieważ działo się to w czwartek wieczorem, zakładałam, że chodziło o najbliższą sobotę, czyli jutro. Dlatego właśnie tu przyjechałam: aby kontynuować pracę nad książką z wielbnym Rufusem Beckiem i dzięki temu, mam nadzieję, porozmawiać z doktorem Foksem, kiedy się spotkają. — Nagle popatrzyła mu w oczy i znowu zapłonęła gniewem. — Może uda mi się to osiągnąć, jeśli będzie się pan trzymał z daleka.

Marten zignorował jej wybuch.

— Jedną rzecz pani skrupulatnie pomija w swojej opowieści. Dlaczego pytała mnie pani, czy Caroline Parsons mówiła coś przed śmiercią o „tych wiedźmach”. Co panią skłoniło do myślenia, że ona mogła coś na ten temat wiedzieć?

— Ponieważ jej...

Podniosła oczy, ale wtedy do stolika znowu podszedł kelner, aby napełnić im kieliszki cawą, jak dwukrotnie przedtem. Teraz już butelka była pusta.

— Czy mogę podać państwu następną butelkę cawy? A może coś innego? — zapytał.

— Nie, dziękuję — odparł po raz drugi Nicholas.

Kelner popatrzył na Demi i uśmiechnął się. Potem odwrócił się i odszedł. Marten odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

— Ponieważ jej co? — zapytał.

— Chodzi o jej lekarkę.

— Doktor Stephenson?

— Tak. — Demi sięgnęła do torebki i wyjęła długopis. — Pokażę panu.

Wzięła papierową serwetkę, położyła ją przed sobą i naszkicowała na niej prosty rysunek. Potem podsunęła ją Martenowi.

Nicholasowi aż dech zaparło na widok krzyżyka zakończonego czterema kółeczkami, takiego samego jak ten, który miał na kciuku wytatuowany Merriman Foxx, takiego samego, jaki opisywała Caroline.

— To znak Aldebarana, białoczerwonej gwiazdy, która tworzy lewe oko gwiazdozbioru Byka. We wczesnych etapach rozwoju astrologii uważano, że emanuje ona potężną i dobroczynną energią. Nazywano ją Okiem Boga.

— Co to ma wspólnego z doktor Stephenson?

— Miała wytatuowany ten znak na kciuku. Był tak małańki, że łatwo było go nie zauważyć.

Marten popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Foxx ma taki sam.

— Wiem. I tak samo ta dziewczyna, Cristina.

— Co ten tatuaż ma wspólnego z wiedźmami?

— Jest znakiem sabatu, do którego należała moja siostra.

— Stephenson była czarownicą? A Foxx?

— Nie jestem pewna, ale moja siostra miała taki sam tatuaż. Z jakiego powodu tak różni ludzie tatuowaliby sobie znak Aldebarana na palcu, w dodatku akurat lewym kciuku?

— Dlaczego uważa pani, że Caroline miała z nimi coś wspólnego? Wiele razy trzymałem ją za rękę. Nigdy nie zauważyłem, żeby miała gdzieś tatuaż.

— Ona umierała. Kręcił się koło niej Foxx, Stephenson była jej lekarką od pewnego czasu. Nie wiem, na czym polegają ich rytuały, ale miałam nadzieję, że może coś o nich wiedziała. Jeśli się bała, mogła się zwierzyć komuś, komu całkowicie ufała. I tak, szczerze mówiąc, wyglądało na to, że to pan. Musiałam to sprawdzić.

— Nie napomknęła o tym ani słowa.

— To znaczy, że się myliłam. Albo zabrała tajemnicę do grobu.

— Czy wielebny Beck też ma na palcu tatuaż?

— Widział pan kiedyś jego dłonie?

— On cierpi na bielactwo. Ma plamy na rękach — powiedział Marten i nagle zrozumiał. — To znaczy, że nawet gdyby miał jakieś znaki, byłyby prawie niewidoczne.

— Tak.

— Więc nie wie pani, czy jest członkiem sabatu, czy nie.

— Myślę, że jest z nim jakoś związany, ale czy jest członkiem, nie wiem.

— Proszę mi opowiedzieć o tym sabacie. Czy to jakiś kult? Jacyś wyznawcy szatana? Religijni ekstremiści? A może, zważywszy na przeszłość Foksa, to jakieś zrzeszenie o charakterze militarnym?

— Czy mówi coś panu nazwisko Niccolò Machiavelli?

— Ma pani na myśli tego Machiavellego?

— Tak.

— Z tego, co pamiętam, był szesnastowiecznym pisarzem z Florencji. Napisał Księcia, książkę o zdobywaniu i sprawowaniu władzy. Korzyść polityczną i względy praktyczne stawiał ponad wszelkimi względami moralnymi. W skrócie: poradnik, jak zostać dyktatorem.

— Zgadza się — przyznała Demi z uznaniem.

— A co Machiavelli ma wspólnego z sabatem czarownicy?

— Istnieje pogłoska, że Machiavelli tuż przed śmiercią napisał suplement do Księcia, coś jakby plan B, jak dojść do władzy. Oparł go na czymś, co nazwał „warunkiem wstępnym”: założenie tajnego stowarzyszenia rządowego na zasadzie współudziału. Jego członkowie tworzą swoiste bractwo krwi, uczestnicząc w rytualnym morderstwie. Ma to być bardzo wyszukana, starannie zaaranżowana ofiara, składana raz do roku w bezpiecznym, ukrytym miejscu, najlepiej w kościele lub świątyni, aby miejsce nadało jej religijnego wydźwięku. Zasady wymagały, aby każdy członek podpisał pilnie strzeżony dziennik z datami, jego nazwiskiem, miejscem i datą urodzin, a także nazwiskiem ofiary i szczegółami zbrodni. Wszystko przypieczętowane odciskiem kciuka zanurzonego we własnej krwi i złożonego w dzienniku tuż obok podpisu. Miało to potwierdzić jego uczestnictwo w składaniu ofiary, lojalność wobec stowarzyszenia i zaangażowanie w zbrodnię. Ten dziennik był kluczem do potęgi stowarzyszenia, ponieważ ujawnienie go oznaczałoby ruinę, a nawet śmierć wszystkich członków. Po złożeniu ofiary i spisaniu nazwisk uczestników przystępowano do ustalenia planów stowarzyszenia na nadchodzący rok, wszystko ze świadomością, że ów morderczy akt chroni ich przed zdradą i pozwoli spokojnie zrealizować ustalony harmonogram.

Osoby, które znają historię suplementu, uważają, że nigdy nie dotarł on do odbiorców, dla których w istocie rzeczy został napisany, czyli florentczyków cierpiących pod jarzmem Medyceuszy. Machiavelli miał nadzieję zjednoczyć mieszkańców miasta, aby obalić rządzącą dynastię. Zamiast tego księgę przemycono do Rzymu, gdzie trafiła do rąk członków potężnej i wpływowej grupy, która przez kilka stuleci wykorzystywała jej ideologię do realizacji własnych celów. Wśród ludzi, którzy zajmują się takimi sprawami, suplement ów znany jest pod nazwą Przymierza Machiavellego.

— I sądzi pani, że tym właśnie zajmuje się sabat Aldebarana? Współczesną wersją Przymierza!

— Tego próbuję się od długiego czasu dowiedzieć, panie Marten.

Nagle coś przyciągnęło uwagę Nicholasa. Wziął do ręki kieliszek, oparł się na krzesło i od niechcenia rozejrzał po sali.

— O co chodzi?

— Niech pani wstanie tak, jakby się na mnie rozgniewała, weźmie torebkę i wyjdzie z restauracji — powiedział Marten cicho. — Proszę iść ulicą do najbliższego skrzyżowania i za rogiem na mnie poczekać.

— Dlaczego? Co się stało?

— Proszę po prostu zrobić to, co mówię. Teraz!

— Dobrze.

Gwałtownym ruchem Demi odepchnęła się od stolika, spiorunowała Martena wzrokiem, po czym złapała torebkę i wyszła. Nicholas patrzył za nią przez jakiś czas, w końcu zawołał kelnera i poprosił o rachunek. Powoli wziął jeszcze jeden łyk cavy, odstawił kieliszek, oparł się na krzesło i czekał. Kiedy po chwili kelner przyniósł rachunek, zapłacił gotówką, zaraz potem wstał i wychodząc, nawet nie spojrzawszy w stronę sąsiedniego stolika, przy którym mężczyzna w średnim wieku studiował menu.

42

15.40

Nicholas wyszedł z restauracji, włożył okulary przeciwsłoneczne i szybko ruszył chodnikiem. Na rogu obejrzał się i popatrzył na wejście do Els Quatre Gats. Jeśli Szpakowaty miał zamiar iść za nim, to jeszcze nie wyszedł z lokalu. Jeszcze jeden krok i stał za rogiem, rozglądając się za Demi. Ulica była zatłoczona i w pierwszej chwili jej nie zauważył. Przestraszył się, że

sobie poszła, ponieważ mu nadal nie ufa, i że znowu będzie musiał jej szukać i zaczynać całą batalię od nowa. Wtedy jednak zobaczył ją pod daszkiem witriny sklepowej.

— Co się stało? — spytała, kiedy do niej podszedł.

— Przy sąsiednim stoliku siedział mężczyzna o szpakowatych włosach w żółtej koszulce polo. Wcześniej ktoś za mną jechał aż z Valletty. To musi być robota Foksa, chociaż tak naprawdę nie mamy pewności.

— Śledzą pana?!

— Tak.

— To znaczy, że widzieli nas razem.

Marten zauważył, że znów wpada w gniew.

— Może pani powiedzieć Beckowi, że przyleciałem za panią do Barcelony i upierałem się, żeby z panią porozmawiać. W restauracji zadałem pani mnóstwo dziwacznych pytań, z których niczego pani nie rozumiała, w końcu doprowadziłem panią do szału, więc wstała pani i wyszła.

— I to będzie prawda, bo naprawdę doprowadza mnie pan do szału i idę stąd — oznajmiła ze złością i ruszyła w tłum.

Marten ją dogonił, ale nie zwracała na niego uwagi.

— Czy to się pani podoba, czy nie, oboje w tym siedzimy. Pani chce wiedzieć, co się stało z pani siostrą, a ja chcę wiedzieć, co się stało z Caroline Parsons. — Rozejrzał się i zniżył głos. — Wygląda na to, że doktor Foxx jest kluczową postacią w obydwu sprawach.

Szła dalej, cały czas udając, że go nie zauważa. Marten dotrzymywał jej kroku.

— Jeśli Foxx jest w Barcelonie i Beck ma się z nim spotkać, chcę tylko wiedzieć gdzie i kiedy, to wszystko. Obiecuję, że przestanę wchodzić pani w drogę.

Nie odpowiedziała. Doszli do następnej przecznicy i zatrzymali się w tłumie ludzi czekających na przejście przez główną ulicę. Nicholas podszedł do niej bliżej.

— Nikt pani nie pomaga w tej całej sprawie, prawda?

Nadal milczała. Kiedy zapaliło się zielone światło, zesła na ulicę razem z innymi. Marten znowu ją dogonił.

— To nie są najmiłsi ludzie pod słońcem, zwłaszcza Foxx. Może przyjsć taki moment, że będzie pani potrzebowała pomocy.

Weszli na chodnik po drugiej stronie. Niespodziewanie Demi odwróciła się i popatrzyła mu w twarz.

— Nie odpuści pan, prawda?

— Nie.

Patrzyła na niego jeszcze kilka sekund.

— I chce pan tylko wiedzieć gdzie i kiedy? — spytała w końcu z rezygnacją.

— Tak.

— Dobrze, zrobię, co się da.

— Dziękuję.

Nicholas zszedł z chodnika na jezdnię i machnął na przejeżdżającą taksówkę. Kierowca przeciął dwa pasy i zjechał do krawężnika. Marten otworzył tylne drzwi.

— Niech pani wraca do hotelu. Miejmy nadzieję, że Beck już przyjechał. Niech pani wybada, na ile swobodnie się przy pani czuje, jeśli dojdzie pani do wniosku, że sytuacja na tyle się wyciszyła, aby zagadnąć go o spotkanie z Foksem. — Demi wsiadła do taksówki, a Nicholas podał jej złożoną karteczkę. — To numer mojej komórki. Jeśli nie odezwie się pani do piątej, zadzwonię.

Szybko zamknął drzwi, taksówka odjechała, a on ruszył z powrotem w stronę restauracji.

43

Zobaczyli się ze Szpakowatym w momencie, gdy Marten skręcił za róg, idąc z powrotem w stronę Els Quatre Gats.

Szpakowaty błyskawicznie zrozumiał, co się dzieje. Wystrzelił jak z procy. Przebiegł na drugą stronę wąskiej uliczki i popędził następną. Na najbliższym rogu skręcił w zatłoczoną Via Laietana. Marten pognał za nim. Biegając, zastanawiał się, jak ten człowiek go wysłedził w restauracji, skoro zgubił go na pewno dużo wcześniej. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to usłużny kelner, który może jednak wcale nie wciskał im drinków po to, aby powiększyć rachunek, ale żeby zatrzymać jego i Demi i upewnić się, że nie wyjdą, dopóki nie poinformuje, kogo trzeba i ten ktoś zjawi się na miejscu. Jeśli tak było rzeczywiście, cała ta sprawa miała dużo szerszy zasięg, niż sobie wyobrażał. Kult wskrzeszający tradycję średniowiecznych wiedźm? W dodatku zatrudniający, a przynajmniej opłacający sieć ulicznych informatorów? Tacy ludzie jak Szpakowaty czy młody człowiek śledzący go od Vallety najprawdopodobniej nie mieli pojęcia, skąd pochodziły pieniądze.

Biegnać i wymijając ludzi na zatłoczonym chodniku, starał się nie spuszczać z oczu uciekającego Szpakowatego, wkrótce jednak zgubił go w ścisku. Zwolnił i już miał się poddać, gdy nagle zobaczył, jak szpakowaty pędzi pół przecznicy przed nim i skręca w boczną uliczkę. Przepchnął się obok dwóch sprzecajających się sklepikarzy, o mało nie przewrócił kobiety z dzieckiem na rękę i wreszcie wbiegł w tę samą uliczkę, akurat kiedy Szpakowaty obejrzał się za siebie, po czym znowu pędem skręcił w lewo, w następną szeroką, ruchliwą arterię.

Znajdowali się w okolicach starówki, części Barn Gótic, Dzielnicy Gótyckiej, z trzynasto-, czternasto- i piętnastowiecznymi kamienicami, w których na parterze mieściły się kawiarenki i sklepiki, a na wyższych piętrach mieszkali ludzie. Z walącym sercem i palącymi płucami Marten biegł dalej. Zwolnił tylko na moment, żeby nie wpaść pod rozpędzony motocykl, skręcił za rogiem, gdzie zniknął Szpakowaty, i popędził dalej, cały czas przeczesując wzrokiem tłum po obydwu stronach ulicy. Niespodziewanie skądś doszedł go rozdzierający ryk klaksonu, a ułamek sekundy później przerażony krzyk ludzi wypełniających ulicę przed nim. Klakson umilkł i wokół zapadła cisza.

Nicholas ruszył dalej, lawirując między ludźmi jakby wrośniętymi w ziemię i wpatrzonymi w coś, co widzieli przed sobą. Po chwili zobaczył, co to było: na środku ulicy stała ciężarówka z wgniecioną kratownicą, przed nią leżał Szpakowaty.

Ludzie dookoła gapili się oniemiałi. Marten podszedł powoli, uklęknął obok ciała Szpakowatego, przyłożył mu dłoń do tętnicy szyjnej i próbował wyczuć puls. Kierowca ciężarówki, mężczyzna najwyżej trzydziestoletni, stał wstrząśnięty przy otwartych drzwiach samochodu i najwyraźniej nie mógł się ruszyć z miejsca.

Nicholas podniósł głowę na ludzi tłoczących się dookoła.

— Niech ktoś wezwie pogotowie! Pogotowie! — zawołał.

Pochylił się z powrotem nad ciałem Szpakowatego, rozpiął mu kurtkę i przyłożył rękę do piersi. Jeszcze raz dotknął szyi, odczekał kilka sekund, po czym z powrotem zasłonił pierś mężczyzny kurtką i wstał.

— Pogotowie! — krzyknął jeszcze raz.

Cofnął się i wszedł w tłum. Ludzie wokół niego sięgali po komórki, dzwoniли po pomoc. Kierowca ciężarówki stał cały czas bez ruchu w tym samym miejscu.

Nicholas się nie zatrzymywał. Nie mógł pozwolić, żeby policja zaczęła go przesłuchiwać w sprawie mężczyzny potrąconego przez samochód. Spiszą jego dane, zapytają, czy jest lekarzem, a kiedy powie, że nie, będą chcieli

wiedzieć, dlaczego rzucił się na pomoc rannemu. Będą pytać, co widział, jakie szczegóły zdarzenia zapamiętał. Nie znał hiszpańskiego prawa, nie wiedział, co mówiło na temat wypadków samochodowych, ale nie życzył sobie teraz żadnych przesłuchań policji, a tym bardziej, nie daj Boże, zdjęć w gazetach albo relacji o wypadku w lokalnej telewizji.

44

POCIĄG ALTARIA NR 1138 Z MADRYTU DO BARCELONY. 16.35

Prezydent podziękował skinieniem głowy sprzedawcy w wagonie restauracyjnym i podszedł ze swoim posiłkiem — kanapką i butelką wody mineralnej — do stolika. Poza sprzedawcą w całym wagonie jechało tylko sześć osób: czterech mężczyzn i dwie kobiety, jedna sporo starsza od drugiej. Dwóch mężczyzn siedziało przy oknie i popijało piwo; trzeci stał z kawą w papierowym kubku i patrzył przez okno na uciekający krajobraz; czwarty jadł z kobietami małe kanapki ze sporego półmiska. Ta trójka wydawała się nieszkodliwa — rodzeństwo z ciotką albo małżeństwo ze starszą siostrą, ale pozostali budzili niepokój Harrisa.

Kilka minut temu wyjechali z Lleidy po wcześniejszym postoju w Saragossie. Teraz zmierzali na północny wschód i mieli się zatrzymać jeszcze w Valls, po czym kilka minut po szóstej dojechać do stacji Barcelona-Sants. Podróż mijiała spokojnie i bez wydarzeń, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, dopóki w Lleidzie do pociągu nie wsiadło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn w mundurach. Wkrótce potem zjawiono się jeszcze czterech ludzi po cywilnemu, którzy jednak zachowywali się i poruszali w sposób niepozostawiający wątpliwości, że są członkami służb bezpieczeństwa. Harris zaczął się wtedy zastanawiać, czy któryś z trzech pozostałych mężczyzn w przedziale — ten stojący przy oknie, a może dwaj popijający piwo przy stoliku — nie jest również jakimś tajnym agentem, może hiszpańskim, a może amerykańskim. Wszyscy trzej wsiadli do pociągu i stali lub siedzieli blisko drzwi, tak że mogli mu zagrozić drogę, gdyby próbował wysiąść. Drugie drzwi za jego plecami mogli mu zastąpić funkcjonariusze w mundurach lub ci po cywilnemu, a wtedy gra będzie skończona.

Szybko dokończył kanapkę, popił ją wodą, po czym wyrzucił papierową

tackę do kosza, ruszył obok stolika, przy którym siedziały dwie kobiety i jeden mężczyzna, i opuścił wagon restauracyjny.

Minał cały sąsiedni przedział i w następnym usiadł na swoim poprzednim miejscu obok mężczyzny w skórzanej kurtce i czarnym berecie. Jego sąsiad siedział teraz odwrócony przodem do okna, z beretem nasuniętym na twarz i prawdopodobnie spał. Harris odetchnął głęboko i odprężył się. Wyjął gazetę „El Paris” z kieszeni w oparciu fotela przed nim, rozłożył i zaczął czytać.

Była czwarta czterdzieści cztery. O piątej zero trzy mieli się zatrzymać w Valls i Harris nie był pewien, co powinien wtedy zrobić. Wiedział, że Hap Daniels rzuci się w wir poszukiwań nie tylko z determinacją, ale wręcz gorączkowym zapałem. Byłby pierwszym szefem ochrony prezydenta Stanów Zjednoczonych, który „zgubił” swojego podopiecznego. Spadną na niego gromy od szefów i ze strony najwyższych przedstawicieli władzy, możliwe, że zostanie zwolniony, a prywatnie będzie miał poczucie, że zawiódł przyjaciela.

Początkowo Secret Service przyjmie wersję, że prezydent padł ofiarą przestępstwa, i zacznie działać zgodnie z tym założeniem. Postawią na nogi CIA, FBI i NSA. Hiszpańska policja i wywiad przeczeszą Madryt. Szerzej zakrojone poszukiwania obejmą potem całą Europę i Amerykę Północną, podczas gdy inny zespół z punktem wypadowym w Rzymie ruszy na Bliski Wschód, do Rosji i innych krajów dawnego bloku wschodniego, wszystko w najgłębszej tajemnicy albo, jak oni by to nazwali, „pod osłoną nocy”. Do tej pory jednak zdobędą już tyle informacji i tropów, aby się domyślić, co się naprawdę wydarzyło, czyli że prezydent po prostu uciekł. Rozwścieczeni Jake Lowe i Jim Marshall postarają się za wszelką cenę przedstawić jego zniknięcie jako przejaw zaburzeń psychicznych. Oświadczą, że przeżył poważne złamanie nerwowe. To jedyna wersja wypadków, jaką mogą przeforsować w mediach, ale to dobrze, ponieważ dla ludzi odpowiedzialnych za jego bezpieczeństwo zmienia to horror porwania prezydenta Stanów Zjednoczonych w bolesną historię potężnego człowieka złamanego przez los.

W rezultacie wszyscy, począwszy od grupy obecnej wczoraj wieczorem w domu Evana Byrda w Madrycie aż po dyrektora Secret Service, zrobią, co w ich mocy, aby go jak najszybciej znaleźć i bezpiecznie sprowadzić do domu, wtajemniczając przy tym jak najmniej osób.

„Jak najszybciej i bezpiecznie” oznaczało w ręce Jake'a Lowe'a i Jego grupy, która już o to zadbała, aby po znalezieniu trafił pod ich opieką. Wiedział, co będzie dalej. W mgnieniu oka wywiozą go w ustronne miejsce i zabiją.

Upozorują zawał albo udar mózgu, albo coś innego, równie przekonującego.

Podniósł głowę na odgłos drzwi otwieranych na drugim końcu przedziału. W wejściu stało dwóch uzbrojonych mężczyzn w mundurach z grupy, która wsiadła w Lleidzie. Harris od razu zauważył, że to ludzie z CNP, czyli Cuerpo Nacional de Policia, hiszpańskiej policji federalnej. Z karabinami przewieszonymi przez ramię rozglądali się przez chwilę w milczeniu, po czym powoli ruszyli w głąb przedziału. Jeden z policjantów lustrował pasażerów po prawej stronie przedziału, drugi po lewej. W połowie drogi pierwszy się zatrzymał, popatrzył na mężczyznę w kapeluszu z szerokim rondem i poprosił go o dowód tożsamości. Drugi policjant też się zatrzymał i obserwował, jak mężczyzna posłusznie wyjmuje dokument, a potem jego towarzysz studiuje go i oddaje. Następnie ruszyli dalej przejściem między rzędami siedzeń.

Harris obserwował, jak podchodzą, ale kiedy się zbliżyli, przeniósł wzrok na swoją gazetę. Nie było wątpliwości, że szukają właśnie jego, sprawdzają osoby choćby w przybliżeniu do niego podobne albo te, którym nie mogą się dokładnie przyjrzeć.

Podeszli bliżej. Harrisowi serce waliło jak młot. Na górnej wardze zebrały mu się kropelki potu. Pochylił głowę nad gazetą z nadzieją, że miną go i przejdą do następnego wagonu. Nagle zobaczył wypolerowane buty wojskowe zatrzymujące się koło niego.

— Nazwisko i adres proszę — odezwał się po hiszpańsku funkcjonariusz CNP.

Serce podeszło Harrisowi do gardła. Podniósł głowę. Policjant nie patrzył na niego, tylko na drzemiącego mężczyznę w berecie. Mężczyzna powoli zsunął beret i spojrzał w górę. Drugi policjant dołączył teraz do pierwszego. Harris czuł się jak owca w obecności dwóch wygłodniałych lwów. Wystarczyło, żeby przenieśli swoją uwagę na niego.

— Nazwisko i adres proszę — powtórzył ostro policjant.

— Fernando Alejandro Ponce. Mieszkam w Barcelonie, Carrer del Bruc sześćdziesiąt dwa — odparł po hiszpańsku mężczyzna w berecie. — Jestem artystą! — zawołał nagle oburzony. — Jestem malarzem! Co wy wiecie o sztuce? I czego w ogóle ode mnie chcecie?

— Dowodu tożsamości — powiedział niewzruszenie pierwszy funkcjonariusz.

Wszyscy pasażerowie w wagonie patrzyli teraz w ich stronę. Drugi policjant zdjął karabin z ramienia, a wtedy Fernando Alejandro Ponce powoli,

ze złością wyjął z kieszeni dokument. Kiwnął głową w kierunku Harrisa.

— Dlaczego jego nie spytacie o nazwisko i adres zamieszkania? Dlaczego od niego nie zażądacie dowodu tożsamości, co? To niesprawiedliwe! No dalej, zapytajcie go!

Wielki Boże! — pomyślał Harris i wstrzymał oddech, czekając, aż policjant podejmie wyzwanie człowieka w berecie i każe mu się wylegitymować.

Policjant obejrzał dowód Fernanda Alejandra i po chwili wręczył mu go z powrotem.

— No i co? Tego faceta nie zapytacie o nazwisko i adres? — Fernando Alejandro machnął gniewnie dowodem w stronę Harrisa.

— Śpij dalej, panie malarzu — odrzekł policjant.

I rzuciwszy okiem na Harrisa, odwrócił się i ruszył ze swoim towarzyszem w stronę wyjścia. Chwilę później zamknęły się za nimi drzwi.

Alejandro śledził ich wzrokiem aż do samego końca, potem odwrócił się raptownie do Harrisa.

— ¡Bastardos! ¡Quien él infierno es elque busca de todos modos? Dranie! Kogo oni właściwie szukają? — warknął.

— No tengo idea. Nie mam pojęcia — Harris wzruszył ramionami. — No tengo idea en todos. Nie mam zielonego pojęcia.

45

BARCELONA. 17.00

Dwadzieścia minut po wypadku w Dzielnicy Gotyckiej Nicholas Marten po cichu wymeldował się z hotelu Regente Majestic, przepaszając życzliwą recepcjonistkę i tłumacząc, że w redakcji zmieniono decyzję w sprawie jego delegacji. Kobieta wspaniałomyślnie anulowała zadatek, który wpłacił za pokój, i podała pokwitowanie. Pięć minut później znowu szedł ulicą z małą torbą podróżną, nie poinformowawszy nawet Demi o tym, że opuszcza hotel. Nie miał sposobu dowiedzieć się, czy Szpakowatego wezwał do restauracji kelner, czy tamten sam go śledził aż do Regente, czy też może dostał wiadomość od kogoś z hotelu i dopiero stamtąd szedł za nim do Czterech Kotów. Wymeldowując się szybko i sprawnie, zacierał za sobą wszelkie ślady.

Mimo to ktoś wiedział, że Marten jest w Barcelonie, po śmierci Szpakowatego prawdopodobnie wyślą za nim następny ogon, którego on nie będzie znał. Miał tylko jedną przewagę, jeśli można to było nazwać przewagą: doiedział się, kim był Szpakowaty. Klaus Melzer, inżynier budownictwa wodnego i lądowego, zamieszkały w Monachium przy Ludwigstrasse 455.

Nicholas zorientował się, że Szpakowaty nie żyje, w tej samej sekundzie, kiedy zobaczył wgniecenie w kratownicy ciężarówky i ciało rozciągnięte na asfalcie przed samochodem. Badanie pulsu na tętnicy szyjnej tylko to potwierdziło. Cała reszta — wołanie do ludzi, żeby wezwali pogotowie, rozpinanie kurtki i nasłuchiwanie bicia serca — była już tylko przedstawieniem. Kiedy się pochylił nad zwłokami, zauważył lekkie wybrzuszenie w kurtce. Po to odegrał całą tę scenę z pogotowiem: aby niepostrzeżenie wyciągnąć mu z kieszeni portfel. Znalazł w nim niemieckie prawo jazdy, karty kredytowe i kilkanaście wizytówek Klause Melzera z nazwą firmy, w której pracował: Karlsruhe & Lahr, Bauingenieure, Brunnstrasse 24, Monachium.

17.44

Marten zameldował się w hotelu Rivoli Jardin, który również mieścił się w Dzielnicy Gotyckiej, ale kilka przecznic na południe od hotelu Regente Majestic. Ponieważ i tym razem nie miał innego wyjścia, użył własnego nazwiska i prawdziwych dokumentów. Dziesięć minut później rozpakował się i z telefonu komórkowego usiłował złapać Petera Faddena w Londynie. Niestety, usłyszał tylko pocztę głosową, informującą, że abonent nie może teraz odebrać telefonu i prosi o pozostawienie wiadomości, co też Nicholas uczynił, prosząc, aby do niego jak najszybciej zadzwonił. Potem wybrał numer do hotelu Regente Majestic i zażądał połączenia z Demi, ale w jej pokoju nikt nie odbierał. Rozłączył się, nie pozostawiając wiadomości, za to martwiąc się, czy nie popełnił błędu, puszczając ją samą. Już wcześniej usiłowała się go pozbyć, przygoda w Czterech Kotach na nowo ją rozsierdziła, a on co zrobił? Wsadził ją do taksówki i odprawił. Nieważne, co obiecywała, mogła po prostu wymeldować się z hotelu i nigdy więcej nie zobaczy jej na oczy. Do tego wszystkiego dochodziło to jej dziwne zachowanie, coś w sposobie bycia, co wyczuł już wcześniej: jakby przez cały czas była nieobecna

duchem, jakby we wszystkim, co robiła, chodziło tak naprawdę o coś innego. Nie potrafił ocenić, czy miało to związek z jej zaginioną siostrą, czy też całą tę historię zwyczajnie wyssała z palca. Niezależnie od tego, jaka była prawda, powiększała tylko niepokój, jaki wzbudzała w nim ta kobieta.

Odłożył telefon i wziął do ręki prawo jazdy Klause Melzera vel Szpakowatego. Obracał je przez chwilę w rękę, po czym spojrzął jeszcze raz na wizytówkę. Jaki powód mógł mieć czterdziestoparoletni niemiecki inżynier, aby go śledzić. To nie ma sensu.

Chyba że...

Nicholas znowu wziął do ręki telefon i wybrał numer Karlsruhe & Lahr w Monachium, wydrukowany na wizytówce Melzera. Może wszystkie te dokumenty były fałszywe. Może nie istniał żaden Klaus Melzer ani Karlsruhe & Lahr. Dziesięć sekund później druga połowa z tych domysłów legła w gruzach.

— Karlsruhe und Lahr, guter Nachmittag. Karlsruhe & Lahr, dzień dobry — odezwał się wesoły kobiecy głos.

Po następnych dziesięciu sekundach również pierwsza część jego spekulacji poszła do śmieci.

— Z panem Klausem Melzerem proszę — powiedział Nicholas.

— Przykro mi, ale pan Melzer będzie nieobecny do końca tygodnia — odpowiedział ten sam głos po angielsku, ale z silnym niemieckim akcentem. — Czy życzy pan sobie zostawić dla niego wiadomość?

— Wie pani, gdzie można go teraz zastać?

— Pan Melzer wyjechał w podróż. Czy mam mu przekazać wiadomość, aby do pana oddzwonił?

— Nie, dziękuję. Sam się do niego odezwę.

To powiedziawszy, rozłączył się.

Czyli istniał jakiś Klaus Melzer i istniała firma Karlsruhe & Lahr. W ten sposób wrócił do początkowego pytania: Dlaczego niemiecki inżynier w średnim wieku, mający dobrą pracę, chodził za nim po ulicy? W dodatku wymiana z młodym człowiekiem w workowatej marynarce została przeprowadzona tak profesjonalnie. Dlaczego Szpakowaty uciekł, kiedy Nicholas ruszył w jego stronę? Przecież wystarczyłoby, żeby zaprzeczył wszystkiemu, o co go Nicholas miał zamiar oskarżyć, i byłoby po sprawie. Nic więcej nie mógłby zrobić. A jednak tamten zaczął uciekać. I skończyło się fatalnie.

— Psiakrew — zaklął Marten z bezsilnej złości.

Jeszcze raz wziął do ręki telefon i zadzwonił do Demi. Czekał tak długo, że ponownie zgłosiła się operatorka.

— Przykro mi, ale pani Picard nie odbiera telefonu.

— Dziękuję — odparł i już miał się zamiar rozłączyć, kiedy przyszło mu coś do głowy. — Czy wielbny Beck przyjechał już do hotelu? Miał przylecieć dzisiaj z Malty.

— Proszę chwileczkę poczekać, sprawdzę. — Nastąpiła krótka przerwa, po której operatorka wróciła do telefonu. — Nie, proszę pana, jeszcze nie przyjechał.

— Dziękuję pani.

Marten rozłączył się, włożył komórkę do ładowarki i zaczął się zastanawiać. Skoro Beck jeszcze nie przyjechał, to gdzie się podziała Demi? Może uciekła? Może wyszła spotkać się z Beckiem albo nawet Merrimanem Foksem? A może w ogóle nie ma jej już w Barcelonie? Jeśli tak, to tym razem zapewne starannie zatarła za sobą ślady, aby upewnić się, że Marten za nią nie pojedzie.

46

17.58

Prezydent John Harris patrzył, jak za oknem wiejski krajobraz zmienia się w przedmieście, a potem pociąg Altaria 1138 wjeżdża wolno do Barcelony. W oddali widział blask zachodzącego słońca odbijający się w wodach Morza Śródziemnego. Za pięć minut wjadą na stację Barcelona-Sants. Miał zamiar przesiąść się do ekspresu Catalunya o szóstej dwadzieścia pięć, który bez przeszkód powinien dowieźć go do Gerony o siódmej trzydzieści dziewięć. Jednak kiedy już będzie na miejscu, nie zadzwoni do rabina Aznara, bo wielka machina służb bezpieczeństwa uruchomiona przez Hapa Daniela na pewno nie omieszka wziąć jego telefonu na podsłuch. Sam musi jakoś dotrzeć do domu rabina, a skoro udało mu się dojechać tak daleko i nie zostać złapanym, to może szczęście mu dalej dopisze i zdoła przebyć tę resztę drogi bez niespodziewanych przygód.

18.08

Altaria wjechała na stację Barcelona-Sants z pięciominutowym opóźnieniem. John Harris stał razem z innymi pasażerami zbierającymi swoje bagaże.

Skinął głową swemu towarzyszkowi podróży w skórzanej kurtce i berecie, Fernandowi Alejandrowi Poncemu i wysiadł za innymi z pociągu. W tym samym momencie serce mu zamarło. Wszystkie wyjścia z dworca były zamknięte, a policja legitymowała każdą wychodzącą osobę. Kolejki sprawiały wrażenie, jakby ciągnęły się na kilka kilometrów. Najwyraźniej Hap Daniels pod wpływem zaleceń dyrektora Secret Service w Waszyngtonie, sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego, wiceprezydenta Hamiltona Rogersa i całej reszty kumpli Jake'a Lowe'a zaangażował wszystkie siły i takie rzeczy dzieją się w całej Hiszpanii, jeśli nie w całej Europie.

18.12

Prezydent stał w kolejce po bilet na ekspres Catalunya, który miał odjeżdżać do Gerony za trzynaście minut. Celowo nie kupił go w Madrycie, aby nie pozostawiać za sobą śladów, na wypadek gdyby ktoś go rozpoznał lub gdyby później przesłuchiowano pracowników dworca, zwłaszcza kasjera, który sprzedawał mu bilet. Teraz żałował, że tego nie zrobił. W kolejce do kasy stało chyba ze dwadzieścia osób, a wszędzie kręcili się policjanci i uważnie przyglądali się czekającym ludziom.

18.19

Kolejka posunęła się odrobinę. Dookoła niego pasażerowie szemrali o tym, co się dzieje. Widać było, że się boją, że świeże są w nich wspomnienia tego, co się wydarzyło na stacji Atocha jedenastego marca 2004 roku. Nieufnie zerkali na uzbrojone siły bezpieczeństwa. Wielu podświadomie się rozglądało, jakby czekając, że zaraz gdzieś wybuchnie podłożona bomba.

18.22

Kolejka znowu posunęła się do przodu i Harris zauważył, że Kasjerzy w okienkach sprawdzają dowód tożsamości każdej osoby, która kupuje bilet, a obok nich za szybą stoją uzbrojeni policjanci i obserwują każdy ich ruch. Powoli, jakby od niechcenia, wyszedł z kolejki i ruszył w kierunku męskiej toalety. Musiał się jakoś wydostać z budynku dworca i znaleźć inny sposób

dotarcia do Gerony. Nie miał pojęcia, jak to zrobi, bo wszystkie stacje kolejowe i autobusowe będą pod takim samym ścisłym nadzorem.

Minął kiosk z gazetami. Na samym wierzchu leżała wystawiona „La Vanguardia”, najwyraźniej jeden z większych barcelońskich dzienników. Na pierwszej stronie widniało jego zdjęcie wysiadającego z prezydenckiej limuzyny, zrobione dzień wcześniej. Nad fotografią nagłówek głosił:

HARRIS HUYE AMENAZA DEL TERRORISTA
EN MADRID!
„HARRIS UNIKA TERRORYSTYCZNEGO ZAGROŻENIA
W MADRYCIE!”

Schylił głowę i szedł dalej, obok sklepów, restauracji, wszędzie roilo się od policji. W końcu dotarł do męskiej toalety. Wchodząc, minął policjanta pełniącego wartę przy drzwiach. Kilku mężczyzn stało przy pisuarach. Harris wszedł prosto do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Co ma dalej robić? Istny koszmar. Do diabła, chciałby się zbudzić i stwierdzić, że to był tylko zły sen.

Usiadł na sedesie i zaczął się zastanawiać. Przez chwilę przynajmniej był tu bezpieczny, ale tylko do czasu, aż ktoś zechce skorzystać z kabiny albo policjant przy drzwiach nabierze podejrzeń i przyjdzie sprawdzić, co tu robi tak długo. Pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy, to zaryzykować telefon do rabina. Poprosić go, żeby wszedł do samochodu i przyjechał po niego. Potem znalazłby jakąś kryjówkę w pobliżu i czekał. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Jeśli wcześniej się obawiał, że telefony Davida są na podsłuchu, to teraz, widząc, co się dzieje na dworcu, przestał mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Wyglądało na to, że siły bezpieczeństwa przeczesywały i kontrolowały wszystkie możliwe drogi komunikacji w Hiszpanii. Nawet jeśli o tym nie wiedzieli, dosłownie deptali mu po piętach.

To znaczy, że musi nieco zwolnić i robić tylko jeden krok naraz, tak jak w Ritzu. Pierwsze zadanie: wydostać się z dworca. Kiedy znajdzie się na ulicy, pomyśli, co dalej. Żeby stąd wyjść, musi zrobić to samo, co zrobił w Madrycie: wykorzystać swoją wiedzę na temat konstrukcji budynków użyteczności publicznej i sprawdzić pomieszczenia techniczne — kanały, korytarze z ogrzewaniem, wentylacją, instalacją hydrauliczną i elektryczną. Tak jak mysz czy szczur znajdzie drogę na wolność.

Wstał, spuścił wodę i już miał otworzyć drzwi, kiedy na podłodze koło nogi zobaczył złożoną gazetę „La Vanguardia” z jego zdjęciem na pierwszej

stronie. Od razu dostrzegł w niej wygodny rekwizyt, którego będzie mógł użyć, aby zasłonić twarz, idąc przez dworzec i szukając wejścia do pomieszczeń technicznych. Przy okazji dowie się czegoś na temat zasłony dymnej, jakiej użyli spece od mediów z Białego Domu i jaką historyjką posłużyli się jego „przyjaciele”, a zwłaszcza mistrz manipulacji, Jake Lowe, aby wszcząć powszechny alarm, nie zdradzając jednocześnie prawdy i nie budząc społecznego niepokoju. Czym prędzej podniósł gazetę, wsunął ją pod ramię, po czym jeszcze raz spuścił wodę i wyszedł.

47

HOTEL REGENTE MAJESTIC. 19.15

Nicholas siedział w hotelowym barze i czekał na telefon od Petera Faddena, który był już w Madrycie, oddelegowany tam, aby zbadał i relacjonował aferę z nagłym wywiezieniem prezydenta Stanów Zjednoczonych z hotelu Ritz poprzedniego wieczora. Fadden natychmiast odebrał telefon, ale musiał przerwać, bo zadzwonił do niego ktoś jeszcze. Obiecał, że odezwie się jak najszybciej.

W spodniach khaki, swetrze pod szyję i cienkiej kurtce Marten wyglądał zupełnie inaczej niż mężczyzna, który wczesnym popołudniem zameldował się w tym hotelu, a zaraz potem szybko wyjechał. Na jego korzyść działał również fakt, że ludzie, którzy pracowali tu rano, skończyli zmianę i zastąpił ich inny zespół.

Z ulgą dowiedział się, że wbrew jego obawom Demi nie wymeldowała się z hotelu, co więcej, zjawił się również w końcu wielebny Beck, ale żadnego z nich nie było obecnie w pokoju, a w każdym razie nie odbierali telefonów. Marten sprawdził też w kawiarni i w restauracji, ale nigdzie nie znalazł żadnego z nich. Mógł więc spokojnie przyjąć, że jeśli nie siedzą w innym apartamencie, to nie ma ich w ogóle w hotelu.

Ze swojego miejsca w barze widział drzwi wejściowe, recepcję i windy. Gdyby zjawiła się Demi albo Beck, albo oboje, musieliby przejść obok niego. Nie był zachwycony, że tak siedzi na widoku, ale pracując w dochodzeniówce, dość się naprowadził obserwacji, żeby wiedzieć, jak się to robi: raz na jakiś czas wyjść i wrócić, udawać, że się na kogoś czeka. Oczywiście w końcu będzie musiał opuścić hotel, ale jeszcze nie teraz. Na razie zyskiwał na czasie, czekając, aż wróci Demi i zadzwoni Peter Fadden. Czas zresztą sam w

sobie nastreczał niemało kłopotów. W tej chwili Foxx czy ktokolwiek inny, kto wysłał Karla Melzera, aby go śledził, wie już, że jego człowiek nie żyje i szuka dla niego zastępstwa. Kiedy znajdzie, zaczną obdzwaniać wszystkie hotele w Barcelonie i wypytywać o Nicholasa Martena. „Szukam przyjaciela” albo „Mój kuzyn nazywa się...”, albo coś podobnego. Nawet zważywszy na liczbę hoteli w mieście, cała impreza zajmie nie więcej niż pół godziny. Znajdą go i wszystko zacznie się od nowa.

Odwracał się właśnie, żeby lepiej widzieć drzwi wejściowe, kiedy zaświergotała jego komórka.

— Marten, słucham.

— Tu Peter. — Głos Faddena słychać było tak wyraźnie, jakby siedział obok. — Przepraszam, że to tak długo trwało. Dzisiaj w nocy Secret Service wywozła gdzieś prezydenta z hotelu. Mówią, że istniało zagrożenie terrorystyczne, a podejrzani są cały czas na wolności i próbują się wydostać z miasta. Postawili na nogi każdego Hiszpana, który dał się wcisnąć w mundur, i wysłali na poszukiwania. Nie wspomnę już, co się dzieje w Secret Service, CIA i FBI.

— Tak, wiem, czytałem wiadomości.

— Tak czy inaczej jestem tu właściwie sam. Rzecznik Białego Domu zwija kram i odesłał całą ekipę dziennikarzy do Waszyngtonu. Nie wiem dlaczego, poza tym, że stamtąd mają wychodzić wszelkie oficjalne informacje, kiedy coś się zmieni. Rzecz jasna zrobią w tył zwrot i ściągną wszystkich z powrotem na poniedziałkowy szczyt NATO w Warszawie. Ale nie o tym pewnie chcesz mówić, tylko o Caroline Parsons i o jej szpitalu.

— Tak.

— Szpital jest legalny. Zabrano ją z domu do Centrum Rehabilitacji w Silver Spring w Marylandzie. Leżała tam sześć dni, zanim przewieziono ją do kliniki Waszyngtona. Doktor Stephenson była tam konsultantką, zatwierdziła jej przyjęcie, a potem przewiezienie. Natomiast nikt z pracowników nigdy nie słyszał o doktorze Foksie ani nie zna nikogo odpowiadającego jego rysopisowi.

Marten odetchnął głęboko i rozejrzał się wokół siebie. Około dziesięciu osób siedziało przy stolikach, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Odwrócił się z powrotem do telefonu.

— Peterze, mam coś jeszcze. Stephenson i Foxx byli wyznawcami jakiegoś kultu, sabatu więdzm...

— Więdzm?

— Tak,
— Na litość boską...
— Poczekaj i posłuchaj, proszę cię — powiedział Nicholas półgłosem.
— Pamiętasz, mówiłem ci, że Foxx ma wytatuowany na kciuku krzyżyk zakończony kółeczkami. Stephenson też go miała. Niewykluczone, że i Beck.

Podniósł głowę i popatrzył na młodą parę, która zajęła stolik obok niego. Wstał i z telefonem przy uchu ruszył w stronę holu.

— Ten krzyż jest znakiem Aldebarana — ciągnął, idąc. — To jasnoczerwona gwiazda, która tworzy lewe oko gwiazdozbioru Byka. Nazywana jest też podobno Okiem Boga.

— Marten, co ty wygadujesz, do stu diabłów?

— Mówię o jakimś dziwnym kulcie.

— I uważasz, że ten kult ma coś wspólnego ze śmiercią Caroline Parsons i jej męża?

— Możliwe, nie wiem. W każdym razie Foxx się bardzo zirytował, kiedy go przesłuchiwałem. Mówiłem ci, że zaprzeczył, jakoby w ogóle znał doktor Stephenson. Możliwe, że twoi ludzie nie znaleźli żadnych śladów jego pobytu w szpitalu, kiedy leżała tam Caroline, ale ona nie tylko opisała, jak on wyglądał i jak wyglądały jego dłonie, ale opisała również ten tatuaż. Wierz mi, Peter, on tam musiał być. Beck towarzyszył mu na Malcie, a teraz jest w Barcelonie i ma się z nim znowu spotkać. Usiłuję się dowiedzieć gdzie i kiedy. Kiedy się tego dowiem, może będę też wiedział po co.

Marten szedł przez hol. Naprzeciw niego chłopiec hotelowy pchał wózek z bagażami. Nicholas zatrzymał się i odwrócił.

— Posłuchaj, jest jeszcze coś. Foxx albo ktoś inny kazał mnie śledzić z Valletty do Barcelony. To była robota zawodowców: jeden facet przekazał mnie drugiemu na lotnisku w Barcelonie. Wydawało mi się, że go zgubiłem, ale zjawił się nagle w restauracji, gdzie jadłem lunch. Dowiedziałem się później, że był Niemcem, inżynierem, pracował w jakiejś firmie w Monachium.

— Po co jakiś inżynier miałby...

— Zadawałem sobie to samo pytanie. Ale wszystko się zgadza. Zadzwoń do jego biura i sprawdź.

— Gdzie on teraz jest?

— Nie żyje.

— Co takiego?

Minął go boy hotelowy, więc odwrócił się i ruszył w drugą stronę. Dokładnie w tym samym momencie otworzyły się drzwi windy i Marten ze

zduzieniem zobaczył wychodzącą z niej Demi w towarzystwie wielbego Becka oraz starszej kobiety ubranej na czarno, z wyglądu Hiszpanki lub Włoszki.

— Peter, muszę lecieć. Odezwę się, jak będę mógł.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Patrzył, jak tamtych troje przemierza hol, kierując się w stronę drzwi. Obserwował, jak Beck rozmawia z portierem. Chwilę później podjechała taksówka, wszyscy troje wsiedli i odjechali. Dopiero wtedy Nicholas wyszedł na dwór.

— Mówi pan po angielsku? — zapytał portiera.

— Tak, proszę pana.

— Te trzy osoby, które właśnie wsiały do taksówki... Należę do grupy towarzyszącej wielbnemu Beckowi. Miałem się z nimi gdzieś spotkać, ale zgubiłem plan podróży. Wie pan może, dokąd pojechali?

— Do kościoła, señor.

— Do kościoła?

— Do katedry w Barcelonie.

— Oczywiście, do katedry. Dziękuję.

— Chce pan tam pojechać?

— Tak.

— No to ma pan szczęście, tak samo jak pańscy towarzysze.

— Dlaczego? — zapytał zaintrygowany Marten.

— Bo zwykle katedra jest otwarta tylko do siódmej, ale w tym miesiącu aż do dziesiątej. Przez długi czas była w ogóle zamknięta z powodu renowacji i teraz świętuje ponowne otwarcie. — Uśmiechnął się. — Więc jedzie pan?

— Tak.

Portier skinął ręką na taksówkę. Nicholas dał mu dziesięć euro napiwku, wsiał do samochodu i odjechał.

48

19.40

John Henry Harris stał w drzwiach sklepu spożywczego i obserwował kobietę, która przechadzała się tam i z powrotem po ulicy. Była blondynką o jasnej, prawie porcelanowej cerze. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, wyglądała na Niemkę lub Skandynawkę, lub może Rosjankę. Jej narodowość

zresztą nie miała znaczenia, ważna była jej profesja. W bluzeczce z odkrytymi plecami i głębokim dekoltem, w wąskiej minispódniczce lawirowała między samochodami za każdym razem, kiedy zapalało się czerwone światło. Nie było wątpliwości, że jest do wynajęcia i że za odpowiednią cenę zrobi niemal wszystko, czego się od niej zażąda. Tego właśnie potrzebował teraz John Harris — kogoś, kto zrobi wszystko, czego on zażąda, i to bez zadawania zbędnych pytań.

Nie miał pojęcia, gdzie jest, poza tym, że uszedł kilkanaście przecznic od dworca kolejowego. Nie uciekł tak, jak planował, ponieważ wszystkie wejścia do pomieszczeń technicznych, które udało mu się znaleźć, były albo zamknięte, albo pilnie strzeżone. Zamiast tego zaryzykował dość śmiały czyn i podłożył ogień na tyłach kiosku z gazetami niedaleko wyjścia — dywersja, jakby to nazwano w wojsku lub w policji. I zadziało. Ogień na krótko odwrócił uwagę strażników od sprawdzania dokumentów i doprowadził ich na skraj paniki w obliczu i tak już lekko podenerwowanych pasażerów. Harris starannie wybrał moment, kiedy strażnicy rzucili się do gaszenia pożaru, i kilka sekund później znalazł się na ulicy i zniknął w tłumie.

— Señorita — powiedział, kiedy zapaliło się zielone światło i samochody ruszyły, a jego dziewczyna, kołyszac biodrami, wróciła na chodnik.

Popatrzyła na niego, uśmiechnęła się i podeszła bliżej.

— ¿Habla español? Czy mówi pani po hiszpańsku? — spytał z nadzieją.

Nie chciał używać angielskiego, jeżeli nie było to absolutnie konieczne.

— Si. — Podeszła jeszcze bliżej.

Spojrzał na nią znad okularów.

— Quisiera un poco de su tiempo. Chciałbym zająć pani trochę czasu.

— Seguro. Oczywiście.

Uśmiechnęła się kusicielsko i poprawiła bluzkę tak, aby mógł zobaczyć jeszcze więcej.

— No es lo que ustedpiensa. Nie chodzi o to, o czym pani myśli — powiedział cicho.

— Lo que es, si paga el dinero, lo haré. Nieważne, co to jest, zrobię wszystko, jeśli mi pan zapłaci.

— Bueno — odparł. — Bueno.

19.55

Taksówka Martena skrzyła najpierw w jedną ulicę, potem w drugą, wioząc go we wlokącym się sznurze pojazdów z powrotem do Dzielnicy Goyckiej. Nadal nie wiedział, co ma myśleć o Demi, nie był pewien, czy może jej ufać. A nie pomogło to, że nie odbierała jego telefonów, chociaż specjalnie ją uprzedził, że zadzwoni, ani to, że Beck, mimo niezadowolenia z obrotu rzeczy na Malcie, najwyraźniej zdołał się uspokoić na tyle, aby zaproponować jej jazdę do Barcelony i teraz sprawiali wrażenie, jakby byli najlepszymi kumplami pod słońcem. Nicholas nie mógł się oprzeć myśli, że wszystko, co mu opowiedziała w restauracji na temat wiedźm i znaku Aldebarana, miało tylko zamydląć mu oczy, aby trzymał się od niej z daleka, a ona mogła swobodnie wkraść się z powrotem w łaski Becka i pojechać na spotkanie z Foksem. Zaczął się zastanawiać, czy to nie jest właśnie cel ich podróży: spotkanie z Foksem w katedrze. Intrygowało go również, kim jest kobieta w czerni.

20.07

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Taksówkarz obserwował go w lusterku. Już wcześniej zerkał na niego kilkakrotnie, a teraz otwarcie i natrętnie mu się przyglądał. Przez chwilę Marten poczuł, jakby wpadł w pułapkę, jakby kierowca taksówki okazał się człowiekiem wysłanym na miejsce Szpakowatego albo informatorem, jak kelner w Czterech Kotach, kimś wynajętym, aby go szukać.

— Dlaczego pan tak na mnie patrzy? — zapytał.

— No hablo English good. — Mężczyzna się uśmiechnął. Nicholas pokazał na swoją twarz

— Poznaje mnie pan? Zna mnie pan?

Jeśli ten mężczyzna miał mu przysporzyć kłopotów, jeśli wiozł go zupełnie w inne miejsce zamiast do katedry, to Marten chciał o tym wiedzieć jak najszybciej, aby mieć jeszcze czas na reakcję.

— Si. — odparł mężczyzna. — Si.

Szybkim ruchem sięgnął na sąsiedni fotel i wziął do ręki popołudniową gazetę, otwartą na którejś środkowej stronie.

— Ty samarytanin. Ty samarytanin. Nicholas osłupiał.

— Słucham? O czym pan mówi?

Kierowca podał mu gazetę nad siedzeniem. Nicholas wziął ją do ręki i

jego wzrok padł na duże zdjęcie, na którym klęczał na jezdni przy zwłokach Szpakowatego tuż obok pechowej ciężarówki.

Buen Samaritan a ningún extremo, hombre matado en calle — głosił nagłówek. Nicholas nie znał hiszpańskiego, ale zrozumiał istotę sprawy. Tylko że zrobili z niego samarytanina bez powodu, ponieważ mężczyzna potrącony przez ciężarówkę już wtedy nie żył.

— Si, Samaritan.

Nicholas oddał kierowcy gazetę, klnąc w duchu. Najwyraźniej ktoś w tłumie gapiów zrobił zdjęcie i sprzedał je gazetom. Na szczęście nigdzie nie podano nazwiska ofiary, więc nikt nie wiedział o skradzionym portfelu. Mimo to nie ucieszyło Martena to zdjęcie. Wystarczyło, że musiał się meldować w hotelu pod własnym nazwiskiem. Po publikacji jego zdjęcia w gazecie jeszcze łatwiej będzie go znaleźć.

Niespodziewanie taksówka przyspieszyła, skręciła w najbliższą przecznicę i pojechała w głąb Dzielnicy Gotyckiej, która, jak sobie Marten teraz uświadomił, nie była zwyczajną dzielnicą turystyczną, lecz zabytkową częścią miasta, gdzie jedne wąskie uliczki przeplatały się z innymi wąskimi uliczkami, a te kończyły się na maleńkich skwerkach. Łatwo można się było zgubić w tym labiryncie, łatwo było się zgubić Niemcowi Klausowi Melzerowi w nieznanym mieście, kiedy uciekał przed ścigającym go mężczyzną i wpadł pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Nicholas znowu zaczął się zastanawiać, czemu Foxx czy też ktoś inny, kto wynajął niemieckiego inżyniera, wybrał właśnie jego zamiast kogoś miejscowego. I dlaczego Melzer zgodził się go śledzić?

W tym momencie taksówka się zatrzymała i kierowca wskazał palcem duży plac. Po jednej stronie ciągnęły się sklepy, po drugiej stała wielka kamienna budowla z morzem wieżyczek i dzwonnicy sięgających wysoko w wieczorne niebo.

— Katedra, señor — oznajmił taksówkarz. — Jesteśmy pod katedrą Barcelony.

49

20.20

Przeszedł na drugą stronę placu, aby wmieszać się w grupę angielskich turystów wchodzących po schodach do katedry.

Tonące w przepychu wnętrze piętnastowiecznej świątyni spowijała cisza,

półmrok rozjaśniały setki świec wotywnych migoczących na stołach po obu stronach nawy.

Grupa turystów poszła dalej, lecz Nicholas został nieco w tyle, rozglądając się za Demi, Beckiem i kobietą w czerni. Tu i ówdzie siedzieli ludzie pogrążeni w milczącej modlitwie. Inni chodzili dookoła i z nabożnym szacunkiem podziwiali wspaniałą architekturę. Na dalekim końcu nawy wznosił się misterny ołtarz z gotyckimi łukami strzelającymi w kierunku sklepienia ginącego w górze na wysokości prawie trzydziestu metrów.

Ktoś zakaszłał tuż obok, wrywając Nicholasa z zamyślenia. Powoli i ostrożnie ruszył przed siebie. Nigdzie nie widział ani Demi, ani jej towarzyszy. Nagle przyszło mu do głowy, że Beck lub któraś z kobiet, wychodząc, mogli szepnąć słówko portierowi w hotelu i ten wpuścił go w maliny, podczas gdy oni w rzeczywistości pojechali zupełnie gdzie indziej. Od razu pomyślał, że powinien wracać do hotelu, i wtedy zobaczył ich na drugim końcu kościoła, gdzie rozmawiali z księdzem.

Ostrożnie, ukrywając się za grupą turystów i modląc się, aby tamci nie odwrócili się nagle i go nie spostrzegli, ruszył w ich stronę.

Był już w takiej odległości, że niemal słyszał, co mówią, kiedy ksiądz, z którym rozmawiali, wskazał nagle coś ręką w przeciwnym kierunku i wszyscy poszli za nim. Marten również.

Wkrótce znalazł się w korytarzu biegnącym wzdłuż wewnętrznego dziedzińca z ogrodem. Daleko z przodu ksiądz, a za nim pozostali, w następny korytarz. Marten ruszył za nimi.

Jeszcze trzydzieści kroków i znalazł się przed wejściem do jakiejś kaplicy. Ostrożnie wszedł do środka i w tej samej chwili zobaczył, jak ksiądz przeprowadza Demi, Becka i kobietę w czerni przez ozdobne drzwi na drugim końcu sali. Nicholas błyskawicznie przemierzył kaplicę i nacisnął żelazną kutą klamkę. Niestety, drzwi ani drgnęły. Tamci, wychodząc, zamknęli je na klucz.

Co teraz? Odwrócił się. Kilka metrów od niego stał starszawy ksiądz i przyglądał mu się ciekawie.

— Szukam toalety — powiedział niewinnym tonem.

— Te drzwi prowadzą do zakrystii — odparł ksiądz po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem.

— Do zakrystii?

— Tak, señor.

— I zawsze są zamknięte?

— Otwieramy je tylko na godzinę przed mszą i godzinę po niej.

— Rozumiem.

— Tam pan znajdzie toaletę — powiedział staruszek i wskazał korytarz za plecami Martena.

— Bardzo dziękuję — odrzekł Marten i nie mając innego wyjścia, zawrócił.

20.45

W ciągu pięciu minut obszedł główny kościół, szukając sposobu, aby dostać się tam, gdzie weszli Demi, Beck i kobieta w czerni. Niestety, wszystkie inne drzwi były albo pozamykane, albo prowadziły do korytarzy, którymi można było przejść w następne korytarze, żadnym z nich jednak nie dało się dojść do kaplicy, w której zniknęli tamci.

Wrócił po własnych śladach i wyszedł z kościoła. Zaczął okrążyć katedrę z zewnątrz, kierując się do miejsca, gdzie, jak mu się zdawało, powinna się znajdować kaplica. Szukał drzwi, którymi mogliby wyjść Demi i jej towarzysze, niczego jednak nie znalazł. Wszystkie wejścia były pozamykane naглуcho, i to prawdopodobnie od dawna. Pozostawały więc tylko główne drzwi, którymi dopiero co wyszedł. Wmieszał się w tłum turystów i przechodniów przed świątynią i usiadł przy stoliku w ogródku kawiarni, skąd miał dobry widok na wejście. Zamówił butelkę wody mineralnej, a potem kawę. Minęła godzina, a oni nadal nie wychodzili. O dziesiątej zamknięto drzwi katedry i Marten zły i sfrustrowany, że jednak ich zgubił, wstał i ruszył w drogę powrotną do hotelu.

50

HOTEL RIVOLI JARDIN. 22.20

Zostawił za sobą hałaśliwą, zatłoczoną ulicę i wkroczył w zacisze hotelowego holu. Od razu podszedł do recepcji, aby zapytać, czy były do niego jakieś telefony lub wiadomości.

— Nie, señor — odpowiedział recepcjonista uprzejmie.

— A czy ktoś o mnie pytał?

— Nie, señor.

— Dziękuję.

Skinął recepcjoniście głową i poszedł do windy. Drzwi się otworzyły, kiedy nacisnął guzik, i Nicholas wszedł do pustej kabiny. Po zamknięciu drzwi winda ruszyła.

Ulżyło mu, kiedy się dowiedział, że nikt o niego nie pytał, znaczyło to bowiem, że jak na razie nikt nie zastąpił Szpakowatego i nie śledził go do Rivoli Jardin. Demi, Peter Fadden i Ian Graff z Fitzsimmons and Justice w Manchesterze mieli jego numer komórkowy i na pewno by zadzwonili. Chwilowo więc mógł spokojnie odetchnąć. Nikt nie wiedział, gdzie jest.

Demi.

Najwyraźniej wróciła do łask Becka, w przeciwnym razie nie towarzyszyłaby mu do katedry. Nadal pozostawała dla niego zagadką. Prawda, że udzieliła mu wielu informacji, zwłaszcza na temat wiedźm, tatuaży na kciukach i znaku Aldebarana. Wyznała także otwarcie, że przyleciała do Barcelony w nadziei, że uda jej się jeszcze raz spotkać z Merrimanem Foksem. Z drugiej strony jednak, chociaż zajmowali się tą samą sprawą, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Przypomnił sobie, jakie wrażenie zrobiła na nim w Czterech Kotach: jak gdyby wszystko, co robiła i mówiła, miało związek z czym innym. Ogólnie rzecz biorąc, wiele rzeczy z nią związanych wprawiało go w zakłopotanie.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze, drzwi się otworzyły i Marten wyszedł na pusty korytarz. Dwadzieścia sekund później stanął przed drzwiami do swojego pokoju i przesunął przez szczelinę czytników klucz elektroniczny. Światelko kontrolne zmieniło się z czerwonego na zielone, zamek się otworzył. Śmiertelnie wykończony, marząc tylko o tym, żeby wziąć prysznic i położyć się spać, zapalił światło w przedsionku, po czym zamknął za sobą drzwi. Po lewej stronie była łazienka, a za nią pokój, ciemny, oświetlony tylko słabym blaskiem wpadającym tu z ulicy. Minął drzwi do łazienki i sięgnął ręką do kontaktu w pokoju.

— Proszę nie włączać światła, panie Marten — dobiegł go nagle z ciemności męski głos.

Ciarki przebiegły Nicholasowi na plecach. Instynktownie obejrzał się za siebie. Nie da rady dopaść do drzwi, otworzyć ich i wybiec. Z walącym sercem odwrócił się z powrotem i usiłował przebić wzrokiem ciemność pokoju.

— Kim pan jest, do diabła? Czego pan chce?

— Wiem, że jest pan sam. Widziałem z okna, jak przechodził pan przez ulicę przed hotelem.

Głos brzmiał spokojnie, nawet łagodnie. To nie był ktoś w rodzaju tych, którzy go śledzili, żaden tajny informator ani wynajęty zbir.

— Pytałem, kim pan jest i czego pan chce?

Nicholas nie miał nawet pojęcia, czy mężczyzna jest sam, czy też gdzieś tu się czai jego wspólnik. I czy przyszedł go zabić, czy po prostu zabrać i zawieźć do Merrimana Foksa.

Nagle usłyszał ruch. Zobaczył zarys męskiej sylwetki idącej w jego kierunku. Jednym szybkim ruchem rozpiął pasek, wyciągnął go ze spodni i owinął sobie wokół dłoni, aby mu posłużył za prowizoryczną broń.

— Nie będzie to panu potrzebne, panie Marten.

Niespodziewanie jego gość wyszedł z ciemnego pokoju do jasno oświetlonego holu. Martenowi na jego widok zaparło dech ze zdumienia. Przed nim stał prezydent Stanów Zjednoczonych, John Henry Harris.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — powiedział Harris.

51

Nicholas zaciągnął zasłony w pokoju, zapalił małą lampkę i odwrócił się z powrotem do prezydenta, który siedział na fotelu przodem do niego. Jeżeli można powiedzieć, że wcześniej się przestraszył, to teraz był nie mniej zaniepokojony. Mężczyzna, którego ujrzał kilka chwil temu we własnym pokoju hotelowym, był prawdopodobnie najbardziej znaną osobą na świecie, teraz jednak wyglądał zupełnie inaczej, z trudem można go było rozpoznać. Znikła gdzieś bujna czupryna, na jej miejscu świeciła prawie goła czaszka. Na nosie miał okulary. Wyglądał starzej, szczuplej albo po prostu, jak pomyślał Nicholas, inaczej.

— Tupecik, panie Marten. Robią je dzisiaj bardzo fachowo — powiedział prezydent. — Od lat go noszę, ale wie o tym tylko mój osobisty fryzjer. A okulary są zwykłym rekwizytem. Kupiłem je w sklepie w Madrycie, żeby zmienić wygląd.

— Nie rozumiem. Niczego z tego wszystkiego nie rozumiem. Nawet tego, jak mnie pan znalazł i dlaczego właściwie mnie pan szukał. Podobno jest pan...

— „...ukryty w bezpiecznym miejscu, wywieziony ze względu na zagrożenie terrorystyczne”, tak, wiem. No więc ukryłem się w bezpiecznym miejscu, przynajmniej chwilowo.

Sięgnął po „La Vanguardia”, którą zabrał z toalety na dworcu kolejowym. Gazeta otwarta była na jednej z środkowych stron i złożona. Podał ją Martenowi.

Rzut oka powiedział Nicholasowi wszystko. W gazecie widniało jego zdjęcie nad zwłokami Szpakowatego, to samo, które pokazywał mu taksówkarz.

— Zobaczyłem pańskie zdjęcie, panie Marten. Wynająłem młodą kobietę, aby pomogła mi pana znaleźć. Byłem sam i rozpaczliwie potrzebowałem miejsca, gdzie mógłbym się ukryć. Chwilowo znalazłem je u pana. Szczęśliwy traf albo kismet, jak to mówią.

Marten nadal nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia.

— Przykro mi, ale w dalszym ciągu niczego nie rozumiem.

— Ta młoda kobieta dowiedziała się, gdzie się pan zameldował. Byłem niedaleko, więc przyszedłem na piechotę. Wpuścił mnie uprzejmy recepcjonista, któremu powiedziałem, że jestem pańskim wujkiem i że miałem się spotkać z panem wcześniej, ale mój samolot się spóźnił. Był trochę nieufny, ale kilka euro go przekonało.

— Nie chodzi mi o to, jak pan się tu dostał. Jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych, jak to możliwe, że chodzi pan samopas, dlaczego przyszedł pan do mnie, skoro mógł pan zadzwonić do każdej innej osoby.

— Sęk w tym, że nie mogłem do nikogo zadzwonić, panie Marten. Naprawdę do nikogo. — To powiedziawszy, prezydent popatrzył na Nicholasa takim wzrokiem, że ten zrozumiał natychmiast, w jakiej rozpaczliwej sytuacji musiał się znaleźć ten potężny człowiek. — Pamiętałem pana z naszego przelotnego spotkania w klinice w Waszyngtonie. Zmarła wtedy Caroline Parsons, właściwie w pańskich ramionach. Zapytał pan, czy może zostać z nią przez chwilę sam. Pamięta pan?

— Oczywiście.

— Dowiedziałem się później, że Caroline wystawiła panu upoważnienie do przejrzenia prywatnych dokumentów swoich i swojego męża, kongresmana Parsonsa.

— Tak, to prawda.

— Wydaje mi się, że zrobiła to, ponieważ sądziła, że jej mąż i syn zostali zamordowani, i miała nadzieję, że odkryje pan prawdę.

Nicholas osłupiał.

— Skąd pan o tym wie?

— Jak na razie niech panu wystarczy, że z tego powodu tu jestem i potrzebuję pańskiej pomocy. Caroline i Mike Parsonsonie byli moimi przyjaciółmi. Najwyraźniej Caroline bardzo panu ufała, a pan był do niej bardzo przywiązany. W przeciwnym razie — John Harris uśmiechnął się lekko — nie wykopałby pan prezydenta Stanów Zjednoczonych z sali szpitalnej.

Uśmiech na jego twarzy znikł. Harris milczał przez chwilę niepewnie, jakby nie wiedział, co powiedzieć lub ile powinien ujawnić. Potem Marten zobaczył na jego obliczu wyraz zaciętej determinacji, jakby prezydent podjął decyzję.

— Panie Marten — podjął przerwany wątek — Mike Parsons i jego syn naprawdę zostali zamordowani. Obawiam się, że Caroline również.

Marten otworzył szeroko oczy.

— Wie pan to na pewno?

— Tak. W każdym razie przyznali się do tego ludzie, którzy to zrobili.

— Jacy ludzie?

— Panie Marten, chcę panu ufać. Muszę panu ufać, ponieważ nie mam się do kogo zwrócić. I przez wzgląd na Caroline wierzę, że mogę. — Przerwał z wahaniem, a potem na jego twarzy znowu pojawił się wyraz determinacji. — Nie istniało żadne terrorystyczne zagrożenie. Wyszedłem z hotelu w Madrycie na własną rękę i w bardzo trudnych okolicznościach. Można właściwie powiedzieć, że uciekłem.

Marten nie zrozumiał.

— Uciekł pan? Przed kim?

— Nasz kraj, panie Marten, znajduje się w stanie wojny. Tę wojnę potajemnie wydała mnie i naszemu krajowi grupa ludzi zajmujących najwyższe stanowiska rządowe. To osoby spośród moich najbliższych doradców i z mojego gabinetu. Znałem tych ludzi i ufałem im od lat. To prawdopodobnie grupa najbardziej wpływowych, a w związku z tym najniebezpieczniejszych osób w kraju. Według mnie znajdujemy się o włos od zamachu stanu, wydarzenia, do jakiego nie doszło w całej w naszej historii. W efekcie zagrożone jest nie tylko moje życie, ale też przyszłość wielu innych krajów. A co najgorsze, mam bardzo niewielkie pole manewru i niewiele czasu. W najlepszym razie niewiele ponad trzy dni. W rządzie nie ma w tej chwili nikogo, komu mógłbym zaufać bez zastrzeżeń. Z kolei wszystkich moich znajomych i krewnych ci ludzie będą mieć pod ścisłym nadzorem. Właśnie dlatego, kiedy zobaczyłem w gazecie pańskie zdjęcie, zrozumiałem, że muszę zaryzykować i pana odnaleźć. Muszę komuś zaufać i tak się złożyło, szczęśliwie czy nie, że tym kimś jest właśnie pan.

Marten słuchał osłupiały. Może zdarza się w książkach i filmach, że prezydent Stanów Zjednoczonych zjawia się w środku nocy w twoim pokoju hotelowym i opowiada, że krajowi grozi zamach stanu i że jesteś jedyną

osobą na świecie, której może ufać i która może mu pomóc zapobiec światowej katastrofie. Niewykluczone, że w filmach i książkach zdarzają się takie rzeczy, ale to nie był film ani książka, to się działo naprawdę. Nie dalej niż metr od niego siedział prezydent najpotężniejszego kraju na świecie, w dodatku najwyraźniej bardzo wyczerpany, i patrząc nań przekrwionymi oczami, opowiadał niestworzone rzeczy i prosił o pomoc.

— Co mam zrobić? — zapytał na koniec głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

— W tej chwili nie jestem jeszcze pewien... — John Harris odetchnął głęboko, co przypominało raczej westchnienie spowodowane wyczerpaniem — ...ale gdyby zechciał pan poczuwać godzinę czy dwie... Mam za sobą okropnie długi i męczący dzień. Muszę spokojnie pomyśleć, ale najpierw potrzebuję trochę snu.

— Rozumiem.

Z roztargnieniem Harris przejechał ręką po brodzie, na której zaczął się już pojawiać ostry zarost.

— Cały czas mamy piątek, siódmego, prawda?

— Tak.

— To dobrze.

Uśmiechnął się, a wtedy na jego twarzy uwidoczniło się prawdziwe zmęczenie. Spojrzał Nicholasowi w oczy.

— Dziękuję — powiedział szczerze. — Bardzo panu dziękuję.

SOBOTA

8 kwietnia

MADRYT. 1.45

— Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, proszę pana — Hap Daniels usłyszał w słuchawkach głos specjalistki do spraw wywiadu Secret Service, Sandry Rodriguez. — Oprogramowanie analityczne NSA wykryło wieczorem pewną regularność w Barcelonie i właśnie zakończono analizę.

— Co za regularność? — zapytał ostro Daniels.

Miał wrażenie, że minęły nieskończenie długie godziny od zniknięcia prezydenta, podczas których na nogach trzymały go kawa, adrenalina i nadzieja. Pod rozkazami płynącymi z biura wiceprezydenta, pod nadzorem George'a Kellnera, szefa madryckiej placówki CIA, Secret Service przejęła stanowisko dowodzenia w szarym, niepozornym budynku magazynu w Poblenou, dzielnicy starych fabryk, składów i hurtowni. Ten punkt dowodzenia założyła CIA na wypadek „zagrożenia terrorystycznego”, które dotknęłoby ambasadę Stanów Zjednoczonych.

Mijało już prawie dziewiętnaście godzin od zniknięcia prezydenta i Daniels otoczony kółeczkiem złożonym ze swego zastępcy, podobnego do bulldoga Billa Straita, zastępcy dyrektora waszyngtońskiego Secret Service, bladoliciego, nijakiego Teda Langway, George'a Kellnera i kilku innych pracowników ochrony prezydenta siedział w tonącej w półmroku głównej sali centrum operacyjnego. W mdłym blasku kilkunastu monitorów komputerowych siedzieli analitycy z CIA i Secret Service i zbierali wszelkie informacje z gigantycznej i ściśle tajnej operacji wywiadowczej obejmującej już teraz zasięgiem prawie cały świat.

Nieco z tyłu, niczym ołowiany cień, główny polityczny doradca prezydenta, Jake Lowe, chodził tam i z powrotem, zupełnie jakby jego żona miała właśnie rodzić i poród niepokojąco się przedłużał. Z blackberry w rękę, ze słuchawkami łączącymi go z każdą linią, z której aktualnie rozmawiał Hap Daniels, Lowe miał otwartą i w każdej chwili gotową na połączenie jeszcze jedną linię — z ambasadą amerykańską, oddaloną o dziesięć kilometrów, gdzie doktor James Marshall i Tom Curran założyli, jak to nazwali, „salę narad wojennych”. Inna bezpieczna linia łączyła ich z podziemiami Białego Domu w Waszyngtonie, gdzie wiceprezydent Hamilton Rogers, sekretarz stanu David Chaplin, sekretarz obrony Terrence Langdon oraz przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generał lotnictwa Chester Keaton urządzili własny pokój wojenny.

— Mamy zapisy dwudziestu siedmiu rozmów telefonicznych przeprowadzonych między dwudziestą a dwudziestą czterdzieści dziś wieczorem z sześciu różnych aparatów telefonicznych. Wszystkie znajdują się w półkolu o promieniu trzech kilometrów od dworca Barcelona-Sants — oznajmiła Rodriguez. — Wszystkie wykonano za pomocą karty telefonicznej kupionej w kiosku z papierosami na Carrer de Robrenyo.

Barcelona znalazła się pod wzmożoną obserwacją od momentu, gdy w małym kiosku z gazetami na dworcu kolejowym w piątek po południu wybuchł drobny pożar. Straż pożarna szybko stwierdziła, że ogień podłożono celowo, ale bez żadnego widocznego powodu — nie dokonano kradzieży, aktu wandalizmu czy zamachu terrorystycznego. Hiszpańscy funkcjonariusze z CNP uznali na miejscu przestępstwa, że była to „tatyka dywersyjna”. Ale jaki był powód tej dywersji? Nasuwała się tylko jedna odpowiedź, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że pożar wybuchł przy drzwiach wejściowych, gdzie policjanci legitymowali wychodzących pasażerów: ktoś, może na przykład osoba z przestępczą przeszłością ze środowisk terrorystycznych, usiłował prześliznąć się obok punktu kontrolnego. I mogło to zadziałać, ponieważ policjanci przy drzwiach, chociaż na bardzo krótko, to jednak opuścili posterunek, aby zbadać przyczynę zamieszania i zagrożenie pożarowe.

— Jaki to ma związek z prezydentem? — dopytywał się zniecierpliwiony Daniels, u którego zmęczenie i frustracja zaczynały brać górę nad zwykle powściągliwym obejściem.

— Właśnie powiedziałam, że nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

— Czy co ma jakie znaczenie? O czym pani mówi, do diabła?

— O pewnej regularności. Wszystkie telefony wykonano do miejscowych hoteli, jednego po drugim, jak gdyby ktoś szukał gościa hotelowego, ale nie wiedział, gdzie się zatrzymał.

— Zdobądźcie mi nazwę tego kiosku z papierosami, gdzie kupiono kartę, adresy i telefony hoteli, do których dzwoniło.

— Tak jest.

— Dziękuję pani. — Daniels wystukał numer na leżącej przed nim klawiaturze. — Dowiedźcie się, czy hiszpański wywiad przechwytywał wczorajsze rozmowy telefoniczne z Barcelony między dwudziestą a dwudziestą czterdzieści. Jeśli tak, sprawdźcie, czy mają zapis głosu serii telefonów wykonanych do okolicznych hoteli w tym czasie. Chcę wiedzieć, czy dzwonił mężczyzna czy kobieta, po co dzwoniło i w jakim języku rozmawiano.

— Tak jest.

— I zróbcie to szybko.

— Tak jest.

53

BARCELONA; HOTEL RIVOLI JARDIN. 2.15

Godzina nocnych imprez. Klaksony, samochody, motocykle, nie cichnący ruch uliczny. Tłumy ludzi na chodnikach. Dźwięki brazylijskiego i argentyńskiego jazzu sączące się przez okna z podwójnymi szybami.

Prezydent John Harris spał na łożku, Nicholas leżał skulony na kanapie obok, kiedy dzwonek komórki Martena poderwał obydwu.

— Kto to dzwoni? — zapytał Harris, który błyskawicznie oprzytomniał i niespokojnie usiadł.

— Nie wiem.

Telefon znowu zaczął dzwonić.

— Lepiej niech pan odbierze.

Nicholas wziął telefon ze stolika stojącego przy kanapie i odebrał.

— Halo?

— Mówi Demi — odezwała się ściszym głosem. — Wymeldowałeś się z hotelu. Gdzie jesteś? Muszę się z tobą natychmiast spotkać. Nie chcę rozmawiać przez telefon.

Prezydent zapalił lampkę nocną, a Marten przysłonił ręką mikrofon.

— To kobieta. Chce się ze mną teraz spotkać. Jeszcze cztery godziny temu czekałem na ten telefon z niecierpliwością.

Harris się uśmiechnął.

— Nie, to nie to, co pan myśli. — Odjął rękę od telefonu. — Jest pani w Regente Majestic?

— Tak.

— Proszę poczekać. — Znowu zasłonił ręką telefon i popatrzył na Harris. — To ma związek ze śmiercią Caroline. Ta kobieta nazywa się Demi Picard. Jest francuską dziennikarką, towarzyszy kapelanowi Kongresu, Rufusowi Beckowi. Oboje są w Barcelonie. — Zawahał się przez ułamek sekundy. — Nie wiem, czy ma pan tego świadomość, ale wielbny jest przyjacielem Merrimana Foksa.

— Tego Merrimana Foksa?

— Tak — odparł Marten, po czym powiedział z powrotem do telefonu. — Niech mi pani poda swój numer komórkowy, oddzwonię. — Zapisał telefon w bloczku leżącym na stoliku nocnym. — Za pięć minut.

Następnie rozłączył się i odwracając się do prezydenta, zaczął mu relacjonować to samo co Peterowi Faddenowi: że pojechał za Foksem na Maltę i zaaranżował spotkanie z nim, podszywając się pod pracownika Kongresu, asystenta przewodniczącej komisji, Jane Dee Baker, która rzekomo potrzebuje pewnych uzupełniających wyjaśnień przed zamknięciem sprawy. Opowiedział o spotkaniu w restauracji, że byli tam Beck, Demi Picard i jeszcze jedna kobieta; że naciskał go w sprawie produkcji broni biologicznej i że przywołał nazwiska Caroline Parsons i jej lekarki, Lorraine Stephenson, i że zmyślił historijkę, jakoby Mike Parsons pozostawił notkę podważającą prawdziwość Foksa. Podzielił się również spostrzeżeniem o gniewnej reakcji Foksa.

— Nazajutrz rano dowiedziałem się, że Beck i Foxx wyjechali niespodziewanie z Malty. Pani Picard również się pakowała i nie chciała wtedy ze mną rozmawiać. Udało mi się jednak dowiedzieć, że poleciała do Barcelony, więc podążyłem tu jej tropem. Jak pan sam powiedział, panie prezydencie, Caroline Parsons została zamordowana. Stoi za tym Merriman Foxx, a także doktor Stephenson, z którą znajomości się wypierał. Wszczepili jej jakąś śmiertcioną bakterię. Jestem pewien, że to był jeden z jego eksperymentów, część programu badań nad bronią biologiczną, który rzekomo został zamknięty. Prawdopodobnie to właśnie badał Mike Parsons w swojej komisji, kiedy został zamordowany. Nie wiem, w jaki sposób jest w to wszystko zamieszany Beck, ale on i Foxx mają się wkrótce spotkać gdzieś w Barcelonie. Może nawet jutro. Demi musi coś na ten temat wiedzieć, inaczej by nie zadzwoniła o tej porze i nie prosiła mnie o spotkanie.

Urwał i zastanawiał się, jak ma powiedzieć następną rzecz, ale nie musiał, prezydent zrobił to za niego.

— Uważa pan, że doktor Foxx ma jakiś związek z planowanym zamachem stanu?

— Możliwe, ale nie mam na to dowodu. Wiem tylko, że był główną osobą przesłuchiwaną przez komisję i zeznał, że program badań nad bronią biologiczną został zamknięty, a równolegle eksperymentował na ludziach, czego przykładem jest śmierć Caroline Parsons.

— Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa pani Picard?

— Twierdzi, że wykorzystała wielebnego Becka, aby dotrzeć do Foksa. Dwa lata temu na Malcie zaginęła jej siostra i Demi uważa, że doktor mógłby otworzyć przed nią niektóre drzwi, dzięki czemu dowiedziałyby się, co się właściwie stało. Tak mówi.

— Więc jej udział jest tu właściwie przypadkowy, tak?

— Może tak, może nie. Nie wiem. Główną postacią w całej tej sprawie jest Foxx. Nie tylko wie, jak zmarła Caroline, ale również dlaczego, a odpowiedzi na obydwa te pytania mogą mieć związek z pańskimi kłopotami, panie prezydencie.

Harris popatrzył w bok, myśląc o wszystkim, co usłyszał.

— Jeśli ma pan rację, to jest to brakujące ogniwo tego, co knują. Wiem, że powinienem być zaskoczony informacją o wielebnym Becku, ale nic mnie już teraz nie dziwi. — Odwrócił się i Nicholas zobaczył w jego oczach niekłamanie cierpienie. — Oni planują coś przerażającego, panie Marten. Coś, czego ani pan, ani ja nie potrafimy sobie wyobrazić. Część tego planu znam, o części nie mam pojęcia. To wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Jestem winien poważnego niedopatrzenia. Powinienem się zorientować, że coś się dzieje, i przejrzeć ich na wylot. Jak już panu powiedziałem, mam bardzo mało czasu, aby temu zapobiec. Jeśli mnie złapią, sprawa będzie przegrana.

Marten wskazał głową telefon.

— Może ona nam w czymś pomoże. Nie mam pojęcia, ile wie ani w jakiej sprawie dzwoniła, ale zawsze to jakiś punkt zaczepienia. W tej chwili każda informacja jest na wagę złota.

Harris popatrzył na Marlana z powątpiewaniem.

— Mówił pan, że nie chciała z panem rozmawiać. Skąd pan wie, że teraz można jej ufać?

— Oto jest pytanie za sto punktów.

— Panie Marten, czy można jej ufać?

— Kiedy wymeldowałem się z hotelu na Malcie, ktoś mnie śledził aż do Barcelony. To był młody mężczyzna. Na lotnisku przekazał mnie komuś innemu. To właśnie ten niezjący człowiek na zdjęciu. Szedł za mną i Demi do restauracji, gdzie usiedliśmy, aby porozmawiać. Potem próbowałem do niego podejść, żeby zapytać, czego ode mnie chce, ale zaczął uciekać. Pobie-głem za nim i wówczas wpadł pod samochód.

— Uważa pan, że to Foxx kazał pana śledzić?

— Tak, żeby sprawdzić, dla kogo pracuję.

— I sugeruje pan, że ta pani Picard ma z tym coś wspólnego?

— Tego nie wiem. Może się okazać, że mówi prawdę i wyświadczy nam wielką przysługę, ale może też narobić nam kłopotów. Co innego ja, a co innego pan, panie prezydencie. To, co mówię, to są tylko moje domysły. Pan musi podjąć decyzję.

Nicholas widział, jak Harris waha się tylko przez sekundę.

— Niech pan ją poprosi, żeby tu przyjechała. Tylko niech nikomu nie mówi, dokąd jedzie. Proszę jej podać numer pokoju i powiedzieć, żeby przy-szła prosto na górę. I proszę na razie nie wspominać o mnie ani słowem.

— Jest pan pewien?

— Tak, jestem pewien.

54

2.25

Przy zgaszonym świetle Marten stał w pokoju i przez okno wypatrywał Demi. Na dole ulica tętniła nocnym życiem. Samochody wlokły się w żół-wim tempie, na chodnikach roilo się od pieszych, dźwięki muzyki płynęły z samochodów i otwartych drzwi domów. Dla Hiszpanii, dla Barcelony noc dopiero się zaczynała.

Z łazienki dochodził odgłos prysznicza. Po chwili szum wody ustał, kie-dy prezydent skończył się myć. Jakiś czas przedtem zakłopotany poprosił Ni-cholasa o pożyczenie mu szczoteczki do zębów i Marten zgodził się bez wa-hania. Potem zapytał jeszcze, czy może użyć maszynki do golenia, ale Nicho-las zasugerował, żeby zapuścił brodę jako element charakteryzacji, i prezy-dent przyznał, że to dobry pomysł.

2.27

Nadal ani śladu Demi.

Nicholas rozejrzał się do pokoju. Pięć metrów od niego, w łazience pokoju hotelowego wycierał się po kąpieli i ubierał prezydent Stanów Zjednoczonych. Cała sytuacja wydawała się nieprawdopodobna, wręcz absurdalna, a jednak to działo się naprawdę. Ta myśl przypomiała Martenowi krótką rozmowę, która odbyli z Harrisem, zanim poszedł się myć.

— Powiedział pan, że doktor Foxx był bezpośrednio zamieszany w śmierć Caroline, że wszczepił jej jakąś bakterię, która ją zabiła, tak? — zapytał prezydent. — Skąd pan o tym wie?

— Zaraz po pogrzebie jej męża i syna Caroline przeżyła załamanie nerwowe. Wtedy doktor Stephenson dała jej jakiś zastrzyk. Caroline obudziła się w szpitalu. Był tam Foxx, wyglądało na to, że nadzoruje jej leczenie. To ona miała przeczucie i obawiała się, że Stephenson albo Foxx ją otruli.

— Miała przeczucie i obawiała się?

— Tak.

— Przeczucie i obawy nie oznaczają nic pewnego. A pan mówił, jakby był tego pewny. Dlaczego?

— Z powodu tego, co mi powiedziała tuż przed śmiercią doktor Stephenson. Myślała, że jestem jednym z „nich”. Nie wiem, co to byli za „oni”, być może pańscy „przyjaciele”. Przeraziła się, że chce ją zabrać do, jak to powiedziała, „tego doktora”. Miała na myśli Merrimana Foksa.

— Tuż przed śmiercią? — Prezydent wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy na Martena. — Był pan tam, kiedy ją zamordowano? Kiedy obcięto jej głowę?

Marten milczał przez długą chwilę. Był jedynym człowiekiem na świecie, który znał prawdę, ale właśnie w tym momencie uświadomił sobie, że nie ma powodu, aby ją dłużej zatajać, zwłaszcza przed człowiekiem, który przed nim stał.

— Ona nie została zamordowana, panie prezydencie. Popelniła samobójstwo.

— Samobójstwo? — powtórzył osłupiały prezydent.

— Na ulicy niedaleko swojego domu. Był wieczór. Czekałem, aż wróci do domu, żeby zadać jej kilka pytań na temat choroby i śmierci Caroline. Najbardziej się przeraziła, że zabiorę ją do „tego doktora” i co on jej może zrobić. Miała przy sobie pistolet. Myślałem, że chce strzelić do mnie. A ona

włożyła lufę w usta i nacisnęła spust. Nic nie mogłem zrobić. Nie chciałem tłumaczyć tego wszystkiego policji, ponieważ wtedy Foxx by się o mnie dowiedział. Czym prędzej stamtąd odszedłem. Głowę musieli jej odciąć niedługo potem, a to znaczy, że ktoś ją obserwował.

Prezydent nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

— Po co ktoś miałby robić coś takiego, skoro już nie żyła?

— Sam siebie o to pytałem i doszedłem do wniosku, że samobójstwo lekarki o jej pozycji, w dodatku wkrótce po śmierci jej pacjentki, kobiety z wyższych sfer politycznych, niejednego by zdziwiła. Ludzie zaczęliby zadawać pytania, zwłaszcza że niedawno w niejasnych okolicznościach zginęli również jej mąż i syn. Morderstwo to co innego. Jest bardziej anonimowe. Każdy może paść jego ofiarą. Poza tym nie da się zatuszować samobójstwa popełnionego w takich okolicznościach. Ktoś, kto to zrobił, panie prezydencie, doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Mój Boże — szepnął ze zgrozą prezydent.

— To samo powiedziałem — odparł Nicholas.

2.30

Znowu wyjrzał na ulicę. Nadal ani śladu Demi.

55

MADRYT; CENTRUM DOWODZENIA SECRET SERVICE. 2.30

— Te telefony do hoteli w Barcelonie wykonywała kobieta — rozległ się znowu w słuchawkach Hapa Danielsa głos Sandry Rodriguez.

Stał przed monitorem komputera w magazynie CIA i szperał w niekończącym się strumieniu meldunków od rzeszy agentów i instytucji bezskutecznie poszukujących prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Sądząc po głosie, była młoda, mówiła po hiszpańsku z duńskim akcentem. Trochę zajęło wywiadowi hiszpańskiemu przesłuchanie nagrań i zebranie ich w jakąś całość.

— O co pytała? — naciskał Daniels.

— Szukała mężczyzny, nie powiedziała, czy to ma być gość, czy pracownik hotelowy. Miała tylko imię i nazwisko: señor Nicholas Marten. Przez „e”, nie przez „i”.

— Marten? — powtórzył szybko Hap Daniels i raptownie podniósł głowę. Jake Lowe wpatrywał się weń z drugiego końca sali. Daniels odwrócił się z powrotem. — Wiecie, czy znalazła tego Nicholasa Martena?

— Tak. Zatrzymał się w hotelu Rivoli Jardin w Barcelonie.

— Dziękuję.

Jake Lowe odwrócił się tyłem do sali i rozmawiał z Jimem Marshalllem w sali narad wojennych w ambasadzie amerykańskiej w Madrycie.

— Możliwe, że wreszcie mamy jakiś gorący trop. — Lowe poinformował Marshalla natarczywym szeptem. — Hiszpański wywiad namierzył Nicholasa Martena w Barcelonie. Ktoś obdzwaniał wszystkie hotele, żeby go znaleźć.

— Marten? — ożywił się Marshall. — Ten powiązany ze sprawą Caroline Parsons?

— Nie mamy pewności.

— Czy wiadomo, kto o niego wypytywał?

— Kobieta. Nie wiemy, kim jest ani po co go szukała. Po prawdzie to nie wiemy nawet, czy to na pewno ten sam Nicholas Marten, ale jeśli tak, to prezydent na pewno by go rozpoznał. Widział go w szpitalu u Caroline Parsons, zażądał potem więcej informacji na jego temat i dostarczyliśmy mu ich.

— Panie Lowe — doszedł go w słuchawkach głos Danielsa z innego kanału. Odwrócił się i zobaczył, że agent Secret Service macha na niego. — Myślę, że powinien pan to zobaczyć.

Lowe szybko podszedł do komputera i popatrzył na monitor, w który wpatrywali się Daniels, szef placówki CIA, Kellner i Ted Langway. Wyświetlono na nim zdjęcie Nicholasa Martena zrobione na ulicy w Barcelonie, to samo, które pomogło go odszukać prezydentowi.

— To wczorajsze popołudniowe wydanie specjalne „La Vanguardia”. To ten sam Marten — orzekł stanowczo Daniels.

— Jest pan pewien?

— Tak. Byłem wtedy z prezydentem w szpitalu, kiedy go spotkaliśmy.

— Mamy potwierdzenie na temat Martena — powiedział Lowe do Marshalla przez mikrofon, potem przeniósł wzrok na Danielsa. — Znajdźcie go. Ale na razie nic więcej nie róbcie. Tylko go znajdźcie i obserwujcie. Nie może się zorientować, że mamy go na oku.

Daniels odwrócił się szybko do Kellnera.

— Macie ludzi w Barcelonie?

— Tak.

— Wyślijcie ich do roboty.

— Dobra.

— Hap. — Lowe popatrzył Danielsowi w oczy. — Co podpowiada panu instynkt? Czy prezydent jest razem z nim?

— Chciałbym powiedzieć, że tak, ale nie możemy tego wiedzieć, dopóki nie dostaniemy potwierdzenia.

— Chcę, żebyśmy zrobili to sami.

Daniels zmarszczył brwi ze zdziwienia.

— Nie bardzo rozumiem.

— Nie wiemy, w jakim stanie, zarówno fizycznym, jak i psychicznym, znajduje się prezydent. Na pewno jest chory, więc musimy postępować niezwykle ostrożnie. Kiedy rozpoczniemy akcję, powinien zobaczyć ludzi, których od razu rozpozna, nie obce twarze z CIA czy hiszpańskiego wywiadu. — Spojrzał na Teda Langwaya. — Nawet pana. Proponowałbym, aby pan również został w Madrycie. — Z powrotem przeniósł wzrok na Daniela. — Nie możemy ryzykować, że jego stan się jeszcze pogorszy. Jeśli chce pan otrzymać bezpośredni rozkaz, mogę poprosić o to wiceprezydenta.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Musimy zabrać ze sobą doktora Marshalla.

— Doktora Marshalla?

— Tak.

Przez dłuższą chwilę Hap Daniels nie odrywał wzroku od twarzy Lowe'a.

— Tak jest — powiedział, po czym odwrócił się i odszedł, wydając rozkazy do mikrofonu. — Chcę mieć za godzinę w Barcelonie samochód z centrum dowodzenia, opancerzony ambulans z dwoma lekarzami i dwoma pielęgniarzami i trzy ubezpieczające samochody ochrony. Wyślijcie samochód po doktora Marshalla do ambasady i zawieźcie go na lotnisko. — Spojrzał na Kellnera. — Możecie załatwić z wywiadem hiszpańskim czysty korytarz do Barcelony?

— Myślę, że tak.

— Hap — odezwał się Lowe. — Za ile możemy wystartować?

— Jeśli dostaniemy od Hiszpanów wolny korytarz, to za dwadzieścia minut będziemy w powietrzu.

— Dobrze.

BARCELONA; HOTEL RIVOLI JARDIN. 3.00

W półmroku Marten odchylił zasłonę i od razu zobaczył na dole Demi Picard. Przechodząc przez ulicę, lawirowała między samochodami w stronę wejścia do hotelu. Miała na sobie jasny trencz, dużą torebkę na ramieniu i miękki kapelusz z szerokim rondem nasunięty nisko na czoło. Gdyby nie to, że jej wypatrywał, pewnie by jej nie poznał, o co prawdopodobnie zresztą chodziło.

Puścił zasłonę i odsunął się w głąb pokoju. Dokładnie w tym samym momencie z łazienki wyszedł prezydent. Właśnie wkładał swoje fałszywe okulary.

— Już idzie — oznajmił Marten. — Przechodzi przez ulicę, więc będzie tu za kilka minut. Jak pan chce to rozegrać?

Prezydent zatrzymał się i popatrzył na niego. Nie nałożył peruki, a na sobie miał te same spodnie khaki, niebieską koszulę i brązową marynarkę, w których przyszedł kilka godzin temu.

— Panie Marten — powiedział z niepokojem i troską, której wcześniej Marten w jego głosie nie słyszał. — Kiedy tu do pana szedłem, wiedziałem, że ryzykuję, ale nie miałem wyjścia, musiałem znaleźć jakieś spokojne miejsce, gdzie mógłbym odpocząć, choćby na krótką chwilę. Pod prysznicem miałem okazję zebrać myśli. Jest trzecia nad ranem. Wczoraj po południu do pociągu, którym jechałem z Madrytu do Barcelony, wsiadła hiszpańska policja. Szczęśliwie mnie nie rozpoznali i udało mi się wysiąść. Cudem zdołałem wymknąć im się na dworcu. Będą mnie szukać w tajemnicy, ale niezmordowanie i używając wszelkich środków. Wiem, jakich sposobów i jakich instytucji użyje Secret Service, żeby mnie sprowadzić z powrotem. Bardzo możliwe, że przechwycili już rozmowy telefoniczne, które wykonywała moja znajoma, aby pana odnaleźć, a to znaczy, że w każdej chwili mogą się dowiedzieć, gdzie jestem. Muszę jak najszybciej się stąd wynieść.

— Ale dokąd?

— Jeśli panu powiem, a oni pana złapią, niech mi pan wierzy, że znajdą sposób, żeby to z pana wyciągnąć.

— W takim razie nie mogą mnie znaleźć, prawda?

Prezydent przyjrzał mu się uważnie.

— Panie Marten, bardzo mi pan już pomógł. Jeśli będzie pan próbował dalej, ściągnie pan na siebie kłopoty.

— Już mam kłopoty. — Marten uśmiechnął się półgębkiem. — Prawdopodobnie stracę również pracę. — Uśmiech na jego twarzy zniknął. — Tak czy inaczej, jeśli przyjdą tu pana szukać, to będą wiedzieć, kim jestem. Prosił mnie pan o pomoc, panie prezydencie. Nadal ją panu oferuję. — Umilkł i dopiero po chwili ciągnął. — Poza tym zaangażowałem się w tę sprawę z powodu tego, co się przytrafiło Caroline Parsons, i w pewnym sensie pan również. Jeśli pan idzie, ja idę z panem.

— Jest pan tego pewien?

— Tak, panie prezydencie.

— W takim razie dziękuję panu z całego serca, panie Marten. Ale pan także musi coś zrozumieć. — Niepokój i zatroskanie w głosie prezydenta szły teraz w parze z niewypowiedzianym cierpieniem, jak gdyby po raz pierwszy zdał sobie sprawę z przytłaczającej powagi sytuacji, w jakiej się znalazł. — W obecnych okolicznościach nie mam żadnej władzy związanej z moim urzędem. Jeśli mnie złapią, zginę. Zostałem sprowadzony do pozycji biednego, zaszczutego faceta, któremu zegarek tyka nad głową, który walczy o życie, a jednocześnie próbuje ocalić swój kraj, a niewykluczone, że również mnóstwo innych krajów. Muszę się dowiedzieć, co planują moi „przyjaciele” i co mogą zrobić, a potem znaleźć sposób, aby ich powstrzymać. Doktor Foxx jest tu chyba kluczową postacią, niewykluczone, że głównym architektem całego przedsięwzięcia. Pańska przyjaciółka mogłaby nam pomóc go znaleźć. Może nawet wie, gdzie on jest.

— To znaczy, że chce pan, by poszła z nami?

— Panie Marten, mówiłem już panu, że mamy bardzo niewiele czasu. Jeśli ona coś wie o doktorze Foksie, muszę to od niej wydobyć. Już mówiłem, że i tak za dużo czasu siedziałem w jednym miejscu. Więc odpowiedź brzmi: tak, choć jest to niebezpieczne i ryzykowne, bo może się okazać, że pracuje dla Foksa, chcę ją ze sobą zabrać. Oczywiście, jeśli się zgodzi.

— Na pewno się zgodzi, ponieważ bardzo jej zależało, żeby ze mną porozmawiać. Ale podejmuje pan wielkie ryzyko, ujawniając przed nią, kim jest.

— Ryzyko byłoby takie samo, gdybyśmy tu zostali. Jeśli ona może nas doprowadzić do Foksa lub choćby naprowadzić na trop, który nas do niego doprowadzi, warto zaryzykować. — Prezydent zniżył głos prawie do szeptu. — To gra warta świeczki, panie Marten.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi, a zaraz potem drugie.

— Tu Demi — dobiegł ich z korytarza kobiecy głos.

Marten spojrzał na prezydenta.

— Jest pan pewien?

— Tak.

Nicholas kiwnął głową i otworzył drzwi. Demi szybko weszła do środka, a on natychmiast je za nią zamknął. Niemal w tej samej chwili poczuł jej dłoń chwytającą go za ramię.

— Kto to jest? — zapytała, patrząc na prezydenta Harrisa.

— Hm... hm, hm — zaciął się Nicholas.

Tego zupełnie z prezydentem nie przedyskutował. Jak ma jej go przedstawić?

— Bob — wyręczył go prezydent, uśmiechając się i wyciągając dłoń.

— Bob Rader. Jestem starym przyjacielem Nicholasa. Spotkaliśmy się niespodziewanie.

Patrzyła na niego tylko chwilę, po czym odwróciła się do Nicholasa.

— Musimy porozmawiać. Na osobności. Natychmiast.

— Demi, Bob wie, co się święci. Cokolwiek masz do powiedzenia, możesz mówić przy nim.

— Nie. Chodzi o coś innego.

— O co?

Przeskakiwała wzrokiem z jednego mężczyzny na drugiego.

— Kiedy wchodziłam do hotelu, razem ze mną weszły cztery inne osoby. Jeden mężczyzna był gościem hotelowym, pojechał ze mną windą. Pozostała trójka, dwóch mężczyzn i jedna kobieta, podeszła do recepcji. Jedno z nich miało ze sobą gazetę „La Vanguardia” z twoją fotografią. Klęczysz na niej obok tego człowieka w żółtej koszulce polo, który siedział z nami w restauracji.

— No i co?

— Wydaje mi się, że tych troje to byli policjanci.

57

RECEPCJA HOTELU RIVOLI JARDIN. 3.07

— Es es te señor Marten? Czy zastaliśmy pana Martena? — zapytała Iuliana Ortega, śledczy z barcelońskiej policji.

Mówiąc to, pokazała zdjęcie Nicholasa chudemu jak szczapa recepcjonście.

Recepcjonista popatrzył na fotografię, a potem na dwóch mężczyzn za jej plecami, obserwujących go bacznie. To również byli detektywi: Alfonso Leon i Sanzo Tarrega.

Na dworze czekało jeszcze dziesięciu policjantów po cywilnemu, dwie pary w samochodach od frontu obserwowały wejścia do budynku, dwóch w pojeździe zaparkowanym na tyłach przed wejściem dla dostawców. Czterech rozlokowało się na dachu budynku mieszkalnego po drugiej stronie ulicy — dwaj z noktowizorami i dwaj snajperzy. Pierwsza para obserwowała ulicę, druga okno pokoju numer 408.

W sumie w hotelu i okolicy krążyło trzynastu funkcjonariuszy barcelońskiej policji, Guardia Urbana, w rzeczywistości jednak żaden nie był tym, kogo udawał. W samochodach obserwacyjnych siedziało sześciu agentów specjalnych z GEO, Grupo Especial de Operaciones, czyli hiszpańskich oddziałów specjalnych do walki z terroryzmem; pozostali — ci po drugiej stronie ulicy na dachu, jak również detektywi Ortega, Leon i Tarrega byli ludźmi Kellnera z hiszpańskiej placówki CIA, działającymi za zgodą barcelońskiej policji i hiszpańskiego wywiadu.

— Pytałam pana, czy to jest señor Marten — detektyw Ortega naciskała recepcjonistę, wskazując zdjęcie Nicholasa w gazecie i starając się nie zwracać uwagi na głośnie, pulsujące dźwięki kubańskiego jazzu płynące z hotelowego Jamboree Club po drugiej stronie holu.

— Si. — Mężczyzna kiwnął głową, rzucając niespokojne spojrzenia to na detektyw Ortegę, to na jej towarzyszy. — Si.

— Jest z nim drugi mężczyzna — powiedziała stanowczym tonem policjantka.

Recepcjonista po raz drugi skinął głową. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co się dzieje i o co w tym wszystkim chodzi.

— Czy są teraz obaj w pokoju señora Martena?

— Chyba tak — odrzekł nerwowo recepcjonista. — Chociaż nie mogę przysiąc, bo byłem zajęty. Ale gdyby wychodzili, to musieliby przejść obok mnie, a ja ich nie widziałem. Jestem tu całą noc. Kierownik kazał mi pracować na dwie zmiany. Nie prosiłem o nadgodziny, ale on mi po prostu powiedział, że tak ma być i koniec.

— Kim jest ten drugi mężczyzna? — wypytywała dalej detektyw Ortega. — Jak się nazywa?

— Nie wiem. Powiedział, że jest wujem señora Martena. Sam go wpuściłem do pokoju.

— Jak wygląda?

— Jak wuj. — Recepcjonista wyszczerzył zęby z zakłopotaniem.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie — zażądała Ortega. — Jak wygląda?

— Stary, no może nie tak całkiem stary, ale starszawy. Prawie łysy i w okularach.

— Łysy?

— Prawie.

Detektyw Tarrega zerknął na Leona i ruchem głowy wskazał windę. Potem odwrócił się z powrotem do recepcjonisty.

— Proszę dać nam klucz do pokoju Nicholasa Martena.

— Ja... to wbrew zasadom... — zaczął protestować mężczyzna, ale szybko zmienił zdanie.

Drżącą ręką wziął nowy klucz elektroniczny, zaprogramował go i podał Tarredze.

Tarrega spojrzął na Iulianę Ortegę.

— Zabezpieczaj tu tyły, idziemy na górę.

3.12

Drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze i Tarrega z Leonem wyszli na korytarz. Kilka sekund później przyjęli pozycje pod obydwoma ścianami w miejscu, skąd mogli widzieć drzwi do pokoju 408.

O tym, że w tym pokoju mieszka Nicholas Marten, dowiedzieli się nie od recepcjonisty na dole, tylko kiedy włamali się do hotelowego systemu komputerowego i sprawdzili rezerwacje. Potwierdzili, że Marten wynajął pokój numer 408, że nie dzwonił nigdzie z hotelu i niczego nie zamawiał. Tak więc według wszelkich danych Nicholas Marten oraz jego łysiejący gość cały czas siedzieli w pokoju.

58

ŚMIGŁOWIEC CHINOOK ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH. DWADZIEŚCIA MINUT PO WYLOCIE Z MADRYTU DO BARCELONY. 3.16

— Łysawy? — Hap Daniels przekrzykiwał ryk silników śmigłowca.

Szybko spojrzął na Lowe'a i Marshalla przypiętych pasami do siedzeń naprzeciwko niego.

— Nasi ludzie zameldowali, że do pokoju Martena wpuszczono mężczyznę, który podawał się za jego wuja. Był łysy. Albo prawie łysy. Jeśli

prezydent nie ogolił sobie głowy, to znaczy, że mamy nie tego człowieka.

— Może ogolił. — Lowe zerknął na Marshalla, a potem z powrotem na Daniela. — Trzymaj ludzi na stanowiskach. Łysy czy nie, macie działać tak, jakby to był prezydent.

— Kiedy będziemy na miejscu? — spytał Marshall.

— Wylądujemy na terenie komendy barcelońskiej policji o trzeciej czterdzieści. Potem do hotelu czeka nas jeszcze dziesięć minut drogi.

FRANCJA; CHANTILLY. 3.25

Victor siedział ukryty w ciemnym lesie mniej więcej kilometr od hipodromu w Chantilly przy torze treningowym dla koni wyścigowych o nazwie Coeur de la Foret, czyli Serce Lasu. Dopiero za trzy i pół godziny miały się zjawić jego cele, ale nawet czekając w tym ciemnym, wilgotnym lesie, Victor czuł się w pełni zadowolony i usatysfakcjonowany.

Zgodnie z obietnicą kupili mu bilet pierwszej klasy z Madrytu do Paryża. Potem zrobił dokładnie tak, jak mu kazali: wziął taksówkę z lotniska Charles'a de Gaulle'a na dworzec kolejowy Gare du Nord, tam wsiadł do pociągu do Chantilly, a na miejscu pojechał do hotelu Chantilly, gdzie zarezerwowano mu pokój i gdzie w torbie golfowej z jego nazwiskiem na przyczepce czekał karabin M14 z amunicją. Rozłokował się w hotelu, potem poszedł na spacer do lasu, znalazł tor treningowy Coeur de la Foret i wybrał odpowiednie miejsce, to samo, gdzie właśnie teraz czekał i skąd odda strzał, kiedy tuż po świcie zjawią się dżokeje na swoich wierzchowcach.

3.27

— Victorze — odezwał się w słuchawce łagodny, uspokajający głos Richarda.

— Słucham, Richardzie.

— Czy jesteś na miejscu?

— Tak, Richardzie.

— Czy wszystko w porządku? Jest ci ciepło? Masz wszystko, czego potrzebujesz?

— Tak, Richardzie.

- Jakieś pytania?
- Nie, Richardzie.
- W takim razie życzę ci powodzenia.
- Dziękuję, Richardzie. Wszystko będzie dobrze.
- Wiem, Victorze. Wiem doskonale, że wszystko będzie dobrze.

Victor usłyszał, jak Richard się rozłącza, po czym usadowił się wygodnie w liściach. Czuł się odprężony, wręcz szczęśliwy. Ciemny las dookoła, odgłosy nocy, nawet wilgoć, która osiadała na wszystkim, wydawały się naturalne i zachęcające, jak gdyby właśnie tutaj — tak daleko od pustynnej roślinności Arizony, gdzie spędził całe życie — odnalazł swoje miejsce na świecie.

3.30

Przyleciała skądś ćma i dotknęła jego twarzy. Victor sięgnął ręką i odgonił ją delikatnie, uważając, aby nie zrobić jej krzywdy. Przez całe życie troszczył się z głębi serca o wszystkie żyjące stworzenia i przez całe życie spotykały go za to reprimendy: że zbyt wrażliwy, czułościowy, płaksa, maminsynek. Nawet własna rodzina tak go nazywała. Bardzo go bolały te przezwiska, wytykano mu słabość, której chłopak nie powinien okazywać. Kiedy miał kilkanaście lat i więcej, starał się głęboko pogrzebać te uczucia. Bójki i kłopoty w szkole, później awantury w barach, wreszcie sprawy sądowe o napady i pobicia, od czasu do czasu krótka odsiadka. Nie przejmował się tym, powinien być twardy i męski.

Były to jednak tylko pozory, które Richard zdemaskował po kilku rozmowach telefonicznych. Pomógł Victorowi uświadomić sobie, że w tym, jaki jest, nie ma niczego złego, że setki, tysiące, a nawet miliony mężczyzn czują to samo. Rzecz jasna to bardzo boli, kiedy bliskie osoby krytykują człowieka za takie rzeczy, ale to nic w porównaniu z tym, co robią na świecie inni. Richard opowiadał mu o ludziach, którzy w ogóle nie cenią życia, chyba że służy to ich interesom, o terrorystach, zabójcach, z którymi świat obiecywał walczyć, ale wyjąwszy kilka drobnych wyjątków, robił to zupełnie nieskutecznie, nawet jeśli miał do dyspozycji potężne armie.

To właśnie wtedy Richard go zapytał, czy chciałby przystąpić do podziemnej organizacji bojowników o wolność, którzy poświęcają życie, aby bronić ziemi ojczystej przed terrorystami na całym świecie. Victor zgodził się bez wahania.

Mężczyzna, którego zabił, kiedy wychodził z dworca w Waszyngtonie, był, jak mu kilka dni wcześniej powiedział Richard, młodym baseballistą z Ameryki Środkowej, ale także członkiem organizacji terrorystycznej tworzącej siatkę agentów między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem i nazajutrz miał wylecieć z kraju, aby złożyć raport swoim szefom w Wenezueli. Będzie ich nakłaniał, aby przysyłali więcej ludzi i więcej pieniędzy do Stanów Zjednoczonych. Władze o tym wiedzą, ale przy amerykańskiej biurokracji nikt nie kiwnął nawet palcem, aby go powstrzymać. Trzeba było koniecznie coś zrobić, zanim terrorysta wyjedzie z kraju. I Victor właśnie to zrobił.

Sytuacja powtórzyła się w Madrycie, gdy Richard kazał mu się przespać po stacji Atocha i wyobrazić sobie koszmara, który urządzili tam terroryści. Tej przerażającej zbrodni można było zapobiec.

Podążanie śladem prezydenta w Berlinie i Madrycie było zwyczajnym ćwiczeniem. Richard chciał, aby Victor przekonał się na własną rękę, jak łatwo można podejść do niego tak blisko, aby go zabić, nawet pomimo gęstej ochrony. Do Chantilly przyjechał nie po to, żeby poćwiczyć celność w strzelaniu, ale ponieważ dżokeje byli członkami terrorystycznego odłamu działającego w północnej Francji. Należało ich wszystkich zlikwidować, pomału, po kolei, ale wszelkimi możliwymi środkami. To była wojna, a jeśli nikt inny nie potrafił jej stoczyć jak należy, to musieli zrobić to właśnie tacy ludzie jak Victor i Richard.

Jak dotąd, Victor wykonał swoją część zadania bardzo dobrze. Tamci cenili jego umiejętności i zaangażowanie i nawet mu to powiedzieli. A dla niego to miało największe znaczenie.

3.35

Dłonią w rękawiczce Victor przyciągnął bliżej M14 i oparł go sobie na zgięciu łokcia. Mógł teraz tylko odpoczywać i czekać, aż tuż przed siódmą zjawią się jeźdźcy.

59

BARCELONA; KOMENDA GŁÓWNA POLICJI. 3.40

W burzy wzbijanych tumanów piasku i ogłuszającego ryku silników wojskowy helikopter Chinook usiadł na lądowisku przy Guardia Urbana.

Błyskawicznie wyłączono silniki i otworzyły się drzwi. Kilka sekund później ze środka wyskoczyli Hap Daniels, jego zastępca Bill Strait, Jake Lowe, James Marshall i czterech agentów Secret Service. Schylając się pod obracającymi się płatami, przeszli do trzech nieoznakowanych samochodów, czekających z otwartymi drzwiami na skraju płyty lądowiska. W tej samej chwili, kiedy wszyscy mężczyźni wsiedli, drzwiczki się zamknęły i pojazdy ruszyły z piskiem opon.

HOTEL RIVOLI JARDIN. 3.45

Ulica tonęła w dźwiękach muzyki i odgłosach ulicznego ruchu, jakby był biały dzień. Nocni imprezowicze wchodzili i wychodzili dwoma głównymi wejściami hotelu, jak gdyby w Rivoli Jardin odbywało się największe przyjęcie w mieście, którego sercem był Jamboree Club na końcu hotelowego holu.

Do tej pory żaden z sześciu agentów specjalnych GEO obserwujących hotel w nieoznakowanych samochodach nie widział ani mężczyzny zidentyfikowanego jako Nicholas Marten, ani jego łysiejącego wujka. Podobnie ludzie na dachu budynku po drugiej stronie ulicy nie zauważyli żadnego ruchu za zaciągniętymi zasłonami okna pokoju 408. Wyglądało na to, jakby jedyne światło widoczne w apartamencie dochodziło z przedpokoju lub łazienki i paliło się od samego początku, gdy przyjechali. Nic się również nie zmieniło z punktu widzenia agentów CIA, podszywających się pod oficerów śledczych Tarregę i Leona i zajmujących pozycje na korytarzu przed pokojem 408. To samo można było powiedzieć o kobiecie, która przedstawiła się jako Juliana Ortega i stała na posterunku w holu. W sumie więc, jeśli dwaj mężczyźni będący obiektem zainteresowania tych podwójnie zakonspirowanych sił bezpieczeństwa znajdowali się w pokoju w chwili, gdy agenci przybyli na miejsce, musieli tam być do tej pory.

Jamboree Club wypełniał dym papierosowy, duchota i tłum przeważnie młodych i spoconych tancerzy. W ciągu ostatnich godzin jazz kubański ustąpił miejsca brazylijskiej bossanovie, a potem jazzowi argentyńskiemu.

— *Vino blanco otra vez, po rfavor. Jeszcze raz białe wino, proszę.*

„Bob”, jak się prezydent Harris przedstawił Demi, uśmiechnął się do młodej kelnerki i dał jej znak ręką, aby napełniła im kieliszki. Potem patrzył, jak przeciska się między tańczącymi w stronę baru.

O trzeciej zero siedem Demi ostrzegła Martena i Harrisa o przyjeździe policji. O trzeciej zero osiem Marten zdążył już spakować do swojej torby notebooka, magnetofon, przybory toaletowe i pozostałe swoje rzeczy i zarzucił torbę na ramię. O trzeciej zero dziewięć zamknęli za sobą drzwi do pokoju i schodami przeciwpożarowymi na końcu korytarza zeszli na dół. O trzeciej jedenaście wyszli z bocznego korytarza na parterze do holu tuż przy Jamboree Club i tam się zatrzymali.

— To tamta kobieta.

To mówiąc, Demi wskazała Iulianę Ortege, która weszła do hotelu razem z dwoma mężczyznami w tym samym czasie co ona. Kobieta siedziała na wyścielonym krześle tak ustawiona, aby dobrze widzieć obydwa wejścia z ulicy i windę, zupełnie jakby na kogoś czekała.

— Widzisz gdzieś tych dwóch mężczyzn, którzy z nią przyszli? — zapytał Bob.

— Nie.

Prezydent popatrzył na Nicholasa.

— To nie są policjanci — powiedział, po czym wskazał głową Jamboree Club. — Myślę, że równie dobrze możemy usiąść tutaj.

O trzeciej trzynaście znaleźli sobie stolik. Od razu podeszła do nich kelnerka i prezydent zamówił dla wszystkich białe wino. Kiedy odeszła, wziął do ręki serwetkę, coś na niej napisał, po czym złożył ją i popatrzył na Martena i Demi.

— Na pewno już wiesz, który pokój zajmuje Nicholas i że jestem u niego, ponieważ recepcjonista, który mnie wpuszczał, powiedział im, gdzie mnie skierował. Pójdą na górę i wezmą pokój pod obserwację, ale nie wejdą do środka, dopóki nie przyjadą grube ryby.

Marten pochylił się nad stolikiem.

— Po drugiej stronie holu jest boczne wyjście. Moglibyśmy z niego skorzystać.

— Na zewnątrz na pewno czekają inni — odparł cicho prezydent. — Pilnują wszystkich wyjść.

— Skąd pan to wie? — spytała Demi, obserwując uważnie Harrisa. Działo się tu coś dziwnego i wcale jej się to nie podobało. — Kim pan właściwie jest?

— Mam na imię Bob — odparł spokojnie Harris.

W tym momencie wróciła kelnerka z winem. Marten od razu zapłacił i kobieta odeszła. Jednocześnie z głośników huknął żywiołowy głos, który oznajmił po katalońsku:

— A teraz powitajmy na scenie porywającego baskijskiego piosenkarza i kompozytora Fermina Murgurużę!

Po tych słowach reflektory punktowe oświetliły wskakującego na scenę przystojnego Murgurużę. Publiczność oszalała. W ciągu kilku sekund ludzie pozrywali się z krzeseł i zaczęli tańczyć, jakby zapomnieli o bożym świecie. Tę chwilę wykorzystał Harris, aby niepostrzeżenie podsunąć Nicholasowi serwetkę ze swoją notatką. Marten rozwinął ją na kolanach i przeczytał.

„Kobieta w holu jest z CIA, prawdopodobnie mężczyźni również. Secret Service jest w drodze!”

Nicholas poczuł, jak krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Podniósł wzrok na Harrisa. W tej samej chwili usłyszał stłumiony okrzyk Demi.

— Oh-mon-Dieu! O, mój Boże! — zawołała po francusku.

Popatrzył na nią i zobaczył, że Demi z niedowierzaniem wytrzeszcza oczy na Boba.

Harris szybko odważemnił jej spojrzenie.

— No to teraz już pani wie. Tylko proszę ani słowa.

— Ani mru-mru — szepnęła z zapiętym tchem. Jeszcze przez chwilę przyglądała mu się, jakby nie wierzyła własnym oczom, po czym odwróciła się do Martena. — Co tu się dzieje? Nic nie rozumiem.

— Proszę mnie posłuchać. — Prezydent pochylił się w jej stronę, usiłując przekrzyczeć muzykę Fermina Murguruży. — Lada chwila wpadnie tutaj szef mojej ochrony ze swoimi ludźmi. Lecą albo już przylecieli tu z Madrytu. Nie mają pojęcia, co robię i dlaczego, i szczerze mówiąc, w tej chwili mało ich to obchodzi. Mają za zadanie ochraniać mnie za wszelką cenę. Nade wszystko zaś nie dopuszczą, aby rozeszła się wieść o tym, co się stało i gdzie jestem. Z tego powodu zapewne nie ewakuowali jeszcze całego budynku albo nie zamknęli wszystkich wyjść: bo to przyciągnęłoby zbyt dużo uwagi, a tego pragną uniknąć przede wszystkim. Działają bardzo szybko i sprawnie. Gdyby przyjechali wcześniej, kiedy byliśmy jeszcze w pokoju, zostalibyśmy natychmiast wyprowadzeni z hotelu tylnym wyjściem, wsadzeni do samochodów i wywiezieni. Nikt by się nie zorientował, że ja albo oni w ogóle tu byliśmy, nie mówiąc o tym, że coś się wydarzyło. Z drugiej jednak strony, ich strategia otwiera nam małe okienko, ponieważ kiedy szef mojej ochrony ze

swoim zastępcą pojedą na górę do pokoju, uwaga wszystkich agentów w budynku będzie skupiona na ewakuowaniu mnie. Właśnie w tym momencie, kiedy on pojedzie na górę, my się wymkniemy. Wyślizgniemy się bocznymi drzwiami na ulicę i wmiszamy w tłum. Przyjrzałem się dokładnie obydwu wejściom, zanim tu wszedłem. Na dworze skęcimy w prawo i dojdziemy do najbliższej przecznicy. Na rogu, jakieś siedemdziesiąt metrów stąd jest postój taksówek. Wsiadajcie do pierwszej, ja będę rozmawiał z kierowcą.

— Opiera pan ten plan na założeniu, że szef pańskiej ochrony wejdzie głównym wejściem, a nie którymś innym.

— Ma pan rację, nie mam takiej pewności. Zgaduję. Ale ja go dobrze znam. Jest nie tylko przerażony, że prezydent zniknął na jego służbie, zamartwia się również na śmierć o moje bezpieczeństwo. Zrobi wszystko, żeby jak najszybciej mnie stąd wyciągnąć i wziąć pod swoje skrzydła. To znaczy, że wybierze najkrótszą drogę, czyli przez główne drzwi i windą prosto do pokoju.

— A jeśli nie? Jeśli wejdzie innym wejściem, wpadnie do pokoju i zobaczy, że pana nie ma? Nikt nie widział, żeby pan wychodził z budynku, to znaczy, że musi pan gdzieś tu być. Odetną wszystkie drogi ucieczki, zanim zdążymy wziąć oddech.

Prezydent uśmiechnął się lekko.

— Mieję po prostu nadzieję, że znam swojego człowieka i mam rację. — Szybko spojrzął na Demi. — Została w to pani wciągnięta z powodu pana Martena i tego, co pani wie o doktorze Foksie.

Demi aż drgnęła przestraszona.

— Czy mam rację? — naciskał prezydent.

— Mówiłem ci, że on o wszystkim wie — uspokoił ją Nicholas. — Możesz spokojnie przy nim mówić.

— Tak, ma pan rację — odparła Demi.

— Rozumie więc pani, że jeśli złapią pana Martena lub mnie, informacje, z którymi pani tu przyszła, na nic się nikomu nie zdadzą, ponieważ żaden z nas nie będzie mógł zrobić z nich użytku. To stawia panią w kłopotliwej sytuacji.

— Nie rozumiem.

— Dzięki zdjęciu w gazecie będą wiedzieli, jak wygląda pan Marten, a moi ludzie z dość oczywistych powodów wiedzą, jak wyglądam ja. Nawet jeśli zaskoczyła ich informacja o mojej łysinie, to teraz, po rozmowie z recepcjonistą, będą już o tym uprzedzeni. Nikt z nich natomiast nie wie o pani.

Przerwał i popatrzył jej w oczy. Nicholas wiedział, że próbuje ją wysondować.

— Pani Picard, w tej chwili składam nasze życie: pani, swoje i pana Martena, całkowicie w pani ręce. Proszę panią o pomoc. Czy pani to rozumie?

— Tak.

— Czy pomoże nam pani?

Demi zerknęła przelotnie na Martena, a potem z powrotem przeniosła wzrok na prezydenta.

— Co mam zrobić?

3.45

Demi wstała od stołu i ze swoją dużą torbą na ramieniu wyszła do holu. Przy stoliku w klubie został kapeluszek z miękkim rondem i jasny treniczek.

3.46

Wachlując się serwetką, wmieszała się w tłum spoconych, podnieconych tancerzy, oddychających świeżym powietrzem przed otwartymi drzwiami Jamboree Club. W rzeczywistości nie spuszczała oczu z głównego wejścia.

Trzy metry za nią Marten i Harris obserwowali drzwi klubu od wewnątrz. Nicholas zmierzył sobie włosy, rozpiął koszulę i nonszalancko zarzucił treniczek Demi na ramię, aby ukryć pod nim torbę podróżną. Prezydent, cały czas w swojej atrapie okularów, nałożył na głowę jej rozłożysty kapeluszek i przekrzywił go na jedno ucho, co, po pierwsze, nadało mu nieco fircykowany wygląd, a po drugie, w większej części zasłoniło łysinę.

3.50

Demi zobaczyła czterech mężczyzn wchodzących przez główne drzwi i zmierzających prosto do windy. Jeden z nich miał na ramieniu płaszcz. Prezydent opisał Hapa Danielsa i Billa Straita idealnie, tak jak idealnie przewidział ich działania. Dwóch pozostałych mężczyzn znała z Waszyngtonu: był

to doradca polityczny prezydenta Jake Lowe oraz doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Marshall. Odwróciła się szybko i weszła z powrotem do klubu. — Teraz — powiedziała.

3.51

Cała trójka ramię w ramię wyszła z Jamboree Club i przez zatłoczony hol ruszyła w stronę bocznego wyjścia. Lawirowali między innymi balowiczami pozornie pochłonięci sobą, roześmiani i roztańczeni. Wyglądali dokładnie tak, jak zamierali: dwaj na wpół pijani geje i ich rozrywkowa towarzyska szli się zabawić.

W ciągu pięciu sekund przemierzili połowę drogi dzielącej ich od drzwi. Jeszcze trzy i byli tuż-tuż.

— Mamy czas — oznajmił głośno prezydent, zatrzymując się z wymuszonym uśmiechem na twarzy. — Jeszcze po jednym drinku, zanim wyjdziemy. — Błyskawicznie odwrócił ich w drugą stronę. — Tuż za drzwiami — powiedział cicho. — To człowiek z Secret Service, pracował dla mnie od czasu nominacji.

3.52

Winda zwolniła i zatrzymała się, a kiedy drzwi się otworzyły, Hap Daniels, Bill Strait, Jake Lowe i James Marshall wyszli na korytarz na trzecim piętrze.

Hap Daniels nie musiał nikogo ze swoich towarzyszy przedstawiać ani Alfonsowi Leonowi, ani Sanzowi Tarendze. Wiedzieli, kim są i po co tu przyjechali, gdy tylko chinook dotknął ziemi przed komendą główną policji w Barcelonie. Nikogo również nie zdziwiło, że agent Strait niesie na ramieniu płaszcz przeciwdeszczowy. Miał on posłużyć do przykrycia prezydentowi głowy, kiedy będą go wyprowadzać, aby nie rozpoznał go żaden przypadkowy przechodzień ani tym bardziej dziennikarz, paparazzi czy, nie daj Boże, fotograf.

3.53

Trzej pozostali agenci Secret Service, którzy towarzyszyli Danielsowi

od Madrytu, skontaktowali się z pracownikami hiszpańskiej GEO obstawiającymi wyjście służbowe na tyłach hotelu, po czym weszli do środka i skierowali się do windy towarowej dla obsługi.

W tym samym czasie przed główne wejście podjechało pięć samochodów, które godzinę wcześniej z Madrytu zamówił Daniels, Natychmiast po zatrzymaniu się światła wszystkich pojazdów zgasły.

3.54

Prezydent, Marten i Demi Picard stali w tłumie ludzi przed otwartymi drzwiami do Jamboree Club. Po drugiej stronie holu widzieli szczupłego recepcjonistę oraz Iulianę Ortegę z CIA. Recepcjonista rozmawiał przez telefon, kobieta podniosła się z krzesła i stojąc przy głównym wejściu, nie spuszczała oka z drzwi.

— Mamy coraz mniej czasu — powiedział cicho prezydent. — Musimy skorzystać z głównego wyjścia i modlić się, że pilnuje go tylko ta kobieta, a wszyscy inni dostali inne zadania. Jeśli uda nam się koło niej przejść, skróćmy w prawo i włączymy się w tłum. Jeśli mnie złapią, nie zatrzymujcie się. Jeśli spróbujecie mi pomóc, ktoś może zginąć.

Prezydent ruszył w stronę wyjścia.

— Zaraz, niech pan zaczeka — powstrzymał go Marten, po czym odwrócił się szybko do Demi. — Mówisz po francusku, prawda?

— Naturalnie.

— Idź pierwsza. Podejdz do kobiety i zagadnij ją. Udaj, że jesteś francuską turystką i oddaliłaś się od grupy. Zapytaj, jak dojść do portu. Może zrozumie, a może nie, nieważne. Będziemy szli tuż za tobą. Wystarczy odwrócić jej uwagę na pięć sekund, żebyśmy się przemknęli. Kiedy znajdziemy się na dworze, po prostu podziękuj jej i wyjdź. Spotkamy się po drodze. Możesz to zrobić?

— Tak.

— Dobrze.

3.55

Jake Lowe i doktor Marshall stali przyklejeni do ściany, podczas gdy Hap Daniels i Bill Strait podchodzili pod drzwi pokoju 408. Z tyłu ubezpieczali ich Tarrega i Leon, na wypadek gdyby potrzebowali pomocy lub gdyby ktoś z gości hotelowych próbował wyjść z pokoju.

Trzej agenci Secret Service, którzy weszli tylnym wejściem, czekali mniej więcej sześć metrów dalej w niewielkiej wnęce w kształcie litery L, gdzie ukryto windę towarową. Tą drogą mieli ewakuować prezydenta. Główna winda natomiast, którą wjechali Daniels i reszta, została zablokowana i była „chwilowo nieczynna”.

Z kluczem elektronicznym w rękę Daniels popatrzył na Straita trzymającego płaszcz, który zamierzał zarzucić prezydentowi na głowę, następnie spojrzął na Jake'a Lowe'a i Marshalla.

— Pięć sekund — powiedział cicho do małego mikrofonu w klapie kołnierza. Wystawił palec w górę, po chwili dwa.

Czterej pracownicy CIA ustawieni na dachu budynku po drugiej stronie ulicy zamarli w napięciu. Dwaj, którzy obserwowali ulicę, skierowali lornetki na okna pokoju 408. Strzelcy wyborowi celowali już tam ze swoich karabinów Barrett, kalibru .50, wyposażonych rzecz jasna w noktowizory. Jeśli ktoś trzymał prezydenta jako zakładnika, w ciągu kilku sekund będzie martwy.

HOL HOTELOWY W TYM SAMYM CZASIE

Marten i prezydent szli kilka kroków za Demi. Tuż przed głównymi drzwiami widzieli agentkę CIA. Po prawej stronie minęli recepcjonistę, który odkładał właśnie telefon i zaczął z kimś rozmawiać.

KORYTARZ NA TRZECIM PIĘTRZE

Hap Daniels pokazał cztery palce, potem pięć.

Jednym ruchem wsunął kartę elektroniczną do czytnika. Pół sekundy później czerwone światelko zmieniło się na zielone i Daniels pchnął drzwi z całej siły.

HOL HOTELOWY

— Excusez-moi. Mes amis sontpartis. Pouvez-vous me dire quelle manière c'est auport? La où mon hótel est. Przepraszam bardzo, moi

towarzysze już pojechali. Czy może mi pani powiedzieć, jak dojść do portu? Mam tam hotel.

To mówiąc, Demi stanęła przed Iulianą Ortega i zasłoniła jej widok na drzwi. W tym samym momencie Nicholas i prezydent przemknęli obok nich i zniknęli w tłumie na ulicy.

— Trouvez un taxi, il est une longue promenade. Proszę wziąć tak-sówkę, to za daleko, żeby iść na piechotę — odparła szorstko Ortega i odsunęła się na bok, żeby widzieć drzwi.

— Merci — podziękowała Demi, po czym odwróciła się i odeszła.

60

3.58

— Cholera jasna! — ryknął Hap Daniels.

Tuż za nim szedł Bill Strait. Jake Lowe i Marshall wpadli po chwili z korytarza.

Pokój świecił pustkami.

— Był tu? — zapytał Lowe, wciskając się do środka z Marshalllem depczącym mu po piętach.

Daniels zamiast odpowiedzieć odezwał się do słuchawki.

— Natychmiast zamknąć budynek! Nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać. Wszyscy mają zostać dokładnie sprawdzeni. Zajrzeć do każdej szafy, toalety i wnęki. Centymetr po centymetrze. I tym razem łącznie z choler-nymi szybami wentylacyjnymi!

Nagle wyrósł przed nim Jake Lowe.

— Pytałem pana, czy prezydent był w tym pokoju. Był czy nie?

W pierwszej chwili Daniels spiorunował go wzrokiem, ale zaraz się opanował.

— Trudno powiedzieć — odparł, a po chwili znowu odezwał się do swojego mikrofonu. — Postawić na nogi hiszpański wywiad. Niech zamkną teren w promieniu trzech kilometrów wokół hotelu. Poproście ich, aby zdobyli pozwolenie na zatrzymanie każdego białego mężczyzny w wieku między czterdzieści a siedemdziesiąt lat, łysiego lub częściowo łysiego. Zdobądźcie też zgodę na aresztowanie Nicholasa Martena. I zróbcie wszystko, żeby trzymać media jak najdalej od tej sprawy.

Spojrzał na Marshalla.

— Myślę, że powinien pan uprzedzić sekretarza generalnego i rzecznika

Białego Domu. Będą mieć kupę roboty i to pilnej, jeśli nastąpi przeciek do prasy.

— Czy on tu był? — zapytał ponownie wściekły Jake Lowe, tym razem cicho i z naciskiem.

Hap Daniels popatrzył na niego, poskubał się w ucho i rozejrzał po pokoju. Rozgrzebane łóżko wyglądało, jakby ktoś w nim spał. Krzesło stojące przy małym biurku było odsunięte.

Daniels odwrócił się i poszedł do przedpokoju, a potem do łazienki. Na umywalce leżała myjka i kilka mokrych papierowych ręczników. Wanna była jeszcze mokra, z rączki prysznicza kapiała woda. Przez chwilę Daniels stał bez ruchu, myśląc. Potem wyminął Marshalla i Billa Straita, wrócił do sypialni i popatrzył na łóżko. Obejrzał je uważnie, schylił się i powąchał prześcieradło, kołdrę i wygniecioną poduszkę.

— Co pan wyprawia? — warknął Lowe. — Był tu czy nie? Czy pan nie wie?

Nagle Daniels się wyprostował.

— Woda po goleniu.

— Co takiego?

— Woda po goleniu. Na poduszce. Od kiedy go znam, używa tej samej taniej wody po goleniu.

— To znaczy, że tu był, tak?

— Tak. Był tu. — Daniels popatrzył na Billa Straita. — Ściągnijcie tu techników. Zobaczmy, co uda nam się znaleźć.

— Tak jest.

Strait odwrócił się i wychodząc na korytarz, wydawał polecenia do mikrofonu.

— Hap. — Marshall oparł się o blat biurka i skrzyżował ręce na piersi. Jego ton głosu był lodowaty. — Co teraz robimy?

— Módlmy się jak wszyscy diabli, żebyśmy go znaleźli w ciągu dwudziestu minut. Jeśli nam się nie uda, to możemy zaczynać wszystko od nowa.

61

4.03

— La estación de tren Barcelona-Sants. Na dworzec kolejowy Barcelona-Sants — powiedział prezydent, kiedy on, Demi i Marten wsiedli na

tylne siedzenie błyszczącej, żółto-czarnej taksówki numer 6622.

— Si.

Kierowca wrzucił bieg i energicznie ruszył z miejsca dokładnie w chwili, kiedy powietrze wypełnił dźwięk policyjnych syren. Taksówkarz przeciął plac, skręcił w lewo i gwałtownie zahamował, żeby nie wpaść na dwa radiowozy, które przejechały mu dosłownie przed nosem.

— Podnieśli alarm — powiedział półgłosem Nicholas. — Dworzec będzie pod obserwacją.

— Wiem — odparł prezydent.

— No i...?

— Zobaczmy. — Harris oparł się na siedzeniu i nasunął kapelusz Demi głębiej na czoło.

Demi popatrzyła na niego, a potem odwróciła się do Martena.

— Nie wiem, dokąd się wybieracie, ale nie mogę z wami jechać. Właśnie po to przyjechałam, żeby o tym porozmawiać.

Minęły ich dwa następne radiowozy pędzące w kierunku hotelu Rivoli Jardin. W tym samym momencie zobaczyli przed sobą kolumnę unieruchomionych pojazdów.

— Mossos d'Esquadra. En qué el infierno va? Policja katalońska. Co się dzieje, do diabła? — powiedział kierowca i popatrzył na nich w lusterko.

— ¡ Algo, quién sabe? A kto to wie? — Prezydent wzruszył ramionami i zerknął na Martena.

— Blokada drogowa — powiedział cicho. — Będą przeszukiwać samochody. Dalej ustawiają następne blokady, koncentrycznymi kołami. Blokady kierują pojazdy do punktów kontroli, a potem znowu to samo.

— W takim razie chodźmy na piechotę — zaproponował Nicholas.

— Tak. — Prezydent szybko odwrócił się do kierowcy. — Tire por favor encima. Proszę się zatrzymać.

— Aquí? Tutaj?

— Si.

Taksówkarz wzruszył ramionami i raptownie zjechał do krawężnika. Cała trójka wysiadła, a prezydent dorzucił kierowcy hojny napiwek.

— Usted nunca nos vio. Nie widział nas pan — powiedział z twarzą osłoniętą rondem kapelusza.

— Nunca. Nigdy — odrzekł kierowca i puścił oko.

Marten trzasnął drzwiczkami i samochód odjechał.

Dookoła kręcili się przechodnie, coraz bardziej zaniepokojeni tym, co się działo.

— Terroristas — ktoś rzucił na głos w tłumie.

— Terroristas — szeptał ktoś inny.

— Basques? ETA? — ktoś pytał.

— Nie — odpowiedziało natychmiast lekliwie kilka innych głosów. —

To al Kaida.

Kierowcy unieruchomieni w korkach przez blokady siedzieli dziwnie cisi i spokojni. W powietrzu czuło się napięcie i oczekiwanie wypełnione przerażeniem. Gdyby zdarzyło się to kilka lat temu, wszyscy krzyczeliby zniecierpliwieni i trąbili klaksonami.

— Nie zatrzymujcie się — powiedział szybko prezydent. — Trzymajcie się tłumu.

Marten kiwnął głową, wziął Demi za ramię i ustawił ją w środku między sobą a prezydentem. Nie było już wątpliwości, że Secret Service wiedziało o obecności Harrisa w apartamencie hotelowym Nicholasa i że przedsięwzięła wszelkie możliwe środki, aby ich odnaleźć. Pozostało im tylko wmieszać się w długi rząd przestraszonych ludzi i mieć nadzieję, że nikt nie rozpozna mężczyzny w miękkim kapeluszu z szerokim rondem i nie podniesie alarmu choćby z samego zaskoczenia.

Nicholas przepuścił trzech rozpychających się młodych ludzi i spojrział na Demi.

— Powiedziała pani w taksówce, że nie może z nami jechać. Dlaczego?

Demi nie odpowiedziała. Popatrzyła z wahaniem na prezydenta, potem na Martena.

— Jutro wielebny Beck ma się spotkać z Foksem — odpowiedziała w końcu. — Wcześniej po południu w klasztorze benedyktynów w Montserrat. To w górach na północny wschód od Barcelony. Zaproponował, żeby z nim pojechała. Zgodziłam się. Muszę wrócić do hotelu, bo stamtąd jutro wyruszymy.

Marten i Harris wymienili spojrzenia. Potem Nicholas odwrócił się z powrotem do Demi.

— Tak po prostu zaproponował, żebyś mu towarzyszyła?

— Tak, z tego samego powodu, dla którego pozwolił mi przyjechać do Barcelony: abym mogła kontynuować zdjęcia do książki.

— Czy powiedział ci, dlaczego zrezygnował z podróży na Bałkany i tak niespodziewanie wyleciał z Malty?

— Tylko tyle, że wynikało coś niespodziewanego i musiał się z kimś

spotkać w Barcelonie. Nic więcej. Przeprosił, że wyjechał tak bez uprzedzenia.

Nagle gdzieś przed nimi rozległo się kilka syren. Ludzie rzucili się tłumnie w tamtą stronę. W ich ślady poszli następni. Marten, Harris i Demi również ruszyli do przodu, aby pozostać w największej ciszy. Demi zerknęła na prezydenta, a potem na Martena.

— Zrobiłam tak, jak mi poradziłeś. Powiedziałam Beckowi, że przyleciałeś za mną do Barcelony, że się z tobą spotkałam i chwilę rozmawialiśmy. Myślałam, że się zdziwi albo rozgniewa, a on tylko rzucił mimochodem, że szkoda, że ty i Foxx rozstałiście się na Malcie zagniewani czy coś w tym rodzaju. Nie powiedział dlaczego. Nie pytał też, po co leciałeś za mną do Barcelony ani o czym rozmawialiśmy. Sprawiał wrażenie, że go to nie interesuje, jakby miał inne sprawy na głowie, ale chyba sugerował, że gdybyś przyjechał do Montserrat podczas naszej obecności, to zorganizowałby ci spotkanie z Foksem, żebyście obgadali to, co was poróżniło. Mógłbyś nawet powiedzieć, że to był mój pomysł. Pewnie wtedy popatrzyłby na mnie przychylniejszym okiem, kiedy go poproszę o pomoc w odnalezieniu siostry.

Marten przyglądał się jej uważnie. Nawet teraz, po tym, co właśnie przeszli, nie umiał powiedzieć, czy można jej ufać, czy nie kłamie, czy cała historyjka o tym, jak to Foxx i Beck wyjechali raptownie z Malty, a dopiero potem ściągnęli ją tam za sobą, nie została wyssana z palca na potrzeby afery, w którą byli zamieszani. Ta pozornie mimochodem rzucona gałązka oliwna, to życzenie, aby Foxx i Marten nie rozstawali się zagniewani, wyglądała na wygodny sposób zwabienia go do Montserrat. W klasztorze na odludziu wpadłby w ich ręce, wydusiliby z niego zeznania, dla kogo pracuje, komu opowiedział o tym, co wie, a następnie pozbyliby się go raz na zawsze. Jeśli jego podejrzania były słuszne, jeśli to rzeczywiście oni wysłali Demi w środku nocy z propozycją spotkania w klasztorze, to Nicholas musiał się dowiedzieć jak najwięcej o tym, o co w tym wszystkim chodzi, zanim ona wróci do hotelu.

— Czy kobieta w czerni też jedzie z wami do Montserrat?

— Kto? — Demi wyglądała na całkowicie zaskoczona.

— Wczoraj wieczorem pojechaliście z Beckiem do katedry. Towarzyszyła wam starsza kobieta ubrana na czarno.

— Skąd wiesz?

— Nieważne. Chcę wiedzieć, kim ona jest i co ją łączy z Beckiem.

— Ma na imię Luciana — odparła Demi rzeczowo i bez wahania. — Jest Włoszką, znajomą wielebnego Becka. Była u niego w hotelu, kiedy przyjechałam.

— Czy to z nią miał się spotkać w Barcelonie i dlatego w takim pośpiechu opuszczał Malte?

— Tego nie wiem, ale to ona zorganizowała wyjazd do klasztoru za pośrednictwem księdza z katedry. — Demi rozejrzała się po ludziach kręcących się wokół nich, potem spojrzała na Martena i zniżyła głos. — Ona należy do sabatu. Ma tatuaż na kciuku. I rzeczywiście ma z nami jechać.

Marten spojrzał na prezydenta. Widział zaintrygowanie na jego twarzy. Harris domyślił się, że Demi przekazała mu ważną informację, ale nie miał pojęcia, o co chodzi. Nicholas miał właśnie zamiar wyjaśnić mu w skrócie historię z sabatem, kiedy przerwał mu raptowny jazgot syreny kolejnego nadjeżdżającego radiowozu i ryk megafonu, z którego rozkazujący głos kazał zjechać na bok wszystkim pojazdom. Za radiowozem pędziły dwie wielkie granatowe furgonetki oznakowane Mossos d'Esquadra. Sto metrów dalej samochody zatrzymały się raptownie i z furgonetek wyskoczyło co najmniej dwudziestu pięciu ciężko uzbrojonych policjantów.

— Psiakość — zaklął pod nosem prezydent.

Ludzie dookoła otwierali szeroko oczy.

— Terroristas. Terroristas. Al Qaeda — rozlegały się w tłumie głosy coraz bardziej przerażonych ludzi.

Prezydent spojrzał na Martena.

— Przykręcają śrubę. Mają zamiar odciąć wszystkie ulice, tak że nawet mysz się nie prześliznie.

— W takim razie zwracajmy — powiedział spokojnie Marten.

— Dokąd?

— Jesteśmy uprzejmymi facetami. Młoda dama chce wrócić do swojego hotelu, więc ją grzecznie odprowadzimy na miejsce.

Demi aż drgnęła.

— Chcecie iść do mojego hotelu?

— Masz tam przynajmniej pokój, a nie wygląda na to, żeby chcieli nas wpuścić gdzie indziej. Będziemy tylko musieli zainscenizować coś w recepcji.

— A jak zamierzacie się tam dostać? — To mówiąc, wskazała głową kłębiący się korek. — Jeśli weźmiemy taksówkę, zatrzymają nas przy najbliższej blokadzie. Co innego, gdybym była sama, ale z wami złapią nas w mgnieniu oka i będzie po sprawie.

— Ona ma rację — zgodził się prezydent.

Nicholas zawahał się, obejrzał przez ramię, po czym oznajmił:

— Pójdziemy na piechotę.

- Co takiego? — burknęła Demi.
- Pójdziemy na piechotę. Tak jak teraz.

62

HOTEL RIVOLI JARDIN W TYM SAMYM CZASIE. 4.20

W hotelu panował okropny, lecz ściśle kontrolowany bałagan, prawie dokładna powtórka tego, co dwadzieścia cztery godziny wcześniej działo się w hotelu Ritz w Madrycie.

Umundurowani policjanci z barcelońskiej komendy pod nadzorem GEO oraz agentów CIA: Ortegi, Leona i Tarregi, sprawdzali tożsamość każdej osoby w budynku. Wyrwano ze snu gości hotelowych, przeszukano pokoje, wylegitymowano. Z taką samą grzeczną stanowczością potraktowano pracowników hotelu oraz klientów i muzyków Jamboree Club. Policja działała zgodnie z wytyczną: „W hotelu pod fałszywymi nazwiskami zameldowali się znani terroryści”. Dwóch, jak informowała pogłoska, już znaleziono i aresztowano. Nawet przyjaźnie nastawiony baskijski piosenkarz Fermin Murguruza został przesłuchany i następnie wypuszczony, a przez cały czas nie przedstawiał rozdać autografów przesłuchiwanym wielbicielom.

— Jak można nie pomóc władzy w trudnych okolicznościach?

Rozkaz Hapa Danielsa, aby sprawdzić „każdą szafę, toaletę i wnękę, centymetr po centymetrze i tym razem łącznie z cholernymi szybami wentylacyjnymi”, wykonano co do joty, a potem jeszcze raz.

W pokoju 408 ekipa techniczna hiszpańskiego wywiadu pod rozkazami Billa Straita badała każdy milimetr powierzchni. Piętro niżej salę konferencyjną zamieniono w stanowisko dowodzenia Secret Service. Zainstalowano bezpieczną linię z ambasadą amerykańską w Madrycie i drugą z salą narad wojennych w podziemiach Białego Domu w Waszyngtonie. Rzecz jasna najbardziej palącą kwestią pozostawała przedłużająca się nieobecność prezydenta, ale coraz więcej zmartwień nastroczał również zbliżający się poniedziałkowy szczyt NATO w Warszawie, na którym prezydent miał ogłosić nowego ducha „politycznego porozumienia” i „solidarności w walce z terroryzmem”, pomimo wciąż zaognionych stosunków z Niemcami i Francją.

— Kto z tobą jest? — rzucił Jake Lowe do telefonu.

Chodząc tam i z powrotem po pokoju, rozmawiał z sekretarzem stanu, Davidem Chaplinem, podczas gdy James Marshall słuchał obok rozmowy z

drugiego aparatu. Zmęczony i doprowadzony do szału Hap Daniels stał pośrodku pokoju, jednym okiem obserwował Lowe'a i Marshalla, drugim rzął laptopów przywiezionych przez ekipę techniczną, na których śledzono barcelońską pogoń za prezydentem.

— Terry Langdon i Chet Keaton. Wiceprezydent już wyjechał — odrzekł Chaplin.

— Nie mamy już najmniejszej wątpliwości, że prezydent jest chory. W dodatku wciągnął do pomocy tego Nicholasa Martena. Jak i po co i na jak długo, nie mam pojęcia.

Te wyjaśnienia Lowe'a przeznaczone były wyłącznie na użytek Hapa Danielsa.

— Jest bardzo zdeterminowany, a teraz w dodatku ma jeszcze pomoc — powiedział Chaplin w tej części rozmowy, której Daniels nie mógł słyszeć. — Dopóki pozostaje na wolności, jest dla nas piekielnie niebezpieczny, ponieważ prędzej czy później znajdzie sposób, żeby nas zdemaskować. Biorąc to pod uwagę, Terry upiera się przy poniedziałku. Wszystko jest gotowe i jego zdaniem nie powinniśmy pozwolić, żeby obecna sytuacja nas powstrzymała. W najgorszym razie ogłosimy, że dostał kataru żołądka albo czegoś w tym rodzaju, i w Warszawie zastąpi go wiceprezydent. Media naciskają, chcą więcej informacji o tym, co się stało w Madrycie, gdzie jest teraz prezydent Stanów Zjednoczonych. Koniec zabawy, musimy dać im coś konkretnego.

— Puść na linię sekretarza generalnego i rzecznika, zastanowimy się, co robić — burknął Lowe.

— Davidzie, słyszysz mnie? — włączył się do rozmowy Marshall.

— Tak, Jim.

— Co do Warszawy, to Jake i ja się zgadzamy. Zakładamy, że wszystko się do tej pory wyprostuje i prezydent będzie na czas, gdzie trzeba, tak jak planowano.

— Dobrze.

— Terry, jesteś tam?

— Tak, Jim — dobiegł ze słuchawki stanowczy głos sekretarza obrony.

— Mówiłem właśnie Davidowi, że wszyscy się zgadzamy w kwestii Warszawy. — Rozejrzał się jakby od niechcienia wokół siebie, aby się upewnić, czy Daniels ani nikt inny nie wykazuje nadmiernego zainteresowania ich rozmową. — Postępujemy zgodnie z planem.

— Tak jest.

— Tak więc pod tym względem nic się nie zmienia.

— W porządku.

— O innych sprawach porozmawiamy, kiedy będziemy mieli coś konkretnego — dodał Lowe i odłożył słuchawkę.

Marshall zrobił to samo. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Hap Daniels bacznie mu się przygląda.

63

4.42

Wcisnęli się w ciemną bramę, aby przeczekać, aż przejedzie kolejny radiowóz. Potem postali jeszcze dwadzieścia sekund, żeby się upewnić, czy za tamtym nie jechał następny, i dopiero wtedy wyszli i ruszyli w dalszą drogę. Udało im się dojść do Ciutat Vella, barcelońskiego starego miasta, pełnego zabytkowych kamienic i wąskich uliczek. Starówka tonęła w ciszy, tylko gdzieś tam przemknął pojedynczy przechodzień, miauknął przestraszony bejszki kot albo pies szczeknął w głębi ciemnego zaułka, kiedy przechodzili. To, że zaszli aż tak daleko nie zaczepiani przez siły bezpieczeństwa, zawdzięczali lutowi szczęścia, a także temu, że starali się pozostawać w cieniu i podążać za głosem instynktu: tu skręcić w lewo, tam w prawo, cofnąć się w mrok, kiedy nadjeżdża samochód. Raz prezydent, nie zdejmując kapelusza naciągniętego nisko na czoło, pochylił się do starszego mężczyzny siedzącego samotnie na krawężniku i zapytał, jak dojść do Rambla de Catalunya, gdzie mieścił się hotel Demi. Mężczyzna nawet nie podniósł głowy, tylko pokazał palcem i mruknął:

— Esa manera tres minutos y entonces da vuelta a la derecha. W tamtą stronę trzy minuty, a potem skręcić w prawo.

— Gracias — odpowiedział prezydent i poszli dalej.

Ani na moment nie opuszczała ich obawa, że ktoś z mijanych przechodniów jakimś niepojętym zbiegiem okoliczności rozpozna prezydenta i podniesie alarm albo radiowóz na patrolu wyjedzie niespodziewanie zza rogu i wyskoczą z niego policjanci, aby ich wylegitymować, albo że gdzieś z dachu obserwują ich przez noktowizory agenci hiszpańskiego wywiadu, CIA lub Secret Service i za chwilę ciszę rozedrze ryk śmigłowca, szperacz złapie ich w oślepiający snop światła i nie puści, dopóki nie zjawią się nieoznakowane samochody, z których wyskoczą agenci specjaliści i zgarną ich ze sobą.

Pięć, może dziesięć minut później dotarli bezpiecznie do hotelu.

Ustalili, że Demi pójdzie do swojego pokoju pierwsza, a Marten i prezydent wkrótce po niej. Tam, względnie bezpiecznie i spokojnie, zastanowią się nad prawie niemożliwym zadaniem, które ich czeka: znaleźć sposób na ominięcie setek policyjnych punktów kontroli, przejechanie około pięćdziesięciu kilometrów do klasztoru Montserrat, aby dotrzeć tam równocześnie lub prawie równocześnie z Demi, wielbnyim Beckiem i kobietą o imieniu Luciana na spotkanie z Merrimanem Foksem.

Po raz kolejny Nicholas zamyślił się nad Demi Picard. Szanowana dziennikarka i fotoreporterka wykorzystuje swój zawód, aby odnaleźć siostrę zaginioną dwa lata temu na Malcie. Uważa, że Merriman Foxx może jej pomóc. Wszystko zdawało się obracać wokół sabatu Aldebarana i opowieści o makiawelicznym rytualnym mordzie. Martena nadzwyczaj intrygował fakt, że Foxx, Luciana, Cristina, zmarła doktor Stephenson, a możliwe że i Beck nosili identyczne tatuaże sabatu. Nie mniej zastanawiało to, że Demi takiego znaku nie nosiła. Nicholas sprawdził to kilkakrotnie, uważnie obejrzał obydwaj jej kciuki, kiedy tego nie widziała. Wyglądało bowiem na to, że bez trudu dotarła do członków sabatu, przekonując Becka, aby zgodził się zostać jednym z bohaterów jej książki. To rodziło kolejne pytanie: Dlaczego właściwie Beck się na to zgodził? Czemu dopuścił ją do siebie tak blisko, zaprosił do Barcelony po nagłym, cichym wyjeździe, a nawet zaopatrzył później w bilet na samolot? Nasuwały się dwie odpowiedzi: albo sabat był zupełnie nieszkodliwą organizacją i chociaż tajny, w istocie nie miał nic do ukrycia; albo przeciwnie, a Beck ciągnął Demi za sobą z sobie tylko znanych powodów. Jeśli tak, to niewykluczone, że dziennikarka zmierzała ku straszemu niebezpieczeństwu, kto wie, czy nie jechała prosto w śmiertelną pułapkę.

Bez względu na to, jaka była prawda — czy to ona wykorzystywała Becka, czy też on wciągał ją w zastawione sidła — jedna rzecz coraz bardziej rzucała się w oczy: Demi usilnie chciała namówić Martena na jazdę do klasztoru w Montserrat na spotkanie z Merrimanem Foksem.

Problem polegał na tym, że urabiając Nicholasa, pociągnęła również za nim prezydenta. Nie była to sprzyjająca okoliczność i obaj o tym doskonale wiedzieli. Ale wiedzieli też, że nie mają innego wyjścia, jak przeć do przodu. Foxx był dla nich kluczem do wszystkiego. Musieli wydobyć od niego, co wie: szczegóły planu działań przeciwko krajom muzułmańskim; gdzie i kiedy ma się rozpocząć cała akcja; nazwiska osób zamieszanych i — informację

szczególnie ważną dla Nicholasa — co zrobili Caroline Parsons. Prezydentowi nie wystarczyło nawet samo poznanie prawdy, nalegał, że musi mieć ją spisaną — na kartce, w notesie, byle gdzie — opatrzoną datą i podpisaną własnoręcznie przez Foksa. Mając taki dokument w ręku, będzie mógł wyjść z ukrycia bez obaw. Zanim dopadną go ludzie z Secret Service, CIA albo hiszpańskiego wywiadu, skontaktuje się (a może nawet zdąży wysłać faksem kopie) z sekretarzem generalnym NATO, ONZ, z redakcją „Washington Post” i „New York Timesa”. Niczego nie zatai, nawet planowanych zamachów na przywódców państw w Warszawie. Takie sensacje obiegają świat lotem błyskawicy, a konsekwencje mogą być niewyobrażalne — gospodarcze, polityczne i psychologiczne, ponieważ to, co się stało, groziło niewyobrażalnym horrorem. Ale trzeba to zrobić. Zasięg, skalę i znaczenie tego spisku unieszkodliwi tylko prawda.

Tak więc bez względu na to, czy zmierzali prosto w zastawioną pułapkę, czy nie, bez względu na niebezpieczeństwa i trudności, które ich czekają w drodze do Montserrat, nie mają wyjścia i muszą tam pojechać.

Pozostawało tylko zastanowić się, jak to zrobić.

I co zrobić, kiedy znajdą się na miejscu.

64

FRANCJA; CHANTILLY. 6.44

Victor stał między drzewami sto metrów od miejsca, któredy miały przejeżdżać jego cele. Lufa karabinu M14 leżała oparta na prowizorycznym drewnianym statywie w kształcie litery V i mierzyła przez poranną szarą mgłę w tor treningowy dla koni wyścigowych, zwany Coeur de la Forêt. Pomimo dotkliwego chłodu było mu wygodnie. Tego od niego oczekiwali: że bez zbędnego narzekania zrobi to, o co go prosili, jak zawodowiec.

— Victorze — odezwał się w słuchawce znany uspokajający głos.

— Słucham, Richardzie?

— Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Nie jest ci zimno ani wilgotno?

— Nie, Richardzie. Wszystko w najlepszym porządku.

— Dżokeje właśnie wyjeżdżają ze stajni. Mniej więcej za trzydzieści

pięć sekund wjadą na tor treningowy. Tam otrzymają ostatnie wskazówki od trenera. Dziesięć lub piętnaście sekund później zacznie się bieg. Powinni znaleźć się koło ciebie mniej więcej za siedemdziesiąt sekund. Odpowiada ci to, Victorze?

- Tak, Richardzie.
- Wiesz, co masz potem robić.
- Tak, Richardzie.
- Dziękuję, Victorze.
- Nie, Richardzie, to ja ci dziękuję.

BARCELONA. 6.50

Boso, z podwiniętymi nogawkami spodni, z kubkami kawy w rękach, Nicholas Marten i prezydent Stanów Zjednoczonych, John Henry Harris, niczym turyści na wakacjach szli po mokrym piasku plaży odsłoniętej przez odpływ i patrzyli na pierwsze promienie poranka nad Morzem Śródziemnym. Za ich plecami i nad nimi wisiały strome gołe skały osłaniające rozległą pustą plażę od zakurzonej drogi, którą przyjechali. Krzyżyk na mapie pokazałby, że znajdują się dwadzieścia kilka kilometrów na północ od Barcelony, gdzieś pomiędzy Costa Daurada na południu a Costa Brava na północy.

W samotności, z dala od miasta zyskali chwilę wytchnienia, starannie obliczoną również na to, aby dać ludziom z sił bezpieczeństwa czas na spokojne przeprowadzenie blokad drogowych i kontroli, aby wreszcie, wróciwszy z pustymi rękami, skapitulowali lub przynajmniej trochę odpuścili i pozwolili miastu wrócić do względnie normalnego funkcjonowania, a sami w tym czasie zajęli się przegrupowaniem sił, opracowaniem nowej strategii i ewentualnie wezwali wsparcie. Tę właśnie chwilę prezydent i Nicholas zamierzali wykorzystać, aby przebić się do Montserrat. Obaj zdawali sobie sprawę, że kiedy zacznie się następna fala poszukiwań, osiągnie bezprecedensowy rozmach i zasięg. John Henry Harris nie był w końcu zwyczajną osobą, która wyszła z domu i nie wróciła, ale zaginionym prezydentem Stanów Zjednoczonych, więc upór i determinacja Secret Service, CIA, FBI, NSA, hiszpańskiego wywiadu i hiszpańskiej policji, aby go odnaleźć i sprowadzić w bezpieczne — według nich — miejsce, zredukują szanse Harrisa i Martena praktycznie do zera.

Nicholas obejrzał się. W bladym porannym świetle widział w górze chroniące ich skały, a na końcu drogi małe rondo, gdzie czekał czarny mercedes, a obok niego w czarnym garniturze przyglądał im się kierowca, który ich tu przywiózł. Nazywał się Miguel Balius, miał mniej więcej czterdzieści lat i pochodził z Barcelony, chociaż wychowywał się w Australii, skąd dopiero po latach wrócił do swego rodzinnego kraju. To dzięki jego niezrównanej znajomości uliczek i zaułków miasta udało im się uniknąć labiryntu policyjnych blokad drogowych i kontroli i dotrzeć na tę plażę, którą teraz szli. Fakt, że dojechali aż tak daleko, zawdzięczali pozornie naiwnej inwencji Baliusa, oryginalnemu pomysłowi Martena i działaniu Demi.

Dotarli do hotelu Regente Majestic za dziesięć piąta. Demi podeszła szybko do recepcji, a Harris i Marten skierowali się prosto do męskiej toalety, gdzie doprowadzili się do ładu i czekali. To, co zaproponował Marten tuż przed wejściem do hotelu, było może trochę niezwykle i brawurowe, nie bardziej jednak niż sytuacja, w której się znaleźli — uwięzieni w mieście, w którym hiszpańskie i amerykańskie służby bezpieczeństwa sprawdzają każdą wyjeżdżającą osobę.

Pomysł Nicholasa wynikał z dość prostej analizy realiów — musieli wydostać się z wszechobecnej sieci kontroli, dotrzeć do górskiego klasztoru w Montserrat i w dodatku zdążyć tam około południa. Ułożył na potrzebę tego zadania scenariusz, który, jeśli dopisze im szczęście i odegrają go właściwie, powinien zadziałać. Zaczęła go realizować Demi, gdy tylko weszła do hotelu i w recepcji zapytała o konsjerżę. Oto, jak według jej relacji przebiegała rozmowa:

— Dziś rano z Nowego Jorku przylecieli dwaj moi kuzyni na zjazd rodzinny. Pojechałam po nich na lotnisko. Szukałam ich pół godziny, ponieważ linie lotnicze zgubiły ich bagaże i poszli je odzyskać. Co gorsza, do tej pory nadal ich nie znaleziono. Jadąc tu, wpadliśmy w jakiś okropny młyn. Co tu się dzieje w mieście? Godzinę czekaliśmy, żeby przejechać przez jeden punkt kontroli. Musieliśmy pokazywać dokumenty i Bóg wie co jeszcze.

— Policja uważa, że osaczyła terrorystów, którzy ukryli się w pobliskim hotelu. Przynajmniej tak nam powiedziano — poinformował ją konsjerż. — Ale wymknęli im się. Nadal ich szukają i stąd to całe zamieszanie. Bardzo państwa przepraszam za te niedogodności.

— To nie pańska wina naturalnie. Każdy z nas powinien robić wszystko, aby walczyć z tymi ludźmi. Ja jednak mam problem nie z terrorystami,

ale z moimi kuzynami. Przede wszystkim nie bardzo za nimi przepadam. Na domiar złego są przemęczeni i rozdrażnieni. Nie mogą spać, a jeden jest bardziej postrzelony od drugiego. Zamierzają spędzić dzień na zwiedzaniu, a ja mam inne sprawy na głowie. Poza tym również jestem zmęczona i niewyspana. Zastanawiałam się, czy nie dałoby się wynająć jakiejś limuzyny, kogoś, kto by ich zawiózł, gdzie tylko im się spodoba. Niech sobie oglądają, co chcą, i wrócą wieczorem. Czy to możliwe?

— Chciałaby pani to zrobić teraz? O tej porze?

— Tak, jak najszybciej. I dobrze by było, gdyby kierowca przywiózł im coś do zjedzenia, wodę mineralną i kawę. Nie chcę, żeby budzili mnie na śniadanie.

— Obawiam się, że to może sporo kosztować.

— W obecnej sytuacji nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało. Proszę dopisać tę sumę do mojego rachunku.

— Dobrze, señorita. Zajmę się tym.

— Jeszcze jedna sprawa. Gdyby kierowcy udało się znaleźć sposób, aby ominąć wszystkie te uciążliwe blokady i kontrole... Sam pan rozumie, to ich jeszcze bardziej rozdrażni, wrócą wcześniej i będą się odgrywać na mnie, jakby cała ta afera z terrorystami wynikała z mojej winy.

— Osobiście porozmawiam z kierowcą, señorita.

— Dziękuję, señor, bardzo panu dziękuję. Nie potrafię wyrazić, jakie to dla mnie ważne.

Zaczęła się odwracać, ale coś sobie przypomniała.

— Jeszcze jedno, przepraszam. Nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości, ale do hotelu przyjedzie cała moja rodzina, a przyjazd kuzynów z Nowego Jorku na zjazd miał być niespodzianką. Prosiłabym, aby pańscy pracownicy i kierowca zachowali dyskrecję. Nie chciałabym, aby ktoś się przez przypadek wygadał i wszystko nam zepsuł.

— Tak jest, señorita. — Konsjerż lekko się uklonił. — Tym również się zajmę.

— Jeszcze raz dziękuję, señor. Muchas gracias.

Dziesięć minut później przyjechał do hotelu czarnym mercedesem Miguel Balius. Obsługa Regente zapewniła śniadanie, wodę mineralną i kawę. Demi ucałowała na pożegnanie kuzyna Jacka (prezydenta) i Harolda (czyli Martena), który szepnął jej w tym momencie:

— Ani słowa Beckowi, ani nikomu innemu o „kuzynie Jacku”.

— Oczywiście, że nie, głuptasie.

To powiedziawszy, uśmiechnęła się i przypomniała kuzynowi Jackowi, aby nosił kapelusz i nie przebywał zbyt długo na słońcu. A potem się rozstali — ona poszła do łóżka, oni próbowali wymknąć się obławie.

65

7.00

Jeszcze pięćdziesiąt minut brakowało do wschodu słońca. Marten znowu obejrzał się i popatrzył na wiszące, gołe skały, wypatrując znaków, czy siły bezpieczeństwa nie wpadły na ich trop i nie jadą ich osaczyć. Nie zauważył nic niepokojącego. Spojrzał w górę, jakby spodziewał się usłyszeć warkot śmigłowca, który spada na nich niespodziewanie z nieba. Nic z tych rzeczy, wokół nich ciągnęła się opustoszała plaża, jedynym odgłosem, jaki go dochodził, był chlupot fal pod stopami. Wrócił myślami do prezydenta Harrisa.

— Powinniśmy się jak najszybciej stąd zabierać — powiedział z naciskiem.

— Tak, wiem — odparł Harris i zawrócili w stronę Miguela Baliusa stojącego w oddali przy limuzynie. — Wie pan, zastanawiałem się nad Merrimanem Foksem: co zrobić, kiedy dotrzemy do Montserrat; jak go złapać na osobności i samemu nie zostać złapanym; i jak go potem zmusić do wyznania prawdy. Sprawa Foksa, choć niezwykle istotna, jest tylko częścią tego, co się dzieje. Ze zgrozą zdałem sobie sprawę, że jestem jedyną osobą po tej stronie barykady, która wie o reszcie ich planu, i jeśli coś mi się stanie, te sukinsyny będą miały zupełnie wolną rękę, żeby kontynuować swoje przedsięwzięcie. I nie ma najmniejszych wątpliwości, że zrobią wszystko, aby osiągnąć cel. Mówiłem panu wcześniej, że czas ma tu decydujące znaczenie, ale nie powiedziałem dlaczego. Dzisiaj jest sobota. W poniedziałek razem z przywódcami państw NATO mam wziąć udział w ważnej konferencji w Warszawie.

— Tak, wiem. Czytałem o tym w prasie.

— Nie wie pan jednak, bo nikt poza mną nie wie, co moi tak zwani przyjaciele zaplanowali na ten dzień. To prawdziwy powód, dla którego przeciskałem się i czołgałem przez szyby wentylacyjne w Madrycie, zjawiłem

się w pańskim pokoju hotelowym i jestem tu teraz z panem. Nie chodzi tylko o Foksa i przekłete biologiczne paskudztwa, które kazali mu przygotowywać, ponieważ cokolwiek to jest, wydarzy się po szczycie NATO.

Prezydent umilkł z wahaniem. Badawczo popatrzył Martenowi w oczy, jakby nadal niełatwo mu było komuś ufać, nawet Nicholasowi.

— Proszę, niech pan mówi, panie prezydencie.

— Panie Marten, ludzie, którzy przeciwko mnie spiskują, zamierzają zabić prezydenta Francji i kanclerz Niemiec podczas szczytu NATO w Warszawie. Chcą usunąć aktualnych przywódców, aby zastąpić ich ludźmi sprzyjającymi ich ambicjom. Nie wiem dokładnie gdzie, kiedy ani jak mają zamiar to zrobić, ale do zamachów dojdzie na pewno na którymś ze spotkań w Warszawie, ponieważ chcą, aby stało się to na oczach całego świata. Poprosili mnie, nie, gdzież tam, zażądali, abym wydał ściśle tajny dekret prezydencki uprawomocniający obydwu zabójstwa. Odmówiłem. Wiedziałem jednak, że kiedy odmówię, muszę zniknąć, inaczej mnie zabiją. Wówczas zgodnie z prawem moje miejsce zająłby wiceprezydent, który jest jednym z czołowych członków spisku i nie miałby najmniejszych skrupułów, by podpisać taki rozkaz. Ironia sytuacji polega na tym, że podczas mojej nieobecności i tak on obejmie władzę. Tak czy inaczej, rozkaz zostanie podpisany, panie Marten; ściśle tajny, wydany w imię bezpieczeństwa narodowego i podpisany przez aktualnego przywódcę państwa.

— Wielki Boże.

Przez twarz prezydenta przebiegł wyraz okropnego cierpienia.

— Nie mam jak przekazać tej informacji komuś, kto mógłby przeciwdziałać zagrożeniu, ponieważ każdy kanał komunikacji, którego użyję, zostanie natychmiast wykryty i w gnieniu oka odcięty, a ludzie, którzy mnie szukają, dowiedzą się, gdzie jestem. W ten weekend w Instytucie Nowego Świata w górskiej miejscowości Aragon na północny zachód stąd odbywa się coroczne spotkanie najwybitniejszych przedstawicieli świata nauki, biznesu i polityki. To zamknięta impreza, dostępna tylko dla członków instytutu i zaproszonych gości i tak jak Światowe Forum Ekonomiczne przyciąga zwykle dużą grupę protestujących i równie dużo mediów. W związku z tym zwykle jest tam gęsta ochrona, zdaje się, że złożona głównie z ludzi hiszpańskiej odpowiedniczki Secret Service. Jutro rano miałem uczestniczyć w porannym nabożeństwie jako gość mówca. W Geronie, godzinę drogi pociągami stąd, mieszka mój serdeczny przyjaciel, rabin David Aznar, który prowadzi

modlitwy i miał mnie jutro zapowiedzieć. Przyjechałem do Barcelony, żeby dostać się stąd do Gerony. Tam znalazłbym jego dom, powiedziałbym mu, co się dzieje, i liczyłbym, że znajdzie sposób, żeby mnie zawieźć do Aragonu i przesmuglować przez ochronę, abym mógł wystąpić na kongresie.

— I ogłosić światu, co się dzieje.

— Tak. Wiem, że to by było niebezpieczne pod względem politycznym i strategicznym, jednakże jeśli wziąć pod uwagę, jakie osoby biorą udział w tym kongresie, fakt, że nie wpuszcza się tam dziennikarzy, a także termin: tuż przed szczytem w Warszawie, i jeśli wziąć pod uwagę, że stawką jest życie milionów ludzi, byłbym głupcem, gdybym nie spróbował wykorzystać tej szansy. Potem jednak doszedłem do wniosku, że siły, które mnie w tej chwili szukają, są zbyt duże, i że rabin Aznar też prawdopodobnie będzie pod ścisłą obserwacją. Uznałem więc, że pomysł dotarcia do Aragonu z jego pomocą i przemówienia do zebranych jest niewykonalny. Wiedziałem, że muszę zniknąć z ulicy i ukryć się gdzieś, zanim mnie złapią i zabiją. Wtedy właśnie zobaczyłem w gazecie pańskie zdjęcie i postanowiłem pana odszukać.

Zbliżali się do limuzyny. Miguel Balius otworzył tylne drzwiczki i trzymał na ramieniu ręczniki, aby mogli wytrzeć stopy z piasku przed wejściem do samochodu.

Marten wskazał głową kierowcę.

— Kierowca może mieć włączone radio albo nawet telewizor, pewnie słucha wiadomości, co się dzieje w mieście. Niewykluczone, że podają w mediach nasze rysopisy, chociaż to mało prawdopodobne, bo nie chcą, żeby jakakolwiek informacja o pańskiej ucieczce przedostała się do wiadomości publicznej. Mimo to nie mamy pojęcia, co mogli powiedzieć dziennikarzom. Jeśli kierowca zacznie podejrzewać, że nie jesteśmy tym, za kogo się podajemy, nie wiadomo, co zrobi.

— Może zawiadomić policję.

— Tak.

Balius wyszedł im naprzeciw.

— Jak się udało przechadzka, panowie? — zapytał po angielsku ze swoim australijskim akcentem.

Podał im kubki z kawą. Za jego plecami przez otwarte drzwiczki części pasażerskiej Nicholas zobaczył migoczący telewizor. Miał rację, Balius oglądał wiadomości.

— Ładna plaża — odparł Marten od niechcenia. — Co nowego w mieście?

— Tylko to, co już mówili wcześniej, proszę pana. Policja szuka terrorystów, których podobno osaczyli w hotelu, ale tamci im się wymknęli. Niczego więcej nie chcą powiedzieć. W ogóle nabrali wody w usta, jeśli chodzi o tę sprawę.

— Pewnie w tych czasach tak trzeba.

Marten popatrzył na prezydenta. Właśnie w tej chwili zadzwoniła jego komórka. Zaczął po nią sięgać, ale zobaczył, że prezydent kręci głową, aby nie odbierał. Telefon zadzwonił znowu.

— A jeśli to Demi? — zapytał Marten ostrożnie. — Może rodzina zmieniła plany i mamy się spotkać gdzie indziej?

Prezydent wziął głęboki oddech. Nie podobało mu się to, ale Marten miał rację, mogło się wydarzyć wiele rzeczy, a oni za żadną cenę nie mogli stracić Foksa z oczu.

— Ale zrób to bardzo szybko.

Marten otworzył telefon i odebrał.

Balius podał Harrisowi ręcznik i prezydent usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, żeby wytrzeć nogi z piasku.

— Co się dzieje w Barcelonie, do diabła ciężkiego?

To był Peter Fadden, zdenerwowany i jak zawsze obcesowy.

— Policja szuka terrorystów — powiedział wyraźnie Nicholas, tak aby prezydent, a zwłaszcza Miguel Balius mogli go słyszeć. — Podobno złapali ich w pułapkę w hotelu, ale coś im nie wyszło. Teraz wszystkich sprawdzają. Całe miasto wygląda jak strefa działań wojennych. Cały czas jesteś w Madrycie?

— Tak. Najwyraźniej to, co się zaczęło tutaj, przeniosło się do Barcelony.

— Co to znaczy?

— Gadałem chyba z dwudziestoma pracownikami Ritza. Żaden z nich nie widział, żeby Secret Service wywoziła prezydenta z hotelu. Aż nagle wczoraj rano agenci rozbiegli się po całym budynku i wypytywali każdego, co widział zeszłej nocy. Wygląda na to, jakby z prezydentem coś się stało, tylko nikt nie chce o tym gadać. Odesłali do Waszyngtonu całą ekipę dziennikarzy, którzy mieli towarzyszyć prezydentowi do Warszawy. Twierdzą, że został wywieziony w nocy w bezpieczne, tajne miejsce, rzekomo z powodu jakiejś bardzo wiarygodnej informacji o zagrożeniu terrorystycznym. A teraz cały hiszpański wywiad zleciał się do Barcelony. To jakaś gruba sprawa. Czy to rzeczywiście chodzi o terrorystów, czy też ktoś przetrzymuje prezydenta, a oni próbują sprawę wyciszyć?

Marten zerknął na Johna Harrisa.

— Pytasz niewłaściwą osobę.

— Pytam osobę, która znajduje się w strefie zero i może czuć, co jest grane. Nie mówię o terrorystach, Nick, tylko o komisji Mike'a Parsonsa i Merrimanie Foksie.

Nagle prezydent przeciągnął dłonią w poprzek szyi. Trzy razy. Miało to znaczyć, aby Marten natychmiast skończył rozmowę i wyłączył telefon.

— Peter, zadzwonię do ciebie później, dobrze? — rzekł Marten szybko.

Kiedy to powiedział, rozłączył się i zobaczył, jak Harris znika w ciemnym wnętrzu limuzyny.

— Proszę. — Miguel Balius wyciągnął do Martena czysty ręcznik.

— Miguelu, kuzyn Harold może wyczyścić sobie nogi w samochodzie. Chciałbym stąd jak najszybciej odjechać — powiedział stanowczym tonem prezydent.

— Natychmiast?

— Tak, natychmiast.

— Dobrze, proszę pana.

66

7.17

Miguel Balius wcisnął pedał gazu. Przez chwilę tylne koła mercedesa obracały się w miejscu, mieląc żwir pobocza, aż wreszcie złapały przyczepność i limuzyna z rykiem silnika wystrzeliła na drogę, która bardziej przypominała leśną dróżkę.

— Miguelu? — odezwał się prezydent, patrząc na Baliusa przez szybę oddzielającą siedzenia pasażerów.

Chciał w ten sposób sprawdzić, czy kierowca może słyszeć ich rozmowę bez włączonego interkomu. Marten zrobił to samo wcześniej, kiedy jechali przez miasto na plażę. Mimo to prezydent chciał się jeszcze raz upewnić, czy nie zostaną podsłuchani.

— Miguelu?! — zawołał jeszcze raz.

Balius nie odpowiedział, więc odwrócił się do Martena.

— Pański telefon.

— Rozumiem — odparł Marten. — Secret Service wie, kim jestem i zdobędą mój numer. Za pomocą systemów satelitarnych wyśledzą, gdzie jestem.

— Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przechwyci go w ciągu kilku

sekund i przekaże Secret Service dokładne współrzędne. Znam swoich ludzi. Poruszą niebo i ziemię, żeby tu jak najszybciej dotrzeć. Rozumiem, dlaczego odebrał pan telefon, na co zresztą panu pozwoliłem. A nie powinienem był. Miejmy nadzieję, że zdążymy się stąd w porę wydostać.

— Panie prezydencie. — Pochylił się do niego Marten. — To nie Demi dzwoniła.

— Zorientowałem się.

— Ale to był ważny telefon. Od reportera śledczego z „Washington Post”. Wie o sprawie Caroline Parsons i o jej podejrzeniach co do śmierci męża i syna. Wie o Merrimanie Foksie i o doktor Stephenson. Znalazł nawet szpital pod Waszyngtonem, gdzie Foxx leczył Caroline. Ośrodek Rehabilitacji „Silver Spring” w Silver Spring w Marylandzie. Ten dziennikarz jest teraz w Madrycie. Wypytywał pracowników Ritza o pańskie zniknięcie. Nie wierzy w oficjalną historyjkę Białego Domu. Uważa, że to z pana powodu wywiad hiszpański zjechał do Barcelony. Podejrzewa, że został pan porwany i Merriman Foxx maczał w tym palce.

— Co to za reporter?

— Nazywa się Peter Fadden.

— Znam go. Niezbyt dobrze, ale wiem, że to przyzwoity facet.

— Powiedziałem, że do niego oddzwonię.

— Nie może pan tego zrobić.

— Jeśli nie zadzwonię, to on zadzwoni drugi raz.

— Nie możemy tak ryzykować, panie Marten. Niech pan wyłączy telefon i wyrzuci. Musimy pozostawić pana Faddena jego własnym domysłem. Miejmy nadzieję, że pani Picard i jej towarzysze nie zmienili planów.

Balius skręcił ze ścieżki wiodącej na plażę w lewo na niezbyt szeroką asfaltową drogę prowadzącą znad wybrzeża w stronę odległych wzgórz. Prezydent spojrzął na niewielki ekran telewizora zamontowany w oparciu przedniego fotela. Włączony był kanał CNN, gdzie relacjonowano właśnie ulewne deszcze w Indiach. Przez chwilę Harris w milczeniu oglądał wiadomości, po czym wcisnął guzik interkomu.

— Miguelu.

— Słucham, proszę pana.

— Znajomi opowiadali nam o pewnym miejscu w górach, niedaleko stąd. Zdaje się, że jest tam jakiś klasztor — powiedział prezydent lekkim tonem konwersacji. — Mówili, że to miejsce, które powinien zwiedzić każdy turysta.

- Balius popatrzył w lusterko i uśmiechnął się dumnie.
- Mówi pan o Montserrat. Prezydent odwrócił się do Martena.
 - Tak to się nazywało, Haroldzie?
 - Tak, Montserrat.
 - Chcielibyśmy tam pojechać, Miguelu.
 - Tak jest, proszę pana.
 - Zdążymy tam dotrzeć przed południem? Mielibyśmy wtedy trochę czasu na zwiedzanie, zanim będziemy musieli wracać do miasta.
 - Powinniśmy zdążyć. Chyba że wpadniemy na następne blokady drogowe.
 - Dlaczego policja nie może złapać tych terrorystów? Dysponują setkami ludzi, czy to takie trudne? — dodał prezydent trochę gderliwie i z irytacją, zmieniając nieco swoje uprzednie miłe maniry. — Ludzie mają inne sprawy na głowie, niż sterczeć w kolejkach do kontroli.
 - Całkowicie się z panem zgadzam.
 - Nie chcemy się spóźnić z powrotem do miasta. Wcześniej udało się panu ich ominąć. Wierzę, że potrafi pan to i teraz, Miguelu.
 - Doceniam to, proszę pana. Zrobię, co się da.
 - Jestem tego pewien, Miguelu.

67

BARCELONA. 7.34

— Mosca encima. Área coordinada abandonada. Repetición. Mosca encima. Área coordinada abandonada. Lecę nad wyznaczonym obszarem. Teren jest opuszczony. Powtarzam. Wyznaczony obszar jest pusty.

Hap Daniels ożywił się, słysząc katagoryczne oświadczenie dowódcy śmigłowca Grupo Especial de Operaciones. Sekundę później rozległ się głos pilota drugiego śmigłowca GEO.

— Confirme. Área coordinada abandonada. Potwierdzam. Teren opuszczony.

Daniels patrzył na monitor komputera i przyglądał się zdjęciom satelitarnym barcelońskiego wybrzeża. Widział miasto, lotnisko, rzekę Llobregat od gór aż do morza, port w Barcelonie i na północy rzekę Besós, a za nią wybrzeże aż po Costa Brava. Nacisnął przycisk na klawiaturze i obraz powiększył się dwukrotnie, trzykrotnie, aż zdjęcie skoncentrowało się na

współrzędnych 41° 24' 04" N i 2° 6' 22" E, czyli miejscu, gdzie NSA uchwyciło sygnał z telefonu komórkowego Nicholasa Martena. Był to brzeg morza na północ od miasta, wyglądający na opuszczoną plażę.

— Pułkowniku, tu Tigre Uno — powiedział spokojnie Daniels do dowódcy oddziału śmigłowców GEO. Kryptonim Tigre Uno, czyli Tygrys Jeden, nadał mu hiszpański wywiad. — Poproście pilota dowodzącego, żeby wznieśli się na wysokość pięciu tysięcy metrów i przeszukali cały rejon. Drugi pilot niech wylądjuje i zbada okolicę.

— Rozumiem, Tiger Uno.

— Dziękuję, pułkowniku.

Daniels odetchnął i usiadł wygodniej w fotelu. Był wyczerpany i w dalszym ciągu wściekły jak sto diabłów, głównie na siebie, za to, że do tego wszystkiego doszło. Nieważne przyczyny, prezydent nie miał prawa wymknąć się niezauważeniu z hotelu pod jego ochroną. To było karygodne zaniedbanie.

Otoczony monitorami komputerowymi siedział na stanowisku dowodzenia w wielkim czarnym SUV-ie, który pełnił funkcję centrum komunikacji elektronicznej Secret Service i który przetransportowano mu samolotem z Madrytu. Przed nim, obok kierowcy, siedział jego zastępca Bill Strait i dowodził akcją. Za nim czterech specjalistów do spraw wywiadu analizowało na monitorach dane z obserwacji i nasłuchów napływające z kilku różnych policyjnych źródeł, licząc, że Nicholas Marten jeszcze raz użyje swojej komórki.

Daniels zlustrował ekran komputera przed sobą, a potem obejrzał się na Jake'a Lowe'a i Jamesa Marshalla, którzy w głębi samochodu, przypięci pasami do opuszczanych siedzeń, patrzyli w milczeniu przed siebie. Wyglądali jak zmartwieni wojownicy: bezwzględni, silni, gniewni i bardzo niepewni siebie.

Za oknami migał krajobraz Barcelony. Jedynym odgłosem, jaki dochodził z zewnątrz, był jazgot syren dwóch radiowozów Guardia Urbana, torujących im drogę przez miasto. Tuż za nimi jechały dwie nieoznakowane opancerzone furgonetki z agentami Secret Service, dwoma lekarzami i dwoma ratownikami pogotowia. Konwój zamykały trzy również nieoznakowane samochody z czterema agentami specjalnymi w każdym.

Dwadzieścia kilometrów od tego miejsca, na północ od miasta, na zamkniętym lądowisku stał odrzutowiec CIA, zamówiony przez sekretarza generalnego Białego Domu, Toma Currana, nadal działającego w tymczasowej sali narad wojennych w ambasadzie amerykańskiej w Madrycie.

Samolot czekał, aby wywieźć prezydenta Stanów Zjednoczonych w bezpieczne, ukryte miejsce. Jeszcze nie zdecydowano dokąd, ale Daniels podejrzewał, że będzie to albo gdzieś w środkowej Szwajcarii, albo w południowych Niemczech.

— Wektor cztery-siedem-siedem — odezwał się nagle jeden z techników siedzących przy komputerach, młody mężczyzna o kręconych włosach.

— Co? — zapytał Hap Daniels.

— Cztery-siedem-siedem. Mam następną rozmowę.

Daniels błyskawicznie zmienił częstotliwość. Jednocześnie elektroniczny system triangulacyjny zaczął namierzać źródło sygnału. Sekundę później na monitorze pojawiły się nowe współrzędne geograficzne nałożone na mapę północnej Barcelony.

— Jesteś pewien, że to komórka Martena?

— Tak.

Jake Lowe i doktor Marshall zareagowali błyskawicznie, nastawiając własne słuchawki.

Daniels znowu powiększył obraz na monitorze. Tym razem zobaczyli zielone wzgórza bardziej na północ, na wschodnim brzegu rzeki Besós. Przycisnął słuchawkę do ucha, jakby próbował usłyszeć coś wyraźniej.

— Co oni, do diabła, mówią?

— To nie oni. To tylko jeden głos. Rozmowa przychodząca.

— Skąd?

— Z Manchesteru w Anglii.

— Skąd dokładnie w Manchesterze? — warknął Marshall.

— Cicho!

Daniels nie patrzył na nikogo, tylko usiłował zrozumieć słowa, które padały w telefonie. Słysząc było pojedynczy męski głos recytujący łagodnym, lecz pewnym siebie tonem:

— Alabamense. Albiflorum. Arborescens. Atlanticum. Austrinum. Calendulaceum. Camtschaticum. Canandense. Canescens.

— O czym on gada, do diabła? — przebił się w słuchawkach wszystkich obecnych osób głos Jake'a Lowe'a.

— Cumberlandense. Flammeum.

Wszyscy patrzyli po sobie zdezorientowani. Lowe miał rację, o czym ten facet gadał?

— Mucronulatum. Nudiflorum. Roseum.

— Azalie! — wykrzyknął nagle Bill Strait. — Ktoś tam wyczytuje nazwy azalii.

— Schlippenbachii!

Nagle zapadła cisza. Telefon Martena umilkł.

— Złapaliśmy współrzędne? — zapytał Daniels techników siedzących za jego plecami.

W tym samym momencie na jego monitorze pojawiła się siatka współrzędnych nałożona na powiększone zdjęcie podgórskiej równiny i zaznaczone miejsce o powierzchni trzynastu kilometrów kwadratowych.

— Jest gdzieś w tym kwadracie — odpowiedział z odległości pięciu tysięcy kilometrów bezcielesny głos nawigatora NSA.

— Mamy coś więcej, proszę pana — dodał z uśmiechem kędzierzawy specjalista za plecami Daniela.

To rzekłszy, nacisnął przycisk myszy i wszystkie monitory niespodziewanie pokazały inne ujęcie tego samego obrazu. Powiększył go pięciokrotnie, potem dziesięciokrotnie, a wtedy obecni zobaczyli coś, co przypominało sad jabłkowy i przecinającą go drogę. Technik jeszcze raz kliknął powiększenie i na ekranie pojawiła się smuga kurzu ciągnąca się za samochodem jadącym drogą.

— Mamy ich! — oznajmił.

68

FRANCJA; STACJA KOLEJOWA CHANTILLY-GOUVIEUX. 7.44

Z torbą do golfa na ramieniu i walizką w ręku Victor wszedł do wagonu numer 22 388 pociągu z Chantilly do Paryża i znalazł wolne miejsce przy oknie w przedniej części przedziału pierwszej klasy.

Dziesięć minut wcześniej wymeldował się z hotelu i wziął taksówkę na dworzec. Przycichło już nieco gorączkowe zamieszanie; radiowozy, karetki pogotowia i samochody ekip ratunkowych znikły za zakrętem drogi, pędząc, jak mu powiedziano, w stronę miejsca, które doskonale znał — Coeur de la Foret.

— Zostaw broń na miejscu i odejdz stamtąd spacerkiem — poinstruował go przez telefon Richard.

I tak zrobił. Tak samo jak cztery dni temu zostawił podobny karabin M14 w wynajętym biurze w Waszyngtonie po zastrzeleniu Kolumbijczyka w kurtce nowojorskich Jankesów, wychodzącego z dworca Union Station.

7.50

Pociąg szarpnął i ruszył. W tym samym momencie Victor zobaczył radiowóz wjeżdżający na parking pod dworcem, a zaraz potem wysiadających ze środka czterech uzbrojonych policjantów. Zamarł na chwilę, przestraszony, że policja zaalarmowała naczelnika stacji i pociąg zostanie zatrzymany, a pasażerowie przesłuchani w sprawie przestępstwa, które popełniono niewiele ponad półtorej godziny temu, kiedy to na torze treningowym w Chantilly ktoś ukryty w lesie zastrzelił dwóch jeźdźców. Ten ktoś był doskonałym strzelcem wyborowym i jednym strzałem z odległości stu metrów zabił obydwu mężczyzn, pędzących łeb w łeb na koniach wyścigowych. Kula przeszła na wylot przez głowę jednego jeźdźcy i ułamek sekundy później trafiła drugiego. Podczas gdy dwa konie pozbawione jeźdźców popędziły dalej, zabójca po prostu odszedł i rozplynął się w szarej porannej mgłę otulającej Coeur de la Foret

7.52

Pociąg nabierał prędkości i w mgnieniu oka stacja Chantilly-Gouvieux znikła z pola widzenia. Victor oparł się i odprężył. Richard powiedział, że nie musi się niczym martwić, żeby się nie spieszył, wypił kawę i nie robił zamieszania wokół swojego wyjazdu. I miał rację. Richard miał zawsze rację.

Wyjrzał przez okno i obserwował, jak za szybą ucieka francuski krajobraz. Podobnie jak w Coeur de la Foret na drzewach pojawiają się pierwsze liście, jasnozielone, pęczniejące nadzieją na wspaniałe lato. Czuł się szczęśliwy, wręcz swawolny i pełen życia, niczym chłopiec, który właśnie skończył czternaście lat i zachłannie napawał się światem roztaczającym się przed jego oczami.

69

PODGÓRZE NA PÓŁNOCNY WSCHÓD OD BARCELONY. 7.55

Młody kierowca ciężarówki gwałtownie zahamował i popatrzył w górę przez popękaną przednią szybę, gdy usłyszał przerażające dudnienie, a zaraz po nim ujrzał przesuwający się wielki cień. W pierwszej chwili nie zobaczył

niczego poza niebem i czubkami drzew owocowych, aż nagle znad drzew wypadł prosto na niego śmigłowiec Mossos d'Esquadra. Po chwili zniknął. Pięć sekund później pojawił się następny policyjny helikopter. Leciał jeszcze niżej niż pierwszy i osłepiał tumanem wzbijanego piasku.

— Qué el infierno?! Co, do diabła?! — zawołał kierowca i popatrzył rozszerzonymi oczami na swoich dwóch młodych pomocników siedzących obok.

W następnej sekundzie tuż przed nim z piskiem opon zatrzymały się dwa samochody Mossos Esquadra. Dwa następne podjechały z tyłu.

— Cristo! — wrzasnął kierowca.

Błyskawicznie wcisnął hamulec i samochód zatrzymał się z poślizgiem pośród wirujących tumanów kurzu wzniesionego przez radiowozy i śmigłowce, wiszące tuż nad głowami, jeden siedemdziesiąt metrów nad drugim.

Kilka sekund później trzech mężczyźni leżeli twarzami do ziemi, a wokół nich rój policjantów mierzył z pistoletów maszynowych w ich głowy. Drzwi ciężarówki bujały się otwarte z obydwu stron.

Powoli kierowca ośmielił się podnieść głowę. Kiedy to zrobił, zobaczył mężczyzn w ciemnych garniturach i czarnych okularach przeciwsłonecznych wysiadających z nieoznakowanych samochodów, które wyjechały spomiędzy drzew po obydwu stronach drogi, i ruszających w ich kierunku. Potem jeszcze coś przykuło jego uwagę. W cieniu drzew owocowych jechał ku nim powoli wielki czarny SUV.

— Dios mio, cuál es? Mój Boże, co to jest?

Młodego człowieka leżące obok niego aż zatchnęło.

— Callate! Zamknij się — warknął barczysty policjant, przyciskając mu lufę pistoletu do głowy.

Hap Daniels wyskoczył z samochodu pierwszy. Za nim wybiegli Bill Strait, Jake Lowe i na końcu James Marshall. Daniels rzucił na nich okiem, po czym ruszył w stronę ciężarówki.

Przez wirujący kurz i dudniący ryk policyjnych śmigłowców prawie nie było widać, nie mówiąc już o słyszeniu czegokolwiek lub skupieniu myśli. Hap powiedział coś do mikrofonu i prawie natychmiast helikoptery uniosły się i zawisły sto metrów wyżej. Kurz powoli osiadł, a i hałas stał się nieco znośniejszy.

Lowe i Marshall patrzyli, jak Daniels podchodzi do ciężarówki, zagląda do kabiny kierowcy, a potem obchodzi ją dookoła. Pokazał ręką jednemu z

funkcjonariuszy Mossos d'Esquadra, aby wszedł na odsłoniętą platformę samochodu. Za tamtym poszedł drugi, a po chwili dołączyli do nich jeszcze dwaj agenci Secret Service w ciemnych garniturach i czarnych okularach.

— Jest dokładnie tam — usłyszał Daniels w słuchawkach głos kędzierzawego technika z samochodu.

— Gdzie?

— Gdzieś pod ich nogami.

— Tutaj! — zawołał ostro jeden z agentów.

Lowe i Marshall ruszyli biegiem w ich stronę. Agenci pomogli Danielsonowi wejść na platformę, a potem pokazali mu telefon komórkowy Nicholasa Martena.

Leżał na wierzchu w dużym kartonowym pudle wypełnionym sprzętem nawadniającym, węzami i końcówkami zraszaczy. Najwyraźniej nikt nie starał się go nawet ukryć, tak jakby ktoś, przechodząc obok, zobaczył pudło i wrzucił telefon do środka.

Hap Daniels przyglądał się komórce przez długą chwilę, potem powoli się odwrócił i popatrzył w bok. Nie było potrzeby nic mówić ani przeklinać. Jego wyraz twarzy mówił sam za siebie: gra toczyła się dalej.

70

8.07

Miguel Balius wcisnął pedał gazu i mercedes zaczął nabierać prędkości. Oddalali się od wybrzeża w stronę gór. Jakiś czas wcześniej udało im się ominąć punkt kontrolny dla pojazdów wyjeżdżających z miasta. Zawrócili po prostu w stronę Barcelony, a kilka kilometrów dalej skręcili w boczną drogę niedaleko Palau de Plegamans. Wkrótce wyjechali z powrotem na główną trasę. Niedługo później Harold zapytał, jak może skorzystać z telefonu w samochodzie, ponieważ chciałby zadzwonić za granicę. Miguel mu wyjaśnił i Harold wziął do ręki telefon i wystukał numer. Najwyraźniej udało mu się połączyć, ponieważ rozmawiał kilka minut, po czym odłożył telefon i powiedział coś kuzynowi Jackowi. Kilkanaście minut później zatrzymali się na skraju sadu z jabłoniami, gdzie Harold wysiadł i załatwił się za zaparkowaną ciężarówką. Zaraz potem znowu ruszyli w drogę.

Jego pasażerowie byli Amerykanami z klasy średniej, z całą pewnością

nie wyglądali na terrorystów, których szukała policja, a w każdym razie nie pasowali do stereotypu ciemnoskórego muzułmanina, z jakim on, podobnie jak większość ludzi na świecie, kojarzył słowo „terrorysta”. Zmęczeni po długiej podróży, chcieli po prostu spędzić dzień, podziwiając widoki z dala od miasta, a teraz jako punkt docelowy wybrali Montserrat. Nie widział nic dziwnego w tym, że nie mieli ochoty wystawać w korkach, kolejkach i poddawać się uciążliwym kontrolom drogowym. On też nie. Poza tym nie robił niczego niezgodnego z prawem. Jego praca polegała na tym, aby spełniać życzenia klientów, a nie czekać nie wiadomo na co w kolumnach zablokowanych samochodów.

Zerknął w lusterko i zobaczył, że jego pasażerowie wpatrują się w mały ekran telewizora. Przyjechali podziwiać podmiejskie krajobrazy, a oglądają telewizję. Ale co mu tam, to ich sprawa.

I była to ich sprawa. Całkowicie.

Uwagę obydwu mężczyzn całkowicie pochłaniał ekran telewizora, gdzie reporterka CNN relacjonowała na żywo spod Białego Domu. Władze nie ujawniły żadnych nowych informacji na temat okoliczności niespodziewanej i pospiesznej ewakuacji prezydenta Stanów Zjednoczonych z hotelu Ritz w Madrycie, oznajmiła dziennikarka. W dalszym ciągu nie wiadomo, dokąd został zawieszony, nie podano również szczegółów rzekomego terrorystycznego zagrożenia ani bliższych danych o samych terrorystach. Siły bezpieczeństwa podążyły tropem osób podejrzanych o organizację zamachu do Barcelony, gdzie terrorystom udało się wymknąć z obławy policyjnej. Zmasowane poszukiwania podejrzanych trwają teraz na terenie niemal całej Hiszpanii, aż do granicy z Francją.

Relację zakończono i CNN nadała reklamy. Prezydent wziął do ręki pilota i nacisnął przycisk wyciszenia. Telewizor umilkł.

— Planują zamachy stanu w Warszawie — powiedział cicho do Nicholas. — W normalnych warunkach skontaktowałbym się natychmiast z przywódcami Francji i Niemiec i ostrzegł ich osobiście. Niestety, nie mogę sobie pozwolić na ten luksus. Mimo to obydwójce trzeba jakoś poinformować, że w Warszawie grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo, a ja nie wiem, jak to zrobić.

— Jest pan pewien, że to będzie w Warszawie? — spytał Marten.

— Tak, na pewno. Chcą z tego zrobić publiczną egzekucję, żeby wzbudzić współczucie całego świata dla narodów Francji i Niemiec.

To by uzasadniło konieczność szybkich wyborów w obydwu krajach i pomogło zdusić wszelkie polityczne walki wewnętrzne, które mogłyby utrudnić obsadzenie najwyższych urzędów przez właściwych ludzi.

— Wobec tego musimy znaleźć sposób, aby ostrzec rządu obydwu krajów w sposób, który nie będzie bezpośrednio związany z panem.

— Tak.

— A gdyby wiadomość rozeszła się za pośrednictwem „New York Timesa” albo „Washington Post”, albo podało ją CNN czy inna duża agencja prasowa?

— A kto im to powie? Ja? Nie mogę użyć żadnego elektronicznego systemu komunikacji, koniec, kropka. Pan też już teraz nie może. Odebrał pan telefon Petera Faddena, więc mają nagrany pański głos i będą go szukać tak jak mojego. Przez chwilę zastanawiałem się nawet nad wykorzystaniem pani Picard, ale rozmyśliłem się, z wielu różnych powodów, przede wszystkim dlatego, że nikt by jej nie uwierzył, a gdyby zaczęła wszystko wyjaśniać i dopadłyby ją brukowce, zrobiłyby z tego aferę, wyszłoby na to, że prezydent uciekł od Secret Service i postradał zmysły. To ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba.

— A co z Faddenem? — zapytał Nicholas.

— Myślałem o tym. Peter Fadden ma rzeczywiście dobrą renomę i zapewne udałoby mu się skontaktować z rzecznikami prasowymi obydwu głów państw. Mógłby powiedzieć, że ma ściśle tajną informację z bardzo dobrze poinformowanego i wiarygodnego źródła i ostrzec ich przed tym, co ma się wydarzyć w Warszawie. Gdyby tak zrobił, tamci prawdopodobnie potraktowali by to bardzo poważnie i przekazali wiadomość swoim tajnym służbom. Kłopot w tym, że nie mamy się z nim jak skontaktować, nawet gdybyśmy posłużyli się kimś trzecim.

— Ponieważ ze mną rozmawiał.

Prezydent kiwnął ponuro głową.

— Przechwyca każdą elektroniczną informację, telefoniczną czy inną, wychodzącą czy przychodzącą. Będą obserwować każdy jego ruch. Jestem pewien, że Secret Service siedzi mu już na karku. Mam tylko nadzieję, dla jego własnego dobra, że nie próbuje dalej węszyć wokół sprawy Merrimana Foksa albo wokół własnych podejrzeń na temat mojego zniknięcia. Jeśli będzie za bardzo naciskał, mogą go aresztować albo nawet zabić. Tak więc, kuzynie, wracamy do punktu wyjścia. Co możemy zrobić, psiakość? Mamy informację, którą powinniśmy puścić w świat, a nie mamy jak.

Marten miał już odpowiedzieć, gdy nagle coś zwróciło jego uwagę. Spojrzał przed siebie i zobaczył, że Miguel Balius uważnie im się przygląda w lusterku wstecznym. Nicholasowi się to nie spodobało. Wcisnął włącznik interkomu.

— O co chodzi, Miguelu?

Miguel drgnął przestraszony.

— Nic, nic.

— Coś pana zainteresowało.

— Tylko to, że pański kuzyn jakoś znajomo wygląda — wyznał Miguel, chociaż zawstydził się, że go przyłapano na podglądaniu pasażerów. Popatrzył na Harrisa. — Jestem pewien, że gdzieś już pana widziałem.

Prezydent uśmiechnął się swobodnie.

— Nie wiem, gdzie moglibyśmy się spotkać. Pierwszy raz jestem w Barcelonie.

— Mam niezłą pamięć, muszę się nad tym zastanowić.

Jeszcze przez chwilę mu się przyglądał, po czym przeniósł wzrok na drogę.

Marten zerknął na prezydenta.

— Pamięta pan, co o nas mówiła kuzynka Demi?

— Że jesteśmy trochę zdziwaczali. Nicholas kiwnął głową.

— Teraz jest okazja, żeby to udowodnić. Niech mu pan powie, zanim się domyśli.

— Co mam mu powiedzieć? — zapytał prezydent przestraszony.

Marten nie odpowiedział, tylko popatrzył na Miguela i nacisnął intercom.

— Wie pan już, dlaczego kuzyn Jack wydaje się panu znajomy?

— Jeszcze nad tym pracuję.

— No to może pan przestać, powiem panu. To jest prezydent Stanów Zjednoczonych.

Harris poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zobaczył, jak Marten uśmiecha się od ucha do ucha. Przez chwilę Miguel gapił się na nich w lusterku, a potem na jego twarz również wypełził uśmiech.

— Oczywiście, prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Nie wierzysz mi, co? — ciągnął Marten. — Mój kuzyn jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Chciał sobie zrobić dzień odpoczynku od tej stresującej roboty. Dlatego unika kontroli drogowych. Wie pan, to by było niebezpieczne, gdyby ktoś się dowiedział, że jeździ sobie tak bez ochrony.

— To prawda? — spytał Miguel, patrząc na Harrisa.

Prezydent nie miał wyjścia. Mógł tylko ciągnąć grę rozpoczętą przez Martena.

— Obawiam się, że odkrył pan naszą tajemnicę. Dlatego wolimy jeździć bocznymi drózkami i trzymać się z dala od głównych szos.

Miguel uśmiechnął się jeszcze szerzej. Stroili sobie z niego żarty i on świetnie o tym wiedział

— Rozumiem pańską sytuację. Będę mógł opowiadać wnukom, że pana wozilem, że pojechaliśmy na plażę i pomagałem panu wycierać nogi z piasku, że potem zawiozłem pana do Montserrat i omijałem setki kontroli drogowych i blokad, które policja zastawiała, żeby złapać terrorystów.

Nicholas zeszywniał.

— Ma pan wnuki, Miguelu?

— Jeszcze nie, ale córka jest w ciąży.

Marten się rozluźnił.

— Gratulacje. Ale chyba pan rozumie, że nie może pan o tym nikomu powiedzieć? Ani córce, ani nawet żonie.

Miguel ceremonialnie podniósł do góry prawą dłoń.

— Na mą duszę, ani słowa, proszę pana. „Dyskrecja” to moje firmowe motto.

Nicholas uśmiechnął się.

— Naturalnie. Zwykłe, codzienne sprawy.

— Tak jest, proszę pana. Codzienne sprawy.

Marten usiadł wygodnie i spojrzał na Harrisa. Wyraz twarzy prezydenta mówił sam za siebie. Miguel to jedna sprawa, ale problem zamachów w Warszawie i pytanie, jak ostrzec przywódców Francji i Niemiec o grożącym im niebezpieczeństwie, pozostawał nierozwiązany.

71

BARCELONA; HOTEL GRAND PALACE. 8.40

Jake Lowe i James Marshall weszli do czteropokojowego apartamentu zarezerwowanego przez sekretarza generalnego Białego Domu Toma Curra-na, który w dalszym ciągu działał z ambasady amerykańskiej w Madrycie. Technicy z Secret Service zajęli jedną z trzech sypialni i uwijali się jak w

ukropie, aby rozstawić centrum łącznościowe, zainstalować bezpieczne linie do ambasady i sali narad w Białym Domu. Żaden z nich od dwudziestu czterech godzin nie zmrużył oka, obaj byli zmęczeni, brudni i nieogoleni. W dodatku od długiego czasu nie mieli okazji porozmawiać spokojnie na osobności. Lowe zaprowadził Marshalla do małego saloniku i zamknął drzwi.

— Ten koszmar się przedłuża — powiedział. — To nie do pojęcia, że on się nam do tej pory wymyka.

Marshall zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem włączył telewizor i nastawił na CNN. Przez chwilę oglądał wiadomości, a następnie podszedł do stolika, gdzie stało lekkie śniadanie, i nalał sobie kawy.

— Kawy?

— Nie. — Lowe przecesał ręką włosy i podszedł do okna, aby wyjrzeć na ulicę. Po krótkiej chwili odwrócił się zatroskany. — Uparł się, żeby nas zniszczyć, wiesz o tym?

— Tak, ale mu się nie uda.

— Wcześniej też byliśmy co do niego tacy pewni, pamiętasz? — przypomniał Lowe, a w jego głosie dawały o sobie znać zmęczenie i gniew. — Dzięki temu został prezydentem. Dzięki temu wydostał się z Ritza i do tej pory biega na wolności.

— Przemyślmy to wszystko — powiedział Marshall lodowatym tonem i zerkając jednym okiem na telewizor, usiadł na krześle. — Po pierwsze, w dalszym ciągu nie może się z nikim skontaktować drogą elektroniczną, tak żebyśmy o tym nie wiedzieli i w konsekwencji natychmiast go nie namierzyli. Jest mu jeszcze trudniej, ponieważ wiemy w przybliżeniu, gdzie się ukrywa. Dodaj do tego siły, jakie przeciw niemu wysłaliśmy. Może i są razem z Martenem niczym igły w stogu siana, ale my żdźbło po żdźbło ten stóg roz-bieramy. To tylko kwestia czasu, najwyżej kilku godzin, kiedy dokopiemy się do gołej podłogi i igły będą leżeć u naszych stóp. Następna sprawa, wiceprezydent leci właśnie do Madrytu na tajną konferencję z prezydentem Hiszpanii w sprawie zaginięcia Harrisa.

— Wiem o tym — warknął Lowe, zły, że mówi mu się coś, co nie jest dla niego żadną nowiną. — Powinien wylądować w ciągu najbliższej godziny, ale co to ma do rzeczy, psiakrew?

— Wszystko, w istocie nasz wielce szanowany prezydent mimowolnie dał nam doskonałą okazję, aby wprowadzić wiceprezydenta do awangardy światowej walki z terroryzmem. A on jest dobry w te klocki. Prawie tak samo dobry jak Harris. To twoja działka, Jake, i sam powinieneś wyczuć pismo

nosem. Po co trzymać jego przyjazd w tajemnicy? Wiceprezydent jest w tym samym stopniu zaangażowany w walkę z terrorem i przemocą co prezydent i tak oto pod nieobecność głowy państwa schodzi na hiszpańską ziemię, aby dać temu wyraz. Ściągnijmy go tu dziś po południu, wyślijmy na ulice Barcelony, w koszuli, z zakasаныmi rękawami. Niech rozmawia z ludźmi, niech nagra kilka migawek z policjantami pracującymi przy blokadach. Niech powie światu, jaki jest dumny, że może reprezentować Amerykę w zastępstwie prezydenta. Niech opowie, jak prezydent Harris poważnie traktuje zagrożenie terrorystyczne i nie pozwoli, aby przeszkodziło mu ono przyjechać na szczyt do Warszawy i wygłosić mowę do przywódców NATO, nad którą osobiście pracuje w swoim miejscu odosobnienia. Jake, pcha się nam w ręce wyjątkowa szansa, aby pokazać ludziom, że wiceprezydent jest bardzo odpowiedzialnym facetem i ma jak najlepsze intencje. — Marshall uśmiechnął się słabo. — A kilka godzin później, wskutek splotu tragicznych okoliczności, zostanie panem na Kapitolu.

— Zapominasz o Peterze Faddenie. — Lowe przeszedł na drugi koniec pokoju. — On wie o Caroline Parsons. Podejrzewa coś w sprawie śmierci Mike'a Parsonsa. Wie o powiązaniach tej sprawy z Merrimanem Foksem i nie dał się nabrać na oficjalną wersję o zniknięciu prezydenta. Nie ma zamiaru odpuścić. Za chwilę możemy mieć na głowie całe „Washington Post”.

— Nie obawiaj się, nie zapomniałem o nim. Jak tylko założą nam bezpieczną linię, zadzwonię do Waszyngtonu i dopilnuję, żeby odpuścił. A co do prezydenta, to może powinniśmy mieć nadzieję, że ani Secret Service, ani hiszpański wywiad go nie znajdą.

— Dlaczego?

— Ponieważ wielbny Beck rozsypał odpowiednią ilość okruszków, aby zwabić Nicholasa Martena do Montserrat na spotkanie z doktorem Foksem. Jak wiemy z wczorajszej historii w hotelu, z dzisiejszego telefonu Faddena i małej sztuczki z telefonem komórkowym na ciężarówce, robi wszystko, żeby się nam wymknąć. A może to robić tylko z jednego powodu: ponieważ towarzyszy mu prezydent. Obydwaj mają swoje powody, aby szukać Foksa, i jeśli znajdą go, zanim dopadnie ich Hap... — przez twarz Marshalla przemknął cień uśmiechu — ...Marten zniknie bez śladu, a my zawieziemy zwłoki prezydenta w „bezpieczne miejsce”, gdzie zresztą przebywa od wczoraj i gdzie dostanie zawału serca lub czegoś innego, co Foxx uzna za stosowne. W ten sposób sprawa zostanie załatwiona dużo prościej i czystiej, nie sądzisz?

Lowe popatrzył w telewizor. Po relacji CNN o katastrofie lotniczej w Peru puszczono materiał na żywo z Barcelony i zmasowanej oblawy na uciekających terrorystów, w trakcie której aresztowano do tej pory dwadzieścia siedem osób.

Lowe wyłączył telewizor i odwrócił się do Marshalla. Czoło błyszczało mu od potu, zwykle czerstwa twarz była bardzo blada. Głębokie wyczerpanie dawało o sobie znać.

— Jestem zmęczony, Jim. Zmęczony myśleniem i całą tą przekłętą sprawą. Zadzwoń do Waszyngtonu, a potem zdrzemnij się chociaż godzinę. Zrobię to samo. Obaj tego potrzebujemy.

72

9.00

Miguel Balius spojrział w lusterko na swoich dwóch pasażerów siedzących po drugiej stronie szyby, po czym przeniósł wzrok z powrotem na krętą polną drogę przed sobą. Po raz drugi w ciągu ostatnich czterdziestu minut zboczył z głównej trasy, aby ominąć blokadę. Za pierwszym razem jechał główną autostradą w kierunku Tarrasa, kiedy zobaczył sznur samochodów zwalniających gwałtownie i skierowanych przez uzbrojonych po zęby policjantów na jeden pas ruchu. Skręcił wtedy w najbliższy zjazd i kluczył przez sieć podmiejskich uliczek aż do Ullastrell, a stamtąd drugorzędną drogą na południe dojechał z powrotem do głównej trasy, która znów poprowadziła ich na północ w kierunku Montserrat. W Aberrze trafili na następną blokadę. Miguel zawrócił i boczną drogą okrążającą miasto Olesa de Montserrat dojechali do szosy wiodącej na północny zachód w stronę gór i klasztoru. Nadłoczyli drogi, ale lepsze to niż utknięcie w blokadzie drogowej i odkrycie przez policję, że wiezie prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego kuzyna.

Zaśmiał się do siebie. Kiedy zabierał swoich dzisiejszych podróżnych, uprzedzono go, że są trochę zbzikowani. I faktycznie byli. Ale zdarzało mu się wozić bardziej szurniętych pasażerów — gwiazdorów rocka, słynnych aktorów, piłkarzy, tenisistów, mężczyzn z żonami innych mężczyzn, kobiety z mężami innych kobiet, mężczyzn z mężczyznami, kobiety z kobietami, a także pary nieokreślonej płci. Tak więc ci dwaj wcale się nie wyróżniali wśród rzeszy postrzelców, którzy siedzieli na tylnym siedzeniu jego limuzyny. Uśmiechnął się i robił dalej swoje. Dla niego, jak to określił kuzyn

Harold, były to „codzienne sprawy”. Łysawy mężczyzna wyglądał nieco znajomo, ale z całą pewnością nie przypominał prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeśli jednak miał ochotę udawać najpotężniejszego człowieka na świecie, który robi sobie wolne od stresującej pracy, i prosił, aby omijać blokady drogowe, Miguel nie miał nic przeciwko temu.

Czy przemknęło mu jeszcze raz przez głowę, że ci dwaj mogą być terrorystami poszukiwanymi przez policję? Oczywiście, zwłaszcza kiedy z takim naciskiem prosili, aby omijać wszelkie punkty kontroli. Ale po bliższych oględzinach tak jak poprzednio doszedł do wniosku, że nie tak wyglądają terroryści, których boi się cały świat. Poza tym jacy terroryści wynajmowaliby limuzynę, chodzili boso po plaży, popijając kawę, potem zwiedzali zabytki i udawali prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz jego kuzyna, kiedy dookoła roi się od ścigających ich policjantów?

Znowu zerknął na swoich pasażerów. Kuzyn Harold wziął do ręki papier listowy z papeterii w limuzynie i coś na nim pisał. Kiedy skończył, podał kartkę kuzynowi Jackowi vel prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Miguel uśmiechnął się pod nosem i wrócił do obserwowania drogi. Co oni wyprawiają? Grają w kółko i krzyżyk?

— To jest znak Aldebarana. — To mówiąc, Nicholas wskazał krzyż zakończony kółeczkami, który narysował na papierze listowym. — Jasnoczerwona gwiazda tworząca oko gwiazdozbioru Byka — relacjonował to, co powiedziała mu wczoraj Demi w Els Quatre Gats w Barcelonie. — Astrologowie wierzyli kiedyś, że emituje jakąś potężną, pozytywną energię. Nazywa się ją również...

— Okiem Boga — uzupełnił prezydent.

— Skąd...?

— Skąd wiem? — Prezydent uśmiechnął się łagodnie. — Byłem stypendystą Rhodesa, panie Marten. Studiowałem na Oksfordzie historię Europy i teologię. Znak Aldebarana pojawia się i w jednej dziedzinie, i w drugiej, może niejako ważny temat, ale jeśli się miało tak wymagających i drobiazgowych wykładowców jak ja, trudno się było na niego nie natknąć. Uważa się, że symbol Aldebarana pełnił funkcję znaku rozpoznawczego w tajemnym kulcie czarnoksiężników, który mógł mieć bardzo poważny wpływ na życie polityczne Europy w epoce renesansu i później, może nawet przez kilka stuleci. Nie wiadomo tego na pewno, ponieważ nie zostawili po sobie żadnych

dokumentów ani spisanej historii. Przynajmniej o niczym takim nie wiadomo. Wszystko, co pozostało, mieści się w sferach przypuszczeń i pogłosek.

— No to dodam jeszcze jedną pogłoskę i przypuszczenie z epoki renesansu. Przymierze Machiavellego. Słyszał pan o nim?

— Nie.

— Podobno Machiavelli napisał dodatek do swojego Księcia — jeszcze raz Nicholas nawiązał do tego, co mu mówiła Demi. — Opracował tam rzekomo ideę tajnego stowarzyszenia, które zdobywa potęgę dzięki udokumentowanemu uczestnictwu swoich członków w skomplikowanym rytualnym zabójstwie. Założenie było takie, że świadomy i potwierdzony współudział w morderstwie łączył ich więzami krwi i umożliwiał zdecydowane, nawet bezwzględne grupowe działanie, ponieważ wiedzieli, że wszystkich ich powieszają, jeśli prawda wyjdzie na jaw. W ten sposób powstawała bardzo groźna banda, zwłaszcza jeśli jej członkowie już wcześniej mieli duże wpływy.

Prezydent zmrużył oczy.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z...

— Powiedział pan „kult czarnoksiężników”. Chodziło o czarnoksiężników czy wiedźmy?

— To zależy, o jakiej epoce mówimy.

— A jeśli powiem, że chodzi o tu i teraz?

— Nie rozumiem.

— Merriman Foxx ma wytatuowany na lewym kciuku znak Aldebarana. Wielebny Beck też go może mieć, trudno to stwierdzić bez starannych oględzin, ponieważ cierpi na chorobę skóry. Miała go również lekarka Caroline Parsons, Lorraine Stephenson. I taki sam tatuaż nosiła ponoć siostra Demi. Ci ludzie są członkami tajnego sabatu czarownic, który przyjął za swój znak rozpoznawczy symbol Aldebarana.

Marten zerknął w lustro wsteczne, ale Miguel patrzył na drogę. Jeżeli coś słyszał, jeżeli miał sposób, aby podsłuchiwać rozmowy pasażerów, to nie dał tego po sobie poznać. Nicholas odwrócił się z powrotem do prezydenta.

— Powiedział pan „poważny wpływ na życie polityczne Europy”, panie prezydencie? A jeśli ta sprawa nie jest tylko spiskiem pańskich „przyjaciół” i Merrimana Foksa? Jeśli i tutaj wchodzi w grę te „wiedźmy”? Jeśli Przymierze Machiavellego nie jest żadnym wymyślonym dodatkiem do Księcia, ale prawdziwym, istniejącym stowarzyszeniem? Jeśli grupa ludzi zrobiła

sobie z tego biblię i postanowiła wcielić jego plan w życie? Jeśli okaże się, że pański tajemny kult czarnoksiężników naprawdę istniał. I nadal istnieje? I to nie tylko w Europie, ale i w Waszyngtonie?

Prezydent Harris wziął głęboki oddech. Marten zauważył, że ogromna presja zaczyna dawać mu się we znaki.

— Jeśli istnieje odpowiedź na to pytanie, to możliwe, że doktor Foxx będzie umiał jej udzielić.

Przez chwilę jeszcze prezydent nie odrywał wzroku od twarzy Martena, po czym odwrócił głowę i patrzył na krajobraz przesuwający się za oknem. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmartwionego i zamkniętego w sobie niż przedtem.

— Jedziemy do Montserrat, panie Marten, aby znaleźć doktora Foksa i wy badać go — powiedział, nie odwracając oczu od widoku za oknem. — Niech pan zapomni, że to naukowiec, że zajmował się eksperymentami i produkcją broni. Przez większą część życia był zawodowym żołnierzem. — Odwrócił się od okna i spojrzał Martenowi w oczy. — Podchodzi pod sześćdziesiątkę, ale z tego, co o nim czytałem, jest silny i w bardzo dobrej kondycji. I twardy. Nad przedsięwzięciem, o które chcemy go wypytać, pracował prawdopodobnie przez długie lata, aby doprowadzić je do obecnego etapu, kiedy dojrzało do wprowadzenia w życie. Dlaczego właściwie miałyby nam cokolwiek o tym powiedzieć? Ja na jego miejscu na pewno bym się do niczego nie przyznał. — Na jego twarzy odmalowała się rezygnacja. — Obawiam się, panie Marten, że nie jesteśmy przygotowani, aby zmierzyć się z tym przeciwnikiem. Jeśli zwyczajnie roześmieje nam się w twarz, słysząc nasze pytania, wrócimy z pustymi rękami.

— Sądzę, panie prezydencie — powiedział Marten cicho, ale z mocą — że to zależy od tego, gdzie i jak zada mu się to pytanie.

73

MADRYT; HOTEL OPERA. 9.22

— Muchas gracias.

Peter Fadden skinął głową recepcjoniście, po czym podpisał się na potwierdzeniu operacji wykonanej kartą kredytową, podniósł torbę i ruszył szybko do drzwi, ponieważ miał niewiele czasu, aby zdążyć na samolot do Barcelony.

Portier przed drzwiami wezwał taksówkę. Samochód podjechał przed

wejście, lecz chwilę później odjechał bez pasażera. Fadden wymienił z portierem zdziwione spojrzenia i odzwierny machnął na następną taksówkę. Tak jak poprzednia, ta również podjechała pod drzwi, ale w przeciwieństwie do tamtej została na miejscu. Ze środka wysiadł kierowca i pytająco spojrzął na portiera po wskazówki.

— Aeropuerto de Barajas — odpowiedział szybko Fadden, zanim tamten zdążył się odezwać.

Dał odzwiernemu napiwek, otworzył tylne drzwi, rzucił torbę na siedzenie i usiadł obok niej. Kilka sekund później taksówka odjechała.

KOMENDA GŁÓWNA POLICJI W BARCELONIE. W TYM SAMYM CZASIE

Hap Daniels i Bill Strait byli, podobnie jak pozostali funkcjonariusze Secret Service, którzy przylecieli z Madrytu, fizycznie i psychicznie wykończeni po ponad dwudziestoczterogodzinnym, nieustającym oblężeniu. Zarezerwowano im pokoje w hotelu Colon naprzeciwko katedry, ale tymczasową kwaterę zorganizowano tutaj, w sali konferencyjnej w podziemiach komandy, gdzie grupa trzydziestu sześciu osób z barcelońskiej policji, hiszpańskiego wywiadu, CIA i Secret Service pracowała w pocie czoła nad informacjami spływającymi w zastraszających ilościach z punktów kontroli drogowych i od grup pościgowych. Wszystko osobiście nadzorował Hap Daniels.

— Dwadzieścia minut — powiedział, dwukrotnie pokazując dziesięć palców. — Potrzebuję tylko dwudziestu minut.

Skinął ręką na Billa Straita i wszedł do sali, gdzie na naprędce rozłożonych łóżkach spało kilku agentów Secret Service i gdzie on również zamierzał zamknąć oczy na owe cenne dwadzieścia minut.

Kiedy Strait wszedł za nim do pokoju, Hap zamknął drzwi i pociągnął swego zastępcę w kącie, gdzie nikt ich nie mógł usłyszeć.

— Słuchaj, to, co tu się dzieje, to nie jest żadne porwanie — powiedział półgłosem. — Żadnych terrorystów, obcych rządów czy agentów. Opryskacz po prostu usiłuje uciec.

— Nie rozumiem cię, Hap — odparł Strait również półgłosem. — Od Madrytu działamy z takim samym założeniem, że jest chory.

— Jeśli on jest chory, to ja jestem trójnogim osłem. Wymknął się z Ritza kanałami wentylacyjnymi, zdjął perukę, nawet nie mieliśmy pojęcia, że ją nosi, i pojechał do Barcelony tak, że nikt go nie rozpoznał. Po cichu znalazł

Martena i uciekł z hotelu, a potem z miasta, tuż pod naszym nosem. Tak się nie zachowuje chory człowiek. Tak się zachowuje człowiek, który za wszelką cenę chce uciec i to diabelnie sprytnie.

— Ludzie robią różne rzeczy, kiedy im odbija, Hap. Nawet prezydenci.

— Nie wiemy, czy mu odbiło. Tak twierdzą Lowe i Marshall, a oni też się tylko domyślają, chyba że coś przed nami ukrywają i bardzo im zależy, żebyśmy uwierzyli w jego załamanie nerwowe.

— Zależy im, żebyśmy uwierzyli?

— Tak.

Strait wytrzeszczył na niego oczy.

— Jesteś zmęczony. Powtórz mi to samo za pół godziny, kiedy się obudzisz.

— Mówię ci to teraz.

— Dobrze, więc co się, twoim zdaniem, dzieje?

W tym momencie jeden ze śpiących agentów zakasłał i przewrócił się przez sen na drugi bok. Daniels rozejrzał się po sali i pociągnął Straita do pustej męskiej łazienki.

— Nie wiem, co się dzieje — powiedział, kiedy już byli sami. — Przypominam sobie to spotkanie w domu Evana Byrda w Madrycie. Zebrał się tam prawie cały gabinet z wiceprezydentem włącznie. Opryskiwacz ich się tam nie spodziewał, a kiedy wyszedł, był bardzo nieswój. Przez całą drogę powrotną do hotelu nie odezwał się ani słowem. Jakby błdził gdzieś myślam. A kilka godzin później uciekł, oświetlając sobie drogę zapalkami, które zabrał z domu Byrda. I trafił do Nicholasa Martena, którego kazał mi sprawdzić, zanim się to wszystko zaczęło.

Daniels zdjął marynarkę i poluzował krawat.

— Chcę się położyć i zamknąć oczy chociaż na dwadzieścia minut. Może jak się obudzę, trochę mi się przejaśni w głowie. Ty w tym czasie wyjdź stąd, znajdź jakieś miejsce, gdzie nikt cię nie podsłucha, i ze swojej komórki zadzwoń do Emilia Vasqueza z hiszpańskiego wywiadu w Madrycie. Poproś go, żeby założył podsłuch w domu Byrda. Może mu się to nie spodobać, ale powiedz, że to ma być osobista przysługa dla mnie. Jeśli będzie miał jakieś wątpliwości, to zadzwoń do niego, gdy tylko się obudzę.

— Uważasz, że Evan Byrd ma z tym coś wspólnego?

— Nie wiem, nie mam nawet zielonego pojęcia, czym jest „to”. Chcę po prostu sprawdzić, z kim się kontaktuje i co mają sobie do powiedzenia.

MADRYT. 9.30

Peter Fadden obserwował rozmyte obrazy miasta przesuwające się za szybą samochodu. Prawie nie słyszał ryczącego radia nadającego stare amerykańskie rockandrollowe przeboje. W głowie mu aż huczało od bezładnej mieszaniny sprzecznych uczuć, podniecenia i lęku. Zadzwoił do Nicholasa Martena, ponieważ był pewien, że wpadł na trop sprawy, która w jakiś sposób łączyła ze sobą zniknięcie prezydenta, śmierć Parsonsów oraz zeznania Merrimana Foksa przed komisją w Kongresie. Poza tym również dlatego, że wielka oblawa na — jak twierdziły hiszpańskie władze — „zbiegłych terrorystów” koncentrowała się dokładnie wokół miejsca, gdzie był teraz Marten.

Rozmawiał z Nicholasem tuż po siódmej, czyli nieco ponad dwie godziny temu. Marten raptownie urwał rozmowę, mówiąc, że zadzwoni później. Jak dotąd, nie odezwał się. Peter próbował dzwonić do niego trzykrotnie, ale za każdym razem łączył się tylko z pocztą głosową. Więc gdzie on był i co się tam działo, do diabła?

Jeśli miał rację i policja wcale nie szukała terrorystów, tylko kogoś zupełnie innego, jak dotąd żaden inny dziennikarz, o ile mu było wiadomo, na to nie wpadł. Gdyby zatem udało mu się dotrzeć do prawdy, mógłby mieć materiał na wyłączność o wielkiej politycznej aferze, kto wie, czy nie o historycznym znaczeniu.

Pytanie, jak to rozegrać. Zbyt długo działał w tym fachu, aby nie wiedzieć, że jeśli zadzwoni do swojego szefa w „Washington Post”, to choćby nie wiadomo jak poufna miała być ich rozmowa, wszystko, co Peter powie, dotrze do uszu redaktora naczelnego, a wtedy o jego sprawie na pewno dowie się w redakcji ktoś jeszcze i tylko patrzeć, jak zaleje go powódź reporterów pędzących na miejsce zdarzenia. Nie miał najmniejszego zamiaru do tego dopuścić.

9.35

Obserwował znajome widoki miasta. Jechali Calle de Alcalá, wkrótce miną słynną madrycką arenę walk byków, Plaza de Toros. Potem przetną Avenida de la Paz. Fadden znał doskonale drogę na lotnisko. W ciągu pięciu lat pracy jako korespondent zagraniczny „Washington Post” w Londynie,

dwóch lat w Rzymie, dwóch w Paryżu i roku w Stambule bywał w Madrycie dziesiątki razy. Według jego wyliczeń, jeśli nie wpadną w korki, powinien dojechać na lotnisko w niespełna dwadzieścia minut i bez trudu zdążyć na lot linii lotniczych Iberia do Barcelony.

9.37

Minęli Avenida de la Paz i Fadden na moment zamknął oczy. Był na nogach do późna w nocy. Przesłuchał prawie wszystkich pracowników Ritza — pomocników kelnerów, pokojówki, sprzątaczkę, kucharzy, techników, kierowników zmian, ochroniarzy. Potem prawie do czwartej nad ranem siedział w swoim pokoju i sporządzał notatki, a o wpół do siódmej brał już prysznic, rezerwował bilet do Barcelony i dzwonił do Nicka Martena. W sumie wyszło mu niewiele ponad dwie godziny snu — nic dziwnego, że był zmęczony.

Nagle poczuł, że samochód zwalnia. Otworzył oczy i zobaczył, że kierowca skręca w prawo w boczną uliczkę.

- Co pan robi? — zapytał ostro. — To nie jest droga na lotnisko.
- Przykro mi, señor, ale muszę się zatrzymać.
- Dlaczego ma się pan zatrzymywać?
- Przepraszam.

To powiedziawszy, kierowca zjechał do krawężnika. Z głośników cały czas leciała głośna amerykańska muzyka rockowa. Sekundę później taksówkarz pchnął z całej siły drzwi, wyskoczył z samochodu i puścił się przed siebie dzikim pędem, nie oglądając się wstecz.

— Jezu Chryste! — wrzasnął Fadden.

Błysk zrozumienia i strach poderwały go z miejsca. Sięgnął do klamki i otworzył drzwiczki. Kiedy dotknął stopami chodnika, z tyłu podjechał czarny samochód i zatrzymał się tuż za taksówką. Rzucił się do ucieczki, nawet nie spojrzawszy w tamtą stronę. Kilka sekund później dobiegł do przecznicy, wypadł na ulicę, nie rozglądając się na boki. Ryk klaksonu rozległ się jednocześnie z piskiem opon. Fadden zakręcił się w kółko na palcach i wyminął niebieską toyotę vana, pod którą o mały włos nie wpadł. Dopadł chodnika po drugiej stronie i pobiegł w kierunku małego placyku. Skręcił w lewo, potem w prawo wokół fontanny. Rzucił okiem przez ramię. Biegli za nim. Byli ubrani w dżinsy i bluzy sportowe, włosy ostrzyżone mieli króciutko, po woj-skowemu. Na odległość czuło się, że to Amerykanie.

— Rany boskie — szepnął Fadden.

Biegł dalej. Zobaczył chodnik obsadzony po obu stronach krzewami, prowadzący do następnej ulicy. Skręcił tam. Płuca go paliły. Nagle zauważył przed sobą przystanek i autobus, z którego wysiadali pasażerowie. Nie musiał się nawet oglądać, wiedział, że za nim biegną. Od autobusu dzieliło go jeszcze dziesięć metrów, biegł resztką sił. Czekał, aż spadnie na niego cios albo ktoś go chwyci od tyłu i powali na ziemię. Jeszcze siedem metrów. Trzy. Drzwi autobusu zaczęły się zamykać.

— Stój! — wrzasnął. — Zaczekaj!

Drzwi otworzyły się ponownie w chwili, gdy do nich dobiegł. W okamgnieniu wbiegł po schodkach, a wtedy kierowca zamknął drzwi i odjechał.

75

ANGLIA; MANCHESTER, POSIADŁOŚĆ BANFIELDÓW, HALIFAX ROAD. 9.43

Nad falistymi zielonymi polami unosiła się gęsta mgła. W oddali nad wzgórzami wisiały ciężkie chmury deszczowe. Ze szczytu wzgórza, na którym stał Ian Graff, widać było rzekę, a gdyby się odwrócił, zobaczyłby nowo wybudowaną rezydencję Banfieldów — tysiąc sto metrów kwadratowych szkła, stali i kamienia. Nic z tego nie pasowało do angielskiej historii i wiejskiego, pagórkowego otoczenia, ale Fitzsimmons and Justice otrzymało zlecenie, aby zaprojektować krajobraz, a nie dom. I to krajobraz przyjechał obejrzeć Ian w ten wilgotny sobotni poranek, z planami zwiniętymi w rulony i wetkniętymi pod ramię, aby zlustrować go po raz ostatni, zanim ostatecznie przedłoży projekt — za co mógł serdecznie podziękować Nicholasowi Martenowi — Robertowi Fitzsimmonsowi, który z kolei przedstawi je młodemu, nowobogackim, świeżo poślubionym i bardzo drażliwym Banfieldom.

Postawił kofnierz marynarki, aby osłonić się przed zimną mgłą, i już robił krok w stronę domu, kiedy u stóp wzgórza zobaczył zaparkowanego granatowego rovera sedana i dwóch mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych idących ścieżką w jego stronę.

— Pan Ian Graff! — zawołał pierwszy z mężczyzn, krępy, czarnowłosy z lekką siwizną na skroniach.

Było to właściwie nie tyle pytanie, ile stwierdzenie w majestacie prawa. Oni doskonale wiedzieli, kim jest.

— Tak.

Drugi mężczyzna był wysoki i całkiem siwy. Kiedy podeszli bliżej, sięgnął ręką do kieszeni płaszcza i wyjął małe skórzane etui. Otworzył je i podniósł.

— John Harrison, Służba Bezpieczeństwa. To jest agent specjalny Russell. Godzinę i dwadzieścia minut temu dzwonił pan ze swojego biura na telefon komórkowy Nicholasa Martena.

— Tak. Dlaczego pan pyta? Czyżby Nicholas miał jakieś kłopoty?

— Po co pan do niego dzwonił?

— Jestem jego zwierzchnikiem w firmie Fitzsimmons and Justice. Agent Russell podszedł bliżej.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Dzwoniłem, ponieważ miałem o to prosić. Jeśli się pan rozejrzy, zobaczy pan teren, który lada chwila mamy zacząć kształtować. Ma tu między innymi rosnąć dużo azalii. Nicholas pracował nad tym projektem i prosił mnie, abym mu przekazał listę różaneczników, ponieważ zapomniał nazwy jednej konkretnej odmiany, którą chciał wykorzystać. Zdobyłem listę i podyktowałem mu nazwy.

— I co potem?

— Potem coś przerwało nam połączenie. Próbowałem zadzwonić jeszcze raz, ale mi się nie udało.

— Powiedział pan, że Nicholas Marten prosił pana o telefon — zauważył agent Russell. — Czy to znaczy, że zadzwonił do pana i poprosił, aby się pan do niego odezwał?

— W pewnym sensie tak. Zadzwonił do mnie do domu, ponieważ myślał, że jest sobota i że nie idę do pracy. Odebrała moja gosposia i przekazała mi wiadomość do biura.

— Pańska gosposia?

— Tak. Nie wiem do końca, czemu Nicholas zadzwonił do domu. Wiedział, że muszę być w biurze. Jesteśmy opóźnieni z tym projektem.

To mówiąc, wskazał dom i teren dookoła. Agent Harrison przyglądał się Graffowi przez dłuższą chwilę, po czym rozejrzał się po okolicy.

— Ładny kawałek gruntu. Ale dom mi się nie podoba. Zupełnie tu nie pasuje.

— Zgadzam się.

— Dziękuję, że poświęcił nam pan czas, panie Graff.

Agenci Harrison i Russell ruszyli po błocie z powrotem w stronę samochodu.

— Czy Nicholas ma jakieś kłopoty?! — zawołał za nimi Graff. — Czyżby popadł w jakiś konflikt z rządem?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

MADRYT. 10.15

Peter Fadden przejechał autobusem dwa przystanki, potem wysiadł, przeszedł kilkadziesiąt metrów, skręcił w boczną uliczkę i wszedł do baru, w którym siedziało kilku porannych klientów. Skierował się od razu do męskiej toalety. Niedługo potem wyszedł, zajrzał do kuchni i stwierdził, że jest tam tylne wyjście, które w razie potrzeby zapewni mu drogę ucieczki. Zadowolony wrócił do sali, usiadł przy stoliku, skąd miał dobry widok na wejście, i zamówił kawę.

Miał przy sobie portfel, paszport, swój blackberry i przynajmniej na razie udało mu się ująć z życiem i pozostać na wolności. Całą resztę, czyli walizkę i aktówkę z laptopem, zostawił w taksówce i prawdopodobnie rzeczy te wpadły już w ręce ludzi, którzy go ścigali. Najbardziej martwił go laptop, na twardym dysku miał wszystkie notatki: wywiady z pracownikami Ritza w Madrycie, materiały na temat Merrimana Foksa, doktor Stephenson, szpitala, do którego zawieziono Caroline Parsons po pogrzebie, a także jego podejrzenia na temat obławy w Barcelonie i tego, co się przytrafiło prezydentowi.

Musiał się zastanowić, co z tym wszystkim począć.

Najchętniej skontaktowałby się z redakcją „Washington Post” w Waszyngtonie, ale wiedział, że to w najlepszym razie dyskusyjny pomysł. Ludzie, którzy po niego przyjechali, właśnie w ten sposób musieli wpaść na jego trop: namierzali rozmowy z telefonem Martena. To znaczy, że słyszeli ich rozmowę, a najprawdopodobniej również ją nagrali. Co gorsza, mieli numer jego blackberry, w ten sposób najprawdopodobniej trafili do jego hotelu, dlatego też zapewne odjechała mu sprzed nosa pierwsza taksówka — ponieważ drugą prowadził kierowca, który dla nich pracował i zgodził się zrobić, co mu kazali. Na ich polecenie skręcił w boczną uliczkę, zatrzymał się, a potem uciekł.

Skoro znają częstotliwość blackberry, będą śledzić każdą jego rozmowę i namierzą go, gdy tylko wybierze pierwszy numer. Ale to nie wszystko, po tym, jak powiedział w rozmowie z Nicholasem o swoich podejrzeniach dotyczących zniknięcia prezydenta, komisji Mike'a Parsonsa i Merrimana Foksa, nie było wątpliwości, że numery, które miał zapisane w pamięci telefonu, czyli praktycznie wszystkie znane mu osoby w Waszyngtonie i redakcjach „Washington Post” na całym świecie, zostaną natychmiast wzięte pod obserwację. Nie miał pojęcia, kto za tym stoi, ale bez wątpienia ktoś z samej góry,

skoro tak szybko po rozmowie z Martenem, którego komórka zapewne była na podsłuchu, nasłali na niego ludzi ostrzyżonych na jeża. Epizod z tak-sówkami wskazywał, że nie wysłali ich na pogawędkę, ponieważ mogli ją sobie z nim uciąć w hotelu.

Największe znaczenie odgrywał teraz czas. Cokolwiek się działo, działo się bardzo szybko. Jeżeli prezydent miał kłopoty, to miał je właśnie teraz, a to znaczy, że musiał znaleźć kogoś nie zamieszanego w tajemniczą aferę, kogoś szanowanego, kogo świat zechce posłuchać i komu on mógłby ufać bez zastrzeżeń i wytłumaczyć wszystko w dwóch słowach.

10.22

Fadden wszedł do kiosku z papierosami, oddalonego cztery bramy od baru. Rozejrzył się po sklepiku, a kiedy stwierdził, że poza nim nie ma tu żadnego klienta, podszedł do zwalistego właściciela, siedzącego za ladą i palącego cygaro.

- Mówi pan po angielsku?
- Poco. Trochę — odrzekł mężczyzna.
- Chciałbym kupić kartę telefoniczną.
- Si — odpowiedział sprzedawca, wstając. — Si.

GENEWA, SZWAJCARIA. ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA. 10.27

Doktor Matunde Ngotho, dyrektor wykonawczy Programu Badań Genetycznych Światowej Organizacji Zdrowia, wyszedł właśnie z sobotniego porannego posiedzenia komisji śledczej i wchodził już do swojego biura na Avenue Appia, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Słucham, Matunde — odebrał.
- Matunde, mówi Peter Fadden.
- Peter! — Doktor uśmiechnął się szeroko, słysząc głos starego serdecznego przyjaciela. — Gdzie jesteś? Mam nadzieję, że w Genewie? Cekał na odpowiedź, ale jej nie usłyszał.
- Peter? Peter, jesteś tam?

Peter Fadden zamrł i wpatrywał się rozszerzonymi oczami w wysokiego mężczyznę, ostrzyżonego na jeża, stojącego przed drzwiami budki telefonicznej na rogu ulicy. Dziwne, ale poczuł lodowate zimno, chociaż temperatura na dworze przekraczała dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Mężczyzna wyciągnął rękę, wyjął mu z dłoni słuchawkę i odwiesił ją na miejsce. Peter jak przez mgłę słyszał głos swego starego przyjaciela i współlokatora z Genewy, a jednocześnie czuł ostry, przeszywający ból w okolicach prawej nerki, jakby ktoś mu wbił tam igłę, a potem gwałtownie ją wyszarpnął. Zobaczył parasol nad głową mężczyzny ostrzyżonego na jeża. Przemknęła mu przez głowę myśl, po co mu parasol. Przecież nie padało. Ściśle mówiąc, na niebie nie widać było ani jednej chmurki.

77

10.30

Nicholas Marten patrzył bezmyślnie za okno, kiedy Miguel Balius wjeżdżał czarną limuzyną na wąski mostek łączący dwa brzegi błotnistej rzeki. Minęła minuta, potem druga, aż nagle spojrział przytomniej, jakby naszła go jakaś myśl. Zerknął na prezydenta Harrisa, po czym wcisnął guzik interkomu.

— Miguelu?

— Tak, słucham?

— Pewnie był pan już nieraz w Montserrat?

— O tak, wiele razy, proszę pana.

— Jak ono wygląda?

— Jak wygląda? Jak małe miasteczko wbudowane w skałę prawie sto metrów nad dnem doliny. To niewiarygodny wyczyn budowniczych.

Prezydent pochylił się do przodu. Zrozumiał, że Marten zbiera informacje, a jednocześnie układa plan, co mają zrobić, kiedy dotrą na miejsce.

— Jest tam wiele budynków, niektóre mają setki lat: bazylika, muzeum, hotel z restauracją. Mają też bibliotekę, refektarz, za dużo tego nawet, żeby wszystko wymienić — entuzjazmował się Miguel niczym przewodnik wycieczek, spoglądając raz po raz to na Martena, to z powrotem na drogę. — Można tam dojechać samochodem albo kolejką linową z doliny. Kolejką

można dojechać nawet jeszcze wyżej w góry, a stamtąd rozchodzi się mnóstwo różnych ścieżek we wszystkich kierunkach. Niektóre prowadzą do bardzo starych kapliczek i pustelni, ale większość jest od dawna nieużywana i można przy nich spotkać tylko ruiny. Jest takie powiedzenie, że to „góra tysiąca i jednej ścieżki”. Nie rozczarujecie się. Ale bądźcie przygotowani na tłumy ludzi. Tam zawsze ciągną sznury turystów. Szczerze mówiąc, to Montserrat jest w tym samym stopniu klasztornym zaciszem co atrakcją turystyczną.

— Możliwe, że spotkamy tam znajomych — drażył dalej Marten. — Wspomniał pan, że jest tam restauracja. Gdybyśmy chcieli zjeść lunch, to mamy się spodziewać raczej sklepu z kanapkami czy jakiegoś lepszego lokalu?

— Nie, nie, to nie jest sklep z kanapkami. Mają normalne stoliki, krzesła i tak dalej.

— A nie wie pan, czy podają tam napoje? Colę, wodę mineralną czy coś w tym rodzaju? Pytam, bo jeden z naszych znajomych ma kłopoty zdrowotne i z tego powodu czasem dość szczególne potrzeby.

— Naturalnie, że mają napoje chłodzące. A także kawę, wino, piwo, co tylko panowie zechcecie.

Prezydent słuchał uważnie. Nicholas zadawał dziwnie szczegółowe pytania, jakby dokładnie wiedział, czego potrzebuje.

— A czy w pobliżu jest łazienka? No wie pan, toaleta. Nie chciałbym zaprosić znajomych gdzieś, gdzie nie byłoby odpowiednich warunków dla tej chorej osoby.

To pytanie prezydent zrozumiał. Marten szukał miejsca publicznego, gdzie mógłby się spotkać z Merrimanem Foksem, a jednocześnie wiedzieć, gdzie w pobliżu mogliby go dopaść na osobności.

— Wydaje mi się, że jest. — Miguel nie odrywał oczu od drogi. — Chyba na tyłach, przy drzwiach dla dostawców.

Marten się ożywił.

— Wychodzą na dwór?

— Tak, proszę pana.

— A czy one może prowadzą na którąś z tych tysiąca i jednej ścieżek, o których pan wspominał? Gdybyśmy, na przykład, chcieli się wybrać po lunchu na spacer.

— Dokładnie tak, jak pan mówi. — Rozpromienił się Miguel, najwyraźniej zachwycony rolą pomocnego gospodarza. Kiedy był podekscytowany, jego australijski akcent nabierał jeszcze większej wyrazistości. — Jedna droga prowadzi na dół na rampę rozładunkową, a druga w góry. Przy tym szlaku stoją nawet jakieś ruiny kapliczki.

— Odmalowuje pan wspaniały obraz, Miguelu.

— Na tym polega moja praca, proszę pana. Poza tym Montserrat jest naprawdę cudowne. W każdym razie przez pierwszych pięćdziesiąt odwiedzin.

Marten uśmiechnął się, po czym wyłączył interkom i odwrócił się do prezydenta.

— Mówiłem wcześniej, że aby wydobyć odpowiedzi od Foksa, trzeba starannie dobrać miejsce i sposób zadawania pytań. Jeśli właściwie to rozegramy i dopisze nam szczęście, może uda się nam wyciągnąć go na tę ścieżkę i aż do kapliczki na odludziu. Potem, no cóż, może dojść do argumentów fizycznych.

— Niech pan mówi dalej.

— Dojedziemy do Montserrat i poczekamy, aż znajdzie nas Demi. Zaranżuję spotkanie z Foksem i na miejsce rozmowy zaproponuję tę restaurację. Jeśli się zgodzi, pójdę tam z Demi i wybiorę stolik w głębi sali. Pan już tam będzie siedział, jak najbliżej wyjścia na tę ścieżkę. Włoży pan ten wielki kapelusz, pochyli głowę i będzie popijał drinka, może czytał gazetę. On nawet na pana nie spojrzy. A nawet gdyby spojrzał, to i tak pana nie rozpozna. Usiądę przy stoliku z Foksem, obejrzymy menu, porozmawiamy o wszystkim i o niczym. Zasugeruję mu, że czuję się niezręcznie, rozmawiając o takich poważnych sprawach w miejscu publicznym. Zaproponuję mu przechadzkę. Drzwi będą tuż obok, prawdopodobnie oznakowane jako wyjście. Zapytam kelnera, gdzie się tamtędy wychodzi, a kiedy mi odpowie, zadam Foksowi pytanie, czy mu to odpowiada. Nawet jeśli będzie miał gdzieś swoich ludzi, to i tak się zgodzi, ponieważ chce mnie wybać. Wstaniemy od stolika i wyjdziemy przez tylne drzwi. Pan ruszy za nami pół minuty później. Do tego czasu powinniśmy już podchodzić do kapliczki.

— I uważa pan, że on pójdzie? Tak po prostu?

— Mówiłem panu, że będzie chciał mnie wybać, poza tym nie ma powodu do podejrzeń. To on wybrał Montserrat, nie ja. Jeśli jednak napomknę, że ma obiekcje, to zaproponuję, żeby mnie przeszukał. Nie mam nic do ukrycia.

Prezydent przyjrzał się Martenowi uważnie.

— No, dobrze. Powiedzmy, że wszystko zadziała jak trzeba, jest pan z nim na ścieżce sam na sam, zbliżacie się do kaplicy. Co dalej?

— Widzimy pana, jak idzie za nami ścieżką. Sugeruję, żebyśmy weszli do środka i rozmawiali tam spokojnie, bo tu się kręci za dużo ludzi.

— A jeśli się nie zgodzi? Przypominam panu, że to były żołnierz. Jest twardy i ostrożny, nie zrobi tego, jeśli nie spodoba mu się ten pomysł.

— Tym razem na pewno zrobi.

— Skąd pan wie?

— Ponieważ nie będzie miał wyjścia.

Prezydent znów popatrzył na Nicholasasa z uwagą i już miał zamiar zapytać, co to znaczy, lecz w ostatniej chwili postanowił nie naciskać.

— I co potem?

— Pracował pan kiedyś na farmie, prawda?

Prezydent kiwnął głową.

— Próbował pan pewnie utrzymać nieruchomo świnię albo cielę, któremu weterynarz robi zastrzyk?

— Tak.

— Udało się panu?

— Tak.

— Tu sytuacja będzie podobna. Musimy współpracować, weterynarz i pomocnik. Obawiam się tylko, że ubrudzi pan sobie trochę ręce.

— Nie brzydzę się pracą fizyczną, a w tym wypadku działanie takie jest usprawiedliwione. — Prezydent uniósł głowę. — Tylko nie rozumiem, co pan właściwie zamierza. Nie mamy dostępu do środków odurzających ani strzykawek. A nawet gdybyśmy mieli, to i tak z braku czasu...

— Restauracja, drogi kuzynie. Wszystko, czego nam trzeba, znajdziemy na stole lub w menu.

78

10.37

Jechali trasą A2 w kierunku północno-zachodnim. Białą furgonetkę prowadził potężny mężczyzna o imieniu Rafael. Na drzwiach samochodu czarnymi zawijasami widniały napisane słowa: Monasterio Benedictino Montserrat.

Wielebny Beck i Luciana siedzieli za fotelem Rafaela, a Demi sama w trzecim rzędzie siedzeń. Obok niej leżał sprzęt fotograficzny. Patrzyła przez okno i starała się nie myśleć o Nicholasie Martenie, prezydencie i o tym, co zrobiła. A raczej, co musiała zrobić, ponieważ stwierdziła, że nie ma innego wyjścia.

Po pierwszym spotkaniu doktora Foksa z Martenem na Malcie widać było, że obydwoj mężczyźni są bardzo zdenerwowani. Przestraszyła się, że popsuje to, a może nawet całkowicie zniweczy jej układy z Beckiem. I myślała również, że już tak się stało, kiedy wielebny niespodziewanie wyjechał z wyspy nazajutrz rano. Potem jednak zadzwonił w jego imieniu konsjerż z przeprosinami i zaproszeniem do Barcelony.

Niedługo po przyjeździe do hotelu Regente Majestic Beck przedstawił ją Lucianie, a potem wprawił w zdumienie, mówiąc, że domyśla się, iż jej zainteresowanie nim nie wynika z powodu jego religijnego powołania, tylko związków z sabatem Aldebarana, który jego zdaniem jest prawdziwym tematem jej książki, a nie, jak twierdziła, „duchowni w świecie polityki”. Co więcej, zasugerował, że tak naprawdę jeździła z nim po Europie, ponieważ ma on wziąć udział w corocznym zgromadzeniu sabatu i ona o tym wie.

Zamiast jednak zażądać, aby natychmiast wyjechała, zaskoczył ją po raz kolejny, mówiąc, że rozmawiał w jej sprawie ze starsząszą sabatu, która zgodziła się otworzyć przed nią podwoje i umożliwić jej nawet fotografowanie. Sabat nie robi niczego złego i w dzisiejszych czasach nie ma potrzeby utrzymywania ich rytuałów w tajemnicy.

Ale coś za coś. Chcieli dostać Nicholasa Martena.

— Jak słusznie pani podejrzewała, doktor Foxx jest członkiem sabatu. Pojechał do Montserrat, aby zająć się przygotowaniami do zgromadzenia. Ostra wymiana zdań z panem Martenem na Malcie w sprawie zeznań przed komisją Kongresu w Waszyngtonie bardzo go nurtuje. Chciałby oczyścić nieco atmosferę, zanim coś się przedostanie do prasy.

Gdyby Marten przyjechał do Montserrat, Beck mógłby zorganizować obydwu mężczyznom prywatne spotkanie. Marten na pewno się na nie zgodzi.

— W przeciwnym wypadku nie przyjechałby za panią do Barcelony, nie zapraszał na lunch do Czterech Kotów. Z całą pewnością liczy na to, że pani może go umówić na spotkanie z doktorem Foksem.

Jeśli nawet Demi przestraszył fakt, że wielebny Beck wie o jej lunchu z Martenem, to nie dała tego po sobie poznać. Domyślił się również jej zainteresowania sabatem Aldebarana, ale wydawał się zadowolony myślą, że zainteresowanie to jest czysto zawodowe: pogoń dziennikarki i fotoreporterki za tajemniczą historią. O nic więcej nie pytał, chciał tylko wiedzieć, co Demi powie Martenowi o doktorze Foksie i miejscu jego pobytu.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, a i później nikomu nie powiedziała o osobie, która jedzie z Nicholasem Martenem do Montserrat: o prezydencie Stanów Zjednoczonych.

79

KOMENDA GŁÓWNA POLICJI W BARCELONIE; CENTRUM ŁĄCZNOŚCI. 10.45

Hap Daniels wrócił ze swojej dwudziestominutowej drzemki. Właśnie wkładał słuchawki i rozglądał się za Billem Straitem, żeby się dowiedzieć, czy udało mu się skontaktować z wywiadem hiszpańskim w Madrycie i załawić podsłuch w telefonach Evana Byrda, kiedy usłyszał znajomy głos.

— Hap, mówi Roley.

Roland Sandoval, agent specjalny Secret Service, był szefem ochrony wiceprezydenta Hamiltona Rogersa. Daniels wiedział, że Rogers niedawno przyleciał w tajemnicy do Madrytu i pojechał prosto do amerykańskiej ambasady, aby razem z sekretarzem generalnym, Tomem Curranem, wziąć udział w spotkaniu z prezydentem Hiszpanii na temat zniknięcia prezydenta Harrisa.

— Słucham, Roley?

— Właśnie wsadziliśmy wiceprezydenta do samolotu do Barcelony. Ma być na miejscu o trzynastej trzydzieści. Potem ma w grafiku godzinny objazd po mieście.

— Objazd po mieście? Po jakie лихо? Akurat teraz?

— Polecenie sekretarza generalnego. Wiceprezydent chce okazać, że martwi się zagrożeniem terrorystycznym, mimo zniknięcia prezydenta. Potem wróci do Madrytu i przenocuje u Evana Byrda przed jutrzejszym spotkaniem z premierem Hiszpanii.

Daniels ugryzł się w język ze złością i przez długi czas się nie odzywał.

— W porządku, Roley — rzekł wreszcie. — Zajmiemy się koordynacją. Dzięki za informacje.

Usłyszał niewyraźne kliknięcie w słuchawkach, kiedy Sandoval się rozłączył.

Co tu jest grane, do cholery? — zaklął w myślach Daniels. Wiceprezydent urządza objazd po mieście, sesje zdjęciowe i za chwilę wraca do Madrytu do rezydencji Byrda.

Coś się działo i Daniels nie miał pojęcia co.

Jeszcze raz rozejrzał się za Billem Straitem. Jeśli wiceprezydent Rogers ma przenoć u Byrda, to tym bardziej muszą do wieczora założyć elektroniczny podsłuch na jego telefony.

— Hap — odezwał się w słuchawkach głos Billa.

— Gdzie jesteś?

— W bufecie. Masz chwilę na dobrą hiszpańską kawę?

— Jasne.

Daniels zaczął zdejmować z uszu słuchawki, kiedy odezwał się w nich inny głos.

— Agent Daniels?

Mężczyzna mówił z brytyjskim akcentem.

— Mówi agent specjalny MI5 z Manchesteru w Anglii. Właśnie przesłuchaliśmy Iana Graffa, zwierzchnika Nicholisa Martena w firmie, w której pracuje. Mówi, że Marten dzwonił do niego dziś rano za pośrednictwem jego gospodyni i poprosił go o podyktowanie mu na komórkę wszystkich odmian azalii.

— Co to znaczy „za pośrednictwem gospodyni”?

— Zadzwoił do niego do domu i kazał gospodyni skontaktować się z nim w biurze, chociaż według Graffa powinien doskonale wiedzieć, że będzie w pracy, i dzwonić bezpośrednio do biura.

— W jaki sposób, do diabła, mógł się Marten z nim skontaktować? Przecież namierzylibyśmy jego telefon w ciągu kilku sekund. Skąd dzwonił? Z budki telefonicznej?

— Nie. Robi się nieostrożny. Skorzystał z telefonu firmy wynajmu limuzyn w Barcelonie. Samochód wynajęło dzisiaj na cały dzień dwóch dżentelmenów. Kierowca zabrał ich z hotelu Regente Majestic przed siódmą rano.

— Czy wiemy, gdzie jest teraz ten samochód?

— Nie, ale mamy jego opis, numer rejestracyjny i numer telefonu.

— Nie powiedzieliście w tej firmie wynajmu, po co dzwoniłicie?

— Nie. Zbieraliśmy tylko informacje z billingów i rejestru rozmów firmy telekomunikacyjnej.

— Dziękuję, MI5. Dobra robota. Doceniamy waszą pomoc.

— Cała przyjemność po naszej stronie. Dajcie znać, gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali.

Daniels zapisał numery limuzyny i rozłączył się. To mógł być przełomowy moment, na który czekał. Pozostawało pytanie, co teraz z tym fantem zrobić. Jeśli podzieli się tymi informacjami z kimkolwiek innym — swoimi

ludźmi, CIA, hiszpańskim wywiadem czy barcelońską policją — Jake Lowe i James Marshall dowiedzą się o nich w mgnieniu oka. Jeśli nie podzieli się nimi z nikim, ludzie z MI5 bardzo szybko zaczną się zastanawiać, dlaczego nie podjęto żadnych działań, i zrobią wokół tej sprawy szum. Musiał spokojnie pomyśleć. Nie było to jednak proste w pokoju pełnym policjantów i agentów pracujących na komputerach i przesiewających strumienie informacji. Doszedł do wniosku, że rzeczywiście najlepiej mu zrobi, jeśli przyłączy się do Billa Straita na dobrą hiszpańską kawę.

80

10.55

Miguel Balius koncentrował całą uwagę na drodze. Za niewielkim miasteczkiem, przez które właśnie przejeżdżali, ciągnie się znajomy, pagórkowaty teren. Wkrótce potem rozpoczyna długi, kręty podjazd w góry, w kierunku Montserrat.

— Miguelu — odezwał się przez interkom głos kuzyna Harolda. — Czy ma pan może mapę Barcelony i okolic?

— Tak, proszę pana. Jest w kieszeni w oparciu fotela przed panem.

Zerknął w lusterko, aby się upewnić, czy kuzyn Harold znalazł to, czego szukał, po czym przeniósł wzrok z powrotem na drogę. Jeśli nie przytrafią im się po drodze żadne wypadki ani kolejne blokady, za czterdzieści minut powinni być na miejscu. Chyba że jego pasażerowie zmienią zdanie i zechcą jednak pojechać gdzie indziej, jeśli po to potrzebowali mapy.

— Tu, tu, tu i tu.

Na mapie rozłożonej na siedzeniu pomiędzy nimi Marten rysował długopisem poziome, a potem przecinające je pionowe linie. Utworzył w ten sposób siatkę ciągnącą się od Barcelony aż do gór. Czegoś w tym rodzaju użyją z pewnością Secret Service i hiszpańskie siły bezpieczeństwa, aby ich znaleźć i zamknąć w pułapce. W tej chwili zapewne przegrupowują już siły, wzywają posiłki. Zwiększą liczbę oddziałów rzuconych do poszukiwań przynajmniej dwukrotnie i zaczną przeczesywać podzielony teren kwadrat po kwadracie, z drobiazgową dokładnością. Po przeszukaniu każdego zabezpieczą go i przejdą do następnego. Tym razem nie będzie żadnego wycofywania

jak zeszłego wieczoru w mieście. Dlatego właśnie Marten podjął ryzyko i użył telefonu samochodowego, aby zadzwonić do Iana Graffa do Manchesteru.

— NSA na pewno już wytropiła, że Ian Graff dzwonił na moją komórkę i ktoś, może policja, a może wywiad brytyjski wytropi go w Manchesterze, wysłucha jego relacji i dowie się o mojej rozmowie z gospożą, a potem, że korzystałem z telefonu w samochodzie. Miałem wtedy nadzieję, że zanim to nastąpi, będziemy już od dawna w klasztorze, a Miguel w drodze powrotnej do Barcelony. Kiedy go wreszcie dopadną, powie im, że wysadził nas w jakiejś wiosce i koniec. Wymieni nazwę którejkolwiek miejscowości mijanej po drodze. Nikt nie będzie wiedział, czy mówi prawdę czy nie. W końcu wedle jego własnych słów „dyskrecja to jego firmowe motto”.

— No cóż, jak na razie nic się nie wydarzyło, więc może jednak pański Ian Graff okazał się dla policji trudniejszy do odszukania, niż pan sądził — zauważył prezydent. — Może wreszcie dopisało nam szczęście.

— Ale nie dojechaliśmy jeszcze do klasztoru. Kiedy zadzwonią do Miguela, prawdopodobnie zrobią to na komórkę. Nie będziemy wiedzieli, kto dzwoni, może na przykład jego żona, aż będzie za późno.

— Jak dotąd, ani razu nie odbierał telefonu — zauważył Harris.

— Możliwe, że nie zadzwonią, żeby nas nie spłoszyć. Roześlą po prostu numer rejestracyjny i opis samochodu. To potrwa trochę dłużej, ale prędzej czy później nas dopadną.

— Co pan proponuje?

— Albo każemy mu się gdzieś tu wysadzić i dotrzemy do Montserrat na własną rękę, albo...

— Albo co?

— Albo powiemy Miguelowi część prawdy i poprosimy go o pomoc. Obydwa warianty wiążą się z dużym ryzykiem. Na naszą korzyść może podziałać tylko sam Miguel oraz dewiza jego firmy. Nasze szanse lokują się gdzieś między znikomymi a żadnymi.

Prezydent Harris popatrzył na pagórkowaty krajobraz za oknem, po czym wcisnął przycisk interkomu.

— Miguelu — powiedział łagodnie.

— Słucham pana?

— Jak daleko jeszcze do klasztoru?

— Jeśli nie napotkamy żadnych blokad lub innych utrudnień, to jakieś pół godziny.

- Ile to kilometrów?
- Tą drogą około trzydziestu, ale głównie pod górę.
- Dziękuję panu.

Prezydent wyłączył interkom, wziął głęboki oddech i popatrzył na Martena. Nicholas jeszcze nigdy nie widział go takiego śmiertelnie poważnego, skupionego i wymizerowanego.

— Miguel wygląda na przyzwoitego i uczciwego człowieka. Zna ten rejon, drogi i ludzi. Zna też zawilości tego języka, o których ja nie mam pojęcia. W tych okolicznościach może nam przynieść więcej korzyści niż szkody.

81

BARCELONA. 11.05

Uzbrojony w informacje od MI5 na temat numeru limuzyny Martena oraz fałszywą wizytówkę, którą trzymał na wypadek różnych „nieprzewidywanych okoliczności”, Hap Daniels zapłacił kierowcy, wysiadł z taksówki i odczekał, aż samochód odjedzie. Potem odwrócił się i ruszył w kierunku budowli przypominającej garaż, w której mieściła się firma wynajmu limuzyn.

Kilka minut temu siedział w bufecie komendy policji w Barcelonie, gdzie Bill Strait potwierdził, że rozmawiał z Emiliem Vasquezem z hiszpańskiego wywiadu i w imieniu Hapa poprosił go o założenie podsłuchu na wszystkie połączenia telekomunikacyjne Evana Byrda.

— To ma związek z aktualną akcją — raczej stwierdził bez emocji, niż zapytał Vasquez.

— Tak.

— Biorąc pod uwagę sytuację i jeśli Tigre Uno o to prosi, to sprawa załatwiona.

— NO — dodał Strait.

— Naturalnie, że NO.

NO, czyli Nieoficjalnie. Oficjalnie nie będzie żadnego podsłuchu w domu Evana Byrda. Sprawa miała zostać załatwiona po cichu i w taki sposób, że każda wtajemniczona osoba gotowa była w razie czego wszystkiemu zaprzeczyć.

Zaraz potem Hap Daniels dopił kawę i wyszedł, powiedziawszy Straitowi, że musi się przejść i spokojnie wszystko przemyśleć. Gdyby go potrzebowali, niech dzwonią na blackberry albo pager. Przeszedł trzy przecznice,

po czym skręcił za róg i zatrzymał taksówkę. Kiedy podawał kierowcy adres oddalony kawałek drogi od firmy wynajmującej limuzyny, zrozumiał nagle, jak musiał się czuć prezydent, kiedy czołgał się kanałem wentylacyjnym w hotelu Ritz, gdy nie wiedział, komu może ufać. To samo teraz Hap czuł w stosunku do Billa Straita, a w zasadzie całej ekipy Secret Service pracującej dla prezydenta. Może byli zupełnie niewinni, ale on nie miał jak tego sprawdzić.

Na pewno natomiast nie ufał sekretarzowi generalnemu, Tomowi Curranowi; nie ufał głównemu doradcy politycznemu Opryskiwacza, Jake'owi Lowe'owi; nie ufał doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jamesowi Marshallowi; i nie ufał jawnie oportunistycznej postawie wiceprezydenta, który leci do Barcelony na dwudziestominutową konferencję prasową połączoną z sesją zdjęciową, po czym wraca do Madrytu, żeby zaszyć się w domu Evana Byrda. To natychmiast stawiało go w jednym rzędzie z tamtymi na liście Hapa, oznaczonej nagłówkiem „Nie ufać”.

Przypomniał sobie teraz, kto jeszcze był obecny na wieczornym spotkaniu w rezydencji Byrda: sekretarz stanu David Chaplin, sekretarz obrony Terrence Langdon oraz przewodniczący Połączonego Kolegium Szeferów Sztabów generał Chester Keaton.

Jezu Chryste. Czy to możliwe, żeby oni wszyscy maczali w tym palce?

Tylko w czym właściwie? Czego zażądali od prezydenta, że musiał uciekać?

11.10

Romeo J. Brown
Prywatny detektyw
Long Island City, Nowy Jork

Kierownik zmiany firmy „Limusines Barcelona”, czterdziestoletni, nienagannie ubrany Beto Nahmans obrócił w rękę wizytówkę, po czym spojrzał na Hapa Daniela siedzącego po drugiej stronie biurka na jednym z eleganckich foteli z czarnej skóry.

— Jak rozumiem, ma pan numer telefonu i numer rejestracyjny jednego z naszych samochodów — powiedział nienaganą angielszczyzną.

Daniels skinął głową.

— Wynajęła mnie firma ochroniarska, prowadząca śledztwo w sprawie oszustwa ubezpieczeniowego. Sądźmy, że jeden z podejrzanych mężczyzn jedzie jako pasażer w tej limuzynie. Mam go za zadanie odnaleźć i skłonić do dobrowolnego powrotu do Stanów Zjednoczonych na proces sądowy, zanim wystąpimy o nakaz aresztowania.

— Jak się nazywa ten mężczyzna?

— Marten. Nicholas Marten, przez jedno „e”.

Nahmans obrócił się na fotelu, wystukał na klawiaturze serię cyfr, po czym spojrzął na monitor komputera.

— Przykro mi, ale w naszych rejestrach nie figuruje żaden Nicholas Marten, ani jako pasażer tego konkretnego samochodu, ani żadnego innego.

— Nie?

— Nie, proszę pana.

Daniels postanowił trochę bardziej nacisnąć.

— Nie podoba mi się ta odpowiedź.

— Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć panu nic więcej — oznajmił Nahmans, uśmiechając się powściągliwie.

Hap Daniels westchnął, popatrzył w bok, po chwili poskubał się w ucho i znowu spojrzął na mężczyznę po drugiej stronie biurka.

— Co by było, gdyby tej informacji zażądały od pana hiszpańskie służby wywiadowcze?

— Odpowiedź byłaby taka sama. Bardzo mi przykro.

— A gdyby przedstawili panu urzędowy dokument nakazujący przedłożenie listy wszystkich klientów pańskiej firmy z ostatnich dwóch lat? Nazwisk, miejsc, w których ich zabierano, kto im towarzyszył, na jak długo wyjeżdżali i pod jaki adres ich zawożono?

— Sądzę, że to by nie było zgodne z prawem.

W oczach Beta Nahmansa Daniels dostrzegł wahanie. Postanowił pójść za ciosem i natychmiast to wykorzystać.

— Chce pan to sprawdzić?

Trzy minuty później Hap wyszedł z budynku „Limusines Barcelona”. Beto Nahmans podał mu dwa imiona: „kuzyn Jack” i „kuzyn Harold”. Podał

mu również imię i nazwisko Demi Picard, kobiety, która zamówiła limuzynę dzisiaj, kilka minut przed siódmą rano, i kazała dopisać koszty do swojego rachunku za pokój w hotelu Regente Majestic.

82

11.15

Miguel Balius stał przy połamanym stole w kącie starego kamiennego młyna i wytrzeszczał oczy. Nad jego głową zamiast części dachu widniała ogromna dziura, przez którą widać było niebo, podczas gdy na zewnątrz, dosłownie pół metra obok rozwalonego muru budowli, z hukiem przepływał strumień.

— Wszystko w porządku, Miguelu. Niech pan weźmie głęboki oddech i uspokoi się.

Kuzyn Jack opierał się swobodnie o drugi koniec tego samego stołu i mówił spokojnie i łagodnie. Zdjął okulary, które miał na nosie od pierwszej chwili, gdy Miguel zabrał obydwu mężczyzn spod hotelu. Miał również na głowie gęstą czuprynę, czy raczej idealnie dopasowaną peruczkę, której z kolej Balius nie widział do czasu, kiedy kilka chwil temu „kuzyn Jack” wysiadł z samochodu przemieniony nagle w człowieka, którego cały świat znał jako prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Trochę dyskretniej, Miguelu — upomniał go za plecami kuzyn Harold, czyli Nicholas Marten.

— Tak jest, proszę pana. Dyskrecja to moje firmowe motto — stęknął Miguel, nie spuszczać wzroku ze stojącego przed nim mężczyzny.

Na żądanie kuzynów zjechał z szosy w piaszczystą drogę, która przez las doprowadziła ich nad brzeg strumienia i do ruin tej kamiennej budowli, gdzie zaparkowali samochód. Kuzyni chcieli bowiem pobrodzić w „hiszpańskim strumieniu”, tak jak wcześniej brodzili w Morzu Śródziemnym. Wtedy Miguel nie widział w tym żądaniu niczego dziwnego, pamiętał różne pomysły swoich pasażerów. Aż kuzyn Jack wysiadł z samochodów w tupeciku i bez okularów i rzekł:

— Miguelu, nazywam się John Henry Harris i naprawdę jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych. To jest Nicholas Marten. Potrzebujemy pańskiej pomocy.

— Co mogę dla pana zrobić, panie prezydencie? — odparł Miguel Ba-
lius skromnie, pokornie i bez namysłu.

BARCELONA; HOTEL REGENTE MAJESTIC. 11.20

Romeo J. Brown
Prywatny detektyw
Long Island City, Nowy Jork

Konsjerż obejrzał uważnie wizytówkę Hapa Danielsa.

— Oszustwo ubezpieczeniowe?

— Tak. W Stanach Zjednoczonych. Mężczyzna złożył dłonie, tak że
palce stykały się.

— Pani Picard jest naszym gościem. Dziś rano zamówiła limuzynę dla
dwóch mężczyzn. Powiedziała, że to jej kuzyni, że właśnie przylecieli z No-
wego Jorku i nie mogą spać z powodu zmiany czasu, i chcą zwiedzić Barce-
lonę.

— Jeden z mężczyzn był starszy i łysawy, drugi wysoki, około trzy-
dziestki, tak?

— Tak.

— Gdzie jest teraz pani Picard?

— O ile wiem, wyszła z hotelu jakiś czas temu. — Konsjerż przestąpił
za biurkiem z nogi na nogę.

— Wie pan, dokąd pojechała?

— Powiedziałem panu wszystko, co wiem, señor.

Daniels wbił w niego wzrok. Konsjerż prezentował tę samą postawę
„chronić prywatność swoich klientów” co kierownik w firmie wynajmu limu-
zyn. Tylko że tym razem Hap nie mógł nikogo postraszyć wywiadem hisz-
pańskim. Hotel miał prawdopodobnie około trzystu pokoi. Dyskutując na te-
mat groźby nastania wywiadu, urzędu podatkowego czy innych władz w celu
sprawdzenia wszystkich gości, którzy mieszkali w hotelu nawet przez krótki
okres, straciłby tylko czas, a tego miał żałośnie mało.

— Muchas gracias — powiedział w końcu i ruszył do drzwi. Nagle się
zatrzymał. — Czy mógłby mi pan powiedzieć, która jest godzina?

Konsjerż popatrzył na niego, jakby nie rozumiał.

— Godzina. — Daniels postukał się w nadgarstek. — Staął mi
zegarek.

Pochylił się nad kontuarem i oparł na blacie dłoń, spod której wystawał róg banknotu.

— Ta pani Picard... — powiedział półgłosem. — Jak wygląda?

Konsjerż uśmiechnął się, popatrzył na własny zegarek, po czym również się pochylił.

— Bardzo atrakcyjna — odparł po cichu. — Francuzka. Zawodowa fotoreporterka. Krótkie ciemne włosy. Granatowy blezer, jasnobrązowe spodnie. Na jednym ramieniu aparaty fotograficzne, na drugim nieduża torba na sprzęt fotograficzny. Wyszła w towarzystwie ciemnoskórego mężczyzny w średnim wieku i starszej kobiety, Europejki. Wsiedli do białej furgonetki z oznakowaniem klasztoru Montserrat.

— Przepraszam, nie usłyszałem. Która godzina? — powiedział Hap na głos, tak aby słyszeli go przechodzący ludzie.

— Jedenasta dwadzieścia trzy, señor.

Konsjerż przystawił swój zegarek do zegarka Danielsa i przejął z jego ręki banknot.

— Jedenasta dwadzieścia trzy — powtórzył Hap, uśmiechając się. — Gracias.

— Teraz już jedenasta dwadzieścia cztery, señor.

— Gracias — jeszcze raz podziękował Daniels. — Muchas gracias.

Fotoreporterka? Montserrat? — mówił do siebie Hap, wychodząc z hotelu. Dosłownie sekundę później zadzwoniła jego komórka. Wyjął ją z pasa i odebrał.

— Daniels.

— Gdzie pan się, do diabła, podziewa? — To był Jake Lowe. Nie czekał na odpowiedź. — Potrzebujemy pana natychmiast w hotelu.

— Co się stało?

— Natychmiast, Hap!

83

HOTEL GRAND PALACE. 11.45

Jake Lowe, Marshall i Hap Daniels stali w pokoju przerobionym na centrum łącznościowe czteropokojowego apartamentu, który Lowe i Marshall

wynajęli jako kwaterę główną sztabu kryzysowego. Zamknęli drzwi i zebrali się przed ekranem wideo, czekając na nagranie z Białego Domu.

— Dawajcie — powiedział Lowe do mikrofonu połączonego z telefonem stojącym na stoliku obok niego.

Po krótkiej chwili na ekranie pojawił się najpierw obraz z zakłóceniami, a sekundę później rozpoczęło się trzydziestosekundowe nagranie. Po zaakceptowaniu materiał ten ma pójść do FOX News, a następnie do największych stacji telewizyjnych na całym świecie. Film zaopatrzone w datę i godzinę. Rozpoczynał się poprzedniego dnia, w piątek siódmego kwietnia o czternastej dwadzieścia trzy. Pokazywał prezydenta Harrisa, całego i zdrowego w „bezpiecznym miejscu”, dokąd go wywieziono po otrzymaniu informacji o zagrożeniu terrorystycznym w Madrycie. Zobaczyli salę konferencyjną urządzoną w stylu rustykalnym, a w niej naradę prezydenta z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Marshalllem, sekretarzem obrony Langdonem i sekretarzem stanu Davidem Chaplinem. Wszyscy siedzieli w koszulach, z notatnikami i wodą mineralną na stole, pochłonięci, jak informował komentarz, pracą nad wystąpieniem prezydenta na poniedziałkowym szczycie przywódców NATO w Warszawie.

Nie był to bynajmniej żaden stary przerobiony materiał z innego miejsca i czasu, ale nowy i nakręcony w otoczeniu, którego Hap nigdy przedtem nie widział.

— Niech mnie diabli, jak wam się to udało? — zapytał Daniels, patrząc na Marshalla po skończonym pokazie. — Wy jesteście tutaj, Langdon w Brukseli, a Chaplin w Londynie. — Jego wzrok powędrował do Jake'a Lowe'a. — A Opryskiwacz... gdzieś indziej.

— Pytałem o pańską opinię — powiedział Lowe zimno. — Czy to nagranie wygląda wiarygodnie z punktu widzenia Secret Service? Albo raczej czy będzie wyglądało dla każdego fachowca od spraw bezpieczeństwa i ochrony.

— Być może ktoś je potrafi rozpracować pod względem technicznym, tego nie wiem. Jak dla mnie, jest bez zarzutu — powiedział Hap spokojnie. — Jest odpowiednio długie i na razie nikt nie ma powodu dokładnie mu się przyglądać ani podejrzawać, że kryje się za nim coś innego, niż widać na ekranie.

— „Na razie”? — powtórzył Marshall cicho. — Co ma znaczyć to „na razie?”

— Co zrobimy, jeśli prezydent pojawi się gdzieś ni stąd, ni zowąd? Jak wtedy wytłumaczymy ten film?

Lowe wpatrywał się weń lodowatym wzrokiem. Daniels czuł jego gniew,

jego tłumioną wściekłość na całą tę sytuację. Niespodziewanie Lowe odwrócił się i powiedział do mikrofonu zamontowanego przy słuchawkach:

— Wypuście film w eter. Jak najszybciej.

84

11.55

Demi wyciągnęła rękę, żeby złapać równowagę, kiedy biała furgonetka Monasterio Benedictino Montserrat skręciła ostro na krętej drodze, pnącej się pod górę w stronę klasztoru. Wysoko nad nimi majaczyły zarysy imponującej budowli. Wyglądała niczym miniaturowa średniowieczna warownia, małe miasteczko wbudowane w skałę.

Kierowca Raphael w skupieniu obserwował drogę i autokar wycieczkowy, który jechał przed nimi. Za nim Beck i Luciana czytali coś pogrążeni w milczeniu.

Demi zaczęła się przyglądać Lucianie. Była ubrana na czarno, obok niej na siedzeniu leżała duża czarna torebka. To samo miała na sobie wczoraj, kiedy spotkały się po raz pierwszy. Demi przyszło do głowy, że to jakiś rodzaj ceremonialnego stroju, tradycyjne odzienie dla tradycyjnej wiedźmy.

Powiedziała Martenowi i prezydentowi, że nie ma pojęcia, kim jest Luciana. Kłamała. Interesowała się nią od lat. Od dwudziestu lat Luciana pełniła funkcję sacerdotessy, najwyższej kapłanki tajemnego boschetto, czyli sabatu Aldebarana. Opanowała zawile umiejętności swej sztuki, zwłaszcza w dziedzinie rytuału oraz psychicznego oddziaływania, co oznacza, że sprawowała władzę nad wszystkimi wyznawcami sabatu, łącznie z wielebnym Beckiem i Merrimanem Foksem.

Wdowa o przesywającym spojrzeniu zielonych oczu, oszałamiających kruczoczarnych włosach pomimo swoich sześćdziesięciu sześciu lat nadal była bardzo przystojną kobietą. Na swojej rodzinnej włoskiej wyspie Ischia w Zatoce Neapolitańskiej miała mały hotel o nazwie Pensione Madonella. W toku dalszych badań, podając się za wynajętego prywatnego detektywa, Demi ustaliła, że Luciana wyjeżdża z wyspy dwa lub trzy razy do roku mniej więcej na dziesięć dni, aby odwiedzić małe miasteczka w północnych i środkowych Włoszech, gdzie spotykała się z członkami sabatu, mężczyznami i

kobietami noszącymi tatuaż Aldebarana na lewym kciuku. Zaraz potem wracała na Ischię, aby dogłądać swoich interesów.

Zawsze o tej samej porze roku przyjeżdżała do klasztoru Montserrat, gdzie wynajmowała pokój w hotelu Abat Cisneros, i spędzała tu niecały tydzień. Nie udało się Demi odkryć, co tam robiła ani nawet czy miało to jakiś związek z boschetto. Na pewno miał z tym coś wspólnego wielebny Beck, ponieważ od wielu lat brał urlop w tym samym czasie i zawsze wtedy wyjeżdżał do Europy. Aż do wczoraj jednak, kiedy weszła do apartamentu Becka i zastała tam sacerdotessę, siedzącą na kanapie i popijającą z wielebny kawa, nie łączyła podróży Becka do Europy z wizytami Luciany w Montserrat. Myśląc o tym teraz, doszła do wniosku, że nie powinno być jej to odkrycie zaskoczyć, a jednak zupełnie nie była na nie przygotowana i kiedy Beck przedstawiał jej Lucianę jako „swoją dobrą znajomą”, Demi dosłownie zaparło dech w piersiach.

12.00

Samochód podskoczył gwałtownie na wyboju i wyrwał ją z zamyślenia. Po jednej stronie drogi, prawie na wyciągnięcie ręki, wznosił się ku górze stromy piaskowiec. Po drugiej, za rzeką Llobregat, w oddali niknęły łagodne wzgórza. Demi znowu spojrzała na kierowcę, a potem na Becka i Lucianę, którzy nadal siedzieli w milczeniu i czytali.

Cierpliwości, powiedziała sobie. Zachowaj spokój. Już prawie jesteś na miejscu. Po tylu latach, po tym wszystkim, co przeszłaś. Wkrótce będziemy w klasztorze i jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się z doktorem Foksem. A potem... potem zabiorą nas tam, gdzie odbędzie się ceremonia. Weźmiemy udział w rytuale sabatu. Nareszcie.

Nagle czas jakby uległ kompresji i Demi wpadła w kalejdoskop wspomnień. Na przykład jej rzekomo niewinne zainteresowanie Lucianą. Historyjka, którą opowiedziała Martenowi, o poszukiwaniu zaginionej siostry, była całkowicie zmyślona. Nie miała siostry. Poszukiwała matki. A straciła ją nie dwa lata temu, tylko osiemnaście. Znikła, gdy Demi miała osiem lat. I nie zdarzyło się to na Malcie, tylko w Paryżu, dokąd jej rodzice przeprowadzili

się z rodzinnych Włoch niedługo po ślubie. Ojciec zmienił nazwisko z włoskiego Piacenti na francuskie Picard.

Matka Demi miała piętnaście lat, kiedy urodziła córkę, a dwadzieścia trzy, kiedy znikła, jadąc na rynek, gdzie bywała przedtem setki razy. Śledztwo policji nie przyniosło dosłownie niczego: matka Demi nie dojechała na targ. Nic nie dało przeszukiwanie szpitali i miejskiej kostnicy. Minął tydzień, potem dwa, trzy. Ludzie ciągle giną, powiedziała im policja. Z tysięcy powodów. Niekiedy wracają, ale najczęściej nie. I wcale nie dlatego, że przytrafia się im coś złego, tylko po prostu dlatego, że nie chcą. I tak zostało: sprawa nierozwiązana przez policję i Demi sama z ojcem.

Drugi cios spadł na nią zaledwie cztery miesiące później, gdy jej ojciec zginął w wypadku w fabryce samochodów, gdzie pracował. Zgodnie z jego wolą, zapisaną w testamentie, Demi zamieszkała z daleką ciotką, która uczyła włoskiego i francuskiego w elitarniej szkole z internatem pod Londynem. Mieszkały we dwie w niewielkim mieszkaniu na terenie kampusu, a Demi zapisano do szkoły, w której pracowała ciotka. Była to chłodna kobieta, tak więc za główną zaletę nowego życia dziewczynki należało uznać dobre wykształcenie oraz naukę angielskiego, pod każdym innym względem przez cały okres dorastania była zdana sama na siebie.

Kilka miesięcy po przeprowadzce Demi do ciotki przywieziono z Paryża kufer z rzeczami matki, głównie ubraniami oraz zdjęciem, które zrobiono parę dni przed jej zniknięciem. Największe wrażenie robiły na nim jej oczy — brązowe, głębokie, a jednocześnie pełne wewnętrznego spokoju. Poza fotografią i ubraniami w kufrze znajdowało się trochę książek, głównie po włosku, oraz niezrozumiałe szkice, które jej matka lubiła rysować. Niewiele z tych rzeczy mogło zainteresować dziewczynkę, która wkrótce miała obchodzić dziewiąte urodziny, rozpacziała po stracie obojga rodziców i czuła się zagubiona, opuszczona i ogromnie samotna. Wierzyła, że jej matka żyje, i każdego dnia starannie oglądała przychodzącą pocztę z nadzieją, że kiedyś dostanie od niej list. Zawsze nosiła przy sobie zdjęcie matki i przyglądała się każdej napotkanej kobiecie, modląc się i nie przestając wierzyć, że pewnego dnia zobaczy znajomą twarz, która na jej widok uśmiechnie się radośnie. Potem matka weźmie ją w ramiona i przyrzeknie, że nigdy więcej jej nie opuści.

Upływ czasu w niewielkim stopniu łagodził ból i dotkliwą samotność. I choć ciotka starała się wyperswadować jej z głowy tę myśl, przekonanie Demi

o tym, że jej matka żyje, stawało się coraz silniejsze z każdym uderzeniem serca. Mijały jednak dni i lata i nic się nie zmieniło, nie pozostało jej więc nic innego, jak zająć się szkołą i lekcjami i z bólem patrzeć na swoich kolegów i koleżanki, kiedy przyjeżdżali po nich rodzice, aby zabrać dzieci do domu na weekend, święta, wycieczki lub wakacje.

Aż nagle w dniu swoich siedemnastych urodzin dostała list od prawnika z Paryża. W środku znajdowała się mała koperta oraz krótka notatka, że zgodnie z testamentem jej ojca, „list ten miał zostać doręczony w dniu, kiedy skończy Pani siedemnaście lat”.

Zaintrygowana otworzyła kopertę i znalazła w środku notatkę spisaną ręką ojca i opatrzoną datą — kilka dni przed jej śmiercią.

Moja kochana Demi!

Po napisaniu tego listu oddam go w ręce prawnika, abyś go przeczytała znacznie później, gdy będziesz mogła pewne sprawy lepiej zrozumieć. Wiem, że niezmiernie kochałaś mamę i prawdopodobnie cały czas bardzo za nią tęsknisz. Zupełnie rozumiałe jest, że zastanawiasz się, co się z nią stało, i prawdopodobnie będziesz się nad tym zastanawiać jeszcze przez wiele lat, jeśli nie do końca życia. Jednak dla własnego dobra, a także dla dobra swoich dzieci i wnuków przyjmij po prostu do wiadomości, że matka kochała Cię tak mocno, jak tylko matka może kochać swoje dziecko. I na tym po prostu przestań. Nigdy, podkreślam, nigdy, pod żadnym pozorem, nie próbuj dociekać, co się z nią stało. Niektóre sprawy są zbyt niebezpieczne, aby o nich w ogóle wiedzieć. Proszę, weź sobie to ostrzeżenie głęboko do serca, bo płynię z mojej wiecznej troski o Twoje dobro i bezpieczeństwo.

Kocham Cię bardzo i zawsze będę Cię kochał,
Tata

List ten wprowadził ją w osłupienie. Natychmiast zadzwoniła do prawnika, aby się dowiedzieć czegoś więcej. Niczego więcej nie było, odpowiedział jej i dodał, że nie zna treści listu. Jego firma wykonywała jedynie ostatnią wolę ojca Demi. Odłożyła wtedy słuchawkę i natychmiast pobiegła do kufra. Ale tam również nie znalazła niczego poza tym, co widziała już setki razy: ubrania, książki po włosku i rysunki mamy. Tym razem — być może dlatego, że nie miała żadnego innego punktu zaczepienia i ponieważ były to rzeczy, które jej mama trzymała w rękach, a przez to bardzo osobiste — zaczęła

przyglądać się bliżej szkicom. W sumie było ich trzydzieści cztery, różnej wielkości, niektóre tak małe jak pocztówki. Jeden z nich szczególnie przyciągnął jej uwagę: krzyżyk zakończony kółeczkami. W prawym dolnym rogu małymi literami jej matka napisała jedno słowo: Boschetto.



Boschetto

Ten podpisany rysunek w połączeniu z osobliwym pośmiertnym listem od ojca sprawił, że Demi ciarki przeszły po grzbiecie. Szybciutko pobiegła po swoją torebkę i wyjęła zdjęcie matki. Po raz tysięczny przyglądała się tej najdroższej twarzy i tym razem oczy kobiety na fotografii wydały jej się jeszcze bardziej przenikliwe, jakby patrzyła świadomie dokładnie na nią. Jeszcze raz Demi przeczytała list od ojca. Znowu obejrzała rysunek i przeczytała słowo pod spodem.

Zdjęcie, list, rysunek, słowo.

Wtedy zdała sobie sprawę, że przez wszystkie te lata utraciła jakąś część siebie. Odniosła głębokie, wszechogarniające wrażenie, że nigdy nie odzyska poczucia pełni, jeśli się nie dowie, czy jej matka żyje, czy nie i co się tak naprawdę wydarzyło. Przyszło jej do głowy w tamtym dziwnym momencie, że wszystko, co się właśnie działo, kiedy prawie osiągnęła pełnoletność, w jakiś sposób sprawiła matka, aby Demi poznała prawdę o jej losie.

To był punkt zwrotny w jej życiu. Przysięgła matce, że zrobi wszystko, co w jej mocy, bez względu na to, ile to miałoby ją kosztować i jak długo potrwać, aby się dowiedzieć, co się stało. Był to pakt głęboko osobisty, istniejący tylko między nimi dwiema. Przynękała, że nigdy nikomu o nim nie powie. I jak dotąd dotrzymała przyrzeczenia.

— Jesteś bardzo milcząca, Demi. Czy coś się stało?

Przestraszyła się, słysząc tak niespodziewanie i blisko głos Becka. Podniosła wzrok i zobaczyła, że wielebny odwrócił się do niej i przygląda się jej nad oparciem fotela. Teraz odwróciła się również Luciana i przeszukiwała ją surowym spojrzeniem.

— Nie, nie, nic mi nie jest, dziękuję — odparła Demi i uśmiechnęła się.
— To dobrze — rzekła Luciana beznamiętnie. — Bo przed nami jeszcze dosyć długa droga.

85

12.10

Miguel Balius zaparkował samochód za rzędem drzew pomiędzy stacją kolejową Montserrat-Aeri i przystankiem kolejki górskiej, skąd zielono-żółte wagoniki rozpoczynały podróż nad skałami i pięły się prawie siedem tysięcy metrów. Na prośbę Martena Miguel zamknął jego torbę podróżną z notebookiem, dyktafonem i rzeczami osobistymi w bagażniku, po czym zaprowadził swoich „kuzynów” — prezydent Harris wrócił do swojego poprzedniego wcielenia bez tupeciku, w okularach i kapeluszu pożyczonym zeszłego wieczora od Demi — na ścieżkę prowadzącą do dolnej stacji kolejki górskiej. Tam stanął w cieniu dużego drzewa i patrzył, jak jego niedawni pasażerowie idą oddzielnie w stronę przystanku z wagonikami niczym dwaj nieznajomi, którzy dopiero co wyszli ze stacji kolejowej.

Marten pierwszy kupił bilet na przejazd kolejką do klasztoru i z powrotem. Chwilę później to samo zrobił prezydent, po czym poszedł za Nicholasem na peron, gdzie razem z grupką turystów czekali, aż z góry zjedzie wagonik. Przyjechał po kilku minutach. Drzwi się otworzyły i ze środka wysiadło kilkunastu pasażerów. Następnie wsiedli podróżni czekający na peronie, pracownik w mundurze zamknął drzwi i zielono-żółta kabina rozpoczęła powolną wędrowkę na szczyt. Przez cały ten czas Marten nie zamienił z prezydentem ani jednego słowa lub choćby spojrzenia. Nie było to zresztą konieczne, obaj wiedzieli, co mają robić; wszystko zostało omówione dokładnie i ze szczegółami w ruinach kamiennego młyna zaraz po tym, jak zaszokowany Miguel ochoczo, entuzjastycznie i z wielkim respektem „dołączył do rodziny”.

— Restauracja nazywa się Abat Cisneros i jest częścią hotelu o tej samej nazwie. Drzwi dla obsługi wychodzące na tyły znajdują się w głębi

korytarza tuż za toaletami. Za drzwiami ścieżka się rozwidła — powiedział Miguel stanowczym tonem.

Wziął do ręki ostry kamień i zaczął rysować na zapiaszczonej podłodze młyna schematyczny plan zespołu klasztornego i zaznaczać punkty, o których mówił.

— Ta droga prowadzi w dół do rampy, gdzie przywożą zaopatrzenie, a ta druga w górę i skręca ostro między drzewa, a mniej więcej trzydzieści metrów dalej dochodzi się do starej, rozwalającej się kapliczki, o której mówiłem. — Zaznaczył kapliczkę krzyżykiem. — Te ruiny są zarośnięte i ledwo widoczne nawet ze ścieżki i jeśli uda się wam zaciągnąć tam Foksa, na pewno będzie to dobre miejsce.

— W porządku — odrzekł Marten i spojrzał na prezydenta. — Jeżeli Demi mówiła prawdę, kiedy dotrzemy na miejsce, ona, Beck i Luciana powinni być już w klasztorze razem z Foksem. Możemy się spodziewać, że w pierwszej kolejności postarają się mnie znaleźć i zaprowadzić do doktora. Pod warunkiem, że Demi nie pisnęła ani słowa o panu. Jeśli coś im powiedziała, będą szukać również pana, a to całkowicie zmieni sytuację.

— Niczego nie zmieni — stwierdził kategorycznie prezydent. — Jeśli Foxx tam będzie, musimy od niego wyciągnąć wszystko, co wie. Jeśli się okaże, że powiadomił moich „przyjaciół”, będziemy się tym martwić później. Nie mamy innego wyjścia.

— Dobrze, niech tak będzie — Marten ustąpił wobec uporu prezydenta. — Ale moglibyśmy im chociaż nieco utrudnić sprawę. Pójdziemy do kolejki oddzielnie. Pojedynczo kupimy bilety. Jak turyści, którzy się nawzajem nie znają. Z tego, co mówił Miguel, wynika, że wagoniki są bardzo małe, ludzie stoją tam zwykle w ścisku. Jeśli ktoś pana przypadkiem rozpozna i podniesie szum, będę mógł mimo wszystko dotrzeć do Foksa sam, podczas gdy pan zostanie i korzystając ze swoich — tu Marten uśmiechnął się nieznacznie — „politycznych sztuczek”, spróbuje się jakoś wykręcić. Jeśli nic się nie wydarzy i dotrzemy na górę bez żadnych komplikacji, nadal będziemy działać oddzielnie. — Spojrzał szybko na Miguela. — Gdzie na terenie klasztoru najłatwiej byłoby mnie znaleźć, gdyby ktoś mnie szukał?

— Na placu przed bazyliką.

— Dobrze. — Nicholas odwrócił się z powrotem do prezydenta. — Podejrzewam, że to Beck po mnie przyjdzie. Jeśli Demi mu o panu powiedziała i będzie szukał nas obu, to się rozczaruje. Albo pomyśli, że go okłamała, albo że postanowił pan tu nie przyjeżdżać. Tak czy inaczej, spotka się

tylko ze mną. Może napomknie o Demi, może nie, w każdym razie spróbuje przełamać lody przyjacielską pogawędką, po czym wspomni o doktorze Foksie: powie, że jest w klasztorze i zaproponuje, abyśmy się spotkali i porozmawiali o wzajemnej animozji, która zrodziła się podczas spotkania na Malcie. Nie wiemy, co dokładnie planują i gdzie, ale na pewno spróbują kontrolować sytuację, na co nie możemy pozwolić. Odpowiem więc, że jeżeli dobry pan doktor chce ze mną porozmawiać, musi to nastąpić w miejscu publicznym. Zaproponuję restaurację: lunch, drinka, cokolwiek. W tym czasie...

— Ja pójde prosto do restauracji, rozejrzę się, znajdę męską toaletę i wyjście na dwór, o którym mówił Miguel. — Teraz z kolei prezydent się uśmiechnął. Znali się niecały dzień, a już wiedzieli, co myśli ten drugi. — Jeżeli dopisze mi szczęście, znajdę dróżkę w góry i kapliczkę, a następnie wrócę i zajmę stolik przy drzwiach. Kiedy wejdziecie z doktorem Foksem, będę popijał drinka i ze schyloną głową czytał gazetę albo przewodnik turystyczny.

— Zamówi pan również odpowiednie rzeczy z menu.

— Oczywiście.

— Jest pan dobrym uczniem, kuzynie — stwierdził Marten, po czym spojrzął na Miguela. — Kiedy skończymy z doktorem Foksem, będziemy musieli się stamtąd wydostać i to jak najszybciej. Kolejka górską jest za wolną, poza tym, gdybyśmy do niej wsiedli, znaleźlibyśmy się w pułapce. W dodatku musielibyśmy na nią czekać. Niech pan czeka pod klasztorem, aby nas natychmiast zabrać. Kłopot tylko z tą limuzyną. Na pewno niebawem zdobędą jej dane, jeśli już ich nie mają. Teraz jest dobrze ukryta, ale wyprowadzanie jej na drogę wiąże się z dużym ryzykiem.

— Zdobędę dla nas inny pojazd, kuzynie Haroldzie.

— Jak?

Miguel się uśmiechnął.

— Mówiłem, że bywałem w Montserrat wiele razy. Mam znajomych, którzy tu pracują, a niedaleko mieszkają moi krewni. Tak czy inaczej, będę czekał z jakimś samochodem. — Znowu wziął do ręki kamień i zaczął rysować. — Tutaj wyjdziecie — powiedział, zaznaczając duży X. — A tutaj będę czekał. — Wyskrobał na piasku drugi krzyżyk, po czym podniósł głowę. — Jakież pytania?

— Nie. Dziękuję, kuzynie — odparł z prostotą prezydent.

— Proszę bardzo, panie prezydencie.

Na twarzy Miguela zajaśniał szeroki, promienny uśmiech, jakby słońce

wyskoczyło nagle zza chmur. Dokładnie w tym momencie poczuł, że stał się dożywotnim członkiem tego elitarnego „klubu kuzynów”.

Nicholas rozejrzał się po wnętrzu wagonika wjeżdżającego stromo pod górę. W drugim końcu w kapeluszu Demi przekrzywionym na bok prezydent Harris wyglądał przez okno niczym zwyczajny, choć lekko ekscentryczny turysta w tłumie dziesiątków innych turystów, tak jak on jadących na szczyt z twarzami przyklejonymi do szyby i obserwujących stację kolejki górskiej szybko niknącą w oddali.

86

12.20

Serce Demi zaczęło bić szybciej, kiedy biała furgonetka Monasterio Benedictino Montserrat dojechała do końca długiej górskiej drogi i skręciła na wewnętrzny parking klasztoru, przeznaczony tylko dla osób upoważnionych. Widziała teraz z bliska kompleks kamiennych budynków, które na dole majączyły blado w oddali. Nie sprawiały już wrażenia miniatuury, ale nadal wyglądały jak niedosiężne miasto-forteca, mieszczące w swych murach osławioną bazylikę, muzeum, restaurację, hotel oraz prywatne mieszkania, i wznoszące się samotnie na tle skał wapiennych piętrzących się niemal na kilometr.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi pasażerskiej części furgonetki. Przy samochodzie w jaskrawym blasku słońca stał młody zakonnik.

— Witamy w Montserrat — powiedział po angielsku.

Chwilę później prowadził ich przez plac wypełniony turystami, a potem po schodach do środka bazyliki. Beck trzymał w ręku małą torbę podróżną, wiedźma Luciana swoją czarną torebkę, Demi zaś torbę ze sprzętem fotograficznym oraz małą kosmetyczką z niezbędnymi przyborami toaletowymi, a na drugim ramieniu dwa profesjonalne aparaty fotograficzne: analogowego nikonu na tradycyjne filmy trzydziestopięciomilimetrowe oraz cyfrowego canona.

Mnich poprowadził ich pod kamiennym sklepieniem przejściem na wewnętrzny dziedziniec bazyliki wypełniony turystami jeszcze bardziej niż plac przed świątynią. Zegar na wieży wskazywał dwunastą dwadzieścia pięć. Dojechali dokładnie na czas. Demi od razu pomyślała o kuzynie Haroldzie i

kuzynie Jacku. Zastanawiała się, gdzie teraz mogą być, czy nadal jadą tu czarną limuzyną, czy... nagle gwałtownie ścisnęło ją w żołądku. A co, jeśli zatrzymano ich na którejś z blokad drogowych? Co wtedy zrobi? I co zrobi Beck?

— Tędy, proszę.

Mnich ruszył przed nimi długim korytarzem. Mijali ciąg kamiennych wnęk z rzeźbami i łacińskimi inskrypcjami. Wtedy go zobaczyła i serce podeszło jej do gardła. W jednej z ostatnich półokrągłych nisz stał kamienny posąg średniowiecznego krzyżowca. Głowę i szyję miał osłonięte kolczugą, ramię oparł na trójkątnej tarczy, na której widniał wyryty symbol Aldebarana. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła ten znak gdzieś poza książkami, rysunkami i tatuażami na kciukach członków sabatu. Zastanawiała się, od jak dawna symbol ten znajduje się w tym miejscu i kto w ciągu stuleci rozpoznał go i odkrył jego znaczenie.

— Tutaj.

Mnich skrzył w następny korytarz, węższy od poprzedniego z rzędami niezliczonych świec wotywnych mrugających po obydwu stronach. Kręciło się tutaj niewiele osób, najwyraźniej coraz bardziej oddalali się od turystycznej części klasztoru.

Demi słyszała, jak stukają o siebie aparaty fotograficzne. Na karku czuła lodowate ciarki, które rozprzestrzeniły się po chwili na barki i ramiona. Usłyszała głos ojca szepczący jej do ucha ostrzeżenie, które wiele lat temu napisał w swoim liście: „...pod żadnym pozorem, nie próbuj dociekać, co się z nią stało”.

Z łękiem obejrzała się do tyłu. Korytarz za nimi był pusty, tylko migające świece ożywiały to miejsce.

Pięć kroków dalej ich przewodnik zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami osadzonymi w kamiennej wnęcie. Odsunął drewnianą płytkę wpuszczoną w ścianę obok drzwi i odsłonił panel zamka elektronicznego. Wcisnął kilka cyfr, potem przycisk z kluczykiem i zasunął z powrotem drewnianą osłonkę. Kiedy przekręcił żelazną gałkę, drzwi otworzyły się lekko, a mnich dał im znak, aby weszli. Odczekał, aż znajdą się w środku, po czym sam się wycofał.

W porównaniu z jaskrawym południowym blaskiem na dworze wnętrza sali, do której weszli, sprawiało wrażenie nienaturalnie ciemnego. Powoli ich oczy przyzwyczyły się do półmroku. Znaleźli się w dużym gabinecie. Pod jedną ścianą stał rząd ozdobnych krzeseł z wysokimi oparciami, pod drugą — wielka, masywna biblioteka. Naprzeciwko wejścia większość miejsca zajmowało ogromne drewniane biurko i krzesło ze skórzanym obiciem, obok

znajdowały się drugie, zamknięte drzwi. Pomieszczenie było wysokie, ze sklepieniem i ścianami z tego samego starego kamienia co cała reszta kompleksu klasztornego. Podobnie podłoga nosiła ślady czasu i milionów przechodzących stóp.

— Demi, zaczekaj tu, proszę — powiedział cicho Beck.

Poprowadził Lucjanę w stronę drugich drzwi na końcu sali, zapukał i po chwili oboje wyszli, zamykając za sobą drzwi.

87

12.35

Demi czekała sama w półmroku i przytłaczającej ciszy. Zarówno drzwi, którym tu weszli, jak i te, za którymi przed chwilą zniknęli Beck i Luciana, były zamknięte. Nie miała pojęcia, czyjej towarzysze poszli odnaleźć doktora Foksa, czy też udali się gdzieś w zupełnie innym celu. Jeszcze raz rozejrzała się po ciemnej komnacie. Wysokie sklepienie, drewniane, rzeźbione krzesła pod ścianami, ciężkie biurko, kamienne ściany, kamienna podłoga wytarta przez czas — to miejsce przepelniała historia, w większości bardzo, bardzo dawna. W całości chrześcijańska. Demi zastanawiała się, czy kiedyś przyszła tu również jej matka. Czy stała w tym samym miejscu co teraz ona, w tej samej sali, w tym samym półmroku?

Czekała.

Na co?

12.40

Znów usłyszała ostrzegawczy szept ojca. Razem z nim przyszło wspomnienie osoby, o której od dawna starała się usilnie nie myśleć: łysy, bezręki, osiemdziesięciokilkuletni uczonec, którego poznała sześć lat temu, gdy rozpoczęła karierę w Associated Press w Rzymie.

Zlecono jej pracę fotoreporterską na północy, w Umbrii i Toskanii. Udało jej się dostać wolny dzień, dzięki czemu odwiedziła antykwariaty z książkami we Florencji. Robiła to w każdym miejscu we Włoszech, szukając wszelkich informacji o włoskich wiedźmach, magii i wszystkim innym, co mogłoby rzucić nieco światła na tajemnicę boschetto, czyli sabatu, który

posługiwał się symbolem Aldebarana. Aż do tego dnia jednak jej poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Wtedy w małym antykwariacie przy Ponte Vecchio trafiła na cienką, zniszczoną książeczkę, wydaną pięćdziesiąt lat temu, o florenckich wiedzmach. Przerzucając stronicę, zatrzymała się raptownie na czwartym rozdziale. Widok jego strony tytułowej zaparł jej dech w piersiach. Pod tytułem „Aradia” widniała ilustracja z charakterystycznym znakiem — krzyżem zakończonym kulkami, symbolem Aldebarana. Nie zastanawiając się wiele, kupiła książeczkę i z walącym sercem pojechała natychmiast do hotelu. Interesujący ją rozdział był skromny, podobnie jak cała książka, niemniej dowiedziała się z niego o starodawnym tajemnym boschetto włoskich wiedz, czyli strega, o których później opowiadała Nicholasowi Martenowi. Nazwa Aradia wzięła się od imienia czternastowiecznej kabalar-ki, która ożywiła La Vecchia Religione, czyli Starą Wiarę. Boschetto wskrzesiło wiele dawnych tradycji, niepisanych praw, rytuałów i doktryn i rozpowszechniło je na terenie północnych i środkowych Włoch w ciągu piętnastego i szesnastego wieku. Na tym rozdział się kończył. W żadnym innym miejscu w książce nie wspomniano o znaczeniu symbolu Aldebarana, nigdzie też więcej nie wymieniano nazwy Aradia.

Od tamtej pory Demi rozpaczliwie szukała dalszych informacji na ten temat. Odwiedzała antykwariaty, muzea, stowarzyszenia okultystyczne i uczonych w Sienie i Arezzo na terenie Toskanii. Stamtąd udała się do Bolonii, Mediolanu i wreszcie z powrotem do Rzymu. W sumie nie znalazła niczego poza krótką notatką, że w 1866 roku amerykański pisarz i historyk podróżujący po Włoszech dowiedział się, jakoby istniał gdzieś w Toskanii rękopis, w którym wymienia się Aradię i opisuje starożytne tajemnice „magii włoskich wiedz”. Szukał go całymi miesiącami, lecz bezskutecznie. Trafił za to na włoską wiedznię imieniem Rafaella, która rzekomo go widziała i opowiedziała mu, co zawierał. Doszedł do wniosku, że tajniki Aradii, przynajmniej w interpretacji Rafaelli, stanowiły w istocie mieszaninę czarnej magii, średniowiecznej herezji i politycznego radykalizmu. Na tym kończyło się jego studium, ani słowa nie wspomniał o znaku Aldebarana.

Potem Demi nie znalazła już niczego. Nawet w środowisku najbardziej wyspecjalizowanych badaczy i wykładowców nikt nie miał pojęcia o Aradii ani o sabacie, który używał symbolu Aldebarana. Niczego nie przyniosły również poszukiwania internetowe, badania w muzeach ani rozmowy telefoniczne z praktykującymi wiedzmi oraz badaczami tej sztuki z różnych stron świata.

Prawie rok później, pracując w Agence France Presse, dowiedziała się o pewnym naukowcu odludku. Nazywał się Giacomo Gela, był wychudzonym osiemdziesięcioletkiem, żołnierzem z czasów drugiej wojny światowej, w której stracił obydwie ręce. Mieszkał w małym mieszkanku pod Pizą i z badań nad historią włoskich wiedzń uczynił dzieło swego życia. Kiedy do niego zadzwoniła i wymieniła nazwę Aradia, w telefonie zapadła cisza. Gdy zapytała, czy mogłaby do niego przyjechać i porozmawiać, zgodził się natychmiast.

Gela okazał się mężczyzną o wszechstronnym intelekcie. Posiadał nie tylko dogłębną wiedzę o tajemniczej Aradii, ale również o zakonie znacznie bardziej sekretnym, ukrytym w jego wnętrzu, nazywanym Aradią Mniejszą. Pisano o nim, posługując się literami AM, ale w kombinacji alfabetu hebrajskiego i greckiego: „Α μ”, przez co wyglądał jak niezrozumiały i nieznaczący symbol, który nie przyciągnie uwagi przypadkowego czytelnika. Nawet Gela nie orientował się, kiedy powstała Aradia Mniejsza. Wiedział jedynie, że przez większą część drugiej połowy szesnastego wieku głównym ośrodkiem tego kultu była wyspa Ischia w Zatoce Neapolitańskiej, czyli, jak później odkryła Demi, ojczyzna i miejsce narodzin Luciany. Na początku siedemnastego wieku, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa, Aradię Mniejszą zdecentralizowano i przeniesiono z powrotem na kontynent, a jej członkinie rozproszyły się potajemnie po całych Włoszech, głównie w rejonie między Rzymem a Florencją.

Środki ostrożności podjęte przez Aradię Mniejszą były uzasadnione, ponieważ do jej tradycji należały między innymi coroczne rytuały obejmujące starożytne, nierzadko brutalne pogańskie ceremonie, takie jak przysięga krwi, ofiary z żywych stworzeń i torturowanie ludzi. Odprawiano je w obecności kilkuset członków potężnego zakonu, zwanych Nieznanymi. Jaki był cel tych ceremonii i kim byli Nieznani, pozostało na zawsze tajemnicą. Wiadomo jedynie, że odprawianie ceremonii rozpoczęto pod koniec lat trzydziestych szesnastego wieku w rozmaitych świątyniach rozrzuconych po całej Europie i że w ciągu stuleci odbywały się co roku przez szereg lat, aby niespodziewanie z niewiadomych powodów zapaść niejako w stan uśpienia, czasem na kilkadziesiąt lat, po czym podejmowano je na nowo.

Demi ciarki przebiegły po krzyżu, kiedy Giacomo Gela oświadczył, że jego zdaniem w obecnej chwili mamy do czynienia z jednym z najbardziej ożywionych okresów aktywności kultu. Jego osobliwe tradycje zachowały się do dziś i są nadal praktykowane. Znakiem rozpoznawczym jest symbol

Aldebarana, lecz główny ośrodek, przyczyny i cele jego istnienia są nadal tak samo niejasne jak przed wiekami. Gela był jednak przeświadczony, że muszą się za nim kryć nader racjonalne przesłanki, które nie tylko zapewniają dochowanie ścisłej tajemnicy, ale też wymagają dużych funduszy, ponieważ kult miał wielu wyznawców, a widowiskowe ceremonie odbywały się zbyt regularnie, były zbyt pilnie strzeżone i zbyt wystawne, aby nie wiązały się z ogromnymi, kosztami.

Wówczas Gela zmruczył znacząco oczy, a jego głos zapiszczał przeraźliwym ostrzeżeniem.

— Proszę, aby nic, co pani tu usłyszała, nie wydostało się poza ściany tego pokoju.

Koszty istnienia kultu ponosiła nie tylko Aradia Mniejsza, dodał. Wielu ludzi, którzy usiłowali poznać prawdę, zginęło. Aby się upewnić, że Demi dokładnie zrozumiała powagę sytuacji, zdradził jej sekret, o którym wiedziało zaledwie kilka żyjących osób: choć prawdą jest, że stracił obydwie ręce w czasie drugiej wojny światowej, to nie wydarzyło się to bynajmniej w bitwie. Podczas patrolu przez przypadek trafił na jedną z ceremonii Aradii Mniejszej, odprawianą w głębi lasu w Alpach we włoskich Dolomitach. Żyje do dziś, ponieważ ci, którzy obcięli mu ręce, nie zamierali go zabić.

— Mogli mnie zabić bez trudu, ale nie chcieli. Owinęli mi rany, wynieśli z lasu i zostawili przy drodze. Dzisiaj wiem, dlaczego to zrobili. Miałem być odrażającą żywą przestroga dla każdego, kto próbowałby odkryć tajemnice Aradii Mniejszej.

Niespodziewanie popatrzył Demi w oczy, a jego głos zakipiał gniewem.

— Gdyby pani wiedziała, ile godzin w ciągu dnia, ile dni w ciągu roku i przez ile lat bluźniłem i przeklinałem Boga, żałując, że mnie wtedy nie zabiło. Życie, jakie wiodłem w tym stanie przez tyle lat, było znacznie okrutniejsze od śmierci.

Głos Geli, jego słowa, gniew w oczach i cała jego postać — siedzącego bez rąk, ze skrzyżowanymi nogami — sprawiała przerażające wrażenie. W połączeniu z ostrzeżeniem zawartym w liście ojca powinno to wystarczyć, aby zawróciła z tej drogi i zaniechała poszukiwań. A jednak nie wystarczyło. Świadomie i z rozmysłem zepchnęła ten obraz w najdalszy kąt pamięci i tam go zostawiła.

Aż do dziś. Kiedy czekała w samotności w tej ciemnej klasztornej sali, Gela nagle wyłonił się z jej wspomnień i zobaczyła przed sobą jego twarz, usłyszała przesywające ostrzeżenie: „Proszę, aby nic, co pani tu usłyszała, nie wydostało się poza ściany tego pokoju”.

Na dźwięk w głębi sali obraz zniknął i Demi podniosła głowę. W jej stronę szli wielebny Beck i Luciana. Towarzyszyła im trzecia osoba, której nie widziała wyraźnie. Zobaczyła, kiedy podeszli do niej bliżej.

— Witaj, Demi. Bardzo się cieszę, że przyjechałaś nam towarzyszyć — powiedział ciepło.

Twarz, bujna czupryna białych włosów i dłonie z wyjątkowo długimi palcami należały do Merrimana Foksa.

88

12.44

Zielono-żółty wagonik kolejki linowej dojechał do górnej stacji i zatrzymał się. Chwilę później pracownik kolejki otworzył drzwi i pasażerowie zaczęli wychodzić. Nicholas zerknął tylko na prezydenta, po czym wysiadł za jakąś parą Włochów na peron i ruszył w stronę klasztoru.

Przed nim wznosiły się zabudowania klasztoru. Wszystkie wydawały się zbudowane z takiego samego beżowego piaskowca lub wapienia. Najbliższy budynek, stojący po drugiej stronie brukowanej ulicy, miał sześć pięter, sąsiedni siedem, jeszcze inny dziewięć i wysoką dzwonnice. A wszystkie one stanowiły tylko część całego złożonego kompleksu. Główna atrakcja Montserrat, czyli bazylika, stała po drugiej stronie rozległego placu. Zarówno plac, jak i szerokie kamienne schody prowadzące do świątyni wypełnione były turystami.

12.50

Marten ruszył niespiesznym, spacerowym krokiem przez plac, aby Beck mógł go bez trudu zauważyć. Po chwili wyminął go jakiś mężczyzna i nie zatrzymując się, poszedł dalej. Był to prezydent Harris.

12.52

Widział, jak przed nim Harris skręca w lewo, omijając grupę turystów, a potem znika za nimi w tłumie. Według wskazówek Miguela pójdzie w kierunku

hotelu Abat Cisneros i restauracji o tej samej nazwie.

Nicholas zwolnił kroku i rozejrzał się niczym turysta, który znalazł się w tym miejscu po raz pierwszy w życiu i usiłuje się zorientować, gdzie jest i dokąd ma dalej iść. Zastanawiał się, czy Demi mogła ich okłamać. Czy to możliwe, że wcale nie ma tu ani jej, ani Becka, ani Luciany czy Foksa, że wysłała ich tu tylko po to, aby się ich pozbyć, a tymczasem spotka się z tamtymi zupełnie gdzie indziej, może w samej Barcelonie.

— Panie Marten! — usłyszał nagle głęboki, aksamitny głos wielebnego Becka.

Nicholas podniósł wzrok i zobaczył kapelana Kongresu idącego ku niemu od strony bazyliki.

— Miło pana widzieć, panie Marten — powiedział duchowny, kiedy stanął przy nim. — Pani Picard wspominała, że może pan tu przyjechać.

— Naprawdę? — Nicholas starał się wyglądać na zdziwionego.

— Tak. — Beck uśmiechnął się ciepło. — Wracam z nabożeństwa. Może zechce się pan do nas przyłączyć i wypić z nami kawę?

— Ma pan na myśli siebie i panią Picard?

— Będą z nami jeszcze dwie osoby. Moja stara przyjaciółka z Włoch, Luciana, oraz nasz wspólny znajomy, doktor Foxx.

— Foxx?

Beck znowu się uśmiechnął.

— Prosił, żebym pana tu znalazł. Chciałby zatrzeć złe wrażenie, jakie mogło pozostawić wasze spotkanie na Malcie. W tutejszej hotelowej restauracji jest mała, oddzielna salka, w której moglibyście spokojnie porozmawiać.

— W restauracji?

— Tak, chyba że wolałby pan jakieś inne miejsce.

Marten aż uśmiechnął się w duchu. Oto oni z prezydentem zastanawiali się, jak zwabić Foksa do restauracji, a tymczasem zaproszenie przyszło z jego strony. Nieco kłopotu mogła nastęczyć owa odizolowana salka, ale skoro Beck, Demi i Luciana idą razem z nimi, łatwiej będzie przekonać Foksa, że woli z nim rozmawiać na osobności na spacerze poza budynkiem.

— Może być restauracja — zgodził się łaskawie Marten. — Chętnie wysłucham, co doktor Foxx ma do powiedzenia.

13.00

— Witam w Montserrat, panie Marten.

Merriman Foxx wstał, kiedy Nicholas z Beckiem weszli do restauracji. Demi i wiedźma Luciana siedziały naprzeciwko doktora przy okrągłym stoliku przykrytym lnianym obrusem. Przed nimi stały filiżanki z parującą kawą, a na środku talerz z kruchymi ciasteczkami i hiszpańskimi polvorones. Krzesło dla Becka czekało przygotowane, a kelner przyniósł jeszcze jedno dla Martena. Zgodnie z tym, co powiedział wielebny, salka była rzeczywiście kameralna.

— Zna pan panią Picard. — Foxx skinął uprzejmie głową w stronę Demi. — To jest signora Luciana Lorenzini, nasza droga przyjaciółka, z którą znamy się od wielu lat.

Nicholas skinął głową Demi, po czym odwrócił się do Luciany.

— Bardzo mi miło, signora.

Restauracja rzeczywiście należała do hotelu Abat Cisneros i tak jak powiedział Miguel, znajdowała się dwa kroki od bazyliki, wtulona w wyniosłe górskie zbocze. Rozmowa przy stoliku w tej wyizolowanej małej salce była Martenowi bardzo nie na rękę. Prezydent, czekając zgodnie z umową w głównej sali, nie będzie wiedział, co się z Nicholasem stało, aż do momentu, gdy ten wyjdzie z Foksem i ruszą w kierunku kapliczki. Jeśli Harris zacznie się niepokoić i przyjdzie go szukać, może wejść do salki i wpaść prosto na nich, co narazi go na zdemaskowanie i skomplikuje ich plan.

Siadając przy stoliku, Nicholas ukradkiem przyjrzał się doktorowi. Usiłował go rozszyfrować. Lekarz, naukowiec i morderca w jednym. Miał na sobie dopasowaną tweedową marynarkę, ciemne, luźne spodnie i golf w tym samym kolorze. Szopa białych nieporządných włosów była jego znakiem rozpoznawczym. Wystarczyło, że Nicholas spojrział przelotnie na jego dłonie, aby w głowie zadzwonił mu głos Caroline, przepełniony cierpieniem i strachem. „To, jak dotykał mojej twarzy i nóg tymi swoimi odrażającymi długimi palcami i tym okropnym kciukiem z krzyżykiem zakończonym kulkami”.

Teraz Nicholas uprzytomnił sobie jeszcze coś — doktor był wyższy i silniejszy, niż mu się zdawało, kiedy spotkali się po raz pierwszy w Café Tripoli na Malcie, gdzie Foxx miał na sobie szeroki i gruby sweter. Kiedy podnosił się od stolika, żeby go przywitać, rzuciło się Nicholasowi w oczy,

że prawdopodobnie jest bardzo sprawny i wysportowany. Już wcześniej podejrzewał, że Foxx wybrał na miejsce zamieszkania Malte, ponieważ trzeba było na niej pokonywać mnóstwo schodów, zupełnie jakby potrzeba utrzymania doskonałej sprawności fizycznej była dlań zachowaniem instynktownym, nawykiem z czasów służby w armii RPA. Nawet prezydent podkreślał, że niełatwo będzie go obezwładnić. Marten dostanie tylko jedną szansę, a jej powodzenie będzie zależało od szybkości, zdecydowania i całkowitego zaskoczenia.

— Jak minęła podróż, panie Marten? — zapytał serdecznie Foxx, kiedy kelner postawił przed Beckiem i Martenem filiżanki i wlał do nich kawę.

— Pyta pan o podróż z Malty czy z Barcelony?

— O jedną i drugą — odparł Foxx z uśmiechem.

— Obydwie przebiegły przyjemnie, dziękuję.

Nicholas zerknął na Demi, która aby uniknąć jego spojrzenia, podniosła półmisek z ciastkami i poczęstowała Lucianę. Przyglądając się jej przez krótką chwilę, próbował odgadnąć, po czyjej właściwie jest stronie. Potem odwrócił się do Foksa.

— Wielebny Beck zaprosił mnie do pańskiego stolika ze względu na to, co się wydarzyło na Malcie. Uważał, że w czasie naszej rozmowy doszło do jakichś nieporozumień; sugerował, że może chciałby pan oczyścić atmosferę.

— „Oczyścić atmosferę” to najwłaściwsze określenie, panie Marten. — Foxx uśmiechnął się lekko. — Zrobię to z największą przyjemnością. Mam tylko jedno zmartwienie: że ktoś jeszcze powinien tu z nami być.

— Kogo ma pan na myśli?

— Nie przyjechał pan do Montserrat sam, prawda? Towarzyszył panu John Henry Harris, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Mówił swobodnie i rzeczowo, jakby rozmawiali o zwyczajnym gościu, który nie zjawił się na zaproszenie.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych? — Marten uśmiechnął się szeroko. — Nie obracam się aż w takim towarzystwie.

— Do niedawna pan się nie obracał, panie Marten.

— Jest pan lepiej poinformowany ode mnie.

Wziął do ręki filiżankę i upił kawę. Jednocześnie rzucił oskarżycielskie spojrzenie Demi, która tym razem nie odwróciła oczu, tylko ledwo zauważalnie pokręciła głową, co miało znaczyć, że nie miała z tym nic wspólnego. Ona im nie pisnęła ani słowa.

— Zechce pan poszukać swego towarzysza i poprosić, aby się do nas

przyłączył? — Foxx wziął filiżankę z kawą i oplótł ją długimi palcami. — Myślę, że obydwu was zainteresuje to, co mam wam do pokazania. Może nawet więcej niż zainteresuje.

Marten przez chwilę nie odpowiadał. Najwyraźniej wiedzieli, że prezydent tu jest, lub przynajmniej się domyślali. Zaprzeczanie mogłoby tylko niebezpiecznie przeciągnąć sprawę, jeśli Foxx powiadomił „przyjaciół” prezydenta i Secret Service lub CIA już tu jechało. Pierwotny plan zakładał, że prezydent pozostanie w cieniu, dopóki Nicholas nie wyciągnie Foksa na samotny spacer, jednakże wobec jego niespodziewanego i zaskakującego żądania wszystkie poprzednie ustalenia wzięły w łeb. Nie było już nawet mowy, aby dopaść doktora samego. Nie mieli żadnego planu awaryjnego, a prezydent zostałby zdany na łaskę Merrimana Foksa, a do tego Marten nie mógł dopuścić.

— Nie jestem pewien, gdzie on może być. Ani nawet czy już nie wyjechał. Odnalezienie go może trochę potrwać i wcale nie jestem pewien, czy się uda.

— Może to zabrzmie nieskromnie, ale sądzę, że prezydent przyjechał do Montserrat, aby ze mną porozmawiać. — Foxx znowu uśmiechnął się życzliwie. — Nie wydaje mi się więc, aby chciał wyjeżdżać przed osiągnięciem swojego celu. Myślę również, że nie byłby zachwycony, gdyby nie dał mu pan na to szansy.

Marten popatrzył uważnie na Foksa, potem napił się łyżeczek kawy i wstał.

— Zobaczą, co się da zrobić.

— Dziękuję panu, panie Marten. Obiecuję, że ani pan, ani prezydent nie będziecie rozczarowani.

90

13.15

Marten wyszedł z restauracji i ruszył przez plac tą samą drogą, którą tu przyszedł. Wydawało się, że poza Beckiem i kobietami nikt więcej Foksovi nie towarzyszył. Z drugiej strony wystarczyło sobie przypomnieć Szpakowatego, aby nabrać respektu przed długimi rękami Afrykanera.

W dalszym ciągu nie wiedział, co myśleć o Demi. Nie przekonało go jej kręcenie głową na znak, że to nie ona powiedziała Foksovi o obecności prezydenta. Chciała, aby jej uwierzył, zbyt wiele pytań pozostawało jednak bez

odpowiedzi, między innymi, jak Beck znalazł go tak szybko. Najwyraźniej wielebnemu nie był bynajmniej tak obojętny jego przyjazd do Barcelony, jak to przedstawiała Demi. Co więcej, wiedzieli, że Marten przyjedzie do Montserrat i o której godzinie, a to mogła im powiedzieć tylko Demi. W tych kwestiach nie było wątpliwości, że go wrobiła.

Fakt, że Foxx zażądał obecności prezydenta, nie tylko całkowicie zmienił sytuację, ale też podnosił stawkę gry. To jeszcze bardziej podsycało ciekawość Martena, co z tym wszystkim ma wspólnego Demi. Jeżeli nie pracowała dla Becka, a więc również nie dla Foksa, co w dalszym ciągu wydawało się całkiem prawdopodobne, to co innego mogło być tak ważne, że gotowa była wydać prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby to osiągnąć, zwłaszcza znając jego obecne położenie?

Jeśli jednak Demi nie jest ich współpracowniczką, jeśli działa tylko w swojej sprawie, i mówiła prawdę, że nie zdradziła prezydenta, to oznaczało, że Foxx wiedział o tym z innego źródła — od Miguela lub „przyjaciół” Harrisa. Doshedł do wniosku, że to musiało być to drugie, ponieważ Balius dowiedział, że jest człowiekiem zbyt uczciwym, skromnym i prostolinijnym, żeby coś takiego zrobić. Z kolei „przyjaciele” prezydenta wiedzieli, że Harris przyjechał wczoraj wieczorem do niego do hotelu w Barcelonie, a skoro żadnego z nich dotąd nie złapano, wywnioskowali, że nadal trzymają się razem. Jeśli więc on jechał do Montserrat, to prezydent bez wątpienia mu towarzyszył. Obydwaj powinni wziąć taką ewentualność pod uwagę, ale tego nie zrobili i w efekcie wdepnęli prosto w gniazdo żmij.

Jedna rzecz za to działała na ich korzyść, jeśli w ogóle można było tak powiedzieć: prezydent się jeszcze nie ujawnił. Znaczyło to, że w dalszym ciągu mieli szansę się wymknąć i uciec, zanim zjawi się CIA lub Secret Service i siła się zacisną na dobre.

13.18

Opuścił plac i skręcił w prawo, minął kilkupiętrowy budynek, który widział po wyjściu z kolejki. Na jego końcu skręcił znowu w prawo, przeszedł pod wysoko sklepioną bramą, po czym zawrócił w stronę restauracji i wmiszał się w grupę turystów, cały czas bacznie się rozglądając, czy ktoś go nie śledzi. Jak dotąd, nikogo nie zauważył.

W sumie zatoczył duże koło i wrócił do hotelu Abat Cisneros i do restauracji, gdzie kuzyn Jack powinien już siedzieć na posterunku w pobliżu

tylnego wyjścia. Teraz Nicholas musiał się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Minął drzwi do lokalu i wszedł prosto do hotelu. Zapamiętał, gdzie się znajduje wewnętrzne wejście do restauracji, po czym skierował kroki do baru po drugiej stronie holu. Począł na barmana i zamówił butelkę piwa. Później wybrał stolik, przy którym widział drzwi, i usiadł. Miał zamiar odczekać trzy minuty i jeśli nie zjawi się nikt podejrzany, wstać i wejść do restauracji z hotelowego foyer.

13.23

Pociągnął łyk piwa i od niechcenia rozejrzył się po barze. Poza nim i barmanem w środku siedziało jeszcze sześć osób, wszystkie przyszły tu przed nim: dwie pary przy stolikach i jedna przy barze, gdzie w telewizorze nastawionym na stację CNN International mężczyzna o wyglądzie sportowca czytał zza biurka wiadomości.

— W materiale dostarczonym właśnie przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego — mówił — pokazano prezydenta Harrisa w miejscu, dokąd wywieziono go w trosce o jego bezpieczeństwo po informacji otrzymanej przez Secret Service o zagrożeniu terrorystycznym w Madrycie. Prezydentowi towarzyszą doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Marshall, sekretarz obrony Terrence Langdon oraz sekretarz stanu David Chaplin.

Na ekranie pojawił się fragment filmu wideo, opatrzony datą i godziną. Rozpoczął się poprzedniego wieczoru, w piątek siódmego kwietnia o czternastej dwadzieścia trzy, i pokazywał prezydenta Harrisa w pokoju urzędowym w wiejskim stylu, pracującego przy stole ze swoimi doradcami.

— Prezydent życzy sobie — powiedział w tle reporter — aby podano do publicznej wiadomości, że jego życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo i zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami spotka się w poniedziałek z przywódcami państw europejskich na szczycie NATO w Warszawie.

Film urwał się raptownie, a reporter podsumował go słowami:

— Będziemy państwu przekazywać kolejne informacje na ten temat. Obraz zniknął i stacja zaczęła nadawać reklamy.

— Mój Boże — szepnęła Nicholas — wszystko zatuszowali. Wzięła następny łyk piwa i spojrzała w stronę drzwi. Jak dotąd, nikt nie wszedł do baru

od jego przyjscia. Minęło jeszcze czterdzieści sekund, potem pięćdziesiąt. Gdyby ktoś go śledził, już by się pokazał. Odstawił szklanekę i zaczął się podnosić, kiedy jego uwagę przyciągnęła jeszcze jedna wiadomość. Tym razem relacjonowano zdarzenie z Chantilly we Francji. Dziś rano na torze wyścigowym w pobliskim lesie zastrzelono dwóch dżokejów. Zabójca leżał ukryty między drzewami. Po oddaniu strzału odszedł spokojnie, zostawiając na miejscu narzędzie zbrodni, czyli amerykański karabin wojskowy M14, jakby chciał w ten sposób zdrwić z ekipy dochodzeniowej. Tajemniczości dodawał tej zbrodni fakt, że obydwie osoby zginęły od jednej kuli, która przeszła najpierw przez głowę jednego jeźdźca, a potem drugiego. Śledczy uważają, że mógł to być przypadek, że kula przeznaczona była tylko dla jednego z dżokejów. Albo zabójca w ten niesamowity sposób chciał zamanifestować swoje umiejętności. W każdym razie francuscy policjanci nigdy przedtem się z czymś takim nie spotkali. Nie spotkał się z czymś takim również Marten, mimo kilku lat służby w wydziale zabójstw policji Los Angeles.

13.28

Kuzyn Jack zauważył wchodzącego Nicholasa, ale nie dał tego po sobie poznać. Udając, że nie zwraca uwagi na hałaśliwą grupę dzieci z rodzicami, kłębiącą się niedaleko przy dużym stole, siedział zgodnie z umową przy stoliku w głębi głównej sali, tuż przy wyjściu do łazienek. W okularach i kapeluszu Demi na głowie, z butelką nieotwartej wody mineralnej stojącą obok niego na stole sprawiał wrażenie, jakby bez reszty pochłaniała go lektura przewodnika turystycznego.

Nicholas wszedł, zatrzymał się na chwilę, rozejrzał od niechcienia po sali, po czym swobodnym krokiem podszedł do prezydenta i usiadł przy sąsiednim stoliku.

— Foxx wie, że pan tu jest — powiedział cicho. — Siedzą w oddzielnej salce w głębi korytarza. Chce, żeby pan do nas przyszedł. Nie wiem, jak się dowiedział, ale wydaje mi się, że to nie Demi mu powiedziała. Wątpię też, żeby mógł to zrobić Miguel, a to znaczy, że zostaje tylko jedno...

— ...logiczne wytłumaczenie, obaj wiemy jakie. — Prezydent podniósł głowę i z kamienną twarzą popatrzył na Martena. — Jeśli kiedykolwiek istniała jakaś wątpliwość co do tego, że moi „przyjaciele” mają konszachty z doktorem Foksem, to właśnie została ona ostatecznie rozwiana.

— CNN nadało właśnie filmik, który podobno nadesłał Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Pokazali pana w jakiejś rustykalnej willi, ogolonego i z peruczką na głowie. Towarzyszył panu sekretarz stanu, doradca do spraw bezpieczeństwa i sekretarz obrony. W relacji twierdzą, że film został nakręcony wczoraj po południu i że zgodnie z planem będzie pan obecny w poniedziałek na szczycie w Warszawie. Żeby wyglądało bardziej przekonująco, nagranie opatrzone datą i godziną.

Prezydent zmrużył oczy z gniewu. Ostentacyjnie odwrócił się tyłem, jakby wracał do lektury swojego przewodnika.

— Męska toaleta jest w korytarzu za nami — powiedział, nie podnosząc oczu. — Zaraz za nią wyjście na dwór, na służbową drogę dla dostawców, prowadzącą na plac. Kilka metrów od drzwi odchodzi druga ścieżka. Biegnie wzdłuż skalnej ściany, potem skręca i niknie między drzewami. Trzydzieści lub czterdzieści metrów dalej dochodzi do ruin starej kapliczki. Wszystko tak, jak mówił Miguel. Kapliczka składa się z dwóch pomieszczeń. Każde z nich będzie odpowiednie na naszą małą pogawędkę z doktorem Foksem.

— Więc mimo wszystko chce pan zrealizować nasz plan? — spytał z niedowierzaniem Marten.

Prezydent nie podniósł wzroku znad książki.

— Tak.

— Kuzynie — Marten pochylił się do przodu i mówił półgłosem, ale z naciskiem — obawiam się, że nie docenia pan zagrożenia. Foxx podejrzewał, że pan tu przyjedzie, ale nie był pewien, dopóki ja się nie zjawiłem. Teraz nie mają już wątpliwości i z pewnością poinformowali o tym pańską ekipę „ratowników”. Bardzo możliwe, że czekają przyczajeni gdzieś w pobliżu, aż się pan ujawni, a wtedy ani się obejrzymy, jak pana zgarną i wywiozą w to swoje „bezpieczne miejsce”. Musimy stąd uciekać, kuzynie, i to jak najszybciej. Niech pan wyjdzie tylnymi drzwiami i zadzwoni po Miguela na jego komórkę, a potem poczeka na niego w jakimś zacisznym miejscu. I... że zacytuje naszego prezydenta: „Niech Bóg ma nas w swojej opiece”.

Harris zamknął książkę i popatrzył prosto na Nicholasa. W jego oczach widać było niezłomne postanowienie.

— W Hiszpanii jest sobota po południu. Konferencja NATO rozpoczyna się w poniedziałek rano w Warszawie. Zegar tyka szybko i coraz mniej czasu zostało nam na wyciągnięcie informacji od Foksa. Moi „wybawiciele” mogą przyjechać za kilka minut albo za parę godzin. Jeśli zjawią się za kilka minut, to i tak wypadniemy z interesu, jeśli za parę godzin, to mamy jeszcze czas, żeby coś zdziałać.

— Uprawia pan piekielny hazard, wie pan o tym, drogi kuzynie.
— O hazardzie można mówić tylko wtedy, kiedy człowiek ma wybór.
— Harris podniósł się niespodziewanie od stolika. — Nie każmy już dłużej czekać pocziwemu doktorowi.

91

13.40

Kiedy Marten z prezydentem weszli do sali, Merriman Foxx siedział przy stoliku sam i zapisywał coś w małym notesie elektronicznym. Demi, Beck i Luciana zniknęli, a stolik został uprzątnięty.

— Och, witam, panowie. — Foxx uśmiechnął się i wstał, tak samo jak wtedy, kiedy przyszedł Marten. — Jestem doktor Foxx, to zaszczyt pana poznać, panie prezydencie. — Pokazał ręką pusty stolik. — Niestety, moi towarzysze wyszli, ponieważ postanowili zwiedzić tutejsze zabytki. Moglibyśmy wprawdzie usiąść i pogawędzić, sądzę jednak, że dużo ciekawiej spędzimy czas, jeśli pokażę panom swoje laboratorium.

— Ma pan tu laboratorium? — zapytał zdumiony Nicholas.

— Owszem, jak również gabinet i niewielkie mieszkanie. — Foxx znowu uśmiechnął się ujmująco. — Wszystko dzięki uprzejmości zakonu. Znajduję tu spokojne miejsce do pracy oraz wytchnienie od nadmiernego zainteresowania, jak również niezasłużenie oskarżycielskich pytań, którymi od długiego czasu zasypuje się mnie w związku z działaniami Dziesiątej Brygady Medycznej.

— Zawsze interesowała mnie praca ludzkich rąk, doktorze — oznajmił chłodno prezydent.

— Mnie również, panie prezydencie. Tędy, proszę.

Foxx uśmiechnął się po raz kolejny i wskazał im drzwi. Nicholas rzucił prezydentowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten nawet na niego nie spojrzął.

13.45

Doktor poprowadził ich przez zatłoczony plac przed bazyliką, a następnie wąską kamienną uliczką, gdzie wzdłuż jednej ściany paliły się białe i czerwone świece wotywne.

Marten obejrzał się przez ramię, ale nikogo nie zauważył. Zdziwiło go, że Foxx szedł z nimi sam, bez ochrony, bez żadnych towarzyszy, choćby i Becka. Z drugiej strony, w Cafe Tripoli na Malcie również spotkał się z nim sam, jeśli nie liczyć Demi, wielebnego i młodej kobiety o imieniu Cristina, których zostawił przy stoliku. Ze słów Becka wynikało, że wyszedł również sam, pozostawiając duchownego, aby odprowadził kobiety do hotelu. Jak widać, najczęściej poruszał się sam, czy to na Malcie, czy tu, w Montserrat. Może miał po prostu taki nawyk. A może wynikało to z arogancji i zbytnej pewności siebie. Albo ze wszystkiego razem. W końcu był to znany Merriman Foxx, człowiek, który przez ponad dwadzieścia lat dowodził Dziesiątą Brygadą Medyczną i wszystkimi jej tajnymi operacjami. Ten sam Merriman Foxx, który jeszcze całkiem niedawno stał przed komisją Kongresu, przesłuchiwany w sprawie rozwiązania brygady. Ten sam, który osobiście nadzorował ohydne zabójstwo Caroline Parsons, a teraz był jednym z kluczowych graczy w szeroko zakrojonym planie ludobójstwa.

— Tędy, proszę.

To mówiąc, Foxx skręcił w boczną uliczkę, a dziesięć sekund później w następną. Wszystkie wyglądały tak samo: wąskie kamienne zaułki między wysokimi kamiennymi murami łączyły się i rozbiegały, ktoś nietutejszy miałby trudności z ich rozróżnieniem.

Im dalej zagłębiali się w ten labirynt, tym Marten bardziej się niepokoił. Już samo odnalezienie drogi powrotnej do miejsca, gdzie miał na nich czekać Miguel z samochodem, może nastreczyć im niemałych kłopotów, a co dopiero, jeśli będą się spieszyć. Przy ujmujących manierach i czarującym uśmiechu Foksa łatwo się zapominało, że pod tą ugrzecznioną fasadą kryje się przebiegły, bezwzględny i na swój sposób genialny morderca, który nie tylko zabił Caroline Parsons, ale zamieszany był w odrażający spisek uknuty przez „przyjaciół” prezydenta. Kto wie, dokąd ich prowadził i kto lub co na nich tam czeka?

W dodatku samo Montserrat również dodawało sytuacji powagi — z jednej strony miejsce kultu i turystyczna atrakcja, z drugiej, tak jak się Marten tego obawiał, małe odizolowane miasteczko ukryte na opustoszałej górze, kilometry od zamieszkanym miejsc. Człowiek mógł tu zniknąć w okamgnieniu i nigdy się nie odnaleźć.

Nicholas nie miał wątpliwości, że Harris doskonale zdaje sobie sprawę, w jakiej się znaleźli sytuacji, ma jednak na uwadze dużo ważniejsze sprawy niż ich osobiste bezpieczeństwo. Myśli wyłącznie o tym, aby znaleźć odpowiednie miejsce, gdzie mogliby przyprzeć Foksa do muru i przesłuchać.

Dlatego pozwolił się doktorowi prowadzić w nieznanym kierunku, zwłaszcza że szedł z nimi sam, bez Becka, ochrony czy kogokolwiek, kto mógłby im przeszkodzić. Z tego samego powodu, pomimo swych licznych obaw, Marten wiedział, że nie ma wyboru, jak tylko iść za prezydentem.

— Jesteśmy na miejscu, panowie.

Foxx zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami w kamiennej wnęce.

— Szczypta prywatności i odpoczynku od tłumów — powiedział z uśmiechem.

Odsunął drewnianą płytkę w ścianie i odsłonił zamek elektroniczny. Szybko wstukał kod, zasunął z powrotem płytkę, przekręcił żelazną galkę i otworzył drzwi. Weszli do dużego pomieszczenia, tonącego w półmroku, z wysokim, sklepionym sufitem. Pod jedną ścianą stał rząd drewnianych krzeseł z wysokimi oparciami, drugą zasłaniała biblioteka. Poza nimi jedynym meblem w pokoju było wielkie drewniane biurko z krzesłem ustawione pod przeciwległą ścianą. Obok niego, w kamiennej niszy, ozdobne, rzeźbione drzwi prowadziły do innego pomieszczenia.

— Przez wiele lat była to kościelna sala posiedzeń — powiedział półgłosem, prowadząc ich przez pokój w stronę wnęki. — Jakiś czas temu udostępniono mi ją na gabinet.

Przeszli do następnego pomieszczenia, a Foxx starannie zamknął za nimi drzwi. Ta sala była większa od poprzedniej i różniła się od tamtej znacznie. Miała mniej więcej siedem metrów szerokości i około dziesięciu długości. Nad dwudziestoma prostokątnymi stołami, na których wykwitwały dziwaczne szklane bąble, wisiały lampy umożliwiające wzrost roślin, emitujące niesamowite światło.

— Oto, nad czym obecnie pracuję, panowie. Chciałem, abyście mogli to zobaczyć na własne oczy. — Foxx wskazał ręką stoły. — Żadnych bakterii, żadnych zarodników, żadnych śmiertelnych komórek. Nic, co nadawałoby się do wykorzystania na wojnie. To, co robiłem kiedyś jako dowódca Dziesiątej Brygady Medycznej, miało służyć mojemu krajowi w okresie narastającego kryzysu narodowego. Począwszy od lat sześćdziesiątych borykaliśmy się nieustannie z szerzącą się działalnością partyzancką. Doszło do powstań w dawnych Koloniach w Mozambiku i Angoli, w Tanzanii i Zambii powstawały wojskowe obozy ćwiczebne, w większości finansowane i wspierane przez Kubę i Związek Radziecki. Stosowane przez nas metody walki z

rewoltami wcielali wcześniej w życie Francuzi w Algierii i Anglicy w Malezji i Kenii, ale one nie wystarczały do prowadzenia regularnej wojny, na którą się zanosilo. Musieliśmy opracować nowe i nowoczesne sposoby walki, łącznie z bronią chemiczną i biologiczną, ponieważ takie środki opracowywali nasi wrogowie.

— Co to takiego? — spytał niespodziewanie prezydent Harris, wskazując palcem stoły pokryte szklanymi półkulami, zupełnie jakby monolog Foksa był tylko czczą gadaniną.

— To, co zamierzałem panom pokazać, panie prezydencie. Żywność i energia przyszłości. Genetycznie zmodyfikowane sadzonki, z których w ciągu kilku tygodni można wyhodować dojrzałe rośliny niemal w każdym miejscu na Ziemi niewielkimi nakładami finansowymi, stanowiącymi ledwie ułamek obecnych kosztów. To owoce i warzywa dużo bogatsze w wartości odżywcze niż obecne produkty żywnościowe. Odmiany kukurydzy, soi, lucerny, słoneczników, truskawek, jagód, żurawiny. Dalej trawy i rośliny pastewne służące do kontrolowania erozji gleb, wzbogacania pastwisk i środowiska naturalnego. Wszystkie je można wyhodować szybko i łatwo na masową skalę, na każdej niemal glebie przy minimalnym nawodnieniu. W ten sam sposób można wyhodować niektóre odmiany kukurydzy, soi i orzeszków ziemnych jako szybko i tanio przetwarzalne paliwo ekologiczne, które z łatwością daje się produkować na skalę przemysłową, a które nie wytworzy efektu cieplarnianego. Pracujemy również nad koncepcją znaną jako „etanol celulozowy”, czyli produkcją paliwa z odpadów rolniczych: liści i łodyg kukurydzy, słomy, nawet drewna.

Do tej pory uwaga Foksa była skupiona na prezydencie, teraz przeniósł je na Martena.

— Oskarżył mnie pan na Malcie o eksperymentowanie na ludziach. I miał pan rację, eksperymentowałem na ludziach, ale tylko śmiertelnie chorych i to za ich zgodą. Próbowałem uratować im życie, aby potem móc ratować swój naród. Jednakże te badania są już od dawna przeszłością. Wszystkie zespoły badawcze zostały rozwiązane, a dokumentacja zniszczona. Wiele osób, które brały w nich udział, zmarło. Przez dwadzieścia lat, które minęły od tamtej pory, w obliczu kolejnych nieuzasadnionych oskarżeń i podejrzeń ze strony ludzi, którym brakuje zrozumienia lub którzy kierują się egoistycznymi politycznymi celami, poświęcałem się samotnej pracy na Malcie lub tutaj, w Montserrat, nie dla wojny, tylko dla dobra i przyszłości naszej planety i żyjących na niej istot.

— Samotnej pracy? — zapytał Marten.

Pozornie miał na myśli pracę naukową Foksa, w rzeczywistości jednak chciał zobaczyć, jak doktor zareaguje. Próbował wysondować, czy mogą się tu gdzieś kryć ludzie, których oni nie widzą, a którzy czekają tylko na jego znak.

Foxx od razu zrozumiał dwuznaczność pytania.

— Pyta pan, czy mam tu jakąś ochronę?

Prezydent odpowiedział szybko w imieniu Martena.

— Pyta, czy współpracuje pan z innymi naukowcami.

— Naturalnie — odparł uprzejmie Foxx. — Przyjeżdżają od czasu do czasu na konsultacje, niektórzy częściej, inni rzadziej, wszyscy natomiast pracują jako wolontariusze. Porozumiewamy się prawie wyłącznie przez Internet. — Popatrzył z rezerwą na Martena, a potem z powrotem na prezydenta. — A co do samej pracy, to jeśli nadal mi pan nie dowierza, zapraszam do obejrzenia innych eksperymentów, które tu prowadzę i które znajdują się obecnie na różnych etapach. Mam dzienniki, notatki i dokumentację całej swojej działalności. Może pan wszystko przejrzeć. Muszę jednak panów prosić, aby nie mówili nikomu o tym, co tu zobaczą. Nic z tych rzeczy nie może się wydostać na zewnątrz, dopóki nie zakończę badań, nie zamknę dokumentacji i nie otrzymam patentów. Kiedy to nastąpi, prawa do nich zostaną przekazane Organizacji Narodów Zjednoczonych. A zyski, jak może pan sobie wyobrazić, będą oszałamiające.

— Wygląda pan na bardzo bezinteresownego, doktorze — zauważył prezydent Harris. — Owszem, chciałbym obejrzeć resztę: eksperymenty, notatki, dzienniki. Wszystko.

— Bardzo proszę.

92

14.00

Foxx poprowadził ich w stronę następnych drzwi, tym razem nie drewnianych, lecz wykonanych z czegoś, co wyglądało na wypolerowany ciemny metal. Wyjął z kieszeni marynarki kartę magnetyczną i przeciągnął ją przez elektroniczny czytnik w ścianie. Drzwi się natychmiast rozsunęły i odsłoniły długi, niski korytarz o nierównych ścianach z piaskowca, najwyraźniej wydrążony w litej skale. Oświetlały go gołe żarówki zamocowane byle jak do stropu co kilka metrów.

— To jeden z korytarzy dawnej kopalni. Większość tuneli, wykutych w tych górach prawie sto lat temu, jest od dawna nieużywana i zamknięta. Nie wiele ludzi w ogóle wie o ich istnieniu. Mieliśmy sporo szczęścia, że udało nam się jeden przystosować do naszych celów — powiedział Foxx, pochylając się nisko, aby poprowadzić ich po drewnianym pomoście ustawionym nad mokrym dnem tunelu między nierównymi kamiennymi ścianami, z których tu i ówdzie kapiała woda. — Niegdyś większość tego obszaru stanowiła część Morza Śródziemnego. Z wyższych rejonów spływała kiedyś do zatoki spora rzeka, która wydrążyła w skale duże podmorskie jaskinie. Teraz, po kilkuset latach, jaskinie znajdują się już znacznie powyżej poziomu morza. Są suche, powietrze jest w nich świeże i panuje stała temperatura. Wszystko to razem wzięte, w połączeniu z wielkością tych grot oraz pewnym odizolowaniem od środowiska naturalnego, stwarza tu niemal idealne warunki do moich badań.

O ile wcześniej Marten się niepokoił, o tyle teraz denerwował się podwójnie. Labirynt przyklastornych uliczek był niczym w porównaniu z tym miejscem, całkowicie ukrytym przed ludźmi, dokąd wchodziło z groźnym przestępcą. Nieważne, czy Foxx miał tu współników czy nie, Nicholas czuł, że w ten czy inny sposób idą prosto w jakąś pułapkę. Każdy kolejny krok był coraz większą lekkomyślnością. Jeszcze raz posłał prezydentowi ostrzegawcze spojrzenie.

Jak poprzednio, tak i teraz Harris zignorował jego znaki. Przyglądał się za to z ogromnym zainteresowaniem tunelowi: nierównym, wykutym ścianom, gliniastemu podłożu, niskiemu, poszarpanemu stropowi.

Czy się to podobało prezydentowi, czy nie, Marten doszedł do wniosku, że musi czym prędzej interweniować.

— Panie prezydencie — powiedział stanowczo — sądzę, że doszliśmy już...

— Jesteśmy na miejscu, panowie.

Foxx niespodziewanie skręcił w boczny korytarz i stanęli przed następnymi metalowymi drzwiami. Znowu doktor wczytał kartę otwierającą zamek. Tak jak poprzednio, drzwi się rozsunęły i odsłoniły przepastną komnatę, dwukrotnie większą od tej, którą niedawno opuścili.

Foxx wszedł do środka pierwszy. Wtedy Nicholas chwycił prezydenta za ramię i pociągnął go w tył.

— Wszystko w porządku, kuzynie — powiedział cicho Harris i poszedł za Foksem do jaskini.

Marten zaklął pod nosem i ruszył za nim. Sekundę później drzwi się za nimi zamknęły.

Patrzyli na morze stołów pokrytych bąblami, wypełniających pomieszczenie, które musiało mieć co najmniej trzydzieści metrów długości, dwadzieścia szerokości i około siedmiu wysokości. Na drugim końcu stały metalowe klatki różnej wielkości.

— Tak, to prawda — przyznał Foxx. — Przeprowadzałem trochę eksperymentów na zwierzętach. Ale teraz już tego nie robię.

— Czy władze klasztoru wiedzą o istnieniu tych sal? — spytał Marten.

Foxx uśmiechnął się.

— Jak już mówiłem, zakon w swojej uprzejmości zaopatruje mnie we wszystko, czego potrzebuję.

Marten zauważył, że prezydent rozgląda się uważnie po grocie, tak samo jak poprzednio w tunelu. Oglądał z grubą ciosane ściany z wapienia, strop, podłogę. Nagle zainteresował się dużym warsztatem ze stali nierdzewnej z ciężkimi drewnianymi słupami na jednym końcu i mechanicznym bębniem na drugim. Między nimi, nad dwiema szynami, które biegły przez całą długość blatu, zamontowany był drugi kawał blachy.

— Co to jest, doktorze? — zapytał prezydent.

— Stół produkcyjny.

— Wygląda na jakieś średniowieczne łoże tortur.

— Łoże tortur? No cóż, chyba że do torturowania roślin. — Foxx znowu zaprezentował swój przymilny, czarujący uśmiech. — Na blacie z nierdzewnej stali rozsypuje się nasiona, a następnie nakrywa specjalną plastikową płachtą. Bęben się rozgrzewa i przesuwając się nad plastikowym przykryciem, nagrzewa nasiona do temperatury, w której osiągają gotowość do natychmiastowego sadzenia w specjalnym podłożu, podobnym do tego, którego używamy w rozsadnikach w drugiej sali. Jest więc to pewnego rodzaju inkubator, podobnie jak wszystko inne w moim laboratorium, wydajny, nowatorski i nieszkodliwy.

Harris zerknął przelotnie na Martena, a potem z powrotem odwrócił się do Foksa.

— Szczerze mówiąc, wolę pomysł z łożem tortur. Można człowieka do niego przymocować i wymusić wyznanie grzechów.

W jednej chwili Marten zrozumiał, dlaczego prezydent ignorował jego wcześniejsze ostrzeżenia i dlaczego tak się rozglądał w tunelu i tutaj. Szukał kamer, mikrofonów i innych środków nadzoru. Ze wszystkich ludzi on najlepiej powinien wiedzieć, czego szukać — Secret Service zapoznała go prawdopodobnie ze wszystkimi sztuczkami, jakie ma w swoim arsenale. Właśnie

dzięki tej wiedzy, połączonej z charakterem i doświadczeniem w dziedzinie budownictwa, udało mu się uciec z hotelu w Madrycie. Nicholas martwił się, że zostali odcięci od świata i Foxx wciągnie ich w pułapkę. Tymczasem prezydent widział sytuację odrotnie — to doktor został z nimi sam. Harris toczył tę samą twardą grę, którą rozpoczął, przyjeżdżając tu, aby się spotkać z Foksem.

— Chcielibyśmy z panem porozmawiać, doktorze — powiedział spokojnie. — Proszę nam opowiedzieć o swoich planach dotyczących państw arabskich.

— Słucham? — zapytał Foxx, jakby nie rozumiał.

— Chcę, żeby opowiedział nam pan o swoim planie, który uknuł razem z moimi waszyngtońskimi „przyjaciółmi”, mającym na celu spustoszenie Bliskiego Wschodu.

— Rozczarowuje mnie pan, panie prezydencie. — Foxx znowu się uśmiechnął. — Właśnie usiłowałem panu udowodnić, że przez ostatnie dwadzieścia lat moją jedyną troską było dobro, zdrowie i dobrobyt wszystkich mieszkańców tej planety.

Niespodziewanie prezydent wpadł w gniew.

— Nie wykręci się pan w ten sposób.

— Co pan podał Caroline Parsons? — spytał nagle Marten.

— Już mnie pan pytał o coś w tym rodzaju. Nie mam pojęcia, o kim i o czym pan...

— O Centrum Rehabilitacji Silver Springs w Marylandzie. Pomagała panu doktor Lorraine Stephenson.

— Nigdy nie słyszałem o tym miejscu. A jak już panu powiedziałem na Malcie, nie znam również żadnej doktor Stephenson

— Proszę wyciągnąć lewą dłoń — warknął Marten.

— Słucham?

— Proszę pokazać lewą dłoń. Kciukiem do góry. Chcę, aby prezydent zobaczył tatuaż. Znak Aldebarana.

Foxx zjeżył się niespodziewanie. Nicholas widział, jak wzbiera w nim gniew, tak samo jak w Cafe Tripoli na Malcie.

— Wystarczy tego, panowie. Zakończyliśmy zwiedzanie. Odprowadzę panów do wyjścia.

Odrzucił się i szybko ruszył do drzwi. Jednocześnie wyciągnął z kieszeni marynarki małe elektroniczne urządzenie i zaczął do niego mówić.

14.13

Marten doskoczył do Foksa w ułamku sekundy. Złapał go za szyję i z całej siły nacisnął przedramieniem na tchawicę, aby odciąć dopływ powietrza. Foxx krzyknął zdumiony i zaczął się szarpać. Urządzenie, które wyjął z kieszeni, upadło na ziemię. Marten tymczasem jeszcze bardziej zacisnął ramię. Pierś Foksa unosiła się gwałtownie, kiedy usiłował złapać powietrze. Nagle Nicholas nacisnął mu naczynia krwionośne po obu stronach szyi. Foxx wierzgał i kopał, ale na próżno. Jedna sekunda, dwie, trzy. Potem zwiotczał w ramionach Nicholasa.

Marten spojrział na prezydenta.

— Szybko!

Harris wyciągnął ze spodni pasek, obszedł Martena od tyłu i ściągnął ręce doktora za plecami. Potem — jakby znów się znalazł w Kalifornii za czasów swojej młodości i wiązał nogi wołu — skrzyżował mu dłonie jedna na drugiej i przewiązał kilka razy paskiem. Kiedy skończył, dźwignęli swojego więźnia i położyli go na metalowym warsztacie, związane ręce przełożyli przez jeden z metalowych słupków.

14.16

Pół minuty później, stękając i kaszląc, kiedy jego płuca usiłowały nabrać powietrza, Foxx zaczął odzyskiwać przytomność. Jeszcze minuta i w głowie mu przejaśniało, a przed oczami zamajaczyły twarze kuzyna Jacka i kuzyna Harolda. Spojrział przytomniej na Martena.

— To był policyjny chwyt — wycharczał. — Pan był kiedyś policjantem, a może nadal nim jest.

Prezydent, zaciekawiony, spojrział na Martena, ale ten udał, że tego nie zauważył. Patrzył na Foksa.

— Chcę wiedzieć, co pan planował w krajach muzułmańskich.

Przez dłuższą chwilę Foxx nie odpowiadał, a jego twarz pozostawała bez wyrazu, aż nagle przeobraziła się w szeroki, aroganckim, wyzywającym uśmiechu. Był to mrozący krew w żyłach uśmiech szalonego naukowca, zdolnego przeprowadzić najbardziej przerażający plan masowej zagłady i czerpać z tego przyjemność.

— Tylko same akty dobrej woli, panowie.

— Spróbuję jeszcze raz: co pan i pańscy przyjaciele z Waszyngtonu knuli na Bliskim Wschodzie. Jaką akcję zamierzaliście przeprowadzić w krajach muzułmańskich?

Foxx przenosił wzrok z jednego na drugiego.

— Ostatnia szansa, doktorze — oznajmił prezydent.

Foxx zatrzymał na nim wzrok.

— Widzę, że pan Marten nakładł panu do głowy dziwacznych pomysłów.

Prezydent wziął głęboki oddech i spojrzał na Nicholasa.

— Myślę, że powinniśmy kontynuować, kuzynie.

To powiedziawszy, szybkim ruchem wyjął półlitrową butelkę wody mineralnej Vichy Catalan, którą kupił w restauracji, i wręczył ją Martenowi.

Nicholas wziął ją do ręki i przeszył Foksa surowym spojrzeniem.

— Woda gazowana, eon gas, jak tutaj mówią. Może dosyć prymitywna metoda dla kogoś takiego jak pan. Pokazał mi ją kiedyś stary policjant z pogranicza. Stosował ją, aby zmusić do mówienia handlarzy narkotyków i przemysłowców. Zwykle skutkowało.

Foxx popatrzył na butelkę. Jeśli wiedział, co teraz nastąpi, to nie dał tego po sobie poznać.

— Po raz ostatni, doktorze Foxx — powiedział powoli prezydent. Nie chciał żadnych nieporozumień. — Co pan planował w krajach muzułmańskich?

— Pokój na ziemi. — Uśmiechnął się Foxx. — Akt dobrej woli wobec ludzkości.

Nicholas spojrzał na Harrisa.

— Ma pan serwetkę z restauracji?

— Tak.

— Zwierzęta zagrodowe nie lubią zastrzyków od weterynarza. Trzeba je mocno trzymać. Doktorowi też się nie spodobają. Niech pan mu włoży serwetkę w usta, złapie go za głowę i trzyma z całej siły.

Potem sprawy potoczyły się szybko i nieprzyjemnie. Prezydent wyciągnął z kieszeni białą serwetkę i przyłożył Foksowi do ust, ale ten zacisnął zęby z całej siły i wykręcił głowę w bok. Marten wahał się tylko przez ułamek sekundy. Złożył dłoń w pięść i wałnął doktora w żołądek niczym młotkiem. Foxx krzyknął, a wtedy Harris wcisnął mu serwetkę w rozwarte usta.

W tym samym czasie Marten odkręcił nakrętkę butelki, przyłożył kciuk do wylotu i mocno potrząsnął. Bąbelki powietrza w środku zakłębiły się i

zagęściły, mieszanina, która powstała w butelce, utworzyła niemal bombę ręcznej roboty. Foxx próbował się wyrwać, ale prezydent trzymał mu głowę jak w imadle. Nicholas jeszcze raz potrząsnął butelką, podstawił ją Foksovi pod nos i odjął palec.

Sprężony gaz zmieszany z wodą mineralną wystrzelił prosto w nozdrza doktora. Foxx jęknął z potwornego bólu w zatokach, w przedniej części mózgu. Zaczął się rzucać dziko i kopać, próbując się wyrwać, wypluć serwetkę z ust. A im mocniej się szarpał, tym mocniej Marten atakował. Raz po raz potrząsał butelką i wpuszczał gazowaną wodę na przemian do jednej dziurki i do drugiej. Foxx był silny, tak jak uprzedzał prezydent, a Marten zauważył w restauracji. W pewnej chwili szarpnął się w tył, podciągnął kolano i walnął nim prezydenta w twarz. Harris krzyknął i zatoczył się w tył, ale szybko odzyskał równowagę i z powrotem złapał doktora, który wił się i cały czas usiłował wypluć z serwetkę, aby nabrać powietrza ustami i uniknąć ataków Martena.

— Wystarczy — powiedział prezydent.

Nicholas nie zareagował. Znowu przyłożył kciuk do wylotu butelki, potrząsnął, podstawił otwór pojemnika pod nos doktora, zabrał palec i wypuścił fontannę gazowanej wody.

— Powiedziałem: dosyć! Chcę dostać odpowiedź, a nie trupa!

Nagle oczy uciekły Foksovi w głąb czaszki, przestał się rzucać.

— Dość! — Prezydent puścił Foksa, a zamiast tego złapał Martena i pociągnął go w tył. — Dosyć tego, do diabła!

Marten zatoczył się do tyłu i popatrzył na prezydenta szeroko otwartymi oczami, niczym zawodowy bokser wepchnięty do narożnika, oszołomiony, nierozumiejący, dlaczego przzerwano walkę. Dyszał ciężko, nie mógł oderwać oczu od swojej pokonanej ofiary.

Harris stanął przed Nicholasem i zasłonił Foksa. Popatrzył mu w twarz.

— Dał się pan ponieść gniewowi za to, co on zrobił Caroline Parsons. Nie winię pana, ale w tej chwili musi pan zapomnieć o swoich uczuciach.

Marten nadal nie reagował. Prezydent przysunął twarz jeszcze bliżej, tak że prawie dotykali się nosami.

— Za chwilę go pan zabije, jeśli już tego nie zrobił. Rozumie mnie pan?

Powoli Marten się opamiętał.

— Przepraszam — powiedział.

Harris odczekał jeszcze chwilę, po czym odwrócił się do Foksa.

Doktor leżał z głową odchyloną do tyłu, błyskając białkami. Z nosa na stół wyciekał mu śluz i resztki wody mineralnej. Prychał, próbując nabrać powietrza, a jednocześnie pozbyć się z nosa i zatok resztek płynu.

Harris pochylił się nad nim szybko i wyciągnął mu serwetkę z ust. Rozległo się głośne sapnięcie, kiedy Foxx rozpaczliwie wciągnął powietrze.

— Słyszysz mnie pan, doktorze? — spytał prezydent. Foxx nie odpowiedział.

— Doktorze Foxx, czy pan mnie słyszy?

Przez dłuższą chwilę nie było żadnej reakcji, aż w końcu naukowiec ledwo zauważalnie skinął głową. Prezydent podtrzymał mu głowę i Foxx spojrział przytomnie na Harrisa.

— Poznaje mnie pan?

Doktor znowu delikatnie skinął głową.

— Może pan oddychać?

Znowu kiwnięcie, tym razem trochę energiczniejsze. Zaczął też spokojniej łapać powietrze.

— Chcę wiedzieć, co za akcję planuje pan przeprowadzić na Bliskim Wschodzie. Kiedy ma to nastąpić, gdzie dokładnie i kto jeszcze bierze w tym udział? Jeśli mi pan nie powie, powtórzmy całą procedurę od nowa.

Foxx nie odpowiedział. Leżał i bez słowa wpatrywał się w prezydenta. Potem powoli przeniósł wzrok na Martena i znowu znieruchomiał.

— Co pan zamierza zrobić w krajach arabskich? — powtórzył prezydent. — Kiedy to ma nastąpić? Gdzie? Kto poza panem jest w to zamieszany?

Foxx leżał w milczeniu i bez ruchu i patrzył na Martena. Potem jego oczy powędrowały w stronę Harrisa. Otworzył usta.

— Dobrze — szepnął. — Powiem wam.

Prezydent i Nicholas popatrzyli na siebie z ulgą. Nareszcie. W końcu dostaną odpowiedź.

— Proszę mi opowiedzieć wszystko, każdy szczegół — zażądał prezydent. — Co zaplanowaliście na Bliskim Wschodzie?

— Śmierć — powiedział Foxx beznamietnie.

Po czym rzucił szybkie, ostre spojrzenie Martenowi i z całej siły zagryzł zęby.

— Usta! — krzyknął Marten i doskoczył do Foksa. — Otwórzmy mu usta!

Odepchnął oszołomionego prezydenta na bok i złapał Foksa za szczękę.

Z całej siły próbował rozerwać zaciśnięte zęby doktora, ale za późno. Cokolwiek to było, działało błyskawicznie. Merriman Foxx już nie żył.

94

14.25

Hap Daniels wyprzedził autokar wycieczkowy i wcisnął pedał gazu wynajętego audi; jechał stromą, krętą drogą wiodącą do klasztoru benedyktynów w Montserrat. Kiedy dotrze na miejsce, jego zadanie będzie przypominało szukanie igły w stogu siana. Musiał z tłumu turystów wyłowić łysawego Johna Henry'ego Harrisa i Nicholasa Martena, którego widział tylko raz w życiu i to przez krótką chwilę.

Jednocześnie będzie szukał atrakcyjnej francuskiej fotoreporterki, Demi Picard, która według opisu konsjerża z hotelu Regente Majestic miała krótkie ciemne włosy, ubrana była w granatowy blezer i jasno-brązowe spodnie i podróżowała w towarzystwie czarnoskórego mężczyzny w średnim wieku oraz starszej Europejki. Można było dodać do tego kilka faktów: że opierał się na szczątkowych informacjach, które mogły być prawdziwe, ale nie musiały; że jechał w miejsce, którego nigdy przedtem nie widział, i że na nogach trzymała go kawa, adrenalina i dwudziestominutowa drzemka.

Wyprzedził następny autokar, kilka samochodów i z piskiem opon wziął kolejny ostry zakręt. Spojrzał w górę na piętrzące się nad nim skały i na mgnienie oka zobaczył klasztor i zbocza góry, w które był wbudowany. Nie potrafił ocenić, ile jeszcze go czeka na tej drodze zakrętów i jak długo będzie jechał.

Swemu zastępcy, Billowi Strąkowi, opowiedział bajeczkę, że zastępca dyrektora Secret Service, Ted Langway, który cały czas siedzi w ambasadzie w Madrycie:

— ...od rana zawraca mi dupę o szczegółowy raport (co było prawdą). Właśnie przed chwilą znowu zadzwonił (co już się z prawdą miało), więc nie mam wyboru i muszę z nim pogadać. Jadę do hotelu, załatwię z nim sprawę, potem wezmę prysznic i prześpię się trochę porządniej, może uda mi się złapać kilka godzin. Dzwoń do mnie na komórkę, gdybyś czegoś potrzebował.

To powiedziawszy, zostawił Straita na posterunku, ustalił wytyczne co

do koordynowania współpracy swoich ludzi z ludźmi wiceprezydenta przylatującego o trzynastej na lotnisko w Barcelonie, po czym pojechał do hotelu Colon, gdzie Secret Service zarezerwowała kilka pokoi. Wziął szybki prysznic, przebrał się, po czym zabrał broń i wyszedł bocznymi drzwiami. Piętnaście minut później wyjeżdżał z Barcelony wynajętym ciemnoczerwonym audi w stronę klasztoru Montserrat. Było wtedy siedem po pierwszej. Siedem minut po tym, jak wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, Hamilton Rogers, wylądował w Barcelonie.

14.28

— Kapsułka z trucizną. Umieszczona w prawym górnym zębie trzonowym. — Marten odwrócił się od zwłok Merrimana Foksa w stronę prezydenta. — Aby ją uaktywnić, wystarczyło mocno nagryźć. Bałem się wcześniej, że może coś takiego zrobić, ale nie przypuszczałem, że ma implant.

— Jeśli kiedykolwiek można było mieć jakieś wątpliwości, czy ci ludzie są rzeczywiście w coś zamieszani, to w tej chwili wszystkie zostały rozwiane — powiedział prezydent ponuro. — To przypomina ugrupowanie naziistowskie z drugiej wojny światowej. Hitler, Goebbels, Himmler wcielili w życie ludobójcze plany, a w tym czasie doktor Mengele prowadził swoje przerażające eksperymenty w obozach zagłady. Kto wie, co by się stało, gdyby zaczął je wykorzystywać na masową skalę?

— Różnica polega na tym, że nasz doktor Mengele nie żyje.

— Ale jego plan nie umarł razem z nim — zauważył prezydent. — I nie dowiedzieliśmy się o nim dosłownie niczego.

Odwrócił wzrok i stał w milczeniu jakby nieobecny. Widać było, że zastanawia się, co robić dalej.

Marten przyglądał mu się w milczeniu. Wiedział, że zachował się zbyt brutalnie w stosunku do Foksa. Prezydent miał rację, dał się ponieść emocjom. Śmierć Caroline, to, ile dla niego znaczyła przez tak długi czas, spotęgowało jego gniew. Z drugiej strony jednak, jak widać, Merriman Foxx od dawna był przygotowany na to, aby odebrać sobie życie, jeśli będzie musiał. Był profesjonalistą w dziedzinie zadawania ludziom bólu i zdawał sobie sprawę z własnych fizycznych ograniczeń, z istnienia progu, powyżej którego się załamał. Dlatego wszczepił sobie implant z trucizną: nie z lęku przed śmiercią, ale z obawy, że pod wpływem bólu zdradzi informacje, które zaszkodzą „sprawie”. W tym świetle uwaga prezydenta o zaangażowaniu tych

ludzi nabierała jeszcze groźniejszej wymowy. To nie była garstka fanatyków, tylko część doskonale zorganizowanej, hojnie finansowanej i wyjątkowo niebezpiecznej organizacji.

— Panie prezydencie — powiedział nagle Marten. — Moim zdaniem musimy się liczyć z tym, że Foxx poinformował pańskich waszyngtońskich „przyjaciół” o pańskiej obecności. — Podszedł do blackberry, który doktor wyjął z kieszeni, a potem upuścił. — Założę się, że właśnie chciał się z nimi skontaktować, kiedy go dopadłem. Jeżeli nie otrzymają od niego wiadomości, zjawią się tu bardzo szybko. Powtarzam to, co mówiłem wcześniej: musimy zadzwonić do Miguela i jak najszybciej się stąd wydostać. Wracajmy między turystów i ukryjmy się do jego przyjazdu.

— Nie wierzę, żeby zrezygnowali z całej operacji z powodu zabicia jednego człowieka — powiedział prezydent spokojnie, jakby nie słyszał, co mówił Marten. — Zwłaszcza z operacji na taką skalę, jaką planują. Myślę, że Foxx też by na to nie pozwolił.

Odwrócił się, minął stoły z bąblami dla roślin i podszedł do klatek na drugim końcu sali.

— Jeśli to miejsce pełniło funkcję jego kwatery głównej, to powinien gdzieś tu przechowywać również całą dokumentację, prawdopodobnie w wersji cyfrowej, jako plik komputerowy.

— Do diabła, kuzynie — rozzłościł się Marten — Znowu pan to robi. Czy chce pan w to wierzyć, czy nie, pańska ekipa „ratownicza” już tu jedzie. A kiedy tu dotrą, zabiją pana.

— Panie Marten, drogi kuzynie — prezydent mówił spokojnie i bez emocji. — Doceniam to, co pan próbuje zrobić, i to, co pan już zrobił, ale gdzieś tutaj przypuszczalnie są ukryte bezcenne informacje. Nie mogę zaprzepaścić szansy zdobycia takich dowodów. Jeśli chce pan odejść, w pełni to zrozumieję.

— Jeśli chcę odejść? — W Nicholasie aż zawrzało. — Usiłuję chronić życie prezydenta Stanów Zjednoczonych. To znaczy pana, na wypadek gdyby pan zapomniał.

— Musi pan coś zrozumieć, kuzynie. Ten prezydent nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć się stąd choćby na krok, dopóki nie zrobi wszystkiego, co w jego mocy, aby poznać plany tych ludzi.

Marten przyglądał mu się przez dłuższy czas. Owszem, niewykluczone, że w tej jaskini mogą trafić na coś, co zdradziłoby im zamiary Foksa, jednak dużo prawdopodobniejsze było, że nie znajdą niczego. Mogliby tu spędzić

godziny albo i dni, szukając jakiegoś tropu, tymczasem dla nich liczyła się każda minuta. Z drugiej strony, musieli choćby spróbować. Westchnął z rezygnacją.

— Jeśli Foxx przechowywał tu pliki z informacjami — powiedział — to na pewno nie trzymał ich w pierwszym gabinecie.

— Zgadzam się. — Harris uśmiechnął się do siebie w duchu. Z ulgą przyjął, że Marten zostaje w grze. — Z kolei w obydwu salach laboratoryjnych widzieliśmy tylko sprzęt do eksperymentów.

— To znaczy, że gdzieś tu musi być jeszcze co najmniej jedno, ukryte pomieszczenie.

Nicholas wsunął do kieszeni blackberry Foksa, potem podszedł do zwłok, przewrócił je na plecy i wyjął z kieszeni marynarki doktora kartę magnetyczną, której tamten użył, aby wejść do pracowni. Wręczył ją prezydentowi.

— Nie sędzę, żeby zdążył wszystko pozamykać.

95

W TYM SAMYM CZASIE, 14.35

Hap Daniels wjechał wynajętym audi na parking pod klasztorem, zastawiony samochodami osobowymi i autokarami wycieczkowymi. Przed sobą i nad głową widział kamienne budowle tworzące maleńkie miasteczko. Jadąc powoli, skupił się na szukaniu wolnego miejsca.

W każdej innej sytuacji podjechałby prosto do ochrony, wylegitymował się i poprosił o pomoc. Parkowaniem nie przejmowałby się w ogóle. Tym razem nie chciał nikomu mówić, kim jest ani po co tu przyjechał. Musiał jednak znaleźć miejsce, gdzie zaparkuje samochód tak, aby mu go nie odholowano i aby mógł w razie potrzeby sprawnie i bez kłopotu wyjechać. Nie pozostało mu więc nic innego, jak krążyć po parkingu dotąd, aż znajdzie wolne miejsce lub zauważy kogoś, kto wyjeżdża.

Właśnie skończył jedno okrażenie i wracał do rzędu, którym już raz przejeżdżał, kiedy zadzwoniła jego komórka. Odebrał natychmiast.

— Daniels, słucham.

— Hap, tu Bill — zatrzeszczał w telefonie głos Straita.

— O co chodzi?

— Zlokalizowano Opryskiwacza.

— Co? — Danielsowi serce podskoczyło do gardła.

— Jest w klasztorze Montserrat, w górach niedaleko Barcelony.

Dwie ekipy CIA w śmigłowcach są już w drodze. Będą na miejscu piętnaście po trzeciej.

— Bill — zapytał Hap — skąd masz tę informację? Kto ci o tym powiedział?

— Sekretarz generalny w Madrycie.

— A jak on się o tym dowiedział, co?

— Nie wiem.

— Kto wydał rozkaz CIA?

— Dokładnie?

— Tak.

— Tego też nie wiem. Wszystko przyszło z Madrytu.

— Powinni najpierw zgłosić to nam.

— Wiem, ale nie zgłosili.

— Dwie ekipy to za mało.

— Z Madrytu wysłali już więcej.

— Mówili, w jakim stanie jest Opryskiwacz?

— Nie.

Nagle Daniels zobaczył przed sobą zieloną toyotę zwalniającą miejsce. Dodał gazu i audi wystrzeliło do przodu. Po chwili zahamował gwałtownie i zablokował drogę za sobą, aby nikt go nie uprzedził, jednocześnie czekając, aż toyota wyjedzie.

— Hap, wezwaliśmy już własny helikopter. Potrzebujemy cię tu. Startujemy do Montserrat o piętnastej dwadzieścia.

— Dzięki, Bill — powiedział Hap i rozłączył się. — CIA? — spytał do siebie na głos.

I tylko dwie ekipy? Ciekawe, kto to: zwykli agenci operacyjni czy jakaś specjalnie dobrana banda spod skrzydeł sekretarza obrony i pozostałych. Jak głęboko sięga ta cała afera, jaki ma zasięg? Po czyjej stronie stoi Bill Strait? Jak ma mu powiedzieć, że nie stawi się na lot do Montserrat, ponieważ już tu jest?

W tym momencie toyota przestała się cofać i odjechała, Daniels ruszył i zaczął wjeżdżać na jej miejsce, gdy ni stąd, ni zowąd wypadł skądś motocykl z koszem i błyskawicznie wcisnął się na jej miejsce. Hap gwałtownie wcisnął hamulec.

— Hej! Ja tu wjeżdżałem! — wrzasnął przez otwarte okno.

— Kto pierwszy, ten lepszy — burknął opryskliwie motocyklista i zsiadł z pojazdu.

— Ja byłem pierwszy!

Nie zwracając na niego uwagi, mężczyzna zdjął kask i zamknął go w bagażniku motocykla.

— Psiakrew, zabieraj pan stąd tego grata!

Hap pchnął drzwiczki samochodu i wysiadł, ale motocyklista odszedł szybko i zniknął w tłumie turystów na placu przed bazyliką.

Hap patrzył wściekle za tamtym, z trudem trzymając nerwy na wodzy i prawie odchodząc od zmysłów.

— Jeszcze cię dopadnę, draniu — wycedził przez zęby. — Któregoś dnia cię znajdę i dostaniesz za swoje!

96

14.50

Były tylko obrazy i kolory, jak gdyby unosiła się we śnie. Demi pamiętała zaledwie część z tej układanki.

— Mamy kilka spraw do załatwienia — powiedział Beck dosłownie kilka sekund po tym, jak Nicholas Marten wyszedł z pokoju w restauracji Abat Cosneros, żeby znaleźć prezydenta. Demi błyskawicznie zebrała aparaty fotograficzne i torbę z resztą sprzętu, po czym wyszła za Beckiem i Lucianą. Chwilę później przechodzili przez plac przed bazyliką, kierując się w stronę stacji kolejki linowej, wjeżdżającej wyżej, nad klasztor, do starej pustelni Świętej Joanny.

Kiedy weszła do zielonego wagoniku, wpadła w stan dziwnej euforii, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła. Prawie jednocześnie napłynęły kolory, a cała rzeczywistość — wielebny Beck, Lucianą, klasztor, kolejka i turyści tłoczący się w środku — zaczęła się rozpywać. Może coś było w kawie, ta przelotna myśl szybko rozsypała się w kojącej, halucynacyjnej mgle na wpół przezroczystego szkarłatu, turkus, a potem sjeny. Po nich spłynął powolny, łagodnie wirujący granat zabarwiony delikatną żółcią.

Gdzieś na pograniczu pamięci razem z barwami falowało mgliste wspomnienie ruin starego kościoła i małego srebrnego SUV-a zaparkowanego na poboczu wąskiej górskiej drogi. Przy samochodzie stał przystojny kierowca. Wielebny Beck pomógł jej wsiąść na tylne siedzenie. Czowała, jak samochód rusza, a potem przyspiesza na nierównej drodze. Beck siedział chyba koło niej, a Lucianą z przodu, obok kierowcy.

Wkrótce jechali po długim kamienistym płaskowyzu. Przecięli bystry górski strumień i w gęstym lesie zaczęli podjeżdżać pod górę. A potem znowu zjeżdżali do niewielkiej kotliny porosłej wiosenną trawą i zasnutą cienką

warstwą mgły. Wkrótce przejechali pod wysoką sklepioną bramą z kamienia i zatrzymali się przed następnymi ruinami starego kościoła zbudowanego u podstawy wysokiej skały. Wysiedli z samochodu i Beck poprowadził ich krętą ścieżką w górę.

Minęli wysoką ścianę skalną, przeszli po naturalnym kamiennym moście, po którym obu stronach ziała kilkudziesięciometrowa przepaść. Drugi koniec mostu tonął w głębokim mroku i kiedy się tam znaleźli, Demi zobaczyła wejście do wielkiej groty. Po obydwu stronach na straży stało kilku mnichów w ciemnych habitach z kapturami.

— La iglesia dentro de la montaña — powiedział Beck, kiedy weszli. — Kościół wewnątrz góry.

Zaraz za wejściem otwierała się niewiarygodnie wysoka grotta, oświetlona migoczącym blaskiem tysiąca świec wotywnych. Tutaj straż trzymało jeszcze więcej zakapturzonych mnichów. Weszli do drugiej sali. Tak jak poprzednia, ta również jaśniała od światła świec, ale w tej ze stropu zwisały stalaktyty, a stalagmity tworzyły na podłożu fantazyjne formacje.

Byli w połowie drugiej komnaty, kiedy Demi zobaczyła kościół. W stanie euforii poczuła, że to jest sanktuarium, którego się spodziewała. Wchodząc, ujrzała wspaniałe łuki wznoszące się wysoko ponad nawą i tworzące sklepienie świątyni, niżej zaś dwie drewniane galerie po obydwu stronach wspierały się na grubych czterometrowych słupach nad wielkimi płytami z ciosanego kamienia, którymi wyłożona była podłoga. Na wprost wejścia widniał ozdobny, pozłacany ołtarz.

Demi odwróciła się, żeby popatrzeć na Becka, jakby chciała go o coś zapytać, gdy nagle zobaczyła idącą w ich stronę młodą kobietę w białej sukni do kostek. Miała przepiękne brązowe oczy i wspaniałe, bujne czarne włosy, opadające jej do pasa. Możliwe, że była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziała.

— Demi — odezwała się kobieta, podchodząc. — Tak się cieszę, że przyszedłaś.

Demi stanęła jak wryta. Skąd ta kobieta mogła ją znać? Po chwili namysłu ona również wydała się Demi dziwnie znajoma. Ale gdzie i kiedy mogła ją widzieć? Nagle sobie przypomniała. To była Cristina, towarzyszka doktora Foksa z Cafe Tripoli na Malcie.

— Musisz być zmęczona po podróży — powiedziała Cristina ciepło. — Pozwól, proszę, że cię zaprowadzę do twojego pokoju, żebyś mogła odpocząć.

— Ale ja... — zaczęła Demi z wahaniem.

— Idź z nią, Demi — powiedział Beck uspokajająco. — Chciałaś się czegoś dowiedzieć o sabacie Aldebarana. To jego część. Dziś wieczorem zobaczysz więcej. A jutro dowiesz się wszystkiego, co chciałaś wiedzieć. Wszystkiego.

Demi przyjrzała mu się uważnie — zwróciła uwagę na jego uśmiech, jego sposób bycia. Niemał w tym samym momencie euforia minęła, jakby narkotyk, który jej podano, nagle przestał działać. Przypomniała sobie o aparatach fotograficznych i torbie, które miała wcześniej ze sobą.

— Moje rzeczy — powiedziała do Becka.

— Mówisz o tym?

To Luciana wyłoniła się zza jej pleców. Towarzyszył jej jeden z zakapturzonych mnichów, który niósł sprzęt fotograficzny Demi. Podał jej go z lekkim ukłonem.

— Dziękuję — powiedziała trochę oszołomiona niepokojącym wspomnieniem narkotycznej podróży w to miejsce.

— Proszę — powiedziała Cristina.

Wzięła ją za ramię i poprowadziła przez nawę. Idąc, Demi popatrzyła pod nogi na wielkie kamienne płyty, błyszczące i wytarte przez czas i miliony stóp. Na większości widniały wyryte nazwiska. Nazwiska rodzin, pomyślała. Najdziwniejsze jednak, że nie były to nazwiska hiszpańskie, tylko włoskie.

— To grobowce rodowe — powiedziała Cristina cicho. — Pod tą podłogą spoczywają ziemskie szczątki naszych uczczonych zmarłych, pochowanych w tym miejscu w ciągu wieków.

— Uczczonych zmarłych?

— Tak.

Znowu zadzwoniły Demi w głowie ostrzegawcze słowa ojca, a przed oczami stanęła jej okaleczona postać uczonego, Giacoma Geli. Jeszcze inny głos szeptał jej, że oto otworzyła o jedne drzwi za dużo, że znalazła się w miejscu, w którym nie powinna była postać jej noga. Obejrzała się instynktownie za siebie, jakby szukała drogi ucieczki.

Luciana znikła, Beck rozmawiał przez komórkę na środku nawy i obserwował ją. Za nim, w miejscu, gdzie kończył się kościół, a zaczynała jaskinia, na straży stało czterech mnichów. Demi zrozumiała nagle, że ci mnisi, podobnie jak tamci przy moście, a zapewne jeszcze wielu innych, których nie widziała, byli prawdziwymi stróżami tego miejsca i że prawdopodobnie nikt nigdy nie wszedł tu ani stąd nie wyszedł bez ich zgody.

— Demi, dobrze się czujesz? — spytała łagodnie Cristina.

— Tak — odparła. — Dobrze. Dlaczego miałabym się źle czuć?

14.55

Marten i prezydent stali bez ruchu osłupiali z grozy. Żaden nie mógł wykrztusić ani słowa, z trudem nawet oddychali. Weszli do tajnego laboratorium Foksa. Mieli wrażenie, jakby ten szaleniec sam to zaplanował. Gdyby żył, miałby zapewne dość czelności, aby przyprowadzić ich tu osobiście. Niewielkie jednak miało znaczenie to, że nie żył. Wydawało się, że tak czy inaczej chciał, aby je zobaczyli. Czy raczej go doświadczyli.

Trafili tu, ponieważ nie było właściwie innego wyboru. Karta, którą Nicholas wyjął z kieszeni Foksa, pozwoliła im iść tylko dalej, ale nie mogli się nią posłużyć, żeby wrócić do sal, przez które już przeszli. Przez rozsowane metalowe drzwi prowadzące do każdego pomieszczenia mogli wejść do następnego pokoju, grotu, tunelu lub komnaty, ale nie mogli przez te same drzwi wyjść. Nie pozwalał im na to system zabezpieczeń. Jedyna droga prowadząca z każdego pomieszczenia wiodła przez takie same metalowe drzwi na drugim końcu do kolejnego laboratorium coraz głębiej we wnętrzu góry.

Pierwsze trzy pracownie były jasnymi pokojami średniej wielkości, trudno powiedzieć, czy naturalnymi grotami, czy wykutymi salami. Połączone takimi samymi ociekającymi wodą tunelami i pomostami z desek jak ten, którym prowadził ich na początku Foxx, zawierały skomplikowane wyposażenie nowoczesnego laboratorium biochemicznego. Dla laika wyglądało ono na sprzęt do badań nad hodowlą roślin uprawnych, między innymi urządzenia do testowania wody na obecność zanieczyszczeń, wirusów, bakterii, soli, metali i substancji radioaktywnych.

Sprawdzali dokładnie każde pomieszczenie, po czym szli dalej. Nigdzie nie znaleźli ani jednego komputera, segregatora czy czegokolwiek, co mogło służyć do przechowywania informacji w sposób elektroniczny bądź tradycyjny. Znaleźli natomiast monitory z klawiaturami, co świadczyło, że istnieje tu sprawnie działający system komputerowy i gdzieś należy szukać centrum informatycznego.

— Zaczynam mieć objawy klaustrofobii — rzekł Marten, kiedy wyszli z ostatniej sali i trafili do siedmiometrowego tunelu, w którym trzeba było przeciskać się prawie na czworakach pod wielkim nawisem skalnym.

— Niech pan o tym nie myśli — powiedział prezydent, kiedy doszli do końca, wyprostowali się i wkroczyli na drewniany pomost prowadzący nad szczególnie wilgotnym i słabo oświetlonym odcinkiem korytarza.

W tym miejscu tunel biegł stromo w dół, skręcał w prawo pod kątem prostym i znowu opadał. Według oceny Martena każdy odcinek miał co najmniej sto pięćdziesiąt metrów długości, całość więc stanowiła zdecydowanie najdłuższe przejście między kolejnymi salami. Wreszcie na końcu zobaczyli następne ciemne metalowe drzwi. Nicholas wczytał kartę i weszli do wąskiego przedsionka, który tonął w ciemności. Tym razem Marten podniósł kawałek drewna odłamany od deski w pomoście i wsunął ją między drzwi i futrynę, aby nie zasunęły się za nimi o końca. Szczelina, która w ten sposób powstała, nie dawała wiele, ale powinni zdołać je z powrotem otworzyć. Wcześniej tego nie robił, ponieważ gdyby chcieli tą drogą zawrócić, doszliby tylko do poprzedniego pomieszczenia lub tunelu, gdzie drzwi już się zamknęły, więc byłaby to ucieczka donikąd. Tym razem zablokował drzwi, ponieważ z niewiadomych powodów przeszedł go dziwny dreszcz grozy. Miał przeczucie, że pokój, do którego teraz wchodził, w niczym nie przypominał poprzednich i że powrót do tunelu może się okazać lepszy niż utknięcie tu jak w pułapce.

Przeszli przez mały, słabo oświetlony przedsionek i zatrzymali się przy na wpół przezroczystej zasłonie z grubego plastiku. Szczelina w samym środku umożliwiała wejście. Cokolwiek znajdowało się po drugiej stronie, tonęło w ciemności.

— Jest gdzieś kontakt? — spytał prezydent.

— Nie widzę.

Marten podszedł do zasłony, ostrożnie wsunął dłoń w szczelinę, po czym odchylił ją i przeszedł na drugą stronę. W tej samej chwili zadziałał czujnik i salę zalało jasne światło.

— O mój Boże! — Martenowi dech zapało na widok tego, co ukazało się jego oczom.

Przez ogromną pieczarę długości boiska futbolowego biegły dwie alejki, a wzdłuż każdej z nich po obu stronach ciągnęły się rzędy szklanych pojemników. W środku, w jakimś płynie konserwującym, pływały ludzkie zwłoki i fragmenty ciał. W takich pojemnikach w innym miejscu i innych okolicznościach mogłyby pływać ryby tropikalne lub żywe homary.

Wstrząśnięci i osłupiali z grozy i niedowierzania szli w milczeniu pośród tego ostatniego, przerażającego dzieła Merrimana Foksa. Ciało i członki unosiły się w przezroczystych naczyniach, jak gdyby pogrzebane we własnych snach. Mężczyźni, kobiety, dzieci — wszelkiej rasy i w różnym wieku. Do każdego zbiornika przyczepiona była karteczka z ręcznie wypisanym numerem oraz datami umieszczenia w zbiorniku i usunięcia. Ponad nimi widniały skreślone daty i numery poprzednich „lokatorów”. Po bliższych oględzinach Marten i Harris stwierdzili, że „preparaty” przechowywano w roztworze przez trzy miesiące, po czym zastępowano je innymi. Zapisy następowały w porządku chronologicznym i wynikało z nich, że pierwsze eksperymenty rozpoczęto siedemnaście lat temu. Czemu służył trzymiesięczny okres oczekiwania, trudno było orzec poza tym, że zapewne stanowił jakąś część badań Merrimana Foksa. Do głowy cisnęły im się dziesiątki pytań. W jaki sposób wybierano ofiary? Jak się tu znalazły? Gdzie i jak zginęły? Gdzie i jak długo przetrzymywano je przed śmiercią i co im robiono? I wreszcie, co się potem działo ze zwłokami, których przez tyle lat musiały się nabierać setki, jeśli nie tysiące.

Wyglądały przerażająco. Unosiły się jakby w powietrzu, oczy tych, które je miały, wpatrywały się martwo w pustkę. Wszystkie twarze wyrażały to samo: ból i rozpaczliwe błaganie o pomoc, litość, interwencję, cokolwiek, co by położyło kres ich cierpieniu.

Co dziwne, na żadnej twarzy nie widać było gniewu lub żądzy zemsty. Najwyraźniej ludzie ci nie mieli pojęcia, że padli ofiarą czyichś świadomych działań, nie podejrzewali, że zrobiono im krzywdę rozmyślnie.

Po dojściu do połowy sali Marten zatrzymał się i obejrzał na prezydenta.

— Wie pan, co ci ludzie reprezentują?

— „Przeciętną populację”.

— Tak. I sądzę, że nie mieli pojęcia, co się z nimi dzieje. Że zrobiono z nich króliki doświadczalne. Wiedzieli tylko, że zachorowali, i to wszystko.

— Zgadza się — powiedział prezydent. Nagle uderzyła go mroząca krew w żyłach myśli. — A jeśli to jest właśnie ich plan? Foxx pracował nad nim od lat i doprowadził go wreszcie do etapu „produkcyjnego”. Jakaś choroba, wirus lub bakteria, błyskawicznie rozprzestrzeniający się czynnik, który wydawać się może zupełnie naturalny i niemożliwy do opanowania.

- Pandemia wytworzona ludzką ręką.
- I taka, która wcale nie wygląda na broń.

Prezydent popatrzył na zwłoki unoszące się w zbiorniku przed nim. Oczy kobiety, najwyżej dwudziestopięcioletniej, tak jak wszystkie inne, błagały o pomoc. Raptownie odwrócił się z powrotem do Martena.

— Świat jest na to przygotowany. Prawie codziennie w ten czy inny sposób mówią o tym w telewizji lub piszą w gazetach. W tej chwili to tylko fałszywe alarmy, a jedyną korzyść odnoszą firmy farmaceutyczne i ludzie u władzy, którzy zyskują jeszcze więcej władzy. I wszyscy oni deklarują, że robią, co mogą, aby temu zapobiec. A tymczasem przez cały czas coś takiego planowano tu naprawdę.

Odwrócił się od Martena i zaczął chodzić między zbiornikami, przyglądając się zanurzonym w nich ofiarom, jakby chciał wryć sobie w pamięć ten przerażający widok. Oczy płonęły mu z wściekłości.

— Niech Bóg błogosławi tych wszystkich ludzi i tych, którzy odeszli przed nimi. I niech wieczna klątwa spadnie na Merrimana Foksa i wszystkich pozostałych, którzy maczali w tym palce. I niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli to, co on tu odkrył i wyprodukował, zostało puszczone w ruch.

— Potrzebujemy próbek tkanki — powiedział Marten z naciskiem. Stłumił gniew, który zapłonął w nim na myśl o tym, że Caroline Parsons zmarła przez te same eksperymenty, i skupił się na tym, co wymagało natychmiastowego działania. — I musimy znaleźć pliki z dokumentacją, notatki, wykresy, wszystko, co nam wpadnie w ręce. Trzeba się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Nagle doszedł ich niewyraźny syk. Obydwaj błyskawicznie poderwali głowy. Przy suficie wokół całego pomieszczenia biegły dysze, których dotąd nie zauważyli. Syk się nasilił, kiedy otworzyło się jeszcze więcej dysz.

— Gaz! — zawołał Nicholas. — Trujący albo wybuchowy, nie wiem. Pewnie uruchomił go timer, który liczył czas od zapalenia świateł. Niech pan nabierze jak najwięcej powietrza i wstrzyma oddech. Uciekajmy stąd gdzie pieprz rośnie!

— Próbki tkanek! Dokumentacja! Notatki! — Prezydent najwyraźniej nie miał zamiaru ruszyć się bez nich na krok.

— Nic z tego, kuzynie, tym razem ja podejmuję decyzję! — Marten błyskawicznie zasłonił Harrisowi dłonią usta i nos i popchnął go z całej siły w stronę plastikowej zasłony. — Uciekamy i tu już!

W TYM SAMYM CZASIE. 15.11

Hap Daniels patrzył, jak znad wierzchołka góry wylania się cywilny śmigłowiec. Zatoczył jedno kółko, po czym opadł na lądowisko. Hap wiedział to, czego nie wiedzieli zaciekawieni gapie podnoszący głowy: że przyklasztorne lądowisko dla helikopterów służb państwowych i pogotowia stało się właśnie miejscem lądowania w tajnej operacji CIA mającej na celu odnalezienie i ewakuację prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Po starciu z motocyklistą Hapowi prawie dwadzieścia minut zajęło znalezienie miejsca do zaparkowania samochodu, w miarę niedaleko od lądowiska. Jeżeli, jak podejrzewał, tym samolotem przylecieli agenci CIA przysłani przez ludzi, przed którymi prezydent uciekał, prawdopodobnie będą wiedzieć, gdzie dokładnie na terenie klasztornego zespołu znajduje się Harris. Nie wiedział, ilu ich przyleci, najprawdopodobniej co najmniej czterech plus pilot lub dwóch pilotów. Gdzieś w górze poza zasięgiem wzroku krąży drugi śmigłowiec ze wsparciem. Nie miało znaczenia, czy wiedzieli, kto im wydał rozkaz i po co, oraz że wykonując to zadanie, wkraczają w kompetencje Secret Service. Wszyscy oni są doskonale wyszkolonymi agentami operacyjnymi i mają za zadanie chronić prezydenta, czyli w tym wypadku uratować go i wywieźć szybko, bezpiecznie i w miarę po cichu. Zabiorą go potem na małe lotnisko pod Barceloną, gdzie w odrzutowcu CIA będzie czekał sekretarz generalny, stamtąd polecą z Harrisem w miejsce, o którym nawet Secret Service nie zostanie poinformowane. O tym, co się stanie później, Hap nie chciał nawet myśleć.

Myślał natomiast cały czas o jednym: nie dopuścić, żeby zabrali go na pokład śmigłowca. Musi znaleźć prezydenta i wziąć pod swoją opiekę, zanim tamci zdołają go zaciągnąć na lądowisko. Czeka go skrajnie trudne i niebezpieczne przedsięwzięcie, nawet jeśli są to prawdziwi i niczego nieświadomi agenci operacyjni, ponieważ bezpieczeństwo prezydenta stoi ponad wszystkim innym i każdy, kto próbuje w takiej chwili interweniować, nawet sam szef jego ochrony, ryzykuje, że zostanie zastrzelony na miejscu.

Jeśli zaś nie byli to prawdziwi agenci CIA lub jeśli należeli do tajnej grupy specjalnej albo nawet wojskowego oddziału działającego na rozkaz

wiceprezydenta i pozostałych, to zadanie, jakie sobie postawił Hap, trudno nawet nazwać niebezpiecznym, było po prostu samobójcze.

Kimkolwiek byli, Daniels musiał ułożyć możliwie jak najprostszy plan działania. I taki miał: obserwować, jak lądują, śledzić ich i czekać. Dopiero kiedy wyprowadzą prezydenta i znajdą się niedaleko śmigłowca, zacznie działać szybko i zdecydowanie. W innych okolicznościach musiałby postępować zgodnie z protokołem. Zadzwoiłby do zaufanego szefa wydziału z CIA i powiedział, że potrzebuje punktu kontaktowego dla tej operacji. Otrzymałszy go, machnąłby swoją legitymacją Secret Service i oświadczył, że jest dowódcą oddziału odpowiedzialnego za ochronę prezydenta i przejmuje go pod swoją opiekę.

Tylko że to nie były „inne okoliczności”. Prawdopodobnie tylko on jeden mógł uchronić prezydenta od śmierci z rąk jego „wyzwalców”. Będzie miał tylko jeden ruch i to w ostatnich sekundach, kiedy wyskoczy z tłumu, pokaże swoją legitymację Secret Service i krzyknie, kim jest. Stanowczo i z pełną mocą oświadczy agentom CIA, że przed chwilą otrzymali informację o zagrożeniu ich operacji i w związku z tym przejmuje od nich zadanie. Złapie prezydenta i ruszy z nim do audi, cały czas modląc się w duchu, żeby Harris zorientował się, co jest grane, i to bardzo szybko, zaufał mu i rozkazał agentom, aby odpuścili. O wszystkim zadecydują zaskoczenie, wyczucie czasu i błyskawiczne, zdecydowane działanie. Margines błędu nie istniał.

Świergot telefonu komórkowego przerwał mu rozmyślenia. Hap wyjął telefon i spojrzał, kto to dzwoni. Bill Strait. A więc śmigłowiec w Barcelonie szykuje się do startu i zastępca Hapa denerwuje się, że go nie ma.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Strait powiedział, że śmigłowiec CIA wylądował w Montserrat piętnaście po trzeciej, a helikopter Secret Service z Barcelony nie wystartuje wcześniej niż dwadzieścia po trzeciej. Wtedy o tym nie pomyślał, ale skąd taka zwłoka? Czyżby ktoś się chciał upewnić, że CIA dotrze do klasztoru przed Secret Service? Jeśli tak, to kto? Ktoś w ambasadzie w Madrycie czy też sam Bill Strait?

— Słucham, Bill — powiedział, odbierając telefon.

— Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

— Dlaczego tak długo trzeba było czekać na śmigłowiec?

— Wszystkie polecały tankować na lotnisko w Barcelonie. Właśnie siadały, kiedy zadzwoniłem do pilotów. Dlaczego pytasz?

— To ty po nich dzwoniłeś? Nie sekretarz generalny?
— Ja. Hap, na litość boską, wszystko gotowe, gdzie ty jesteś?
— Lećcie beze mnie.
— Co takiego?
— Jestem uwiązany gdzieś indziej. Zamelduję się później. Lećcie beze mnie. To rozkaz.
To powiedziawszy, rozłączył się.
— Niech to szlag — mruknął do siebie.
Czy to tankowanie nie w porę to był przypadek, czy coś więcej? Mógł ufać swemu zastępcy czy nie?

15.15

Dudniący grzmot poprzedził o kilka sekund burzę piasku i kurzu, kiedy śmigłowiec wylądował pod klasztorem dokładnie o czasie. Pilot natychmiast wyłączył silniki, drzwi się otworzyły i ze środka wyskoczyło czterech mężczyzn w ciemnych okularach i garniturach. Schylili głowy pod obracającym się śmigłem i szybkim krokiem ruszyli w stronę wejścia do bazyliki.

— No to zaczynamy — powiedział do siebie Hap.

99

15.22

Agenci szli szybko przez tłum kłębiący się przed bazyliką, po czym jak fala skręcili w boczną uliczkę i znikli z pola widzenia.

Hap ominął grupkę dzieci idących parami w stronę bazyliki i przyspieszył kroku, aby nadążyć za agentami. Chwilę później skręcił w uliczkę, w której zniknęli. Wszędzie tłoczyli się turyści. Zaklął pod nosem i ruszył przed siebie, usiłując przebić się wzrokiem przez tłum i bojąc się, czy nie został za bardzo w tyle. Dziesięć kroków dalej zobaczył, jak skręcają w następną zaulek. Przepchnął się obok dwóch trajkoczących kobiet i poszedł dalej, starając się nie odrywać oczu od mężczyzny, który wyglądał na dowódcę. Miał najwyżej trzydzieści lat, krótko ostrzyżone czarne włosy i szeroki, spłaszczony nos, z pewnością niejednym raz złamany. Widać było, że jest bardzo wysportowany. Doszli do zbiegu uliczek i Płaski Nos przystanął, żeby zorientować się w okolicy. W ciągu kilku sekund podjął decyzję i poprowadził swoich

towarzyszy następnym przejściem z białymi i czerwonymi świecami wotyw-
nymi poustawianymi wzdłuż ściany.

Hap trzymał się w bezpiecznej odległości, przyspieszał kroku, kiedy skręcili raz, potem drugi, aż wreszcie znikli za rogiem. Osiem sekund później skręcił za nimi i zatrzymał się raptownie. Agenci stali przed ciężkimi drewnianymi drzwiami osadzonymi głęboko w kamiennej wnęcie. Płaski Nos odsunął drewnianą płytkę i odsłonił elektroniczny panel. Wstukał czterocyfrowy kod, zasunął drewnianą osłonkę i przekręcił żelazną gałkę. Cała czwórka weszła do środka, po czym zamknęła za sobą drzwi.

15.26

Nie miał pojęcia, dokąd poszli i jak dużo czasu zabierze im znalezienie prezydenta. Żałował, że nie ma z nim Billa Straita i reszty jego ludzi z Secret Service. Żałował też, że nie może się skontaktować z CIA i dowiedzieć się, kim są ci, którzy poszli na poszukiwanie Harrisa. Wprawdzie nawet wtedy nie miałyby pewności, czy może ufać jednym bądź drugim. Irytowała go ta sytuacja, ale nic nie mógł na nią poradzić. Nagle przyszło mu do głowy, że agenci mogą wyprowadzić prezydenta innym wyjściem, gdzieś w głębi klasztoru. Zaczął się zastanawiać, czy w takiej sytuacji najlepszym posunięciem nie byłoby wrócić na lądowisko i zacząć się gdzieś w pobliżu, aby ruszyć do akcji w chwili, gdy będą wsadzać Opryskiwacza do samolotu.

Właśnie się odwracał, aby wrócić drogą, którą tu przyszedł, gdy nagle na końcu uliczki zobaczył znajomą postać wyłaniającą się z cienia i idącą w kierunku drewnianych drzwi. Zatrzymał się i obserwował, jak mężczyzna podchodzi do ukrytego panelu, odsuwa osłonkę i bez chwili wahania wstuka je czterocyfrowy kod. Zasunął z powrotem osłonkę i chwycił za gałkę.

— Co, u diabła? — mruknął Hap.

Mężczyzną tym był gburawaty motocyklista, który zajął Hapowi miejsce na przyklasztornym parkingu. Nie wyglądał na agenta ani nikogo w tym rodzaju, raczej na posłańca, który przyjechał, aby coś stąd odebrać. Jeśli agenci CIA będą wyprowadzać prezydenta tym wyjściem, a jednocześnie wejdzie tam ten człowiek, wszystko może się zdarzyć, a prezydent znajdzie się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Skoczył dokładnie w chwili, kiedy mężczyzna przekręcał gałkę w drzwiach.

Przyłożył mu dziewięćmilimetrowego sig sauera za uchem.

— Nie ruszaj się! Ani kroku dalej.

Mężczyzna wrósł w ziemię i o mało nie krzyknął. W mgnieniu oka Hap złapał go i odciągnął w ciemne miejsce, gdzie się przed chwilą ukrywał.

— A pan co za jeden? — zapytał Miguel Balius, patrząc mu prosto w oczy.

100

15.22

— Nieważne — szepnął Hap. — To ty mi powiesz, bratku, kim jesteś i dokąd idziesz.

— Mam się tu spotkać z moimi kuzynami — odparł ostrożnie Miguel, aż nazbyt dobrze pamiętając mężczyznę, któremu podstępnie zajął miejsce na parkingu.

— Kuzynami?

— Niech się pan uspokoi, przecież to tylko miejsce do parkowania.

— Co jest za tymi drzwiami? — Hap wskazał głową wejście do laboratorium Foksa.

— Nie wiem.

— Idzie pan tam, żeby spotkać się z kuzynami, i nie wie, co tam jest?

— Nigdy tu przedtem nie byłem.

— Nie?

— Nie — upierał się Miguel.

Hap zerknął za siebie na otwarte drzwi. Jak dotąd, nic się tam nie działo, przynajmniej nic nie widział z tego miejsca. Odwrócił się z powrotem do Miguela.

— Ja też jestem tu po raz pierwszy, więc chodźmy razem sprawdzić, co się tam kryje.

15.34

Powoli weszli przez drzwi do słabo oświetlonego pomieszczenia. Hap prowadził przed sobą Miguela i osłaniał się nim jak tarczą, nie odrywając lufy

pistoletu od jego głowy. Znaleźli się w dużej sali z wysokimi krzesłami pod jedną ścianą, wielką biblioteczką naprzeciwko i dużym biurkiem pod ścianą na drugim końcu. We wnęce na prawo od biurka znajdowały się drugie, ozdobne, rzeźbione drzwi. Nigdzie nie widać było ani śladu agentów, ani nawet żywej duszy.

— Dokąd prowadzą te drugie drzwi?

— Już panu mówiłem, że nie wiem.

— No to się dowiemy.

Hap poprowadził Miguela przez pokój do wyjścia na drugim końcu.

— Kim pan jest? — zapytał ostrożnie Miguel.

Wyraźnie nie chodziło o miejsce do parkowania, to tylko zbieg okoliczności sprawił, że spotkali się drugi raz. Ten mężczyzna był zawodowcem. Amerykaninem. Tylko dla kogo pracował? Dla Foksa? Dla tamtych czterech, którzy wcześniej tu weszli? Czy też należał do grupy pościgowej, przed którą uciekali „kuzyni”? A może w ogóle zajmował się czymś innym?

Hap nie odpowiedział. Oderwał wzrok od drzwi, które mieli przed sobą, i obejrzał się. Miguel mógł wykorzystać ten moment, żeby popchnąć go na ziemię i uciec, ale nie przyszedł tu, aby uciekać, nawet w tych okolicznościach. Przyszedł tu dla „kuzynów”. Czekał ponad trzy godziny na jakiś sygnał od nich i nic. Odchodził już od zmysłów ze zdenerwowania. Był pewien, że się nie odzywają, ponieważ wpadli w tarapaty. Dlatego zostawił w końcu limuzynę, pożyczył motocykl od wuja, który mieszkał w pobliskim miasteczku El Borrás, i popędził na górę do klasztoru. Zaparkował, jak się okazało, tuż przed nosem właśnie tego mężczyzny, a potem poszedł do restauracji, gdzie kelner powiedział mu, że dwaj panowie, których Miguel opisywał jako swoich kuzynów, spotkali się z Merrimanem Foksem w małej salce, a potem we trzech poszli w kierunku biura doktora. Prawdopodobnie są tam do tej pory. Kimkolwiek więc był ten mężczyzna, Miguel postanowił, że prędzej będzie się smażył w piekle, niż pozwoli mu skrzywdzić kogoś z „kuzynów”.

— Stój — powiedział nagle Hap i zaczął nasłuchiwać.

Wszędzie panowała cisza, nie dochodził do nich żaden odgłos, ale coś było nie tak. Czterech agentów CIA weszło do tej sali. Mogli się stąd wydostać tylko przez drugie drzwi na końcu, koło biurka. I pewnie tak zrobili. Tylko że jeśli mieli prezydenta i zamierzali wrócić tą samą drogą, to powinni byli zostawić tu kogoś na straży.

W tym momencie uświadomił sobie, że popełnił okropny błąd.

Tamci naprawdę wiedzieli o innym wyjściu i zamierzali je wykorzystać.
— Jezu!

Zostawił Miguela i rzucił się do drzwi wyjściowych. W tej samej sekundzie budynkiem wstrząsnęło gwałtownie, jakby ziemia zdrząła. Hap i Miguel stracili równowagę i upadli na podłogę. Z biblioteczki posypała się lawina książek. Z sufitu opadł na nich deszcz kurzu i pyłu.

Hap w mgnieniu oka poderwał się na nogi i próbował odzyskać równowagę, chociaż nie wiedział dobrze, co się dzieje. Wycelował pistolet w Miguela.

— Nie! Nie! Niech pan nie strzela! — wrzasnął Balius, podnosząc ręce.

W tym momencie drzwi za biurkiem otworzyły się z impetem i wypadło z nich czterech agentów CIA. Pierwszy biegł Płaski Nos, za nim drugi z funkcjonariuszy, rudy, ostrzyżony na rekruta, w samej koszuli bez marynarki. Obydwaj ściskali w dłoniach pistolety maszynowe. Zaraz za nimi pędzili ich dwaj towarzysze. Wlekli między sobą bezwładnego mężczyznę, którego trzymali za ramiona. Na głowę zarzucili mu marynarkę Rudego, aby nie można go było rozpoznać.

— Z Secret Service, agent specjalny Daniels! — wrzasnął Hap, wyciągając w lewą rękę odznakę, a prawą opuszczając z pistoletem do boku. — Jesteście zwolnieni z zadania. Przejmuję ochronę nad prezydentem.

— Nic z tego — odpowiedział bez emocji Płaski Nos.

— Powtarzam: jesteście zwolnieni z tego zadania — to mówiąc, Hap uniósł sig sauera. — Nie utrudniajcie sprawy.

— Nie mamy zamiaru.

Płaski nos i Rudy podnieśli pistolety jednocześnie. Hap okręcił się i padł na ziemię w tej samej sekundzie, gdy seria z broni maszynowej uderzyła w ścianę po drugiej stronie pokoju. Tymczasem pozostali dwaj agenci pobiegli do drzwi. Kiedy mijali Miguela, Hiszpan rzucił się do nakrytego marynarką „kuzyna”.

Agenci zaskoczeni tym nagłym ruchem Baliusa odskoczyli w bok, a wtedy z głowy wleczonego człowieka spadła marynarka i odsłoniła jego bezwładnie zwieszoną głowę. To nie był prezydent, tylko Merriman Foxx.

Płaski Nos dopadł do drzwi.

— Zabierzcie go stąd! — krzyknął do swoich współpracowników.

Potem odwrócił się i nacisnął spust, celując w Miguela, który zanurkował za drewniane biurko. W tym samym czasie Rudy wymierzył w Hapa. Za późno, Daniels strzelał już z podłogi.

Strzelił trzy razy. Widział, jak jego pociski rozrywają prawe ramię Rudego. Tamten wrzasnął i Płaski Nos wyciągnął go za drzwi, po drodze puszczając serię w kierunku Hapa. Pozostali dwaj pospieszyli za nim, w biegu narzucając marynarkę na głowę Foksa i wlokąc go za sobą. Kiedy znikli za drzwiami, Płaski Nos jeszcze raz zajrzał do środka i przeciągnął po pokoju ostatnią serią, aby się upewnić, że napastnicy nie pobiegną za nimi.

101

Hap leżał na podłodze, ale nie wiedział dlaczego. Pamiętał mgliście motocyklistę, który pochylał się nad nim, dotykał jego szyi, a potem wsuwał mu pod koszulę chusteczkę albo inny kawałek materiału i przyciskał do ramienia. Potem odwrócił się raptownie i wyszedł. Świat zaczął się rozmywać i jakby odlatywać. A może to on zaczął odlatywać? Oprzytomniał trochę, kiedy usłyszał wycie syren na dworze i dźwięk swojego telefonu komórkowego, który leżał niedaleko na podłodze, obok jego automatycznego sig sauera. Poruszył się powoli i dotknął pistoletu maszynowego Steyera, który cały czas tkwił na ramieniu w kaburze, ale Hap nie zdążył go użyć. Wtedy wrócił motocyklista.

— Chodźmy — powiedział. — Dostał pan kulkę w lewe ramię, może nawet dwie. Przyjechała policja i straż pożarna. Trzeba pana postawić na nogi.

Hap wytrzeszczył na niego oczy.

— Kim pan jest, do cholery?

— Nazywam się Miguel Balius. Ruszaj się pan, do diabła!

Złapał Hapa za zdrowe ramię i pociągnął do góry. Potem oparł go o ścianę, a sam podniósł komórkę i sig sauera. Wziął rannego pod ramię i szybko ruszył w stronę drzwi.

Poczuli podmuch świeżego powietrza i już byli przy motocyklu, który czekał przed wejściem. Miguel pomógł Danielsowi wsiąść do kosza, a sam wskoczył na siedzenie, uruchomił silnik i po chwili jechali wąską uliczką, gdy tymczasem z przeciwka nadjeżdżała policja i straż pożarna. Od drzwi do drzwi chodzili mężczyźni i kobiety w mundurach i sprawdzali, czy ktoś nie został ranny w trzęsieniu ziemi czy wybuchu, który wstrząsnął budynkami.

Miguel dojechał do wylotu uliczki i skręcił w następną. W tym samym momencie zza bazyliki doszedł głośny, pulsujący warkot i sekundę później z lądowiska wystartował śmigłowiec. Zawisł na chwilę w powietrzu, po czym odleciał na północ.

102

BARCELONA; HOTEL GRAND PALACE. 16.10

Jake Lowe i James Marshall siedzieli we dwóch w swoim apartamencie hotelowym, w pokoju przerobionym na centrum łączności. Lowe, w samej koszuli, bez marynarki, z podwiniętymi rękawami i rozluźnionym krawatem, chodził tam i z powrotem, nie odrywając telefonu od ucha. Marshall posadził swoje wielkie cielsko przy biurku przed dwoma laptopami, obok przygotował sobie notes, a na głowę nałożył słuchawki podłączone do tej samej bezpiecznej linii, co telefon Lowe'a.

— Panowie — powiedział Lowe do telefonu i urwał raptownie, aby się upewnić, że to, co powie, będzie absolutnie zrozumiałe. — Oto, jak wygląda sytuacja — podjął w końcu. — Agenci polecili do klasztoru i wrócili. W laboratorium znaleźli martwego doktora Foksa. Po krótkiej strzelaninie z Secret Service zabrali zwłoki i wycofali się. Nie wylegitymowali się, nie powiedzieli też, kogo niosą. Opuścili teren cywilnym helikopterem, nie doszło do żadnych innych incydentów. Nie widzieli natomiast ani śladu prezydenta. Potwarzam, prezydenta tam nie było, chociaż wcześniej doktor Foxx potwierdził jego obecność, jak również Nicholasa Martena. Zwłoki doktora znaleziono w wewnętrznym, „czystym” laboratorium. Wszystko wskazuje na to, że doszło tam do konfrontacji. Ponieważ nie znaleziono na miejscu ani prezydenta, ani Martena, a wszystkie drzwi, którymi mogli wyjść, zamykają się automatycznie, musimy założyć, że poszli jedyną możliwą drogą, czyli tunelem w głąb laboratoriów. Wkrótce po przylocie naszych agentów w tym tunelu doszło do wybuchu. Najprawdopodobniej zadziałał system zabezpieczeń zamontowany przez Foksa podczas budowy.

Do tej samej bezpiecznej linii podłączeni byli wszyscy pozostali, rozsieani po Europie i Stanach Zjednoczonych: wiceprezydent Hamilton Rogers z sekretarzem generalnym Tomem Curranem w ambasadzie amerykańskiej w

Madrycie; sekretarz stanu David Chaplin w ambasadzie amerykańskiej w Londynie; sekretarz obrony Terrence Langdon w siedzibie głównej NATO w Brukseli; przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generał Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, Chester Keaton, w swoim biurze w Wirginii.

— Czy możemy przyjąć, że prezydent nie żyje? — zapytał Terrence Langdon z Brukseli.

— Terry, tu Jim — wtrącił się Marshall. — Myślę, że niczego nie powinniśmy z góry zakładać, aczkolwiek z informacji, które otrzymaliśmy wcześniej od Foksa, oraz z relacji naszych agentów wynika, że Harris i Marten niemal na pewno znajdowali się w tunelu, kiedy doszło do eksplozji. Jeśli to prawda, to istnieje znikoma szansa, a ściślej mówiąc, nie ma szans, aby którykolwiek z nich przeżył.

— Wiemy, że Foxx ustanowił dokładną listę swoich następców na wypadek, gdyby coś mu się przytrafiło. Tak właśnie postępował ze ściśle tajnymi programami w Dziesiątej Brygadzie Medycznej. Ale zadam bardzo konkretne pytanie: Czy możemy kontynuować bez niego?

— Tak — odparł bez wahania Marshall. — Nie ma co do tego wątpliwości. Musimy tylko uruchomić jego łańcuch przekazywania władzy.

— Czy wiemy dokładnie, co mu się stało? Czy prezydent miał z tym jakiś związek i czy był przy tym obecny?

— Nie wiemy. Nie mogliśmy zabrać jego zwłok, a potem wszcząć na miejscu dochodzenia.

— Ludzie widzieli go w klasztorze.

— Ciągłe przyjeżdżał i wyjeżdżał. Miał tam swoje biuro i laboratoria, te czyste pokazywał różnym ludziom. Powiemy, że wyjechał natychmiast po wyjściu z restauracji. Z tym nie będzie problemu.

— A co z Secret Service? — zapytał generał Keaton z Wirginii. — Agenci, którzy tam byli, złożą raport, jeśli już tego nie zrobili.

Lowe zerknął na Marshalla.

— Było tam dwóch mężczyzn, Chet — powiedział do telefonu. — Tylko jeden się wylegitymował, mówiąc, że jest z Secret Service. Agent specjalny, Hap Daniels. Nie mamy pojęcia, kto mu towarzyszył. Nie wiemy też, skąd się tam wzięli. Daniels został postrzelony i od tamtej pory się nie odezwał. Kiedy się zamelduje, mają rozkaz przysłać go prosto do nas. Dowie się, że agenci operacyjni, na których natknął się w klasztorze, byli komandosami

sił specjalnych Republiki Południowej Afryki. Dostali rozkaz potajemnie ściągnąć doktora do kraju na nowe przesłuchania w sprawie dotyczącej Dziesiątej Brygady. Okoliczności, w jakich znaleziono jego zwłoki, sprawiły, że z powodów politycznych uznano za stosowne tak poprowadzić sprawę, aby znaleziono go martwego w jego domu na Malcie. Rząd RPA przeprosza za zamieszanie, w którym został ranny agent Daniels.

— Nie podoba mi się to.

— Nikomu z nas się nie podoba, ale nie ma innego wyjścia. Poza tym on na pewno nie wiedział, kim są agenci, i na sto procent nie znalazł prezydenta. Jeśli powie, że pojechał do Montserrat, opierając się na informacjach z naszej ambasady w Madrycie, zwróci mu się uwagę, że wszystkie powiązane ze sprawą osoby sądziły, iż informacja ta przyszła od CIA, a nie z RPA.

— Jeśli w tunelu doszło do wybuchu, to ktoś tam pójdzie sprawdzić, co się stało — poruszył kolejny problem wiceprezydent Rogers. — Co zrobimy, kiedy znajdą zwłoki prezydenta?

— Nie znajdą — odparł Lowe z lodowatą pewnością. — Ten tunel prowadzi do laboratorium numer sześć, tego brzydkiego. Z tego, co mówił Foxx, zostało ono tak zaprojektowane, aby system automatycznie uruchomił proces autodestrukcji, jeśli ktoś po wejściu nie wprowadzi odpowiedniego kodu. Jednocześnie odcięte zostają wszystkie wejścia do sali. Jeśli właśnie do tego doszło, a sądząc z relacji naszych agentów, możemy przyjąć, że tak, to w tej chwili przejście w tunelu blokuje sto ton skały, która zwała się na drzwi ostatniego laboratorium. Od drugiej strony wejście zablokowało tysiąc metrów sześciennych osuwiska. Foxx był perfekcjonistą. Rzecz będzie wyglądała na naturalny zawal w starym szybie kopalnianym. Nikt nie będzie miał powodu podejrzewać, że w środku znajdowali się ludzie. Pod górą biegnie cały labirynt tuneli, które były zamknięte od dziesięcioleci.

— Panowie — włączył się Marshall. — Albo prezydent był w samym laboratorium, co wydaje się najprawdopodobniejsze, albo w tunelu. Tak czy inaczej, nie ma już stamtąd wyjścia. To będzie jego grobowiec, jeśli już nie jest. A jak to potem załatwimy oficjalnie, jak „odkryjemy”, co się stało, i odzyskamy zwłoki, tym się zajmiemy na spokojnie. Na razie, dzięki Bogu, spadł nam z głowy jego problem. Musimy kontynuować naszą sprawę i to szybko.

— Zgadzam się — powiedział sekretarz stanu, Chaplin.

— Jim... — To był Langdon z Brukseli.

— Jestem tu, Terry — odpowiedział Marshall.

— Mamy piekielnie mało czasu. Musimy wydać ostateczne potwierdzenie dla Warszawy i to jak najszybciej.

— Zgadzam się.

— Głosujemy — zarządził Langdon.

Na linii rozległo się chóralne i jednomyślne: „Zgadzam się”.

— Jakiś sprzeciw?

W Madrycie, Londynie, Brukseli, w Wirginii i hotelu Grand Palace w Barcelonie — wszędzie zaległa cisza.

— Wobec tego wiceprezydent niezwłocznie zatwierdzi rozpoczęcie działań w Warszawie — oznajmił Lowe. — Zgadza się, Ham? Nie wycofujesz się?

— Jake, przecież wiesz, że jestem stuprocentowym pewniakiem. Wszyscy o tym wiecie. Zawsze tak było, żadne wycofywanie się nie wchodzi w grę — odparł stanowczym tonem wiceprezydent Hamilton Rogers z Madrytu. — Chet, potwierdzisz operację w Warszawie, kiedy wejdzie w ostatnią fazę.

— Tak jest. Możecie być spokojni — zadzwieczał w słuchawkach donośny głos generała Chestera Keatona.

— Dobrze — podsumował Lowe. — W takim razie zamykamy sprawę i przechodzimy dalej. Do zobaczenia w Warszawie, panowie. Dziękuję wam i powodzenia.

To powiedziawszy, wyłączył się i spojrzał na Marshalla.

— Chciałbym poczuć ulgę, a jakoś nie mogę.

— Myślisz o prezydencie.

— Nie mamy pewności, prawda? A jeśli jakimś cudem przeżył?

— To czeka go sporo kopania.

Marshall zdjął słuchawki, po czym wstał i podszedł do stolika, żeby nalać im drinki. Obydwu zrobił podwójną szkocką. Kiedy skończył, podał szklanekę Jake'owi.

— Do szczytu w Warszawie zostało niecałe czterdzieści osiem godzin. Rogers czuje się, jakby już przejął władzę, wszyscy inni to zaakceptowali. Nawet gdyby prezydent wyciągnął jakiegoś królika z kapelusza, to i tak nie zdąży na czas. Musiałby się przekopać przez sto ton kamieni, żeby dostać się do klasztornych pomieszczeń Foksa. A nawet gdyby trzeciego dnia zmarł, to zgarniemy go, zanim się obejrzy, i zaraz potem umrze na zawał serca, a wiceprezydent oficjalnie obejmie urząd. Może kosztuje nas to trochę nerwów, ale tak czy inaczej wygraliśmy.

Lowe popatrzył na Marshalla.

- Czy mamy w pogotowiu ludzi, na wypadek gdyby się pojawił?
- W biurze Foksa?
- Gdziekolwiek.
- Jake, to niemożliwe.
- Czy mamy jakichś ludzi w pogotowiu? — wycedził powtórnie

Lowe.

— Mówisz poważnie?

— Piekielnie poważnie. Chcę obstawić biuro Foksa w klasztorze i każde inne miejsce, gdzie mógłby zmartwychwstać. Na górze, na dole, wszędzie. Tam jest cały ciąg podziemnych korytarzy starej kopalni. Skąd wiesz, czy jakimś cudem nie przeżył wybuchu, teraz nie kręci się po tych tunelach i nie szuka dziury, przez którą mógłby się wydostać? A jeśli ją znajdzie? Co wtedy?

— Do tego trzeba by mnóstwo ludzi.

— Panie doradco do spraw bezpieczeństwa narodowego, toczy my wojnę, gdyby pan tego nie zauważył.

Marshall przyglądał się Lowe'owi przez długą chwilę, po czym stuknął szklanką w jego szklankę.

— Skoro sobie tego życzysz, sprawa załatwiona.

Lowe ani drgnął, stał bez ruchu ze szklanką w dłoni.

— Człowieku, miej trochę wiary we własną organizację — powiedział Marshall. — Trochę wiary.

Jake wychylił whisky jednym haustem i odstawił szklankę.

— Ostatnim razem pokładałem taką wiarę w sukinsyna nazwiskiem John Henry Harris. Dwadzieścia dwa lata wiary, Jim. Wszystko szło dobrze, dopóki nie zaczęło iść źle. Tak więc, dopóki nie dorwiemy go albo nie porzebiemy, nie mam zamiaru niczego przyjmować na wiarę. — Podniósł wzrok i popatrzył Marshallowi w oczy. — Niczego.

103

16.50

Zapałki. Prezydent miał je przy sobie cały czas, od tamtego dywersyjnego pożaru na dworcu w Barcelonie, kiedy uciekał przed hiszpańską policją. Według rachuby Martena zostało ich jedenaście. Zużyli już siedem, aby dotrzeć aż tutaj w smolistej ciemności tunelu, chociaż nie mieli pojęcia, gdzie jest owo „tutaj” ani co to za tunel. Nicholas słyszał oddech prezydenta i wiedział, że odpoczywa gdzieś niedaleko.

- Nic panu nie jest? — rzucił pytanie w ciemność.
- Nic. A panu?
- Na razie w porządku.

O piętnastej dziewięć wybiegli z makabrycznego laboratorium Foksa, kiedy z dysz zamontowanych pod sufitem zaczął się wydobywać gaz. Uciekli w korytarz, którym przyszli, niestety, drzwi do poprzedniej sali były zamknięte i nigdzie nie dostrzegli innego wejścia. Znaczyło to, że jedyna droga prowadzi z powrotem do sali z odrażającymi eksperymentami doktora, skąd właśnie uciekli. Musieli jednak odczekać, aż wszystek gaz uleci ze środka i z przyległego korytarza. Wtedy nagle poczuli delikatny powiew świeżego powietrza. Ruszyli w stronę, skąd dochodził powiew, i jakieś siedem metrów dalej znaleźli w ścianie tunelu szczelinę, na tyle szeroką, że można się było przez nią przecisnąć. Po drugiej stronie ciągnął się wąski korytarz ze ścianami z piaskowca, opadający stromo w dół, a po jakimś czasie zwężający się tak, że musieli się czołgać. Nicholas zapalił zapałkę i zobaczyli, że dziesięć metrów dalej szyb skręca i niknie z oczu. Nie mieli pojęcia, dokąd prowadzi ani gdzie się kończy, ponieważ jednak napływało stamtąd świeże powietrze, a oni za nic nie chcieli wracać, ruszyli przed siebie. Marten przeciskał się pierwszy, prezydent tuż za nim.

Dziesięć metrów dalej ciasny korytarz skręcił ostro i potem biegł prosto jeszcze mniej więcej trzydzieści metrów, po czym doprowadził ich do pomieszczenia, gdzie mogli wreszcie się wyprostować. W świetle następnej zapalanej zapałki stwierdzili, że znaleźli się w starym tunelu kopalni, gdzie środkiem biegły zardzewiałe tory kolejki do transportu rudy. Ponieważ weszli do korytarza mniej więcej w połowie, mogli tylko zgadywać, w którym kierunku powinni iść. Skręcili w prawo i ruszyli przed siebie, kierując się torami kolejki.

Siedem minut później, o piętnastej trzydzieści jeden, tunel łagodnym łukiem skręcił w lewo. Dokładnie o piętnastej trzydzieści siedem całą górą wstrząsnęła potężna eksplozja. Dziesięć metrów za nimi zawalił się strop tunelu i w ciągu kilku sekund cały korytarz wypełnił się chmurą duszącego pyłu.

Przypadli do ziemi i bali się nawet oddychać. Po chwili, z dłońmi przyściśniętymi do nosa, kaszląc i plując, zaczęli się czołgać wzdłuż torów, tym razem w jedynym kierunku, jaki im pozostał.

Dziesięć minut później był w większości osiadł, mogli więc wstać i ruszyć w dalszą drogę. Szli jeden za drugim, trzymając się dwóch końców paska od spodni, aby nie zgubić się w atramentowej ciemności, a także aby się ubezpieczać na wypadek, gdyby temu, który szedł z przodu, grunt nagle skończył się pod nogami.

O szesnastej trzydzieści dwie usłyszeli kapiącą wodę. Zatrzymali się i zapalili następną zapalkę. Stwierdzili, że tunel biegnie łagodnym zakrętem, a na ziemi pod ścianą woda gruntowa utworzyła kałużę. Można się było napić i obmyć twarz z brudu i pyłu.

— Pan pierwszy, kuzynie. — Prezydent zakasłał. Marten uśmiechnął się szeroko.

— Jasne, niech prostak spróbuje trucizny przed królem.

Zobaczył, jak prezydent się uśmiecha, i dokładnie w tej samej chwili zgasła zapalka. Była to przelotna, lecz bezcenna chwila lepszego humoru. Niewiele, ale zawsze coś. Napili się, obmyli twarze z pyłu i usiedli, żeby odpocząć.

104

17.10

Hap Daniels obserwował, jak młody lekarz w okularach opatruje mu ranę. Siedział na brzegu łóżka w ciasnej sypialni na piętrze domu nad rzeką Llobregat, na obrzeżach miasta El Borras w dolinie na północy od Montserrat. Dom należał do wuja Miguela, Pau Savalla, który pracował jako kamieniarz i malarz pokojowy. To on pożyczył Miguelowi motocykl i tutaj właśnie, na tyłach domu, stał ukryty czarny mercedes.

Ostatnia warstwa bandażu i opatrunek był skończony. Lekarz wstał i popatrzył na Hapa.

— Usted es muy afortunado — powiedział cicho. — Ambas son heridas suaves del tejido fino. Descanse esta noche; usted puede ir mañana.

— Twierdzi, że ma pan dużo szczęścia — przetłumaczył Miguel, który stał w nogach łóżka. — Dostał pan dwie kulki. Obie trafiły w tkankę miękką i przeszły na wylot. Ręka może boleć i sztywnieć, ale nic panu nie będzie. Chce, żeby pan przez noc poleżał i odpoczął, a jutro może pan jechać.

— Ma pan szczęście, mi amigo — powiedział lekarz mieszaniną łamaanej angielszczyzny i hiszpańskiego. — Bóg jeden zna powód.

Dlatego ma pan takiego przyjaciela. — To mówiąc, wskazał głową Miguela. — To boski pomocnik. A teraz, proszę mi wybaczyć, ale dzieci czekają na mnie z kolacją.

Powiedział coś po hiszpańsku do Miguela, po czym obydwaj ruszyli do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymali się na moment, lekarz dał coś Miguelowi i obaj wyszli z sypialni.

17.20

Hap odetchnął głęboko z ulgą, pomacał zabandażowane ramię, przypominając sobie bolesną podróż z klasztoru w koszu motocykla. Miał wrażenie, jakby trwała wieki, w rzeczywistości jednak jechali nieco ponad dwadzieścia minut. Po następnych dwudziestu minutach zjawił się lekarz.

W ciągu tego czasu Hap dostał kilka porządnych kolejek hiszpańskiej brandy, dowiedział się, kim jest Miguel, kim są mężczyźni, których nazywał kuzynami, oraz dlaczego mu pomógł: ponieważ powiedział, że jest agentem Secret Service, oraz narażał życie, by ratować człowieka, o którym myślał, że jest prezydentem. Usłyszał również, w jaki sposób Balius poznał kombinację cyfr otwierających drzwi do biura Foksa.

W poszukiwaniu „kuzynów” Miguel poszedł najpierw do restauracji. Kelner widział, jak obydwaj mężczyźni wychodzili w towarzystwie Merrimana Foksa, i powiedział mu, jak dojść do biura doktora. Był już prawie przy drzwiach, kiedy zjawiło się czterech agentów. Ukrył się szybko w ciemnej niszy, na tyle blisko jednak, że mógł bacznie obserwować, jaki kod wstukuje Płaski Nos. Cztery-cztery-cztery-dwa. Nie miał trudności z zapamiętaniem kombinacji liczb, a to głównie z powodu nałogowej gry w totolotka, na którą trwoniał zbyt dużo czasu i pieniędzy i dzięki której nabrał nawyku zapamiętywania każdego ciągu numerków.

Wtedy Hap dowiedział się, że białowłosym mężczyzną, którego wlekli tamci, był właśnie Merriman Foxx. Słyszał o nim i wiedział, że stawał przed komisją do spraw terroryzmu na utajnionych przesłuchaniach. Nigdy go jednak przedtem nie widział, nawet na fotografii, aż do tamtego momentu, kiedy Miguel rzucił się na agentów i marynarka zasłaniająca wleczonego mężczyznę spadła na podłogę.

Daniels nie miał pojęcia, dlaczego prezydent aż tak interesował się doktorem Foksem, że narażając życie, przyjechał za nim aż do Montserrat, dopóki

Miguel nie potwierdził jego wcześniejszych domysłów, że waszyngtońscy „przyjaciele” prezydenta planowali coś, na co prezydent nie chciał się zgodzić — ludobójstwo w krajach muzułmańskich, a Merriman Foxx był głównym twórcą tego planu. Harris nie wiedział jednak, o co dokładnie chodziło, i właśnie dlatego on i Marten przyjechali do klasztoru: aby zmusić Foksa do wyjawienia szczegółów planu i udaremnić go. Czy jednak coś im się udało zdziałać, tego Miguel nie wiedział.

17.35

Miguel wrócił do pokoju ze szklanką wody i małą kopertą w rękę.

— Proszę je wziąć — powiedział, podając Hapowi wodę i wysypując z koperty dwie tabletki. — To pigułki przeciwbólowe. Doktor mi je dał. Tu jest ich więcej.

To mówiąc, położył kopertę na stoliku obok łóżka.

— Kiedy agenci wynieśli Foksa, zanim straciłem przytomność, wyszedł pan przez tamte drugie drzwi w biurze. — Hap napił się wody, ale nie wziął tabletek. — Przypuszczam, że poszedł pan szukać prezydenta, ale go nie znalazł, inaczej nie byłoby nas tutaj. Czy znalazł pan może chociaż cokolwiek, co by świadczyło, że on tam był?

— Proszę, niech pan weźmie lekarstwo.

— Czy prezydent tam był? — naciskał z całą mocą Hap. — A jeśli tak, to dokąd poszedł, że tamci go nie znaleźli?

— Mój wuj jest na dole ze swoją żoną — rzekł Miguel spokojnie. — Tylko lekarz i oni wiedzą, że pana tu przywiozłem. Zajrzą tu, zanim pójdą spać. Można im ufać. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę ich poprosić.

Ruszył do drzwi.

— Wychodzi pan?

— Zobaczmy się, kiedy wrócę.

— Ma pan mój blackberry.

— Tak.

Miguel wyjął telefon z kieszeni marynarki, po czym wrócił i oddał go Hapowi.

— A co z bronią? Miałem dwa pistolety.

Miguel odpiął marynarkę, wyjął zza pasa automatycznego sig sauera Hapa i położył go na stoliku.

— Gdzie jest drugi? Pistolet maszynowy?

— Potrzebuję go.

— Do czego?

Miguel uśmiechnął się łagodnie.

— Jest pan dobrym człowiekiem, który musi teraz wypocząć.

— Pytałem, po co panu mój pistolet? — upierał się Hap.

— Od dziewiętnastego do dwudziestego czwartego roku życia służyłem w jednostce do zadań specjalnych Czwartego Batalionu Królewskiej Armii Australijskiej. Wiem, jak się nim posługiwać.

Hap popatrzył na niego spod oka.

— Nie pytałem pana o życiorys. Pytałem, po co panu mój pistolet.

— Dobranoc.

Miguel odwrócił się do drzwi.

— Nie wie pan nawet, czy prezydent tam w ogóle był, prawda?! — zawołał za nim Daniels. — Tylko się pan domyśla.

— Był tam.

Miguel zawrócił od drzwi, wziął coś z komody, po czym podszedł do Hapa i rzucił mu to na kolana. Był to kapelusz z dużym miękkim rondem.

— Kiedy się rozstawaliśmy, miał to na sobie w charakterze przebrania. Znalazłem go w jednym z laboratoriów, do których wchodzi się przez biuro. Drzwi i część ściany oddzielającej pracownię od czegoś, co było za nią, zniszczyła zavalona skała. Może za dzień czy dwa, jeśli przyjedzie tam ekipa z ciężkim sprzętem do kopania, przebiją się na drugą stronę. Ale i wtedy nie wiadomo, co tam znajdują. Za tą masą kamienia, w środku góry, a nawet i poza nią przez wiele kilometrów między jaskiniami biegną korytarze starej kopalni. Jeśli prezydent przeżył, będzie w którejś z tych jaskiń lub w tunelu. Nadchodzi burza, ale jeszcze przez jakiś czas będzie świecił księżyc, a ze szczytu góry są wejścia, którymi można się dostać do środka. Tam właśnie idę. Dla mnie pan prezydent i Nicholas Marten są teraz rodziną. Muszę ruszyć im na pomoc i znaleźć ich, żywych lub martwych.

— Na tyłach domu, pod drzewami stoi pańska limuzyna, prawda?

— Tak. Dlaczego pan pyta?

— Często przywozi pan ludzi w góry?

— Tak, całkiem często.

Miguel zaczął się niecierpliwieć. W obecnej sytuacji czas był na wagę złota, a ten człowiek marnotrawił go na jakieś przesłuchania.

— Wozi pan ze sobą apteczkę?

— Tak.

— Dużą?

— Senor Hap, próbuję odnaleźć waszego prezydenta. Proszę mi wybaczyć...

Ruszył znowu do wyjścia.

— Czy ma pan w apteczce taki koc z folii termoizolacyjnej? To się nazywa mylar, używają go strażacy.

Miguel ze złością odwrócił się od drzwi.

— Po co te wszystkie pytania?

— Proszę odpowiedzieć.

— Tak, mamy takie koce. To zarządzenie firmy. Po jednym dla każdego pasażera i kierowcy. Zwykle wozimy dziesięć.

— A jedzenie? Jakież zapasy żywności, żelazne racje?

— Tylko odżywcze batony.

— Dobrze. W takim razie niech pan przyniesie tu tę cholerną apteczkę.

Hap wstał szybko i natychmiast wyciągnął rękę, żeby się czegoś przytrzymać.

— Co pan wyprawia?

Daniels złapał się sauera ze stolika, wetknął go za pas, po czym włożył tabletki przeciwbólowe do kieszeni.

— Prędej mnie diabli porwą, niż puszcze pana samego.

105

PARYŻ; HOTEL BEST WESTERN AUREOLE. 17.45

— Dobry wieczór, Victorze.

— Witaj, Richardzie. Całe popołudnie czekałem na twój telefon.

— Nastąpiło niewielkie opóźnienie, przykro mi.

— Widziałem w telewizji relację na temat zabójstwa na torze wyścigowym w Chantilly. Powiedzieli tylko o dwóch zabitych jeźdźcach, ale właściwie nic więcej.

— Nie nagabywała cię policja, prawda?

— Nie.

— To dobrze.

Victor leżał w bieliźnie na łóżku, w pokoju grał telewizor. Przyjechał rano z Chantilly pociągiem i z dworca Gare du Nord wziął taksówkę do hotelu, który stał naprzeciwko innej stacji kolejowej, Gare de Lyon. Zamówił śniadanie do pokoju, wziął prysznic i spał do drugiej. Potem, zgodnie z instrukcjami, czekał na telefon od Richarda. Tak samo jak w Madrycie, z

upływem godzin robił się coraz bardziej niespokojny, myśląc o tym, że Richard mógłby nie zadzwonić. Może już w ogóle nigdy więcej się do niego nie odezwie? Gdyby minęła noc, a on nie dałby żadnego znaku, Victor nie wiedziałby, co ze sobą począć. Całkiem poważnie. Kilka razy przemknęła mu nawet przez głowę myśl o samobójstwie. Byłaby to jakaś odpowiedź. Potrafiłby to zrobić. I prawdopodobnie by zrobił, gdyby Richard nie zadzwonił do... wyznaczył sobie czas: do ósmej rano. Ale Richard zadzwonił i znów wszystko było w porządku, i Victor znowu poczuł się potrzebny i szanowany.

— Jeszcze raz cię przepraszam za opóźnienie, Victorze. Trochę potrwały ostatnie przygotowania.

— W porządku, Richardzie, rozumiem. Czasami sprawy się komplikują, prawda?

— Tak, to prawda, Victorze. Oto twoje instrukcje. Pociąg numer 243 odjeżdża ze stacji Gare du Nord do Berlina o dwudziestej czterdzieści sześć dziś wieczorem. W punkcie obsługi klienta czeka bilet pierwszej klasy zarezerwowany na twoje nazwisko. Zdziesz na ten pociąg, prawda, Victorze?

— Tak.

— To dobrze. Będziesz w Berlinie jutro o ósmej dziewiętnaście rano. O dwunastej pięćdziesiąt dwie z Berlina do Warszawy wyjedzie pociąg numer 41. Będzie na miejscu o osiemnastej dwadzieścia pięć. Tam zarezerwowano ci bardzo ładny pokój w hotelu Victoria. Zadzwonię do ciebie przed północą. Czy jesteś zadowolony z takiego planu, Victorze?

— Oczywiście, Richardzie. Zawsze robię wszystko, o co mnie prosisz. Dlatego właśnie możesz na mnie polegać, czyż nie tak?

— Tak, Victorze, wiesz, że tak jest. A więc miłej podróży, zadzwonię do ciebie jutro.

— Dziękuję, Richardzie. I dobrej nocy.

— Dobrej nocy, Victorze. Ja też ci dziękuję.

106

LA IGLESIA DENTRO DE LA MONTANA. KOŚCIÓŁ WEWNĄTRZ GÓRY. 17.55

Pokój Demi przypominał klasztorną celę: był bardzo mały i skromnie umeblowany. Przy drzwiach stała szafka z małym lustrem i umywalką. Na

prawo toalety z opuszczoną klapą. Widok nieba za małym okienkiem przy suficie powiedział jej, że na dworze jest wciąż jasno. Na twardym jednoosobowym łóżku nie było pościeli, tylko poduszka i dwa koce. Położyła na nim aparaty i torbę, do której zapakowała dwie plastikowe torebki z przyborami toaletowymi i trzecią z resztą sprzętu fotograficznego: dodatkowe karty pamięci, ładowarkę do cyfrowego canona oraz sześć rolek trzydziestopięcimiłimetrowego filmu do nikon. Brakowało natomiast czegoś, co na pewno rano zabrała ze sobą z hotelu: telefonu komórkowego, a przecież sprawdziła, czy go ma jeszcze po przyjeździe do Montserrat. Zniknął gdzieś po drodze, była więc właściwie odcięta od świata.

W każdym razie tak zapewne sądził ktoś, kto go zabrał.

Jakiś czas temu uznałaby zniknięcie telefonu za surowe przypomnienie o ostrzeżeniach ojca oraz Giacomina Geli. Prawdopodobnie zdenerwowałyby się do nieprzytomności, zwłaszcza połączywszy to z tym, co tu zastała: odizolowanym kościołem, tajemniczymi, groźnymi mnichami i faktem, że podano jej narkotyki przed podróżą.

Teraz jednak wzmocniło to tylko jej determinację i wyostrzyło zmysły, wzmagając czujność i przypominając, że oto zbliża się do końca jakże długich i żmudnych poszukiwań, którym poświęciła całe swoje dotychczasowe życie i które przysięgła matce doprowadzić do końca za wszelką cenę. Nie cofnie się przed żadną groźbą i nie pozwoli, aby sparaliżował ją strach. Nie teraz i nie tutaj.

Poza tym wcale nie postępowała tak lekkomyślnie, jakby się mogło здаwać. Pod męską koszulą, tuż poniżej talii nosiła specjalnie uszyty pas, który na pierwszy rzut oka wyglądał na delikatną bieliznę, w istocie jednak był wymyślnym pokrowcem na specjalistyczne urządzenie, pełniące zarazem funkcję telefonu i aparatu fotograficznego z zaawansowanym oprogramowaniem, umożliwiającym połączenie z cyfrowym canonem i natychmiastowe przesłanie zdjęć na jej paryską stronę internetową. Robiła to wiele razy w całej Europie i Stanach Zjednoczonych, a ostatnio na Malcie i w Barcelonie. Martwiła się tylko o zasięg, znajdowali się bowiem gdzieś w samym środku góry. Pozbyła się jednak obaw, kiedy ujrzała Becka rozmawiającego w kościele przez komórkę. Znaczyło to, że może w ciągu kilku sekund wysłać do Paryża każde zrobione zdjęcie.

Na próbę sfotografowała swój pokój i wysłała plik do Internetu. Potem wyjęła telefon i wybrała swój numer. Kilka chwil zajęło łączenie i bardzo szybko wyświetliła to, co przed chwilą sfotografowała: zdjęcie pokoju, w którym właśnie stała. System działał bez zarzutu.

Miała właśnie zrobić jeszcze jedno zdjęcie dla potwierdzenia, że wszystko jest w porządku, kiedy ktoś energicznie zapukał do drzwi.

— Słucham? — zapytała przestraszona.

— To ja, Cristina.

— Chwileczkę.

Szybko ukryła telefon z powrotem w białym pokrowcu pod kołszulą, po czym poszła otworzyć drzwi.

— Odpoczęłaś? — spytała Cristinę, uśmiechając się łagodnie.

— Tak, dziękuję. Wejdz, proszę.

Cristina była ubrana w tę samą białą suknię, w której Demi zobaczyła ją zaraz po przyjeździe. Miała przewieszoną przez ramię taką samą szatę, różniącą się tylko kolorem: głęboko szkarłatną. Wręczyła ją Demi.

— To dla ciebie na dzisiejszy wieczór.

— Na wieczór?

— Tak.

— Co ma się wydarzyć dziś wieczorem?

— Początek wieczności.

— Nie rozumiem.

— Zobaczysz. — Cristina patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu, po czym odwróciła się do drzwi. — Wrócę po ciebie za godzinę.

— Poczekaj chwileczkę... Cristina odwróciła się z powrotem.

— Słucham?

— Mogę ci zrobić zdjęcie?

— Teraz?

— Tak.

— Dobrze.

Demi podeszła do łóżka i wzięła obydwa aparaty. Trzy minuty później miała komplet zdjęć Cristiny w białej sukience na tle jej pokoju — połowę zrobioną analogowym nikonem, drugą połowę cyfrowym canonem, z którego fotografie zapisane na karcie pamięci zostały natychmiast wysłane na stronę internetową Demi.

— To już wszystko? — spytała Cristina, uśmiechając się ciepło.

— Tak. Dziękuję.

Dziewczyna stała chwilę bez ruchu, znowu przyglądając się Demi głęboko i badawczo, jakby z jakiegoś szczególnego, osobistego powodu. Potem szybko odwróciła wzrok.

— Do zobaczenia za godzinę — powiedziała i wyszła.

Demi zamknęła za nią drzwi i oparła się o nie. Po całym ciele przebiegły jej ciarki. Tylko raz w życiu widziała taki wyraz oczu jak Christiny. Tylko raz — na fotografii, którą zrobiono jej matce kilka dni przed zniknięciem. Jej oczy, tak samo jak Christiny, były brązowe i przenikliwe, ale zarazem pełne wewnętrznego spokoju. Christina miała dwadzieścia trzy lata, tyle samo co matka Demi w dniu zniknięcia.

107

18.18

Marten z prezydentem posuwali się w smolistej ciemności tunelu, niczym ślepcy wymacując nogami szynę kolejki starej kopalni. Szli już tak półtorej godziny, gęsiego, blisko siebie, trzymając się za pasek. Raz przewrócili się obaj. Marten szedł wtedy drugi, prezydentowi wydało się w pewnej chwili, że widzi przed sobą ziejącą dziurę. Odskoczył gwałtownie w tył i wpadł na Nicholasa, aż ten stęknął głucho, lądując na szynie kolejowej. Po tym wypadku zmieniali się częściej, aby osoba idąca z przodu nie denerwowała się tak, stąpając po niepewnej powierzchni, i nie wpadała w stan, w którym zamiast skupiać się na kierunku marszu, widziała nieistniejące rzeczy.

18.20

Znów się zmienili. Tym razem Marten prowadził. W ciągu ostatnich kilku godzin prezydent prawie się nie odzywał i Nicholas zaczął się niepokoić, czy coś mu się nie stało, kiedy upadł.

- Nic panu nie jest?
- Nie. A panu?
- W porządku.
- To dobrze, nie zatrzymujemy się.

I na tym rozmowa się urywała. Dopiero po jakimś czasie Nicholas zrozumiał, że Harrisowi naprawdę nic nie jest, że po prostu intensywnie nad czymś myśli i to od dłuższego czasu.

Pięć minut później znowu zamienili się miejscami. Za każdym razem ich rozmowa wyglądała tak samo: W porządku? Tak. To dobrze. Idźmy dalej.

18.37

— Cały czas mamy sobotę — powiedział nagle prezydent głosem schrypniętym od pyłu i suchości w gardle. — To był najdłuższy dzień w moim życiu, jeśli nie liczyć tego, kiedy zmarła moja żona.

Nicholas nie wiedział, co ma powiedzieć, więc milczał. Minęło pół minuty, zanim znowu odezwał się Harris.

— Możemy chyba spokojnie założyć, że moi „przyjaciele” lub ich wysłannicy znaleźli już zwłoki doktora Foksa i zorientowali się, że eksplozja była efektem systemu autodestrukcji, zamontowanego w laboratorium dla ochrony przed niepożądanymi oczami, które mogłyby odkryć jego eksperymenty. Jeśli wiedzieli, że z nim jestem, a uznaliśmy, że musieli wiedzieć, domyśla się, że utknąłem gdzieś w tunelach martwy albo złapany w pułapkę. Oznacza to, że wkrótce wiceprezydent obejmie mój urząd i zatwierdzi zabójstwa zaplanowane na szczyt w Warszawie. O ile już tego nie zrobił. Po zabiciu prezydenta Francji i kanclerz Niemiec przystąpią do wcielania w życie reszty planu. Wybory we Francji i w Niemczech odbędą się bardzo szybko, ludzie przez nich podstawieni — chociaż nie wiem, jak to zrobią, ale zapewniali, że to możliwe — zostaną wybrani na głowy państw i zagwarantują im poparcie w ONZ. Po tym będzie już tylko kwestią czasu, może nawet dni, zanim rozpocznie się masowe ludobójstwo w krajach arabskich. Mówiłem panu, kiedy byliśmy na plaży, że w Aragonie, niedaleko stąd, odbywa się właśnie coroczne spotkanie członków Instytutu Nowego Świata. Miałem tam wystąpić z przemową w niedzielę na mszy porannej. Z tą myślą wyjeżdżałem z Madrytu: aby zjawić się tam zgodnie z zapowiedzią i wyjawić prawdę o tym, co się zdarzyło i co ma się jeszcze wydarzyć. W dalszym ciągu chcę to zrobić, panie Marten.

Nicholas nie odezwał się ani słowem, tylko szedł naprzód, wymacując prawą stopą krawędź szyny, aby nie zgubić drogi.

— To nie jest niewykonalne zadanie, panie Marten. Przelatywałem już kiedyś nad tymi górami. Wiem, gdzie leży Aragon i w którą stronę od Montserrat. Latałem w Kalifornii opryskiwaczami, wiem, jak obiekty wyglądają z góry. Jeżeli nie zatoczyliśmy kółka w tych podziemiach, a sądzę, że nie, to cały czas szliśmy we właściwym kierunku: oddalając się od klasztoru, a zbliżając do Aragonu.

— Jak daleko może tam być w linii prostej? — spytał Marten.

— Dwadzieścia kilka kilometrów, najwyżej trzydzieści.

— A ile pańskim zdaniem już uszliśmy?

— Sześć lub siedem.

— Panie prezydencie, kuzynie drogi. — Marten zatrzymał się niespodziewanie i odwrócił. — Musimy odsunąć na bok nasze pobożne życzenia i uświadomić sobie, że nie mamy żadnego sposobu, aby sprawdzić, dokąd biegną te tunele. Zapewne zakręcają w różne strony, ale my nie wiemy gdzie i jak. Możemy wyjść w zupełnie innym miejscu, niż nam się zdaje, albo iść w innym kierunku, niż pan myśli. Te tory mogą biec równie dobrze na północ, południe, wschód i zachód. A nawet zakładając, że idziemy we właściwym kierunku, to możemy się natknąć na osuwiska. Nie mamy nawet pojęcia, jak daleko sięga ten korytarz, czy skończy się za dwa kilometry czy za dwadzieścia, a do Aragonu może być jeszcze pięćdziesiąt. A zakładamy przy tym wszystkim, że na końcu tego tunelu w ogóle jest wyjście. Jeśli te pozostałości kopalni są tak stare, jak sugerują zardzewiałe szyny, to prawdopodobnie wejścia dawno temu zablokowano, żeby do środka nie wchodziłi lekkomyślni turyści.

— Co pan właściwie chce mi powiedzieć?

— Coś, czego żaden z nas nie chce usłyszeć ani o czym nie chce myśleć: choć ma pan wiele nadziei, że stanie pan przed tymi ludźmi, aby ich ostrzec przed niebezpieczeństwem, prawda jest taka, że możemy nigdy się stąd nie wydostać. Przez cały czas próbowałem wyczuć jakiś prąd świeższego powietrza, który mógłby oznaczać wyjście: szczelinę, pęknięcie, przez którą moglibyśmy się przecisnąć. Minęliśmy kilka otworów, ale wszystkie za małe, a z żadnego nie dochodził nawet powiew, który by dawał nadzieję, że warto na niego trwonić resztkę sił. Jeśli dojdziemy do końca tego tunelu i nie znajdziemy nic bardziej obiecującego, będziemy musieli wrócić i szukać bocznego przejścia, które mogliśmy w ciemności przegapić. Jeżeli takie w ogóle istnieje. Przykro mi rozwiewać pańskie złudzenia, panie prezydencie, ale jak na razie nie może pan zrobić dosłownie nic, aby przemówić do tych ludzi czy zapobiec zabójstwu w Warszawie. Ani samemu ludobójstwu również. W tej chwili powinniśmy się martwić tylko o własne życie. Zakładając, że cały czas będziemy mieć wodę, daję nam dziesięć dni, najwyżej dwa tygodnie.

— Niech pan zapali zapałkę — powiedział nagle prezydent.

— Słucham?

— Powiedziałem, żeby zapalił pan zapałkę.

— Panie prezydencie, każda zapałka jest teraz na wagę złota.

— Niech pan ją zapali.

— Tak jest.

Nicholas sięgnął do kieszeni, wyciągnął pudełko z zapalnikami i zapalił jedną. Płomyk oświetlił twarz prezydenta, który patrzył Martenowi w oczy.

— Jest sobota, nie ma jeszcze nawet siódmej. Do jutrzejszego wschodu słońca jeszcze mnóstwo czasu, wystarczająco, abyśmy dotarli do Aragonu i ujawnili prawdę. Nadal mamy czas, aby zapobiec morderstwom, które mają zostać popełnione w Warszawie, i ludobójstwu na Bliskim Wschodzie. Prezydent Harris nie zamierza umierać w tym miejscu, kuzynie. Nie dopuści do tego. Stawka jest zbyt duża.

W migoczącym świetle Nicholas zobaczył wyczerpanego człowieka w podartym ubraniu, ze skórą na dłoniach i twarzy podrapaną i zakrwawioną, od stóp do głów pokrytego kurzem, pyłem i brudem. Ten człowiek mógłby się dawno poddać, a mimo to walczył i nie miał zamiaru dać za wygraną.

A skoro tak, to Marten również nie zamierzał rezygnować.

— Nie umrze pan tutaj, panie prezydencie — oświadczył tak samo schrypniętym głosem jak Harris. — Znajdziemy stąd wyjście i doprowadzimy pana na spotkanie z tymi ludźmi.

Prezydent nie spuszczał oczu z Martena.

— Nie pozwolę się panu tak wymigać.

— Nie rozumiem.

— Chcę, żeby mi pan to obiecał. Chcę dostać pańskie słowo.

Plomień zapalnika skurczył się i prawie zgasł. Z tego, co jeszcze kilka sekund temu było szlachetną ideą, nieosiągalnym marzeniem lub nadzieją szaleńca, prezydent uczynił nagle głęboko osobisty pakt. Podniósł stawkę gry tak, że zadanie, które ich czekało, stało się nie tylko zaangażowaniem ciała i umysłu, ale zobowiązaniem duszy.

— Uparty z pana drań — szepnął Marten.

— Proszę mi dać słowo.

Marten milczał z wahaniem. W tym czasie zapalnik wypaliła się ostentacyjnie i znów ogarnęła ich nieprzenikniona ciemność.

— Ma pan moje słowo — wyszeptał w końcu Nicholas.

108

EL BORRAS. 18.55

Hap Daniels zaciskał zęby, kiedy motocykl podskakiwał na polnej drodze. Miguel jechał za dwiema hondami w stronę rzeki Llobregat.

Z trzech jednoślądów tylko maszyna Miguela miała kosz. Pierwszym jechał bratanek Miguela, Amado, drugim dwaj jego koledzy, Jose i Hector. Żaden z nich nie miał więcej niż osiemnaście lat, ale mieszkali w El Borrás od urodzenia i znali te góry jak własną kieszeń, łącznie ze wszystkimi korytarzami, kominami, wejściami do jaskiń i tuneli. Hapowi nie podobał się pomysł zabierania ze sobą osób postronnych, ale Miguel zapewnił go, że wszyscy trzej młodzieńcy są godni zaufania i nie pisną słowa o tym, co robili i kogo szukali, nawet jeśli zatrzyma ich policja.

— Niech mi pan wierzy, nawet jeśli dopisze nam szczęście i znajdziemy prezydenta, nie poznają go. Możliwe, że pan też by go nie rozpoznał. Chłopcy wiedzą tylko, że to znajomy z Ameryki zwiedzał jaskinie i utknął w środku, kiedy trzęsienie ziemi czy lawina kamieni, czy co to było, zatrasowało mu drogę.

Trzy pojazdy zwolniły i zatrzymały się nad rzeką. Llobregat miała w tym miejscu mniej więcej pięćdziesiąt metrów szerokości, muliste dno i bardzo bystry nurt po zimowych deszczach. Miguel popatrzył na Danielsa.

— W tym miejscu biegnie pod wodą żwirowy wał. Rzeka wygląda na głęboką, ale nie jest. Mimo to wszystko może się zdarzyć.

— Jedziemy — odparł Hap z kamienną twarzą.

Miguel dał znak Amadowi i pierwsze dwa motocykle ruszyły do wody, na czele Amado, zaraz za nim Hector. Mniej więcej w połowie drogi Hector o mało nie przewrócił się do wody, ale odzyskał równowagę, dodał gazu i przejechał na drugą stronę, gdzie obaj się zatrzymali. Sekundę później Miguel podkreślił gaz i wjechał do rzeki. Bystry nurt napierał na motocykl, ale ciężar Hapa siedzącego w koszu zapewniał większą równowagę, więc podskakując na kamieniach, przy wtórze ryku silnika, szybko przeprawili się na drugą stronę i dołączyli do pozostałych. Znowu Miguel dał Amadowi znak i młody mężczyzna poprowadził ich stromą żwirową ścieżką w góry.

Chociaż Hap ciężko to znosił, motocykle były w tym wypadku jedynym możliwym środkiem transportu. Jechali wśród wnieścień, a potem czekała ich podróż górskimi szlakami. Na nic by się tu zdał samochód, a podróż na piechotę trwałaby stanowczo za długo. Poza tym Hap nie miał dość sił na taki męczący marsz.

Słońce, zachodząc za grzbiety gór nad ich głowami, pograżyło ścieżkę niemal w całkowitych ciemnościach. Hap pochylił się do przodu, szukając sposobu, aby zmniejszyć ból w zranionym ramieniu, bo motocykl podskakiwał bezlitośnie na wybojach. Właśnie wtedy zadzwonił jego blackberry. Wyjął urządzenie z kieszeni i spojrzął na ekran. Stwierdziwszy, że dzwoni Bill Strait, wyłączył telefon i wyciszył wszystkie dzwonki. Pomyślał o zaszyfrowanej wiadomości, którą dostał od Straita dziesięć po czwartej.

Hap. Od kilku godzin próbuję cię złapać. Gdzie ty jesteś, do diabła? Sekretarz generalny poinformował o 16.08 z Madrytu, że Opryskiwacza nie było, powtarzam NIE BYŁO w Montserrat. Nieznane osoby ostrzelały ludzi z CIA w biurze Merrimana Foksa w klasztorze. Misja w Montserrat przerwana, wracamy do Barcelony. CNP i wywiad sprawdzają, kto strzelał. GDZIE JESTEŚ, DO CHOLERY? NIC CI SIĘ NIE STAŁO?

Hap zerknął na Miguela, który w zapadającym zmroku prowadził motocykl wąską ścieżką wyżłobioną przez deszcze. Pierwszy raz zobaczył tego człowieka kilka godzin temu, a teraz powierzył mu życie swoje i prezydenta Stanów Zjednoczonych, jeżeli ten jeszcze żył. Na ich miejscu powinien być teraz Bill Strait. To do niego powinien Hap zadzwonić, ściągnąć w mgnieniu oka całą ekipę Secret Service, CIA, wywiad hiszpański i policję i przeczesać wzgórze i zbocza, szukając wejścia, którym mogliby się dostać do środka góry, gdzie według Miguela utknęli teraz prezydent z Martenem. Od drugiej strony nakazałby wysłać saperów i specjalistów od rozbiórki, żeby odwalali zatarasowane przejście z gabinetu Foksa.

Między agentami Secret Service zawsze panowała szczególna więź i bezgraniczne zaufanie. Aż do teraz, kiedy podobnie jak prezydent nie miał pojęcia, jak daleko sięgały macki spisku i komu może ufać. Tak więc, chociaż bardzo by tego chciał, nie zadzwonił do Billa Straita i nie odpowiedział na jego wiadomość.

- Psiakrew — zaklął gorzko pod nosem.
- Hap — odezwał się nagle Miguel.
- O co chodzi?
- Patrz tam.

Miguel wskazał górski grzbiet oddalony o sześć lub siedem kilometrów, oświetlony blaskiem zachodzącego słońca.

Z początku Hap niczego nie zauważył. Dopiero po chwili zobaczył nad górkami szczytami cztery zbliżające się śmigłowce. Niebawem zeszły nisko i znikły w mroku po tej stronie góry.

— Kto to?

— Nie jestem pewien. Prawdopodobnie CNP, policja federalna. Może Mossos d'Esquadra. A może jedni i drudzy.

— Lecą tu?

— Trudno powiedzieć.

— Miguelu! — zawołał Amado, wskazując coś za ich plecami.

Obaj się obejrżeli i zobaczyli pięć następnych helikopterów. Były jeszcze daleko, ale szybko się zbliżały i leciały tuż nad ziemią. Hap spojrzął na Miguela.

— Zabieraj nas stąd, nie mogą nas zobaczyć!

109

19.17

Miguel dał znak Amadowi i pozostałym, żeby jechali za nim, po czym dodał gazu i motocykl dosłownie wyskoczył na stromy skalny stok. Ryczał, stawał dęba i wypływał spod kół drobne kamienie, zanim w końcu wyjechali na płaską powierzchnię. Dwadzieścia metrów dalej zobaczyli wielki nawis z piaskowca, który tworzył pod spodem prawie jaskinię i tam Miguel skręcił, aby się ukryć. Chłopcy zrobili to samo.

— Wyłączcie silniki — poinstruował Miguel po hiszpańsku.

Posłusznie zgasili maszyny i wstrzymując oddech, oglądając się niespokojnie za siebie, czekali w milczeniu. Przez całą minutę nic się nie działo, już myśleli, że śmigłowce odleciały, gdy nagle zjawiły się przy wtórze ogłuszającego dudnienia, od którego ziemia zadrzała. Wszystkie pięć nadlatywało w ich kierunku znad linii górskich grzbietów. W ciągu kilku sekund przeleciały im nad głowami, nie więcej niż siedem metrów nad występem skalnym, pod którym się ukrywali.

Pierwsze cztery samoloty należały do hiszpańskiej CNP, piąty Hap znał aż nadto dobrze — wielki wojskowy chinook, którym lecieli z Madrytu do Barcelony. Znaczyło to, że Secret Service też tu była i że oddziałem dowodzi Bill Strait.

Błyskawicznie wyciągnął blackberry i włączył go z nadzieją, że Bill wysłał mu następną wiadomość z aktualnymi informacjami. Miał rację, chociaż to, co przeczytał, nie do końca go zadowoliło. Trudno jednak powiedzieć, że zaskoczyło.

Hap, cały czas usiłuję się do ciebie dodzwonić! Ambasada w Madrycie twierdzi, że Opryskiwacz może jednak być w klasztorze, uwięziony przez osuwisko w tunelach po starej kopalni. Jednostki CNP, CIA i nasza są w drodze.

Ciąg dalszy.

Powiedzieli nam, że to ty otworzyłeś ogień do agentów w Montserrat i że mogłeś zostać ranny. Gdzie się podziewasz, psiakrew? Proszę, daj znać, gdzie jesteś i czy nic ci nie jest.

Ciąg dalszy.

Tamci agenci nie byli z CIA, ambasada w Madrycie została źle poinformowana. To komandosi południowoafrykańskich sił specjalnych, którzy mieli po cichu wywieźć Foksa do kraju.

Ciąg dalszy.

Rząd Republiki Południowej Afryki przeprosił Departament Stanu i ambasadę w Madrycie.

Ciąg dalszy.

To wszystko nie trzyma się kupy. Jak wiesz, informacja o tym, że Opryskiwacz jest w Montserrat i że CIA wysłała swoich ludzi, żeby go sprowadzić, przyszła z ambasady w Madrycie od sekretarza generalnego Białego Domu. Jak mógł szef hiszpańskiej placówki CIA i sekretarz generalny pomylić agentów operacyjnych CIA z siłami specjalnymi RPA? I poza tym, jak mogła akcja odbicia Opryskiwacza zamienić się nagle w deportację jakiegoś doktora, a potem z powrotem w poszukiwanie Opryskiwacza w tym samym miejscu? Więc jak: wszedł do tuneli, odcięło go osuwisko i nikt o tym nie wiedział? Może Opryskiwacz spotkał się z doktorem z RPA? Próbowałem się skontaktować z zastępcą naszego dyrektora, który podobno jest w Madrycie, ale jak dotąd bezskutecznie.

Ciąg dalszy.

Jeśli możesz, masz się natychmiast skontaktować z Jakiem Lowe'em lub doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, Marshalllem. Może oni ci powiedzą, co jest grane.

To jest oficjalny rozkaz wiceprezydenta. Proszę, potwierdź.
Ciąg dalszy.

Martwię się o ciebie. Gdzie jesteś, do cholery? Czy to ty otworzyłeś ogień? Potrzebujesz pomocy? Do diabła, Hap, odzwij się albo niech ktoś to zrobi w twoim imieniu.

Zdezorientowanie Straita po całym zamieszaniu z informacjami otrzymanymi od sekretarza generalnego było całkowicie zrozumiałe. W dodatku niewiele albo żadnej z tych informacji nie można było uznać za prawdziwą. Ludzie, z którymi wdał się w strzelaninę w klasztorze, z całą pewnością nie byli komandosami z RPA; byli amerykańscy jak Kansas. Wiedzieli, że prezydent jest w biurze Foksa, i to po niego przyszli. Sprawa z doktorem musiała wypłynąć przy okazji.

Co do Straita, to w dalszym ciągu Hap nie potrafił ocenić ze stuprocentową pewnością, czy wpadł w środek tego młyna i starał się wykonywać swoje obowiązki, czy też stał po stronie tamtych i brał udział w ich matactwach. Czy jego troska o Hapa wynikała z autentycznej braterskiej solidarności, czy też z chęci wyeliminowania go raz na zawsze, aby nie przysparzał więcej kłopotów?

Skrzywił się na tę myśl i schował blackberry z powrotem do kieszeni, potem spojrzął na swoich hiszpańskich towarzyszy, ukrytych pod skalnym nawisem i skapanych w snopie złocistego światła, które znalazło sobie drogę przez szczelinę między dwoma dalekimi górskimi szczytami.

— Spytaj Amada, jak daleko stąd do najbliższego komina albo wejścia do tunelu — powiedział do Miguela. — I czy udałoby się nam dotrzeć tam na piechotę, tak żeby nas nikt nie zauważył.

Miguel odwrócił się do swojego bratanka i powiedział coś po hiszpańsku, a potem zwrócił się z powrotem do Hapa.

— To tylko jeden z wielu szybów, ale gdzieś trzeba zacząć, a oni twierdzą, że to jest mniej więcej miejsce, dokąd tamci mogli dojść w tym czasie, który minął od wstrząsu.

— Gdzie jest to wejście?

— Niecały kilometr stąd. Możemy wyruszyć, jak tylko zajdzie słońce.

Hap popatrzył na Miguela i kiwnął ręką, aby podszedł bliżej.

— Jeśli prezydent i Marten tam są — powiedział cicho, tak aby nie

słyszał go Amado i jego koledzy, w końcu mogli rozumieć trochę po angielsku — musimy ich znaleźć i wydostać stamtąd, zanim zrobi to hiszpańska policja.

— Wiem.

— Ale nie wiesz, że razem z policją są agenci CIA i Secret Service. Większość z nich, jeśli nie wszyscy, zarówno Amerykanie, jak Hiszpanie, uważają, że są po naszej stronie, że mają za zadanie uratować prezydenta i odstawić go w bezpieczne miejsce.

— Chcesz powiedzieć, że mogą próbować nas zabić.

— Nie. Chcę powiedzieć, że zabiją każdego, kto wejdzie im w drogę. Mówimy o prezydencie Stanów Zjednoczonych. Widziałeś te śmigłowce. A przyleci ich więcej, dużo więcej. Mamy stawić czoło armii ludzi, którzy są przekonani, że robią najszlachetniejszą rzecz pod słońcem.

— Nieważne, czy to jeden człowiek czy tysiąc. Dla mnie tam jest moja rodzina. Dla ciebie również, prawda?

Hap nabrał głęboko powietrza.

— Tak — powiedział w końcu.

Stanąc przeciwko czterem agentom operacyjnym działającym potajemnie to jedno, ale strzelać do niewinnych ludzi działających w dobrej wierze, hiszpańskich policjantów, agentów CIA i jego własnego Secret Service, wśród których mogli się ukrywać tajni współpracownicy spiskowców, to zupełnie coś innego. Nie mieli jednak wyboru.

— A co z chłopakami? — zapytał.

— Zajmę się nimi.

— Zabrałeś z samochodu apteczkę?

— Tak.

— Wyjmij z niej koce. Ty weź trzy, mnie daj cztery.

— Dobrze — odparł Miguel, ale przyglądał się Hapowi jeszcze przez dłuższą chwilę. — Jak twoje ramię?

— Boli jak sto diabłów.

— Weź tabletki przeciwbólowe.

— To nie pora na szprycowanie się lekami.

— Krwawi?

— Chyba nie. Twój doktor wykonał kawał dobrej roboty.

— Dasz radę iść?

— Jasne, do cholery!

— W takim razie chodźmy.

Miguel szybko wstał i podszedł do motocykla. Otworzył bagażnik i wyjął siedem małych, złożonych mylarowych koców i sześć odżywczych batonów. W następnej kolejności poszły bukłaki na szelkach, dwie duże latarki i pistolet maszynowy Steyr. Oddał Hapowi cztery koce, połowę batonów i jedną latarkę. Drugą wsunął sobie za pas. Założył bukłak na ramiona i przewiesił pistolet przez pierś. W tym samym momencie snop słonecznego światła raptownie zgasł i zamienił się w purpurowy blask zmierzchu, kiedy słońce skryło się za wierzchołki gór. Miguel dał znak pozostałym i sekundę później cała piątka ruszyła po kamienistej półce skalnej z rzadka porośniętej krzewami.

110

19.32

Dwukrotnie Marten i prezydent przedzierali się przez wielkie góry pyłu i kamieni — efekt podziemnego osuwiska. Byłoby to niezmiernie trudne nawet przy świetle, a w tych nieprzeniknionych ciemnościach nie sposób było nawet ocenić, jak daleko sięga osuwisko, i czy to, co robią, nie jest tylko stratą cennego czasu. W końcu jednak im się udało, przebili się i poszli dalej.

„Znajdziemy stąd wyjście i doprowadzimy pana na spotkanie z tymi ludźmi”.

Mając w pamięci to patetyczne przyrzeczenie Martena, skoncentrowali wysiłki na szukaniu jakiegokolwiek ruchu świeżego powietrza, który doprowadziłby ich do jakiegoś otworu. Może udałoby się im precyzyjnie, przebić lub przeczołgać na zewnątrz. Do tego celu potrzebowali jednak płomienia, który paliłby się dłużej niż zapalka. Marten poświęcił więc swój bawełniany podkoszulek. Zwinał go ciasno i jeden oderwany koniec zostawił zwisający luźno jako knot. Zużyli też dwie spośród bezcennego zapasu zapalek, aby pochodnia zaczęła się palić. Kiedy w końcu zapłonęła jasno, udało im się przy jej świetle przejść kilkadziesiąt metrów wzdłuż tunelu, gdzie na koniec natknęli się na stertę dawno temu porzuconych narzędzi. Większość przerdzewiała na wylot lub zbutwiała, ale znaleźli wśród nich trzy nadające się do użytku: młot dwuręczny z trzymającym się niezłe trzonkiem i dwa kilofy. Ściśle mówiąc, jeden kilof i jeden trzonek od kilofa. Trzymany pod odpowiednim kątem zastąpił im pochodnię z Nicholasowego podkoszulka, która wypaliła się niemal do cna i trzeba ją było porzucić. Tłący się trzonek dawał

ledwie bladą poświatę w porównaniu z blaskiem płonącego materiału, ale w otaczających ciemnościach pozwalał widzieć tunel na dobre pięć metrów.

Nie szli już gęsiego, tylko obok siebie, między szynami kolejki. Marten niósł kilof i młot, prezydent pochodnię. Obaj byli głodni i bliscy skrajnego wyczerpania, ale żaden z nich o tym nie wspomniał. Obserwowali w napięciu palące się drewno, czekając w milczeniu i z nadzieją, że w którymś momencie żar buchnie jaśniejszym płomieniem i wskaże im źródło świeżego powietrza.

— Nie mam żadnego dowodu — rzekł niespodziewanie prezydent.

— Na co dowodu?

— Na nic.

Popatrzył poważnie na Nicholasa, a kiedy zaczął rozwijać swoją myśl, wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej ponury.

— Pierwotny plan zakładał, że wydobędziemy od Foksa szczegóły spisku i z tymi informacjami zadzwonię do sekretarzy generalnych NATO i ONZ oraz do redaktorów naczelnych „Washington Post” i „New York Timesa” i wyjawię im prawdę. Zamiast tego znaleźliśmy się w tych przeklętych tunelach i szukamy wyjścia na świat, abym mógł stanąć przed zgromadzeniem w Aragonie. Tylko po co właściwie? Co im powiem? Że zawiązano gigantyczny spisek, a doktor Foxx znał jego szczegóły? I co komu z tego przyjdzie? Foxx nie żyje, szczegóły planowanego ludobójstwa zginęły razem z nim. Tajne laboratorium i dokumentacja zostały prawdopodobnie całkowicie zniszczone przez system, który doktor zaprojektował właśnie w tym celu. Możemy opowiedzieć, co widzieliśmy, i na tym koniec. Nic tam nie zostało. Moi „przyjaciele” oświadczą, że jestem chory, że przeżyłem załamanie nerwowe. Ucieczka z hotelu w Madrycie, potem do Barcelony i całe to ukrywanie się podziałają na moją niekorzyść i tylko potwierdzą ich wersję. Może pan oczywiście stanąć w mojej obronie, ale to na nic. Niech to będzie prezydent, ale jego słowo przeciwko wszystkim pozostałym nie ma szans. Jeśli oskarżę ich o planowanie zamachów w Warszawie, uśmiechną się tylko z politowaniem i oświadczą, że to dowodzi mojej niepoczytalności. Jeśli powiem, że zaplanowali ludobójstwo w krajach muzułmańskich, wyjdę na jeszcze większego wariata, głupca, który bredzi. — W przyćmionym, migoczącym świetle Marten zobaczył oczy prezydenta wpatrzone w niego i przepełnione rozpaczą. — Nie mam żadnego dowodu, panie Marten. Nic.

— To prawda — powiedział Nicholas z mocą — ale nie potrafi pan zapomnieć ciał i twarzy tych ludzi pływających w zbiornikach.

— Zapomnieć? Mam w pamięci te obrazy jak piętno, które mi wypalono żelazem. Ale bez jakiegokolwiek dowodu... oni nie istnieli.

— Owszem, istnieli.

Prezydent popatrzył na pochodnię i szedł dalej w milczeniu ze zwieszonymi ramionami, zgarbiony, jakby się całkowicie poddał. Po raz pierwszy Nicholas zdał sobie sprawę, że choć odważny i pełen determinacji, dzięki której zaszedł aż tutaj, Harris nie był człowiekiem, który czuł się dobrze w swoim własnym towarzystwie. Potrzebował ludzi wokół siebie, kompromisów, wzajemnych ustępstw, a nawet rozbieżności zdań, być może po to, aby móc jaśniej myśleć, aby spojrzeć na sprawy z nowej perspektywy albo szukać inspiracji, której mu brakowało.

— Panie prezydencie — zaczął Marten stanowczo — musi pan dotrzeć na kongres w Aragonie. Musi pan im powiedzieć o planowanych zamachach w Warszawie. O tym, co się stało. O tym, kto, gdzie i kiedy przedstawił panu te plany, a potem ultimatum. Powie pan prawdę, a po tym oświadczeniu pańscy „przyjaciele” nie będą mieli innego wyjścia, jak odwołać całą akcję, przynajmniej na razie. Jeśli tego nie zrobią, potwierdzą, że miał pan rację. Tymczasem cały świat czujnie nastawi odbiorniki. Nadal jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ludzie będą pana słuchać. Media będą słuchać. Może pan nakazać śledztwo we wszystkich sprawach, w które był zamieszany Foxx. I takie samo śledztwo może pan wszcząć w sprawie pańskich „przyjaciół”. Owszem, znajdzie się pan w niezręcznej sytuacji, ale nie bardziej niż teraz. Już samo upublicznienie tej sprawy, bez względu na reakcję, jaką wywoła, opóźni, jeśli nie udaremni ich plan. Rzeczywiście nie ma pan dowodów, ale to nie znaczy, że nic pan nie może zrobić. Nie musi się koniecznie coś stać, aby udało się zdusić spisek. Na pewno uratuje pan przynajmniej życie prezydentowi Francji i kanclerz Niemiec.

Prezydent przyjrzał mu się w zamyśleniu. Nicholas widział jego skrajne zmęczenie. Brzemie odpowiedzialności, które go przytłaczało, zbierało swoje żniwo. Chciałby mu pomóc. Jakże bardzo by chciał, aby mogli sobie teraz usiąść przy steku i piwie i pogawędzić o baseballu albo pogodzie i zapomnieć o wszystkim innym.

— Chciałby się pan zatrzymać i kilka minut odpocząć?

Przez chwilę prezydent nie odpowiadał. Potem, zupełnie jakby wrzucił jakiś inny bieg, jego spojrzenie stwardniało, wyprostował się, ściągnął ramiona.

— Nie, panie Marten, nie zatrzymujemy się. Chodźmy dalej.

19.40

Bill Strait patrzył w dół na ciemniejący podgórski teren, kiedy zataczali ostatnie koło, a potem przelecieli nad płaską kamienistą skalną półką. Kilka chwil później wielki chinook wylądował w zamieci piasku i suchych roślin, a pilot wyłączył silniki. Strait odpiął pas i pierwszy wysiadł z samolotu, gdy tylko otwarto drzwi. Za nim poszli Lowe, Marshall i siedemnastu agentów Secret Service. Ci pierwsi mieli na sobie włożone w pośpiechu spodnie khaki, buty turystyczne i narciarskie parki. Podwładni Straita byli uzbrojeni i ubrani tak samo jak on — w dżinsy, wiatrówki i buty do chodzenia po górach. Wszyscy wyposażeni byli w noktowizory.

— Tędy — powiedział Strait.

Schylił się pod obracającym się płatem wirnika i ruszył szybkim krokiem w stronę helikoptera hiszpańskiej CNP, który wylądował na skalnej półce pięćdziesiąt metrów dalej i gdzie czekała już kapitan Belinda Diaz ze swoim dwudziestoosobowym oddziałem.

Pod nieobecność Hapa Danielsa Strait przejął obowiązki szefa ochrony prezydenta i dowódcy całej operacji. Z tego, co wiedzieli funkcjonariusze Secret Service, CIA i CNP, sytuacja przedstawiała się następująco: prezydent znajduje się gdzieś w tunelach, uwięziony przez, jak to nazwano, „ruchy ziemi”; towarzyszy mu prawdopodobnie niejaki Nicholas Marten; należało przyjąć, że mogą być z nimi również inne osoby, ponieważ prezydent prawdopodobnie padł ofiarą porwania, a w związku z tym znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Operacja zatem otrzymała status „ratowanie życia” i miało tak być aż do odwołania.

W sumie na obrzeżach okręgu o średnicy piętnastu kilometrów wylądowało dziewięć śmigłowców. Poza chinookiem wszystkie pozostałe należały do CNP. Pięć przywiozło dwudziestoosobowe oddziały policji wyszkolonej do prowadzenia działań w górach. Każdym z trzech pozostałych przyleciało osiemnastu agentów CIA. Ponadto we wszystkich dziewięciu helikopterach dyżurowało dwóch specjalistów od łączności i dźwięku wyposażonych w najwyższej klasy sprzęt do nasłuchu. W drodze z Madrytu były jeszcze trzy osiemnastoosobowe oddziały CIA, a stu agentów Secret Service leciało z Paryża i miało wylądować na lotnisku Costa Brava w Geronie, skąd zabiorą

ich śmigłowce CNP. Przewidywany czas przybycia oddziałów CIA z Madrytu — dwudziesta dwadzieścia; dla Secret Service z Paryża — dwudziesta pierwsza trzydzieści.

19.44

Kapitan Diaz zerknęła na Lowe'a i Marshalla, a potem na Billa Straita.

— Jesteśmy tutaj — powiedziała po angielsku.

Palcem wskazującym dotknęła mapy rozłożonej na ziemi. Z krótkofalówki przypiętej do jej pasa wydobywały się trzaski i głosy wymieniające się informacjami. Diaz była mniej więcej trzydziestopięcioletnią kobietą, atrakcyjną, pewną siebie, wysportowaną i jak wszyscy funkcjonariusze CNP ubraną w moro i uzbrojoną.

— Przeszukujemy duży obszar górski o powierzchni około dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych.

Odłożyła na bok jedną mapę i wzięła drugą. Była to kopia mapy kopalni rudy z 1922 roku, na której zaznaczono tunele i szyby biegnące we wnętrzu góry. Diaz wskazała coś palcem.

— Te linie oznaczają korytarze używane w okresie, gdy zamykano kopalnię. Jak widać, główne tunele biegną tu, tu, tu i tu. Największy korytarz ciągnący się od klasztoru to ten. — Pociągnęła palcem po czerwonej linii. — Tędy prawdopodobnie poszedłby ktoś, kto chciałby się wydostać z klasztoru. Przynajmniej tak to wygląda według naszych informacji. Te tunele i szyby są bardzo stare, nieużywane od ponad osiemdziesięciu lat. Wiele z nich zawaliło się na różnych odcinkach. To znaczy, że ta mapa może być pomocna, ale nie jest w pełni wiarygodna.

— Założmy, że poszli tym tunelem — powiedział Strait. — Może dwóch, a może dwudziestu ludzi. — Wskazał palcem główny korytarz. — Jeżeli przyjmujemy, że wyruszyli o piętnastej trzydzieści siedem, czyli o godzinie, kiedy doszło do wstrząsu, jak daleko mogli zajść do tej pory?

— To zależy od tego, w jakim stanie jest prezydent. Czy musieli go nieść, zatrzymywać się, żeby mu podać jakieś lekarstwa czy opatrzyć go. Zależy też, czy mieli światło. Możecie sobie wyobrazić, że w tych tunelach jest ciemno jak w grobie. No i to wszystko przy założeniu, że wybrali właśnie ten korytarz, a nie jeden z wielu innych.

— Mogli iść inną drogą?

— Mogli zrobić wiele rzeczy, z najróżniejszych powodów. Może ten

tunel był zatarasowany, więc musieli wybrać inny. Wybraliśmy to miejsce dlatego, że to najprostsza i najbardziej prawdopodobna droga, jeśli nie zablokowało jej jakieś osuwisko lub coś w tym rodzaju. Jesteśmy u wylotu tunelu. Pójdziemy nim w kierunku klasztoru. Inne oddziały wyruszą z drugiego końca i będą szły w naszą stronę. Jeszcze inne spróbują się przedzierać bocznymi korytarzami. My...

Przerwała nagle, żeby wysłuchać informacji skierowanej do niej przez radio.

— Si, si — powiedziała w końcu do maleńkiego mikrofonu w klapie kurtki. — Gracias.

Znowu zerknęła na Lowe'a i Marshalla i odwróciła się do Billa Straita.

— Na miejsce dotarł już sprzęt wiertniczy. Niedługo zaczną się przebić z góry do środka tuneli, a potem wpuszczą tam kamery i urządzenia nasłuchowe.

— Dobrze — odparł Strait i wrócił do mapy. — Założmy, że są w tym tunelu. Gdzie jest wejście albo komin, którym moglibyśmy się dostać do środka?

— Trudno powiedzieć. Kominów nie zaznaczono na mapie. Musimy je znaleźć sami. Poprosiliśmy o pomoc Agentes Rurales, straż górską i leśną, która zna ten rejon. Ale nawet jeśli znajdziemy kominy albo jakieś inne wejścia, nie wiemy, jakiej są wielkości, czy ktoś się tam wciśnie, czy też trzeba je będzie rozwiercać albo wysadzać. Jeszcze jedno. — Przeniosła wzrok na Marshalla i Lowe'a. — Musicie coś zrozumieć, panowie. Możliwe, że żadna z osób, które znalazły się tam na dole, łącznie z prezydentem, nie przeżyła.

— Dlatego właśnie tu jesteśmy, pani kapitan — odrzekł cicho Jake Lowe. — W ten czy inny sposób mamy zamiar sprowadzić go z powrotem.

112

PARYŻ; GARE DU NORD. 20.10

— Dziękuję bardzo — powiedział Victor.

Wsunął do kieszeni bilet pierwszej klasy, po czym odszedł od okienka i skierował się w stronę peronów. Pociąg numer 243 do Berlina ma odjechać o ósmej czterdzieści sześć, ale podstawią go dopiero o ósmej trzydzieści cztery.

Będzie miał dwanaście minut na znalezienie właściwego miejsca w przedziale i sprawdzenie, czyjego walizka trafiła do wagonu bagażowego. Koniecznie trzeba było zająć wcześniej swoje miejsce, ponieważ ludzie, nawet ci z rezerwacjami, siadali często, gdzie im się podobało. A jeśli ktoś zajął nie swoje miejsce, to odzyskanie go wymagało zwykle pewnej konfrontacji, nierzadko w obcym języku. Kilka razy widział, jak taki incydent przeradzał się w zagrzałą kłótnię, która mogła ściągnąć uwagę konduktora albo policjanta. A to była ostatnia rzecz, jakiej mu było trzeba, zwłaszcza policji, która zażądałaby od niego paszportu i wypytywała, skąd i dokąd jedzie. Na razie jednak pociąg nie przyjechał, więc i miejsc nie można było zająć, co oznaczało, że Victor mógł tylko usiąść na peronie i czekać albo spacerować po dworcu. Nie odpowiadało mu ani jedno, ani drugie, ponieważ wystawiało go to na widok publiczny. W Paryżu, a przynajmniej we francuskich brukowcach, zabójstwo dwóch dżokejów, którzy tego ranka w Chantilly, zginęli od jednego strzału, stało się tematem dnia. Wszystkie gazety leżące w kioskach na całym dworcu zamieszczały tę historię na pierwszej stronie.

L'OMSA A TUE LES JOCKEYS?
DEUX AVEC UN PROJECTILE!
MUERTRE DANSLEBOIS DE CHANTILLY!

KTO ZABIŁ DŻOKEJÓW?
DWÓCH JEDNYM STRZAŁEM!
MORDERSTWO W LESIE CHANTILLY!

Chantilly leżało dwadzieścia minut jazdy pociągiem od Paryża. Kiedy wracał po wykonaniu zadania, wysiadł na tej samej stacji Gare du Nord, na której był teraz. Skąd mógł wiedzieć, że ktoś go przypadkiem nie widział w obydwu miejscach? Może jakiś pracownik kolei albo pasażer, który dojeżdżał rano do pracy, a teraz wracał do domu, nagle go sobie przypomni?

Szedł ze spuszczoną głową. Kiedy w Waszyngtonie zabił mężczyznę w kurtce nowojorskich Jankesów, Richard dobrze zrobił, zabierając go stamtąd samochodem. Zawiózł go prosto na lotnisko i wsadził do samolotu, zanim informacje o morderstwie ukazały się w gazetach. Teraz był sam, zdany na łaskę groźnych twarzy tłumu. Nie podobało mu się to. Nie mógł się doczekać, kiedy przyjedzie pociąg, a on będzie mógł wsiąść i przynajmniej ukryć się przed ludzkim wzrokiem.

Wziął torbę, wszedł do kawiarenki naprzeciwko torów i usiadł na wolnym miejscu przy barze.

— Kawę poproszę — powiedział. — Czarną.

— Café noir? Victor kiwnął głową.

— Café noir.

113

LA IGLESIA DENTRO DE LA MONTANA. KOŚCIÓŁ WEWNĄTRZ GÓRY. 20.20

Demi szła wzdłuż rzędu sześćdziesięciu mnichów i robiła im zdjęcia, kiedy wchodzili z grot oświetlonych blaskiem świec do kościoła. Szli gęsiego, ze spuszczoneymi głowami, śpiewając cicho. Początkowo fotografowała cyfrowym canonem, potem przeczuciła się na nikon, a potem z powrotem na canona, a tymczasem inteligentny telefon, ukryty pod długą szkarłatną suknią, przyniesioną przez Cristinę, potajemnie przesyłał wszystkie dane do Paryża.

Monotonny śpiew zakonników odbijał się echem od kamiennych ścian świątyni niczym łagodna modlitwa, pojedyncza linia melodyczna wznosiła się, to znów opadała, by po chwili ponownie się wzniesć. W pierwszej chwili Demi myślała, że pieśń, podobnie jak nazwiska wyryte na kamiennych płytach przykrywających krypty zmarłych, jest włoska, przysłuchując się jednak przez dłuższy czas, stwierdziła, że nie był to ani włoski, ani hiszpański, ani w ogóle żaden język, który w życiu słyszała.

Mnisi okrążyli kościół raz, potem drugi, a później wyszli przez wysoki portal do starożytnego amfiteatru. Tam powtórzyli pieśń dwukrotnie, a potem jeszcze dwa razy, jednocześnie ustawiając się w półkolu przy świetle trzech ognisk płonących i tworzących trójkąt wokół wielkiego, okrągłego kamienia. Na samym środku kamienia, który stanowił główny punkt amfiteatru, widniał wyrzeźbiony krzyż Aldebarana.

Demi szła powoli w kierunku miejsca naprzeciwko ognisk, nieopodal widowni amfiteatru, gdzie zasiadało już co najmniej dwieście osób — kobiet, mężczyzn i dzieci, począwszy od starców, a skończywszy na niemowlętach trzymanyh przez matki na rękach. Wszyscy mieli na sobie takie same szkarłatne suknie jak Demi.

Za ogniskami widać było dolinę, którą Demi mijała w drodze do świątyni. Rzadka mgła, która płożyła się wcześniej tuż nad ziemią, zgęstniała, podniosła się niczym morskie opary i zaczynała kłębić się wokół uczestników ceremonii. Nad ich głowami wznosiły się górskie szczyty, które oddziaływały świątynię od reszty świata i nad którymi wschodził właśnie powoli księżyc w pełni.

Niespodziewanie umilkł śpiew zakonników i przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie w ciemności za plecami mnichów rozległ się potężny męski głos. Głęboki i melodyjny, brzmiał niczym pogański zew, modlitwa do duchów, odmawiana w tym samym języku co pieśń.

Kiedy ucichł, odpowiedzieli mu widzowie, niczym chór powtarzający zgodnie słowa w dziwnym języku. Potem znów zabrzmiał głos z ciemności, a jednocześnie na środek wyszła postać ubrana w długą czarną szatę z kapturem. Wkroczyła w krąg światła rzucany przez trzy ogniska i skierowała się ku kamiennemu kręgowi. Nagle uniosła wysoko ręce i odrzuciła głowę do tyłu. Demi aż dech zaparło, kiedy zobaczyła w głębi kaptura twarz wielobnego Becka. Odsunęła się od reszty widzów w cień i zaczęła pstrykać zdjęcia: Beckowi, zgromadzonym uczestnikom, mnichom, tak jak poprzednio używając na zmianę obydwu aparatów.

Z głową odrzuconą w tył i rękami wyciągniętymi w górę Beck grzmącym głosem rzucił w niebo rozkaz, jak gdyby sięgał do księżyca, a może jeszcze dalej, aby przywołać duchy z ciemności. Potem odwrócił się do kamienia ustawionego między ogniskami i w jego stronę wypowiedział ten sam rozkaz, który poprzednio wykrzyczał ku niebu. Przez dłuższy czas nic się nie działo, aż wreszcie gdzieś z ciemności wyłoniła się ubrana na białą postać, wolnym krokiem minęła ogniska i weszła na środek kamiennego koła.

Była to Cristina.

Beck odwrócił się do widowni, wyciągnął rękę i powiedział coś, zataczając dłonią łuk. Widownia odpowiedziała, powtarzając jego słowa, a potem dodając inne, które zabrzmiały Demi jak nazwy dalekich gwiazd. Wyróżniła cztery. Chór wypowiadał je szybko, staccato, jakby wzywał nieznanych bogów.

Demi podeszła bliżej, nie przestając pstrykać zdjęć. Beck wyszedł z kręgu światła, a na jego miejscu, tak szybko, że zdawało się to magiczną sztuczką, zjawiła się Luciana. Miała na sobie jaskrawozłotą suknię, w ręku trzymała długą rubinową różdżkę. Jej gęste czarne włosy ściągnięte były do tyłu i zwinięte w ciasny kok. Od kącików oczu, pomalowanych na czarno, aż

do uszu biegly teatralne czarne smugi w ksztalcie blyskawic, a z czubków palców sterczały ohydne sztuczne paznokcie długości co najmniej dwudziestu centymetrów.

Poruszając się wdzięcznie i lekko niczym baletnica, podeszła od tyłu do Cristiny i różdżką zatoczyła nad jej głową koło. Potem z taką samą gracją zbliżyła się do kamiennego koła i wykonała nad nim ten sam ruch. Kiedy skończyła, popatrzyła na zebranych, postawą i zachowaniem przypominając, że jest najwyższą kapłanką, sacerdotessą. Raptownie wykrzyczała słowa napelnione mocą i siłą, jakby rzucała zaklęcie. Potem podeszła na brzeg kręgu, powiodła gorejącym spojrzeniem po zebranych i zawołała to samo jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I jeszcze raz.

114

20.47

— Niech pan posłucha! — powiedział nagle Marten i zatrzymał się.

Pochodnia ledwo się już tliła i ze światła, jakie dawała, w nieprzeniknionej ciemności tunelu pozostał tylko migoczący żar.

Prezydent też się zatrzymał.

— Co to takiego?

— Nie wiem. Sprawia wrażenie, jakby dochodziło gdzieś z tyłu.

Nasłuchiwali przez chwilę w napięciu, ale nic więcej nie było słyhać.

— Może zaczynam tracić zmysły — rzekł Marten. — O, teraz! Słyszysz pan? — spytał po chwili.

Gdzieś z kierunku, skąd przyszli, dochodziło piskliwe zgrzytanie. Trwało może dwadzieścia sekund, po czym ucichło. A potem rozległo się na nowo.

— Wiercenie — oznajmił bez wahania prezydent. — Wiercę w kamieniu. Nakopałem się w życiu tyle studni, że rozpoznam ten odgłos bezbłędnie.

— Przybyła pańska „ekipa ratunkowa”. Wiedzą, że tu jesteśmy.

— Nie, nie wiedzą, tylko podejrzewają. Ale jak na razie zostają w tyle, jakieś półtora kilometra, może więcej. — Prezydent spojrzał Nicholasowi w oczy. — Kiedy przewiercą się do tunelu, wpuszczą tu sprzęt do nasłuchu, możliwe że i kamery na podczerwień. W tych korytarzach dźwięk niesie się tak samo daleko jak pod wodą.

— Jak pan myśli, ilu ich jest?

— Tam na górze? Ilu nas szuka?

— Tak.

— Zbyt wielu. Od tej pory możemy co najwyżej szeptać. I to dobierając jak najkrótsze słowa.

Marten patrzył na niego przez ułamek sekundy, po czym wyciągnął przed siebie pochodnię i ruszyli dalej.

20.50

Półka skalna, po której szli, była czarna jak noc. Miguel przystanął i poświęcił latarką na siebie, aby pozostający w tyle Hap Daniels mógł za nim nadążyć.

— Ostrożnie z tym światłem, widać go na kilka kilometrów — wysapał Hap, kiedy dogonił Miguela.

Trzymał rękę na temblaku zrobionym naprędce z krawata, aby choć trochę zmniejszyć ból w zranionym ramieniu.

Za nimi księżyc w pełni przedzierał się przez chmury gęstniejące nad dalekimi szczytami gór. Wiedzieli, że zbliża się deszcz, nie mieli tylko pojęcia, kiedy zacznie padać i jak bardzo będzie ulewny.

— Jesteś pewien, że chcesz dalej iść? — zapytał Miguel, patrząc na Hapa.

Widać było wyraźnie, że każdy krok sprawia Danielsowi ból.

— Tak, do cholery.

— Może chcesz chwilę odpocząć? Wziąć tabletki przeciwbólowe?

— Gdzie te chłopaki, do diabła ciężkiego?

— Tutaj! — głos Amada dobiegł z ciemności kilkanaście metrów przed nimi.

Miguel skierował latarkę na urwisko otwierające się mniej więcej siedem metrów dalej.

— Psiakrew! — Hap chwycił Miguela zdrową ręką za ramię. — Zgaś tą przeklętą latarkę!

20.52

Hap i Miguel zajrzeli w szczelinę między skałami. Trzy metry niżej Hector i Jose kucali przy dużym otworze w kamieniu, oświetlając drogę Amadowi, który opuszczał się do środka. Sekundę później zniknął im z oczu. Jose czym prędzej ruszył jego śladem.

— Jak głęboki jest ten szyb? — zapytał Miguel możliwie jak najciszej, ale tak, żeby usłyszeli go tamci na dole.

— Jakieś dziesięć metrów — odpowiedział z dołu Amado.

— A co dalej?

— Następna szczelina w skale.

— Kiedy tam dojdziecie, użyjcie kamieni.

Miguel wstrzymał oddech i popatrzył na Hapa. Czekali.

Minęło kilka minut. W końcu usłyszeli stukanie. Sześć razy.

Amado uderzał o siebie dwoma kamieniami. Odgłos powinien być słyszalny daleko przez szczeliny w skale i — mieli nadzieję — w korytarzu pod spodem.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk.

Cała piątka wstrzymała oddech, nasłuchując odbijającego się dźwięku. W końcu usłyszeli głos Amada.

— Nic!

— Spróbuj jeszcze raz! — zakomenderował Miguel.

— Nie! — sprzeciwił się ostro Hap. — Przestańcie już robić tyle hałasu.

Miguel popatrzył na niego zdziwiony.

— Jak inaczej znajdziemy ich w tej płątaninie tuneli?

— Miguelu, mamy na karku hiszpańską policję, Secret Service i CIA. Na pewno przywieźli ze sobą najlepszy sprzęt do nasłuchu i obserwacji nocą. Jeśli prezydent i Marten usłyszą te odgłosy, to tamci tym bardziej. Znajdą nas i nikt nas więcej nie zobaczy. Nikogo, chłopców też. A prezydent zginie.

— Więc co robimy?

— Musimy znaleźć wejście do tego tunelu i iść nim.

— Iść tunelem?

— Mamy latarki. Trzeba zaznaczyć miejsce, gdzie wchodzimy, a potem robić znaki na trasie, żebyśmy mogli wrócić. Amado i reszta znają te przejścia, tak? Dlatego tu jesteśmy.

Miguel skinął głową.

— Moi ludzie nie znają tych tuneli i założę się, że hiszpańska policja także nie.

Twarz Miguela skurczyła się boleśnie.

— Jest nas pięciu przeciwko takiej armii. Nie uda się nam.

— Owszem, może się udać. Musimy tylko to zrobić lepiej, szybciej i bardzo cicho.

— Hap, ty się nie nadajesz, żeby schodzić na dół. Zostań tu, pójdę sam z chłopakami.

— Nie możecie iść sami.

— Dlaczego?

— Nie znam dokładnej pozycji satelitów, ale jakoś niedługo będą nad naszymi głowami. Zrobią wtedy zdjęcia termowizyjne i znajdą każdego człowieka poruszającego się po tym terenie. Tamci wiedzą, gdzie są ich ludzie i ilu ich jest.

— Chcesz powiedzieć, że nas zobaczą, tak?

— Zobaczą każdego, kto się tu kręci, a nie należy do ich ekipy ratunkowej.

— W takim razie myślę, że lepiej będzie, jeśli zejdziesz do tunelu.

— Właśnie.

115

21.03

Jake Lowe i doktor James Marshall stali obok chinooka i patrzyli na skalną równinę, gdzie oddziały Secret Service Billa Straita i CNP pod dowództwem kapitan Diaz włączyły oświetlenie robocze i torowały sobie drogę przez miękkie piaskowce potężnymi piłami.

Za nimi w wielkim wojskowym śmigłowcu ekipa medyczna — dwóch lekarzy, dwie pielęgniarki i dwóch ratowników z pogotowia — przygotowywała się na przyjęcie rannego prezydenta. Trzydzieści metrów dalej Bill Strait i kapitan Diaz z siedmioma technikami z Secret Service, CIA i CNP zakładali stanowisko dowodzenia, skąd mieli koordynować działania oddziałów w terenie.

Lowe obejrzał się, aby się upewnić, czy nikt ich nie słyszy, po czym spojrzął na Marshalla.

— Możemy mieć kłopot z hiszpańską policją, jeśli znajdą prezydenta żywego i zacznie coś mówić — powiedział cicho.

— Możemy ich odesłać do domu.

— Niestety, nie.

— Jake — Marshall podszedł bliżej i zniżył głos — policja tak jak wszyscy inni wierzy, że prezydent albo nie żyje, albo jest zakładnikiem Martena lub jakiejś innej bandy, albo postradał zmysły i włóczy się bez celu. Jeśli

wydobęda go stamtąd żywego, wszystko, co powie, zostanie uznane za majątku człowieka, który przeżył silny wstrząs psychiczny. W kilka minut zapakujemy go do chinooka i znikniemy.

— I tak wygląda mi to na zbyt naciągane. Zbyt dużo rzeczy może pójść nie tak. — Lowe zatroskany odwrócił wzrok, dopiero po chwili spojrzął z powrotem na Marshalla. — Jestem skłonny wstrzymać akcję w Warszawie. Mówię poważnie. Odwołałbym ją.

— Nie możemy tego zrobić, Jake, wiesz o tym — rzekł spokojnie Marshall. — Wiceprezydent dał zgodę, operacja trwa, wszyscy o tym wiedzą. Jeśli teraz to odwołamy, okażemy słabość nie tylko przed naszymi ludźmi, ale również wobec przyjaciół z Francji i Niemiec. Wyluzuj, Jake, wciąż kontrolujemy sytuację. Tak jak mówiłem wcześniej: miej trochę wiary.

Nagle w punkcie dowodzenia powstało jakieś zamieszanie. Bill Strait mówił coś z ożywieniem do mikrofonu. Inni znieruchomieli i patrzyli na niego w napięciu, łącznie z kapitanem Diazem. Lowe i Marshall ruszyli biegiem w ich stronę.

— Powtórzcie, proszę — powiedział Strait, przykładając rękę do słuchawki, żeby lepiej słyszeć, a jednocześnie śledząc wymianę informacji między swoimi oddziałami, nadającymi na innych kanałach. — To dobrze, do stu diabłów. To bardzo dobrze.

— O co chodzi? — zapytał szybko Lowe, kiedy podeszli z Marshalllem do stanowiska dowodzenia. — Technicy coś usłyszeli? Jakież dźwięki? To on? Czy to prezydent?

— Jeszcze niczego nie namierzaliśmy, ale CNP dostała się do głównego tunelu prowadzącego z klasztoru, tego, który został zasypany. Wchodzi tam ekipa CIA.

— Agencje Strait — kapitan Diaz zdjęła swoje słuchawki — nasi ludzie na tym końcu właśnie się przebili. — To mówiąc, wskazała głową widoczne w oddali oświetlone miejsce prac wiertniczych. — Sześciu ludzi jest już w środku. — Szybko spojrzęła na Lowe'a i Marshalla. — Te stare mapy pokazują, że główny tunel ma około dwudziestu kilometrów długości. Nasze postępy to potwierdzają, co oznacza, że mapy są stosunkowo dokładne. Oddział pracujący gdzieś w połowie korytarza odkrył komin i schodzi nim po mału w dół. Inny usiłuje dostać się przez odkrytą szczelinę do jednego z bocznych tuneli. Ekipy wiertnicze siódma i czwarta trafiły na miękką skałę w odległości pięciu kilometrów od siebie. Nie wiemy, ile im zajmie przebicie się do głównego korytarza. Jeśli chodzi o oddziały, które weszły już do środka, i te, które zaraz tam wejdą, wszystko zależy od tego, co tam znajdują: czy tunel jest drożny na całej długości, czy trafią na zawały i osuwiska.

Lowe spojrział na Billa Straita.

— Ilu ludzi mamy teraz w tunelach?

— Około sześćdziesięciu. Zejdzie jeszcze trzydziestu, kiedy pozostałe ekipy przebiją się do środka. Drugie tyle, w tym ludzie kapitan Diaz i nasi operacyjni, dotrze do korytarza w tym miejscu. Ludzie CIA z Madrytu już wylądowali i rozesłano ich górą wzdłuż przebiegu głównego tunelu. Towarzyszą im Agentes Rurales, którzy znają ten teren. Mają szukać następnych zejść. Zdjęć satelitarnych, cyfrowych ani termowizyjnych nie dostaniemy jeszcze przez półtorej godziny, dopóki satelita nie znajdzie się dokładnie nad nami. Poza tym w nocy i przy tych warunkach atmosferycznych nie należy spodziewać się zbyt wiele po zwykłych zdjęciach. Natomiast będziemy próbowali identyfikować ludzi na obrazach termowizyjnych, które pokażą ciepłe obiekty poruszające się po terenie lub wychodzące z tuneli.

Lowe był wyraźnie rozczarowany.

— Czyli w zasadzie cała ta operacja zdana jest na łaskę kilku maszyn wiertniczych i kilkuset ludzi z mikrofonami, noktowizorami, kilofami i łopatom, tak? — powiedział podniesionym głosem.

— Przykro mi, ale to jest pościg, a nie badania odkrywkowe. Musimy pracować tym, co mamy.

— Gdzie jest to stuosobowe wsparcie Secret Service z Paryża?

Strait przeniósł wzrok z Lowe'a na Marshalla.

— Już w Hiszpanii. Mają tu być o dziewiętej czterdzieści. Panowie, wszyscy ludzie, którzy tu pracują, znają swój fach: CNP, CIA, Secret Service. Jeśli prezydent jest gdzieś tam na dole, to go znajdziemy.

— Jestem tego pewien i dziękuję panu — powiedział Marshall, po czym wziął Lowe'a za ramię i odszedł z nim w stronę chinooka. — Jake, przeholowujesz i to grubo — upomniał go ostro. — Ochłoń trochę, dobrze? Uspokój się i wyluzuj.

116

AMFITEATR W IGLESIA DENTRO DE LA MONTANA. KOŚCIÓŁ WEWNĄTRZ GÓRY. 21.20

Demi stała na brzegu tłumu i starając się nie zwracać na siebie uwagi, fotografowała przebieg ceremonii odbywającej się w kręgu Aldebarana, gdzie sześćdziesięciu mnichów klęczało z pochylonymi głowami wokół jego

obwodu i śpiewało w tym samym nieznanym języku co poprzednio. Za ich plecami nadal płonęły trzy ogniska, w nocne niebo ulatywały snopy iskier. Księżyc w pełni zniknął całkiem za napływającymi chmurami, a gwałtowność zbliżającej się burzy można było ocenić po widowiskowych rozbłyskach szalejących w oddali nad doliną.

W powiewającej białej sukni Cristina siedziała niczym bogini na prostym drewnianym tronie ustawionym w środku koła, podczas gdy w jej stronę sunął nieprzerwanie sznur dzieci w szkarłatnych sukienkach. Wyłaniały się z mroku za ogniskami, czekały cierpliwie na swoją kolej, a potem powoli, z czcią, wchodziły w krąg światła i zbliżały się do tronu. Każde niosło coś żywego — psa lub kota, a kilkoro starszych sowę uwiązaną do skórzanej rękawicy niczym sokół — i prosiło o błogosławieństwo.

A Cristina błogosławiła, uśmiechając się do każdego z miłością i czułością, całowała każde w oba policzki, a potem wyciągała rękę nad głowę zwierzęcia, które przyniosły, i recytowała krótką modlitwę. Jej słowa, ledwie słyszalne, wypowiedane były w tym samym języku, w którym przemawiali Beck i Luciana i śpiewali mnisi. Po udzielonym błogosławieństwie dzieci odchodziły i znikwały w ciemności poza kręgiem światła z ognisk, a na ich miejsce wchodziły następne. Dookoła dorośli widzowie obserwowali tę ceremonię w milczeniu, jakby zauroczeni, tymczasem na dole, na krawędzi światła, Luciana i wielbny Beck stali niczym boscy pasterze sprawujący pieczę nad swą owczarnią.

Demi patrzyła zdumiona. Zastanawiała się, jak do tego wszystkiego pasowały rysunki jej matki, tatuaże na kciukach Merrimana Foksa, zmarłej Lorraine Stephenson, Cristiny, Luciany i prawdopodobnie również wielbnego Becka, zwłaszcza do tej poruszającej ceremonii z dziećmi i błogosławieniem zwierząt. Co to za duchy przyzywał z nocy Beck? Jaką rolę odgrywała Cristina? Jakie znaczenie miały kolejne etapy tego rytuału?

Czyżby Beck mówił prawdę, że sabat i jego ceremonie są całkowicie nieszkodliwe i nie odbywa się tu nic, czego by świat nie mógł zobaczyć? Jeśli tak, to czemu podano jej narkotyki, kiedy tu jechała? Czego Foxx chciał od Nicholasa Martena i czy miało to jakiś związek z tym, co tu widziała? A co ze zniknięciem jej matki? Z ostrzeżeniami ojca i bezrękiego Giacomu Geli? Co takiego zobaczył ów nieszczęśnik kilkadziesiąt lat temu, co skłoniło jego oprawców do tak bestialskiego czynu? I jaki był związek pomiędzy znakiem Aldebarana a starożytnym kultem Aradii Mniejszej i jej tradycji?

Krew, przysięgi, ofiary z żywych stworzeń, tortury? Gdzie się podziała kilkusetosobowa publiczność, potężny zakon Nieznanych?

Czyżby Gela się mylił albo wręcz całkiem oszalał? Zgorzkniały, osiemdziesięcioletni kaleka, żyjący samotnie przez dziesiątki lat, wymyślił tajny starodawny kult, na który zrzucił winę za swoje nieszczęście. Demi nie mogła się tu dopatrzeć niczego zbrodniczego. Rodziny, dzieci, zwierzęta. Czego tu się obawiać?

117

21.35

Hector i Jose byli już na dnie tunelu i świecili latarkami w górę. Siedemnaście metrów nad nimi Amado z Miguelem pomagali Hapowi opuścić się ciasnym, stromym kominem. Hap z konieczności zdjął rękę z temblaka. Okropny pulsujący ból w ramieniu zelżał nieco pod działaniem środków przeciwbólowych, które w końcu niechętnie zażył.

21.40

Wszyscy trzej znajdowali się jeszcze co najmniej sześć metrów nad dnem tunelu, kiedy ziemia zaczęła drżeć. Kilka sekund później usłyszeli dudniący ryk helikopterów: jeden, dwa, trzy, cztery i po chwili jeszcze piąty. Zbliżyły się i przeleciały bardzo nisko nad ziemią.

Miguel spojrzał na Hapa.

— Jeszcze więcej policji? CIA?

— Secret Service — odparł zimno Hap. — Ściągnięci z Paryża.

— Skąd wiesz?

— Bo to mój przeklęty obowiązek wiedzieć takie rzeczy! — zirytował się Hap. Tego jeszcze im brakowało: więcej ludzi pracujących przeciwko nim, agentów sądzących, że pomagają, a tymczasem bardzo szkodzących. — Sam bym ich wezwał. — Spojrzał w dół na Amada. — Głęboko jeszcze?

— Nie bardzo — odparł Miguel i wyszczerzył zęby. — Ale cały czas można się zabić.

— Następnym razem weźcie ze sobą drabinę.

21.43

— Laser! — wychrypiał Marten szeptem i pociągnął prezydenta pod ścianę tunelu.

— Gdzie?

— Przed nami.

— Nie widziałem go.

— Zapalił się i zgasł.

— Niech pan słucha. — Znowu doszedł ich odgłos wiercenia w skałę.

— Teraz gdzieś bliżej — stwierdził prezydent głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

— Myśli pan, że wiercą w drugim miejscu?

W tym momencie dźwięk znowu się powtórzył, tyle że bliżej.

— I w trzecim.

— Ci przed nami mają lasery — powiedział Marten. — Nie wiem, ilu ich jest i jak daleko. Inni zbliżają się od tyłu. No i jeszcze ten dziwny odgłos poprzednio. Jakby ktoś uderzał o siebie kamykami. Nadal nie mam pojęcia, co to było.

Nagle prezydent uniósł to, co zostało z ich pochodni, a co przypominało żar z papierosa. Trzymał go wysoko tuż przy twarzy Martena, żeby go wyraźnie widzieć.

— Obiecał mi pan, że wydostaniemy się stąd i że będę mógł przemówić do zgromadzenia w Aragonie. Niech mnie diabli porwą, jeśli pozwolę, żeby nas teraz dorwali. Trzymam pana za słowo.

— Panie prezydencie, niech pan zabierze ten przeklęty kij sprzed mojej twarzy. — Marten spojrział na niego ostro.

Harris popatrzył nań przez chwilę, po czym opuścił pochodnię.

— Przepraszam.

W tunelu znowu błysnęło światło lasera. Potem znowu, tym razem paliło się dłużej. Doszedł ich daleki pogłos kroków. Jacyś ludzie szli szybko tunelem w ich stronę. Tymczasem za ich plecami znowu zawarczał sprzęt wierzący. Dźwięk utrzymywał się przez dziesięć minut, potem raptownie się wzniósł i ucichł całkowicie.

— Przebili się — stwierdził prezydent.

— Niech mi pan to da — powiedział Marten szybko, po czym zabrał Harrisowi żarzącą się resztkę pochodni i ruszył w stronę, skąd przyszli.

— Co pan robi? — zapytał prezydent.

— Szukam pomocy, kuzynie. Szukam pomocy.

21.45

Nicholas biegł wzdłuż torów najszybciej, jak na to pozwalała ciemność, zarzący się kikut trzymał nisko przy ziemi. Prezydent deptał mu po piętach, a po chwili się z nim zrównał.

— Pięćdziesiąt, sto metrów wcześniej zapłonęła pochodnia — wysapał Marten szeptem, nie zatrzymując się. — Tylko odrobinę, tak że wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale tam musiał być jakiś ciąg powietrza. Może szczelina w ścianie, w którą moglibyśmy się wcisnąć, dopóki nie przejdą tamci z laserem. Potem pójdziemy dalej. Jeśli tamci weszli do środka, to na pewno można też wyjść na zewnątrz.

Za nimi promień laserowego światła skakał po ścianach tunelu. Przed sobą słyszeli głosy mężczyzn. Marten podbiegł jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, potem zwolnił.

— To gdzieś tu.

Zatrzymał się i przesunął pochodnię przy ziemi, a potem wzdłuż ścian. Nic.

Następny błysk lasera zatańczył na stropie tunelu. Z ciemności za ich plecami dobiegał tupot stóp.

— Szybciej — szepnął prezydent.

— Nic nie widzę, może się jednak pomyliłem.

Nicholas ruszył dalej, gdy nagle pochodnia zapłonęła słabo.

— Tam! — powiedział prezydent. — Jednak ją pan znalazł.

Marten odwrócił się i przystawił pochodnię do ściany. Płomień rozgorzał jaśniej. Wtedy zobaczyli prostokątny otwór w ścianie o średnicy może pół metra, tuż przy ziemi, zasłonięty przez drewniane podkłady szyn.

Nicholas pochylił się w stronę otworu i ogień pochodni zapłonął jeszcze jaśniej.

Z tyłu znowu błysnął laser, tym razem świecił dłużej i oświetlił prawie cały korytarz kilkaset metrów za nimi. Odgłosy ludzi biegnących z naprzeciwka również dochodziły bliżej i wyraźniej.

— Niech pan wchodzi — zakomenderował Marten.

Prezydent na czworakach wcisnął się we wnękę. Moment później podążył za nim Nicholas. W miejscu, gdzie przed chwilą stali, tunel zniknął w atramentowej ciemności. Jakby ich tam w ogóle nigdy nie było.

21.50

Wsunęli się głębiej w skalny wylom, przyciśnięci jeden do drugiego tak, że z trudem mogli oddychać — dwaj wysocy mężczyźni wepchnięci jak szmaciane lalki w małą wnękę.

Słyszeli tupot nóg ludzi zbliżających się tunelem. Odgłos stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie mężczyźni znaleźli się na wysokości ich kryjówek, a chwilę później popędzili dalej. Było ich ze dwudziestu, może nawet więcej. Zaraz spotkają się z oddziałem nadchodzącym z drugiej strony, wymienia się spostrzeżeniami, po czym obie grupy wrócą drogą, którą przyszły. W ten sposób dwukrotnie sprawdzą odcinek, który przebiegli w takim pośpiechu.

— Wychodzimy! — szepnął prezydent i zaczął się przepychać do wyjścia z wnęki.

— Nie! — powstrzymał go Marten. — Za tamtymi mogą iść następni, wpadniemy im prosto w ręce.

— Więc co ma pan zamiar robić?

— Na razie czekać.

— Nie mamy czasu. Za chwilę tu wrócą, kiedy spotkają się z naszym oddziałem. Musimy zaryzykować teraz.

— No dobrze.

Marten zaczął się wygrzebywać na korytarz, lecz zatrzymał się, kiedy gasnący żar pochodni zapłonął nagle jaśniej.

— Zaraz.

Przystawił trzonek kilofa do bocznej ściany wnęki, a wtedy tłący się koniuszek rozjarzył się jeszcze bardziej. Dmuchnął, żeby rozniecić większy płomień, po czym uniósł go i rozejrzał się uważnie dookoła.

— Tę niszę wykuto innymi narzędziami niż główny tunel. I nie zrobiono tego osiemdziesiąt lat temu.

Prezydent zżywieniem powiódł wzrokiem za pochodnię, kiedy Marten oświetlał ściany.

— To szyb wentylacyjny.

— Wentylacyjny? Po co? Skąd biegnie i dokąd?

— Niech mi pan poda pochodnię.

Marten zrobił to, a wtedy Harris odwrócił się na bok i wczuł się głębiej w otwór.

— Co pan tam widzi?

— Metalowy szyb o przekroju mniej więcej metr na sześćdziesiąt centymetrów, który biegnie prosto w dół, jakby do następnego korytarza pod spodem.

— Moglibyśmy się tędy przecisnąć? — spytał Marten.

Z tunelu na zewnątrz doszedł ich hałas. Usłyszeli szuranie i rzucane szybko rozkazy. Oddział przeszukujący tunel zbliżał się szybko z powrotem.

— Nie mamy wyboru.

21.55

Wzmagał się wiatr, z ciężkich chmur lunął deszcz. Coraz bardziej niespokojny Jake Lowe postawił kołnierz parki i zaczął się przepychać między hiszpańskimi policjantami w pośpiechu rozbijającymi namiot nad stanowiskiem dowodzenia. Podeszedł do Billa Straita i kapitan Diaz i zaczął zaglądać im przez ramie.

Przez ostatnich kilka minut stał z boku i obserwował łącznościowców śledzących wymianę informacji pomiędzy oddziałami CIA, Secret Service i CNP pracującymi w tunelach, jak również tymi porozrzucanymi w różnych miejscach na powierzchni. Raz po raz zerkał w stronę Jima Marshalla, który siedział w pewnej odległości i popijając kawę, gawędził z ekipą medyczną czekającą na informacje, która poderwie ich na nogi i włączy do akcji. Informacja ta jednak cały czas nie napływała.

Kiedy od strony gawędzącej grupki dobiegła salwa śmiechu, Lowe nie wytrzymał i podeszedł do Straita i Diaz. Czy tylko on się przejmował tym, co się stanie, jeśli znajdą prezydenta całego i zdrowego, a on nie zgodzi się lecieć z CIA? Nie tylko akcja w Warszawie, ale i cały bliskowschodni plan runie w gruzach, a oni wszyscy — począwszy od wiceprezydenta — staną przed realną groźbą aresztowania i postawienia przed sądem za próbę obalenia rządu. W takiej sytuacji wyrok może być tylko jeden: kara śmierci.

— Co tam się na dole dzieje, do diabła? — spytał Billa Straita.

Zabrzmiało to jednak nie tyle jak pytanie, ile raczej żądanie i oskarżenie.

Przez chwilę Strait nie zwracał na niego uwagi.

— W głównym tunelu jest pięć oddziałów — powiedział w końcu cierpliwie. — Trzy przeszukują boczne odnogi. Reszta czeka w gotowości, aby zmienić tamtych. Ekipa, która weszła od naszego końca korytarza, spotkała się z ludźmi idącymi w ich stronę mniej więcej od połowy. Niczego tam nie znaleźli. Wracają teraz tą samą drogą.

— A co z satelitą? Gdzie teraz jest?

— Czterdzieści minut od nas. — Strait zerknął w stronę Marshalla, jakby błagając go w milczeniu, żeby odciągnął Lowe'a na bok. — Ale zdjęcia satelitarne ani nawet termowizyjne nie rozwiążą naszych problemów. Nie pokażą nam, co się znajduje pod ziemią.

— A kiedy będziemy wiedzieć, co się znajduje pod ziemią? — naciskał uporczywie Lowe.

— Tego nie umiem powiedzieć. Mamy do przeszukania ogromny teren i skomplikowaną sieć tuneli.

— Za dziesięć minut czy za dziesięć godzin?

— Nasi ludzie są w tunelach. CIA, Secret Service i CNR

— Wiem, do cholery, kto tam jest!

— Może chciałby pan sam tam zejść?

Lowe zapłonął gniewem na ten przejaw arogancji.

— A może chciałby pan przerzucać gnój w Oklahomie?

Niespodziewanie wyrósł koło nich Marshall. Położył dłoń na ramieniu Lowe'a i zaczął go odprowadzać na bok.

— Jake, wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani. Wystarczy tego napięcia, nie stwarzajmy dodatkowego. Mówiłem ci, żebyś się odprężył. To dobrze zrobi nam wszystkim.

Nagle Strait przycisnął dłoń do słuchawki.

— Co? Gdzie? Ilu?

Diaz spojrzała na niego szybko. Na nogi poderwała się też ekipa medyczna. Lowe i Marshall natychmiast zawrócili.

— Przeszukajcie jeszcze raz cały ten obszar. Wysyłamy zmienników. Tak, światła są w drodze.

— Co się dzieje? — Lowe stanął mu przed nosem.

— Znaleźli coś, co wygląda na spalony podkoszulek. Jakby ktoś go używał jako pochodni i to bardzo niedawno. Są też niewyraźne ślady, chyba dwóch mężczyzn, prowadzą w przeciwną stronę.

— Dwóch?

— Tak, proszę pana, dwóch.

119

22.05

W tunelu ledwie mógł się wyprostować dorosły mężczyzna, za to od ściany do ściany miał około czterech metrów. Mniej więcej co trzydzieści

metrów wysoko na ścianach zamontowano oświetlenie awaryjne zasilane bateriami. Ściany i strop podparto drewnianymi balami, a szczeliny między większymi blokami kamienia spryskano cienką warstwą cementu, prawdopodobnie po to, aby zmniejszyć ilość kurzu unoszącego się w powietrzu. Środkiem w obydwie strony biegła błyszcząca stalowa szyna kolejki jednotorowej i gineła w półmroku.

— Chcieliśmy wiedzieć, jak Foxx transportował zwłoki do swojego laboratorium. — powiedział cicho prezydent. — Oto odpowiedź.

Marten rozglądał się chwilę wokół siebie, po czym popatrzył w głąb korytarza na lewo.

— Według mnie w tę stronę korytarz prowadzi z powrotem do laboratorium. — Odwrócił się w prawo. — Stamtąd musieli je przywozić. Na jakiejś platformie lub czymś w tym rodzaju.

— To chodźmy w tamą stronę. — Nie czekając na reakcję Martena, prezydent skręcił w prawo i ruszył już w drogę. — Ten tunel wykopano dokładnie pod tamtym, więc nie wykryje go satelita ani żaden sprzęt z samolotu. Wszyscy wiedzieli o starych korytarzach kopalni, ale nikt nie podejrzewa, że wykorzystano je, aby zamaskować nowszy tunel. To wszystko projektował Foxx. Gotów się jestem założyć, że ściągnął ten pomysł z niemieckich fabryk broni z czasów drugiej wojny światowej.

— Przemyślnie to skonstruował. — Nicholas patrzył w górę. — To nie był przypadek, że znaleźliśmy ten szyb wentylacyjny. Jest ich tu dużo więcej, myślę, że co jakieś siedemdziesiąt metrów. Przegapiliśmy je z początku, ponieważ dobrze je ukryli, ale policja też niedługo na nie trafi.

— Jest jeszcze coś — powiedział prezydent, nie zatrzymując się. — Wyloty gazu obok lamp. Są większe niż tamte w laboratorium, dużo większe. Dlatego to miejsce nie wyleciało w powietrze podczas tamtego wybuchu, przechodzi moje pojęcie.

— Kiedy pan tak mówi, to czuję się, jakbym chodził po wnętrzu bomby.

— Bo pan chodzi.

120

22.12

Śpiew mnichów odbijał się potężnym echem w całym amfiteatrze. Księżyc zniknął, zaczął padać równy, gęsty deszcz, a na tle gór migały błyskawice przetykane raz po raz ogłuszającym grzmotem. Wszystkie te groźne

zjawiska atmosferyczne przyćmiło jednak to, co Demi ujrzała na scenie przed sobą, a co sprawiło, że zamarła jak rażona piorunem.

W samym środku kręgu Aldebarana stał uwiązany łańcuchami wielki żywy wół. Śpiewający mnisi utworzyli pierścień na obrzeżach kamiennego koła i poruszali się powoli zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a tymczasem z ciemności jedno po drugim wyłaniały się dzieci i z wielką czcią układały kwiaty wokół nóg zwierzęcia. Kiedy skończyły, zjawili się dorośli. Ponad setka ludzi podchodziła na środek w nabożnym milczeniu i ofiarowywała wołu kolejne kwiaty.

Najbardziej zdziwiło i przykuło uwagę Demi to, że zwierzę stało spokojnie w samym środku ryczących płomieni, nie poruszało się, nie bało, jakby zupełnie nie czuło gorąca lub nie wiedziało, co się z nim dzieje.

— To nie jest żadna sztuczka ani magia — odezwał się za jej plecami łagodny głos. Demi obróciła się na pięcie i zobaczyła Lucianę. — Zwierzę odbywa duchową podróż. Nie czuje bólu, tylko radość. — Uśmiechnęła się ciepło. — Śmiało, podejdź bliżej. Możesz zrobić zdjęcie. Przecież po to tu przyjechałaś, prawda?

— Tak.

— Więc idź. Upamiętnij to. Szczególnie oczy. Uwiecznij spokój i radość, jaką czują wszystkie stworzenia, kiedy wyruszają w podróż. Zrób to, a zrozumiesz.

Luciana wskazała ręką ogień i Demi ruszyła przed siebie. Z aparatami fotograficznymi w ręku minęła krąg mnichów i podeszła do płonącego zwierzęcia. Właśnie zbliżyła się doń starsza kobieta, aby ułożyć kwiaty u stóp wołu i odmówić krótką modlitwę w tym samym języku, w jakim śpiewali zakonnicy.

Demi zaczęła fotografować aparatem cyfrowym, aby zdjęcia zostały od razu wysłane do Internetu. Zrobiła najpierw szerokie ujęcie, potem lekkie zbliżenie, a wreszcie skadrowała samą głowę wołu. Czuła straszliwy żar płomieni, przez obiektyw widziała fale rozgrzanego powietrza. Usłyszała w głowie słowa Luciany.

„Upamiętnij to. Szczególnie oczy. Uwiecznij spokój i radość, jaką czują wszystkie stworzenia, kiedy wyruszają w podróż. Zrób to, a zrozumiesz”.

Miała rację. To, co Demi zobaczyła w oczach wołu, co zarejestrował aparat fotograficzny, to był wyraz wielkiego spokoju i — o ile można zwierzętom przypisywać takie uczucia — radości.

Nagle płomienie buchnęły ze zdwojoną siłą i wół zniknął Demi z oczu. Cofnęła się szybko. Chwilę później wielkie cielsko zważyło się na ziemię, a w niebo wytrysnęła fontanna iskier. Śpiew mnichów urwał się momentalnie i w amfiteatrze zapadła cisza. Ludzie dookoła pochylili głowy.

Zwierzę rozpoczęło swą wielką podróż.

121

22.24

Marten i prezydent, na wpół biegnąc, stawiali stopy na podkładach toru, aby nie pozostawiać za sobą odcisków stóp, żadnego śladu, że tu byli, niczego, co mogłoby naprowadzić pościg na ich trop. Nie miało wielkiego znaczenia, że prezydent był trzydzieści lat starszy, obaj byli spoceni i skrajnie wyczerpani, obaj gonili resztkami sił, a ich samopoczucia nie poprawiała myśl, że w każdej chwili, w każdej sekundzie tamci również mogą odkryć kanały wentylacyjne, które doprowadzą ich do tego tunelu. Liczyli tylko, że zanim to nastąpi, zdążą dobiec do końca korytarza i wydostać się na zewnątrz wejściem, które zapewne zbudował Foxx, aby transportować swoje ofiary do zbiorników z płynem.

Choć jednak ta myśl była sama w sobie pokrzepiająca, nasuwała nieuchronnie innego rodzaju obawy. Co zrobią, jeśli się okaże, że wejście do tunelu jest czynne i nadal używane? Jeśli pilnują go strażnicy lub ktoś inny z ekipy Foksa? Ta ewentualność zmroziła im krew w żyłach, ale w tej chwili nie miała najmniejszego znaczenia. Mogli iść tylko jedną drogą — prosto przed siebie.

22.27

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Marshall siedział w kąciku chinooka i sporządzał notatki w laptopie, kiedy otworzyły się drzwi i do samolotu wszedł Jake Lowe, przemoknięty do suchej nitki. Z przodu, w kabinie pilota, drzemiała załoga śmigłowca, w części pasażerskiej ekipa medyczna grała w karty. W głośnikach nieustannie trzeszczały głosy Billa Straila i członków oddziałów pracujących pod ziemią.

Lowe podszedł prosto do Marshalla.

— Musimy pogadać — oznajmił. — Na osobności.

Pół minuty później obaj wyszli z ciepłego, jasnego wnętrza samolotu w deszczową noc. Lowe zasunął za nimi drzwi. Marshall nałożył na głowę kapтур.

— Zdrada stanu — powiedział Lowe ze strachem w głosie i pokazał palcem odległe góry oświetlane nieustannymi rozbłyskami burzy. — On się wydostanie z tych tuneli. Zacznie mówić i ludzie mu uwierzą. Pamiętasz, to samo powiedział Hap, niedługo po tym, jak się to wszystko zaczęło. Co będzie, kiedy on się znajdzie? A tak w ogóle, to gdzie się podziewa Daniels? — ciągnął Lowe. — Czy aby naprawdę został ranny? Może nie żyje? A może zorientował się, co jest grane, i działa teraz na własną rękę?

Marshall przyjrzał się uważnie Jake'owi. Zobaczył przed sobą zmęczonego człowieka na skraju wyczerpania nerwowego, który pomału nie wytrzymał presji i napięcia.

— Przejdźmy się — zaproponował.

I ruszył przed siebie w noc, oddalając się od otoczonego blaskiem chinooka.

— Jake, jesteś zmęczony — zaczął po jakimś czasie, chociaż miał ochotę powiedzieć raczej „wpadasz w paranoję”, tylko się powstrzymał.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni — wypalił Jake. — Jakie to ma znaczenie, do diabła? Musimy odwołać akcję w Warszawie i to natychmiast, zanim będzie za późno, żeby cokolwiek odwoływać. Jeśli on wyjdzie z tych tuneli i zacznie gadać, oskarżać nas, alarmować Francuzów i Niemców, a potem nic się nie stanie, to wyjdzie na wariata. Potwierdzi się tylko to, co przez cały czas mówiliśmy: że przeżył załamanie nerwowe. Ale jeśli dojdzie do tych zabójstw, to czeka nas stryczek i to nie tylko za zdradę stanu. Sam wiesz, co mogą przeciwko nam wywlec. Jeśli wyjdzie na jaw to, co robił Foxx, doczekamy się drugiej Norymbergii: zbrodnie wojenne, eksperymenty medyczne przeprowadzane bez zgody ofiar, spisek, zbrodnia przeciw ludzkości.

Szli coraz głębiej w targaną burzą ciemność.

— Wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy, Jake. — Głos Marshalla był spokojny, pozbawiony emocji. — Nie możemy odwołać akcji w Warszawie, machina została puszczona w ruch.

Padło coraz mocniej. Wokół pobliskich szczytów górskich tańczyły błyskawice. Lowe był uparty.

— Czy do ciebie nie dociera to, co mówię? On nadal jest cholernym prezydentem. Co będzie, jeśli wylezie z tych tuneli i zacznie gadać, a potem wszystko, co powie, potwierdzi się w Warszawie? Na litość boską, posłuchaj mnie! Wiceprezydent musi wycofać swój rozkaz. Jeszcze dzisiaj, teraz! Jeśli tego nie zrobimy, wszystko będzie stracone!

Odeszli teraz jakieś sto metrów od chinooka. W tej samej odległości na lewo paliło się światło centrum dowodzenia.

— Naprawdę uważasz, że wyjdzie stamtąd żywy i że sobie z tym nie poradzimy?

— Tak, uważam, że wyjdzie stamtąd żywy i sobie z tym nie poradzimy. Nie jesteście na to przygotowani. Nikt z nas nie brał pod uwagę takiego obrotu sprawy.

W tym momencie olbrzymia błyskawica rozświetliła całą okolicę na wiele kilometrów dookoła. Na ułamek sekundy zrobiło się biało jak w dzień. Zobaczyli kamienisty, podgórski teren, chinooka, w pośpiechu rozbijany namiot nad stanowiskiem dowodzenia, wąwóz i strome urwisko otwierające się tuż obok ścieżki, na której stali. Potem znów zapadła ciemność, a z nią rozległ się ogłuszający grzmot.

Marshall złapał Lowe'a za ramię.

— Uważaj, jak stąpasz, Jake. To wąska ścieżka, chyba nie chcesz się pośliznąć?

Jake odtrącił jego rękę.

— Psiakrew! Ty mnie cały czas nie słuchasz!

— Słucham cię, Jake, i uważam, że masz rację. — Marshall mówił spokojnie i z namysłem. — Nikt z nas nie był przygotowany na to, co się stało. Możliwe, że za dużo ryzykujemy, ale nie możemy się teraz wycofać. Zbyt głęboko zabrnęliśmy. — Znowu błysnęło i Marshall popatrzył Lowe'owi w oczy. — Dobrze, Jake. Zadzwońmy do nich. Powiemy im, jakie jest nasze zdanie. Każemy wiceprezydentowi odwołać rozkaz. Damy na wstrzymanie.

— Dobrze. — Lowe odetchnął z ulgą. — Cieszę się, że tak myślisz.

122

22.37

— Nie! Nie! Nie! — Jose zatrzymał się raptownie w wąskim kominie i oświadczył, że dalej nie pójdzie.

— Co się dzieje, do diabła? — Hap spojrzał ostro na Miguela.

Tkwili sto kilkadziesiąt metrów pod ziemią, w dziwnie krętym szybie z wapienia, biegnącym pod ostrym kątem w dół, gdzie klaustrofobiczna ciemność nawet przy zapalonych latarkach działała coraz bardziej deprymująco. Co więcej, był to już drugi komin, którym się opuszczali, biegnący głębiej od poprzedniego, i wszyscy, łącznie z chłopcami, czuli się coraz bardziej nieswojo.

— Powiedz mu, że wszystko w porządku, że go rozumiemy. — Hap był błydy, w ramieniu go łupało, jakiś czas temu wziął już drugą tabletkę przeciwbólową. — Wszyscy czujemy to samo. Ale musimy iść dalej.

Ledwo Miguel zaczął mówić do chłopaka po hiszpańsku, gdy ten potrząsnął gwałtownie głową.

— No! — zawołał impulsywnie. — No mas! Dalej nie idę!

Mniej więcej czterdzieści minut wcześniej doszli w tunelu do miejsca, gdzie, jak sądzili, istniała największa szansa na znalezienie przyjaciół Miguela. Amado i Hector dotarli tam pierwsi, pozostali wkrótce po nich. Nie uszli nawet stu metrów, kiedy usłyszeli kroki ludzi biegnących w ciemności w ich stronę. Miguel zaczął już wszystkich zawracać, kiedy Hector złapał go za ramię.

— Nie, nie. Chodźcie tam — powiedział i pociągnął ich prosto w stronę zbliżających się mężczyzn.

Zaprowadził ich do szczeliny, której nie sposób byłoby zauważyć w skalnej ścianie nawet przy silnym oświetleniu, chyba że ktoś bardzo dobrze znał te tunele. Za otworem ciągnął się kręty szyb, który biegł jeszcze niżej w głąb ziemi.

Minęła niecała minuta, od kiedy wcisnęli się do środka, a w korytarzu za ich plecami ludzie z pościgu minęli otwór i zatrzymali się nieopodal. A oni pozostali tam uwięzieni, podczas gdy nad ich głowami do tamtych dołączyli następni. W końcu Amado spojrział na swego wuja.

— To nie są zwykli „przyjaciele”, ci ludzie, którzy zginęli, prawda?

— Prawda. — Miguel zerknął na Hapa, a potem z powrotem na swego bratanka. — Jeden z nich jest wysokim urzędnikiem rządu Stanów Zjednoczonych.

— A policja, ci ludzie, którzy ich ścigają, chcą im zrobić krzywdę?

— Oni sądzą, że mu pomagają, ale tak nie jest. Kiedy go znajdą, zabiorą go i przekażą ludziom, którzy zrobią mu krzywdę. Ale oni o tym nie wiedzą.

— Kim jest ten człowiek? — spytał Hector.

Hap ufał im do tej pory, a teraz oni musieli mu zaufać. Potrzebował ich pomocy.

— Prezydentem — rzekł bez wahania.

— Prezydentem Stanów Zjednoczonych? — rzucił Amado łamaną angielszczyzną.

— Tak.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem, jakby usłyszeli dobry dowcip, ale zaraz zobaczyli poważne twarze Miguela i Hapa.

— To prawda? — spytał Amado.

— Tak — odparł Hap. — Musimy go znaleźć i zabrać stąd tak, aby nikt się nie zorientował.

Miguel przetłumaczył to na hiszpański, a potem dodał:

— Ten człowiek, który mu towarzyszy, jest przyjacielem prezydenta. Musimy im pomóc uciec przed policją i zawieźć ich w bezpieczne miejsce. Rozumiecie?

— Si — powiedzieli chłopcy. — Si.

Hap spojrzął na zegarek, a potem na Miguela.

— Przedtem chłopcy powiedzieli, że mniej więcej wiedzą, dokąd mógł dojść prezydent od zawalenia się tunelu. To było dwie i pół godziny temu. Znają tunel. Gdzie, ich zdaniem, mogą być teraz prezydent i Marten, zakładając, że nadal żyją i posuwają się z tą samą prędkością?

Miguel popatrzył na chłopców i przetłumaczył im pytanie. Amado, Hector i Jose naradzili się krótko, po czym Amado powiedział do Miguela:

— Cerca.

— Niedaleko — przetłumaczył Balius.

W tym momencie usłyszeli ruch i głosy mężczyzn dochodzące z tunelu nad nimi. Miguel przestraszył się, że ich odkrywają, więc Hector poprowadził ich szybko w dół kanałem, który zakręcał i wił się niczym wąż. Niecałe pięć minut później Jose zatrzymał się i stanowczym „Nie!” odmówił dalszej wędrówki.

— O co chodzi? — zapytał go Miguel po hiszpańsku.

— Los muertos. „Umarli” — powiedział, jakby dopiero teraz się zorientował, gdzie jest i dokąd prowadzi ten komin, i ta myśl wstrząsnęła nim do głębi. — Los muertos — powtórzył przerażony.

Hap spojrzął na Miguela.

— O czym on mówi?

Miguel zaczął wypytywać najpierw Jose, który jednak nie chciał powiedzieć ani słowa, a następnie Amada; z niego w końcu wydusił odpowiedź.

— Tam na dole — Miguel wskazał dalszy odcinek komina przed nimi — jest dragi korytarz z jednym torem. — Idąc nim kiedyś, trafił na „tramwaj” wypełniony niezwywymi ludźmi.

— Co takiego? — zapytał z niedowierzaniem Hap.

— I to niejedyn raz.

— O czym on gada?

Miguel jeszcze raz zamienił z Amadem kilka zdań, po czym przetłumaczył na angielski to, czego się dowiedział:

— Kilka miesięcy temu Hector i Jose zwiedzali tunele i odkryli drugi korytarz, który ciągnie się pod nami. Jest mniejszy i nowszy, otynkowany. Środkiem biegnie jeden tor. Znaleźli dziurę w stropie i zaglądali przez nią, kiedy właśnie przejeżdżał pojazd podobny do tramwaju. Leżały na nim trapy, poukładane w sterty jak drewno na opał. Przerazili się i uciekli. Nikomu o tym nie powiedzieli. Dwa miesiące później zdecydowali się pójść jeszcze raz. Zeszli tam i czekali, i znowu zobaczyli to samo. Tym razem wieziono zwłoki w drugą stronę. Jose boi się, że jeśli zejdzie tam jeszcze raz, to skończy tak jak tamci. Uważa, że trafili do piekła.

Przez moment Hap wpatrywał się w nich bez słowa i usiłował przetrwać to, co usłyszał.

— Czy jest jakaś droga poza tym kominem — zapytał po chwili — żeby przedostać się z tamtego korytarza na górze — pokazał tunel, w którym przed chwilą byli — do tego, gdzie widzieli zwłoki?

Po raz kolejny Miguel odwrócił się do chłopców i przetłumaczył pytanie. Przez chwilę żaden z nich się nie odezwał, aż w końcu Hector wziął do ręki kamyk i zaczął rysować nim dwie linie.

— Tunel pod spodem biegnie poziomo — zaczął wyjaśniać — ten na górze zaczyna się wysoko i opada. W tym miejscu, gdzie jesteśmy, dzieli je około dwudziestu metrów, ale na całej długości są połączenia, Hector uważa, że to wentylacja, więc owszem, można przedostać się z jednego korytarza do drugiego.

Hap słuchał uważnie, a wtedy usłyszał jeszcze głośniejszy hałas dochodzący z tunelu na górze. Nagle włos zjeżył mu się na karku.

— Tam na górze jest mnóstwo ludzi — powiedział z naciskiem. — Gdyby prezydent był cały czas w tym górnym tunelu, wszystko jedno: żywy czy martwy, do tej pory już by go znaleźli, więc albo byśmy to usłyszeli, albo policja dawno by się stąd wyniosła.

Nagle Miguel zrozumiał, co właściwie Hap sugeruje.

— Uważasz, że moi kuzyni są tam na dole?
— Albo gdzieś niedaleko. Niech Jose tu zostanie, jeśli chce, pozostali idą ze mną to sprawdzić.

123

22.44

— Dostaliśmy zdjęcia z satelity, jest dokładnie nad nami — poinformował młody technik z Secret Service, patrząc nad monitorem komputera na Billa Straita. — Mamy bardzo wyraźny obraz termowizyjny naszych ruchów na obszarze poszukiwań, ale jak dotąd nic innego.

— Bill.

Strait podniósł głowę i zobaczył Jima Marshalla, który nagle podszedł do punktu dowodzenia i zdjął z głowy kaptur. Był przemoknięty i blady jak śmierć.

— O co chodzi? — zapytał Bill.

— Poszliśmy z Jakiem się przejść. Rozmawialiśmy. Był bardzo zdenerwowany. Pośliznął się i stracił równowagę. Próbowałem go złapać, ale za późno. Słyszałem, jak upadł, to była duża wysokość. Chyba nie żyje!

— Boże słodki!

— Musisz wziąć kilku ludzi i iść tam na dół. Znajdźcie go, żywego czy umarłego. Nie możemy go tu zostawić, żeby ludzie zaczęli pytać, co tu robił. Ten wypadek trzeba sfingować gdzieś indziej, najlepiej w miejscu, gdzie oficjalnie trzymamy prezydenta. Poszedł na spacer po spotkaniu, pośliznął się i spadł w przepaść.

— Rozumiem. Zajmę się tym.

— Chcę natychmiast poinformować wiceprezydenta. Potrzebuję bezpiecznej linii. — Rozejrzał się po osobach kręcących się w pobliżu. — I trochę prywatności.

— Tak jest, oczywiście.

124

22.49

Tor biegł w tunelu długim, szerokim łukiem. Marten obejrzał się za siebie, zanim skręcili w zakręt. Jak dotąd w tym niższym korytarzu nie widać było śladu pogoni.

— Ciekawe, jak daleko jeszcze ciągnie się ten korytarz — zastanawiał się na głos, kiedy dogonił prezydenta.

— Niedaleko — odrzekł Harris, stojąc i patrząc się przed siebie.

Pięćdziesiąt metrów przed nimi tunel kończył się nagle grubymi stalowymi drzwiami.

— I co teraz? — spytał Nicholas.

— Nie mam pojęcia.

Dobiegli do wyjścia szybko i w milczeniu. Tor przebiegał pod drzwiami na drugą stronę, otwór był dopasowany tak, aby zmieścił się w nim wagon kolejki. Drzwi otwierały się mechanicznie do góry na szynach wbudowanych w ścianę.

— Muszą ważyć z pięć ton — ocenił prezydent. — Za nic nie otworzymy ich rękami.

— Tam. — To mówiąc, Marten wskazał małe czerwone światelko w drzwiach nieco ponad poziomem wzroku. — Czujnik na podczerwień, jak w pilotach telewizyjnych.

Wyjął z kieszeni blackberry, który zabrał martwemu doktorowi, stanął przed czujnikiem i wcisnął guzik zasilania. Na urządzeniu zapaliła się lampka kontrolna. Popatrzył na klawiaturę. Między rzędami przycisków zobaczył napis WYŚLIJ. Nacisnął go, ale nic się nie stało.

22.54

— To musi działać na jakiś kod — oznajmił Marten, wciskając na próbę różne kombinacje cyfr.

Na koniec wypróbował jeszcze kilka przycisków, umieszczonych w dolnej części urządzenia, z dziwnymi wypukłymi symbolami. Nadal jednak drzwi nie drgnęły.

— Nic tu nie zdziałamy — powiedział prezydent. — Musimy iść w drugą stronę tunelu.

— Dokąd?

— Foxx był żołnierzem. Nie zbudowałby czegoś takiego, nie zapewniając sobie drogi ucieczki na wypadek nieprzewidzianych komplikacji. Gdzieś po drodze znajduje się wyjście awaryjne, pewnie nawet niejedno.

— Niczego nie zauważyliśmy.

— To znaczy, że je przegapiliśmy, panie Marten. Po prostu przeoczyliśmy.

22.57

Idąc z powrotem szerokim tunelem, oglądali uważnie strop i ściany, każdy po swojej stronie. W otynkowanych powierzchniach szukali śladu, gdzie wycięty kawał bloku skalnego mógł zostać później znów włożony na swoje miejsce.

Uszli prawie kilometr od głównego wyjścia, kiedy Nicholas zobaczył słabiutki błysk.

— Idą! — powiedział szybko.

Obaj zamarli. Nieruchomo patrzyli w tunel przed sobą. Sekundę później usłyszeli kroki mężczyzn nadbiegających z przeciwka korytarzem.

— Szyby wentylacyjne! — szepnął prezydent. — Zeszliśmy nimi tutaj, możemy teraz wrócić nimi na górę do głównego tunelu!

22.58

Zawrócili. Minęli zakręt biegiem, spiesząc się, aby jak najszybciej zejść tamtym z drogi, a jednocześnie szukając otworów wentylacyjnych, gdzie szyby łączyły się ze stropem.

— Nie widzę żadnego — stwierdził Marten.

— Muszą gdzieś tu być, widzieliśmy je przez całą...

Słowa prezydenta przerwał głośny trzask nad ich głowami. Sekundę później rozległ się krzyk i z sufitu na podłogę tunelu tuż przed nimi wypadł młody mężczyzna.

— A to co, do diabła?! — zawołał Marten zaskoczony.

22.59

Hector właśnie wstał, kiedy do niego dobiegli.

— Nie wygląda na policjanta — zaznaczył Marten szybko, rozglądając się po tunelu.

— I nie jest Amerykaninem. — Prezydent spojrział w górę na poszarpaną dziurę w stropie, przez którą wypadł chłopak. — Jeśli on tędy spadł, to znaczy, że musi to być również droga do góry!

— Kuzyni!

W otworze pojawiła się rozradowana twarz Miguela.

— Miguel! — wykrzyknął z niedowierzaniem prezydent.

— Miguel! — zawołał Marten. — Depcze nam po piętach pięćdziesięciu facetów!

— Powiedźcie Hectorowi, żeby ich podsadził — odezwał się z ciemności jeszcze jeden głos i po chwili w otworze pojawił się Hap Daniels. Nie patrzył na Martena ani na prezydenta, tylko na Miguela. — Szybko, do cholery!

23.00

Prezydent wszedł pierwszy, za nim Marten, na końcu Hector.

23.01

Słyszeli nadbiegających mężczyzn.

— Zobaczą dziurę! — rzucił Miguel.

— Wiedzą, że gdzieś tu jesteśmy — powiedział prezydent. — Musieliśmy spalić podkoszulek Nicholasa, żeby mieć jakieś światło. Na pewno już go znaleźli.

— Gdzie? — spytał Hap.

— W górnym tunelu.

Hap szybko podał prezydentowi swoją latarkę.

— Pan i Marten idźcie w górę kominem. Jest stromy i trzeba się sporo przeciskać, ale dacie radę. My będziemy tuż za wami.

Prezydent stał niezdecydowanie.

— Szybko! — zakomenderował Hap i obaj mężczyźni natychmiast posłusznie ruszyli pod górę.

Hap popatrzył na Miguela.

— Musimy im wydać chłopaków.

— Co takiego?

— Amada i Hectora. Włączyli się po tunelach. Wypaliła im się latarka. Było ciemno jak w grobie, przestraszyli się i postanowili podpalić podkoszulek Amada, żeby sobie oświetlać drogę. W końcu zgasł i znowu się zgubili. Latarkę też gdzieś posiali. Szli na oślep, aż znaleźli ten szyb i tę dziurę. Przebili się i właśnie zamierzali wracać na górę. Tamci szukają dwóch mężczyzn, więc proszę: oto oni.

Miguel milczał z wahaniem. To był szalony pomysł. Amado był jego bratankiem. Nie mógł mu czegoś takiego zrobić.

— Miguelu, powiedz im to, do diabła! I powiedz im, żeby jak najbardziej opóźniali marsz ludzi, którzy ich znajdują. Niech płaczą, błagają, wrzeszczą z radości. Niech się boją, że matki ich zabiją, jak się dowiedzą. Niech wymyślą cokolwiek. Muszę mieć czas, żeby wyprowadzić prezydenta jak najdalej.

125

23.10

Z aparatami fotograficznymi na ramieniu Demi szła przez ciemny kościół, oświetlając sobie drogę świeczką. Przeszła z jednej kamiennej płyty na drugą i odczytywała wyryte na nich nazwiska rodów. Jak powiedziała Cristina, kamienie przykrywały rodzinne grobowce, w których spoczywają doczesne szczątki uczczonych zmarłych.

Na dworze burza nieco przycichła, błyskawice i grzmoty słabły w oddali, deszcz zamienił się w mżawkę. W kościele panowała cisza, rodziny uczestniczące w ceremonii, mnisi, Cristina, Luciana, Beck — wszyscy już dawno udali się do swoich pokojów. Demi początkowo zrobiła to samo, poszła się przebrać w normalne ubranie i poczekać, kiedy będzie mogła bezpiecznie opuścić pokój i pójść do kościoła.

CORNACCHI, GUARNIRRI, BENICHI.

Czytała nazwiska na płytach i szła dalej.

RIZZO, CONTI, VALLONE. MAZZETTI, GHINI.

— Nazwisko, którego szukasz, brzmi Ferrara — odezwał się nagle głos w mroku.

Demi podskoczyła przestraszona i uniosła świecę, próbując przebić Wzrokiem ciemność.

— Kto tu jest?

Z początku nikogo nie widziała, dopiero po chwili w krąg światła rzuconego przez świecę weszła Luciana. Towarzyszył jej mnich w habicie, z kapturem nałożonym na głowę. Luciana nie miała już na sobie złotej sukni, którą nosiła podczas ceremonii, tylko czarną szatę, Podobną do habitów zakonników. Z jej dłoni znikły odrażające długie paznokcie, pozostał za to

makijaż — wymalowane czarne zygzaki, podobne do ostrzy sztyletów, biegnące od kątek oczu aż do uszu. Wszystko to razem — czarna szata, makijaż, nagle zjawienie się w ciemnym kościele w towarzystwie mnicha — robiło w najlepszym razie niesamowite wrażenie.

— Chodź. — Machnęła na nią ręką. — Grobowiec jest tam.

FERRARA.

— Podsuń bliżej świecę, żebyś mogła wyraźnie zobaczyć nazwisko.

Demi oświetliła kamienną płytę.

— Przeczytaj je na głos.

— Ferrara — powiedziała Demi.

— Nazwisko twojej matki. Twoje rodowe nazwisko.

— Skąd pani wie? — spytała Demi przestraszona.

— Przecież po tu przyjechałaś. Po to nawiązałaś znajomość z wielbnym Beckiem, a potem z doktorem Foksem. Chciałaś poznać tajemnice Aldebarana. Z tego samego powodu spotkałaś się z nieszczęsnym Giacommem Gełą, który powiedział ci o Aradii Mniejszej.

Demi podsunęła świeczkę bliżej Luciany i mnicha.

— Chcę wiedzieć, co się stało z moją mamą.

Powinna się bać, a jednak nie czuła strachu. W tej chwili liczyło się tylko to, czym żyła od tylu lat — los jej matki. Nic więcej nie miało znaczenia.

Luciana uśmiechnęła się.

— Pokaż jej.

Mnich wziął od Demi świeczkę, uklęknął przy kamiennej płycie z napisami i przesunął ją. Pod spodem ukazała się stara skrzynia z brązu. Na wieku widniało wyryte dwadzieścia siedem dat, począwszy od najstarszej — 1637, aż do ostatniej, sprzed osiemnastu lat — roku zaginięcia jej matki.

— Twoja matka miała na imię Teresa — powiedziała Luciana.

— Tak.

— Zdejmij pokrywę — nakazała cicho Luciana.

Mnich podniósł wieko skrzyni i poświecił. Demi zobaczyła rzędy srebrnych urn. Każda tkwiła osadzona w specjalnej przegródce, na każdej wyryto datę.

— Prochy uczczonych zmarłych. Tak jak dzisiaj wielki wół. Jak jutro Cristina.

— Cristina? — powtórzyła wstrząśnięta Demi.

— Dziś wieczorem dzieci uczyły ją tak, jak uczyły byka. Cristinę przepelniała radość. Jej rodzinę również. Dzieci również i wszystkich innych.

— Co pani próbuje mi powiedzieć? — Powoli buntownicza postawa Demi zaczęła ustępować, a na jej miejsce wkraśl się strach.

— Rytuał był odprawiony w celu uczczenia tych, którzy mają rozpocząć wielką podróż.

— Oni wszyscy zostali „uczczeni”? — To mówiąc, Demi spojrzała z powrotem na urny.

— Tak.

— I moja mama?

— Tak.

— I te pozostałe urny to są wszystko kobiety z mojej rodziny? — Demi nadal nie rozumiała.

— Policz je.

Demi zrobiła, co jej kazano, po czym podniosła wzrok.

— Dwadzieścia osiem. Ale na pokrywie wyrytych jest tylko dwadzieścia siedem dat.

— Popatrz na datę na ostatniej urnie.

— Po co?

— Popatrz.

Demi spojrzała, a kiedy to zrobiła, na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

— To jutro.

— Na wieku nie ma jeszcze dwudziestej ósmej daty, ponieważ jak na razie w ostatniej urnie nie ma jeszcze prochów. — Luciana uśmiechnęła się powoli, oczy jej pociemniały. — Jeszcze jednej kobiety z twojej rodziny tam nie wpisano.

— Kogo?

— Ciebie.

126

23.30

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Marshall siedział przy małym rozkładanym stoliku w głębi namiotu rozłożonego nad centrum dowodzenia. Pozostawiono go samego, aby zgodnie ze swoim życzeniem, mógł porozmawiać na osobności z wiceprezydentem.

Na tej samej bezpiecznej linii rozmawiali jednocześnie wiceprezydent Hamilton Rogers, sekretarz generalny prezydenta Harrisa Tom Curran, sekretarz stanu David Chaplin, sekretarz obrony Terrence Langdon oraz generał Chester Keaton znajdujący się na pokładzie samolotu lecącego właśnie do Madrytu.

— Złapali dwóch miejscowych chłopaków, którzy podobno zgubili się w tunelach. Prezydenta i Martena nadal ani śladu. Właśnie prowadzą tu tych Hiszpanów na przesłuchanie. Nikt tak naprawdę dobrze nie wie, co się dzieje.

Marshall rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, że nikt z ludzi Straita albo Diaz nie podszedł do niego za blisko. Potem odwrócił się z powrotem i zniżył głos.

— Musimy działać zgodnie z wcześniejszym założeniem: że obaj zostali odcięci w „brudnym” laboratorium Foksa. Albo byli tam, kiedy doszło do wybuchu, a więc nie żyją, albo jeśli jakimś cudem znajdują ich żywych, przyprowadzą ich do mnie. Damy im środki uspokajające i wsadzimy prosto do samolotu CIA. Jeśli nie przyjmujemy takiego założenia, zaczniemy myśleć jak Jake Lowe i nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie możemy sobie pozwolić na żadne słabe ogniwa w naszych szeregach. Przypominam, że mamy za sobą długą i znamienitą historię, którą kultywowaliśmy i której przysięgaliśmy wierność. Nie po raz pierwszy jej trwałość została wystawiona na próbę, i nie ostatni. Mieliśmy zadanie doprowadzić operację do pomyślnego końca. Nic się od tamtej pory nie zmieniło. Czy wszyscy jesteśmy co do tego zgodni?

— Absolutnie, Jim — odrzekł spokojnie wiceprezydent. — Chet, znasz dokładną godzinę akcji w Warszawie?

— Jutro, piętnasta trzydzieści. — Generał Keaton mówił takim samym, spokojnym i pewnym siebie głosem jak wiceprezydent.

— Dobrze. Dziękuję, doktorze Marshall. Rozegrał pan to bardzo dobrze. A więc do jutra, panowie. Powodzenia i z Bogiem.

127

23.42

Prezydent, Marten, Hap i Miguel siedzieli skuleni w ciemnym zakręcie komina dziesięć metrów poniżej miejsca, w którym łączył się on z górnym tunelem.

Trzy razy po drodze zatrzymywali się w mroku i z walącym sercem wstrzymywali oddech. Pierwszy raz, kiedy do komina na dole weszło kilku ludzi z ekipy ratunkowej po złapaniu Amada i Hectora. Słyszeli ich rozmowy, kłócili się, czy chłopcy rzeczywiście byli sami, tak jak twierdzili, czy też ktoś jeszcze im towarzyszył. Musieli jednak dojść do wniosku, że młodzi Hiszpanie mówili prawdę, ponieważ podeszli jeszcze pod górę kilka metrów, po czym zawrócili.

Za drugim razem przystanęli, żeby odpocząć i dać prezydentowi i Martenowi wody i po dwie tabliczki prowiantu. Za trzecim razem usłyszeli, że ktoś schodzi w ich kierunku z górnego tunelu. Hap natychmiast przepchnął prezydenta i Nicholasa na koniec, a sam z Miguelem znieruchomieli i czekali z pistoletami w dłoniach. Za zakrętem szybu mignęło światło latarki. Hap już miał się odezwać i przedstawić, kiedy zobaczyli Jose. Chłopak czekał na nich na górze i nasłuchiwał, a kiedy usłyszał ich głosy, wyszedł im na spotkanie.

— To są Amerykanie, o których wam mówiłem — wyjaśnił Miguel.

Jose tylko rzucił okiem na obydwu mężczyzn i od razu zapytał o Amada i Hectora.

— Pomagają — odpowiedział Miguel po hiszpańsku.

— Gdzie pomagają?

— Są z policją.

— Z policją?

— Tak — odrzekł Miguel. — Teraz twoja kolej. Wyprowadź nas stąd na górę.

Dziesięć minut później byli już prawie przy wylocie do górnego korytarza, kiedy Hap zatrzymał ich i poprosił Miguela, aby wysłał Jose na rekonesans. Chłopak musi sprawdzić, czy górny tunel jest czysty i czy uda im się przejść bezpiecznie sto metrów do szybu, którym dostali się do środka.

To było trzy minuty temu. Jak dotąd, Jose nie wrócił.

Dopóki szli, ich rozmowa ograniczała się do półsłówek, głównie poleceń lub ostrzeżeń wypowiedzianych prawie szeptem. Kiedy czekali na powrót Jose, Miguel uprzytomnił sobie, że jedna sprawa czeka na załatwienie i to jak najszybsze. Hap obawiał się, że prezydent może mu nie ufać, tak jak nie ufał mu przed ucieczką. Balius postawił sobie za zadanie przekonać prezydenta.

Przecisnął się do tyłu i kucnął obok Harrisa.

— Kuzynie — powiedział — Hap rozumie, że w zaistniałych okolicznościach nie mógł pan wiedzieć, komu może ufać. On też miał ten sam problem, kiedy zaczął się orientować, co się dzieje. To było dla niego bardzo trudne, ponieważ nie mógł wierzyć nawet swoim kolegom z Secret Service. Został nawet przez to postrzelony.

— Postrzelony?

— Dostał dwie kulki w ramię w biurze Foksa, kiedy szedł tam pana szukać. Sprowadziłem mu lekarza, ale nadal go boli jak diabli. Powinien leżeć w łóżku, a zamiast tego ciągnął się po tych przeklętych górach i tunelach, żeby pana znaleźć. Więc niech pan już więcej nie myśli, że nie można mu ufać.

Prezydent odwrócił się i popatrzył na Hapa.

— Nie powiedział pan ani słowa, że pana postrzelili.

— Nie ma o czym mówić.

— Napytał pan sobie przeze mnie biedy.

— To moja praca.

Prezydent się uśmiechnął.

— Dziękuję.

— Tak jest, panie prezydencie.

Zachowanie prezydenta — żart, uśmiech, podziękowanie — mówiło samo za siebie, znaczyło, że więź i zaufanie pomiędzy prezydentem i jego głównym strażnikiem została przywrócona.

— Jest coś, o czym pan nie wie — powiedział prezydent. Moment zażyłości minął. — Wiceprezydent, sekretarz obrony, sekretarz generalny... wszyscy ci ludzie, którzy byli obecni tamtej nocy w domu Evana Byrda w Madrycie, planują zamach na życie prezydenta Francji i kanclerz Niemiec podczas spotkania w Warszawie. To zresztą tylko część dużo większego spisku, w który był zamieszany również Merriman Foxx. Nie mogłem nikogo o tym poinformować, bo natychmiast by mnie znaleźli. I pan również nie może tego zrobić, w każdym razie nie teraz.

Hap pochylił się do przodu.

— Do poniedziałku jeszcze daleko, panie prezydencie. Chcę pana stąd jak najszybciej wyciągnąć, a potem zabrać do domu kuzyna Miguela, u stóp góry. Tam czeka limuzyna, którą możemy wyjechać z tej okolicy. Jeśli dobrze pójdzie, przed świtem dotrzemy do francuskiej granicy. Wtedy będzie można zaryzykować i poinformować rządy Francji i Niemiec o groźbie zamachu w Warszawie. Aby to zrobić, musimy najpierw poradzić sobie z tym, co nas czeka za chwilę. Później będziemy się martwić, co dalej.

— Kiedy złamią Hectora i Amada, a na pewno ich złamią... — Hap

zerknął na Hiszpana. — Przykro mi, Miguelu, ale musieliśmy coś zrobić. — Odwrócił się z powrotem do prezydenta. — Kiedy ich złamię, nie będą już mieli wątpliwości, że pan tu jest. Nieważne, czy się dowiedzą, że z panem jestem, czy nie. Przetrzęsą tę tunele uzbrojeni po zęby. To samo będzie na górze. Ściągną jeszcze więcej ludzi i sprzętu. W ciągu godziny ściągną tu tyle urządzeń wywiadowczych, nadzoru powietrznego i satelitarne, że świat czegoś takiego jeszcze nie widział. Wszystkie drogi w promieniu siedemdziesięciu kilometrów zostaną zablokowane.

— Ale pan uważa, że możemy się jeszcze wydostać.

— Mamy jeszcze trochę czasu, zanim się upewnią i zaczną się pełne natarcie. Tyle, ile zyskają nam chłopcy. Tylko że tam już teraz jest niezła armia. Na szczęście są rozproszeni po całym terenie i skupieni na tym, co się dzieje pod ziemią. Przy odrobinie szczęścia i ostrożności i z Jose, który zna drogę i poprowadzi nas nawet po ciemku, może nam się udać przemknąć niepostrzeżenie. Tylko jedna rzecz może nam przeszkodzić.

— Jaka?

— Prawdopodobnie właśnie teraz mamy nad głowami dużego satelitę szpiegowskiego. Zwykle zdjęcia nic im nie dadzą w środku nocy, ale obraz z kamer termowizyjnych zidentyfikuje nas jako źródło ciepła, gdy tylko wyjdziemy na powierzchnię.

— Więc jakie mamy szanse stąd uciec?

— Nadzieję, panie prezydencie, pokładam w tym — powiedział Hap i wyjął z kieszeni jeden z koców termicznych, które przynieśli ze sobą z samochodu. — Jeśli pan to rozłoży, otrzyma pan cienki pled wielkości niewielkiego namiotu. Jedna strona wyłożona jest folią termiczną. Wytniemy otwory na oczy, narzucimy to na głowę i przewiążemy się w pasie. Jeśli dopisze nam szczęście, mylar zablokuje promieniowanie cieplne i detektory zidentyfikują nas jako obiekty „zimne”. Jeśli będziemy się poruszali nisko przy ziemi i przez teren porośnięty krzewami i drzewami, może nam się udać przemknąć niezauważenie.

Miguel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Bystry z pana gość.

Prezydent zerknął na Martena, potem na Miguela.

— Jak daleko jest stąd do Aragonu drogą lądową?

— Jakieś piętnaście, siedemnaście kilometrów. Są polne drogi, ale to dosyć trudny teren.

— Czy zdołamy tam dojść przed świtem?

— Możliwe. Jose powinien wiedzieć.

— Aragon? — zapytał Hap z niedowierzaniem. — Górskimi szlakami po nocy? To zajmie ze cztery, pięć godzin. Co najmniej. Nawet jeśli fortel z kocami się uda, to ta wyprawa trwałaby zbyt długo. Tam będzie mnóstwo ludzi i sprzętu. Szanse, że dotarlibyśmy chociażby do połowy drogi, są praktycznie zerowe.

— W drugą stronę nie jest wcale dużo lepiej, Hap. Trasy prowadzące do granicy francuskiej są dobrze znane i, jak sam pan zauważył, będą obstawione. Jeśli natkniemy się na jakąś blokadę, przepadniemy, bez względu na to, co powiem, w mgnieniu oka znajduję się pod kuratelą swoich „przyjaciół”, którzy przeprowadzą akcję w Warszawie zgodnie z planem. Idąc na piechotę niezamieszkanym terenem i po ciemku, mamy przynajmniej jakąś szansę. Poza tym nie szukam w Aragonie azylu. Jak wiecie, miałem tam wystąpić przed zgromadzeniem Nowego Świata jutro na mszy porannej. I nadal mam zamiar to zrobić. Nikt się nie ośmieli zgarnąć mnie i wywieźć na oczach tych wszystkich ludzi, zwłaszcza że nie są to zwyczajni ludzie. Kiedy ogłoszę prawdę, problem Warszawy sam się rozwiąże.

— Panie prezydencie, to zgromadzenie ma zapewnioną doskonałą ochronę. Wiem, bo sam brałem udział w jej organizowaniu. Nawet jeśli zdolamy zająć aż tak daleko, nie ominiemy ochrony. Wystarczy, że spróbujemy, a dowiedzą się o tym niepowołane osoby. Natychmiast każą pana zgarnąć. Pewnie pan o tym nie wie, ale sekretarz generalny zorganizował odrzutowiec CIA, który czeka na pana na prywatnym lotnisku pod Barceloną. Jeśli wsiądzie pan do tego samolotu, koniec z panem.

Przez długą chwilę prezydent się nie odzywał. Było jasne, że stara się wszystko przeanalizować. Wreszcie spojrzął na Hapa.

— Mimo wszystko idziemy do Aragonu. Wiem, że nie podoba się panu ten pomysł, ale taką podjąłem decyzję. Co do ochrony, to zna pan to miejsce: teren, budynki, kościół, gdzie mam przemawiać. Sprawdzał pan to wszystko dużo wcześniej, prawda?

— Tak.

— Więc znajdziemy jakiś sposób, żeby się dostać do środka. Będę prawdziwą niespodzianką na tej mszy. I to dla wszystkich.

Z góry dobiegł hałas i wkrótce zza zakrętu wyłonił się Jose. Spojrzął na Miguela.

— Kręcą się patrole, ale na razie poszli dalej — rzekł po hiszpańsku. — Nie wiem, czy są inne. Chwilowo jest bezpiecznie.

Miguel przetłumaczył to na angielski, a wtedy prezydent popatrzył na każdego z mężczyzn po kolei: Nicholasa, Hapa, Miguela i Jose.

— Chodźmy — powiedział.

NIEDZIELA

9 kwietnia

00.02

Demi krążyła po pomieszczeniu, które niewiele się różniło od celi, i starała się nie myśleć o koszmarze, który zapowiedziała jej Luciana na jutro. A wraz z poruszeniem się wskazówki, jutro” właśnie nadeszło.

Przed nią na małej pryczy z nierdzewnej stali leżał tylko cienki materac i jeden koc. Tak jakby mogła zmrużyć oko albo choćby się położyć. Obok łóżka stała umywalka i toaleta. I była jeszcze kapliczka — wbudowana w ścianę na środku pokoju, oświetloną chyba setką świec wotywnych, z marmurowym ołtarzykiem, mniej więcej metrowej szerokości i głębokości sześćdziesięciu centymetrów. Na ołtarzu wznosiło się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na rzeźbę z brązu, lecz kiedy Demi przyjrzała się bliżej, stwierdziła, że to nie rzeźba, tylko zespane ze sobą dwie litery.

Α μ

Przypomniało jej się wtedy, że o tym symbolu mówił jej Giacomo Gela: hebrajskie A i greckie M — znak Aradii Mniejszej, tajnego bractwa ukrytego w łonie boschetto Aldebarana. A więc wszystko, przed czym ją ostrzegał nieszczęsny starzec, było prawdą, a tamci od początku wiedzieli, kim Demi jest, tylko odsunęli się na bok i obserwowali ją, aby się dowiedzieć, kto poza nią i ile o nich wie. Dlatego Beck zaprosił ją do Barcelony po incydencie między Foksem a Nicholasem Martenem na Malcie. Chcieli sprawdzić, czy ktoś za nią pojedzie. I Marten pojechał. Wyprawa do katedry z Beckiem i Lucianą również nie miała służyć zorganizowaniu spotkania sacerdotessy z

Foksem w Montserrat, tylko temu samemu celowi: sprawdzeniu, kto ich będzie śledził. I znowu Marten za nimi pojechał. Dlatego Beck zgodził się wziąć ją ze sobą do kościoła, aby mogła zobaczyć rytuały sabatu w zamian za zwabienie Nicholasa do Foksa. Wystawiając Martena, wystawiła również siebie i przypieczętowała swój los w przerażającym rytuale, jakiego była dzisiaj świadkiem — śmierci w płomieniach. Sama weszła w pułapkę, wystarczyło, żeby zamknęli za nią drzwi.

Nie wiedziała, czym właściwie był kult Aradii Mniejszej, ale nie miała już wątpliwości, że Giacomo Gela został naprawdę z pełną premedytacją okaleczony i porzucony w lesie, aby żył jako chodzące ostrzeżenie przed tym, co czeka każdego, kto by próbował poznać jego tajemnicę. Najwyraźniej obserwowali Gelę od lat z tego samego powodu: aby wiedzieć, kto się nimi interesuje na tyle poważnie, że zadał sobie trud odnalezienia starca i przyjscia doń na spotkanie. Potem sprawdzali, kim jest ta osoba, dlaczego ich szuka i komu jeszcze mogła o nich powiedzieć. Demi zaczęła się zastanawiać, ile w ciągu setek lat było takich ludzi jak ona, którzy podążali tym samym tropem i padli ofiarą tego samego, niewypowiedzianego horroru.

Horroru w płomieniach, który wkrótce czeka i ją, który spotkał jej matkę i dwadzieścia sześć innych kobiet z jej rodziny. A także matki, córki, ciotki, siostry i kuzynki z innych włoskich rodów, starannie wyselekcjonowanych w ciągu wieków. I ten sam, który spotka dzisiaj nie tylko ją, ale i Cristinę.

Nagle Demi przestała krążyć po pokoju i podeszła do ołtarza. W kościele mnisi pod czujnym okiem Luciany odebrali jej aparaty fotograficzne, potem zawiązali oczy i powiedli w dół po wyjątkowo długich schodach. Wkrótce potem wsadzili ją do jakiegoś środka transportu, który jechał szybko, a Demi była pewna, że poruszał się pod ziemią. Na miejscu wprowadzili ją do celi, bez słowa zamknęli za nią drzwi na klucz i odeszli.

I to wszystko. Nie zadali sobie trudu, aby ją przeszukać, ani w kościele, ani tutaj, kiedy zdjęli jej z oczu opaskę, a to oznaczało, że w dalszym ciągu miała przy sobie urządzenie łączące funkcję aparatu i telefonu, za pomocą którego przesyłała zdjęcia do Paryża na swoją stronę internetową. To dodawało jej otuchy, ponieważ w dalszym ciągu miała kontakt ze światem zewnętrznym, chociaż jak dotąd dwie zakończone niepowodzeniem próby

powiedziały jej, że znajduje się zbyt głęboko pod ziemią, aby sygnał mógł się przebić przez skały. Najważniejsze, że miała przy sobie i aparat, i telefon. Jeśli chodzi o telefon, to zrobi wszystko, żeby z niego skorzystać później, kiedy ją wyprowadzą w miejsce, gdzie może uda jej się złapać zasięg, i po kryjomu zadzwonić pod numer ratunkowy sto dwanaście, obowiązujący w całej Europie, i zażądać połączenia z policją. Aparat pomoże jej teraz zachować resztki zdrowych zmysłów i nie rozpamiętywać przerażającej perspektywy, która czeka ją za kilka godzin.

Uklęła przed ołtarzem i zaczęła robić zdjęcia symbolowi Aradii Mniejszej. Fotografowała z pasją, wręcz agresją, z każdego możliwego miejsca. Po chwili uprzytomniła sobie, że to, co robi, jest czymś więcej niż świadomym szukaniem ucieczki od myślenia. Kierowała nią ostatnia rozpaczliwa nadzieja, że zdoła przerzucić most na drugi brzeg i w jakiś sposób osiągnąć matki, nawiązać kontakt duchowy z tym, kim była kiedyś, a dla Demi nawet teraz, po śmierci. Czuła, że nie tylko wypełnia tym sposobem przyrzeczenie, które złożyła dawno temu, ale znajduje też wiecznie trwałą miłość i zbawienie.

129

00.07

Hector i Amado stali w jaskrawym świetle punktu dowodzenia. Byli brudni, podrapani i wystraszeni, ale jak dotąd się nie załamali. Ani przed Secret Service i funkcjonariuszami hiszpańskiej CNP, którzy złapali ich w tunelu, ani przed śledczymi z CIA, którzy rozmawiali z nimi później, ale jeszcze przed wyjściem na powierzchnię, ani przed kilkoma innymi oddziałami Secret Service i CIA, wyciągającymi ich spod ziemi na górę i prowadzącymi potem w deszczu do stanowiska dowodzenia. Obaj wytrwale obstawali przy ustalonej wersji: wybrali się rano zwiedzać tunele i zabłądzili.

— O której godzinie? — spytała kapitan Diaz po hiszpańsku.

— Około wpół do dziesiątej — powtórzyli odpowiedź, ustaloną dosłownie kilka sekund przed spotkaniem z policją.

— Gdzie mieszkacie? — ciągnęła kapitan Diaz.

Bill Strait i James Marshall stali za jej plecami i słuchali w napięciu.

— W El Borrás, nad rzeką — odpowiedział Amado.

— Tylko wy dwaj. Sami. Nikogo z wami nie było?

— Tak, proszę pani, to znaczy nie... to znaczy nikogo więcej nie było.

Kapitan Diaz przyjrzała się im uważnie, po czym podeszła do jednego ze swoich ludzi z CNR

— Porozmawiajmy z nimi oddzielnie — powiedziała i wróciła do chłopców.

— Który z was to Hector?

Hector podniósł rękę.

— Dobrze. Ty zostań ze mną, a Amado pójdzie porozmawiać z kimś innym na drugim końcu namiotu.

Hector patrzył, jak Amado wstaje i odchodzi z dwoma policjantami.

— No dobrze, Hectorze — zaczęła na nowo kapitan Diaz. — Więc mieszkasz w El Borrás, tak?

— Tak.

— Opowiedz mi, jak tam trafiliście. Znad rzeki aż na szczyt góry.

00.12

Hector obserwował, jak kapitan Diaz zostawia go i idzie na drugi koniec namiotu, aby porozmawiać z ludźmi przesłuchującymi Amada. Nerwowo popatrzył na Billa Straita oraz wyjątkowo wysokiego i wyniosłego mężczyznę, który stał obok niego. Obaj najwyraźniej byli Amerykanami. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, ile ludzi i sprzętu tu ściągnięto. Widywał różne systemy radiowe i komputerowe na filmach, ale to było nic w porównaniu z tym, co tu zgromadzono. Nigdy też przedtem nie słyszał tylu rozmów pomiędzy operatorami w namiocie a oddziałami w terenie. I nic nie dawało się porównać z powagą atmosfery, jaka tu panowała.

Wstrzymał oddech na widok wracającej kapitan Diaz. Przystanęła, żeby powiedzieć coś Billowi Straitowi i mężczyźnie obok, po czym wszyscy trzej podeszli do Amada.

— Hectorze, wygląda na to, że mamy pewną sprzeczność — oznajmiła spokojnym głosem kobieta. — Powiedziałeś, że szliście znad rzeki na piechotę, tymczasem Amado pamięta, że jechaliście na motocyklach.

— Hectorze — Bill Strait patrzył mu prosto w oczy — wiemy, że nie byliście tam na dole sami.

Przerwał i czekał, aż kapitan Diaz przetłumaczy to na hiszpański.

— Oczywiście, że sami — zaprotestował Hector. — Kto miałby z nami być?

— Prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Nie — zaprzeczył buńczucznie chłopak. Nie potrzebował, żeby mu to tłumaczono. — Nie.

— Hectorze, posłuchaj mnie uważnie. Kiedy znajdziemy prezydenta, dowiemy się, że kłamaliście, i pójdziecie do więzienia na wiele lat.

Kapitan Diaz przetłumaczyła słowa Billa Straita tak, że zabrzmiały jak wyrok sądu skazujący na dwadzieścia lub trzydzieści lat więzienia.

— Nie — powtórzył uparcie Hector. — Byliśmy sami. Amado i ja. Nikogo więcej. Spytajcie swoich ludzi. Szukali i nikogo nie znaleźli.

Niespodziewanie Hector poczuł obok siebie czyjąś obecność. Podniósł wzrok i zobaczył Amada idącego w ich stronę w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy CNP — bladego jak ściana, ze łzami w oczach. Aż nadto oczywiste było, co się stało.

Powiedział im.

130

00.18

Przejście z dolnego szybu do górnego tunelu poszło im względnie łatwo. Kolejny etap, czyli pokonanie jakichś stu metrów głównym korytarzem pomimo ciemności odbyło się szybko i bez przeszkód. Potem Jose znalazł wylot górnego komina, którym on, Hap, Miguel, Hector i Amado zeszli pod ziemię. Zdawało się, jakby od tamtej chwili minęło kilka dni, a może nawet tygodni.

Szli już w kierunku powierzchni, kiedy Hap nagle stęknął i stanął. Miguel skierował na niego wąski snop światła z latarki. Szef ochrony prezydenta wyglądał okropnie — krew odpłynęła mu z policzków, pot wystąpił na twarz. Miguel podał mu szybko wody z bukłaka i upierał się, żeby wziął następną tabletkę przeciwbólową. Hap posłuchał.

Siedzieli teraz spokojnie, aby dać mu wytchnąć i poczekać, aż środek zacznie działać. W innej sytuacji mogliby go zostawić i iść sami, z jego błogosławieństwem, ale nie tym razem. Hap kilka tygodni temu, przygotowując się do wizyty prezydenta w Aragonie, obszedł cały kurort i znał dokładny plan terenu i budynków, tak jak tylko człowiek z jego wyszkoleniem i doświadczeniem mógł go znać. Jeśli w ogóle mieli zamiar przeprowadzić to, co sobie zamierzali, bezwzględnie potrzebowali Hapa. Mieli nadzieję, że wystarczy krótki wypoczynek.

00.23

— Panie prezydencie, ta czarna walizka, którą nosi za prezydentem jego adiutant — odezwał się w ciemności Marten bez żadnego konkretnego powodu poza tym, że właśnie o tym pomyślał — zakładam, że naprawdę zawiera kody do wyrzutni rakiet z głowicami jądrowymi.

— Tak.

— Wybaczy mi pan to pytanie, ale gdzie ona teraz jest?

— Podejrzewam, że mają ją moi „przyjaciele”. Nie mogłem jej ze sobą zabrać, kiedy uciekałem.

— Więc wpadła w ręce pańskich „przyjaciół”?

— Tak, ale to nie ma żadnego znaczenia.

— Jak to nie ma znaczenia?

— Takich walizek jest więcej — wtrącił się do rozmowy Hap.

— Więcej?

— Prezydent podczas podróży wozi ze sobą tylko jedną z nich. Druga leży w Białym Domu, a do trzeciej ma dostęp wiceprezydent na wypadek, gdyby prezydent nie był zdolny pełnić swoich obowiązków. Tak jak teraz.

— Rozumiem, chce pan powiedzieć, że tamci przez cały czas mieli dostęp do kodów.

— Tak. Coś jeszcze chciałby pan wiedzieć?

— Na razie nie.

— To dobrze. — Hap dźwignął się nagle na nogi. — Ruszajmy w drogę, zanim ściągnie tu więcej „ratowników”.

00.32

Zatrzymali się kilka metrów przed wylotem komina i wysłali Jose na zwiady, tak jak poprzednio.

00.36

Jose wrócił na dół i zaczął zdawać Miguelowi relację po hiszpańsku. Miguel słuchał uważnie, po czym odwrócił się do pozostałych.

— Pada deszcz i jest bardzo pochmurno — przetłumaczył po cichu. — Chłopak niczego nie słyszał i nie widział żadnych świateł. Po wyjściu pójdziemy za nim, ale trzymając się blisko siebie. Teren jest skalisty. Niedaleko

zaczyna się stroma ścieżka. Najpierw pnie się pod górę, ale bardzo szybko zaczyna opadać przez jakieś zarośla i dalej biegnie cały czas zakosami w dół, aż do wysychającego potoku. Pójdziemy wzdłuż niego do strumienia. Po drugiej stronie znów wejdziemy na szlak, który prowadzi przez las jakieś trzy kilometry, a potem wychodzi na otwartą przestrzeń.

— I co dalej? — spytał prezydent.

— Dalej zobaczymy, kiedy tam dojdziemy — wtrącił cierpko Hap. — Pogoda utrudni im odczytywanie obrazów termowizyjnych, ale musimy iść ostrożnie. Jeśli uda nam się przejść te trzy kilometry po ciemku i w deszczu i bez ściągnięcia na siebie uwagi, to będzie wielka sprawa.

— Czy pan się na pewno nadaje na taką wyprawę?

Harris był autentycznie zatroskany o Hapa.

— Będę gotowy, jak tylko pan będzie gotowy, panie prezydencie.

131

00.38

Prawie dwadzieścia minut zajęło Marshallowi znalezienie wiceprezydenta i połączenie się z nim na bezpiecznej linii. Wiadomość, że w ciągu ostatniej godziny widziano prezydenta żywego w tunelach, w towarzystwie mężczyzny odpowiadającego rysopisowi Nicholasa Martena, głęboko zaniepokoiła Hamiltona Rogersa, ale nie na tyle, aby zachwiać postanowieniem jego czy Jamesa Marshalla. Dla żadnego z nich oficjalna wersja się nie zmieniła od chwili, gdy prezydent zniknął w Madrycie, a potem trafiono na jego trop w Barcelonie: albo został zakładnikiem Nicholasa Martena, albo postradał zmysły. Pod pewnym względem sytuacja wyglądała teraz nawet lepiej niż poprzednio, ponieważ przynajmniej wiedzieli, gdzie go szukać. Setki ludzi przeczesywały teren, a jeszcze więcej było w drodze. Tak więc pozostało tylko kwestią czasu — godzin lub może nawet minut — Wedy go znajdą, a wtedy wywiozą go z Hiszpanii w bezpieczne i ukryte miejsce w Szwajcarii.

— Jesteś tuż-tuż, Jim. Trzymasz rękę na pulsie. Nikt lepiej niż ty nie potrafiłby dopilnować, żeby sprawy się potoczyły tak jak powinny — zapewnił go wiceprezydent.

— Powiadom pozostałych.

— Natychmiast. Daj mi znać, jak tylko go znajdziecie i wystartujecie.

— Zrobione! — odrzekł Marshall i rozłączył się.

Poszedł poszukać Billa Straita, który razem z kapitan Diaz znajdował się w samym sercu akcji i koordynował poczynaniami ludzi w podziemiach, a jednocześnie przygotowywał pod względem logistycznym transport posiłków.

Marshall odciągnął go na bok i wyprowadził z namiotu na deszcz, gdzie mogli rozmawiać bez świadków.

— Kiedy go znajdziemy, on i Marten muszą natychmiast zostać rozdzieleni. Aresztujecie Martena i zawieziecie go do ambasady w Madrycie. Nie wolno mu się z nikim kontaktować. Jeśli zaś chodzi o prezydenta: żadnych pytań, żadnych rozmów poza pomocą medyczną, jeśli będzie potrzebował. Prowadzimy go prosto do chinooka, zamykamy drzwi i startujemy. Na tym koniec. Sprawa zamknięta. Gdyby ktoś pytał, taki był bezpośredni rozkaz wiceprezydenta. Proszę dopilnować, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli: pańscy ludzie, CIA, kapitan Diaz i jej podwładni.

— Tak jest.

132

00.43

Wyglądali jak duchy. Z kocami na głowach, odwróconymi mylarową stroną na zewnątrz i lekko przewiązanymi w pasie, z wyciętymi otworami na oczy czterej mężczyźni wyszli przez skalną szczelinę u wylotu szybu i pobiegli za Jose po płaskim, skalistym terenie w stronę wąskiej ścieżki wznoszącej się stromo między wysokimi głazami. Kilka metrów dalej zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać, ale nie doszedł ich żaden odgłos poza szumem wiatru i delikatnym bębnieniem kropel deszczu o mylar.

Miguel skinął głową i Jose poprowadził dalej. Marten szedł drugi, za nim prezydent, Hap i na końcu Miguel. Hap ścisnął w dłoni pod kocem swojego automatycznego sig sauera i podobnie Miguel, który zamykał pochód, nie zdejmował palca ze spustu pistoletu maszynowego Steyr.

00.49

Minęli już kamienisty szczyt i schodzili teraz stromą ścieżką z pokruszonego piaskowca biegnącą przez gęste zarośla. Po ciemku i w padającym deszczu nie sposób było sprawdzić, czy nie zostawiają za sobą śladów, którymi ktoś mógłby ruszyć za nimi w pościg. To samo dotyczyło ich fortelu z mylarowymi kocami — za wcześniej było wyrokować, czy się udał, czy rzeczywiście satelitarne kamery termowizyjne, Bóg wie jak wysoko nad ich głowami, prześliznęły się po nich jako po „zimnych” obiektach, czy ich wykryły i w tej chwili ruszały już za nimi oddziały uzbrojonych po zęby agentów operacyjnych.

Nicholas popatrzył w górę i usiłował przebić wzrokiem zasłonę deszczu i ciemności, aby zobaczyć linię szczytów górskich. Widok ograniczały dodatkowo niewygodne otwory na oczy wycięte w kocu. Nie zauważył nic godnego uwagi i zaczął już odwracać wzrok, kiedy w ostatniej sekundzie zobaczył jasne światło poruszające się nad szczytem wzgórza.

— Uwaga! Na ziemię! — rzucił ostrzegawczo.

Padli jak jeden mąż i szybko wczołgali się między zarośla. Kilka sekund później nad ich głowami przeleciały dwa śmigłowce, silne światła reflektorów prześliznęły się tuż obok nich. Po chwili samoloty odleciały.

— Przybyły posiłki — stwierdził Hap. — Ale będzie ich dużo więcej. Te nas nie szukały, po prostu leciały do lądowiska. Co oznacza, że jak na razie według nich nadal jesteśmy pod ziemią.

— Czyli mylar działa — zauważył Miguel.

— Albo mylar działa, albo ktoś nie uważa przy pracy. Albo sprzęt satelitarny nie działa. Albo w tej chwili nie ma nad nami satelity — podsumował Hap. — Musimy wykorzystać każdą sekundę, którą nam dają. — Poderwał się raptownie na nogi. — W drogę! Szybko!

00.53

Kapitan Diaz dotknęła ramienia Billa Straita.

— Pilot śmigłowca CNP, który właśnie przyleciał, zameldował, że widział na ziemi coś, co odbiło światło szperacza pięć kilometrów od miejsca lądowania — powiedziała. — Nie wie, co to mogło być, może jakieś śmieci,

a może ktoś tam rozbił obóz. Wtedy nie zwrócił na to uwagi, ale potem doszedł do wniosku, że tak czy inaczej powinien o tym zameldować. Pilot drugiego helikoptera niczego nie zauważył.

— Ma pani współrzędne?

— Tak.

— Wyślijcie ich obu z powrotem w to miejsce. Niech sprawdzą, co to było.

— Proszę mi wybaczyć, ale latanie w nocy w deszczu w środku gór jest bardzo niebezpieczne. Piloci niewiele widzą.

— Rozumiem panią, pani kapitan. To nasz prezydent, nie wasz. Mimo to byłbym wdzięczny, gdyby wysłała tam pani tych pilotów.

Kapitan Diaz milczała z wahaniem.

— Poczłaby się pani lepiej, gdyby rozkaz przyszedł od pani dowódców w Madrycie?

— Tak.

— Ja również. Mimo to proszę ich wysłać.

Kapitan Diaz powoli skinęła głową, po czym odwróciła się i zaczęła wydawać rozkazy do mikrofonu.

Boże, pomyślał Strait, przecież to nie mogą być oni. Nie mogli się wy dostać z tunelu bez naszej wiedzy.

Szybko podszedł do młodego technika z Secret Service, pracującego przy przetwarzaniu danych z satelity.

— Co pokazują zdjęcia termowizyjne, do cholery? — zapytał.

Technik odsunął się na bok, żeby Strait mógł sam popatrzeć na monitor komputera. Kilkunastoma kliknięciami przejrzał obraz całej przeszukiwanej okolicy. Na każdym zdjęciu błyszczały wyraźnie z ciemności grupy ciepłych obiektów.

— To wszystko nasi ludzie. Nic więcej. Deszcz i upływ czasu od zmierzchu bardzo utrudniają sytuację, ale nie ma tam nic, nad czym nie mielibyśmy kontroli.

— Kapitan Diaz poda wam współrzędne miejsca, któremu trzeba się lepiej przyjrzeć.

— Tak jest.

— Bill. — To James Marshall przepychał się ku niemu między technikami z Secret Service i CNR — Byłem z twoim człowiekiem, który przesłuchiwał tego dzieciaka, Amada, tego, który się zламаł. Nie powiedział nam wszystkiego. Było tam jeszcze dwóch ludzi, jego wuj, kierowca limuzyny, i ktoś, kto bardzo pasuje z opisu do Hapa Danielsa. To on wysłał do nas chłopaków z tą historijką o zgubionych poszukiwaczach przygód.

— Hap jest na dole?

— Nie wiem. I nie mam pojęcia, co tu się, do cholery, dzieje. Chcę śledzić każdy sygnał z urządzeń komunikacyjnych Daniela: komórki, blackberry, wszystkiego.

— Robimy to już od dawna. Wydałem taki rozkaz od razu, kiedy się przestał odzywać.

— Jeśli jest tam na dole, to nie może się z nikim komunikować, dopóki nie wyjdzie na powierzchnię. Gdy tylko go znajdziecie, macie go tu natychmiast sprowadzić. Nie wolno mu z nikim rozmawiać poza mną. Jeśli to rzeczywiście on i jest z nim prezydent, to sprawa załatwiona. Wsadzamy ich do chinooka, a potem do samolotu CIA. I wreszcie będziemy mogli zamknąć tę idiotyczną historię.

133

1.05

Demi leżała na pryczy, przytłoczona grozą tego, co jej miała przynieść najbliższa przyszłość. Najbardziej na świecie pragnęłaby zasnąć, uciec od tego wszystko, ale wiedziała, że jeśli zaśnie, będzie to ostatni sen w jej życiu. Kiedy się obudzi, pozostanie już tylko to, co niewyobrażalne: wyprowadzają z celi, zabiorą do amfiteatru czy na inną arenę i spalą żywcem, może nawet razem z Cristiną, jako punkt programu jakiegoś starożytnego rytuału, podczas którego — chciałaby móc się śmiać z ironii dziejów — czarownice będą palić ludzi na stosie.

Myśl, że jutro o tej porze może już jej nie być na tym świecie, skłoniła ją do refleksji, że poza kilkoma artykułami i zdjęciami, które opublikowała, nie pozostanie żaden ślad jej istnienia. Niczego właściwie nie osiągnęła, nie wniosła żadnego wkładu w życie społeczeństwa, nie ma męża ani dzieci, w ogóle niczego. Przez jej życie przewinęło się tylko wielu kochanków, z których żadnemu nie dała z siebie tyle, żeby ją zapamiętał, nie mówiąc o tym, by po niej płakał. Od kiedy skończyła osiem lat, żyła jak rozbitek. Tylko jedno się zawsze liczyło: poszukiwanie matki, nic więcej. Teraz ją odnalazła i miała podzielić jej los.

Nagle pomyślała o Nicholasie Martenie i prezydencie, a wtedy strach i rozpacz podsyciły jeszcze ogromne poczucie winy. Jeśli wpadli w tę samą pułapkę co ona, tylko Bóg może im pomóc. Wyglądało to na jakiś biblijny sąd, na którym niewinni płacą życiem za ślepy egoizm innych. I nic już nie mogła na to poradzić, chyba tylko sięść i płakać. I błagać o wybaczenie. Co ja najlepszego zrobiłam?

Zamknęła oczy i starała się odsunąć od siebie te wszystkie myśli. I na chwilę się udało. Widziała tylko ciemność, słyszała jedynie własny oddech. Nagle jakby w oddali usłyszała śpiew mnichów. Z wolna odgłos narastał. Pieśń przybierała na sile. Demi otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą coś, co wyglądało jak wielkie zdjęcie jej mamy wysświetlone na suficie. Była to ta sama fotografia, którą znalazła kiedyś w kuftrze i która stała jej się przez lata tak droga. Zrobiono ją kilka dni przed zniknięciem mamy, wyglądała na nim młodo i pięknie; tak samo musiała wyglądać, kiedy wiedźmy posłały ją na śmierć w płomieniach.

W następnej chwili sufit nad jej głową stanął w ogniu i zdjęcie zniknęło.

Demi wrzasnęła i poderwała się z pryczy. Z walącym sercem spojrzała znowu na sufit, ale niczego już nie zobaczyła. Biała powierzchnia była tak samo pusta jak wcześniej. Śniło mi się, pomyślała. Tylko jeśli to jej się śniło, to dlaczego w dalszym ciągu słyszała śpiew mnichów? Monotonne głosy cały czas wypełniały maleńki pokoik.

Nagle symbol Aradii Mniejszej w kapliczce rozjarzył się na czerwono. Zarazem głosy mnichów jeszcze bardziej przybrały na sile, a po chwili cała ściana obok niej ożyła. Demi zobaczyła matkę w zbliżeniu, bosą, w białej wąskiej sukni, takiej samej, jaką nosiła Cristina. Stała przywiązana do wielkiego grubego pala na jakiejś surrealistycznej scenie. Kamera skierowała się na podłogę pod jej stopami, gdzie nagle zapłonął krąg płomieni z gazowych dysz. Kamera cofnęła się, kiedy ogień wystrzelił wyżej, a potem powoli ruszyła w górę. Zbliżenie rosło coraz bardziej, aż wreszcie widać było tylko oczy jej matki. Nie było w nich spokoju, jaki odbijał się w ślepiach wołu podczas ceremonii, lecz nieskończone przerażenie człowieka, który ma spłonąć żywcem. Kobieta szarpała się w więzach, skręcała i próbowała się wyrwać. Demi zobaczyła jej rozchylone usta, a po chwili usłyszała przeraźliwy, upiorny wrzask wydobywający się jej z piersi. W ciągu kilku sekund płomień spowiły jej całą postać i strawiły.

Demi znowu krzyknęła i odwróciła się, ale nigdzie nie było ucieczki od tych okropnych obrazów. Każdy skrawek ściany, podłogi i sufitu pokazywał obrazy, które przed chwilą widziała, odtwarzane raz po raz od nowa, jakby chciano, żeby Demi przeżywała piekło śmierci matki po tysiącokroć. Zaciśnęła powieki i zasłoniła rękami uszy, zaczęła się obracać to w jedną stronę, to w drugą, żeby nie słyszeć okropnego śpiewu. Ale on nie cichł nawet na chwilę, przeciwnie, rozbrzmiewał coraz głośniejszym i głośniejszym, aż przeniknął każdy skrawek jej duszy.

Jak długo to trwało? Sekundy. Minuty. Godziny. Nagle śpiew umilkł i zapadła cisza. Demi powoli otworzyła oczy, modląc się w duchu, żeby to był koniec.

Nic z tego. W całkowitej ciszy zaczął się następny koszmar: na ścianach pojawiły się fotografie, które zrobiła swoim cyfrowym aparatem od przyjazdu na Malte, a potem wysłała po cichu do Paryża. Jedna po drugiej: Merri-man Foxx, Nicholas Marten, Cristina, wielebny Beck, Luciana, gabinet Foksa w Montserrat, stół w restauracji, kiedy Beck przyprowadził Martena; przybycie do kościoła wewnątrz góry, pokój, gdzie Cristina przysłała jej przynieść suknię; wejście mnichów do amfiteatru, dzieci, rodziny, zwierzęta, sowy, śmierć wołu.

A potem ostatnie, te, które wysłała kilka chwil temu: zdjęcia symbolu Aradii Mniejszej w kapliczce naprzeciwko łóżka, symbolu, który fotografowała z takim zapamiętaniem, jakby w ten sposób rozpaczliwie próbowała dotrzeć do duszy matki. Wszystkie tu były — każde zdjęcie od początku do końca. Przez cały czas wiedzieli nie tylko, kim jest, ale również, co robi, gdzie i jak.

134

1.22

Hap, jesteś tam? Czy jest z tobą prezydent? To bardzo pilne! Proszę, odezwiw się natychmiast.

Hap szybko wyłączył blackberry, aby nie wykryły go elektroniczne systemy, które na pewno uruchomił Strait.

Wiadomość od Billa oznaczała, że tamci wyciągnęli od chłopców prawdę i usiłowali ustalić, czy prezydent ze swoimi towarzyszami jest jeszcze pod ziemią, czy też wydostał się już z tuneli. Stąd te dwa śmigłowce wysłane ponownie w to miejsce, gdzie przeleciały nad nimi poprzednio, tylko tym razem przeszukujące dokładnie teren ostrym reflektorem punktowym. Ale uciekinierzy byli już daleko — dotarli do strumienia. Z dalekich odgłosów Hap wynioskował, że śmigłowce wylądowały i najprawdopodobniej wysadziły posiłki dla oddziałów naziemnych.

Bez względu na deszcz i ciemność szukają ich teraz ze zdwojoną energią.

Zwolnił i zrównał się z Miguelem.

— Nie wiem, czy nie zostawiliśmy za sobą śladów. Musimy wejść gdzieś do wody, wszystko jedno, co to będzie: potok, rów, cokolwiek, co pozwoli nam iść dalej, ale nie zostawiać śladów.

Miguel skinął głową i przyspieszył kroku, żeby dogonić Jose.

1.25

Kapitan Diaz odwróciła się do Billa Straita.

— Moi ludzie znaleźli świeże ślady w terenie, ale trudno powiedzieć, czy to na pewno ludzi.

— A jak sądzą? — spytał James Marshall, który wyrósł jak spod ziemi.

Diaz wymieniła przez mikrofon kilka zdań ze swoimi podwładnymi.

— Dwie osoby — przekazała. — Może więcej. Deszcz prawie wszystko rozmył. Mogły być i zwierzęta.

— Ilu macie tam ludzi? — spytał Marshall.

— Dwudziestu. Dwa oddziały po dziesięciu. Marshall odwrócił się do Billa Straita.

— Wyślijcie natychmiast cztery razy tyle. Secret Service i CIA.

— Tak jest.

— Z satelity nadal nic?

— Nic, proszę pana. Wszystkie odczyty „zimne”. Byłoby lepiej, gdyby nie deszcz i noc.

— Byłoby lepiej, gdyby nie cała ta historia.

1.44

Szli po kolana w bystrym nurcie strumienia, który przez większą część roku był suchy, teraz jednak zamienił się w trzymetrowej szerokości potok spływającej deszczówki. Z powodu ciemności i trudnej, niepewnej drogi musieli bardzo spowolnić marsz. Wyglądało na to, że mylarowe koce jak na razie spełniły swoją rolę, ale trudno się pod nimi oddychało, a patrzenie przez wycięte otwory nie byłoby łatwe nawet w biały dzień. Poza tym wszystkim, nawet młodemu Jose, dawało się we znaki zmęczenie.

Marten podświadomie włożył rękę do kieszeni marynarki i trafił na kartę magnetyczną i blackberry, które zabrał Merrimanowi Foksovi. Niósł je cały czas ze sobą, ponieważ stanowiły chociaż cień dowodu, a teraz zaczął

się martwić, czy mu nie zamokną. Zwolnił i poczekał, aż zrówna się z nim Harris.

— Panie prezydencie, musimy odpocząć. Wszyscy, nawet Jose. Jeśli go stracimy, będziemy błądzić po nocy jak czterej ślepcy.

Prezydent zaczął coś odpowiadać, ale jego słowa zagubiły się w ogłuszającym grzmocie wojskowego śmigłowca bojowego, który nagle skręcił w wąwóz wznoszący się nad strumieniem i leciał prosto na nich. Reflektor omiatający ziemię to w przód, to w tył oświetlał pilotowi drogę. W jasnych kręgach sunących po skale robiło się widno jak w dzień.

— Na ziemię! — krzyknął Marten.

Cała piątka runęła do wody, a po sekundzie śmigłowiec przeleciał dokładnie nad nimi.

— Widział nas? — spytał prezydent, podnosząc głowę.

— Nie wiem! — odkrzyknął Hap.

— Drzewa! — zawołał Jose po hiszpańsku. — Na brzegu po prawej stronie rosną drzewa!

Miguel, krzycząc donośnie, przetłumaczył słowa chłopaka.

— Szybko, do drzew! — wrzasnął Hap.

Rzucili się pędem na prawo. Jeden po drugim wdrapywali się po stromym wzniesieniu, a potem skryli pod bezpieczną zasłonę iglastych gałęzi.

1.53

— Co teraz? — zapytał Miguel, oglądając się na strumień i kucając obok pozostałych.

— Zobaczmy za jakieś dwadzieścia sekund — powiedział Hap cicho i spojrzął na prezydenta. — Woody.

— Wiem

— Kto to jest Woody? — spytał Nicholas.

— Major George Herman Woods. Pilot prezydenckiego śmigłowca Marine One. Były frontowiec. Uważa się za mistrza sterów. I słusznie, nie-stety.

Przewidywane dwadzieścia sekund Hapa skróciło się do dwunastu. Tym razem usłyszeli dudnienie wirnika, zanim zobaczyli samolot, wleciał w wąwóz, szybko przemknął przez całą jego długość i po chwili zniknął nad stromym zboczem, migając czerwonym tylnym światłem.

— Gdyby zobaczył nas za pierwszym razem, zawróciłby i zawisł nad tym miejscem, prawda? — powiedział Miguel.

— Nie — odparł Hap. — Przeleciał dokładnie tą samą trasą w jedną i drugą stronę. Robił zdjęcia. Wydawało mu się, że zobaczył coś za pierwszym przelotem. Obejrzą teraz film z obydwu przelotów i porównają.

— Miguelu, o której wschodzi słońce? — zapytał prezydent.

— Kilka minut przed ósmą. Świta około siódmej.

Harris odwrócił się do Jose.

— Jak daleko jeszcze do Aragonu? W kilometrach i w godzinach — spytał po hiszpańsku.

— Około dwunastu kilometrów; biorąc pod uwagę, że musimy iść raczej pod drzewami i pilnować się, żeby nie zostawiać śladów, trzeba liczyć jeszcze trzy godziny.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Słychać było tylko szum wody w strumieniu i kapanie kropeł deszczu z drzew. W końcu z ciemności odezwał się Miguel.

— Jose — powiedział cicho po hiszpańsku. — Prezydent mówi dobrze w naszym języku. Mógłbyś poprowadzić ich dalej sam?

— Dlaczego? — zapytał Harris.

— Nie wiemy, co zobaczyła kamera w śmigłowcu. Może nic, a może wszystko. Jeśli jeden z nas tu zostanie i narobi dużo śladów, żeby pościg ruszył za nim, a wy pójdziecie po skałach, tak żeby nie zostawiać żadnych śladów... — Miguel urwał, a po chwili podjął: — Ścigają kilka osób, ale chcą tylko jednego, prezydenta. Hector i Amado zyskali nam trochę czasu. Może mnie się też uda tym fortem zyskać jeszcze trochę

— Miguelu, nie wiemy, co zobaczyli — powiedział prezydent.

— Sądzę, że możemy się domyślić, kuzynie.

Miguel wstał niespodziewanie i wyjął spod koca pistolet maszynowy.

— Nie będzie mi potrzebny. Jak zobaczą, że mam broń, tylko się zdenerwują. — Oddał pistolet Hapowi. — Idźcie za Jose. Spotkamy się, kiedy przyjdzie czas. Życzę wam powodzenia.

Odwrócił się nagle, rozejrzał szybko i bez słowa ruszył przed siebie. Patrzyli za nim tylko przez moment, po czym Hap odwrócił się do Harrisa.

— Panie prezydencie, niech pan powie chłopakowi, żeby ruszał dalej.

2.00

— Zaczynamy pierwszy przelot nad wąwozem.

Major piechoty morskiej George Herman Woods „Woody”, trzydziestopięcioletni pilot prezydenckiego śmigłowca Marine One i ochotnik na rekonesans jednym z sześciu śmigłowców bojowych, wysłanych na nocną akcję ratunkową w poszukiwaniu prezydenta, stał w centrum dowodzenia obok Billa Straita, Jamesa Marshalla oraz kapitan Diaz i oglądał film zarejestrowany przez kamerę podczas dwukrotnego przelotu przez niebezpieczny wąwóz wzdłuż bystrego nurtu górskiego strumienia.

— Lecimy nad wodą, wolniej, proszę — powiedział Woods. Technik Secret Service posłusznie zwolnił odtwarzanie nagrania. — To ten obszar tutaj, światło pada trochę z boku, ale... proszę zatrzymać.

Technik zatrzymał obraz. Na zdjęciu widać było coś, co przypominało strzępy odblaskowego materiału leżące w wodzie.

— Teraz proszę powoli do przodu — dyrygował Woods. — Tu widać gałąź drzewa. Nie rusza się. Nie rusza się również to, co leży w wodzie. Prąd jest dosyć szybki, gdyby to były torby na śmieci albo plastik, płynęłyby z nurtem. Proszę drugie nagranie. Ten sam obszar.

Technik wystukał coś na klawiaturze i na monitorze pojawił się zapis z drugiego przelotu Woodsa.

— Wolniej — polecił major, kiedy śmigłowiec na filmie zbliżył się nad wyznaczony rejon. Tym razem reflektor samolotu oświetlał dokładnie miejsce, gdzie poprzednio widać było leżące w wodzie przedmioty. — Stop. — Technik zatrzymał film. Woda w tym samym miejscu była czarna. Odblaskowy materiał zniknął. — Za pierwszym razem coś tam wyraźnie leżało. Kiedy wróciłem, znikło.

— Powiększcie obraz — powiedział Strait i popatrzył na Woodsa. — Co o tym myślisz?

— Myślę, że powinniśmy tam wrócić i to szybko.

— Woody — powiedział Strait — powinienes o czymś wiedzieć. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Hap jest z prezydentem.

— Co takiego?

— W tunelach towarzyszył prezydentowi człowiek odpowiadający jego rysopisowi. Usiłowałem go złapać przez telefon i blackberry, ale na próżno. Nie mamy pojęcia, co jest grane.

— Chyba nie podejrzewasz, że w coś się wplątał?

— Woody, niczego nie wiemy. Znajdź ich, tylko bądź cholernie ostrożny. Naszym najważniejszym celem jest prezydent.

— Rozumiem.

136

2.22

Szli we czterech stromym zboczem pod gęstym baldachimem drzew, kiedy zobaczyli trzy śmigłowce bojowe. Nadleciały na dużym pułapie, po czym raptownie opadły i znikły im z oczu po drugiej stronie strumienia, mniej więcej półtora kilometra dalej. Minutę później znowu się wzniosły i ruszyły powoli, jeden za drugim wzdłuż potoku. Reflektory punktowe omiały skrupulatnie cały teren dookoła.

— Wysadzili oddziały naziemne — stwierdził Hap.

Prezydent spojrział szybko na Jose.

— Którędy dalej pójdziemy? — zapytał po hiszpańsku.

— Na szczyt tego wzgórza, a potem w dół jakieś dwadzieścia minut.

Później znowu przejdziemy na drugą stronę strumienia.

— To wtedy będziemy na odkrytej przestrzeni, tak jak mówiłeś?

— Tak

— Jak długo?

— To jakieś dwieście metrów. Potem znowu wejdziemy na skalisty teren i do lasu. To już będzie zejście do Aragonu.

— Jak daleko potem?

— Chce pan iść szybko, tak?

— Tak.

— W takim razie zejdziemy żlebem między skałami. Couloir, jak go nazywają Francuzi. To skała łupkowa i bardzo stroma, ale zaoszczędzimy w ten sposób trzy kilometry i prawie czterdzieści minut. W dodatku góry są tam wysokie, więc teren jest za trudny dla helikopterów.

Prezydent popatrzył na Hapa i Martena i przetłumaczył to, co powiedział Jose. Potem zapytał:

— Rzykujemy zejście po ciemku tym żlebem? Tym couloir?

— Niech pan zadecyduje, panie prezydencie — odparł Nicholas. Harris odwrócił się do Hapa.

— Jak pańskie ramie?

— Nic mi nie jest. Idźmy do żlebu.

— Chce pan wziąć następną tabletkę?

— Nie — powiedział Hap. — Albo... tak, poproszę.

— Panie prezydencie — rzekł cicho Marten. — Do tej pory nie mieliśmy okazji odpocząć. Zaczynamy padać z nóg, nie tylko Hap, ale my wszyscy. Musimy zaryzykować i trochę odsapnąć, w przeciwnym razie nie damy rady.

— Ma pan rację. — Harris spojrział na Hapa. — Pan ustala rozkład jazdy. Jak będzie pan gotowy, proszę powiedzieć.

— Tak jest, panie prezydencie.

2.32

— Jestem gotowy — powiedział Hap i poderwał się na nogi.

Pozostali też się podnieśli i już zamierzali iść, kiedy powstrzymał ich Marten.

— Hap, przepraszam, że wkraczam w twoje kompetencje, ale mamy za zadanie doprowadzić prezydenta do Aragonu, aby mógł stanąć przed tym zgromadzeniem i powiedzieć, co wie. Zadaniem waszego pilota, Woody'ego, podobnie jak wszystkich ludzi, których tu ściągnięto, jest znaleźć go i wywieźć stąd w cholerę.

— Do czego zmierzasz? — spytał Hap.

— Masz swojego sig sauera i pistolet maszynowy. Daj mi jeden.

Hap zawahał się, po czym sięgnął do pasa pod mylarowym kocem, wyjął dziewięciomilimetrowego sig sauera i wręczył go Nicholasowi.

— Wiesz, jak się z nim obchodzić?

— Wiem.

137

POCIĄG NUMER 243 Z PARYŻA DO BERLINA. 2.48

Victor siedział na swoim miejscu w przedziale pierwszej klasy. Nie mógł zasnąć. Naprzeciwko niego młoda kobieta czytała książkę, jej delikatne rysy oświetlała lampka zamontowana nad fotelem. Rozejrzał się po innych miejscach. Poza jeszcze jedną zapaloną lampką w przedziale było ciemno, reszta pasażerów spała.

Dziewczyna naprzeciwko przewróciła stronę i czytała dalej, najwyraźniej nieświadoma, że Victor ją obserwuje. Nie była szczególnie

atrakcyjna, ale na swój sposób — w pozie, w jakiej czytała, w ruchu ręki, kiedy jednym palcem przewracała kartkę — intrygująca. Pomyślał, że ma dwadzieścia pięć lat, może trochę więcej. Nie widział na jej palcu obrączki, zastanawiał się, czy jest mężatką, tylko nie nosi obrączki, czy też nie ma męża lub jest rozwiedziona. Obserwował ją przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił wzrok i zapatrzył się bezmyślnie w półmrok.

Zrobił to celowo, aby nie zauważyła, że się na nią gapi, i nie poczuła nieswojo. Mimo to nie mógł przestać o niej myśleć. Pociąg miał dojechać do Berlina za niecałe pięć godzin. Co się stanie później? Czy ma przyjaciół, rodzinę, kogoś, kto wyjdzie po nią na stację? Czy jest samotna? Czy ma pracę, dom, czy ma w ogóle dokąd iść?

Poczuł nagle przemożną potrzebę, aby ją chronić, zupełnie jakby była jego żoną albo siostrą, albo nawet córką. Wtedy właśnie po raz pierwszy uprzytomnił sobie, co tu robi. Przecież wysłano go, aby chronił takich ludzi jak ona przed czymś, co się może zdarzyć. Aby był „siłą zapobiegawczą”.

Dlatego właśnie zrobił w Waszyngtonie to, co mu kazali; dlatego tak, jak prosił Richard, przeszedł obok miejsca, gdzie terroryści podłożyli bombę na stacji Atocha w Madrycie; dlatego zabił dzokejów w Chantilly i dlatego Richard wysłał go tym pociągiem do Berlina, a potem do Warszawy, gdzie przyrzekł mu, że dokona największego dzieła w swoim życiu. Obiecał, że jeśli zrobi wszystko dokładnie według wskazówek, poczyni ogromny krok w kierunku powstrzymania szalejącego terroryzmu. Zdawał sobie sprawę, że okoliczności będą trudne i skomplikowane, nawet niebezpieczne, ale Victor się nie bał, nie był nawet zdenerwowany. Czuł się wręcz zaszczycony, wiedział, że jeśli mu się uda, pomoże chronić życie niewinnych ludzi na całym świecie, ludzi takich jak ta młoda kobieta czytająca książkę naprzeciwko niego.

138

3.03

Szli prawie dwa kilometry w całkowitej ciemności śliską, zdradliwą ścieżką biegnącą w dół, zanim stanęli nad brzegiem strumienia na niewielkim wzniesieniu i czekali, aż Jose zejdzie nad wodę i znajdzie najlepsze miejsce

do przejścia przez wartki nurt. Jak dotąd, nie widzieli ani śladu pościgu, uznali więc, że oddziały wysadzone przez śmigłowce bojowe nadal krążyły po wzgórzach za ich plecami, chociaż nie mogli mieć pewności.

Dziesięć minut temu śmigłowce raptownie zawróciły znad miejsca, gdzie prezydent z towarzyszami przechodzili przez strumień, i odleciały na południowy zachód. Ponieważ do tej pory nie wróciły, doszli do wniosku, że to prawdopodobnie Miguelowi udało się odciągnąć pościg z właściwej drogi i robił teraz, co mógł, aby go spowolnić.

Marten zszedł nad brzeg potoku i usiłował wypatrzeć w ciemności Jose. Byłoby fatalnie, gdyby właśnie teraz ich jedyny przewodnik popełnił błąd i został porwany przez silny prąd rzeki. Prawie już doszedł do chłopaka, gdy nagle zerwał się wiatr. Na moment chmury się rozstały i wyszedł zza nich księżyc. W jego świetle Nicholas zobaczył ciemne postaci schodzące za nimi ze wzgórza. Po drugiej stronie strumienia ciągnęła się płaska, niechroniona przestrzeń, o której mówił Jose.

Podszedł szybko do chłopaka.

— Jacyś ludzie schodzą za nami ze wzgórza. Musimy jak najszybciej przeprowadzić się przez strumień i przez ten odkryty obszar po drugiej stronie, zanim księżyc znowu wyjdzie zza chmur.

3.07

Łapiąc się za ramiona, utworzyli łańcuch, aby przejść na drugą stronę wartkiego nurtu. Nawet w normalnych warunkach byłoby to trudne zadanie, a w sytuacji, gdy walczyli, aby utrzymać równowagę w środku przelewających się mas wody, a jednocześnie przez cały czas pozostać pod zasłoną mylarowych koców, prawie niemożliwe. Szli w tym samym porządku co poprzednio: pierwszy Jose, potem Marten, prezydent i na końcu Hap.

— Spójrzcie tam — powiedział Nicholas, kiedy coś ponad skalistym grzbietem wznoszącym się w górze potoku przyciągnęło jego uwagę.

Po zboczu góry prześliznęło się światło śmigłowca, po czym ruszyło wzdłuż strumienia prosto w ich kierunku. Zatrzymało się na dłuższą chwilę w miejscu, gdzie odpoczywali, a gdzie teraz kilkunastu ludzi w mundurach biegło w stronę wody.

— Jose, szybko! — krzyknął prezydent.

Chłopak rzucił się przed siebie jak oparzony. W ciągu kilku sekund był na drugim brzegu i pomagał pozostałym wydostać się z wody. Potem skrzył i pobiegł po płaskiej, otwartej przestrzeni, aż wpadł między drzewa. Ułamek sekundy później światło śmigłowca omiało już miejsce, gdzie przeprawiali się przez strumień. Nagle poderwało się gwałtownie i przesunęło po odkrytym terenie, który przed chwilą zostawili za sobą, i padło na drzewa, gdzie się schronili. Potem znowu przemknęło po powierzchni potoku i wróciło na wzgórze. Nieco wyżej pojawiły się dwa następne helikoptery. Przelatywały właśnie na drugą stronę strumienia, ich reflektory tańczyły po powierzchni wody i zboczu po drugiej stronie.

3.13

Wdrapywali się po stromych, niebezpiecznych głazach w gęstym lesie. Jose obejrzał się za siebie i przystanął, żeby zaczekać, aż dogonią go pozostali. Wszyscy ledwo żyli. Nogi mieli jak z gumy, dyszeli ciężko, z trudem łapiąc powietrze pod mylarowymi kocami. Każdy krok stawiali z ogromnym wysiłkiem.

3.15

Przycupnęli u podnóża wysokiej skały, pod zadaszeniem ze zwalonego drzewa, opierającego się o głaz. Kilka sekund później dokładnie nad ich głowami przeleciał helikopter bojowy, jego oślepiający snop reflektora śmigał po skałach, przenikał przez korony drzew i rzucał na ziemię wielkie cienie. W ślad za tamtym podążał drugi śmigłowiec, a dalej trzeci.

— Esta manera! Tędy! — zawołał Jose, gdy tylko minął ich ostatni samolot.

W mgnieniu oka poderwali się z powrotem na nogi i poszli dalej.

3.17

— Esta manera! — krzyknął drugi raz i szybko skrzył ze ścieżki, aby się wcisnąć w szczelinę między dwiema wysokimi kolumnami piaskowca.

Inni poszli za jego przykładem.

— Mówią na to Diabelski Stok. Jest bardzo wysoki i stromy. Udawajcie, że to zabawa i że macie zawiązane oczy. Po prostu idźcie za moim głosem i zjeżdżajcie! — powiedział po hiszpańsku.

Prezydent szybko przetłumaczył jego słowa.

— Okay? — spytał Jose.

— Idź — odparł prezydent.

— Si.

Chłopak podszedł do brzegu skały i zniknął. Dochodził ich tylko z dołu odgłos szorowania po szorstkiej łupkowej skale. W górze natomiast słychać było dalekie dudnienie helikopterów.

— Pan następny, Hap — zakomenderował prezydent.

— Tak jest.

Hap skinął głową, rzucił przelotnie okiem na Martena i zrobił krok w przepaść.

Nicholas popatrzył na prezydenta i uśmiechnął się lekko.

— Dotrzymałem obietnicy. Nie umarł pan w tunelu.

— Tutaj też nie umrzemy. — Teraz z kolei prezydent uśmiechnął się nieznacznie. — Mam nadzieję.

— Ja też. Pana kolej, kuzynie. W drogę!

Prezydent kiwnął głową, po czym szybko się odwrócił i puścił w ciemność. Nicholas odczekał, aż będzie miał wolną drogę, po czym wziął głęboki oddech i podążył za pozostałymi.

3.19

Mieli wrażenie, jakby weszli do szybu windy. Tak jak powiedział Jose, stok był wysoki i dużo bardziej stromy, niż sobie wyobrażali. Ci, którzy byli wyżej, sypali kaskady żwiru na tych pod spodem.

Jose. Hap. Prezydent. Marten. Pędząc w czarną, nieodgadnioną przepaść, na zmianę na jednej nodze, to znów na drugiej, usiłowali utrzymać równowagę, podczas gdy ziemia usuwała się im spod nóg.

Nicholas uderzył o niewidoczną skalną ścianę wznoszącą się po prawej stronie, aż mu dech w piersiach zapało. Odsunął się nieco z nadzieją, że uda mu się utrzymać pośrodku i nie wpadnie z kolei na występ po prawej stronie.

Usłyszał pod spodem głuchy jęk prezydenta, który o coś uderzył. Chciał krzyknąć i zapytać, czy nic mu się nie stało, ale pędził zbyt szybko. Przestraszył się, że jeśli prezydent coś sobie zrobił, on przeleci obok i nie będzie mógł

mu pomóc. Powrót na górę nie wchodził w grę, stromy łupkowy stok nie dawał wystarczającego oparcia. Po chwili jednak doszedł go kolejny jęk prezydenta, kiedy znowu na coś wpadł, ale dzięki temu przynajmniej Nicholas uspokoił się, że Harris cały czas zsuwa się przed nim.

Nagle zahaczył o coś nogą i runął głową w dół. Zjeżdżał teraz z ogromną prędkością, rozpaczliwie wymachując rękami i szukając czegoś, co pozwoliłoby mu zwolnić. Udało mu się uchwycić prawym ramieniem jakiegoś głązu. Podciągnął się i zatrzymał. Był oszołomiony, brakowało mu tchu. Nagle zobaczył światło helikoptera przeszukujące zalesiony teren nad nimi. Przestraszył się, że lada chwila pilot coś zauważy i ruszy w dół, aby oświetlić żleb i jego podnóże, a jednocześnie zaalarmuje oddziały naziemne, które rzucają za nimi w pościg albo — jeszcze gorzej — będą na nich czekać na dole, kiedy tam w końcu dotrą. Jeżeli dotrą. Wziął jeszcze jeden oddech i stanął na nogi. A potem znowu zrobił krok w ciemność.

139

3.24

Miguel stał pod namiotem centrum dowodzenia z rękami skrzyżowanymi na piersi, naprzeciwko kapitan Diaz, Billa Straita i Jamesa Marshalla. Nieco z boku dostrzegł milczących Amada i Hectora, pilnowanych przez dwóch funkcjonariuszy CNP. Miguel z ulgą stwierdził, że wszyscy wyglądają na tak samo wycieńczonych jak on. To oznaczało, że im dłużej uda mu się przeciągać tę komedię, tym dłużej tamci nie podejmą akcji.

Hap zyskał nieco cennego czasu, wydając policji Amada i Hectora. Miguel, odłączając się, dał go uciekinierom jeszcze trochę. Obserwował światła śmigłowca ze szczytu wzgórze, a kiedy zobaczył, że helikoptery kierują się w dół strumienia, zdjął mylarowy koc i odsłonił się przed okiem satelitarnych kamer termowizyjnych. Zadziało natychmiast. W ciągu kilku sekund śmigłowce zawróciły i ruszyły prosto na niego. Nie minęła minuta, a stał w jaskrawym świetle szperaczy. Samoloty wylądowały i biegiem ruszyli ku niemu uzbrojeni mężczyźni.

Trzymany na muszce karabinów, opowiedział im swoją historijkę, potem powtórzył ją w samolocie przed funkcjonariuszami CNP i agentami

Secret Service. Teraz przymierzał się, aby opowiedzieć ją po raz trzeci. Wszystko, byle zyskać na czasie.

— No więc, słuchajcie — powiedział swoim hiszpańsko-australijskim angielskim. — Spróbuję wam to wyjaśnić jeszcze raz. Nazywam się Miguel Balius. Jestem kierowcą limuzyny, pracuję w Barcelonie. Przyjechałem odwiedzić swojego brata ciotecznego w El Borrás, ale go nie zastałem. Przywitała mnie jego żona, która odchodziła od zmysłów, bo zaginął ich syn Amado i jego kolega Hector. Nie wrócili do domu przez cały dzień, nie przyszli na kolację, nikt nie wie, co się z nimi stało, wszyscy odchodzą od zmysłów. Tylko ja wiedziałem, gdzie oni są, a w każdym razie domyślałem się. Poszli tam, gdzie nie powinni, czyli do starej kopalni. Szukają tam złota. W tych górach nie ma złota, ale nikt w to nie wierzy. W każdym razie nic nikomu nie mówiąc, wzięłem motocykl brata i przyjechałem tu. Znalazłem ich motory tam, gdzie je zawsze zostawiają. Wtedy się rozpadają. Zaczęłem ich szukać. W końcu trafiłem na jakieś ślady stóp. Zrobiło się późno. Zmarzłem i przemo- kłem do suchej nitki. Wtedy nagle bum! Z nieba spadają światła i nadlatują helikoptery. A potem wyskakują z nich ludzie z karabinami i wypytyują mnie o prezydenta Stanów Zjednoczonych. Więc im mówię, że to moim zdaniem miły facet. A oni: Co jeszcze o nim wiem? Powiedziałem, że słyszałem w wiadomościach, że go wywieziono w środku nocy z Madrytu z powodu jakiegoś zagrożenia terrorystycznego. Ani się obejrzałem, jak znalazłem się tutaj i cieszę się, bo widzę Amada i Hectora całych i zdrowych.

— Był pan w górach razem z prezydentem — oświadczył kategorycznie Bill Strait.

— To po naszych górach chodzi prezydent Stanów Zjednoczonych?

— Gdzie on jest?

— Przyjechałem szukać Amada i Hectora.

— Co pan robił z mylarowym kocem? — zapytał lodowato Strait coraz bardziej oskarżycielskim tonem.

— Szedłem w góry zupełnie sam, w nocy, w deszcz. Musiałem coś ze sobą wziąć, żeby się ochronić przed zimnem. Nic innego nie miałem.

— Pan się chciał ochronić, ale przed satelitami.

Miguel wybuchnął śmiechem.

— Biegam sobie w nocy po lesie, a wy mnie szukacie za pomocą satelitów? To bardzo ładnie z waszej strony.

— Gdzie jest prezydent? — naciskał Strait. — Kto jeszcze z nim był?

— Powiedziałem już, że przyjechałem tu szukać Amada i Hectora.
— Gdzie on jest?
Strait zbliżył twarz do twarzy Miguela i przeszył go wzrokiem.
— Prezydent?
— Tak.
— Znaczy teraz?
— Tak, teraz.
Miguel spoważniał, popatrzył Billowi Straitowi prosto w oczy i rzekł:
— Nie mam zielonego pojęcia.

140

3.30

Siedzieli wykończeni na kamienistej ścieżce u podnóża żlebu, roztrzęsieni, zdyszani i podrapani, w porozdzieranych ubraniach, ale udało im się. Policzyli się, każdy coś powiedział, dzięki czemu upewnili się, że wszyscy są przytomni i przy zdrowych zmysłach. Każdy dziękował Bogu, że wylądował cały i zdrowy.

Krążąc wysoko nad ich głowami, śmigłowce nie przestawały przeczesywać potężnymi reflektorami najwyższych szczytów i lasów iglastych na zboczach. Znaczyło to, że jak na razie siły bezpieczeństwa nie trafiły na ich trop i nie odkryły szalonej drogi do piekła, którą wybrali uciekinierzy.

Prezydent wziął głęboki oddech i popatrzył na Jose.

— Jesteś wyjątkowym młodzieńcem — powiedział po hiszpańsku. — Dziękuję ci w imieniu własnym i moich towarzyszy. Chciałbym móc cię nazywać swoim przyjacielem.

To rzekłszy, wyciągnął do niego dłoń.

Jose zawahał się przez ułamek sekundy, popatrzył na pozostałych, potem z powrotem na prezydenta. Wreszcie nieśmiały i dumny uśmiech wkradł się na jego oblicze, kiedy wyciągał rękę, aby uścisnąć prezydencką dłoń.

— Gracias, panie prezydencie. Usted es mi amigo. — Popatrzył na tamtych i skinął głową. — You es todos mis amigos.

Co znaczyło: Dziękuję, panie prezydencie. Jest pan moim przyjacielem. Wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi.

Prezydent podniósł się raptownie.

— Którędy teraz idziemy?

— Tędy.

Jose wstał i pokazał głową wąską ścieżkę prowadzącą przez wąską kamienistą dolinę. W tym momencie chmury rozstały się odrobinę i księżyc rzucił na okolicę blade światło. Oczom ich ukazał głęboki jar, zbocza i wierzchołki gór przypominające srebrny krajobraz księżycowy. Zobaczyli też żleb, którym zjechali na dno wąwozu, i aż dech im zaparło, kiedy uprzytomnili sobie, jaki był przerażająco stromy, wąski i z jakiej zawrotnej wysokości zsunęli się na sam dół. W każdej innej, normalnej sytuacji myśl, że dorosły człowiek, nie mówiąc już o czworogłowym zwierzęciu, mógł z własnej i nieprzymuszonej woli puścić się w dół po tej karkołomnej zjeżdżalni, musiała się wydać szalona, jeśli nie samobójcza. Sytuacja jednak nie była inna ani tym bardziej normalna.

Prezydent spojrzął na Jose.

— Vammos. Chodźmy — powiedział.

Jose skinął głową i poprowadził ich w głąb wąwozu.

141

5.20

Nicholas Marten stał w otwartych drzwiach małej szopy zbudowanej z kamienia i przykrytej blaszanym dachem. Hap pamiętał ten budynek ze skraju winnicy pod Aragonem ze swojego rekonesansu sprzed miesiąca, kiedy Secret Service przygotowywało się do prezydenckiej wizyty. Pozbył się nareszcie mylarowego koca i z sig sauerem zatkniętym za pas jadł garść suszonych daktyli, które znaleźli w woreczku na półce, i patrzył w niebo. Rozpogodziło się, księżyc właśnie zachodził za dalekie szczyty gór na zachodzie. Za godzinę na horyzoncie zacznie się przejaśniać, za dwie godziny będzie zupełnie widno. Słońce wjeździe pół godziny później.

Stał jeszcze przez chwilę i starał się odtworzyć w pamięci krętą ścieżkę, którą schodzili do Aragonu po opuszczeniu wąwozu pod żlebem. Jak dotąd, nie widzieli śmigłowców ani niczego, co by świadczyło, że ekipy „ratunkowe” wpadły na ich trop. Jeśli im szczęście dopisuje, to major George Herman Woods „Woody” razem z innymi pilotami w dalszym ciągu krąży nad górami

i będzie dalej krążyć, kiedy zaświta dzień. Nieważne, co zrobią później, ponieważ jeśli sprawy ułożą się tak, jak zaplanował Hap, prezydent po sforsowaniu gęstej ochrony policyjnej Aragonu będzie już przemawiał w kościele do zgromadzenia najwybitniejszych ludzi nauki i polityki z Instytutu Nowego Świata.

5.23

Odwrócił się i wszedł do środka. Jose spał skulony na podłodze obok drzwi. Metr od niego leżał Hap, również pogrążony w kamiennym śnie, maszynowy steyr spoczywał w zagięciu jego ramienia. Jeszcze dalej za nim, bezpiecznie ukryty w głębi budynku, drzemał również prezydent.

Nicholas wyjął zza pasa pistolet i usiadł w progu. Dotarli tu o wpół do piątej. Pięć minut później Hap stwierdził, że teren jest bezpieczny. Obok budynku znaleźli przymocowany do ściany wąż do podlewania, a w środku woreczek z daktylami. Usiedli więc, napili się i zjedli. Prawie natychmiast ogarnęło ich ogromne znużenie. Nicholas zaproponował, że pierwszy obejmie straż. Za piętnaście piąta ma obudzić Hapa i sam zdrzemnąć się czterdzieści minut, zanim o wpół do siódmej wyruszą w drogę, aby przed świtem przebyć ostatni kilometr prowadzący przez winnicę i na wzgórze, gdzie stały zabudowania ośrodka wypoczynkowego Aragon.

Jak dotąd, nie napotkali żadnych trudności związanych z ochroną kurortu. Hap wyjaśnił, że nie doszli jeszcze do granicy strzeżonego rejonu, który zaczynał się półtora kilometra dalej, przy żwirowej drodze przecinającej winnicę na pół i stanowiącej granicę kurortu. Przy tej właśnie drodze zaczynała się pierwsza linia ochrony, która otaczała cały wielki kompleks rekreacyjny obejmujący winnice, pole golfowe z osiemnastoma dołkami, parkingi, korty tenisowe, zalesione ścieżki spacerowe, osiemnaście budynków wypoczynkowych, w tym bungalowy, i wreszcie ich ostateczny cel podróży: stary kościół ulokowany na wzgórzu za ośrodkiem.

Cała ochrona kurortu miała liczyć pięćset osób, w większości lokalnej policji wzmocnionej przez dodatkowe siły ściągnięte z innych rejonów kraju. Kontrolę nad nimi, jak się prezydent słusznie domyślił, sprawowała hiszpańska Tajna Służba. Gdyby Harris przemawiał na konferencji zgodnie z pierwotnym planem, Hap wzmocniłby te siły dodatkową liczbą stu agentów

Secret Service. Z planu jednak zrezygnowano po tym, co się „oficjalnie” wydarzyło w Madrycie. Z tego, co Hap wiedział, sekretarz generalny Białego Domu, Tom Curran, poinformował Instytut Nowego Świata, że prezydent nie weźmie udziału w porannej mszy w Aragonie. Na to właśnie liczył Hap, ponieważ w takiej sytuacji ochrona w kurorcie nie zostanie postawiona w stan najwyższej gotowości.

Do winnicy o tej porze roku, zwłaszcza w niedzielę rano, przydzieli niewielu ludzi, jeśli w ogóle. W budynkach gospodarczych nie tylko przechowywano sprzęt potrzebny do utrzymania winnicy, pola golfowego i terenów zielonych, mieściła się tam również ogromna pralnia, gdzie czyszczono mundurów pracowników kurortu. Tak więc w pierwszym etapie planu Hapa musieli niezauważenie dotrzeć do tych właśnie zabudowań gospodarczych. Dużo trudniejsze zadanie czekało ich później: przeprowadzenie prezydenta przez następny, półtorakilometrowy odcinek na zalesione wzgórze za kurortem do czterystuletniego kościoła, gdzie miała zostać odprawiona msza Nowego Świata.

Marten zachwycał się zasobem logistycznej wiedzy Hapa, chociaż przecież na tym polegała praca i rutynowe działania szefa ochrony prezydenta przed każdą wizytą. Nicholas miał tylko nadzieję, że hiszpańskie siły bezpieczeństwa nie wprowadziły ostatnio żadnych nowych środków ostrożności, o których Hap nie wiedział.

142

5.40

Miał jeszcze pięć minut do obudzenia Hapa. Zdawał sobie sprawę, że przy takim zmęczeniu, jeśli nie będzie czujny, może zasnąć w każdym miejscu i w każdej pozycji, a wtedy wszyscy czterej spaliby kilka dni. Zaczął myśleć o swojej pracy w firmie projektowania zieleni Fitzsimmons and Justice w Manchesterze, a zwłaszcza o pilnym projekcie Banfielda. Potem pomyślał o Demi: gdzie teraz jest i co nią kierowało, kiedy wydała jego i prezydenta w ręce Merrimana Foksa w Montserrat. Jedno było pewne: prawdopodobnie nie miała zielonego pojęcia o tym, co się naprawdę dzieje, nie wiedziała nic o eksperymentach doktora, o tym, co knuli współpracownicy prezydenta. Ostatnio widział ją w restauracji w Montserrat w towarzystwie Becka, Luciany i Foksa, ale kiedy wrócił tam z Harrisem, Foxx siedział sam. Gdzie zatem

poszła Demi i pozostali? I po co? Przychodziła mu do głowy tylko jedyna odpowiedź: dziewczyna mówiła prawdę o swojej zaginionej siostrze i gotowa była zrobić wszystko, aby ją odnaleźć lub przynajmniej zdobyć informacje na jej temat.

5.44

— Kuzynie.

Nicholas drgnął i popatrzył w górę. Obok niego stał prezydent. Jego za-
rośnięta twarz wydawała się jeszcze bardziej zapadnięta i wychudzona.

— Wiem, że Hap miał przejąć wartę po panu — powiedział cicho —
ale on jest z nas wszystkich najbardziej wycieńczony. Niech pośpi. Pan też
niech idzie się zdrzemnąć.

— Jest pan pewien?

— Tak.

— Chce pan? — zapytał, wyciągając w jego stronę sig sauera.

— Tak, poproszę.

Marten podał mu pistolet.

— Dzięki. — Prezydent uśmiechnął się. — Niech pan idzie, marnuje
pan cenne minuty snu.

— Proszę uważać, w takiej sytuacji łatwo z powrotem zasnąć.

— Nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę popracować nad przemową.

143

6.30

Brzask ledwo rozświetlił nieprzenikniony mrok nocy, kiedy prezydent
odał Nicholasowi pistolet i wszyscy czterej opuścili starą kamienną szopę i
ruszyli pod górę po łagodnym, błotnistym zboczu obsadzonym rzędami wi-
norośli, która właśnie wypuszczała pączki. Pierwszy szedł Marten, potem
prezydent, za nim Hap, na końcu Jose.

Chwilę przedtem prezydent podziękował młodemu Hiszpanowi za jego
odwagę i powiedział, aby wrócił do domu, zanim sprawy przybiorą jeszcze
gorszy obrót. Jose jednak odmówił. Uparł się, że chce z nimi zostać, aby słu-
żyć im wszelką pomocą. Hap ucieszył się z takiego obrotu sprawy nie

tylko dlatego, że mógł im się przydać miejscowy chłopak, który swobodnie porozumie się z każdym pracownikiem kurortu, jakiego napotkają po drodze. Był jeszcze inny powód — w domu Jose na pewno czekali już ludzie z Secret Service, CIA albo hiszpańskiej policji, wysłani przez Billa Straita, który dowiedział się od Amada i Hectora, jak się nazywa i gdzie mieszka ich trzeci towarzysz. Gdyby go złapali, wydusiliby z niego w mgnieniu oka, dokąd poszedł prezydent. Chwilę potem w Aragonie zaroiliby się od sił bezpieczeństwa.

6.35

Marten zbliżył się do szczytu wzgórza, po czym nagle przykucnął i dał znak pozostałym, aby zrobili to samo. Tuż przed nimi wokół dziedzińca stały cztery duże drewniane budynki gospodarcze ośrodka. Na prawo, za trzema rzędami pączkujących winorośli biegła żwirowa droga, która przecinała winnicę na pół — tam zaczynał się rejon obstawiony przez ochronę.

— Co się dzieje? — szepnął prezydent.

— Słuchajcie.

Marten wystawił głowę nad szczyt pagórka i patrzył w stronę budynków. Podeszedł do niego Hap.

— Co takiego?

Nicholas dał znak, żeby padli na ziemię.

Kilka sekund później drogą powoli przejechali dwaj policjanci na motocyklach, rozglądając się na boki. Nicholas spojrział na Hapa.

— Myślisz, że jest ich więcej?

— Nie mam pojęcia.

— Dowiem się — powiedział Jose do prezydenta.

Zanim zdążyli go powstrzymać, zerwał się i pobiegł w stronę kwadratowego dziedzińca i zabudowań gospodarczych. Po chwili zniknął im z oczu.

6.43

— Nikogo więcej nie ma — poinformował po hiszpańsku Jose, klękając obok nich po powrocie. — Chodźcie szybko.

Poprowadził ich obok rzędów winorośli na zwirową drogę. Potem pobiegli dalej, niczym cienie w bladym świetle świtu. Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Trzydzieści, dziesięć i wreszcie byli na miejscu. Jose otworzył boczne drzwi jednego z budynków i weszli do środka.

6.46

Znaleźli się w ogromnym garażu kurortowego taboru. Niedaleko wejścia, zaparkowane jeden za drugim, stały cztery pick-upy, cztery duże traktory, sześć trzykołowych ciągników z naczepami, cztery wielkie kosiarki do pól golfowych i cztery elektryczne wózki bagażowe. Po drugiej stronie, przy suwanych drzwiach, zauważyli jeszcze zakurzoną zieloną toyotę vana, która wyglądała, jakby nikt nią nie jeździł od miesiący.

— Pilnujcie drzwi — powiedział Hap i podszedł do wózków z nadzieją, że chociaż w jednym znajdzie kluczyk w stacyjce.

— Tutaj.

Nicholas otworzył szafkę przy drzwiach wejściowych do biura. W środku w równych rzędkach wisiały kluczyki do wszystkich pojazdów w garażu. Trzy minuty zajęło im znalezienie kluczyków do pierwszego wózka. Hap zdjął je szybko z kołka i poszedł uruchomić pojazd. Zapalił za pierwszym razem, a zielona lampka wskazywała, że baterie są w pełni naładowane.

Pół minuty później przekradali się ostrożnie w stronę budynku z pralnią. Niebo rozjaśniło się jeszcze bardziej, ciemność, która przez tyle godzin dała im osłonę, opadła i świt nadchodził teraz błyskawicznie.

Zostawili Jose na straży przy drzwiach i weszli do głównej hali pralni. Środek sali zajmowały trzy ogromne pralnice, podobne do kadzi, a pod tylną ścianą stały w szeregu suszarki. Z okna w ścianie naprzeciwko widać było pozostałe budynki gospodarcze. Po drugiej stronie hali ustawiono maglownice, a za nimi stalowe wieszaki z rzędami mundurów i służbowych ubrań pracowników kurortu. Wisiały ułożone rozmiarami, jak przystało na pięciogwiazdkowy ośrodek zatrudniający dwieście osób obsługi, którym należało zapewnić czyste i nienagannie wyprasowane uniformy.

— Un hombre está viniendo. Idzie jakiś mężczyzna — rzucił od drzwi Jose i szybko się schylił, aby go tamten nie zauważył.

Prezydent dał znak Hapowi i Martenowi i wszyscy trzej ukryli się za maglownicami. Hap wstrzymał oddech i wyjął steyra. Nicholas uniósł się sauera gotowego do strzału.

Chwilę później do pralni wszedł potężny, kędzierzawy mężczyzna w białych spodniach i białym T-shircie. Zapalił górne światła, po czym podszedł do deski rozdzielczej i zaczął wciskać guziki. Prawie natychmiast pralnice zaczęły nabierać wody. Mężczyzna nastawił temperaturę, a następnie podszedł do uruchomionych urządzeń i zajrzał do środka. Najwyraźniej usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, odwrócił się i wyszedł. Hap odczekał chwilę i ostrożnie wyjrzał przez okno. Zobaczył, że pracownik pralni idzie w kierunku sąsiedniego budynku. Kiedy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, szybko odwrócił się do pozostałych.

— Niedługo wróci. Musimy się pospieszyć.

144

7.00

Doktor James Marshall przyglądał się, jak kapitan Diaz i jeden z hiszpańskojęzycznych ludzi Billa Straita przesłuchują Miguela w głębi centrum dowodzenia. Pytania padały to po hiszpańsku, to po angielsku, potem znowu po hiszpańsku i z powrotem po angielsku. Dosłownie pół metra od nich siedzieli na składanych krzesłach zdenerwowani Amado i Hector, zakuci w kajdanki, pilnie strzeżeni przez obojętnych strażników z CNP. Bill Strait posadził ich tu w charakterze świadków przesłuchania Miguela, licząc, że jeśli Balius się nie złamie, to jeden z chłopców na pewno.

Nagle James Marshall odwrócił się od przesłuchiwanego i podszedł do Billa Straita.

— On im niczego nie powie.

— Powie, a jeśli nie on, to któryś z chłopaków. Ale to potrwa, więc nie liczyłbym na szybkie efekty.

Marshall był zmęczony, zły i sfrustrowany. Zaczynał się też poważnie niepokoić i wcale się z tego nie cieszył, bo czuł się jak Jake Lowe.

— Mamy hiszpańskiego kierowcę limuzyny mówiącego z australijskim

akcentem i dwóch miejscowych wyrostków. Mamy też faceta, który wygląda jak Hap Daniels, i może nawet jest Hapem Danielsem, i chodzi razem z prezydentem i Nicholasem Martenem. Mamy najnowocześniejszy sprzęt, armię ludzi i śmigłowce, które cały czas krążą nam nad głowami, i mamy biały dzień. I w dalszym ciągu nie możemy ich znaleźć. Dlaczego?

— Może dlatego, że jednak nadal są gdzieś w tunelach — powiedział Strait. — Albo w ogóle ich tu nie ma.

— Co to niby ma znaczyć, do cholery?

Strait odwrócił się i podszedł do mapy obszaru.

— To jest teren, na którym do tej pory ich szukaliśmy — rzekł, zataczając ręką koło nad górskimi szczytami. — To jest Aragon. — Pokazał ręką na prawo. — Tutaj według pierwotnego planu prezydent miał wygłosić przemówienie.

Marshall się nagle ożywił.

— Myśli pan, że tam właśnie idzie?

— Niewykluczone. Wiem, że tu go nigdzie nie znaleźliśmy, a był w tunelach i jeśli się jakoś wydostał i poszedł w góry, nieważne z Hapem czy bez... — Przerwał z wahaniem i dopiero po chwili ciągnął: — Nie wiem, co on myśli. Ale Opryskiwacz na pewno pamięta, że w Aragonie mieli się zebrać ważni ludzie, którzy na pewno by go wysłuchali. Nie mam pojęcia, jak by miał się tam dostać, po prostu myślę na głos.

Marshall odwrócił się, podszedł z powrotem do kapitan Diaz i odciągnął ją na bok.

— Czy jest możliwe, że prezydent po wyjściu z tunelu wydostał się z tych gór i poszedł do Aragonu?

— I nie został wykryty przez satelitę?

— Może miał koc z mylaru, tak jak ten kierowca. Może to właśnie ich widzieliśmy w strumieniu na filmie ze śmigłowca? Prezydent, Hap Daniels i Marten okryci mylarowymi kocami?

— Sugeruje pan, że przeszedł całą drogę na piechotę w górach, w deszczu i po ciemku?

— Tak.

Kapitan Diaz uśmiechnęła się.

— Nieprawdopodobne.

— Czy to jest możliwe, pani kapitan? — wycedził lodowatym tonem Marshall.

— Musiałby być szalony i znać drogę. Wtedy może bym przyznała, że jest to możliwe.

7.03

Mieli na sobie ubrania robocze pracowników terenów zielonych: ciemnozielone koszule z logo Ośrodek wypoczynkowy Aragon, wyszytym białymi niemi na lewej kieszeni na piersi, i jaśniejsze, ale również zielone spodnie. Własne ubrania wrzucili do pojemnika na śmieci stojącego na tyłach garażu. Z całej czwórki tylko prezydent zachował jedną osobistą rzecz, którą wetknął do kieszeni spodni i której miał zamiar użyć, kiedy będzie przemawiał do zgromadzenia Instytutu Nowego Świata. Coś, dzięki czemu zostanie natychmiast rozpoznany pomimo stroju ogrodnika i całkiem sporej brody. Tupecik.

Jose stał przy wejściu i wyglądał na zewnątrz. Marten podjechał wózkiem elektrycznym pod drzwi i poczekał, aż wszyscy wsiądą. Harris zajął miejsce obok Nicholasa, Hap usiadł z tyłu z pistoletem maszynowym w rękę i garścią rekwizytów, takich jak grabie, miotły, plastikowe kubły na śmieci, czymś jeszcze, co Hap wziął ze sobą, bo uznał, że może się kiedyś przydać: lornetką znaną na biurku, prawdopodobnie kierownika magazynu.

— Nie widać go? — zapytał prezydent po hiszpańsku.

Jose pokręcił głową, a po chwili nagle powiedział:

— Si. — Obejrzał się za siebie. — Mężczyzna ubrany na biało właśnie wszedł z powrotem do pralni — oznajmił po hiszpańsku.

Prezydent przetłumaczył jego słowa.

— No to jedziemy — zakomenderował Hap.

Jose odsunął drzwi, Marten wyjechał wózkiem na dwór i zaczekał, aż chłopak zamknie z powrotem bramę. Dziesięć sekund później Jose wskoczył obok Hapa i ruszyli. W milczeniu minęli zabudowania gospodarcze i wjechały na żwirową drogę, która biegła wzdłuż pola golfowego, a potem, wijąc się dwa kilometry przez las, w stronę kościoła.

7.12

Zatrzymali się na szczycie wzgórza pod osłoną rozłożystego drzewa iglastego. Po raz pierwszy po drugiej stronie winnicy i pola golfowego zobaczyli ośrodek wypoczynkowy Aragon. Przed eleganckim głównym budynkiem ozdobionym białymi stiukami stało siedem błyszczących czarnych

autokarów z mocno przyciemnianymi szybami. Przywieziono nimi w piątek członków Instytutu Nowego Świata z lotniska w Barcelonie i nimi również zostaną odwiezieni wkrótce po zakończeniu mszy porannej.

W pewnej odległości czekało kilkanaście czarnych SUV-ów należących do hiszpańskiej Tajnej Służby, które miały eskortować członków kongresu do kościoła, a potem na lotnisko. Jeszcze dalej widać było mnóstwo radiowozów blokujących drogę dojazdową z autostrady do ośrodka. Samochody policyjne stały również co pół kilometra na żwirowej drodze przecinającej winnicę. Wszystko przygotowano tak, jak się tego spodziewał Hap.

Wysoko nad ośrodkiem, na szczycie długiej, krętej asfaltowej drogi, mogli już rozróżnić kamienne mury i czerwone dachówki romańskiego La Iglesia de Santa Maria, czyli kościoła Najświętszej Marii Panny.

— To ten? — spytał prezydent.

— Tak — odparł Hap.

Harris powoli wypuścił z piersi powietrze. A więc byli już tak blisko.

146

7.17

Żwirowa droga kurortu poprowadziła ich najpierw wokół pola golfowego, potem raptownie w dół do polany z rzadka porośniętej drzewami, a następnie znowu stromo pod górę między rozłożystymi iglakami w stronę kościoła. Nicholas właśnie skręcał i zastanawiał się, co zrobią, kiedy podjadą pod tylne wejście do kościoła, gdy nagle odezwał się Hap, który obserwował okolicę przez lornetkę.

— W naszą stronę jedzie patrol, musimy usunąć im się z drogi — rzucił szybko.

Marten podjechał jeszcze kilkanaście metrów, po czym gwałtownie skręcił między drzewa i zatrzymał się za niskim kamiennym murkiem.

Hap uniósł pistolet. Nicholas również wyjął zza pasa broń. Siedzieli i obserwowali, jak policyjny samochód jedzie z góry w ich stronę. Kiedy się zbliżył, zwolnił, po chwili jeszcze bardziej. W środku siedziało czterech umundurowanych policjantów, wszyscy patrzyli w ich stronę.

— Nic tu nie ma, nic tu nie ma. Jedźcie dalej — szeptał Marten.

Radiowóz zwolnił jeszcze bardziej i przez chwilę byli pewni, że się zatrzyma, ale nie — przetoczył się powoli obok nich i pojechał dalej.

— Grzeczni chłopcy — powiedział Nicholas.

— Poczekajcie jeszcze chwilę, niech się bardziej oddalą.

Hap odłożył pistolet i wziął do ręki lornetkę. Przez jakiś czas obserwował odjeżdżający radiowóz.

— To jest wysypisko śmieci — oznajmił ni stąd, ni zowąd prezydent, rozglądając się dookoła. — Rekultywowane, przykryte ziemią. Obserwowałem ten teren od dłuższego czasu. To dawne zwałowisko. Rozejrzyjcie się, większość drzew jest bardzo młoda: ma piętnaście najwyżej dwadzieścia lat.

— Cały kurort ma zaledwie dwadzieścia lat. — Hap nie odrywał oczu od lornetki. — Prawdopodobnie zrównywali teren i obsadzali go na nowo.

— Poza jedną rzeczą: kościołem. Jak postawisz czterystuletni kościół na dwudziestoletniej hałdzie śmieci?

— Ponumeruję kamienie, rozbiorę je i zbuduję na nowo identyczny, tylko w innym miejscu — powiedział Marten.

— Tylko po co? I gdzie był przedtem?

— Oho — przerwał im Hap.

— Co się dzieje?

Prezydent odwrócił się w stronę, w którą Daniels patrzył przez lornetkę.

— Następny patrol.

Drogą z przeciwnej strony nadjeżdżał następny radiowóz. Samochód, który ich przed chwilą minął, zatrzymał się przy tamtym i kierowcy zaczęli ze sobą rozmawiać.

— Co robimy? — spytał prezydent.

— Nic. Jeśli się ruszymy z miejsca, natychmiast nas zauważą.

— To znaczy, że tu czekamy?

— Tak, panie prezydencie. Na razie musimy czekać.

147

7.25

Czterech mnichów w czarnych habitach wyprowadziło Demi z jej celi i powiodło tonącym w półmroku pustym korytarzem. Miała na sobie tylko sandały i szkarłatną suknię, którą wczoraj przyniosła jej Cristina, aby włożyła ją na wieczorną ceremonię. Nie poruszyło jej nawet to, że musiała się rozebrać do naga w obecności zakonników, aby się przebrać. Jakie to miało

znaczenie, skoro prowadzili ją na śmierć?

7.28

Pierwszy mnich przeciągnął kartę magnetyczną przez elektroniczny czytnik przy stalowych drzwiach. Drzwi się rozsunęły i weszli do następnego korytarza. Po obydwu stronach otwarte drzwi prowadziły do niewielkich pomieszczeń wyglądających na gabinety lekarskie. Wszystkie były do siebie podobne, małe i wszędzie na ścianach wisały ciemne szklane skrzynki, takie, jakie służą do oglądania zdjęć rentgenowskich. Na środku każdego pokoiku stał obojętnie metalowy stół do badania.

7.29

Przeszli przez następne drzwi zamknięte na zamek elektroniczny i znaleźli się w sali zastawionej piętrowymi metalowymi pryzkami poustawianymi jedne na drugich po cztery, tak że sięgały do sufitu po obydwu stronach głównego przejścia na całej długości sali. Tym sposobem mogło tu spać bez trudu dwieście osób.

W następnym korytarzu zobaczyła wspólne toalety i prysznice. Za nimi mieściła się kuchnia, która wyglądała jak zwykle tego typu pomieszczenia w niewielkich restauracjach, a za nią stołówka z metalowymi stołami i ławami przymocowanymi do podłogi. Wszędzie było pusto, ani żywej duszy w korytarzach i salach, jakby szła przez ul, który po okresie wzmożonej aktywności został nagle porzucony i opustoszał.

7.31

Mnisi przeprowadzili ją przez kolejnych pięć drzwi, zabezpieczonych takimi samymi zamkami elektronicznymi jak poprzednie i oddalonymi od siebie niecałe trzy metry. Wreszcie weszli do długiego, ciemnego tunelu, jakby znaleźli się nagle w podziemiach, z pojedynczą szyną biegnącą samym środkiem. Przed sobą Demi zobaczyła środek lokomocji przypominający wielkie sanie, otwarty, z trzema rzędami ławek. Na ostatniej ławce siedziało

ramię przy ramieniu czterech mnichów, a przed nimi jedna osoba. Demi wstrzymała oddech, kiedy w samotnej kobiecie rozpoznała Cristinę.

Dziewczyna miała na sobie tę samą białą suknię co wczoraj i na widok Demi uśmiechnęła się przyjaźnie, a nawet radośnie.

Demi natychmiast usiadła obok niej. Pozostali zakonnicy zajęli miejsca przed nimi. Dziewięciu mnichów eskortowało dwie kobiety w drodze do wieczności.

Sanie ruszyły nagle i szybko, po cichu zaczęły nabierać prędkości. Minęła sekunda, dwie, wreszcie Cristina odwróciła się do swojej towarzyszki i uśmiechnęła. Demi nigdy w życiu nie widziała równie przerażającego uśmiechu, a to dlatego, że był tak ciepły, prawdziwy i dziecięcy.

— Dzisiaj udamy się w podróż śladem wołu — powiedziała podniecona, jakby czekała je wspnięcia przygoda.

— Cristino, musimy stąd uciekać — szepnęła Demi.

— Nie! — Cristina odskoczyła od niej jak oparzona. W jej oczach błyszczał bezdenny, niesamowity mrok. — Musimy iść. Obydwie. Tak było zapisane w niebie od stworzenia świata.

Sanie zaczęły zwalniać i Demi zobaczyła, że zbliżają do końca tunelu. Mnisi podnieśli się z ławek i po chwili wyprowadzili obydwie kobiety na platformę, przy której się zatrzymali. Otworzyły się duże drzwi, przez które Demi i Cristina weszły do sporego pomieszczenia z wielkim piecem stojącym na samym środku.

Demi zabrakło powietrza, kiedy uprzytomniła sobie, gdzie się znalazły. Całe to pomieszczenie było krematorium! Tutaj wszystko się kończyło.

— Wół czeka w płomieniach — powiedziała Cristina z uśmiechem.

Zaraz potem czterej mnisi wyprowadzili ją z pomieszczenia, a pozostali czterej zakonnicy powiedli Demi do pokoju, gdzie czekała Luciana. Miała na sobie czarny habit, czarne włosy tak samo związane w ciasny kok jak poprzedniego wieczoru i taki sam teatralny makijaż biegł niczym sztylety od kącików oczu aż do uszu. Z koniuszków palców znowu sterczały jej odrażające szpony.

— Usiądź.

Luciana wskazała Demi jedyne krzesło ustawione na samym środku w pokoju.

— Po co?

— Abym mogła cię uczesać i umalować.

— Uczesać i umalować? — powtórzyła Demi z niedowierzaniem.

- Tak.
 - Po co?
 - Musisz być piękna.
 - Żeby umrzeć?
- Na twarzy Luciany zamajaczył okrutny uśmiech.
- Tego wymaga tradycja.

148

7.48

Z sig sauerem na kolanach Marten ostrożnie prowadził wózek elektryczny na ostatnim półkilometrowym odcinku zwirowej drogi wijącej się w kształcie litery S przez gęstą kępę drzew iglastych. Między pniami prześwitywał już kościół i mały zadrzewiony parking przed tylnym wejściem. Hap zerknął do tyłu. Na razie nikt za nimi nie jechał. Musieli bardzo długo czekać, zanim policyjne samochody odjechały i mogli ruszyć dalej, nawet jednak po tym, jak Hap dał Martenowi znak, że droga jest wolna, cały czas bacznie się rozglądał na wszystkie strony. Radiowozy wprawdzie na razie odjechały, ale najwyraźniej miały za zadanie patrolować ten teren i w każdej chwili mogły wrócić.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca musnęły właśnie wierzchołki gór za ich plecami, kiedy Nicholas wjechał wreszcie na parking i stanął obok trzech małych furgonetek stanowiących własność kościoła.

— To pewnie samochody duchownych przygotowujących się do odprawienia mszy — powiedział Hap, wskazując auta. — Powinni być w głównej części kościoła. Tymi drzwiami wchodzi się do środka i schodami na górę.

Rozejrzał się szybko, po czym dał znak pozostałym i wszyscy czterej wysiedli z wózka, starając się sprawiać wrażenie, jak gdyby było to ich najzwyczajniejsze pod słońcem miejsce pracy. Wzięli grabie, miotły i kosze na śmieci i postawili je przy drzwiach, udając, że przygotowują się do zwykłych, codziennych zajęć.

Teren był tu wyższy niż przed głównym wejściem do świątyni, dzięki czemu wyraźnie widzieli główny parking i długą, krętą drogę prowadzącą z winnicy i zielonych terenów ośrodka rozciągających się w dole.

— Uważaj na drzwi — powiedział Hap do Martena.

Potem wziął lornetkę i wszedł na niewielki pagórek, skąd mógł widzieć wszystkie jednostki policji strzegące pobliskich dróg. Przeniósł lornetkę na główny parking ośrodka i tam zobaczył SUV-y hiszpańskiej Tajnej Służby, zajmujące właśnie miejsca wokół czarnych błyszczących autokarów, a także rząderek delegatów Instytutu Nowego Świata wsiadających do pojazdów. Zmarszczył ze zdziwieniem brwi.

— Dziwne, ludzie, którzy wsiadają do autokarów, mają na sobie stroje wieczorowe, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

— Co takiego? — Podszedł do niego prezydent. Hap podał mu lornetkę. — Stroje wieczorowe na poranną mszę ekumeniczną? Wspominali panu o tym na odprawach?

— Nie — odparł Hap.

Prezydent pokręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie.

7.50

Na czatach zostawili Jose, który oczyszczał klomb z suchych liści, a sami ostrożnie weszli tylnymi drzwiami do kościoła.

Hap poprowadził ich wąskim korytarzem ze ścianami z wapienia. Na prawo otwarte drzwi prowadziły do jakiegoś gabinetu, a za nim pięły się schody, którymi prezydent miał wejść na mównicę. Jeszcze kilka metrów i Hap skręcił w lewo na schody prowadzące w dół do magazynku, gdzie jego zdaniem mogli bezpiecznie poczekać na rozpoczęcie mszy.

W połowie drogi klatka schodowa zataczała szerokie półkole, jak gdyby okrążała jakąś wieżyczkę lub inny okrągły element architektoniczny. Było to dość dziwne rozwiązanie, jak na taki stary kościół, nawet jeśli był rekonstruowany. Prezydent również to zauważył i skomentował.

— W budowli postawionej zasadniczo na planie prostokąta nie powinno być takich okrągłych ścian jak ta — powiedział zdziwiony, a nawet wręcz zafascynowany.

— I nie pokazywały jej plany, które dostaliśmy od władz kurortu — zauważył Hap. — Hiszpańska Tajna Służba też o tym nie wspominała.

Prezydent przyjrzał się jeszcze raz uważnie okragłej ścianie, po czym porzucił ten temat, kiedy zeszli na sam dół do piwnicy i ruszyli korytarzem, gdzie otwarte drzwi po obydwu stronach prowadziły do różnych pokoi i sal. Na jednych zamkniętych widniał znaczek WC.

— To sale spotkań, wykładowe i toaleta — oznajmił Hap.

Zatrzymał się przed innym, zamkniętym wejściem i nacisnął klamkę.

— Tutaj — powiedział.

Zapalił światło i weszli do małego schowka. Na półkach po obu stronach leżały środki czyszczące i materiały biurowe. Na ścianie naprzeciwko wejścia nad stołem roboczym starannie porozwieszano na kołczkach i wieszaczkach młotki, klucze francuskie, obcęgi, śrubokręty, ręczne wiertarki, lampki podłączane do kontaktu i kilka wysłużonych latarek. W rogu stało kilkanaście kartonowych pudeł z napisami *Biblias Santas* — Pismo Święte.

Hap zaniknął drzwi i spojrzął na zegarek.

— Jest siódma pięćdziesiąt sześć — powiedział, patrząc na prezydenta.

— Nie wiem, czy pański przyjaciel, rabin Aznar, ma rozpocząć mszę, tak jak było planowane, ale powinno to nastąpić dziesięć po ósmej. Tajna Służba przeszuka kościół tuż przed wejściem ludzi. Nie chcę tam wchodzić na oślep i czekać w korytarzu, zanim wszyscy się usadowią i zamkną drzwi. Może i by się nam udało przekonać Hiszpanów, ale to mało prawdopodobne, zwłaszcza jeśli dostali rozkazy z Madrytu. Wyprowadzą pana bez dyskusji i będą przekonani, tak jak wszyscy tamci, że robią najślusniejszą rzecz pod słońcem. Kiedy rozpocznie się uroczystość, ochrona trochę odpuści. Wtedy wyjdziemy.

— Skąd będziemy wiedzieć, kiedy odpuszczają? Nie możemy postawić tam nikogo na czatach, nawet Jose.

— Na końcu korytarza jest pokój nadzoru wideo. Monitory wyświetlają obraz z dwudziestu kamer rozmieszczonych w całym kościele i na parkingu, później przesyłany jest do centrum ochrony w ośrodku. Kłopot w tym, że to pomieszczenie jest zamknięte elektronicznie. Gdyby udało mi się tam dostać, moglibyśmy widzieć wszystko, co się dzieje w kościele i na zewnątrz. Ale otwarcie drzwi zajęłoby sporo czasu. Jeśli w ogóle by mi się to udało. Gdyby ktoś przypadkiem tamtędy przechodził i nas zobaczył, wezwalby ochronę.

— Hap — naciskał go prezydent. — Gdyby ktoś przypadkiem tamtędy przechodził, to jestem takim samym facetem jak wy i Jose. — Uśmiechnął się lekko i wskazał logo na swojej roboczej koszulce. — Łysawy gość, który tu pracuje.

7.58

Pokój z nadzorem wideo znajdował się w głębi korytarza, mniej więcej piętnaście metrów od magazynu, w którym się ukryli. Marten stał na czatach, plecami przyciśnięty do ściany, z się sauerem przy boku. Hap chwycił gałkę drzwi i przekreślił, ale, rzecz jasna, na próżno. Obok w ścianie widniał panel z czytnikiem kart.

— Większość tych urządzeń ma specjalny kod, którego używa wszelkiego rodzaju obsługa techniczna. Trzeba go tylko znaleźć.

Weisnął jakiś kod i spróbował pociągnąć za gałkę, drzwi jednak nie ustąpiły. Wystukał następną sekwencję. Nadal nic. W końcu potrząsnął głową i odwrócił się do prezydenta.

— Nic z tego, nie uda się nam. Musimy wrócić do magazynu i na oko ocenić czas rozpoczęcia uroczystości.

— Kuzynie — odezwał się Marten, patrząc na prezydenta. — Kiedy jechaliśmy tu do kościoła, obejrzałem się na drogę, którą przebyliśmy. Z doliny, obok budynków gospodarczych i przez winnicę biegnie droga w góry, mniej więcej do miejsca, gdzie byliśmy wczoraj wieczorem. Pociągnąłem w wyobraźni w miarę prostą linię od bramy, gdzie w tunelu kończyła się szyna kolejki jednotorowej, do tego kościoła. Jeśli Foxx kazał wykopać ten tunel mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wybudowano ośrodek wypoczynkowy, to musiał znaleźć miejsce na wywożenie ziemi. Tunel ma jakieś piętnaście kilometrów, licząc tylko tę część, która biegnie wewnątrz góry. Jeśli dociągnął go do tego miejsca, to daje następne dwanaście lub więcej kilometrów. Tak czy inaczej, musiał się pozbyć ogromnej ilości ziemi i skały. Powiedział pan, że to wzgórze jest stosunkowo niedawno utworzoną hałdą. Może to wcale nie jest wysypisko, tylko nasyp z podziemnych wykopów.

— Nie rozumiem.

— Jeśli się nie mylę, wszystko: laboratorium, tunel z kolejką jednotorową, ten kościół i cały ośrodek, wybudował Foxx. To był jego pomysł, jego projekt, nadzór i tak dalej.

— A nawet jeśli tak, to co z tego?

— Mógł oczywiście w każdym miejscu założyć zamek z innym kodem, ale z drugiej strony, po co miałby sobie komplikować życie i montować dziesięć systemów zabezpieczeń, skoro wystarczył jeden?

Kiedy to powiedział, wyjął z kieszeni kartę Merrimana Foksa, podszedł do drzwi i przeciągnął ją przez czytnik w ścianie, tak jak to zrobił poprzedniego wieczoru w laboratorium pod klasztorem.

Rozległo się ciche kliknięcie, Nicholas przekreślił gałkę i drzwi się otworzyły.

— Wygląda na to, że zainteresowania doktora Foksa były rozleglejsze, niż podejrzewaliśmy.

149

8.00

Na podłodze pokoju, który służył jako centrum nadzoru wideo, leżał dywan, ale za sprawą betonowych ścian pomalowanych na metaliczny szary kolor panowała tu atmosfera jak w bunkrze. Przed pulpitem sterowniczym stał fotel biurowy, a na ścianie naprzeciwko niego zamontowano około dwudziestu monitorów. W ścianie z boku widać było duży stalowy prostokąt pomalowany na ten sam kolor co reszta pokoju. Dopiero po chwili zorientowali się, że są to drzwi z zawiasami wprawionymi tak, że tworzyły równą powierzchnię, dwoma wewnętrznymi zamkami i niczym więcej. Hap nie miał pojęcia, do czego służą ani dokąd prowadzą. Wszystko, co wiedział, pochodziło z dokumentów przysłanych przez władze kurortu do Secret Service. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, zostało na planach oznakowane jako „pokój nadzoru wideo”, a drzwi wbudowane w ścianę jako „wejście awaryjne do sterowni elektryczności”. Hap wszedł tu podczas swojego rekonesansu w kurorcie miesiąc temu, ale nie prosił wtedy o otwarcie tych drzwi. Dopiero kilka godzin przed wizytą prezydenta, przeszukując dokładnie cały teren, Secret Service sprawdziłaby, co tam się mieści.

— Po co Foksowi był potrzebny ten cały ośrodek? Jako kosztowna przykrywka dla jego eksperymentów? — zapytał prezydent, kiedy zaczęli obserwowwać monitory.

— Nie wiem — odparł Marten. — W ogóle bym ich nie połączył, gdyby nie zwrócił pan wtedy uwagi na budowę wzgórze i gdybym nie narysował w wyobraźni linii łączącej kurort z tunelem, no i gdyby nie to, że karta Foksa otworzyła drzwi.

— Nadjeżdżają autokary.

Hap patrzył na monitor, gdzie widać było sznur czarnych błyszczących pojazdów jadących drogą od strony ośrodka. Inny ekran pokazywał SUV-y hiszpańskiej Tajnej Służby eskortujące kawalkadę.

Jeszcze inne pozwalały obserwować wnętrze kościoła z kilku różnych ujęć.

Jedna z kamer obserwowała nawę główną tuż przy wejściu, gdzie czekało kilkunastu zakonników w czarnych habitach. Druga pokazywała ołtarz, trzecia wejścia na chór po obydwu stronach. Czwarta skierowana była prosto na mównicę, piąta na drzwi za nią, usytuowane nieco z boku, przez które miał wejść prezydent. Jeszcze inne monitory rejestrowały obraz w jakimś pustym, długim korytarzu i miejsca dla wiernych, które nie składały się z rzędów ław, a przypominały raczej amfiteatr lub stadion.

Na jednym z ekranów widać było drzwi z boku ołtarza, którymi właśnie wszedł do środka inny duchowny w czarnym habitcie, za nim podążały dwie osoby również w szatach kapłańskich.

— To wielebny Beck — zauważył prezydent ze zdumieniem, kiedy zobaczyli, kim jest pierwsza z idących osób.

Potem przed obiektywem kamery pojawiła się druga.

— A to wiedźma Luciana — powiedział Marten.

— Kapelan Kongresu, Rufus Beck? — Hap był tak samo zdziwiony jak prezydent.

— Señor? — Rozległo się nagle pukanie do drzwi. — Señor?

— To Jose — powiedział Marten.

Z pistoletem maszynowym w rękę Hap ostrożnie otworzył drzwi.

— Nie mogłem was znaleźć. Lecą śmigłowce — mówił po hiszpańsku podniecony Jose, patrząc na prezydenta. — Tam. — Pokazał palcem. — Z gór.

Prezydent przetłumaczył szybko słowa chłopaka.

— Rany boskie! — wyjęczał Hap. — Domyślili się. Musimy iść, panie prezydencie, natychmiast. Jeśli nas tu złapią, będzie koniec.

8.06

Gdy wychodzili, słyszeli dudnienie nadlatujących helikopterów. Pierwszy szedł Hap, ostrożnie, z pistoletem w rękę, za nim Jose, prezydent i Marten z sig sauerem. Byli już prawie przy wózku, którym tu przyjechali, gdy nagle Hap odciągnął ich pod osłonę kościelnej furgonetki. Żwirową drogą w stronę świątyni jechał policyjny SUV.

Po chwili nadleciały śmigłowce — dwa identyczne, pomalowane na biało-zielono z amerykańską flagą tuż nad drzwiami. Były to helikoptery

Pierwszej Eskadry Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, które w razie potrzeby przewoziły prezydenta oraz najwyższych urzędników państwowych.

— To Marine Two — stwierdził osłupiały Hap.

Śmigłowce krążyły nad parkingiem, aż w końcu zaczęły lądować. Określenia Marine One używano zawsze, ilekroć na pokładzie leciał prezydent, Marine Two, kiedy wioził wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

— No to by było tyle, jeśli chodzi o pańską mowę, kuzynie — zauważył Marten.

Samoloty usiadły na ziemi i w mgnieniu oka otoczyły je błyszczące, czarne SUV-y, z których wyskoczyli ochroniarze wiceprezydenta. Oczekali, aż pilot wyłączy silniki, po czym podeszli do drzwi helikoptera. Sekundę później ze środka wysiedli pasażerowie: wiceprezydent Hamilton Rogers, sekretarz obrony Terrence Langdon, sekretarz stanu David Chaplin, przewodniczący Połączonego Kolegium Szeów Sztabów generał Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych Chester Keaton, sekretarz generalny Tom Curran i Evan Byrd. Z osób, które spotkały się z prezydentem w Madrycie, nie było tylko jego głównego doradcy politycznego Jake'a Lowe'a oraz doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jamesa Marshalla.

— Wielki Boże — szepnął prezydent.

— Hap — ostrzegł go Marten, pokazując głową kępę drzew i nadjeżdżający radiowóz.

Hap spojrział we wskazanym kierunku, potem z powrotem na śmigłowce i rój agentów Secret Service otaczających „przyjaciół” prezydenta.

— Wracamy do środka. Szybko!

Złapał prezydenta za ramię i pociągnął go w stronę tylnego wejścia do kościoła, które opuścili dosłownie kilka minut temu.

150

8.10

Mnisi poprowadzili Demi jeszcze głębiej w środek koszmaru, jeśli to w ogóle było możliwe.

Pomieszczenie wyglądało jak scena: półokrągłe, otwarte na ginący w mroku strop wznoszący się co najmniej dziesięć metrów nad głowami ludzi.

Widoczna jeszcze przed chwilą podłoga ginęła w wirującej sztucznej mgłę oświetlonej od spodu przez niewidoczne reflektory o niesamowitych czerwono-zielono-purpurowo-bursztynowych barwach. Pośrodku stał prosty czarny tron, na którym z królewską godnością siedziała Cristina. Kaskada jej wspaniałych czarnych włosów odbijała się na tle wąskiej białej sukni. Wszystko razem — sceneria i oświetlenie — czyniło z dziewczyny główną atrakcję tego, co się miało wydarzyć. Najwyraźniej szykowało się widowisko, wkrótce też miała się zjawić publiczność. Demi domyśliła się, że będą nią ci, których Giacomo Gela opisywał, mówiąc o Tradycji: „Doroczne rytuały odprawiane przed kilkuset członkami potężnego zakonu, zwanych Nieznanymi”.

Mnisi bez słowa zaprowadzili Demi na środek sceny, po czym zatrzymali się, kiedy powoli wyrósł przed nimi wielki krzyż Aldebarana. Wtedy zakonnicy przywiązali jej nogi do podstawy pionowej belki, zacisnęli pas wokół gardła, wyciągnęli ręce na boki i przymocowali je do bocznych ramion krzyża. W ciągu kilku sekund zamieniła się w żywy krucyfiks zawieszony na pogańskim symbolu.

Cristina popatrzyła na nią i uśmiechnęła się.

— Wół czeka.

— Nie.

— Tak.

Z mgły wyłonił się mnich i podszedł do Cristiny. Wręczył jej srebrny kielich napełniony czerwonym winem. Dziewczyna wzięła puchar z uśmiechem i rozchyliła lekko usta, a wtedy zakonnik położył jej na języku opłatek. Cristina połknęła hostię, popijając ją winem. Demi wiedziała, że była właśnie świadkiem fałszywej eucharystii. Ani Chrystus, ani Ostatnia Wieczerza nie były częścią tego rytuału. Hostia nie symbolizowała Jego ciała, a wino krwi. Wczoraj wieczorem wół stał pełen spokoju w samym środku szalejących płomieni, w jego oczach nie widać było strachu ani bólu. Bez wątplenia podano mu jakiś narkotyk i Demi nie miała wątpliwości, że Cristina również go wypła z winem lub zjadła w opłatku. Wiedziała jednak także, że choć wół umarł spokojnie, zorganizowano to tylko na pokaz — dla dzieci i innych widzów, aby wierzyli, że Cristina odejdzie w taką samą radosną podróż. Było to jednak kłamstwo, Demi obejrzała nagrany na wideo śmierć swojej matki na stosie ofiarnym i wiedziała, że ona i Cristina zginą w taki sam okrutny sposób. Mogą odurzyć teraz Cristinę, ale działanie narkotyku nie potrwa długo. Kimkolwiek byli ci ludzie, ich rytuały opierały się na ludzkiej śmierci w nieopisanych męczarniach. Spalenie Cristiny miało być głównym elementem ceremonii, zamordowanie Demi spełni zupełnie inną funkcję — stanie się

przestroga dla każdego, kto próbowałby obrócić się przeciwko Nieznanym.

Cały czas miała przed oczami obrazy, które w tak okropny sposób pokazano jej w celi. Ci ludzie nie byli zwyczajnie źli, byli okrutni i mściwi. Jakby nie wystarczyło im popełnić ohydnej zbrodni i zabić ją na oczach całego zgromadzenia, musieli zamanifestować swoją potęgę, wszechobecność i wszechwiedzę. Biada każdemu po śmierci, kto by się na powrót urodził i znów próbował się im przeciwstawić.

Odwróciła głowę, ponieważ nie mogła dłużej znieść własnych myśli, a wtedy jej oczom ukazał się kolejny koszmar. Niby ze średniowiecznego cmentarzyska z mgły wyłoniły się trzy następne krzyże zakończone kulami, a na czubku każdego tkwiła obcięta ludzka głowa.

151

8.15

Po ucieczce z powrotem do kościoła pozostało im tylko jedno miejsce, w którym mogli się schronić — pokój nadzoru wideo. Miejsce to nastęczało tyleż zysków, co zagrożeń — z jednej strony było odosobnione i mogli się zamknąć w środku od wewnątrz, z drugiej, gdyby ktoś ich tam odkrył, nie mieliby dokąd uciec. Jeszcze tego samego dnia prezydenta i całą resztę „spotkałby nieszczęśliwy wypadek”.

Harris usiadł na krześle przed monitorami.

— Może oni powiedzą nam to, czego nie chciał wyjawić Foxx.

Marten podszedł do Harrisa i stanął przy jego ramieniu. Podziwiał umiejętność, z jaką prezydent potrafił w niesprzyjającej sytuacji dostrzec jej niespodziewane zalety.

— Jose — Harris zwrócił się do młodego Hiszpana, który stał oparty plecami o drzwi.

Chłopak zaszedł z nimi aż tutaj, zrobił wszystko, o co go prosili, a nawet więcej, teraz jednak, zamknięty w tym pokoju niczym w pułapce, był wyraźnie przerażony. Prezydenckie śmigłowce, armia agentów Secret Service, rząd najnowocześniejszych monitorów nadzorujących coś dziwnego, co się miało wydarzyć — wszystko to razem przerastało jego siły.

— Nie martw się — powiedział łagodnie prezydent po hiszpańsku. — Chodź tu do nas. Jesteś mężczyzną. Zobacz, co tu się dzieje, może mógłbyś nam wyjaśnić niektóre...

— Podjechały autobusy — rzekł Marten.

Harris obrócił się z powrotem do monitorów. Na pięciu ekranach widać było sznur czarnych autokarów wjeżdżających na parking przed kościołem. Samochody zatrzymały się i ze środka zaczęli się wysypywać goście Nowego Świata w eleganckich strojach wieczorowych. Kiedy wysiedli, skierowali się prosto do świątyni. Uśmiechali się, gawędzili, zupełnie nie przejęci obecnością tłumu ochrony.

— Nigdy nie widziałem dokładnej listy członków Instytutu Nowego Świata, ale założę się, że znam co najmniej połowę tych ludzi, a wielu z nich bardzo dobrze. — Prezydent był najwyraźniej głęboko zaniepokojony. — Reprezentują najbardziej wpływowe i potężne instytucje na całym świecie. Czy oni mają pojęcie, co tu się dzieje? Czy to możliwe, żeby należeli do tego spisku?

W tym momencie odezwały się dzwonki kościelne. Zamiast jednak wesołego dźwięku wzywającego na rozpoczęcie mszy, usłyszeli Westminster Quarters — znajomą melodyjkę rozbrzmiewającą co godzina z wież zegarowych na całym świecie.

— Dlaczego akurat Westminster Quarters? — spytał prezydent. — Przecież nie na godzinę. Co ona ma oznaczać?

— Panie prezydencie, Nicholasie, patrzcie — wtrącił się Hap. — Na monitorze siódmym, środkowym rząd.

Kamera zamontowana na parkingu, obserwująca drogę dojazdową do kościoła i główne zabudowania ośrodka, pokazała linię nadlatujących z oddali śmigłowców. Przodem leciały cztery, za nimi pięć — amerykański wojskowy chinook.

— Kto to? — zapytał prezydent, wpatrując się uważnie w monitor.

— Myślę, że Woody — odparł Hap. — Za nim CNP. Prawdopodobnie chinookiem leci Bill Strait z Jamesem Marshallem i Jakiem Lowe'em. Przylecieliśmy nim z Madrytu. Już sądziłem, że sprawy nie mogłyby się przedstawiać gorzej, a tymczasem, proszę, jak na zamówienie.

8.16

Major piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych Woods „Woody” posadził bojowy śmigłowiec amerykańskich sił zbrojnych na lądowisku ośrodka wypoczynkowego Aragon. Kilka sekund później wylądowały trzy helikoptery CNP, potem chinook, z którego natychmiast wyskoczył Bill Strait, za nim

doktor James Marshall i kilkunastu agentów Secret Service. Trzema pozostałymi przyleciała hiszpańska policja pod dowództwem kapitan Belindy Diaz. Ich zadaniem było przeszukanie terenu pomiędzy drogą przecinającą winnicę aż do granicy kurortu, reszta Secret Service, CIA i CNP miała się zająć obszarem pomiędzy winnicą a górami. Podejrzewano, że tą drogą szedł prezydent Harris oraz osoby, które mu towarzyszyły, w tym Nicholas Marten i Hap Daniels.

Z rozkazu wiceprezydenta teren między winnicą a ośrodkiem, aż do kościoła, przejmował jego własny oddział Secret Service, wsparty przez hiszpańskie siły ochrony oraz ściągnięte już siły hiszpańskiej policji. Obszar poza kurortem należał do Billa Straita i kapitan Diaz.

Pośrodku stał chinook gotowy w każdej chwili zabrać prezydenta i poderwać się w powietrze.

152

8.24

Prezydent Harris widział, jak jego przyjaciel rabin Aznar wygłosił krótką mowę wstępną przed zebranymi członkami Instytutu Nowego Świata. Po tem uściśnął dłoń wiceprezydentowi Rogersowi i opuścił scenę wsparty na ramieniu wielbnego Becka. Trzydzieści sekund później zewnętrzna kamera pokazała, jak opuszcza kościół i idzie na parking w towarzystwie dwóch mnichów. Ludzie z Secret Service pomogli mu wsiąść do jednego z czarnych SUV-ów, który wkrótce odjechał razem z rabinem. Mnisi natychmiast wrócili do kościoła i zamknęli za sobą drzwi.

— Co się stało? — zapytał prezydent, gdy nagle wszystkie monitory zgasły.

Sekundę później zobaczył odpowiedź na swoje pytanie. Ekran komputera zaczął wyświetlać informacje:

Dostęp numer jeden: zamknięty. Zamknięcie potwierdzone.

Dostęp numer dwa: zamknięty. Zamknięcie potwierdzone.

Dostęp numer trzy: zamknięty. Zamknięcie potwierdzone.

Lista dostępów ciągnęła się od pierwszego do dziesiątego, po czym pojawiła się ostatnia informacja:

Potwierdzenie zamknięcia zakończone.

— To drzwi do kościoła, panie prezydencie — powiedział cicho Hap. — W sumie jest tu dziesięć wejść. Drzwi numer dziesięć to te, którymi weszliśmy. To wszystko oznacza, że od tej pory nikt nie wejdzie do kościoła i nikt stąd nie wyjdzie. Jeśli ktoś będzie chciał sprawdzić działanie systemu i tych monitorów, już po nas.

— Kuzynie. — Marten odwrócił się nagle do prezydenta. — Jeśli miałem rację co do przedsięwzięć Foksa, jeśli rzeczywiście ten kościół został tu przywieziony i zbudowany według jego planów, a kolejka jednorodowa biegnie spod góry aż tutaj, to gdzieś pod nami powinno być zejście do tunelu. Gdyby udało nam się znaleźć, moglibyśmy się stąd wydostać. Chciałbym wysłać Jose na rekonesans. Jeśli się na kogoś napatoczy, powie po prostu, że pracuje w ośrodku, że to jego pierwszy dzień. Wszedł do kościoła i utknął tu, kiedy pozamykano drzwi. Mógłby pan go o to poprosić?

Minutę później Hap wypuścił Jose na korytarz, przedtem powiedział mu, żeby zapukał trzy razy, kiedy po powrocie będzie chciał wejść.

8.30

— A co tym razem?

Prezydent patrzył na monitory, które początkowo pociemniały, teraz jednak znowu ożyły i pokazywały to samo z różnych punktów obserwacyjnych. Dwustu dystygowanych członków Instytutu Nowego Świata powstało z miejsc i w rzędkach udawało się w stronę kilkunastu punktów kościoła. Kamera zamontowana nad każdym przejściem pokazywała zbliżenia przewijających się osób. Pierwszy podszedł wiceprezydent Rogers, dalej po kolei cała reszta. Każdy zatrzymywał się na chwilę, podawał swoje imię i nazwisko, datę i miejsce urodzenia, po czym przykładał palec do małej metalowej skrzyneczki.

Na monitorze, na tle twarzy pojawiał odczyt:

Członek 2702. Pobrano DNA: kod genetyczny potwierdzony.

Członek 4481. Pobrano DNA: kod genetyczny potwierdzony.

Członek 3636. Pobrano DNA: kod genetyczny potwierdzony.

— Co tu jest grane, do cholery? Gwarantuję, że te dane nie są przekazywane do żadnego dowództwa ochrony — powiedział Hap, nie odrywając oczu od monitorów.

Pochód uczestników zgromadzenia trwał. Wiek członków wahał się od dwudziestu ośmiu do osiemdziesięciu trzech lat, różne też były miejsca urodzenia: Bazylea w Szwajcarii, Salinas w Brazylii, Nowy Jork, Berlin, Jokohama, Ottawa, Marsylia, Tampico w Meksyku, Antwerpia, Cambridge, Brisbane w Australii.

Gdy tylko jedna osoba kończyła weryfikację danych, do czytnika podchodził mnich i wacikiem sterylizował powierzchnię urządzenia. Potem cofał się i czekał, aż kolejna osoba zostanie zidentyfikowana.

— Jezu Chryste.

Głos uwiązał prezydentowi w gardle, kiedy do punktu kontroli podeszła kobieta.

— Jane Dee Baker — oznajmiła.

Podąła datę i miejsce urodzenia, po czym przycisnęła palec do metalowej powierzchni, aby pobrano jej próbkę DNA.

— Przewodnicząca podkomisji do spraw wywiadu i antyterroryzmu. — Nicholasowi również przebiegł po plecach lodowaty dreszcz zdziwienia.

— Tej samej, której członkiem był Mike Parsons — dokończył Harris. — I przed którą zeznawał Merriman Foxx.

— To dlatego zginął Mike i jego syn. I dlatego zmarła Caroline — powiedział Marten głosem wypranym z emocji. — Mike zorientował się, co się dzieje, a w każdym razie wpadł na jakiś trop.

— Wszyscy używają lewego kciuka do podania próbki DNA — zauważył prezydent. — Z tej kamery tego nie widać, ale gotów jestem się założyć o przyszłoroczny budżet Kongresu, że każdy ma na nim wytatuowany znak Aldebarana.

153

8.35

Łagodny, melodyjny śpiew mnichów unosił się w całym kościele, kiedy delegaci Nowego Świata wracali na swoje miejsca. W następnej chwili przogasły światła niczym w kinie lub teatrze i zaczęło się przedstawienie.

Niespodziewanie podłoga przed ołtarzem odjechała w tył, a z dołu wyłoniła się ciemna scena z kłębam i wirującą mgłą i niesamowitym teatralnym oświetleniem niczym w jakimś absurdalnym widowisku w Las Vegas.

— Cristina! — wypalił Marten.

Dziewczyna siedziała majestatycznie w samym środku tej scenerii na prawie niewidocznym tronie. Z góry oświetlał ją silny reflektor niczym dostojną boginię. Nagle do środka sceny podpłynął drugi snop światła i w jego blasku ukazały się trzy krzyże Aldebarana z czymś, co wyglądało na teatralne rekwizyty w postaci ludzkich głów, nasadzonych na szczycie każdego z nich.

Jakby zaprogramowane, kamery zaczęły teraz ślizgać się po twarzach zgromadzonych widzów, którzy pochylili się do przodu na siedzeniach. Widać było, że po to tu właśnie przyszli.

— Kto to jest ta Cristina? — spytał prezydent rzeczowo, usiłując zrozumieć, co tu się właściwie dzieje.

— Towarzyszyła Beckowi i Foksowi na Malcie — odparł Marten.

W tym momencie jedna z kamer, znów jakby zaprogramowana, powoli przesunęła się po oparach mgły i zatrzymała się na trzech głowach zatkniętych na krzyżach Aldebarana.

— Mój Boże, panie prezydencie. — Głos Hapa był ledwo głośniejszy od szeptu. — Te głowy są prawdziwe.

Nagle dziesięć z dwudziestu monitorów zgłosiło, a dwie sekundy później znów pojawił się na nich obraz, dokładnie w chwili, gdy jedna z kamer pokazała obcięte głowy, a pod każdą wyświetlił się podpis z objaśnieniem.

Pierwsza głowa należała do starego, łysego mężczyzny, a podpis głosił:

GIACOMO GELA. ZDRADZIŁ TAJEMNICE „**Σ μ**”. WYELIMINOWANY.

Na drugim krzyżu tkwiła głowa kobiety. Martena aż zatchnęło z grozy i niedowierzania.

LORRAINE STEPHENSON. LEKARKA. OSOBA NIEGODNA ZAUFANIA. SAMOBÓJSTWO.

I wreszcie kamera pokazała ostatnią głowę.

— O Boże, nie! — krzyknął Marten na widok znajomej twarzy, siwych włosów i starannie przystrzyżonej brody. Martwe oczy patrzyły w pustkę.

PETER FADDEN. DZIENNIKARZ „WASHINGTON POST”. NIEBEZPIECZNY. WYELIMINOWANY.

Głos mnichów przybrał na sile. Powoli, brodząc we mgle, weszli rzędem na scenę. Było ich około pięćdziesięciu, może więcej. Szli z pochylonymi głowami, a ich śpiew skierowany był wyraźnie do Cristiny.

Prezydent popatrzył na Nicholasa.

— Oto pańskie Przymierze Machiavellego — powiedział ze śmiertelną powagą.

— Wiem — wychrypiął Marten, tłumiąc gniew. — Dokładnie tak, jak to opisała Demi. Wygląda na to, że jedyna rzecz, jaka się zmieniła od szesnastego wieku, to technika. Wyrafinowany proces składania podpisów odciskiem zakrwawionego kciuka i odręcznego podpisu w pilnie strzeżonym dzienniku zastąpiono elektronicznym obrazem i próbką DNA. Uczestnictwo w ceremonii zostaje potwierdzone na taśmie wideo. Strój wieczorowy jest miłym dodatkiem, mówiącym, że „z przyjemnością wzięłeś udział w uroczystości”.

— Nie rozumiem — odezwał się oszołomiony Hap.

— Ci ludzie zebrali się tu, aby wziąć udział w rytualnym mordzie.

— Mordzie?

— Zabiją tę dziewczynę — szepnęła cicho.

— Jak?

— Nie wiem.

— Dlaczego? — zapytał Hap z niedowierzaniem.

— To zamknięta i bardzo tajna organizacja. — Nicholas oderwał oczy od monitora, aby popatrzeć na Hapa, ale zaraz potem znów wrócił spojrzeniem do ekranów. — Zasady członkostwa wymagają nie tylko bogactwa i wpływów, ale również współudziału w morderstwie, tak aby nikt nie ośmielił się odstąpić od wyznaczonego celu.

— Którym jest...?

— Zdobywanie jeszcze większych bogactw i wpływów.

— Myślę, że lepiej powiedzieć: zdobywanie nieograniczonej władzy na całym świecie. — Prezydent myślał na głos, przyglądając się uważnie wszystkim monitorom, porządkując sobie w głowie to, co widział na ekranach, twarze znajomych ludzi, to co robili, a także to, co Marten mówił mu o Przymierzu i czego sam się swego czasu dowiedział jako stypendysta Rhodessa. — Mamy do czynienia z międzynarodowym bractwem bardzo różnych, ale też wyjątkowo wpływowych ludzi, którzy zawierają ze sobą umowy. Wyobrażam sobie, że większość z tych umów ma tajny charakter. Cały ten zakon działa od jakichś pięciuset lat i podejrzewam, że musiał mieć ogromny wpływ na przebieg historii. Ci ludzie, nie mając na względzie niczego poza

własną korzyścią, wynosili swoich współbraci na najwyższe stanowiska, aby budować imperia. Potajemnie wzniecali wojny, knuli zamachy stanu, tworzyli polityczne i religijne ruchy i nie cofali się nawet przed ludobójstwem, jak wiemy z działalności doktora Foksa. — Odwrócił się od monitorów, żeby spojrzeć na Hapa i Martena. — Sama myśl, że może istnieć grupa ludzi zdolnych do tak przerażających i zuchwałych czynów, zakrojonych na taką skalę, w dodatku przez tyle setek lat, wydaje się niemożliwa, jeśli nie absurdalna. I uznałbym ją za taką, gdyby nie to, co widzimy na tych ekranach. I gdyby nie fakt, że ci ludzie, z których wielu znam osobiście, są największymi rekinami światowej bankowości, ubezpieczeń, prawa, transportu, przemysłu, farmaceutyki, energetyki, mediów i polityki, czyli wszystkich sfer, od których zależy codzienny byt każdego społeczeństwa na tej planecie. Można by się spierać, że wielu z nich stanowi dla siebie nawzajem konkurencję, jednak jako grupa w ten czy inny sposób kontrolują większą część światowego rynku. Wyobrażam sobie, że spędzili tu weekend na seminariach, golfie, tenisie, kolacjach i koktajlach, dyskutując o najlepszych sposobach prowadzenia interesów w przyszłym roku, zwłaszcza kiedy dojdą do skutku zabójstwa w Warszawie, a potem katastrofa na Bliskim Wschodzie, która będzie następstwem wprowadzenia w życie planu Merrimana Foksa. Rytualne morderstwo, do którego tu za chwilę dojdzie, ma na celu zjednoczenie wszystkich członków we wspólnym celu, który został powszechnie przyjęty. — Odwrócił się z powrotem do ekranów. — To jedna z tych teorii spiskowych, w które lubią wierzyć przeróżni niezrównoważeni politolodzy, pisarze, producenci filmowi i zwyczajni ludzie chodzący po ulicach całego świata. No cóż, to, z czym mamy do czynienia, nie ogranicza się do teorii i to od bardzo, bardzo dawna. A tu mamy przed sobą dowód.

154

8.44

Śpiew mnichów nagle umilkł i w kościele zapanowała cisza. Na scenie wirowała mgła, pośród której Cristina w uniesieniu i euforii oczekiwała na chwilę, kiedy spowiją ją płomienie i rozpocznie się podróż.

Nagle za jej plecami, niczym szekspirowski bohater, przemknęła jakaś

postać. Zabłysnął jeszcze jeden reflektor i oświetlił wielebnego Becka w szatach liturgicznych. Duchowny wyszedł na przód sceny i wziął do ręki mikrofon bezprzewodowy.

— Hamilton Rogers — powiedział, przeszukując wzrokiem widownię. Jego głos zadudnił w kościele, spotęgowany przez najnowocześniejszy sprzęt nagłaśniający. — Gdzie pan jest, panie wiceprezydencie?

8.45

W tłumie zagrzmiały oklaski, a jednocześnie pięć kamer pokazało wiceprezydenta Hamiltona Rogersa podnoszącego się z miejsca i ruszającego do przejścia między rzędami siedzeń, skąd mnisi odprowadzili go na scenę. Gdy tylko się tam znalazł, padli sobie z Beckiem w objęcia, jakby spotkali się po latach dawno niewidziani przyjaciele.

— Hamilton Rogers. Następny prezydent Stanów Zjednoczonych — ogłosił Beck zgromadzonym.

W kościele wybuchły gromkie brawa. Beck i Rogers jeszcze raz objęli się serdecznie, uścisnęli sobie dłonie i wyciągnęli ręce w stronę tłumu. Z widowni płynęły kolejne fale owacji, spotkanie po latach zamieniło się nagle w polityczną manifestację.

8.46

Marten popatrzył na prezydenta.

— Jeśli kiedykolwiek istniały jakieś wątpliwości co do ich planów związanych z pana osobą, to właśnie zostały rozwiane.

— Kłopot w tym — odparł prezydent — że to nie są już tylko „moi przyjaciele”. Wszyscy, którzy są tam obecni, wiedzą, co się dzieje. To pokazuje, jak niewiarygodnie są ze sobą powiązani i indoktrynowani. To nie są normalne ludzkie istoty, to zupełnie inny gatunek. Istoty o niepowściągniętej pysze.

8.47

Hamilton Rogers poprosił ruchem ręki o ciszę. W ciągu kilku sekund owacje zamarły, wielebny Beck wręczył mikrofon wiceprezydentowi, który podszedł na brzeg sceny. Popatrzył na zgromadzenie i zaczął wywoływać

nazwiska nowych członków. Wstawali po kolei: młody dyrektor naczelny firmy eksportowej z Tajwanu; kobieta w średnim wieku, będąca wpływowym lewicowym politykiem z Ameryki Środkowej; pięćdziesięciodwuletni właściciel banku inwestycyjnego z Australii; sześćdziesięciosiedmioletni laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki jądrowej z Kalifornii; włoski potentat medialny i jeszcze wielu innych. Po przedstawieniu każdego nowego członka sala grzmiąca oklaskami; nieważne — prawicowiec, lewicowiec czy liberał, najwyraźniej orientacje i poglądy polityczne nie odgrywały najmniejszej roli.

Następnie wiceprezydent Rogers zaczął wyczytywać całą resztę — nie nowych członków, ale „starych znajomych”, „drogich, długoletnich przyjaciół, którzy łączą się z nami w tej doniosłej chwili”.

— Członek Kongresu pani Jane Dee Baker, sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych David Chaplin, sekretarz obrony Terrence Langdon, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generał Chester Keaton, sekretarz generalny prezydenta Stanów Zjednoczonych Tom Curran, powiernik prezydenta, Evan Byrd.

155

8.53

Marten okręcił się na pięcie, słysząc pukanie do drzwi, i automatycznie wyciągnął przed siebie sig sauera. Hap stanął przed prezydentem i również wycelował pistoletem w wejście.

Pukanie powtórzyło się trzy razy.

— To Jose — stwierdził Nicholas.

Hap kiwnął głową, a wtedy Marten podszedł do drzwi i otworzył je ostrożnie. Na korytarzu rzeczywiście stał ich młody hiszpański wysłannik. Nicholas wpuścił go środka i zamknął za nim drzwi.

— No i co? — zapytał prezydent po hiszpańsku.

— Poszedłem korytarzem jak najdalej — zaczął z poważną, skupioną miną. — Po drugiej stronie drzwi są szerokie schody, a potem wielka stalowa brama. I chyba winda. Ale wszystko pozamykane na klucz. Wszędzie jest puisto, ale nawet jeśli tam biegnie jakiś tunel, to me uda nam się do niego dostać.

Gracias, Jose, muchas gracias — powiedział prezydent z wdzięcznością i uśmiechnął się. — Esta bien, relaja. Wszystko w porządku. Odrpę się.

Kiedy to powiedział, odwrócił się do Martena i Hapa i przetłumaczył im informacje uzyskane od chłopca.

— Pozostaje nam tylko czekać i mieć nadzieję, że nikt tu nie przyjdzie.
— Hap wskazał głową monitory. — Zakładam, że kiedy skończy się ceremonia, scena hydrauliczna zjedzie z powrotem na dół, a na górę wróci normalna podłoga. Mnisi otworzą drzwi, żeby wypuścić gości do autobusów, jakby nic się nie stało. Wtedy my też wyjdziemy. Tak jak tu przyszliśmy: schodami na górę i do tylnego wyjścia. Jeśli tego nie zrobimy, znajdą nas, ponieważ gdy tylko uczestnicy spotkania wyjdą, Tajna Służba przeczesze budynek i zamknie wszystko na cztery spusty.

— A co z Cristina? — zapytał Marten. — Przecież oni ją zabiją.

— Nie możemy jej pomóc, bo narazilibyśmy prezydenta. — Hap popatrzył mu poważnie w oczy. — Zrozum to i więcej o niej nie myśl.

— Rozumiem, co nie znaczy, że mi się to podoba.

— Mnie również. Ale tak musi być.

Marten odwzajemnił jego spojrzenie i przez chwilę nie dawał za wygraną, w końcu jednak skapitulował.

— Wyjdziemy i co dalej? — spytał cicho. — Tam się kręci pięciuset ludzi, większość z nich skupia uwagę na tym budynku i ludziach, którzy się tu zebrali.

— Wyjdziemy, wsiądziemy do wózka i wrócimy tam, gdzie się ukrywaliśmy — odparł spokojnie Hap. — Ochrona powinna stąd wyjechać niecałą godzinę po wyjściu gości. Wtedy będziemy mogli spokojnie wyjść.

— Hap, tam w dalszym ciągu szukają nas twoi ludzie razem z hiszpańską policją. Jeśli nas nie znajdą w górach, ruszą w tę stronę. Kto zresztą wie, czy już nie przerzucili tu sił. Nie wrócą do domu, dopóki nie znajdą prezydenta.

— Nicholasie, nie możemy tu zostać.

— Woody — powiedział nagle prezydent i spojrzał na Hapa.

— Woody?

— Musimy zaryzykować, że nie należy do spisku. Gdy tylko stąd wyjdziemy i złapie pan zasięg, wyśle mu pan wiadomość na komórkę. Napisze mu pan, gdzie jesteśmy, i każe jak najszybciej przylecieć. Tylko on i śmigłowiec, nikt więcej. Ludzie będą wyjeżdżać, to wojskowy helikopter, nikt się nie zorientuje, co się dzieje. Wyląduje na parkingu na tyłach kościoła, gdzie zostawiliśmy wózek. W trzydzieści sekund wsiądziemy do środka i już nas tu nie będzie.

— Panie prezydencie, nawet jeśli on posłucha, przyleci tu i nas zabierze,

to nie wiemy, co zrobi później. Równie dobrze może nas zawieźć prosto do odrzutowca CIA. Tam będzie czekało na pana dwudziestu ludzi, ślepo posłusznych rozkazom, którzy odtransportują pana tam, gdzie im kazano, i nic, co powiemy, nie zachwieje ich postanowienia.

— Hap — powiedział prezydent i wziął głęboki oddech — tak czy inaczej będziemy musieli wkrótce komuś zaufać. Lubię majora Woodsa z wielu powodów, zawsze go lubilem. To, co powiedziałem, to jest rozkaz.

— Tak jest, panie prezydencie.

Nagle przez głośniki zadudnił głos wielbego Becka. Odwrócili się i zobaczyli twarz kapelana Kongresu na każdym monitorze w pokoju. Mówił do bezprzewodowego mikrofonu, na jego twarzy grały czerwone, zielone i bursztynowe światła, rzucane przez reflektory w podłodze. Przeszedł przez scenę, po której pełzała teatralna mgła. Mówił coś w języku, jakiego nikt z nich nigdy w życiu nie słyszał. Powiedział coś raz. Po chwili znowu, jakby recytował wersy litanii lub adoracji. Członkowie Nowego Świata odpowiedzieli niczym chór w tym samym języku, tak samo jak poprzedniego wieczora odpowiadały rodziny w amfiteatrze.

Beck znowu coś powiedział, potem przerwał i wyciągnął rękę w stronę Cristiny, która cały czas siedziała w świetle reflektora na środku ciemnej sceny. Uśmiechnęła się z dumą, a wtedy Beck znowu zaczął mówić. Snop światła podążył za nim, kiedy odwrócił się od Cristiny w stronę widowni. Jego dłoń zataczała łuk wokół sceny tak samo jak dzień wcześniej w amfiteatrze. Było to wezwanie, które oczekiwało na odzew publiczności. I publiczność odpowiedziała, powtarzając z uniesieniem jego słowa. Niespodziewanie światło oświetlające Becka przeniosło się na Lucianę, która z mocno ściągniętymi włosami i makijażem na kształt ostrzy sztyletów emanowała potęgą i sennym koszmarem, jednym słowem tym, co w tradycji symbolizowały wiedźmy.

Stała za plecami Cristiny, w rękę trzymała rubinową różdżkę i zataczała nią kręgi nad głową dziewczyny. Potem przeniosła wzrok na zebranych i coś zawołała. Wszystko, co robiła, robiła z niezachwianą pewnością siebie, panowała nad każdym ruchem i tonem głosu. Zawołała jeszcze raz, po czym odwróciła się i przeszła przez scenę, a oczy kamer podążyły za nią.

Jej sylwetka wypełniła kilkanaście monitorów. Wpiła wzrok w coś, co na razie niewidoczne znajdowało się przed nią. Po chwili kilka kamer podążyło za jej spojrzeniem.

Zobaczyli Demi przywiązaną do wielkiego krzyża Aldebarana. Groza bijąca z nieruchomych oczu dziewczyny mówiła wszystko: żywa istota stojąca w obliczu nieuchronnej i przerażającej śmierci.

— Boże drogi! — zawołał wstrząśnięty Nicholas.

Luciana podeszła do krzyża, a wtedy mnisi na nowo podjęli swoją pieśń. Ich głos na przemian wznosił się i opadał, by po chwili znów osiągnąć crescendo. Luciana patrzyła na Demi, a cała jej wyniosła postać wyrażała pogardę. Wtedy Demi podniosła oczy i odwzajemniając spojrzenie wiedźmy, rzuciła jej wyzwanie, nie dała nawet odrobiny satysfakcji. Luciana uśmiechnęła się bezlitośnie i odwróciła do publiczności.

— Ona zdradziłaby nas tak jak tamci! — powiedziała nagle po angielsku i machnęła różdżką w kierunku głów nasadzonych na krzyże.

Szybko wymówiła trzy ostre, wyraziste słowa w tym samym języku liturgicznym, a wtedy z otworów w podłodze pod krzyżami, na których tkwiły głowy trzech nieszczęsnych ofiar, wystrzeliły czerwono-niebieskie płomienie. Na widowni podniosła się wrzawa. Kamery pokazały ludzi pochylonych na krzesłach, wyciągających szyje, aby lepiej widzieć. W ciągu kilku sekund głowy zajęły się ogniem, a pół minuty później skóra na nich pociemniała niczym mięso rzucone na ruszt.

W tej samej chwili na kilku monitorach pojawiło się zbliżenie twarzy Demi, która zaczęła krzyczeć. Cztery inne monitory pokazały Cristinę patrzącą na Demi z niepokojem, jak gdyby narkotyki, które podano jej wcześniej, przestały działać i dziewczyna zorientowała się nagle, że coś jest nie tak. Oczy jej się rozszerzyły, kiedy z mgły i ciemności wyłoniło się dwóch mnichów, błyskawicznie przywiązało ją pasami do tronu, po czym równie szybko znikło. Równoległe przez cały czas inne monitory pokazywały płonące głowy, Lucianę i Becka, a potem szybkie migawki ludzi siedzących na widowni. Nieco dłużej zatrzymały się na twarzach nowo przyjętych członków Instytutu.

Sekundę później kilka kamer przeskoczyło na osoby „drogich przyjaciół wiceprezydenta”: Jane Dee Baker, Davida Chaplina, Terrence'a Langdona, generała Chestera Keatona, Toma Currana oraz „prezydenckiego powiernika” Evana Byrda.

Prezydent miał rację, mówiąc, że ci ludzie należeli do innego gatunku. To nie byli uczestnicy morderstwa ani świadkowie egzekucji. To, co się tu działo, odbywało się na zupełnie innym poziomie. Niczym Rzymianie na pogańskich igrzyskach w Koloseum brali udział w tym przedstawieniu, ponieważ sprawiło im ono niewypowiedzianą przyjemność.

— To dopiero początek — szepnął prezydent głosem drżącym od grozy.

Niewiarygodną sytuację po tysiącokrotnie pogarszała świadomość, że absolutnie nic nie mogą zrobić, aby zapobiec tragedii.

— Następne spłoną kobiety.

156

— Po moim trupie — powiedział Marten i ruszył do drzwi.

Hap złapał go w momencie, kiedy chwycił za klamkę. Przycisnął go mocno do ściany.

— Jeśli spróbujesz to zrobić, wydasz prezydenta w ich łapy. Oni wiedzą, że z nim byłeś. Kiedy cię zobaczą, zorientują się, że jest w tym budynku. Powiedziałem ci: przestań o tym myśleć, do diabła. Tak już musi być i koniec.

— Nie! Nie musi tak być. Nie pozwolę, żeby te kobiety spłonęły żywcem na stosie. — Nicholas popatrzył ze złością na prezydenta. — Niech mu pan powie, żeby mnie puścił! Natychmiast!

— Prezydent nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. — Hap nie przestawał przyciskać Martena do ściany. — Składałem przysięgę, że będę chronić i utrzymywać ciągłość rządu Stanów Zjednoczonych i strzec osoby, która zajmuje stanowisko prezydenta. Nikt nie wyjdzie z tego pokoju bez mojej zgody.

W kościele mnisi znowu podjęli swój monotony śpiew. Utworzyli na scenie wielką ósemkę, po czym rozpoczęli coś, co wyglądało na starannie zaplanowany taniec. Okrążali najpierw Cristinę, potem Demi i znowu Cristinę. Ich pieśń to się wznosiła, to opadała w jakimś upiornym, makabrycznym brzmieniu, potężnym i przerażającym.

— Hap — powiedział prezydent — zna pan plan tego budynku. Wie pan, jak dojść na mównicę, do drzwi za ołtarzem, którymi miałem wejść, aby wygłosić przemówienie. Ile czasu zajęłoby Martenowi dotarcie do tych drzwi?

— Około czterdziestu sekund, o ile nie napotkałby po drodze żadnych trudności. Dlaczego pan pyta?

— Tutaj znajduje się dostęp do zasilania elektrycznego. — Prezydent pokazał zamknięte wąskie drzwi. — Damy Martenowi te czterdzieści sekund, po czym wyłączymy prąd. Być może zapali się kilka świateł awaryjnych, ale poza nimi i blaskiem płomieni wszędzie zrobi się ciemno. Nad warsztatem w

magazynie wisiały latarki. Niech Nicholas tam pójdzie, weźmie dwie. Jedną wetknie za pas, a drugą oświetli sobie drogę do drzwi za ołtarzem. Wejdzie spokojnie na scenę z latarką w ręku. Cały czas będzie w stroju pracownika ośrodka. W ciemnościach nikt się nie zorientuje, co się dzieje. Przejdzie po scenie, świecąc tu i tam, jak ktoś, kto przyszedł naprawić awarię. Postawi na scenie zapaloną latarkę, która będzie odwracała uwagę. Jeśli ktoś go o coś zapyta, nie odpowie. Spokojnie przejdzie za plecami kobiet, jakby szukał uszkodzenia, i wtedy je uwolni. Potem wyprowadzi je drzwiami za ołtarzem i korzystając z drugiej latarki, zejdzie schodami do korytarza przy drzwiach, którymi weszliśmy. My będziemy już tam czekać i wszyscy razem uciekniemy z kościoła. Od momentu kiedy Marten wyjdzie z tego pokoju, do naszej ewakuacji na parking nie powinno minąć więcej niż pięć minut, góra sześć.

— Tylko że wszystkie drzwi wejściowe do kościoła są elektronicznie zamknięte — zauważył Marten.

— Przypuszczam, że kiedy odetniemy zasilanie, zamki się wyłączą. Nie sądzę, aby ludzie, którzy projektowali system elektroniczny, chcieli ryzykować uwięzienie w kościele tych wszystkich dostojnych osobistości w sytuacji, gdyby zabrakło prądu. Musieliby wzywać straż pożarną, żeby ich uwolnić, a wtedy cała tajemnica by się wydała. — Prezydent popatrzył na Hapa. — Zgadza się pan ze mną?

— Panie prezydencie, zapomnijcie o tym szaleństwie, do diabła!

— Czy pan się ze mną zgadza, Hap? — powtórzył twardo pytanie prezydent.

— W kwestii zamków tak, na całą resztę absolutnie nie.

Prezydent zignorował jego protesty.

— To będzie dla nich szok, kiedy się zorientują, że kobiety zniknęły. Wybuchnie zamieszanie, ale kilka minut im zajmie, zanim się domyśla, co się stało. My będziemy już wtedy na zewnątrz albo nawet w drodze do magazynu, albo w śmigłowcu z Woodym.

— Panie prezydencie, nie możemy ryzykować...

— Mamy jeden strzał, Hap — naciskał Harris bezlitośnie. Zawsze tak robił, kiedy wierzył w coś niezachwianie, ale cenił sobie czyjąś opinię. „Powiedz mi, jeśli to jest wykonalne. Jeśli nie, też mi powiedz”. — Czy Martenowi może się udać?

— Niespodziewane odcięcie prądu. Ciemność. Zaskoczenie. Szybka akcja i wycofanie się... Grupie ludzi mogłoby się udać, ale jednemu człowiekowi, który zna teren tylko z obrazu kamer wideo i musi działać szybko i po

ciemku...? W dodatku oni go znają. Gdy tylko wejdzie w zasięg światła bijącego od ognia, Beck go rozpozna. Naśle na niego mnichów i zaczną się polowanie. To cholerne ryzyko, panie prezydencie. Jedna szansa na sto.

— Szliśmy z Martenem przez tunele w całkowitych ciemnościach, Hap. Podejmowaliśmy cholerne ryzyko, ale nikt się nie zastanawiał, jakie mamy szanse. Sprawa przesądzona. Odcinamy prąd, otwieramy drzwi. Dzięki temu sami wybierzymy moment na wykonanie ruchu. Potem wychodzimy, wszyscy, kobiety również.

Hap spojrzął na Martena, po czym westchnął i ustąpił.

— Dobrze — powiedział. — Niech będzie.

Przejechał ręką włosy i odwrócił się. Dał za wygraną nie ze względu na kobiety ani też na siłę perswazji prezydenta, tylko ponieważ plan ten miał swoje zalety. Z tego samego powodu zgodził się na wezwanie Woody'ego — ponieważ to zwiększało szansę ucieczki.

Prezydent miał rację, kiedy mówił, że wkrótce będą musieli komuś zaufać, i chociaż Hap bał się tego jak ognia, gdyby miał wybierać, to tym kimś byłby właśnie Woody, między innymi z powodu swoich umiejętności pilota. Jeśli ktoś potrafił przylecieć tam między drzewami, wylądować na małym parkingu na tyłach kościoła i w mgnieniu oka zabrać ich stamtąd szybko i bezpiecznie, to właśnie Woody. W najgorszym wypadku, jeśli będzie próbował odstawić ich potem do samolotu CIA, obydwaj z Martenem mają broń i mogą go zmusić do wylądowania w pierwszym lepszym miejscu.

Ważniejsza natomiast była ich sytuacja tu, w kościele. W ten czy inny sposób wkrótce będą musieli dostać się jakoś na parking i dać znać Woody'emu. Odcinając zasilanie w całym budynku, co rzeczywiście powinno wyłączyć zamki elektroniczne i odblokować drzwi, mogą sami decydować o czasie i okolicznościach ucieczki, zamiast czekać, aż skończy się ceremonia i znajdą się na łasce losu.

Na swój sposób akcja ratunkowa Martena może dać im przewagę, ponieważ przerwie uroczystość i wywoła zamieszanie. Bez względu na to, co Nicholas zrobi, kiedy dostanie się na scenę, będzie to musiał zrobić szybko i po ciemku. Wiceprezydent, Beck, Luciana, mnisi — wszyscy będą całkowicie zaskoczeni. Może uda się Martenowi i kobietom uciec, a może nie, tak czy inaczej zapanuje potworny chaos. To w nim właśnie Hap upatrywał okazji na szybką i bezpieczną ewakuację prezydenta z kościoła.

— Ja — odezwał się nagle Jose. Podszedł do nich, popatrzył na prezydenta i powiedział do niego po hiszpańsku: — Rozumiem trochę, co chcecie zrobić. Pójdę z panem Martenem. Razem będziemy tą „grupą”, o której mówił pan Hap.

Prezydent popatrzył na niego w milczeniu i uśmiechnął się.

— Gracias — rzekł i przetłumaczył szybko jego propozycję na angielski.

— A jak on może pomóc, psiakość? Chyba tylko dać się złapać.

— Może odwracać uwagę przeciwnika — wyjaśnił szybko Nicholas. — Jest Hiszpanem, ma na sobie strój pracownika kurortu. Pójdzie na pierwszą linię ognia jako elektryk. Weźmie latarkę. Jeśli ktoś go zapyta, powie, że wysiadło zasilanie i kazano mu to sprawdzić. — Przerwał na chwilę i popatrzył na Hapa. — Dzięki temu zyskam trochę na czasie. Jakies trzydzieści sekund, może nawet minutę; kiedy wszyscy będą patrzeć na niego, ja po cichu uwolnię kobiety.

— Słusznie — zgodził się Hap.

To im dawało dodatkowy atut w ciemnym kościele. Im większe zamieszanie, tym więcej szans na ocalenie prezydenta.

Harris wskazał głową zamknięte drzwi do sterowników elektryczności.

— Otwórzmy to i zobaczymy, co tam mamy. Odstrzelcie zamek, nie mamy czasu na zabawę.

Marten wyciągnął zza pasa się sauera, po czym zdjął koszulę i owinał nią łufę, w ten sposób zrobił prowizoryczny tłumik.

W tym samym momencie śpiew mnichów przybrał nagle na sile. Brzmiał teraz z taką mocą, jakby zwiastował doniosłe wydarzenie. We mgle wystrzeliły płomienie. Na widowni podniósł się krzyk, kiedy niebiesko-czerwone języki spowiły najpierw Demi, a potem Cristinę.

— O Boże, tylko nie to — szepnął prezydent, nie odrywając rozszerzonych oczu od monitorów.

Zobaczyli z wielokrotną na ekranach postać Demi, szarpiącą rozpaczliwie z więzami, ale jej walka była daremna i ona o tym wiedziała. Oczami wytrzeszczonymi z przerażenia patrzyła na otaczające ją płomienie. Potem odwróciła się do Cristiny.

— Wół był oszustem! — krzyknęła. — To była sztuczka! Zostałaś zdradzona, tak jak cała twoja rodzina! Wszystkie rodziny przez setki lat oszukiwano! Sądziłaś, że to część jakiejś wielkiej religii i może tak jest, tylko że to ich religia, nie twoja!

Zobaczyli, jak Luciana uśmiecha się triumfalnie, po czym podchodzi na brzeg sceny i niczym wielka aktorka wyrzuca ręce w powietrze w kierunku

widowni, a potem woła coś w rytualnym języku. Tłum powtórzył chórem jej słowa. Luciana znowu przemówiła, z błyszczącymi oczami, dobitnie akcentując każde słowo, jak gdyby przywoływała starożytne bóstwa. Potem nagle, bez uprzedzenia, objęła się ramionami, cofnęła się i znikła we mgle.

Kilka sekund później z tego samego miejsca wyłoniła się postać w czarnej szacie z kapturem. Wyszła na przód sceny i podniosła głowę.

Beck.

Powoli wyciągnął ramiona w stronę zgromadzonych i donośnym, melodyjnym głosem, w tym samym języku co Luciana, zaczął wygłaszać coś, co brzmiało jak podniosła oracja. Po chwili przerwał i czekał na odpowiedź tłumu. Kiedy ta nastąpiła, znowu przemówił Beck i ponownie odpowiedziała mu publiczność. Ten rytuał powtórzył się jeszcze kilkakrotnie, z każdym oddechem duchowny coraz bardziej nateżał głos, jakby tym wezwaniem czy pozdrowieniem chciał ściągnąć niebo na ziemię. Siła, pasja, zapal nabierały coraz większego pędu niczym niepowstrzymany pociąg pędzący do piekła. Był to występ zaaranżowany starannie i z rozmachem, aby jego uczestnikom zawrzała krew w żyłach, a emocje i poczucie wspólnoty w tym tajemnym rytuale sięgnęły zenitu. I tak przedziwna modlitwa Becka coraz bardziej narażała, aż zdawało się, że lada chwila cały budynek zawali się od potęgi jego głosu.

Jak gdyby znaleźli się w starożytnym Rzymie.

Albo nazistowskich Niemczech.

157

Marten strzelił dwa razy i obydwie zamki w drzwiach do pomieszczenia z panelami sterowniczymi rozpadły się na drobne kawałki. Hap szarpnął błyskawicznie drzwi i we trzech weszli do małego pokoiku. Na wprost zobaczyli tablicę rozdzielczą z kilkunastoma przełącznikami zaopatrzonymi w informacje, jaką część kościoła obsługują. Nad nimi dwa większe przełączniki podpisano na górze grubymi czarnymi literami Alimentación Exterior — Zasilanie Zewnętrzne. O nie właśnie chodziło prezydentowi.

— W budynku mogą być inne przełączniki, ale te dwa powinny odciąć wszystko.

Hap rozejrzał się szybko po pomieszczeniu.

— Tu nie ma żadnego wyjścia awaryjnego. Jedyne drzwi, jakie tu prowadzą, to te, którymi weszliśmy. Ktoś chciał mieć całkowitą kontrolę nad tym miejscem.

— Foxx — orzekł Nicholas.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Dopiero teraz na drugim końcu pomieszczenia zauważył wąskie stalowe drzwi wpuszczone w betonową ścianę. Tak samo jak poprzednie, te również miały ukryte zawiasy, ale nigdzie nie widać było żadnego zamka — ani elektronicznego, ani zwykłego, ani nawet klamki czy gałki. Za to w ścianie nad nimi tkwił taki sam czujnik podczuwieni jak przy bramie w tunelu z kolejką jednotorową.

Nicholas podszedł bliżej i zaczął oglądać tę ścianę oraz sąsiednią, która oddzialała sterownię od pokoju z monitorami wideo. Schodziły się pod kątem prostym, tak jak powinny, różnica jednak polegała na tym, że ta postawiona była mniej więcej metr bliżej niż taka sama ściana w sąsiednim pomieszczeniu.

Nagle włosy zjeżyły mu się na karku. Odwrócił się do prezydenta.

— Obraz na tych monitorach, wszystkie zautomatyzowane ruchy kamer, zmiany ujęć, które wydają się zaprogramowane... Założę się, że za tymi drzwiami znajduje się jakieś urządzenie rejestrujące, komputer lub coś innego. Nagrywają całą imprezę, łącznie z nazwiskami uczestników, datami i miejscami urodzenia, zbliżeniami twarzy i kodami DNA. Zachowują wszystko na twardym dysku, może zresztą w kilku wersjach, które służą za współczesną formę dawnego „pilnie strzeżonego dziennika”. W ten sposób zabezpieczają się przed własnymi ludźmi. Te dwa pomieszczenia są zbudowane ściana w ścianę, jak bunkry. To też robota Foksa, nazwijmy to dziedzictwem jego umysłu. Ogniodoporne, prawdopodobnie pancerne, ukryte tak, aby nikt nie mógł tu wejść bez jego wiedzy. Systemy są bezbłędnie zaprojektowane, rejestrują wszystko, co się dzieje w kościele, bez niczyjej ingerencji. Mówił pan, panie prezydencie, że nie ma żadnego dowodu na ich zbrodniczą działalność. Jeśli się nie mylę, po drugiej stronie tych drzwi znajduje się prawdziwy skarbiec dowodów.

W głośnikach w pokoju wideo zadudniła pieśń mnichów, która znowu przybrała na sile. Prezydent, Hap i Marten wrócili do monitorów, żeby zobaczyć, co się dzieje. Akurat w tym momencie Beck coś ogłosił. Chwilę później wokół kobiet niczym ognisty wąż wystrzelił we mgle drugi krąg płomieni, bliżej ofiar niż tamten. Ta okrutna rozrywka, dręcząca nieszczęsne kobiety,

przypominała powolny striptiz, tylko zamiast widowiska dokonywała się tu bestialska zbrodnia, zaaranżowana tak, aby zadać istocie ludzkiej jak największą ilość bólu.

Wybuchł trzeci ognisty krąg, jeszcze bliżej niż poprzedni. Cristina zapiszczała, kiedy płomienie liźnęły podstawę jej tronu. Popatrzyła rozpaczliwie na Demi, szukając u niej pomocy. Ale pomoc nie nadchodziła znikąd, dla żadnej z nich.

Marten zerknął na Jose stojącego w drzwiach, a potem odwrócił się do Hapa.

— Strzelaj w zawiasy, a jeśli to nic nie da, wypróbuj czujnik na górze. — Wyjął z kieszeni blackberry Foksa. — Zabrałem to z kieszeni doktora. Próbowałem wykorzystać w tunelu, ale się nie udało. Uczyli cię, jak się z takimi rzeczami obchodzić, więc może coś tym zdziałasz. — Popatrzył szybko na prezydenta. — Idziemy. Za czterdzieści sekund wyłączcie zasilanie.

— Powodzenia, kuzynie — powiedział prezydent.

Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Obaj wiedzieli, że to może być ich ostatnie spotkanie.

— Powodzenia.

— Nicholasie. Dwie sprawy — powiedział Hap. — Po pierwsze, daję ci dodatkową minutę.

— Dlaczego?

— Żeby się dostać do kobiet, będziesz musiał przejść przez te płomienie. Wejść po drodze do łazienki. Jest oznaczona WC. Żmocz włosy i ubranie, to ci zajmie dodatkową minutę. Następna sprawa, gotów jestem się założyć, że ci mnisi są uzbrojeni. Prawdopodobnie mają spluwy ukryte pod habitami. Jeśli któryś zrobi ruch w twoją stronę, strzelaj prosto w twarz. Reszta się przestraszy.

— Mam nadzieję. — Marten spojrział na Jose, a potem z powrotem na Hapa. — Wypuść nas.

158

MINUTA I TRZYDZIEŚCI OSIEM SEKUND

Drzwi się za nimi zamknęły, Nicholas wyciągnął zza pasa sig sauera i ruszyli przed siebie korytarzem.

MINUTA I TRZYDZIEŚCI DWIE SEKUNDY

Znaleźli drzwi do schowka i weszli do środka.

MINUTA I DWADZIEŚCIA OSIEM SEKUND

Nicholas wziął dwie latarki z półki obok warsztatu. Jedną podał Jose. Potem z wieszaka za półką zdjął nożyce do cięcia blachy.

MINUTA I DWADZIEŚCIA CZTERY SEKUNDY

Marten zamknął drzwi do magazynu i skierowali się korytarzem w stronę łazienki.

MINUTA I DWADZIEŚCIA SEKUND

Jose obserwował drzwi łazienki, podczas gdy Nicholas zdjął z siebie ubranie i włożył je do toalety, żeby nasiąkło wodą. Wtedy ubrał się z powrotem i podszedł do umywalki, żeby zmoczyć włosy.

Dokładnie po sześćdziesięciu sekundach opuścili łazienkę.

DZIEWIĘTNAŚCIE SEKUND

Doszli do schodów i ruszyli na górę. Nożyce do blachy i latarkę Nicholas włożył sobie za pas, do ręki wziął się sauera i wszystkie myśli skupił na scenie, ołtarzu i drzwiach, którymi mieli się tam dostać. Zastanawiał się nad oświetleniem awaryjnym, które włączy się zapewne, kiedy Hap z prezydentem odetną zasilanie. Gdzie może być rozmieszczone i ile da światła?

Wziął z magazynu nożyce do cięcia blachy, aby uwolnić obydwie kobiety, ale teraz zaczął się niepokoić, z jakiego materiału są zrobione ich więzy. Jeśli nożyce nie wystarczą, będzie musiał je odstrzelić, a to zawodna metoda, ponieważ musi być wykonana szybko i precyzyjnie, a jak to zrobić po ciemku? Jeszcze bardziej pogarszał sytuację fakt, że Demi przywiązano do krzyża nie tylko za nadgarstki i stopy, ale również wokół gardła. Niecelny strzał w tym miejscu może się okazać fatalny w skutkach.

CZTERNAŚCIE SEKUND

Doszli do szczytu schodów i zgodnie z zapowiedzią Hapa zobaczyli korytarz odchodzący w bok. Nicholas pociągnął Jose za ramię i szybko tam skręcili.

DZIESIĘĆ SEKUND

Na końcu korytarza doszli do drzwi. Nagle Marten przestraszył się, że mogą być zamknięte. Przekreślił gałkę i usłyszał ciche kliknięcie zamka. Popchnął je bardzo delikatnie, a kiedy ustąpiły, zamknął je z powrotem.

SZEŚĆ SEKUND

Spojrzał na Jose. Chłopak uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Gracias, Jose, gracias.

Jose znowu się uśmiechnął i delikatnie uderzył go pięścią w ramię. Nicholas odwzajemnił gest, również uśmiechając się pokrzepiająco. Chłopak był super. Można z nim było konie kraść, a nawet robić dużo niebezpieczniejsze rzeczy.

DWIE SEKUNDY

JEDNA!

W korytarzu zapadła ciemność.

159

9.16

Po ciemku Nicholas i Jose przeszli przez drzwi. Kilka metrów przed sobą zobaczyli scenę spowitą we mgle, a w samym środku kręgi ryczącego ognia otaczające Demi po prawej stronie i Cristinę po lewej. Szczęśliwie, jak na razie, żadnej z nich płomienie nie dosięgły.

Na podłodze pozostał jeszcze jeden nie zapalony krąg, gazowe dysze znajdowały się pod stopami obu kobiet. Gdyby te dysze zostały otwarte, Demi i Cristina zaczęłyby płonąć. Wtedy podniósłby się krzyk. Najwyraźniej piekielne widowisko mające przypieczętować Przymierze Machiavellego zaplanowano starannie, tak aby rozbudować bestialską dramaturgię do granic możliwości, zanim zostanie popełnione morderstwo. Paradoksalnie to właśnie dzięki temu sadystycznemu wyrachowaniu obydwie kobiety jeszcze żyły.

— Idziemy — szepnął Marten i ruszyli w ciemność na prawą stronę sceny.

Widzieli stąd ludzi na widowni, dyskutujących w zamieszaniu o niespodziewanej awarii. W bladym świetle wlewającym się do środka przez trzy okna z witrażami umieszczone wysoko pod stropem oraz sączącym się z sześciu słabych żarówek oświetlających wyjścia awaryjne widać było tylko rozmyte zarysy sylwetek. Poza tym w nawie kościoła panował mrok.

Nicholas wziął Jose za ramię i zataczając ręką półkole, dał mu znak, aby poszedł na przód sceny, wszedł na nią nieco z boku i dopiero wtedy zapalił latarkę, rozpoczynając w ten sposób swoją dywersję jako technik szukający przyczyn awarii.

9.17

— Co się stało?

Luciana znalazła Becka, który stał z trzema mnichami w półmroku tuż pod sceną.

— Nie wiemy. Sprawdziliśmy dwie tablice rozdzielcze w nawie głównej, wszystko było w porządku — odparł szorstko Beck. Nagle odwrócił się do mnichów. — Obstawić drzwi, nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać. Wyślijcie sześciu ludzi do sektora wiceprezydenta. Nie mamy pojęcia, co się dzieje.

9.18

— Co i gdzie dokładnie? — spytała kapitan Diaz po hiszpańsku wysokiego mężczyznę o kręconych włosach, ubranego w białe spodnie i biały T-shirt.

Stali oboje na samym środku pralni ośrodka wypoczynkowego w Aragonie. Bill Strait, James Marshall i trzech funkcjonariuszy CNP krążyło kilka metrów dalej.

— Znikły cztery czyste ubrania służbowe pracowników terenów zielonych — powiedział szybko Hiszpan. — Pracownik, który rano otwiera pralnię, zawsze liczy wszystkie ubrania. To samo robi wieczorem człowiek z drugiej zmiany. Ponieważ dzisiaj niedziela i poza tym cała ochrona jest postawiona na nogi, mamy bardzo mało ludzi. Dopiero dziesięć minut temu wszedłem tu, żeby policzyć rzeczy.

Diaz szybko odwróciła się do Straita i Marshalla.

— Znikły cztery mundury pracowników ośrodka. Ten człowiek zauważył to kilka minut po dziewiątej.

W TYM SAMYM CZASIE

Hap zaklął na głos, kiedy stary, wyrobiony śrubokręt, który przyniósł sobie z magazynu, ześliznął mu się z wgłębienia ostatniej, ósmej śruby. Powinni już być na zewnątrz i pisać wiadomość do Woody'ego, a tymczasem siedzieli w bunkrze Merrimana Foksa i usiłowali zdjąć obudowy dwóch połączonych komputerów, żeby wyjąć ze środka twarde dyski. Upierał się przy tym prezydent pod wpływem sugestii Martena, że mogą one stanowić niejako kod DNA samego Przymierza, a więc „prawdziwy skarbiec dowodów”. Pomimo protestów Hapa i uciekających cennych sekund Harris oświadczył, że nie ruszy się stąd na krok, dopóki nie zrobią absolutnie wszystkiego, co leży w ich mocy, aby go zdobyć. Daniels zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak podporządkować się żądaniu prezydenta, i zgodził się poświęcić na to cztery do pięciu minut, które dali Martenowi na uwolnienie kobiet.

Włamanie do bunkra nie nastąpiło zbytnich trudności, mimo że dwie serie z pistoletu maszynowego nie zrobiły nawet wgłębienia w stalowym zamku i pozostał im do dyspozycji tylko blackberry Foksa.

Nicholas miał rację, mówiąc: „uczyl cię, jak się z takimi rzeczami obchodzić”. Zanim przeniesiono Hapa do ochrony prezydenta, pracował w Miami jako ekspert w oddziale Secret Service zajmującym się przestępstwami elektronicznymi. Przyjrzał się urządzeniu Foksa i szybko odkrył, że pełni ono bardziej funkcję komputera niż telefonu. Po bliższych oględzinach stwierdził, że ma do czynienia z miniaturowym superprocesorem, wykorzystującym syntetyczne diamenty, które wytwarzają stosunkowo niewiele ciepła, umożliwiając ultraszybkie procesy przeliczeniowe w tak malutkim

urządzeniu. Pracował już kiedyś z podobnymi prototypami i liczył, że komputer Foksa zbytnio się od nich nie różni. Miał rację. Wystarczyło siedem prób, aby złamać zaszyfrowany kod i otworzyć drzwi do bunkra Foksa.

— No wreszcie, do diabła — burknął, kiedy ostatnia śruba pokrywy wypadła i mógł zdjąć osłonę komputera.

Na pierwszy rzut oka wnętrze obydwu urządzeń wydawało się wyjątkowo skomplikowane, niemniej dostęp do twardych dysków był łatwy. Mimo to Hap miał wątpliwości.

— Panie prezydencie, jestem pewien, że te dyski są chronione hasłem. Istnieje groźba, że jeśli je wyciągnę bez uruchomienia komputera, zostaną uszkodzone, a może nawet zupełnie wykasowane. Ale czas nam ucieka, więc albo je wyjmuję i ryzykujemy utratę danych, albo je zostawiamy i wyносimy się stąd do diabła. Niech pan zdecyduje.

— Proszę je wyjąć — odparł prezydent.

160

9.19

Jose był już prawie przy scenie. Z tyłu i nieco na lewo widział Martena skradającego się w stronę kobiet. Nagle zamarł. Po scenie, prosto w jego stronę szedł Beck. Cofnął się szybko. Po chwili duchowny zatrzymał się na brzegu sceny i zwrócił do zebranych.

— Drodzy przyjaciele — powiedział po angielsku. — Mamy tu zwykłą awarię elektryczności, nic więcej. Wytrzymajcie z nami jeszcze chwilę, a postaramy się jak najszybciej rozwiązać ten problem.

W tłumie dwustu osób rozszedł się niespokojny pomruk.

— Ej ty! — zwołał ktoś po hiszpańsku.

Jose obrócił się na pięcie. Dwóch ubranych na czarno mnichów wskoczyło na scenę i ruszyło w jego stronę.

— Coś ty za jeden? — warknął po hiszpańsku jeden z nich. — Co tu robisz?

Jose zerknął w bok i zobaczył, że Beck patrzy w jego stronę. Szybko zapalił latarkę.

— Elektryk — odpowiedział po hiszpańsku. — Mam znaleźć przyczynę awarii.

— Kto cię przysłał? Jak się dostałeś do budynku?

Z sig sauerem w jednym ręku i nożycami do cięcia blachy w drugim, w ubraniu i z włosami ociekającymi wodą Nicholas Marten poruszał się jak duch po scenie poza zasięgiem ognistych kregów. Jeszcze trzy sekundy, dwie i znalazł się tuż przy czerwonych językach ognia, dwa metry od Demi przywiązanej do krzyża po drugiej stronie płonącej bariery. Cristina w tej samej odległości na lewo siedziała na tronie. Obydwie zdawały się pogrążone w jakimś otępieniu.

Z przodu sceny Nicholas widział, jak Jose rozmawia z mnichami. Podszedł do nich Beck, ale nagle zatrzymał się i obejrzał w stronę kobiet. Popatrzył przez zasłonę ognia prosto na Martena. W następnej sekundzie ich spojrzenia się spotkały. Nicholas ujrzał wyraz kompletnego zaskoczenia na twarzy duchownego. W mgnieniu oka zaskoczenie ustąpiło miejsca zrozumieniu. Błyskawicznie Beck zakręcił się pięcie i zniknął w ciemności.

Nicholas odwrócił się z powrotem do kobiet. Nabrał powietrza w płuca i wstrzymał oddech. Potem zasłonił rękami twarz przed ogniem i wszedł w płomień.

9.20

Beck pospiesznie zszedł ze sceny i pobiegł korytarzem przylegającym do nawy głównej, zdecydowany wcielić w życie dawno przygotowywany plan.

— Wielebny! — zawołała za nim Luciana.

Okręcił się w kółko. Wiedźma stała w korytarzu cztery metry za nim.

— Ogłoś zgromadzonym, że msza skończona! — zawołał. — Nie ma prądu, więc drzwi są otwarte. Wszyscy mają natychmiast opuścić budynek i jak najszybciej wsiąść do autokarów. Powiedz mnichom, żeby nie wpuszczali nikogo do środka.

— O co chodzi?

— Ćwierć wieku — powiedział, po czym odwrócił się i pospieszył korytarzem tam, dokąd zmierzał.

— Ćwierć wieku.

Luciana zrozumiała w lot. Ćwierć wieku minie — jak im niegdyś powiedział Foxx — od rozpoczęcia budowy ośrodka, tuneli, kolejki i podziemnych laboratoriów do chwili, kiedy wszystko zostanie zamknięte i zniszczone.

Właśnie dzisiaj, dokładnie tego dnia, mijało dwadzieścia pięć lat i wszystko się skończy. I słusznie, z punktu widzenia Luciany. Zjawienie się Demi Picard było tego zwiastunem. Jej niesłabnąca miłość do matki stała się przekleństwem, i to dużo gorszym, niż ktokolwiek z nich sobie wyobrażał. Luciana zrozumiała to, gdy tylko ją zobaczyła.

9.21

— Demi! Demi! — Marten potrząsał dziewczyną, żeby obudzić ją z odrętwienia. Wreszcie zamrugała oczami. — Wszystko w porządku, nie ruszaj się! — powiedział, po czym przyłożył nożyce do grubego skórzanego pasa owijającego jej szyję.

Twarz i ręce błyszczały mu od potu. Żar był nie do wytrzymania. Nicholas starał się nie oddychać.

— Nie ruszaj się! — sapnął.

Nacisnął nożyce, ale nic się nie stało. Spróbował ponownie i tym razem ostrza złapały tkaninę i materiał ustąpił. Głowa opadła Demi na piersi, ale po chwili uniosła ją i oprzytomniała. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Panie Marten! — krzyknął Jose skądś po drugiej stronie płomieni.

Nicholas podniósł głowę i zobaczył Lucianę podchodzącą na środek sceny, potem usłyszał, że mówi coś do zgromadzonej publiczności.

Nagle przez płomienie ruszyło ku niemu dwóch mnichów, jeden za drugim, obaj z pistoletami maszynowymi w rękach.

Strzelił dwa razy. Twarz pierwszego mnicha eksplodowała. Mężczyzna runął ciężko na plecy w kłęby mgły.

Wypalił ponownie i drugi mnich padł i zniknął w ciemności.

Na widowni podniósł się krzyk.

— Jose! Jose! — wrzasnął Nicholas.

Błyskawicznie przeciął pasy na nadgarstkach i stopach Demi. Pod dziewczyną nogi się ugięły, kiedy ściągnął ją z krzyża. Objął ją ramieniem w pasie. W tym momencie do środka ognistych kręgów wpadł Jose. Tliły mu się włosy na głowie i koszulka.

Nagle zagrzmiała seria wystrzałów z pistoletu maszynowego. Kula musnęła Nicholasa w ucho, druga zapiekła go w policzek. Kilka następnych trafiło w krzyż, do którego przed chwilą przywiązana była Demi.

Marten znowu strzelił, tym razem na oślep przez płomienie. Serie z pistoletu maszynowego sypały się dalej jedna za drugą zza zasłony ognia.

Znowu strzelił dwa razy i w końcu kanonada ustała. Obrócił się na pięcie i wcisnął Demi w ramiona Jose.

— Uciekaj! — krzyknął! — Uciekaj! Szybko!

Kątem oka zobaczył jeszcze, jak chłopak szamoce się z kobietą, żeby ją przeciągnąć przez płomienie, po czym odwrócił się błyskawicznie, żeby uwolnić Cristinę. Dokładnie w tym momencie zapłonął trzeci krąg ognia i Nicholas znalazł się nagle w samym środku szalejącego piekła. Wrzasnął i rozpaczliwie sięgnął nożycami, szukając więzów pętających Cristinę.

Nagle zmartwiało. Część głowy Cristiny znikła, zgruchotana przez serię z pistoletu maszynowego. Chwilę później wspaniała grzywa czarnych włosów dziewczyny stanęła w ogniu. Nicholas tylko przez ułamek sekundy patrzył na ten przerażający widok, po czym z płonącymi włosami, przypieczoną skórą na twarzy i dłoniach, odwrócił się i rzucił się przez pożogę do ucieczki.

161

9.23

Pokój znajdował się na końcu ciemnego korytarza. Podobnie jak pomieszczenia na dole — z nadzorem wideo i tablicami rozdzielczymi instalacji elektrycznej — był właściwie małym betonowym bunkrem. Żeby się dostać do środka, Beck musiał przejść przez dwoje oddzielnych drzwi: pierwsze, drewniane i rzeźbione, tak jak wszystkie inne drzwi w kościele wymagały karty dostępu i kodu wciskanego na klawiaturze. Drugie, niespełna dwa metry dalej, zrobione były z grubej stali i wymagały kolejnego kodu, który otwierał małe okienko na górze. Należało w nie wsunąć specjalny klucz, który Beck dostał od Foksa. W środku zasiadł przed dwumetrowej długości pulpitem sterowniczym, który wyglądał, jakby go tu ściągnięto prosto z NASA, i składał się z rzędu monitorów telewizyjnych, przełączników, klawiatur i wskaźników niczym sterownia w gazowni, czym zresztą w przybliżeniu ten pokój właśnie był. Fakt, że w pozostałej części budynku odcięto dopływ energii elektrycznej, nie miał żadnego wpływu na to pomieszczenie.

Wszystkie urządzenia, wskaźniki i przełączniki działały bez zarzutu, zasilane potężnymi polimerowymi bateriami.

Beck wziął głęboki oddech i zlustrował rząd kontroltek i wskaźników opatrzonych starannymi podpisami. Wśród nich:

Wskaźnik odkształcenia ciśnieniowego w cylindrze.

Regulator skoków napięcia i drgań.

Wskaźnik wibracji instalacji rurowej.

Optymalizacja konfiguracji instalacji rurowej.

Kontrolka wykrywania przecieków.

Wibracje kompresora.

Zadowolony z odczytów pstryknął pięć kolejnych przełączników. Następnie wyjął z kieszeni drugi klucz, wsunął w otwór w panelu i przekręcił. Natychmiast kilka lampek kontrolnych zmieniło kolor z czerwonego na jaskrawozielony. Zegar cyfrowy zaczął odliczać czas, zaczynając od sześćdziesięciu minut. Beck przestawił go na piętnaście minut i zablokował.

— Ćwierć wieku — szepnął. — Dwadzieścia pięć lat.

W maszynowni, głęboko pod ziemią, diesel o mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych napędzał turbinową sprężarkę. Od prawie dwóch godzin pompował gaz ziemny wielkimi, półmetrowymi rurami i piętnastocentymetrowymi dyszami napełniał kilometry podziemnych korytarzy, laboratoriów, warsztatów i magazynów śmiercionośnymi i wybuchowymi wyziewami. Kościół miał być ostatni, napełnianie jego pomieszczeń miało się rozpocząć, kiedy po skończonej mszy hydrauliczna scena opuści się z powrotem do ukrytego pomieszczenia w piwnicy, na jej miejsce wjedzie oryginalna kościelna podłoga, goście wyjadą, a ochrona przeszuka i opuści budynek.

To przez Martena musieli zmienić plany. Po śmierci Foksa sterownia przeszła pod zarządek Becka, zgodnie z zasadami „sukcesji władzy”, starannie ustalonymi przez Przymierze. Choć rotacyjna funkcja międzynarodowego koordynatora działalności Przymierza przypadła w tym roku Stanom Zjednoczonym, zwierzchnictwo nad ochroną Projektu Aragon po śmierci Foksa oficjalnie przechodziło na Becka. Co oznaczało, że od dawna planowane zniszczenie kurortu, łącznie ze wszystkimi podziemnymi odnogami, leżało w jego gestii.

Jeszcze raz uważnie obejrzał wszystkie wskaźniki i monitory. Zadowolony spojrzął na timer. Raz uruchomiony, otworzy dysze w podziemiach

kościola i budynek zacznie się wypełniać gazem. Po piętnastu minutach unie się się do poziomu kręgów płomieni na scenie, a wtedy budynek i wszystko, co się w nim znajduje, wyleci w powietrze. W tym samym czasie włączą się zapalniki w tunelach i burza ognia o temperaturze dwóch i pół tysiąca stopni przetoczy się przez każdą szczelinę i każdy korytarz pod ziemią. Władze stwierdzą „powoli od lat rosnący poziom metanu” i powiążą wybuch z eksplozją, która wstrząsnęła wczoraj podziemiami klasztoru w Montserrat. Pozwolą, aby to piekło samo się wypaliło, co potrwa kilka tygodni, jeśli nie miesięcy. Wtedy nie pozostanie tu już nic poza zawalonymi tunelami i rozgrzanym pyłem unoszącym się w powietrzu.

Trzydzieści lat temu członkowie Przymierza uzgodnili strategię działania na Bliskim Wschodzie i zaangażowali świeżo poddanego inicjacji Merrimana Foksa, aby zaplanował szeroko zakrojone działania zmierzające do realizacji wyznaczonego celu. Trzy lata później Foxx przedstawił zgromadzeniu swój plan. Opracował w nim bardzo szczegółowo, co należy zrobić, gdzie, jak długo to potrwa, ile będzie kosztowało i co się stanie później. Przyjęto projekt i przedsięwzięcie ruszyło. Dwa lata później zakupiono ziemię i rozpoczęto realizację Projektu Aragon. Teraz, po dwudziestu pięciu latach, Beck, przejmując władzę zgodnie z ustaloną hierarchią, zaczął wcielać w życie plan autodestrukcji.

— Czwierć wieku — powiedział do siebie jeszcze raz, jak gdyby składał ostatni hołd własnej lojalności, po czym nastawił timer. Szybko odwrócił się do małego komputera stojącego z boku, wyjął z kieszeni pendrive'a i wsunął go w port USB. Popatrzył na monitor, na którym pojawił się właśnie pasek z żądaniem, aby wpisał hasło. Wystukał litery na klawiaturze, po chwili je powtórzył. Najechał kursorem na Napęd C, kliknął i przeciągnął całą zawartość do Napędu A. Dziesięć sekund później poprosił komputer o pozwolenie wyciągnięcia przenośnego dysku z portu USB, a kiedy uzyskał zgodę, wyciągnął pendrive'a z urządzenia i wsunął go z powrotem do kieszeni. Odcięcie głównego zasilania wyłączyło prąd w całym budynku z wyjątkiem tego pomieszczenia oraz awaryjnego zasilania głównego komputera w bunkrze, gdzie nagrywano i przechowywano pliki z dokumentacją Przymierza. Obydwa urządzenia tworzyły sieć, więc każda informacja, zarejestrowana tam, zapisywana była również tutaj. Właśnie tę bazę danych Beck skopiował na swój przenośny dysk.

Wstał i obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem. Zadowolony, że wszystko

jest jak należy, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Była dziewiąta dwadzieścia pięć. Dokładnie o dziewiątej czterdzieści unoszący się gaz dotrze do płonących kręgów na scenie i rozpęta się piekło.

162

9.27

Z nerwami napiętymi jak postronki, z pistoletem maszynowym w rękę Hap poprowadził prezydenta po schodach na górę i korytarzem w stronę tylnego wyjścia. Cztery minuty temu minął czas, jaki Marten i Jose mieli na uwolnienie kobiet. Hap był bardzo niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Niewielkie pocieszenie dawały dwa twarde dyski wyjęte z komputera Merriamana Foksa, które niósł w kieszeniach. Tak jak wcześniej powiedział prezydentowi, obawiał się, że ponieważ nie wprowadził hasła przed wymontowaniem napędów, pamięć została nieodwracalnie zniszczona. Bezużyteczne dyski w zamian za życie prezydenta to był w najlepszym razie kiepski interes, ale w tej chwili nie mieli już na to najmniejszego wpływu, więc jedyne, co im pozostawało, to iść dalej. I szli.

Od drzwi prowadzących na parking na tyłach kościoła, gdzie zostawili elektryczny wózek, dzieliło ich jeszcze dziesięć metrów korytarza. Wyjął z kieszeni blackberry, w którym przygotował sobie wiadomość do wysłania Woody'emu, gdy tylko wyjdą na dwór.

Przeszli trzy metry, kiedy zobaczył, że prezydent zerka niespokojnie w stronę schodów, którymi Marten i Jose weszli do nawy głównej kościoła. Wszędzie panowały cisza i mrok. Hap wiedział, o czym myśli Harris. Być może tamci uwolnili już kobiety i czekali na nich na zewnątrz, ale podobnie jak nadzieja, że wyjęte dyski zostały nieuszkodzone, tak i ta myśl zdawała się niewiele więcej niż mrzonką. Zadanie, jakiego się podjęli Marten i Jose, znacznie przerastało możliwości dwóch mężczyzn, a raczej jednego mężczyzny i chłopca. Hap nie miał wątpliwości, że obydwaj już nie żyją i kobiety także.

— Hap! — usłyszał nagle za plecami ostry głos Nicholas'a.

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył Martena i Jose prowadzących między sobą Demi. Dziewczyna była błąda jak ściana, głowa jej zwisała na piersi, spalone włosy i szkarłatna suknia jeszcze się na niej tliły. Na wpół przytomna szlochala niepowstrzymanie.

— Marten, wielki Boże! — zawołał prezydent i ruszył od razu w ich stronę.

Hap złapał go za ramię i zawrócił.

— Nie teraz, panie prezydencie! Teraz idziemy!

— Co z drugą dziewczyną? — Harris cały czas patrzył na Nicholasa.

Marten potrząsnął głową i dał znak, żeby szli dalej. Włosy miał przypalone, twarz i dłonie poparzone i osmalone. Jose wyglądał podobnie.

Doszli do wyjścia. Hap kazał im zaczekać, ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Sekundę później wyszedł na parking, uniósł blackberry i wysłał wiadomość do Woody'ego.

163

9.30

Zawrócił w stronę kościoła. Miał zamiar przytrzymać ich w środku przy drzwiach przez jakieś sześć, osiem minut, tyle, ile powinno zająć Woody'emu dotarcie tu śmigłowcem. Uszedł ledwie dwa kroki, kiedy z drugiej strony kościoła doszedł go charakterystyczny odgłos uruchamianego helikoptera. Sekundę później rozległo się wysokie zawodzenie drugiego śmigłowca. Zerknął w stronę drzwi i po krótkim namyśle zawrócił i wszedł na pagórek, ten sam, z którego rozglądał się po okolicy, kiedy tu pierwszy raz przyjechali. W odległości czterdziestu metrów zobaczył Marine Two i jego bliźniaczego brata, stojące z otwartymi drzwiami i przygotowujące się do startu. Nieco dalej sznur członków Instytutu Nowego Świata w strojach wieczorowych wylewał się z kościoła w stronę czarnych autokarów. Wszędzie mrowili się ludzie z wyłączono płonące kręgi, a fałszywą scenę opuszczono, by na jej miejsce nasunęła się prawdziwa podłoga? I co się stało z drugą kobietą, Cristiną? Z twarzy Martena, z jego ruchu głową wyczytał, że dziewczyna nie żyje. Czy uprzątnięto jej ciało? I jaką rolę w tym wszystkim odegrają teraz mnisi? Czy to do nich należały te furgonetki zaparkowane na tyłach kościoła? Jeśli tak, to najprawdopodobniej za chwilę zaczną schodzić do wyjścia, gdzie właśnie czekają prezydent i pozostali.

Nagle zauważył Roleya Sandovala, dowódcę ochrony wiceprezydenta,

eskortującego razem z grupą swoich podwładnych Rogersa, sekretarza obrony, sekretarza stanu i całą resztę wiceprezydenckiej świty, w skład której wchodziła teraz również przewodnicząca Jane Dee Baker. Szli w stronę Marine Two.

Bez względu na to, co się wydarzyło w kościele, a co zapewne nie było zaplanowane, decydującą rolę odgrywał teraz czas. Kiedy odlecą śmigłowce, a ludzie wsiądą do autokarów i odjadą, Secret Service zacznie przeszukiwać i zabezpieczać budynek, a to oznaczało, że aż do przylotu Woody'ego nie mieli się gdzie ukryć, chyba że między drzewami wokół parkingu.

W obydwu śmigłowcach zamknięto drzwi. Rozległ się ogłuszający warkot, Marine Two wznosił się w powietrze i po chwili odleciał na południe. Zaraz za nim podążył drugi Marine. Kilka sekund później obydwie helikoptery znikły wszystkim z oczu.

9.34

Hap spojrzał na autokary. Ludzie już wsiadali do środka. Ile czasu może jeszcze upłynąć, zanim mnisi wyjdą z kościoła i Secret Service zacznie przeszukiwanie? Chciał jak najdłużej przytrzymać prezydenta w ukryciu i nie wyprowadzać go na zewnątrz, ale teraz nie wchodziło to już w grę. Musiał ich zabrać z budynku pod osłonę drzew, inaczej dojdzie do strzelaniny z mnichami albo wpadną na agentów Secret Service. Albo jedno i drugie.

Podjął decyzję i odwracał się właśnie w kierunku kościoła, kiedy w górze rozległ się dudniący łoskot i tuż nad czubkami drzew przeleciał helikopter hiszpańskiego CNR. Sekundę później zawrócił i ruszył z powrotem w jego stronę.

Hap schylił się i ukrył pod rozłożystym drzewem. Obserwował, jak samolot zbliża się i zwalnia, aż wreszcie nieruchomieje dokładnie nad parkingiem. Widział pilota, który najpierw z ożywieniem rozmawiał ze swoim pierwszym oficerem, a potem mówił coś żywo do mikrofonu. Po chwili maszyna wzniosła się na wysokość siedemdziesięciu metrów i tam znowu zawiąsała nieruchomo.

Hap rozejrzał się po niebie. Gdzie się podział Woody, do cholery? Czyżby nie dostał wiadomości? Czy też może dostał, ale poinformował od razu CNP i stąd się wziął hiszpański śmigłowiec? W oddali widział, jak czarne błyszczące autobusy zaczynają jeden po drugim odjeżdżać spod świątyni.

— Psiakrew — warknął pod nosem.

Nie mógł się ruszyć z miejsca, żeby go nie zauważyli policjanci z helikoptera. Z drugiej strony, nie mógł czekać, aż mnisi albo Secret Service natkną się w kościele na prezydenta i resztę.

Popatrzył na zegarek. Dziewiąta trzydzieści pięć. Gdzie ten Woody, do stu diabłów? Czy w ogóle do nich leciał?

164

Timer nastawiony przez Becka w sterowni przeskoczył napięcie minut.
4.59

Gaz wzniósł się na wysokość dolnej kondygnacji kościoła i szybko ulatywał coraz wyżej. Tak jak w laboratorium Foksa, był to gaz ziemny, składający się głównie z metanu, jednak zgodnie z decyzją doktora nie dodawano do niego merkaptanu, który nadaje mu ostrzegawczy zapach. W efekcie nikt, kto przebywał w kościele, nie mógł wiedzieć, że wokół unoszą się śmiertelnie opary.

4.58

Śmigłowiec CNP wystartował z pola golfowego. Kapitan Belinda Diaz siedziała na siedzeniu drugiego pilota, a za nią sześciu agentów Billa Straita. Kilka sekund później w powietrze wzniósł się drugi helikopter z kolejnymi kilkunastoma funkcjonariuszami Secret Service na pokładzie. Na wysokości trzydziestu metrów pierwszy samolot skręcił w lewo i poleciał w stronę kościoła. Za nim podążył drugi.

— Mówi kapitan Diaz — powiedziała kobieta po hiszpańsku na częstotliwości używanej przez hiszpańską Tajną Służbę i policję. — Poszukiwani znajdują się prawdopodobnie przy tylnym wejściu do kościoła La Iglesia de Santa Maria. Oddziały od siódmego do dwunastego, zarządzam pełną gotowość. Oddziały Secret Service działają na miejscu bez rozkazu i ostrożnie.

Hap ukrył pistolet maszynowy pod koszulą, wyszedł spod osłony drzewa i ruszył w stronę wejścia do kościoła. Tylko raz spojrzął na wiszący w górze helikopter. Po drodze podniósł grabie, którymi Jose zgarniał liście, i położył je na bagażniku wózka elektrycznego.

— Halo! Pracownik ośrodka, proszę się zatrzymać! — odezwał się po hiszpańsku głośnik z helikoptera. — Policja! Proszę się zatrzymać!

467

Hap zdecydował się na to śmiało posunięcie, ponieważ uświadomił sobie, że podobnie jak prezydent, Marten i Jose, miał na sobie służbowe ubranie obsługi ośrodka Aragon. Do tej pory w magazynach prawdopodobnie odkryto już zniknięcie mundurów lub wózka albo może jednego i drugiego. Jeśli tak, to CNP, a pewnie również Bill Strait z setkami agentów Secret Service i CIA przeczesywali właśnie cały rozległy teren kurortu w poszukiwaniu zaginionego wózka i ogrodników. Wychodząc z ukrycia, ułatwiał im zadanie, ale też zyskiwał na czasie, licząc, że lada chwila zjawi się Woddy ze śmigłowcem i wyląduje na parkingu, co zdezorientuje policję w drugim samolocie i da im czas na ucieczkę.

Hap popatrzył w górę i wyciągnął ręce, a potem pokazał w stronę drzwi do kościoła. Potem opuścił ręce i spokojnie poszedł do wejścia. W tym samym momencie zobaczył kilkanaście policyjnych SUV-ów pędzących zderzak w zderzak w stronę świątyni.

W sterowni timer nastawiony przez Becka kontynuował odliczanie.

4.08

4.07

Hap szybko wszedł do kościoła, spodziewając się, że prezydent, Marten, Jose i Demi będą na niego czekali gotowi do wyjścia. Nic podobnego. Jose leżał na podłodze na wpół przytomny, z rozpiętą koszulą, a nad nim klęczał Nicholas. Wszędzie dookoła pełno było krwi. Prezydent dwa metry dalej przytrzymał szlochającą i bliską hysterii Demi, aby Marten mógł się spokojnie zająć chłopcem.

— Co się stało? — wypalił Hap.

— Jose został postrzelony. Nikt o tym nie wiedział, dopóki nie upadł na podłogę — powiedział szybko prezydent. — Dostał w pierś albo w ramię.

— Panie prezydencie, nie mamy czasu. Jedzie tu hiszpańska policja, a ich Tajna Służba jest tuż za rogiem. Jeśli Woody tu leci, powinien wylądować lada sekunda. Musimy natychmiast wychodzić.

— Nie możemy ich tu zostawić.

— Musimy!

— Panie Marten — powiedział prezydent — czy możemy postawić Jose na nogi?

— Myślę, że tak.

Harris popatrzył na Hapa, potem na Demi.

— Weź ją. Demi, idź z Hapem. — Błyskawicznie pochylił się koło Nicholasa i we dwóch dźwignęli Jose na nogi. Spojrzał na Hapa. — Wychodźmy!

W kościele, w sterowni gazu timer odliczał bezlitośnie.

3.12

3.11

Tylne drzwi do kościoła otworzyły się z hukiem. Pierwszy wyszedł Hap, szybko, z odznaką Secret Service przypiętą do kołnierza koszuli, z prawą ręką na pistolecie maszynowym pod koszulą, lewą obejmując Demi w pasie, na wpół ją ciągnął, na wpół podtrzymywał. Za nim szli prezydent i Marten, między nimi Jose zdrową ręką wisiał na szyi Nicholasa, a Harris podtrzymywał go za pasek od spodni.

— Stać! Nie ruszać się! — zawołał po hiszpańsku odcieleśniony głos z megafonu. — Zatrzymajcie się natychmiast! — powtórzył ten sam głos po angielsku.

Dokładnie na wprost wejścia samochodu policyjne zagradzały drogę do kościelnych furgonetek, wózka elektrycznego i wyjazdu spod kościoła. Przed nimi stało dwudziestu uzbrojonych policjantów. Śmigłowiec CNP wznosił się na wysokość dwustu metrów i wisiał tam nieruchomo. Właśnie w tej chwili dołączył do niego helikopter z kapitan Diaz na pokładzie, a zaraz za nim drugi, który zajął pozycję i czekał.

— Widzę ich — powiedziała kapitan Diaz, dając znak pilotowi drugiego śmigłowca.

Jej samolot opuścił się na siedemdziesiąt metrów i zatrzymał się. Na lewo Hap zobaczył co najmniej dwudziestu ludzi Tajnej Służby, biegnących pod górę od frontowej części kościoła.

— Tu Secret Service Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej! — wrzasnął Hap, a potem powtórzył to jeszcze raz.

Nikt się nie ruszył.

— Co teraz? — zapytał prezydent cicho.

— Niech im pan powie jeszcze raz, że jesteśmy z Secret Service i że mamy rannego cywila, który potrzebuje natychmiastowej opieki medycznej — odpowiedział Hap równie cicho.

Prezydent zrobił pół kroku naprzód.

— Jesteśmy funkcjonariuszami amerykańskiej Secret Service! Ten człowiek jest ciężko ranny i potrzebuje lekarza, natychmiast! — krzyknął po hiszpańsku. — Powtarzam: potrzebna natychmiastowa pomoc medyczna!

Timer Becka kontynuował swój nieubłagany marsz ku zeru.

2.17

2.16

2.15

Kapitan Diaz obejrzała się przez ramię na jednego z agentów Secret Service, którzy siedzieli za nią i wyglądali na dół.

— Mówią, że są od was. Poznajecie ich?

— Ten jeden wygląda trochę jak szef ochrony prezydenta, ale z tej odległości i w tym ubraniu nie jestem pewien. I nie mam pojęcia, co to za kobieta, nikogo więcej nie poznaję.

W następnej chwili czterech uzbrojonych policjantów z CNP ruszyło powoli do przodu, dowódca hiszpańskiej Tajnej Służby dał znak swoim ludziom, żeby utrzymali pozycję.

— Cholera jasna, Woody, gdzie jesteś — szepnął Hap. — W golfa grasz czy co?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie słońce przysłonił nagle gigantyczny kształt i pośród ogłuszającego ryku, burzy piasku i ludzi szukających ukrycia wielki, dwusilnikowy chinook wyłonił się znad czubków drzew i wśliznął pod samolot kapitan Diaz.

— Woody! — wykrzyknął prezydent.

— Do diabła ciężkiego, cztery minuty temu ten helikopter siedział na ziemi. Co tu się dzieje? — zapytał pilot lecący z kapitan Diaz. — Co mam zrobić?

— Pani kapitan, tu agent specjalny Strait — rozległ się w jej słuchawkach głos Billa Straita. — Chinook ma pozwolenie na lądowanie. Proszę, wstrzymajcie wszystkie akcje.

Przez chwilę Diaz nie odpowiadała.

— Utrzymaj pozycję — powiedziała w końcu do pilota, a potem do mikrofonu: — Chinook może lądować. Wszystkie jednostki zostać na pozycjach.

Hap wytrzeszczał oczy, kiedy chinook zaczął się przymierzać do lądowania.

— Za nic nie uda mu się posadzić tu tego potwora. Przecież tu nie ma miejsca!

Łącznie z obracającymi się płatami wirników chinook miał ponad trzydzieści metrów długości. Otoczony drzewami parking na tyłach kościoła mógł mieć góra trzy metry więcej. Żeby postawić na tym skrawku terenu takiego molocha, Woody'emu potrzebne były najwyższe umiejętności, piekielny fart, smar i łyżka do butów.

W kościele timer Becka tykał dalej.

1.51

1.50

1.49

Chinook opuszczał się coraz niżej. Widzieli już Woody'ego za sterami, rozglądającego się w przód, w tył i na boki, jak gdyby wciskał ciężarówkę z naczepą na miejsce parkingowe dla samochodu osobowego. Nagle z tyłu rozległ się trzask i zgrzyt — tylne śmigło ścięło z drzewa kilka iglastych gałęzi i rozrzuciło je na wietrze. Potem maszyna usiadła ciężko na ziemi.

— Szybko! — krzyknął Hap. — Biegiem!

Najpierw do przodu ruszyli Marten z prezydentem i Jose, a za nimi Hap, podtrzymując Demi. Otworzyły się drzwi śmigłowca, w środku stali Bill Strait i dwaj lekarze. Pięć sekund, dziesięć i uciekinierzy dopadli do samolotu i już im pomagano wsiąść do środka. Następne dziesięć i załoga chinooka zasuwiała drzwi. Natychmiast zawyły silniki i Woody zaczął podrywać maszynę w powietrze. W ciągu ośmiu sekund wzniesli się ponad poziom drzew, po ośmiu następnych maszyna obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i odleciała na wschód.

165

— Mówi kapitan Diaz — zatrzeszczał kobiecy głos w słuchawkach hiszpańskich policjantów. — Do wszystkich jednostek: koniec akcji, wracamy do bazy. Powtarzam: wszystkie jednostki wracają do bazy.

W kościele timer tykał nadal.

0.31

0.30

0.29

— Później się mną zajmiecie — powiedział prezydent do lekarzy, przerykując wycie silników i śmigieł chinooka. — Tu jest ranny chłopak. — Odwrócił się do Jose. — Został postrzelony i paskudnie się poparzył. Trzeba też spojrzeć na panią Picard, przeżyła wstrząs i prawdopodobnie też ma silne poparzenia. Pan Marten również potrzebuje pomocy.

— Dzięki Bogu, że jest pan w końcu bezpieczny.

Prezydent odwrócił się raptownie na pięcie, słysząc aż zanadto znajomy głos.

Od strony kabiny pilota szedł w ich stronę James Marshall.

— Nie chciałem przeszkadzać w akcji ratunkowej — powiedział z najszerszym zapałem. — Ma pan za sobą okropne przeżycia.

0.05

0.04

0.03

— Co pan tu robi? — spytał lodowatym tonem prezydent, patrząc na Marshalla oczami jak szparki. — Dlaczego nie jest pan ze swoimi współnikami?

Skądś w dole i z tyłu doszedł ich głuchy, okropny huk, jakby gigantyczny wybuch.

— Co to było? — zapytał Marten i odwrócił się, żeby wyrzeć przez okno.

W tym momencie dotarła do nich fala uderzeniowa. Chinookiem rzuciło na bok, a po chwili maszyna zaczęła opadać jak kamień. Woody złapał stery. Płaty nośne zakreśliły się szybciej, maszyną zatrzęsło, w końcu jednak pilot odzyskał kontrolę nad sterami i helikopter wyrównał poziom.

Prezydent podszedł do Nicholasa i również wyjrzał przez okno. Sekundę później dołączyli do nich Hap i Bill Strait. W oddali widzieli kłęby ognia i dymu wzbijające się nad wzgórzem, na którym stał kościół.

— Woody! Zawracaj natychmiast! — zawołał Harris.

— Tak jest, panie prezydencie.

Chinook okręcił się ostro o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył z powrotem w stronę płonącego piekła, które rozpętało się nad miejscem, gdzie jeszcze stał niedawno kościół. Dokładnie w tym samym momencie w powietrze wyleciała cała reszta konstrukcji Merrimana Foksa. Czegoś takiego nikt z obecnych na pokładzie śmigłowca nie widział. Budynki gospodarcze podskoczyły i rozleciały się na miliony kawałeczków. Potem przez winnicę przebiegła linia wzbijających się kłębów piasku, jak gdyby gdzieś pod ziemią zadrżał gigantyczny wąż. Linia popęzła dalej przez pagórkowaty teren wokół Aragonu, a następnie dalej w góry, w kierunku klasztoru Montserrat. Tu i ówdzie przez szczeliny w skale i kominy wytryskiwały na powierzchnię wielkie chmury dymu i ognia.

— Foxx — rzekł Marten, spoglądając na prezydenta. — Wysadził w powietrze kościół, budynki ośrodka i cały tunel z kolejką jednotorową, wszystko. Możliwe, że mnisi byli jeszcze w środku.

— Więc temu miały służyć te dysze wylotowe w tunelu — powiedział prezydent. — On to wszystko zaplanował dawno temu. Nikt teraz niczego nie znajdzie, nawet śladu po tym, co robił. — Nagle prezydent odwrócił się od okna i popatrzył na Marshalla. — Czy klasztor też wyleci w powietrze?

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie prezydencie.

— Nie wie pan?

— Nie.

— Nie dojdzie do klasztoru — powiedział Marten cicho. — Tamtą część wysadził wcześniej. Nic tam nie zostało. Eksplozja skończy się w tunelu kolejki.

Prezydent odwrócił się do Hapa.

— Każ CNP zawiadomić klasztor. Niech przynajmniej będą uprzedzeni o tym, co się dzieje.

— Tak jest.

Prezydent odwrócił się do Woody'ego.

— Panie majorze, czy zbiorniki są zatankowane do pełna?

— Tak, panie prezydencie.

— Jaki mamy zasięg? Tysiąc dwieście mil morskich?

— Trochę więcej.

— W takim razie niech nas pan zabierze poza hiszpański obszar powietrzny. Proszę załatwić wolny korytarz do Niemiec.

— Panie prezydencie, mam rozkaz zawieźć pana na lądowisko pod Barceloną. Sekretarz generalny przygotował tam samolot CIA.

Marten i Hap wymienili spojrzenia, po czym Hap sięgnął za koszulę i wyciągnął pistolet.

— Odwołałem ten rozkaz, panie majorze — oznajmił spokojnie Harris.

— Prosiłem o zmianę kursu na Niemcy. Proszę wykonać polecenie. Kiedy będziemy nad Niemcami, powiem panu dokładniej, gdzie ma pan wylądować.

— On nie może tego zrobić, panie prezydencie. — Marshall ruszył w jego stronę. — Chodzi o pańskie bezpieczeństwo. Wszystko zostało zaplanowane.

— Panie doradco, myślę, że zrozumie pan, jeśli powiem, że plany się zmieniły. Niebawem pan, wiceprezydent i wszyscy inni moi tak zwani przyjaciele zostaną aresztowani i oskarżeni o zdradę stanu. Proponuję, aby usiadł pan spokojnie i czekał. Hap chętnie panu potowarzyszy.

Jeszcze przez dłuższą chwilę Harris świdrował Marshalla wzrokiem, aż wreszcie odwrócił się do Woody'ego.

— Panie majorze, proszę natychmiast zmienić kurs. To bezpośredni rozkaz głównodowodzącego.

Woody popatrzył na Marshalla, jak gdyby próbował podjąć decyzję.

— Majorze — powiedział stanowczo Marshall. — Ma pan swoje rozkazy. Prezydent przeżył załamanie nerwowe. Nie wie, co mówi. Pańskim zadaniem jest go chronić, podobnie jak pana Daniela. I Billa Straita. Po to tu wszyscy jesteśmy.

Woody patrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się z powrotem do sterów.

— To na nic, Jim, jest pan skończony — powiedział prezydent. — Przymierze też jest skończone.

— Przymierze? — Marshall wytrzeszczył na niego oczy z niedowierzaniem.

— Tak, Jim, wiemy o Przymierzu i wiemy, kto do niego należał. Widzieliśmy, co się działo w kościele w Aragonie, wszyscy widzieliśmy: Hap, pan Marten, ja i Jose.

— Pan się nie czuje dobrze, panie prezydencie. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. — Nagle odwrócił się do Woody'ego. — Dostał pan wyraźne rozkazy, majorze. Proszę wstrzymać kurs.

Prezydent i Marten odwrócili się do kabiny pilota. Hap ruszył w tamtą stronę z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

To Marshallowi wystarczyło. Dwoma susami dopadł do drzwi. Ogłuszający ryk rozległ się równocześnie z gwałtownym uderzeniem masy powietrza.

— Łapcie go! — krzyknął prezydent.

Ale już było za późno. Lecieli na wysokości ośmiuset metrów. Marshall zniknął.

PONIEDZIAŁEK

10 kwietnia

BAZA LOTNICZA SPANGDAHLEM. NIEMCY. 3.15

Nicholas ostrożnie przewrócił się na bok w półśnie, uważając, aby nie urazić się w zabandażowane, poparzone lewe ramię i szyję. Miał własny pokój w kwaterach oficerskich, niedaleko Hapa Danielsa i Billa Straita, którzy spali po sąsiedzku z prezydentem.

Przylecieli do amerykańskiej bazy lotniczej w Spangdahlem prawie niezauważeni. W normalnej sytuacji wylądowaliby pod prezydencką banderą w bazie Ramstein, ale nie tym razem. Owszem, wiedział o ich przybyciu dowódca jednostki i kilku najbliższych współpracowników, ale nikt więcej. Lekarze, którzy lecieli z nimi chinookiem, zbadali prezydenta i wysłali go na odpoczynek — anonimowego, pilnie strzeżonego VIP-a.

Jose, Demi, Martena i Hapa zawieziono do szpitala na terenie bazy. Z tego, co wiedział Marten, Jose i Demi pozostaną tam dłużej, prawdopodobnie co najmniej kilka dni. Poinformowano rodzinę chłopca i Miguel z ojcem Jose lecieli właśnie z Barcelony. Spodziewano się ich lada chwila.

Miguel — Nicholas uśmiechnął się w ciemności na myśl o tym, w co się wpakował zwykły kierowca limuzyny. Ale jakim okazał się wspaniałym mężczyzną i przyjacielem w ciągu zaledwie kilku godzin. Chłopcy także, wszyscy: Amado, Hector, a zwłaszcza Jose, młodzik, który wystraszył się na śmierć w tunelu i nie chciał schodzić na dół kominem, ponieważ sądził, że idą do piekła. Jakże mało wówczas wiedział o piekle, do którego sam się wkrótce zgłosił na ochotnika. Miguel, Amado i Hector również niemało przeszli, przesłuchiwani przez hiszpańską policję i amerykańskie Secret Service, wszystko po to, żeby prezydent zyskał na czasie.

Harris pozostawił Martena samemu sobie na czas podróży, kiedy przemierzali chinookiem Europę: nad Pirenejami wlecieli we francuski obszar powietrzny, potem skierowali się na północ przez Francję, Luksemburg i do Niemiec. Przelecieli nad Trewir i wylądowali w Spangdahlem. Było to zrozumiałe, miał w końcu mnóstwo pilnych spraw. W pierwszej kolejności Harris odbył osobistą rozmowę z kanclerz Niemiec i prezydentem Francji, a następnie trójstronną telekonferencję z obojgiem. Wszyscy zgodnie uznali, że od dawna planowane spotkanie na szczycie NATO, ustalone na dzisiaj na pierwszą po południu, powinno dojść do skutku, natomiast ze względów bezpieczeństwa zmienione zostanie miejsce konferencji. Po starannie zaszyfrowanych konsultacjach z ministerstwami spraw zagranicznych dwudziestu sześciu państw członkowskich jednomyślnie uzgodniono przeniesienie spotkania z Warszawy w miejsce, które wybrał sam prezydent, a które w obecnych okolicznościach wydawało się szczególnie wymowne: dawny nazistowski obóz zagłady Auschwitz na południu Polski. Tam właśnie prezydent Harris wygłosił krótką mowę, w której wyjaśnił między innymi przyczyny swego zniknięcia w Madrycie, a także przeniesienia uroczystości z Warszawy do Oświęcimia.

Później Harris zadzwonił do rzecznika prasowego Białego Domu, Dicka Greena, który był już w drodze do Warszawy, i poinformował go o zmianie miejsca szczytu na Oświęcim. Zapowiedział również, że w trybie natychmiastowym nastąpi gruntowna przebudowa gabinetu, ale na razie wszystkie informacje z tym związane są ściśle tajne i nie mają prawa przedostać się do prasy.

Następnie, usłyszawszy od Billa Straita o „wypadku” Jake'a Lowe'a oraz mając przed oczami żywy obraz Jamesa Marshalla wyskakującego z samolotu na wysokości ośmiuset metrów, a także trującą kapsułkę w zębie Merrimana Foksa, kazał Hapowi zadzwonić do Roleya Sandovala, szefa ochrony wiceprezydenta, i bez wyjaśniania powodów zlecić mu przydzielenie po cichu dodatkowej ochrony Rogersowi oraz jego świcie, aby zapobiec kolejnym samobójstwom.

Zaraz potem prezydent zadzwonił do wiceprezydenta Hamiltona Rogersa, sekretarza stanu Davida Chaplina, sekretarza obrony Terrence'a Langdona, przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generała Chestera Keatona oraz sekretarza generalnego Toma Currana. Rozmowy te były krótkie i zwięzłe. Od każdego z nich zażądał złożenia rezygnacji i wysłania jej faksem w ciągu godziny do przewodniczącego Izby Reprezentantów Kongresu. Jeśli tego nie uczynią, zostaną zdymisjonowani w trybie natychmiastowym. Dalej zażądał, aby najpóźniej jutro w południe stawili się w

ambasadzie amerykańskiej w Londynie, gdzie zostaną aresztowani i oskarżeni!” o zdradę stanu i spiskowanie przeciwko rządowi i społeczeństwu Stanów Zjednoczonych.

Na koniec zatelefonował do dyrektora FBI w Waszyngtonie. Poinformował go o tym, co się stało, i polecił, aby zachowując dyskrecję, aresztował członkinię Kongresu, panią Jane Dee Baker, która towarzyszy wiceprezydentowi w podróży do Europy, a także niejakiego Evana Byrda, byłego obywatela Stanów Zjednoczonych, obecnie mieszkającego w Madrycie. Obojgu ma postawić ten sam zarzut po przedsięwzięciu stosownych środków ostrożności, aby zapobiec próbom samobójstwa.

Po zakończeniu tych wszystkich rozmów prezydent poszedł na drugi koniec samolotu, aby dowiedzieć się od lekarzy o stan zdrowia Jose i Demi. Zamienił następnie kilka zdań z obojgiem, po czym wrócił, aby wypić kawę z Nicholasem i Hapem. Wreszcie poszedł do łóżka, a ściśle mówiąc, noszy, aby się odrobinę zdrzemnąć. Przed zaśnięciem zastanawiał się nad swoją przemową w Oświęcimiu. Nie był jeszcze pewien, co powie, nie umiał przewidzieć, jakie to wywoła konsekwencje, ale chciał, aby jego mowa oddała rzetelnie i uczciwie to, co się wydarzyło, co odkryli i co jeszcze mogło nastąpić, i aby zabrzmiało to stosownie na tej świętej ziemi, gdzie postanowił tę prawdę ujawnić.

Prawie natychmiast po przylocie do Spangdahlem udał się do swojego pokoju, aby przygotowywać wystąpienie.

Marten znowu przewrócił się na łóżku. W oddali słyszał grzmot i dudnienie startujących myśliwców. Zapewne odbywały się rutynowe loty i do odgłosów tych można się było przyzwyczaić. W Spangdahlem stacjonowała Pięćdziesiąta Druga Eskadra Myśliwców Bojowych, która przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nadzorowała rozmieszczenie amerykańskich myśliwców na całym świecie.

W jego myślach przyszła kolej na Demi.

Usiadła obok niego mniej więcej godzinę po starcie chinooka. Lekarze opatrzyli jej oparzenia i podali łagodne środki uspokajające, potem ubrali w szpitalną koszulę i zalecili sen. Zamiast tego spytała, czy może posiedzieć z Nicholasem, i lekarze wyrazili zgodę. Przez długi czas po prostu siedziała i wpatrywała się w pustkę. Przestała płakać, ale oczy nadal miała wilgotne.

Marten czuł, że nie były to już łyzy przerażenia i grozy, tylko ulgi, a może i niedowierzania, że wszystko się skończyło.

Nie wiedział, czemu chciała siedzieć akurat obok niego, ona też mu tego nie powiedziała. Domyślał się, że pragnie z nim porozmawiać, ale nie wie, co powiedzieć albo jak to ująć, albo po prostu nie ma jeszcze siły. Wreszcie odwróciła się do niego i popatrzyła mu w oczy.

— To była moja mama, nie siostra. Zaginęła w Paryżu, kiedy miałam osiem lat. Niedługo potem zmarł tata — rzekła głosem ledwie głośniejszym od szeptu. — Od tamtej pory nigdy nie przestałam jej szukać. Teraz wiem, że ją tak bardzo kochałam i że... ona też mnie kochała.

Łzy wezbrały jej w oczach i pociekły po policzkach. Nicholas zaczął coś mówić, ale go powstrzymała.

— Nic ci się nie stało?

— Nie.

Próbowała się uśmiechnąć.

— Przepraszam za to, co ci zrobiłam. Tobie i prezydentowi.

Delikatnie dotknął jej twarzy i otarł z niej łzy.

— Nic się nie stało — szepnął. — Już wszystko w porządku. Wszyscy jesteście cali i zdrowi.

Demi wzięła jego rękę i przez długą chwilę trzymała ją w dłoniach. Potem, nie puszczając go, oparła się plecami o ścianę i Nicholas zauważył, że jest skrajnie wyczerpana. Po chwili zamknęła oczy i zasnęła.

Przyglądał się jej jeszcze trochę, po czym odwrócił głowę pewny, że jeśli tego nie zrobi, sam się rozplacze. Tylko że jego łzy nie były wynikiem ulgi ani odprężenia po tym, co przeszli, ale czegoś zupełnie innego.

Podczas lunchu w Czterech Kotach w Barcelonie Demi spytała go o Caroline i o to, dlaczego pojechał za Foksem najpierw na Malte, a potem do Hiszpanii. Kiedy jej odpowiedział, rzekła: „Więc można powiedzieć, że przygnała tu pana miłość”.

Teraz zrozumiał, że mówiła nie tylko o nim i o Caroline, ale o sobie i swojej matce. Oboje zrobili to wszystko z miłości.

Kiedy tak spała obok niego wyczerpana fizycznie i psychicznie, ubrana w szpitalną koszulę, ta bliskość, intymność boleśnie przypomniawszy mu o Caroline — kiedy spała obok niego w szpitalu, a on trzymał ją za rękę w ostatnich godzinach jej życia.

Znał Demi niewiele ponad tydzień. Caroline kochał przez całe życie.

I nadal nie przestał jej kochać.

6.10

Pukanie do drzwi wyrwało Martena z głębokiego snu. Słyszając drugie, oprzytomniał.

— Proszę — rzekł, nie wiedząc jeszcze, gdzie jest. Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł prezydent.

— Przepraszam, że pana budzę — powiedział cicho.

— Co się stało? — zapytał Marten, podnosząc się na łokciu.

„Kuzyn Jack” w dalszym ciągu nie nałożył peruki i cały czas miał na nosie fałszywe okulary, które kupił w Madrycie, żeby zmienić wygląd. Jak dotąd nikt, chyba że wiedział o tym wcześniej i uważnie się przyglądał, nie rozpoznał w nim prezydenta Johna Henry'ego Harrisa. Fakt, że miał na sobie pożyczoną, źle dopasowaną jasnoniebieską piżamę, także w tym nie pomógł.

— Za godzinę wylatujemy na spotkanie NATO w Oświęcimiu. Bierzemy chinooka.

Marten odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka.

— A więc to jest formalne pożegnanie.

— Nie, nie, żadne pożegnanie. Chcę, żeby poleciał pan ze mną. Żeby był pan tam, kiedy będę przemawiał.

— Ja?

— Tak.

— Panie prezydencie, to pańska arena, nie moja. Zamierzałem jechać do domu, do Manchesteru. Mam mnóstwo roboty do nadrobienia. Jeśli nie wyrzucili mnie z pracy.

Prezydent uśmiechnął się.

— Napiszę panu usprawiedliwienie. „Nicholas Marten nie mógł przyjść do pracy w ciągu ostatniego tygodnia, ponieważ ratował świat”.

— Panie prezydencie... — zawahał się. Czuł się niezręcznie, myśląc o tym, co chciał powiedzieć, nie tylko dlatego, że nie wiedział, jak to ująć, ale ponieważ nie był pewien, jak to zostanie odebrane. — Nie mogę pozwolić, aby widziano mnie z panem publicznie. Tam będzie za dużo ludzi, zbyt dużo kamer. Nie chodzi tylko o mnie. Mam siostrę, która mieszka w Szwajcarii. Nie mogę... narażać jej na... niebezpieczeństwo. — Głos mu się załamał.

Prezydent przyjrzał mu się uważnie.

— Ktoś pana szuka.

— Tak.

— Czy to, co powiedział Foxx, że był pan policjantem, to prawda?

Marten znów się zawahał. Prawie nikt nie wiedział, kim naprawdę jest, ale jeśli miałby nie zaufać temu człowiekowi, który teraz przed nim stał, to komu na świecie mógłby ufać?

— Tak — powiedział w końcu. — W Los Angeles. Pracowałem w wydziale zabójstw. Doszło tam do incydentu, w którym zginęli prawie wszyscy członkowie mojego oddziału.

— Dlaczego?

— Kazano mi zabić aresztowanego przestępcę. Odmówiłem. Postąpiłem sprzecznie z zasadą obowiązującą w tym oddziale. Kilku starszych policjantów chciało się zemścić. Zmieniłem nazwisko, praktycznie całą tożsamość. Moja siostra również. Nie chciałem nigdy więcej mieć do czynienia z siłami bezpieczeństwa ani w ogóle z przemocą. Wyjechaliśmy ze Stanów Zjednoczonych i rozpoczęliśmy nowe życie.

— To było mniej więcej sześć lat temu, prawda?

Marten osłupiał.

— Skąd pan wie?

— To, co pan mówi, pasuje do historii Reda McClatchy'ego.

— Słucham? — Marten poderwał się przestraszony.

— Dowódca legendarnego Oddziału Pięć-Dwa. Połowa mieszkańców Kalifornii słyszała o tym oddziale i o Redzie McClatchym. Poznałem go, kiedy byłem senatorem. Burmistrz zaprosił mnie na jego pogrzeb.

— Byłem jego partnerem, kiedy zginął.

— Jego współpracownicy obarczali pana odpowiedzialnością za jego śmierć.

— Nie tylko za jego śmierć. Po tym wydarzeniu rozwiązano oddział.

— Więc w tej chwili nikt nie wie, jakie pan nosi nazwisko, gdzie mieszka i co robi?

— Cały czas szukają mnie przez Internet. Mają specjalną stronę dla policjantów z całego świata. Co najmniej raz w miesiącu dają ogłoszenie z pytaniem, czy ktoś mnie widział. Udają, że jestem starym przyjacielem, z którym stracili kontakt i którego chcą odszukać. Nikt poza mną nie wie, o co im tak naprawdę chodzi. Najbardziej martwię się o siostrę.

— Powiedział pan, że mieszka w Szwajcarii.

— Ma na imię Rebecca. Pracuje jako guwernantka w zamożnej rodzinie pod Genewą. — Marten uśmiechnął się lekko. — Kiedyś opowiem panu jej historię, bo też jest o czym.

Prezydent przyglądał mu się przez długą chwilę.

— Niech pan jedzie ze mną do Oświęcimia. Obiecuję, że będę pana trzymał z dala od kamer. Potem wróci pan do domu.

Marten milczał niezdecydowanie.

— Kuzynie, był pan tam ze mną od początku. Widział pan wszystko to co ja, krok po kroku, jeśli zacznę mieć wątpliwości, jeśli się zatnę, wystarczy, że na pana spojrzę i przypomnę sobie prawdę.

— Nie rozumiem.

— Mam zamiar powiedzieć rzeczy, które z dyplomatycznego punktu widzenia lepiej byłoby przemilczeć. I należy liczyć się z tym, że reakcja różnych środowisk na świecie nie będzie przyjemna. Mimo to zamierzam je powiedzieć, ponieważ uważam, że osiągnęliśmy taki moment w historii, kiedy ludzie wybrani, aby służyć społeczeństwu, powinni mówić prawdę, bez względu na to, czy społeczeństwo chce to usłyszeć, czy nie. Nie możemy sobie pozwolić na prowadzenie takiej polityki jak dawniej. — Przerwał. — Niech pan ze mną jedzie, Nicholasie. Proszę, chcę... nie, potrzebuję tam pańskiej obecności, pańskiego moralnego wsparcia.

— Naprawdę to aż takie ważne?

— Tak, bardzo ważne.

Nicholas uśmiechnął się.

— I napisze mi pan usprawiedliwienie za nieobecność w pracy z powodu ratowania świata?

— Będzie pan mógł oprawić je sobie w ramkę.

— A potem mogę wrócić do domu?

— Potem wszyscy będziemy mogli wrócić do domu.

168

POLSKA; HOTEL VICTORIA W WARSZAWIE. 6.20

— Witaj, Victorze. Dobrze spałeś? Zjadłeś śniadanie?

Victor wyłączył telewizor, po czym wziął komórkę i zaczął chodzić po pokoju w samych bokserkach.

— Tak, Richardzie, o wpół do szóstej. W ogóle dzisiaj nie spałem. Nie zadzwoniłeś wczoraj wieczorem, jak obiecałeś. Bałem się, że coś się stało.

— Przykro mi, Victorze. Sytuacja zrobiła się nieco nerwowa. Dlatego tak długo do ciebie nie dzwoniłem. Nastąpiły pewne zmiany w naszych planach.

— Jakie zmiany? Co się stało?

Nagle zawładnęły nim wszystkie paranoiczne myśli, które dręczyły go przez te długie nocne godziny. Zaczęli mieć obiekcje, na pewno. W ostatniej chwili zwątpili w jego umiejętności i sprowadzili kogoś innego. Richard postanowił go zwolnić. Odeśle go do domu. I co wtedy? Nie ma pieniędzy. Oni za wszystko płacili. Nie ma nawet biletu powrotnego do Stanów.

— Victorze, jesteś tam?

— Tak, Richardzie, jestem. Co to za... — przerwał, bojąc się to powiedzieć — ...zmiana planów? Mam wyjechać z Warszawy, tak?

— Tak.

— Dlaczego? Mogę to zrobić. Wiesz, że potrafię to zrobić. Zabiłem tego mężczyznę w Waszyngtonie. Zabiłem dżokejów, prawda? Kto inny potrafi tak dobrze strzelać? Powiedz mi, Richardzie, kto? Nie, nie, to ja ci powiem. Nikt nie jest taki dobry jak ja.

— Victorze, uspokój się. Wierzę w ciebie bez zastrzeżeń. Chcę, żebyś wyjechał z Warszawy, ale to ze względu na zmianę planów, o której ci mówiłem. Nie musisz się martwić. Wszystko jest w porządku. Kiedy dotrzesz na miejsce, wszystko będzie na ciebie czekać jak zawsze.

Victor głośno wypuścił powietrze, po czym nagle wyprostował się dumnie. Poczul się dużo lepiej.

— Dokąd jadę?

— Niedaleko. Niecałe trzy godziny drogi.

— Pierwszą klasą?

— Oczywiście. Pociąg numer 13412 do Krakowa. Wyjeżdżasz o ósmej pięć dzisiaj rano. Będziesz na miejscu o dziesiątej pięćdziesiąt cztery. Idź prosto na postój i znajdź taksówkę numer 7121. Kierowca otrzyma wskazówki, co dalej robić. Zawiezie cię na miejsce.

— Dokąd pojedę?

— Do Auschwitz.

169

POLSKA; OŚWIĘCIM. 11.40

Otoczony członkami ochrony i kilkudziesięcioma dziennikarzami, wysoki, poważny i niezwykle dystyngowany prezydent Polski, Roman Janicki,

proceedził dwudziestu sześciu przywódców państw NATO przez mroczne korytarze dawnego nazistowskiego obozu zagłady.

Na zewnątrz pod ołowianym niebem minęli niesławną obozową bramę z wykutym mottem ARBEIT MACHT FREI, co znaczy praca czyni wolnym. Potem Janicki poprowadził ich wzdłuż porośniętych chwastami, zardzewiałych torów kolejowych, którymi przywieziono tu półtora miliona Żydów, a następnie wymordowano tu i w kilku innych obozach, głównie Auschwitz II i Birkenau. Kilka chwil później w milczeniu minęli komory gazowe i krematorium z piecami i wózkami do wywożenia zwłok, a potem drewniane baraki, w których przetrzymywano więźniów, strzeżonych przez przerażające Schutzstaffell, czyli SS.

Z tupecikiem na głowie, bez fałszywych okularów, ubrany w granatowy garnitur, z Hapem Danielsem nieodstępującym go na krok, John Henry Harris, w pełni rozpoznawalny jako prezydent Stanów Zjednoczonych, szedł ramię w ramię z kanclerz Niemiec Anną Bohlen i prezydentem Francji Jacques'em Geroux. Myślał o swojej przemowie, którą miał wygłosić na pospiesznie przygotowanym podeście przed tym, co pozostało z rzędów obozowych baraków.

11.50

Taksówka jechała wzdłuż ogrodzenia, za którym stały niezliczone wozy transmisyjne, aż wreszcie zatrzymała się przy wejściu dla prasy. Otworzyły się drzwiczki, ze środka wyszedł mężczyzna w średnim wieku w garniturze i krawacie, po czym taksówka natychmiast odjechała.

Mężczyzna podszedł do ściśle strzeżonej furtki dla prasy, której pilnowało kilkunastu ciężko uzbrojonych polskich komandosów oraz agentów Secret Service i polskiego Biura Ochrony Rządu.

— Victor Young, Associated Press. Moje nazwisko znajduje się na waszej liście — powiedział Victor spokojnie.

Wyciągnął legitymację służbową agencji prasowej oraz amerykański paszport.

Agent specjalny Secret Service obejrzał uważnie obydwa dokumenty, po czym wręczył je umundurowanej kobiecie siedzącej w budce za kuloodporną szybą. Ta również starannie je obejrzała, a następnie porównała z listą, którą miała przed sobą, po czym zrobiła Victorowi zdjęcie.

— W porządku.

Kiwnęła głową i oddała Victorowi dokumenty razem z identyfikatorem, który zawiesił sobie na szyi.

— Ręce na głowę, proszę — powiedział inny agent specjalny.

Victor zrobił posłusznie, co mu kazano, a wtedy jeden z agentów obszukał go starannie, sprawdzając, czy nie ma przy sobie broni.

— Może pan iść.

— Dziękuję — odrzekł Victor i więcej nie zaczepiany wszedł na teren obozu.

Na swój sposób zadziwił sam siebie. Jakże okropnie się denerwował, ilekroć czekał na telefon od Richarda, a jaki był spokojny, kiedy stawał oko w oko z nieprzyjacielem. Oni oczywiście o tym wiedzieli. Poza jego wyjątkowymi umiejętnościami strzeleckimi, to właśnie ta cecha sprawiła, że go zwerbowali.

11.52

Nicholas Marten stał na uboczu i obserwował przygotowania do uroczystości. Wszędzie kłębiły się tłumy przedstawicieli międzynarodowych mediów. Równie imponująca była liczba zaproszonych gości, którzy przepychali się między członkami ochrony, aby zająć miejsce jak najbliżej długiego podium, gdzie mieli się zebrać przywódcy państw, aby wysłuchać przemówienia prezydenta Harrisa.

Prezydencka przemowa, jak poinformował wcześniej dziennikarzy rzecznik Białego Domu, Dick Green, wyjaśni między innymi przyczyny, dla których w ostatniej chwili zmieniono miejsce spotkania z Warszawy na Oświęcim, a także omówi szczegóły „zagrożenia terrorystycznego”, które stało się powodem wywiezienia go w środku nocy z hotelu w Madrycie przez Secret Service w „bezpieczne, ukryte miejsce”, gdzie przebywał aż do dzisiejszego ranka.

Fakt, że przemowę tę miały transmitować wszystkie największe stacje telewizyjne na świecie, w połączeniu z zapowiedzią, że prezydent osobiście zrelacjonuje wydarzenia ostatnich dni, intrygował i niepokoił zarazem i wywołał na świecie jeszcze większe napięcie. Jeszcze jedna rzecz podsyciła nerwowość i znaczenie chwili. Rano prezydent zwołał specjalne posiedzenie Kongresu na godzinę siódmą czasu waszyngtońskiego. Podczas posiedzenia na wielkim ekranie miała być transmitowana relacja z uroczystości w Oświęcimiu. Nadzwyczajna sesja, w dodatku o tak wczesnej porze, a także nacisk

prezydenta, że to, co chce powiedzieć, nie może poczekać do jego powrotu do Stanów, podsyliły nastrój niespokojnego oczekiwania.

11.55

Podobnie jak prezydent, Nicholas miał na sobie w pośpiechu wyszukany ciemnogatowy garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Aby nie znaleźć się nawet przypadkowo w obiektywie którejś z wielu kamer telewizyjnych, Nicholas ostrzygł króciutko włosy i włożył ciemne okulary, dzięki czemu wyglądał, wypisz wymaluj, jak jeden z agentów specjalnych Secret Service.

Podszedł do podium. Czuł w powietrzu narastające napięcie oczekiwania, w miarę jak tykał zegar i goście czekali na przybycie prezydenta oraz pozostałych przywódców państw NATO. Stanął za rzędem około dwudziestu składanych krzeseł ustawionych przed sceną i obserwował dziennikarzy pracowicie sprawdzających sprzęt i przeprowadzających próby mikrofonów zainstalowanych na podium. Sto metrów dalej widział wejście dla prasy i zaparkowane przy ogrodzeniu wozy transmisyjne. Tu i ówdzie przechadzały się patrole z psami.

Oślepił oczy przed blaskiem zachmurzonego nieba i rozejrzał się. W pobliżu stało kilka starych jednopiętrowych budynków. Na dachu każdego z nich rozmieszczono po dwóch snajperów, trudno było powiedzieć, czy polskich, czy amerykańskich, czy może NATO-wskich. W każdym razie ochrona była gęsta i szczelna.

Odwrócił się i przeszedł dalej. W tym momencie przemknęła mu przez głowę niepokojąca myśl. Z tego, co widział, podium zbudowano z trzech poziomów: pierwszy, na którym prezydent Polski miał przedstawić Johna Harrisę; drugi — podwyższenie wzniesione nieco dalej, gdzie mieli stać Harris, kanclerz Niemiec i prezydent Francji; i trzeci, jeszcze bardziej z tyłu, gdzie wyznaczono miejsce całej reszcie przywódców państw NATO, tuż przed fałującym morzem flag dwudziestu sześciu krajów.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jeden szczegół. Na początku uroczystości, kiedy prezydent Polski dokona otwarcia, a następnie zapowie przemówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych, Harris będzie stał za jego plecami dokładnie w jednej linii z kanclerz Niemiec i Jacques'em Geroux. Właśnie ta równa linia budziła obawy Martena, ponieważ przywiodła mu na

myśl niedawne zabójstwo dżokejów na torze wyścigowym w Chantilly pod Paryżem, kiedy to jednym strzałem zabito dwóch rozpędzonych jeźdźców.

Harris powiedział, że Przymierze planowało zabić kanclerz Niemiec i prezydenta Francji podczas spotkania NATO. Dreszcz przeszedł Nicholasa, kiedy przypomniał sobie słowa prezydenta wypowiedziane tuż po śmierci Merrimana Foksa: „Ale jego plan nie umarł razem z nim. Ani ich”.

Prezydent przeszedł piekło, aby stanąć dzisiaj na tym podium. Znał całą prawdę. Jeśli strzelec wyborowy ukryty w lesie mógł zabić jednym strzałem dwóch galopujących dżokejów z odległości stu metrów, dlaczego miałoby się okazać to niemożliwe tutaj, pomimo gęstej ochrony? Tylko zamiast trafić dwie osoby, mógł położyć jednym strzałem trzy, zwłaszcza jeśli przez kilka minut będą stali ramie przy ramieniu, podczas gdy prezydent Polski będzie witał gości.

Rozejrzał się szybko dookoła. Teren otoczony był starymi budynkami i drzewami. Dalej też rosły drzewa, miejsce więc na swój sposób przypominało tor wyścigowy w Chantilly. Nagle przypomniał sobie, że do zastrzelenia dżokejów posłużył karabin M14, taki sam, jakiego użył zabójca na dworcu Union Station w Waszyngtonie. W obydwu wypadkach broń pozostawiono na miejscu zbrodni. M14 był nie tylko karabinem potężnym i niezwykle precyzyjnym, ale także wyjątkowo łatwym w użyciu.

Nicholas popatrzył na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt cztery.

— Jezus, Maria! — szepnął nagle do siebie.

Musi znaleźć Hapa, i to jak najszybciej!

170

11.56

Marten wszedł do punktu dowodzenia Secret Service i poinformował Billa Straita o swoich obawach. Strait natychmiast skontaktował się z Hapem, który towarzyszył prezydentowi.

Dwie minuty później Hap, Nicholas i Bill Strait stali w centrum operacyjnym Secret Service, otoczeni kilkunastoma agentami i technikami oraz trzema dowódcami polskich sił specjalnych. Nie mieli pojęcia, czy Marten miał rację, a jeśli tak, to kogo właściwie mieli szukać: kobiety czy mężczyzny, młodego, starego czy w średnim wieku, a także jakim cudem miałby on

lub ona przemycić broń snajperską przez tak gęstą sieć kontroli. Jedno było pewne — kimkolwiek była ta osoba, musiała mieć identyfikator, świadczący, że przeszła kontrolę bezpieczeństwa. Nikogo bez takiego identyfikatora nie wpuszczono by na teren obozu, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

12.00

Odebranie M14 nie nastąpiło najmniejszych trudności. Wwieziono go na teren obozu w jednym z wozów transmisyjnych, był ukryty pomiędzy to-
nami telewizyjnego sprzętu w długim futerale na statyw do kamery. Leżał na stercie wyładowanego sprzętu obok samochodu. Legitymacja Associated Press dała Victorowi łatwy dostęp na teren dla prasy i między las telewizyjnych ciężarówek. Futerał z karabinem leżał po lewej stronie, prawie na samym dnie sterty, i oznakowany był charakterystyczną niebieską taśmą. Victorowi pozostało tylko podnieść go i wycofać się pod osłonę pobliskich drzew, tak jak wyjaśniała instrukcja, którą wręczył mu kierowca taksówki numer 7121, po odebraniu go z pociągu w Krakowie.

12.10

W centrum dowodzenia Secret Service Marten, Hap i Bill Strait siedzieli przed monitorami komputerów i oglądali zdjęcia wszystkich osób, które przeszły przez kontrolę bezpieczeństwa i zostały sfotografowane przy wejściu — sześćset siedemdziesiąt dwie osoby, w tym przywódcy państw, ich rodziny, współpracownicy, inni zaproszeni goście, członkowie ochrony oraz ekip prasowych i telewizyjnych.

Hap poprosił Nicholasa, żeby obejrzał z nimi te zdjęcia, ponieważ towarzyszył prezydentowi niemal od początku i mogło się zdarzyć, że w którymś momencie mignęła mu przed oczami twarz, którą teraz rozpozna. Może któryś z ludzi Foksa w Montserrat albo ktoś, kogo widział z Foksem, Beckiem lub Demi na Malcie albo na ekranach wideo w kościele w Aragonie. Były to tylko domysły, niemniej lepsze to niż nic.

— Psiakrew — warknął Hap, patrząc na przewijające się zdjęcia. — Nawet nie wiemy, kogo szukamy.

— Obym nie miał racji — westchnął Marten. — Może jednak nic się nie wydarzy.

— Hap — powiedział nagle Bill Strait. — Posłuchaj, każda osoba wpuszczona na teren była dokładnie prześwietlana: gdzie pracuje, jak długo, gdzie pracowała przedtem, czy nie była notowana i tak dalej. Inaczej nie dostałaby zgody na udział w imprezie. Dziewięćdziesiąt procent ludzi dostało zaproszenie do Warszawy, co znaczy, że mamy dużo informacji na ich temat. Pozostałe dziesięć procent przyjechało tu głównie z powodu zmiany miejsca w ostatniej chwili. Tych osób nie sprawdzano zbyt dokładnie, ponieważ po prostu nie było na to czasu.

— Masz rację. Wyselekcjonujemy te sześćdziesiąt, siedemdziesiąt nadprogramowych osób i przyjrzymy się im w pierwszej kolejności.

12.20

Szybkim krokiem Victor minął rząd starych kamiennych budynków, kierując się w stronę kępy pączkujących drzew, które częściowo zasłaniały obozowe ogrodzenie z betonowych słupów i drutu kolczastego.

12.30

Po kolei zdjęcia przewijały się przed oczami Hapa, Martena i Straita. Na razie nie zauważyli nikogo, kto by zwrócił na siebie ich uwagę, wyglądał podejrzanie lub znajomo. Mimo to nie mieli innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej. Za pół godziny prezydent wyjdzie na podium. Jeśli ktoś się gdzieś tam czai, muszą go znaleźć.

12.35

Victor szedł przez wysoką trawę w stronę małego stawu oddalonego o jakieś dwadzieścia metrów od ostatnich budynków.

Słyszał w oddali głos technika sprawdzającego działanie systemu nagłaśniania.

— Próba mikrofonu. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy.

Uśmiechnął się, gdy dotarł na brzeg stawu i zaczął go okrążyć. Z jakiegoś powodu aż do tej chwili nie czuł najmniejszych emocji. Przez całą drogę

z Warszawy do Krakowa był spokojny. Był również spokojny, kiedy przechodził przez kontrolę bezpieczeństwa. Spokojnie przechodził obok wozów transmisyjnych, idąc po karabin M14, i nie zdenerwował się, kiedy strażnik z psem zażądał od niego dokumentów. Posłusznie pokazał mu paszport i przepustkę i nawet poklepał psa po głowie. Chwilę później podniósł ze sterty sprzętu futerał z bronią i odszedł z nim między drzewa. Dopiero teraz, kiedy usłyszał próby mikrofonów, kiedy technicy sprawdzali sprzęt nagłaśniający na scenie, poczuł przyływ adrenaliny. Dlatego się uśmiechnął. Niebezpieczeństwo wywoływało bardzo przyjemny dreszczyk emocji.

171

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH W LONDYNIE. 11.45 (12.45 W OŚWIĘCIMIU)

Trzy duże czarne SUV-y z przyciemnianymi szybami wyjechały z Park Lane w Grosvenor Street, aby chwilę później skrócić pod ambasadę amerykańską na Grosvenor Square.

Natychmiast otoczył je oddział uzbrojonych marines w mundurach galowych. Z pierwszego i ostatniego samochodu wysiadło kilkunastu agentów Secret Service. Podeszli do trzeciego pojazdu i otworzyli drzwiczki. Ze środka wyszedł najpierw agent specjalny Roland Sandoval, a za nim w milczeniu wiceprezydent Hamilton Rogers, sekretarz obrony Terrence Langdon, sekretarz stanu David Chaplin, przewodniczący Połączonego Kolegium Szeffów Sztabów generał Chester Keaton i na końcu sekretarz generalny Tom Curran.

Otoczona przez marines i ochroniarzy grupa polityków weszła do budynku ambasady, drzwi się za nimi zamknęły, a samochody odjechały. Cała operacja trwała niespełna minutę — początek końca.

OŚWIĘCIM; PUNKT DOWODZENIA SECRET SERVICE. 12.47

— Ten mężczyzna! — powiedział nagle Bill Strait.

Hap i Marten odwrócili się błyskawicznie, żeby popatrzeć na monitor Straita, gdzie pojawiło się przed chwilą zdjęcie i rekomendacje agencji Associated Press Victora Younga.

— Był w Ritzu w Madrycie tamtej nocy, kiedy zniknął prezydent. Próbował wejść na trzecie piętro. Wyglądało na to, że się pomylił. Powiedział, że jest turystą i czeka tu na przyjaciół. Mieliśmy go na filmie z hotelowych kamer. Przyjrzeliliśmy mu się później dokładnie i stwierdziliśmy, że nie stanowi zagrożenia.

— Jesteś pewien, że to on? — spytał Hap.

— Może nie na sto procent, ale prawie.

— Ja też go widziałem — stwierdził zdumiony Nicholas, patrząc na monitor. — Mijał mnie w samochodzie w Waszyngtonie tamtej nocy, kiedy doktor Stephenson popełniła samobójstwo.

— Rozdajcie to zdjęcie wszystkim jednostkom na terenie obozu! — Obejrzał się na jednego z agentów stojącego za jego plecami. — Ruszamy. Natychmiast!

12.48

Dwustu agentów ochrony z Polski, Niemiec i Francji rozbiegło się możliwie jak najdyskretniej po całym terenie obozu w poszukiwaniu Victora Younga, potencjalnego snajpera uzbrojonego w karabin M14.

12.50

Prezydent Harris, kanclerz Niemiec Bohlen, prezydent Francji Geroux oraz prezydent Polski Roman Janicki razem z głowami pozostałych dwudziestu trzech państw NATO czekali w dużym namiocie na oficjalne rozpoczęcie uroczystości, które miało nastąpić za niespełna siedem minut.

— Panie prezydencie — powiedział Hap, który przed chwilą wszedł pospiesznie do namiotu. — Mogę pana prosić na sekundę?

Prezydent przeprosił swoich rozmówców i odszedł z Hapem na bok.

— Znaleźliśmy potencjalne zagrożenie. Pojedynczy mężczyzna. Podejrzewamy, że to snajper. Chciałbym odwołać uroczystość.

— Snajper?

— Tak jest.

— Ale nie macie pewności?

— Stuprocentowej nie.

— Hap, oglądają nas ludzie na całym świecie. Kongres czeka na tę relację na specjalnym posiedzeniu. Już raz zmienialiśmy miejsce spotkania z

powodów bezpieczeństwa. Jeśli teraz odwołamy rozpoczęcie, pokażemy światu, że jesteśmy bezradni nawet za zasłoną własnej gęstej ochrony. Nie możemy tego zrobić, Hap. Muszę ufać, że znajdziecie tego człowieka albo okaże się, że to była pomyłka. — Spojrzał na zegarek. — Wychodzimy za cztery minuty.

— W takim razie pójdźmy na kompromis. Relacje telewizyjne i tak się już rozpoczęły. Niech mi pan pozwoli puścić informację, że z powodu problemów technicznych nastąpi niewielkie opóźnienie, dopóki usterka nie zostanie naprawiona. Telewizje sobie poradzą, będą improwizować albo nadażą relację z wcześniejszego zwiedzania obozu. Niech nam pan da trochę czasu, proszę.

— Więc naprawdę uważa pan, że ktoś tam szykuje zamach?

— Tak.

— Dobrze, ma pan swój kompromis.

12.55

Victor podczołgał się w wysokiej trawie na brzeg stawu, podniósł karabin i spojrzał przez celownik. W odległości czterystu metrów za drzewami zobaczył podest, na którym miała się rozpocząć uroczystość. Wszystko tak, jak mu przekazano w instrukcjach.

Dowiedział się z nich również, że przywitanie prezydenta Polski potrwa trzy minuty, a w tym czasie kanclerz Niemiec oraz prezydenci Stanów Zjednoczonych i Francji będą stali za nim ramię przy ramieniu w jednej linii i w tym właśnie porządku, co stanowi niezwykle sprzyjającą okoliczność, jako że kanclerz Niemiec była niższa od obydwu mężczyzn. Ponieważ Victor leżał, pocisk poleciał pod takim kątem, że trafił Annę Bohlen w żuchwę, następnie prezydenta Harrisa tuż pod prawym uchem, i po przejściu przez jego czaszkę uderzył w głowę prezydenta Francji.

Podsunał się bliżej, żeby mieć lepszą widoczność, i czekał. Zostały już minuty, a właściwie sekundy do wyjścia dostojników na podium. Jeden strzał i po wszystkim. Potem po prostu zostawi broń i odejdzie, a po chwili, w ogólnej panice, wmisza się w tłum dziennikarzy. Pokręci się trochę w ciżbie, a następnie wymknie przez bramkę dla mediów i obok rzędu samochodów spokojnie dojdzie do miejsca, gdzie będzie czekała taksówka.

Psy. Dlaczego dochodzi go szczekanie psów?

12.57

Z walącym sercem Victor zaczął się wycofywać na brzuchu. Psy szczekały, biegły w jego stronę z przeciwległego brzegu stawu. Przez megafony ktoś powiedział najpierw po angielsku, a potem po polsku:

— Z powodu problemów technicznych nastąpi niewielkie opóźnienie rozpoczęcia uroczystości. Prosimy państwa o cierpliwość.

Problemy techniczne? Boże drogi, odkryli go!

Obejrzał się za siebie w panice, ale zobaczył tam tylko ogrodzenie i drzewa. Szczekanie dochodziło coraz bliżej. Przed sobą miał staw, po prawej stronie ogrodzenie, które ginęło między drzewami i zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Po lewej stało stare krematorium, od którego dzieliło go sto metrów otwartej przestrzeni. Nie miał innego wyjścia, mógł tylko uciekać w prawo. Wtedy przypomniał sobie plan awaryjny, który znalazł w swoich instrukcjach. Pół kilometra dalej, po drugiej stronie stawu, stoją ruiny starych baraków, w tej chwili właściwie cmentarzysko betonowych fundamentów i sterczących kominów, a między nimi rozpadający się kamienno-drewniany budynek, w którym naziści przechowywali wózki służące do transportu zwłok. W kącie tego budynku, naprzeciwko wejścia, pod deską podłogową ma leżeć jedzenie, woda, telefon komórkowy i pistolet automatyczny. Jeśli akcja się nie powiedzie, ma udać się do tej kryjówki i czekać, aż ktoś się z nim skontaktuje.

Szczekanie jeszcze bardziej przybrało na sile — psy się zbliżały. Gdzieś w oddali usłyszał warkot startującego helikoptera.

— Zostaw broń. Pozbądź się zapachu. Pozbądź się ubrania — powiedział do siebie.

Poderwał się na nogi i pochyłony pobiegł w stronę stawu. Na brzegu zaczął się rozbierać — pulchny siwowłosy mężczyzna w średnim wieku ściągający buty, skarpetki i całą resztę ubrania. Na stertę rzucił też legitymację agencji prasowej Associated Press oraz przepustki. Kilka sekund później płynął w stronę drugiego brzegu. Gdzie był Richard? Kim był Richard? To nie miało teraz znaczenia. Zbliżał się koniec, Victor zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał żadnych szans.

13.03

— Mamy broń i ubranie — zatrzeszczał w słuchawkach wszystkich funkcjonariuszy Secret Service głos jednego z agentów.

Marten biegł razem z innymi, w rękę trzymał dziewięciomilimetrowego sig sauera, którego rzucił mu Hap, kiedy wybiegali z centrum dowodzenia. Widzieli przed sobą staw i ujadające psy na brzegu. Przed nim biegł Bill Strait z pistoletem maszynowym w rękę. Nagle Strait skręcił w prawo, w stronę drugiego brzegu jeziora i czegoś, co stało w oddali i wyglądało jak ruiny starych baraków.

Marten skręcił za nim. Oddzielili się od reszty agentów, którzy pobiegli prosto. Strait był sam, jeśli wpakuje się w kłopoty, nie będzie miał wsparcia.

Pięćdziesiąt metrów dalej Strait, nie zatrzymując się, przeskoczył przez rów. Nicholasa paliło w płucach, ale pędził za nim. Kilka sekund później dotarł do tego samego rowu i też przeskoczył go w biegu. Na chwilę stracił Straita z oczu, nie miał pojęcia, w którą stronę pobiegł. Potem go zobaczył na zarośniętej żwirowej ścieżce między rozpadającymi się barakami.

Strait obejrzał się za siebie, powiedział coś do mikrofonu, a potem przyspieszył.

Marten wpadł na żwirową ścieżkę, biegnąc cały czas jakieś pięćdziesiąt metrów za Billem. Nagle poślizgnął się i przewrócił, ale zaraz poderwał się błyskawicznie i jeszcze przyspieszył kroku. Pomału doganiał Straita, zostało mu jeszcze czterdzieści metrów, po chwili trzydzieści.

Zobaczył, jak zastępca Hapa zatrzymuje się przy ruinach kamiennodrewnianego budynku, po czym z pistoletem uniesionym przed sobą ostrożnie podchodzi do uchylonych drzwi.

— Bill, zaczekaj! — wrzasnął Marten.

Strait jednak albo go nie usłyszał, albo zignorował, ponieważ w następnej sekundzie wśliznął się do środka i zniknął Nicholasowi z oczu.

Dwie sekundy, trzy, Marten był już prawie przy drzwiach. Ze środka doszła go ostra wymiana słów, po czym rozległ się głuchy odgłos serii z pistoletu maszynowego.

— Rany boskie! — szepnął Marten.

Z sig sauerem gotowym do strzału schylił się nisko i wszedł do środka.

Strait obrócił się błyskawicznie i podniósł pistolet, słysząc, że ktoś wchodzi przez drzwi.

— Nie strzelaj! — krzyknął Marten.

Spocony i zdyszany Strait patrzył na niego przez długą chwilę, po czym opuścił pistolet i wskazał głową drugi koniec szopy. Na kamiennym fundamencie budynku leżał nagi mężczyzna w średnim wieku. W rękę ścisnął pistolet automatyczny, cała reszta ciała tworzyła zoraną kulami krwawą masę.

— Victor Young — powiedział Strait. — To ten, którego widziałeś w Waszyngtonie?

Marten podszedł do zwłok i uklęknął, podczas gdy do szopy wbiegali właśnie zaalarmowani agenci.

— Tak — powiedział Nicholas. — To on.

Strait kiwnął głową. Poprawił słuchawki.

— Hap, tu Bill — powiedział. — Mamy go. Myślę, że można bezpiecznie rozpocząć imprezę.

173

Nicholas oddał Hapowi się sauera, a potem przecisnął się między ludźmi z Secret Service i wyszedł na dwór. Słońce tu i ówdzie przebijało się przez chmury i malowało ziemię i budynki łagodnym białym światłem. Wydawało się czymś okropnie nieestosownym użyć słowa „piękny” na opisanie tego miejsca, ale przez chwilę ono naprawdę takie było i Marten odniósł wrażenie, że pomimo tego, co się przed chwilą wydarzyło, zgromadzenie tyłu tak ważnych, choć zupełnie różnych ludzi, rozpocznie wreszcie jakiś proces leczenia.

W oddali usłyszał w głośnikach głos polskiego prezydenta, który rozpoczął spotkanie i zapowiedział wystąpienie Johna Henry'ego Harrisa.

Szybko przepchnął się przez tłum polskich i amerykańskich agentów ochrony i ruszył w stronę miejsc przed podium. Prezydentowi zależało, aby był jak najbliżej, aby mógł go widzieć podczas swojego wystąpienia. Przyspieszył kroku. Mijając staw, uświadomił sobie nagle obecność obozowego ogrodzenia z drutu kolczastego ciągnącego się na wiele kilometrów dookoła. Mimo pięknej pogody budziło ono tak samo ponure i złowieszcze uczucia jak sześćdziesiąt lat temu. Więc może jednak nie miał racji, może proces leczenia wcale się jeszcze nie rozpoczął.

— Panie prezydencie Janicki, pani kanclerz, panie prezydencie — głos Harrisa, wzmocniony przez głośniki, niósł się daleko po terenie obozu — moi drodzy partnerzy z NATO, szanowni goście, członkowie Kongresu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie, a także wszyscy obywatele świata siedzący przed telewizorami. Przyjechałem tu dzisiaj jako jeden z was, mieszkaniec tej planety, jako zwykły obywatel, a zarazem prezydent Stanów Zjednoczonych i czuję się zobowiązany podzielić z wami wiedzą o faktach i wydarzeniach, które wyszły na jaw w ciągu ostatnich dni i godzin.

Jak wiecie, to spotkanie przywódców państw NATO miało się odbyć w Warszawie. Ze względów bezpieczeństwa sugerowano, aby je w ogóle odwołać. Po przedyskutowaniu tej kwestii z przedstawicielami wszystkich krajów postanowiliśmy zgromadzić się tu, tak jak było planowane. Zaproponowałem zmianę miejsca, na którą wszyscy moi szanowni partnerzy przystali. Wybór obozu w Auschwitz nie był przypadkowy, w tym miejscu sześćdziesiąt lat temu wymordowano miliony ludzi, a dokonała tego jedna z najbardziej zbrodniczych i terrorystycznych organizacji w dziejach świata.

Marten skręcił za róg, aby przejść pomiędzy dwoma kamiennymi budynkami. Widział przed sobą prezydenta na podium i resztę przywódców NATO na podeście za jego plecami i flagi dwudziestu sześciu krajów łopoczące na wietrze. Na dachach cały czas czaili się strzelcy wyborowi, polscy komandosi w kamizelkach kuloodpornych, z karabinami w rękach pilnowali obrzeży terenu, podczas gdy w środku kilkuset agentów ochrony w cywilnych ubraniach obserwowało tłum.

— W minionym tygodniu — ciągnął prezydent, a jego głos płynął z głośników donośnie i wyraźnie — ujawniono istnienie innej terrorystycznej organizacji, równie zbrodniczej i bezwzględnej jak tamta pod rządami Adolfa Hitlera. Jej przywódcy zostali ujęci i aresztowani.

Marten doszedł do zebranych gości i stanął pod drzewem niedaleko pierwszego rzędu siedzeń. Wtedy zobaczył, jak prezydent przerwał na moment, spojrzął w jego stronę i ledwie dostrzegalnie skinął głową. Marten odpowiedział mu tym samym.

— Ugrupowanie to, które na razie nazwaliśmy po prostu Przymierzem, nie reprezentuje żadnego konkretnego kraju, religii Czy rasy, a jedynie własne interesy. Jego członkowie należą do światowych elit politycznych, wojskowych i ekonomicznych na całym świecie i jeśli nasze przypuszczenia się

potwierdzą, działo się tak od stuleci. Może to zabrzmieć nieprawdopodobnie, a nawet absurdalnie, zapewniam was jednak, że to prawda. W ciągu ostatnich dni osobiście byłem świadkiem ich bestialskich czynów. Na własne oczy widziałem wyniki eksperymentów, jakie przeprowadzali na ludziach. Widziałem setki zwłok przetrzymywanych w tajnych laboratoriach ukrytych w starej kopalni w hiszpańskich górach. Widziałem, jak manipulują ludzką wiarą, aby służyła ich celom podczas odrażających rytuałów, w których żywcem palono ludzi jak niegdyś czarownice na stosach.

W ubiegłym tygodniu podano do publicznej wiadomości, jakoby dla mojego własnego bezpieczeństwa wywieziono mnie z hotelu w Madrycie w tajne miejsce „z powodu zagrożenia terrorystycznego”. W pewnym sensie była to prawda, ponieważ rzeczywiście istniało zagrożenie terrorystyczne, jednak jego źródłem były osoby z kręgu moich najbliższych współpracowników, ludzie stojący na najwyższych szczeblach władzy, członkowie amerykańskiego rządu, których znałem od lat jako swoich przyjaciół i doradców. Ci ludzie zażądali, abym złamał prawo Stanów Zjednoczonych i przysięgę, którą składałem, obejmując urząd prezydenta. Odmówiłem. Nie wywieziono mnie w bezpieczne, ukryte miejsce. Uciekłem przed tymi ludźmi. Uciekłem nie tylko dlatego, że zagrażali memu życiu, ale również dlatego, że oni i ich poplecznicy w całej Europie przygotowywali się do dokonania aktu ludobójstwa w krajach Bliskiego Wschodu na skalę niespotykaną dotąd w historii.

Wczoraj zażądałem dymisji od następujących osób: wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Hamiltona Rogersa; sekretarza stanu Davida Chaplina; sekretarza obrony Terrence'a Langdona; przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generała Chestera Keatona; sekretarza generalnego Białego Domu Toma Currana. Poinformowano mnie, że niespełna godzinę temu osoby te zostały aresztowane w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Londynie pod zarzutem członkostwa w organizacji terrorystycznej oraz zdrady stanu i spiskowania przeciwko społeczeństwu i rządowi Stanów Zjednoczonych.

Powiadomiono mnie również, że podobnych aresztowań dokonuje się obecnie w Niemczech i Francji. Za wcześnie na razie, aby podawać szczegóły śledztwa, które się dopiero rozpoczęło. Możemy jedynie powiedzieć, że aresztowania osób zajmujących wysokie stanowiska w różnych krajach będą trwały jeszcze przez jakiś czas.

Wieści te spadły na nas niczym grom z jasnego nieba, wywołując zdumienie, grozę i wstręt. Ja, pani kanclerz Niemiec i prezydent Francji przeżyliśmy również wielkie rozczarowanie, ponieważ — zdrady dopuścili się nasi bliscy, zaufani przyjaciele.

Złe wiadomości źle się rozchodzą. Tego rodzaju prawda jest szpetna i bolesna, jednakże ukryta wyrządza niepowetowane szkody. W ciągu nadchodzących dni i tygodni poznamy więcej szczegółów i będziemy państwa na bieżąco informować. Tymczasem możemy tylko dziękować opatrności, że udało nam się znaleźć tę bestię i ukreć jej łeb, zanim rozpoczęła swoją rzeź.

Musimy się tylko rozejrzeć wokół siebie, właśnie tu, w Auschwitz, aby przypomnieć sobie, jaką przerażającą cenę płaci ludzkość za każdy fanatyzm. Jesteśmy to winni tym, którzy tu zginęli, a także sobie, naszym dzieciom i ich dzieciom, aby ten nowotwór uczynić chorobą przeszłości. Razem możemy tego dokonać.

Dziękuję i życzę wam spokojnego popołudnia.

Skończywszy, prezydent patrzył przez kilka sekund na publiczność, po czym podszedł uścisnąć dłoń Annie Bohlen i Jacques'owi Geroux, a następnie prezydentowi Polski, Romanowi Janickiemu i wszystkim pozostałym przywódcom państw NATO, którzy z powagą schodzili po koleji z podwyższenia.

Przez długą chwilę Marten, tak jak wszyscy inni — goście, ochrona, dziennikarze — stał w milczeniu. Mowa prezydenta nie była ani wyrazem samozachwyty, ani też politycznym pokrzepianiem serc. Harris powiedział prawdę, tak jak obiecał Martenowi. Jaki i kiedy wywoła oddźwięk — burzę protestów i oburzenia na Bliskim Wschodzie i w muzułmańskich enklawach na całym świecie; oskarżenia, że prezydent Harris jest niezrównoważony i nie powinien pełnić swojej funkcji; żarliwe zaprzeczenia i kontrataki ze strony aresztowanych — trudno powiedzieć. Nikt jednak, łącznie z prezydentem, nie miał wątpliwości, że na pewno wywoła.

„Mam zamiar powiedzieć rzeczy, które z dyplomatycznego punktu widzenia lepiej byłoby przemilczeć — oświadczył Martenowi — chociaż należy liczyć się z tym, że reakcja różnych środowisk na świecie nie będzie przyjemna. Mimo to zamierzam je powiedzieć, ponieważ uważam, że osiągnęliśmy taki moment w historii, kiedy ludzie wybrani, aby służyć społeczeństwu, powinni mówić prawdę, bez względu na to, czy społeczeństwo chce to usłyszeć, czy nie. Nie możemy sobie pozwolić na prowadzenie takiej polityki jak dawniej”.

Prezydent poprosił Nicholasa o moralne wsparcie podczas wygłaszania tej mowy, ale go nie potrzebował. Miał własną, jasną wizję tego, kim jest, a także odpowiedzialności, która na nim ciąży z racji sprawowanego urzędu. Jego „przyjaciele” wprowadzili go do Białego Domu, ponieważ nigdy nie

przysparzał sobie wrogów, sądzili więc, że jest miękki i będą go mogli urobić, jak im się żywnie spodoba. Tyle że popełnili ogromny błąd w ocenie tego człowieka.

Nicholas po raz ostatni spojrzął na prezydenta i otaczających go polityków. To był jego świat, jego miejsce. Czas, aby i Nicholas wrócił do swoich zajęć. Już się odwracał i zamierzał odejść, kiedy usłyszał za plecami znajomy głos wołający go po imieniu. Obejrzał się i zobaczył Hapa Danielsa idącego w jego stronę.

— Wylatujemy. Marine One startuje za dziesięć minut — powiedział — a Air Force One z Krakowa za niecałą godzinę. Prezydent prosił, żebyśmy zaplanowali lot przez Manchester — uśmiechnął się — i podrzucili cię do domu.

— Zarezerwowałem już bilet na samolot — odparł Marten. — Podziękuj prezydentowi, ale wolę unikać rozgłosu. On będzie wiedział, o co chodzi. Powiedz, że może kiedyś usiądziemy sobie wszyscy przy piwie i steku, ty, ja, on i Miguel. I chłopcy też, zwłaszcza Jose.

— Uważaj, bo on naprawdę może to zrobić.

Marten uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Będę czekał.

Uścisnęli sobie dłonie, a potem ktoś zawołał Hapa. Marten patrzył za nim przez chwilę, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia. Minutę później, minąwszy obozową bramę, odwrócił się i popatrzył w górę na żelazny napis.

ARBEIT MACHT FREI. Praca czyni wolnym.

Ten wypaczony przejaw czarnego humoru nazistów na niczyjej twarzy nie wywoływał zwykle uśmiechu. Mimo to właśnie w tym stanie ogromnego wyczerpania słowa te wkradły się w myśli Martena i podziały całkiem niespodziewanie: uśmiechnął się w duchu i pokręcił do siebie głową na tę ironię losu.

Zastanawiał się, czy w ogóle ma jeszcze pracę.

EPILOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

ANGLIA; MANCHESTER, POSIADŁOŚĆ ZIEMSKA BANFIELDÓW. PONIEDZIAŁEK, 12 CZERWCA. 8.40

Minęły dwa miesiące od dnia, kiedy Marten pożegnał się z Hapem i wyszedł z obozu w Auschwitz. Jeśli martwił się wtedy o swoją pracę w Fitzsimmons and Justice, to niepotrzebnie. Kiedy jeszcze tego samego dnia wieczorem wrócił do domu w Manchesterze, zastał na swojej automatycznej sekretarce sześć nagranych wiadomości. Cztery pochodziły od jego bezpośredniego szefa, Iana Graffa, i w każdej prosił, aby oddzwonił do niego, gdy tylko wejdzie do domu. Dwie pozostałe zostawili Robert Fitzsimmons i Horace Justice. Fitzsimmonsa Nicholas znał dobrze z biura, natomiast Horace'a Justice'a, osiemdziesięciosiedmioletniego założyciela firmy, mieszkającego w południowej Francji, nigdy w życiu nie spotkał. Mimo to wszyscy trzej zostawili mu wiadomości z życzeniami wszystkiego najlepszego i nadzieją, że stawi się w pracy nazajutrz z samego rana.

Co było przyczyną tego życzliwego zainteresowania?

Wyglądało na to, że prezydent Harris osobiście zadzwonił do każdego z nich z pokładu Air Force One i powiedział, jak bardzo jest wdzięczny Nicholasowi Martenowi za pomoc, jaką mu okazał w ciągu ostatnich dni. Wyraził także nadzieję, że jego niezapowiedziana absencja w pracy nie przysporzy mu kłopotów. Nie przysporzyła. Odesłano go natychmiast z powrotem do projektu Banfield, który przez spory, zmiany i niezgodności między państwem Banfield przysparzał więcej problemów, niż Marten napotkał z prezydentem. Mimo to Nicholas rzucił się z zapałem w wir pracy i parł nieustraszenie naprzód. Wreszcie sprawy zdawały się zmierzać do zadowalającego

końca. Zakończono kształtowanie terenu, zamontowano system nawadniający i rozpoczęło się sadzenie roślin. Banfieldowie również zawarli pokój, głównie dlatego, że pani Banfield spodziewała się narodzin bliźniąt i w związku z tym skupiła całą swoją energię i uwagę na przygotowaniu domu na przyjście na świat dzieci. Szczęśliwie również pan Banfield, kiedy nie jeździł na treningi i mecze, spędzał czas w domu z żoną. Dzięki temu Marten mógł spokojnie zająć się nadzorowaniem prac ogrodniczych, co zresztą skwapliwie uczynił, podczas gdy reszta świata stała na głowie w odpowiedzi na prezydencką przemowę.

Harris miał rację, mówiąc, że „reakcja różnych środowisk na świecie nie będzie przyjemna”.

W Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza w Waszyngtonie, panował dwudziestoczworogodzinny medialny rwetes. Telewizją, radiem, dziennikami i periodykami zawładnęły niezliczone talk-show i wywiady. Internet zasypała lawina blogów przedstawiających prezydenta jako szaleńca czy niezrównoważonego maniaka, którego powinno się zamknąć w szpitalu lub aresztować albo najlepiej jedno i drugie. Wszelkiej maści wyznawcy i twórcy teorii spiskowych wylali triumfalnie z każdego zakątka świata: „A nie mówiłem?”. Wszyscy natomiast, z prawa, lewa i środka, żądali informacji, czym jest owo tajemnicze Przymierze i kto do niego należy; do jakiej religii prezydent czynił aluzje; kto spłonął żywcem w rytualnych ceremoniach; jak to możliwe, żeby członkowie Instytutu Nowego Świata byli zamieszani w coś takiego i gdzie są na to dowody?

Nie lepsza sytuacja panowała w krajach Bliskiego Wschodu i enklawach muzułmańskich w Europie i na Pacyfiku. Rządy i ludzie chcieli usłyszeć szczególnie na temat rzekomego „ludobójstwa”. W którym kraju i kiedy miało do niego dojść? Ile osób może w jego wyniku zginąć? Co jeszcze się może wydarzyć? Jaki jest cel, jaka ideologia stoi za tym wszystkim? Co chcą osiągnąć członkowie tej tajemniczej organizacji? Czy zagrożenie na pewno minęło? I wreszcie, czy cała ta prezydencka afera nie jest kolejną amerykańską prowokacją mającą na celu szerzyć w krajach muzułmańskich strach i terror, odpowiedzią na zamachy terrorystyczne w Ameryce i Europie, zawołowaną groźbą głady?

We wszystkich krajach Bliskiego Wschodu doszło do masowych i gwałtownych antyamerykańskich i antyeuropejskich manifestacji. We Francji wybuchły uliczne zamieszki, w których brali udział głównie młodzi muzułmanie z dzielnic biedoty. Podsycali je skwapliwie religijni fundamentaliści

dla, jak to określiły francuskie władze, „podejrzanych celów”. Do nieco mniej gwałtownych demonstracji doszło w Anglii, Holandii, Niemczech, Włoszech i Hiszpanii. Do ONZ napłynęły liczne żądania wyjaśnień i szczegółów tej niecodziennej sytuacji, na które na razie się nie zanosilo, ponieważ jak dotąd nie znaleziono dokumentacji ze szczegółowymi planami Merrimana Foksa.

Niczego nie przyniosły przesłuchania wiceprezydenta Rogersa, sekretarza stanu Davida Chaplina, sekretarza obrony Terrence'a Langdona, generała Keatona i sekretarza generalnego Toma Currana. Wszyscy, rzecz jasna, oświadczyli, że są niewinni, kiedy po przewiezieniu do Waszyngtonu federalny sędzia pokoju przedstawił im zarzuty. Obecnie przebywali w areszcie w bazie lotniczej w Andrews.

Żadnymi nowymi informacjami nie zaowocowały również przesłuchania członków Instytutu Nowego Świata, obecnych na zgromadzeniu w Aragonie, których aresztowano i przetrzymywano w różnych miejscach na świecie pod zarzutem przynależności do organizacji terrorystycznej i planowania masowej zbrodni.

Żadnych nowych faktów nie odkrył oddział Secret Service zajmujący się badaniem przestępstw elektronicznych, któremu zlecono odzyskanie informacji z twardego dysku, wyjętego przez Hapa i prezydenta z komputera w kościele w Aragonie. Ze zrozumiałych względów badanie to postępowało w ślimaczym tempie, starano się bowiem zachować wszystkie możliwe środki ostrożności, aby nie utracić danych, które mogły stanowić koronny dowód dla sądu federalnego.

W dalszym ciągu, ale bez rozgłosu, międzynarodowe służby bezpieczeństwa ściśle współpracowały nad poskładaniem tych okruszków informacji, którymi dysponowały, aby dotrzeć do jądra spisku. Pod szczególną obserwacją wzięto partie polityczne w Niemczech i Francji, gdzie według tego, co prezydentowi powiedział Jake Lowe w domu Evana Byrda w Madrycie: „Wcześniej nie mieliśmy jeszcze swoich ludzi na odpowiednich stanowiskach. Teraz mamy. Zapewnili nas o tym nasi zaufani przyjaciele. Są to bardzo dobrze poinformowani przyjaciele”. „Co za przyjaciele? — zapytał wtedy prezydent. — O kim pan mówi?”

Właśnie owych „przyjaciół” szukano teraz na całym świecie. W Niemczech wzięto pod cichą obserwację członków niewielkiej partii politycznej Das Demokratische Bündnis, czyli Sojuszu Demokratycznego, do której

należał Szpakowaty, Klaus Melzer, „cień” Nicholasa z Barcelony. Śledzono ich rozmowy telefoniczne, e-maile, konta bankowe, a także wszystkie podróże. W wyniku tych dochodzeń szybko odkryto bliźniaczą partię we Francji z siedzibą główną w Lyonie oraz oddziałami tak bardzo od siebie oddalonymi jak Calais nad kanałem La Manche i Marsylia nad Morzem Śródziemnym.

W Hiszpanii nadal szalał pożar, który wybuchł po eksplozji w kościele w Aragonie oraz w tunelach starej kopalni ciągnących się na wiele kilometrów od ośrodka wypoczynkowego, aż do starej świątyni po drugiej stronie gór, zwanej La iglesia dentro de la Montana, czyli Kościół wewnątrz góry, i prawie do samego klasztoru Montserrat.

Straż pożarna oraz specjaliści w dziedzinie górnictwa zgodnie orzekli, że miną jeszcze tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim wszystko się wypali i ostygnie na tyle, aby mogły tam wejść ekipy dochodzeniowe. Za przyczynę wybuchu, podobnie jak eksplozji, do której doszło dzień wcześniej niedaleko klasztoru, uznano kumulację zabójczego metanu w zamkniętych tunelach trwającą kilkadziesiąt lat. Ludzie unosili brwi ze zdumienia, pytając, kto mógłby chcieć celowo zaplanować takie zniszczenia.

Mimo to istniał dowód. Prezydent i Nicholas Marten przed przysięgą i w tajemnicy złożyli zeznania na temat tego, co widzieli w tunelach, laboratoriach i kościele. Przesłuchano również Demi Picard, Hapa Danielsa, Miguela Baliusa oraz hiszpańskich nastolatków: Jose, Hectora i Amada. Inni przesłuchiwani — agent specjalny Secret Service Bill Strait, major piechoty morskiej George Herman Woods „Woody” oraz lekarze obecni na pokładzie chynooka — potwierdzili samobójczą śmierć doradcy do spraw bezpieczeństwa doktora Jamesa Marshalla, którą oficjalnie przedstawiono opinii publicznej jako nieszczęśliwy wypadek. Śmierć doradcy politycznego Jake'a Lowe'a uznano za możliwe zabójstwo, zwłaszcza kiedy zeznania złożyli kapitan Belinda Diaz oraz agent Strait na temat okoliczności, w jakich doktor Marshall zgłosił wypadek.

Jednocześnie prawnicy zajmujących się sprawą wiceprezydenta, sekretarza stanu, sekretarza obrony i pozostałych, pomimo późnych pełnych oburzenia i deklaracji niewinności, jak na razie optowali jedynie za złagodzeniem oskarżenia ze „zdrady stanu” na „groźby pod adresem prezydenta”.

Wszystko dawało prezydentowi Harrisowi nadzieję, że jego przemowa w Auschwitz nie była politycznym samobójstwem, ale słusznym gestem

człowieka, który wierzył, że ludziom należy mówić prawdę, ponieważ wobec niepewnej sytuacji politycznej na świecie nie ma innego wyjścia.

Dbając o to, by jego twarz ani nazwisko nie dostały się do prasy czy telewizji, Nicholas Marten uważnie śledził wszystkie wiadomości, chociaż najczęściej uwagi poświęcał projektowi Banfieldów.

W piątek rano, dwudziestego pierwszego maja, wezwał go do siebie Robert Fitzsimmons i kazał mu polecieć do Londynu na spotkanie z ważnym klientem, wybitnym londyńskim chirurgiem, Norbertem Holmgrenem, który mieszkał niedaleko Hyde Parku i w swojej posiadłości pod Manchesterem pragnął dokonać znaczących zmian.

Doktora Holmgrena nie było w domu, kiedy zjawił się Marten, niemniej gościa zaprowadzono do salonu, gdzie miał poczekać na gospodarza. W salonie Marten zastał dwie osoby: Hapa Danielsa i prezydenta Johna Harrisa, który nieoficjalnie przyjechał do Londynu na prywatne spotkanie z premierem Wielkiej Brytanii, Jackiem Randolphem. Twarz Martena natychmiast rozpromieniła się na widok obydwu mężczyzn. Uściskali się serdecznie, zaraz jednak Nicholas usłyszał w głowie ostrzegawcze dzwonki i szybko popatrzył na nich czujnie.

— Co tym razem?

„Tym razem” prezydent chciał się z nim podzielić najświeższymi, ściśle tajnymi informacjami.

FBI, jak wyjaśnił, rozmawiało w Paryżu z Demi Picard, która opowiedziała im o swoich wieloletnich poszukiwaniach matki i o wszystkim, czego się dowiedziała o tajemnym sabacie włoskich czarownic, zwanym Aradią, który używał jako symbolu krzyża Aldebarana, oraz o tym, co jej zdradził Giacomo Gela na temat jeszcze bardziej utajnionej, ukrytej w łonie sabatu, Aradii Mniejszej. Jej symbolem używanym w piśmie były litery A i M, zapisywane w kombinacji liter hebrajskiej i greckiej: א μ. To właśnie Aradia Mniejsza przez stulecia dostarczała Przymierzu ofiarnych „wiedźm”.

Demi opowiedziała również o tym, jak została uwięziona i jak wyświetlono jej na ścianach celi okropne filmy wideo ze sceną śmierci jej matki w płomieniach. Wreszcie na koniec zrelacjonowała, co widziała pod ziemią, kiedy przywieźli ją kolejką jednotorową do kościoła: sale wykorzystywane do eksperymentów, puste pokoje przypominające koszary i wielki piec krematoryjny pod kościołem.

— W ten sposób Foxx pozbywał się zwłok — powiedział Marten, czując, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

— Tak — odparł prezydent. — Niech pan rzuci na to okiem.

Wskazał laptopa, którego Hap właśnie otwierał.

— Secret Service cały czas pracuje nad twardym dyskiem, który wynieśliśmy z kościoła, ale udało się już odzyskać trochę materiałów. Proszę spojrzeć.

Nicholas popatrzył na monitor komputera, na którym pojawiły się zdjęcia wykonane w jednym z wysokich budynków w Montserrat, stojących przy placu przed bazyliką. Zrobił je sobie Foxx, używając samowyzwalacza. Przedstawiły mały gabinet, teleskop i magnetowid. Następnie pojawiły się zdjęcia zrobione przez teleobiektyw lub teleskop widziany na poprzednich fotografiach. Uwiecznił na nich zbliżenia ludzi spacerujących po placu przed bazyliką.

— Tak wybierał swoich „pacjentów” — rzekł prezydent. — Niewy-czerpane źródło, w dodatku reprezentujące „przeciętną populację”, której szukał. Zdjęcia odręcznych notatek zdają się świadczyć, że wybrane osoby wskazywał mnichom, którzy mu je przyprowadzali. Nie od razu. Najpierw śledzili ofiary do miejsca zamieszkania, a potem je stamtąd porywali.

— Sukinsyn wszystko przewidział — warknął ze złością Marten i popatrzył na obydwu mężczyzn. — A co z planami akcji na Bliskim Wschodzie? Znaleźliście jakieś notatki z eksperymentów?

— Na razie nie.

— Co się stało z Beckiem i Lucianą?

— Kamień w wodę. Albo uciekli, albo utknęli w pułapce, kiedy kościół wyleciał w powietrze. Cały czas mamy ich na liście osób ściganych listem gończym.

— A więc na razie to wszystko, dopóki nie odzyska się więcej informacji z twardego dysku albo nie przyniosą czegoś dochodzenia?

— Mniej więcej — odparł Hap, spoglądając na prezydenta.

— Mamy jeszcze listę znalezioną w dzienniku, który prowadził mój szanowny doradca, Jake Lowe — powiedział Harris.

Zamilkł z wahaniem, a Nicholas zauważył, że targają nim silne emocje.

— Co to za lista?

— Wie pan, że moja żona była Żydówką?

— Tak.

— Wie pan również, że zmarła na nowotwór mózgu kilka tygodni przed wyborami prezydenckimi?

— Tak.

— Chcieli zdobyć głosy środowisk żydowskich, ale nie chcieli Żydów-ki z Białym Domu. Wymyślili, że jeśli umrze, zdobędą współczujących wyborców nie tylko wśród Żydów, ale i wszystkich Amerykanów.

Marten znów poczuł ciarki na plecach.

— Więc Foxx zabił pańską żonę czymś, co upozorowało raka mózgu?

— Tak. — Prezydent skinął głową, zadrzał i zamrugał, żeby powstrzymać łzy. — Wygląda na to — powiedział z ogromnym wysiłkiem — że obaj straciliśmy kogoś, kogo kochaliśmy nad życie.

Nicholas podszedł do prezydenta i uściskał go. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni stali i trzymali się w objęciach. Każdy dokładnie wiedział, co czuje drugi.

— Panie prezydencie, musimy już iść — odezwał się Hap.

— Tak, wiem — odparł prezydent. — Wiem.

Nicholas i Harris popatrzyli sobie w oczy, a prezydent się uśmiechnął.

— Kiedy to wszystko się wreszcie uspokoi, przyjedzie pan na moje ranczo w Kalifornii na te steki i piwo. Wszyscy się wtedy spotkamy: pan, Hap, Demi, Miguel i chłopcy.

Marten uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Widzę, że Hap panu powiedział.

W tym momencie wtrącił się Daniels.

— Zacząłem, ale prezydent mnie uprzedził.

Nicholas wyciągnął rękę.

— Powodzenia, panie prezydencie.

Harris ujął najpierw wyciągniętą dłoń, a potem uściskał jeszcze raz Nicholasa i cofnął się.

— Powodzenia, kuzynie. Niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł. Hap i Marten uścisnęli sobie dłonie, tak jak to potrafią tylko mężczyźni, którzy walczyli ramię w ramię i przeżyli. Potem Hap mrugnął porozumiewawczo, uśmiechnął się i wyszedł za prezydentem.

CZĘŚĆ DRUGA

MANCHESTER. NADAL PONIEDZIAŁEK, 12 CZERWCA. 23.48

Nicholas leżał w ciemności w swoim pokoju na poddaszu nad rzeką Irwell. Od czasu do czasu na suficie tańczyły światła samochodów przejeżdżających na dole ulicą lub dochodziły głosy ludzi przechodzących chodnikiem

pod oknami. Przez większość czasu było jednak bardzo cicho. Koniec długiego letniego dnia.

Celowo uciekał myślami od projektu Banfielda i od wspomnień o Przymerzu. Chciał zasnąć, a nie rozniecać myśli, które mogły go tylko ożywić i rozbudzić.

Przez dłuższą chwilę wspominał swój przyjazd z Los Angeles do Anglii pod nazwiskiem zmienionym z Barron na Marten. Szukał wtedy miejsca na świecie, gdzie mógłby się ukryć przed dawnymi kolegami po fachu, a jednocześnie pomóc siostrze Rebecce wydobrzeć po traumatycznych przeżyciach, które siały spustoszenie w jej psychice. Jej proces rekonwalescencji, wyjazd do Szwajcarii, a także późniejsze koleje losu stanowiły, jak Marten wspominał prezydentowi, odrębną, fascynującą, można by rzec, fantastyczną historię. Jedną z najważniejszych ról odegrała w niej niezrównana, seksowna, nieco sprośna i arystokratyczna lady Clem, czyli Clementine Simpson, jedyna córka hrabiego Prestbury, z którą Marten zamierzał się ożenić, ale która pewnego dnia zjawiała się nagle u niego, mówiąc, że właśnie zaręczyła się z nowo mianowanym ambasadorem brytyjskim w Japonii i w związku z tym niezwłocznie przeprowadza się z Manchesteru do Tokio. I tak zrobiła. Z tego, co Nicholas wiedział, nadal tam mieszkała i nadal była mężatką, ponieważ w ciągu sześciu lat, jakie upłynęły od tamtej pory, nie dostał od niej nawet jednej marnej pocztówki ani e-maila.

Niezwykła wrażliwość Rebecki, a także jej własna traumatyczna przeszłość sprawiły, że zgłosiła się na ochotnika, aby pomagać Demi, która przeżyła tak silny wstrząs psychiczny, że specjaliści w Paryżu rokowali jej wieloletni proces powracania do pełnego zdrowia. Demi wzięła długi urlop zdrowotny w Agence France Presse, pojechała do Szwajcarii, gdzie zamieszkała z Rebeccą i pomagała jej w roli guwernantki trojga niezwykle szybko rosnących dzieci i bardzo powoli próbowała pozbywać się okropnych wspomnień o śmierci matki, Merrimanie Foksie, Lucianie, wielbnyim Becku, Cristinie i płomieniach.

WTOREK, 13 CZERWCA. 1.20

Marten nadal nie spał i doskonale wiedział, dlaczego nie może zmrzyć oka. Stał mu przed oczami obraz nagiego mężczyzny w średnim wieku, leżącego na kamiennym fundamencie rozwalającej się szopy w Oświęcimiu. W

rękę trzyma automatyczny pistolet kalibru .45, a reszta jego ciała tworzy krwawą masę. Victor Young. Nicholas widział go przelotnie w Waszyngtonie pod domem doktor Lorraine Stephenson tamtego wieczoru, kiedy popełniła samobójstwo. Young minął go samochodem, gdy Nicholas czekał, aż lekarka wróci do domu. Potem przypomniał sobie, że widział go również dwa dni wcześniej, kiedy pogrążony w rozpacz szedł w deszczu nieopodal Białego Domu zaledwie kilka godzin po śmierci Caroline. Young, czy jak się tam naprawdę nazywał, siedział za kierownicą samochodu, który przejechał obok niego bardzo powoli prawie pustą ulicą.

Marten widział go wyraźnie dwa razy. Zastanawiał się, czy to możliwe, że już wtedy Foxx albo Beck, albo obydwaj chcieli go mieć na oku ze względu na jego znajomość z Caroline i wysłali Younga, aby go śledził.

Ale to nie było wszystko.

Secret Service wytropiła miejsca pobytu Younga najpierw w Waszyngtonie, potem w Berlinie, w Madrycie, Paryżu i wreszcie w Chantilly, gdzie wynajął pokój w hotelu dzień przed zabójstwami na torze wyścigowym. Następnie Victor wrócił do Paryża, gdzie wsiadł do pociągu do Warszawy, ponieważ tam miał się pierwotnie odbyć szczyt NATO. Kiedy zmieniono miejsce spotkania na Auschwitz, Young pojechał najpierw pociągiem do Krakowa, a potem do Oświęcimia, gdzie stawił się przy wejściu dla prasy z ważną przepustką agencji Associated Press godzinę przed rozpoczęciem przemówienia prezydenta Harrisa. Jego nazwisko widniało na liście zatwierdzonej przez Secret Service, a karabin M14, ukryty w futerale na statyw do kamery, przywiózł razem z całym sprzętem dziennikarskim wóz transmisyjny.

Jakim sposobem Young dowiedział się o zmianie zaplanowanego miejsca spotkania na tyle szybko, aby zdążyć tam dojechać, zdobyć w niewiadomy sposób legitymację agencji prasowej i zostać umieszczonym na liście uczestników sprawdzonych i zaakceptowanych przez Secret Service? Kto przemycił dla niego broń? Wszystkie te pytania pozostawały jak dotąd bez odpowiedzi. Oczywiście było, że począwszy od Berlina, Young podążał tropem prezydenta prawie na każdym przystanku podczas jego podróży po Europie, aż do zuchwałej wizyty w hotelu Ritz w Madrycie, gdzie sprawdzał szczelność ochrony Secret Service.

To właśnie nie dawało Martenowi spokoju do tego stopnia, że nie mógł zmrużyć oka. Te niewyjaśnione sprawy męczyły go od dłuższego czasu, lecz dopiero teraz, leżąc w zaciszu swojego mieszkania, zaczął składać wszystko

w całość. Nie miało znaczenia, czy Victor działał sam, czy dla Przymierza, czy jeszcze dla kogoś innego. Karabin M14 świadczył dobitnie, że zamierzał zabić prezydenta pomimo zmiany miejsca uroczystości z Warszawy na Auschwitz. Oczywiście zamach mógł być szykowany tylko na kanclerz Niemiec i prezydenta Francji i w tym właśnie tkwił problem. Kiedy patrzyło się na to z perspektywy czasu, wszystko wydawało się aż nadto oczywiste, trop był wystarczająco wyraźny, jakby pozostawiony świadomie i celowo.

Young był doskonałym strzelcem, niemniej amatorem, a przecież gdyby Przymierze zamierzało zabić czy to jednego, czy trzech polityków, a wszystko wskazywało na to, że zamierzało, przynajmniej do czasu wpadki w Aragonie, to dysponowało takimi środkami i powiązaniem — począwszy od generała powietrznych sił zbrojnych, poprzez sekretarza obrony, aż po doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego — że posłużyłoby się w tym celu zawodowcami lub nawet całym zespołem zawodowców.

Victor Young musiał być czymś kozłem ofiarnym, czymś Lee Harvey-em Oswaldem. Gdyby mu się udało zabić tego, na kogo został nasłany, to dobrze, jeśli nie, mała strata. Pozostawił za sobą wyraźny trop, a w związku z tym wystawiał się jak kaczka w sytuacji, gdyby coś poszło nie tak. No i poszło. Nie dlatego, że sprawy wymknęły się spod kontroli w Aragonie, ale dlatego, że Marten skojarzył ze sobą zabójstwa w Waszyngtonie i na torze w Chantilly i podniósł alarm.

To go właśnie teraz najbardziej dręczyło i nie pozwalało mu zasnąć. Całą tę sprawę jakby odpuszczono. Udaremniono plany Przymierza, policja i służby specjalne na całym świecie tropiły członków, a jeśli specjaliści od przestępstw elektronicznych będą w dalszym ciągu z powodzeniem odzyskiwać dane z twardego dysku komputera w Aragonie, prawdopodobnie zdobędą kompletny zapis corocznych rytuałów odprawianych przez Przymierze, a także dane każdego uczestnika — gwóźdź do trumny obecnych członków organizacji i skarbnicę wiedzy o tym, co się działo przez dziesiątki lat, a może nawet stulecia.

Kiedy wracając do domu, Nicholas czekał na samolot z Londynu do Manchesteru, miał kilka godzin wolnego, aby przejść się po mieście. Dobiegł go wtedy odgłos Big Bena wybijającego godzinę, tak jak na całym świecie zegary na wieżach wygrywały melodię Westminster Quarters, uderzająco znajome dźwięki, które znała na pamięć połowa ludzi na świecie. Tam jednak, w Aragonie, dźwięk ten wydawał się tak bardzo nie na miejscu, kiedy do kościoła weszli członkowie Instytutu Nowego Świata. Marten zaczął się

zastanawiać, czy ta melodyjka nie była przypadkiem znakiem rozpoznawczym Przymierza, a zarazem sygnałem dla jego członków, że bez względu na to, co się działo, Przymierze żyje i ma się dobrze. I rzeczywiście tak było. I będzie przez następne stulecia. Jeśli tak, to prezydentowi ani służbom bezpieczeństwa nie udało się położyć kresu jego istnieniu, a jedynie zapędzić go na jakiś czas, może kilkadziesiąt lat, do podziemia.

Ów tok myślenia naprowadził Martena na wspomnienie wydarzeń w Auschwitz po tym, jak ostrzegł Hapa, że gdzieś może się ukrywać snajper. Mniejsza o legitymację agencji prasowej, listę zaakceptowaną przez Secret Service czy nawet ukryty karabin. To ktoś inny przyszpilił Victora Younga. Bill Strait, to on wyświetlił najpierw na ekranie monitora zdjęcie Younga sprzed wejścia do obozu, a potem zidentyfikował go jako człowieka, który próbował się przebić przez ochronę w Ritzu. Kilka chwil później, kiedy wszyscy pędzili w stronę stawu za psami, które podjęły trop, to właśnie Strait nagle skręcił w bok i zamiast za wszystkimi pozostałymi pobiec do stawu, ruszył prosto w kierunku szopy, w której ukrywał się Young, jak gdyby wiedział dokładnie, gdzie go szukać.

Nicholas popędził za nim, wołając, żeby zaczekał i nie wchodził sam do środka, tymczasem Strait go zignorował i świadomie wszedł do szopy w pojedynkę. Dopiero kiedy Marten dopadł do drzwi, usłyszał krótką wymianę zdań, właściwie dwa słowa wypowiedziane między mężczyznami.

— Victorze — powiedział wyraźnie Bill.

— Richard? — zapytał Victor, jakby zaskoczony przez człowieka, którego głos znał bardzo dobrze, ale którego nigdy nie widział na oczy.

Natychmiast potem rozległ się głuchy, ostry dźwięk serii z pistoletu maszynowego Straita.

Z oczami otwartymi szeroko Nicholas gwałtownie przewrócił się na bok. Bill Strait. Zaufany zastępca Hapa. Chociaż przez jakiś czas w Barcelonie Daniels nie ufał mu w ogóle, kiedy, podobnie jak prezydent, nie mógł zaufać nikomu. Czy Strait mógł być wtyczką Przymierza w szeregach ochrony prezydenta? Idealna pozycja, aby zyskać dostęp do wszystkich najważniejszych informacji na szczeblu dowódczym.

Marten zastanawiał się, czy ktoś poza nim mógł o tym wiedzieć lub przynajmniej się tego domyślać. Prawdopodobnie nie, ponieważ tylko on jeden biegł za Straitem i słyszał, jak ten mówił do Younga po imieniu i jak Victor zapytał: „Richard?”.

Jeśli Nicholas miał rację i tylko on o tym wiedział, i mógł się domyślić prawdy, to wcześniej czy później, ale raczej wcześniej Billowi Straitowi również zaświta w głowie ta myśl.

2.22

Marten przewrócił się na plecy i zamknął oczy. W ciągu wielu lat, kiedy pracował w policji Los Angeles, często działał w ścisłym porozumieniu z ludźmi z Secret Service. Wiedział, że nikt wśród nich nie traktuje lekceważąco motta „Godni wiary i zaufania” i że wszyscy jego agenci posiadają najwyższe certyfikaty bezpieczeństwa, a ich wiarygodność sprawdza się aż do znudzenia. Ponadto instytucja ta cieszyła zbyt dużym szacunkiem, słynęła z profesjonalizmu i zbyt głębokiej więzi łączącej jego członków, aby ktoś mógł ją tak łatwo zinfiltrować.

Więc może jednak mylił się co do Billa Straita? Najprawdopodobniej. Może po prostu za dużo rozmyśla? Najprawdopodobniej. Może...

Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi.

NOTA WYDAWCY

Jeśli chcecie poznać wcześniejszą historię Nicholasa Martena, jego siostry, Rebecki, lady Clementine Simpson oraz niesławnego Oddziału 5-2 policji w Los Angeles, to możecie o niej przeczytać w książce *Tożsamość*.

PODZIĘKOWANIA

Za informacje techniczne i rady jestem szczególnie wdzięczny Anthony'emu Chapie; byłemu rzecznikowi prasowemu Białego Domu, a zarazem koledze po fachu Ronowi Nessenowi; Emmie Casanovie i Josepowi Marii Canadelli z Policia-Mossos d'Esquadra z Barcelony; byłemu oficerowi śledczemu z wydziału zabójstw policji w Los Angeles Paulowi Tippinowi; emerytowanemu pułkownikowi Armii Stanów Zjednoczonych Johnowi R. Powerowi; Kirkowi Stappowi z Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych; Alanowi Landsburgowi; Andrew Robartowi; Stanleyowi Mendesowi oraz doktorowi Nortonowi Kristy'emu.

Za cenne sugestie i poprawki rękopisu szczególnie dziękuję Robertowi Gleasonowi. Jestem również wdzięczny Robertowi Gottliebowi i Johnowi Silbersackowi za rady i wskazówki, a także Tomowi Doherty'emu i Lindzie Quinton za wsparcie i wiarę, że ta książka powstanie.

Chciałbym również złożyć szczególne wyrazy podziękowania moim przyjaciółom z Secret Service.

Spis treści

NIEDZIELA — 2 kwietnia	7
PONIEDZIAŁEK — 3 kwietnia.....	17
WTOREK — 4 kwietnia.....	27
ŚRODA — 5 kwietnia.....	45
CZWARTEK — 6 kwietnia.....	77
PIĄTEK — 7 kwietnia.....	109
SOBOTA — 8 kwietnia.....	175
NIEDZIELA — 9 kwietnia.....	385
PONIEDZIAŁEK — 10 kwietnia.....	477
EPILOG	503
Nota wydawcy.....	517
Podziękowania.....	518